

Karol Dickens

OLIWER TWIST

ROZDZIAŁ PIERWSZY W KTÓRYM JEST MOWA O MIEJSCU, GDZIE PRZYSZEDŁ NA ŚWIAT OLIWER TWIST, I O OKOLICZNOŚCIACH TOWARZYSZĄCYCH JEGO NARODZENIU

W pewnym mieście, którego z wielu powodów przeczniej będzie nie wymieniać i któremu nie zamierzam nadawać żadnej zmyślonej nazwy, jest wśród innych publicznych gmachów jeden budynek, z dawien dawna spotykany we wszystkich niemal miastach, dużych czy małych, mianowicie przytułek. W przytułku tym, w dniu, którego daty przytaczać nie potrzebuję, gdyż nie może ona — przynajmniej w obecnym stadium całej sprawy — mieć dla czytelnika żadnego zgoła znaczenia, urodziła się istota śmiertelna, której imię i nazwisko znalazło się w nagłówku niniejszego rozdziału.

Odkąd lekarz gminny wprowadził je na ten świat smutku i troski, przez dłuższą jeszcze chwilę było nader wątpliwe, czy dziecko dożyje momentu, gdy potrzebne mu będzie jakiegokolwiek imię i nazwisko. Gdyby nie dożyło, jest rzeczą więcej niż prawdopodobną, że niniejsza kronika nigdy by się nie ukazała, a gdyby się ukazała, obejmowałaby co najwyżej dwie strony i miałaby tę nieocenioną zaletę, że byłaby najbardziej zwiezłą i wierną biografią w literaturze wszystkich epok i krajów. Choć bynajmniej nie jestem skłonny utrzymywać, że przyjsie na świat w przytułku jest samo przez się najszcześniejszą i najbardziej godną zazdrości okolicznością, jaka może się przytrafić istocie ludzkiej, to jednak chcę twierdzić, że w tym szczególnym wypadku była to dla Oliwera Twista najlepsza rzecz, która mogła mu się zdarzyć. Faktem jest, że było bardzo trudno nakłonić Oliwera, by podjął trud oddychania — trud istotnie ciężki, lecz będący zwyczajowo nieodzownym warunkiem naszego lekkiego skądinąd istnienia. Przez pewien czas leżał dusząc się na materacyku i ważył się pomiędzy tym światem a tamtym, przy czym równowaga była raczej zachwiana: szala przechylała się zdecydowanie na stronę tego ostatniego. Otóż gdyby w owym krótkim okresie otaczały Oliwera troskliwe babcie, niespokojne ciotki, doświadczone pielęgniarce i wielce uczeni lekarze, byłiby go nieuchronnie i niewątpliwie zabili w mgnieniu oka. Ponieważ jednak nie było przy nim nikogo prócz starej nędzarki, nieco zamroczonej większą niż zazwyczaj porcją piwa, i lekarza gminnego, który z urzędu załatwiał tego rodzaju sprawy, Oliwer i natura musieli sami rozstrzygnąć kwestię pomiędzy sobą. Skończyło się tym, że po paru chwilach walki Oliwer odetchnął, kichnął i jął obwieszczać mieszkańcom przytułku, że oto na barki gminy spadł nowy ciężar. Czynił to zaś najgłośniejszym wrzaskiem, jakiego można było w granicach rozsądku oczekiwać od niemowlęcia płci męskiej, władającego ową wielce pożyteczną bronią, którą jest głos, zaledwie od trzech i jednej czwartej minuty.

Podczas gdy Oliwer dawał ów pierwszy dowód swobodnej i prawidłowej działalności płuc, poruszyła się zeszyta z gałganów kółdra, narzucona niedbale na żelazne łóżko. Znad poduszki uniosła się z trudem błada twarz młodej kobiety i słaby głos niewyraźnie wymówił te słowa:

— Pokażcie mi dziecko, a potem już umrę.

Lekarz siedział z twarzą zwróconą do kominka, na przemian rozcierając ręce i grzejąc je przy ogniu. Gdy młoda kobieta przemówiła, podniósł się i podchodząc do wezglowia, rzekł tonem dobrotliwszym, niż można się było po nim spodziewać:

— No, no, nie trzeba jeszcze mówić o umieraniu.

— Daj jej, Boże, zdrowie, pewno, że nie! — wtrąciła babka, spieszenie wkładając do kieszeni butelkę z zielonego szkła, której zawartości próbowała przedtem w kącie z widocznym zadowoleniem. — Daj jej, Boże, zdrowie, kochaneczce, kiedy pożyje tyle co ja, panie doktorze, i urodzi trzynastoro dzieci, i wszystkie umrą oprócz tych dwojga, co są ze mną w przytułku, wtedy zmądrzeje i nie będzie się tak przejmować, daj jej, Boże, zdrowie, kochaneczce. Pomyśl, co to jest być matką, moje jagniątko, pomyśl tylko.

Najwidoczniej jednak owa pocieszająca wizja macierzyństwa nie osiągnęła pożądanego skutku. Chora potrząsnęła głową i wyciągnęła rękę w kierunku dziecka.

Lekarz złożył je w jej ramiona. Matka namiętnie przycisnęła zimne, zbielełe wargi do jego czółka, przesunęła dłońmi po swojej twarzy, rozejrzała się nieprzytomnie, wzdrygnęła się opadła na poduszkę — i umarła. Rozcierali jej pierś, ręce i skronie, lecz krew przestała krążyć na zawsze. Mówili słowa nadziei i pociechy. Ale nadzieja i pociecha od nazbyt dawna były jej obce.

— Już po wszystkim, moja pani! — rzekł w końcu lekarz.

— Tak, tak, biedactwo! — odparła babka podnosząc korek od zielonej butelki, który wypadł na poduszkę, gdy pochylała się, by zabrać dziecko. — Biedactwo!

— Jeżeli dziecko będzie płakać, to naturalnie, babciu, proszę przysłać po mnie na górę — rzekł lekarz nakładając z wielkim namaszczeniem rękawiczki. — Bardzo być może, że będzie z nim kłopot. Jeśli tak, proszę mu dać trochę kleiku. — Włożył kapelusz i kierując się ku drzwiom zatrzymał się po drodze przy łóżku. — A ładna z niej była dziewczyna — dodał. — Skąd ona się wzięła?

— Przywieźli ją tu wczoraj wieczorem — odrzekła stara — z rozkazu kierownika opieki gminnej. Ktoś ją znalazł, jak leżała na ulicy. Szła widać z daleka, bo trzewiki podarte miała na strzępy; ale skąd szła i dokąd, tego nikt nie wie.

Lekarz pochylił się nad ciałem i podniósł lewą dłoń umarłej.

— Zawsze ta sama historia — powiedział kiwając głową — obrączki, jak widzę, nie ma. No!

Dobranoc!

I pan doktor poszedł na obiad; babka zaś zaznajomiła się raz jeszcze z zawartością zielonej butelki; usiadła na niskim stołku przy kominku i zabrała się do ubierania noworodka.

Jakimże znakomitym przykładem potęgi ubioru był mały Oliwer Twist! Zawinięty w kołderkę, która stanowiła do tej pory całe jego odzienie, mógł uchodzić za dziecko szlachcica lub żebraka.

Człowiekowi niewtajemniczonemu, choćby nie wiedzieć jak dumnemu, trudno by było określić jego stanowisko społeczne. Ale teraz, gdy nałożono mu stare perkalowe sukienki, pożółkłe od ciągłego używania, był już napiętnowany i opatrzony etykietą i natychmiast zajął właściwe sobie miejsce, jako dziecko na opiece gminy — sierota z przytułku — nędzne, na pół zagłodzone popychadło, które spotka się na świecie tylko z razami i szturchańcami, od wszystkich doznając wzgardy, od nikogo litości. Oliwer krzyczał z całej siły. Gdyby mógł wiedzieć, że jest sierotą zdanym na łaskę litościwych członków rady kościelnej i zarządu dobroczynności gminnej, zapewne płakałby jeszcze głośniej.

ROZDZIAŁ DRUGI

W KTÓRYM JEST MOWA O WYCHOWANIU, WYKSZTAŁCENIU I WIKCIE OLIWERA TWISTA

Przez następne osiem czy dziesięć miesięcy Oliwer był ofiarą systematycznego wyzysku i oszustwa. Karmiony był sztucznie. Władze przytułku we właściwym czasie doniosły władzom gminnym, w jak żałosnej sytuacji znajduje się osierocone niemowlę, głodne i opuszczone. Władze gminne z godnością poinformowały się u władz przytułku, czy nie ma w obecnej chwili w „zakładzie” żadnej niewiasty, która byłaby w stanie udzielić Oliwerowi Twistowi potrzebnej mu opieki i pożywienia. Władze przytułku odpowiedziały pokornie, że nie ma. Na to władze gminne powzięły wielkoduszne i humanitarne postanowienie, że Oliwer ma być oddany „na fermę”, czyli innymi słowy, że należy go wysłać do filii przytułku oddalonej o jakieś trzy mile, gdzie dwadzieścioro czy trzydzieścioro innych młodocianych przestępców przeciw prawu o ubogich przez cały dzień tarzało się swobodnie po podłodze, bez krepującego obciążenia nadmiarem jadła i odzienia, pod macierzyńskim nadzorem pewnej starszej niewiasty, która przyjmowała tych winowajców za wynagrodzeniem — i dla wynagrodzenia — siedmiu i pół pensa tygo-dniowo od główki. Ekwiwalent siedmiu i pół pensa na tydzień stanowi dla dziecka wikt nader obfity; czego się to nie dostanie za siedem i pół pensa! Wystarczy tego, by przeciążyć dziecinny żołądek i zaszkodzić mu. Starsza niewiasta była kobietą mądrą i doświadczoną; wiedziała, co dzieciom wychodzi na dobre, a nade wszystko miała nadzwyczaj dokładne wyobrażenie o tym, co wychodzi na dobre jej samej. Toteż większą część tygodniowej opłaty przywłaszczała sobie na własny użytek i skazywała wzrastające pokolenie wychowanków gminy na porcję mniejsze nawet od tych, które im pierwotnie wyznaczono. W ten sposób potrafiła znaleźć coś, co było jeszcze niższe niż samo dno nędzy, okazując się eksperymentalną filozofką nieposłedniej miary. Wszyscy znają historię innego eksperymentalnego filozofa, który wymyślił wspaniałą teorię głoszącą, że koń może żyć bez jedzenia, i który znakomicie zademonstrował jej słuszność przyzwyczajwszy swego własnego konia do poprzestawania na jednym źdźble słomy dziennie. Byłby też niewątpliwie doprowadził do tego, by koń, nie jedząc nic zupełnie, pozostał żwawym i brykającym wesoło zwierzęciem, gdyby ów nie był zdechł na dwadzieścia cztery godziny przed tym, zanim miał otrzymać pierwszą ponętą i wystarczającą rację swej powietrznej paszy. Na nieszczęście dla eksperymentalnej filozofii niewiasty, pod której troskliwą opiekę przekazano Oliwera Twista, działaniu wymyślonego przez nią systemu towarzyszył zwykle podobny skutek, gdyż właśnie w chwili gdy jakiemuś dziecku udawało się pozostawać przy życiu na możliwie najmniejszej porcji możliwie najmniej posilnej strawy, zdarzało się jak na złość w ośmiu i pół wypadkach na dziesięć, że albo nabawiało się choroby z niedostatku i zimna, albo wpadało do ognia wskutek niedopatrzania, albo przypadkowo coś go przygniatało. Wszystkie te wypadki kończyły się przeważnie przeniesieniem się nieszczęśliwego maleństwa na tamten świat, gdzie mogła wreszcie połączyć się z przodkami, których na tym świecie nigdy nie znało.

Niekiedy zdarzało się jakieś szczególnie ciekawe śledztwo w sprawie wychowanka gminy, który przez nieuwagę przygnięciony został ciężkim łóżkiem lub przypadkowo doznał śmiertelnych oparzeń gorącą wodą przy praniu — ten ostatni wypadek nie przytrafiał się wprawdzie często, gdyż wszelkie czyn-

ności przypominające pranie były na fermie wielką rzadkością. Wówczas przysięgłym przychodziło czasem do głowy zadawać kłopotliwe pytania albo ożywieni duchem buntu obywatele gminy kładli swe podpisy pod jakąś naganą. Tym bezczelnym poczynaniom stawiało jednak niebawem kres świadectwo lekarza oraz zeznania woźnego. Pierwszy dokonywał sekcji zwłok i nigdy nic w nich nie znajdował (co było rzeczywiście bardzo prawdopodobne), a drugi nieodmiennie zaprzysięgał wszystko, czego gmina sobie życzyła, składając tym dowód wielkiego samozaparcia. Poza tym członkowie zarządu odbywali od czasu do czasu pielgrzymki na fermę i zawsze wysyłali poprzedniego dnia woźnego, by zapowiedział ich przybycie. Toteż gdy oni nadchodzili, dzieci wyglądały zawsze czysto i schludnie, a czegoż więcej można było wymagać?

Trudno oczekiwać, by ten system chowania dzieci mógł wydawać jakieś bardzo niezwykle i bujne plony. Dziewiąta rocznica urodzenia Oliwera Twista zastała go bladym i chudym chłopczyną o nieco za małym wzroście i zdecydowanie za małym obwodzie ciała. Ale natura czy też prawa dziedziczności umieściły w piersi Oliwera niezwykle mocnego ducha. Dzięki mizernemu wiktowi zakładowemu miał on pod dostatkiem miejsca do rozwoju i może właśnie tej okoliczności przypisać należy fakt, że chłopiec w ogóle doczekał dziewiątych urodzin. W każdym razie były to jego dziewiąte urodziny. Obchodził je w piwnicy na węgiel w doborowym towarzystwie dwóch innych młodzieńców; właśnie sprawiwszy wszystkim trzem solidne lanie zamknięto ich za to, iż wręcz bezczelnie twierdzili, że są głodni, gdy nagle zacną kierowniczkę zakładu, panią Mann, zaskoczył niespodziany widok woźnego, pana Bumble, mocującego się z furtką od ogrodu.

— Boże miłosierny! To pan, panie Bumble? — rzekła pani Mann wysuwając głowę przez okno w dobrze udanej ekstazie radości. — (Zuzanno, zabierz Oliwera i tamte dwa bachory na górę i umyj ich w tej chwili!) A to dopiero, panie Bumble, jakże się cieszę, że pana widzę, jak mi Bóg miły! Pan Bumble był człowiekiem otyłym i cholerykiem, więc zamiast w podobnym duchu odpowiedzieć na to serdeczne powitanie, potrząsnął z całej siły furtką, po czym obdarzył ją kopniakiem, godnym zaiste nogi woźnego.

— Jej, pomyśleć tylko — mówiła pani Mann wybiegając przed dom (gdyż do tego czasu chłopców zabrano już z piwnicy) — pomyśleć tylko, że mogło wylecieć mi z głowy, że furtka jest zaryglowana od wewnątrz przez wzgląd na te kochane dzieciątka! Proszę pana, niech pan wejdzie; niech pan wejdzie do środka, panie Bumble, proszę pana bardzo.

Chociaż zaproszeniu temu towarzyszył dyg, który mógł zmiękczyć serce członka rady kościelnej, nie ugłaskał on bynajmniej woźnego.

— Czy pani uważa to za godziwe i świadczące o należytych respekcie zachowanie, pani Mann — spytał pan Bumble zaciskając pięść na swej lasce — żeby trzymać pod furtką urzędników gminy, kiedy przychodzą do pani w interesie gminy, w sprawie gminnych sierot? Czy pani zdaje sobie sprawę, że pani jest, można powiedzieć, uosobieniem gminy i jej funkcjonariuszką?

— Zapewniam pana, panie Bumble, że chciałam tylko powiedzieć tym dzieciątkom, które tak pana kochają, że to pan nadchodzi — odpowiedziała z wielką pokorą pani Mann.

Pan Bumble miał bardzo wysokie wyobrażenie o swych oratorskich zdolnościach i o swej ważności. Zademonstrował już pierwsze i podkreślił drugą. Teraz więc złągodniał.

— No, no, pani Mann — odparł spokojniejszym tonem. — Może tak i jest, jak pani mówi; może tak i jest. Prowadź mnie pani do domu, bo przychodzę w interesie i mam pani coś do powiedzenia.

Pani Mann wpuściła woźnego do niewielkiej bawialni o podłodze z cegły. Wysunęła dla niego krzesło i ceremonialnie złożyła stosowany kapelusz i laskę na stole. Pan Bumble otarł z czoła pot wywołany marszem, spojrzął ze spokojną dumą na swój stosowany kapelusz i uśmiechnął się. Tak, uśmiechnął się. Woźni są tylko ludźmi i pan Bumble uśmiechnął się.

— A teraz niechże się pan nie obraża za to, co powiem — zauważyła pani Mann z ujmującą słodyczą.

— Jest pan po długim marszu, inaczej nie wspomniałabym o tym. Chce się pan napić kropelkę czegoś, panie Bumble?

— Ani kropli. Ani kropelki — rzekł pan Bumble machając ręką z godnością, lecz niezbyt energicznie.

— A ja myślę, że owszem — odrzekła pani Mann, która zwróciła uwagę na ton odmowy i towarzyszący jej gest. — Tylko tycią kropelczkę, z odrobiną zimnej wody i kawałkiem cukru.

Pan Bumble zakaszłał.

— No, tylko tyciusienką kropelczkę — ciągnęła pani Mann przekonywująco.

— A co to jest? — spytał woźny.

— Ależ to, czego muszę trochę w domu trzymać, żeby dolewać do miksturki tym najmilszym dzieciątkom, kiedy są chore, panie Bumble — odparła pani Mann otwierając stojący w rogu kredens i wyjmując zeń butelkę i szklankę. — To gin. Nie oszukam pana, panie Bumble. To gin.

— Daje pani dzieciom miksturkę, pani Mann? — spyta! Bumble śledząc oczami interesujący proces mieszania.

— Ach, niech je Pan Bóg błogosławi, daję im, daję, choć to takie drogie — odrzekła opiekunka. — Nie mogłabym patrzeć, jak cierpią na moich oczach, wie pan o tym dobrze, proszę pana.

— Nie — rzekł pan Bumble tonem aprobaty — rzeczywiście, nie mogłaby pani. Ludzka z pani kobieta, pani Mann. — (Przy tych słowach postawiła przed nim szklankę.) — Skorzystam z pierwszej okazji, żeby wspomnieć o tym zarządowi. — (Przysunął szklankę do siebie.) — Ma pani serce matki, pani Mann. — (Zamieszał napój.) — Z przyjemnością, z przyjemnością piję pani zdrowie, pani Mann — i wypił połowę zawartości szklanki.

— A teraz interesy — rzekł woźny wyjmując skórzany portfel. — To pół ochrzczone dziecko, Oliwer Twist, skończyło dziś dziewięć lat.

— Niech go Pan Bóg błogosławi! — wtrąciła pani Mann pocierając do czerwoności lewe oko rogiem fartucha.

— I pomimo zaofiarowanej nagrody dziesięciu funtów, następnie zwiększonej do dwudziestu funtów, pomimo największych i można powiedzieć, nadludzkich wysiłków ze strony naszej gminy — rzekł Bumble — nie zdołaliśmy się nigdy dowiedzieć, kto był jego ojcem, ani jakie było pochodzenie, nazwisko i sta... stanowisko jego matki.

Pani Mann wzniosła ręce w zadziwieniu, ale po chwili namysłu spytała:

— Więc jak to się stało, że on ma w ogóle jakieś nazwisko? Woźny wyprostował się na krześle z wielką dumą i powiedział:

— Ja je wymyśliłem.

— Pan, panie Bumble!

— Ja, pani Mann. Nazywamy nasze znajdy według alfabetu. Poprzedni był na S — nazwałem go Swubble. Ten był na T — nazwałem go Twist. Następny będzie Unwin, a jeszcze następny Vilkins. Mam naszykowane nazwiska do końca alfabetu i — kiedy dojdziemy do Z — jeszcze raz przez cały alfabet.

— Ależ to z pana cały literat! — powiedziała pani Mann. — No, no, no — rzekł woźny, najwidoczniej mile połączony

komplementem — może i tak, pani Mann, może i tak. — Wychylił resztę ginu z wodą i dodał: — Ponieważ Oliwer jest już za duży, żeby tu pozostać, więc zarząd zdecydował zabrać go z powrotem do przytułku. Przyszedłem sam, żeby go zabrać. Proszę mi go więc natychmiast sprowadzić.

— Zaraz to zrobię — rzekła pani Mann i wyszła w tym celu z pokoju. Po chwili Oliwer, z którego twarzy i rąk zdjęto tymczasem tyle zewnętrznej powłoki brudu, ile dało się zeszkrobać przy jednym myciu, pojawił się, prowadzony za rękę przez swą zycziwą opiekunkę.

— Ukłoń się panu, Oliwerze — rzekła pani Mann.

Oliwer spełnił polecenie, dzieląc ukłon pomiędzy woźnego siedzącego na krześle a leżący na stole stosowany kapelus.

— Pójdiesz ze mną, Oliwerze? — spytał pan Bumble majestatycznym głosem.

Oliwer już miał odrzec, że z największą chęcią pójdzie stąd z kimkolwiek, gdy podnosząc wzrok ujrzał panią Mann, która stanęła za krzesłem woźnego i groziła pięścią z wyrazem wściekłości na twarzy. Natychmiast pojął, o co chodzi, gdyż pięść owa zbyt często spadała na jego ciało, by wspomnienie jej nie utkwiło głęboko w pamięci chłopca.

— A czy ona pójdzie ze mną? — zapytał biedny Oliwer.

— Nie, ona nie może — odrzekł pan Bumble. — Ale będzie czasem przychodziła cię odwiedzać. Nie było to dla dziecka wielką pociechą. Choć mały, miał jednakże dość rozumu, by udać wielki żal na wiadomość, że ma odejść. Nie trudno było chłopcu przywołać łzy do oczu. Głód i niedawno doznane krzywdy są wielką pomocą, jeśli chce się płakać, toteż Oliwer rozplakał się doprawdy bardzo naturalnie. Pani Mann obdarzyła go tysiącem uścisków i — czego Oliwer potrzebował znacznie bardziej — kromką chleba z masłem, w obawie, by przybywając do przytułku nie wydał się zbyt głodny. Z kawałkiem chleba w rękę i gminną czapkę z brunatnego sukna na głowie, Oliwer wyruszył tedy pod przewodnictwem pana Bumble z nieszczęsnego domu, w którym ani jedno dobre słowo czy spojrzenie nie rozświetliło nigdy po-nurego smutku jego dziecięcych lat. A jednak gdy furtka zamknęła się za nim, wybuchnął szlochem dzieciniego żalu. Jakkolwiek niewiele warci byli mali towarzysze niedoli, których pozostawiał za sobą, przecież byli to jedyni jego przyjaciele, i po raz pierwszy w sercu dziecka zrodziło się poczucie, jak bardzo jest samotne na wielkim, szerokim świecie. Pan Bumble szedł naprzód wielkimi krokami. Mały Oliwer trzymał się mocno jego złościście szamerowanego mankietu i dreptał obok niego, pytając co ćwierć mili, czy są już „prawie na miejscu”. Na te pytania pan Bumble odpowiadał bardzo krótko i burkliwie, gdyż chwilowy dobry humor, który mieszanina ginu z wodą wzbudza w niektórych sercach, ulotnił się i pan Bumble był już znowu woźnym.

Oliwer przebywał w murach przytułku zaledwie kwadrans i zdążył właśnie połknąć drugi kawałek chleba, gdy wrócił pan Bumble, który oddał go był pod opiekę jakiejś starej kobiety. Powiedział, że dziś zbiera się zarząd i że ów zarząd nakazuje mu natychmiast stawić się przed sobą.

Nie mając ściśle określonego pojęcia o tym, co to jest żywy zarząd Oliwer zdumiał się nieco tą wiadomością i nie bardzo wiedział, czy powinien śmiać się, czy płakać. Nie miał jednak czasu

rozmyślać nad tym zagadnieniem, bowiem pan Bumble uderzył go laską po głowie, aby go rozbudzić, a drugi raz po plecach, żeby go rozruszać, po czym kazał mu iść za sobą i zaprowadził go do dużego wybielonego pokoju, w którym siedziało wokoło stołu ośmiu czy dziesięciu tłustych panów. Na przyznanym miejscu, w fotelu nieco wyższym od pozostałych, siedział szczególnie gruby pan o okrągłej, bardzo czerwonej twarzy.

— Ukłoń się zarządowi — rzekł Bumble. Oliwer starł parę łez, które wisały jeszcze na jego rzęsach, i nie widząc żadnej deski prócz stołu szczęśliwie uklonił się temu ostatniemu.

— Jak się nazywasz, chłopcze? — zapytał pan w wysokim fotelu.

Oliwer przestraszył się na widok tylu panów; strach ten przyprawił go o drżenie, a woźny uderzył go jeszcze raz w plecy, co przyprawiło go o płacz. Dwie te przyczyny spowodowały, że odpowiedział bardzo cichym i zaleknionym głosem, na co pewien pan w białej kamizelce orzekł, że chłopiec jest głupi. Był to znakomity sposób podniesienia go na duchu i ośmielenia go

— Chłopcze — rzekł pan w wysokim fotelu — posłuchaj mnie. Przypuszczam, że wiesz, iż jesteś sierotą?

— A co to takiego jest, proszę pana? — zapytał biedny Oliwer.

— Ten chłopak naprawdę jest głupi; tak mi się też od razu zdawało — powiedział pan w białej kamizelce.

— Cicho! — rzekł ten pan, który odezwał się pierwszy. — Wiesz, że nie masz ojca ani matki i że wychowała cię gmina, prawda?

— Tak, proszę pana — odparł Oliwer płacząc gorzko.

— Czego płaczesz? — spytał pan w białej kamizelce. I rzeczywiście bardzo to było niezwykle. Dlaczegoż ten chłopiec mógł płakać?

— Mam nadzieję, że odmawiasz pacierz co wieczór — rzekł jeszcze inny pan ochryłym głosem — i jak przystało na chrześcijanina, modlisz się za tych, którzy cię żywią i opiekują się tobą.

— Tak, proszę pana — wyjąkał chłopiec. Pan, który przemówił ostatni, miał nieświadomie rację.

Oliwer byłby naprawdę chrześcijaninem, i to wyjątkowo dobrym chrześcijaninem, gdyby się modlił za tych, którzy go żywili i darzyli swą opieką. Ale nie modlił się, ponieważ nikt go tego nie nauczył.

— No, więc przybyłeś tu, żeby otrzymać wykształcenie i nauczyć się pożytecznego rzemiosła — rzekł rumiany pan w wysokim fotelu.

— I zaczniesz jutro o szóstej rano skubać pakuły — dodał ten ponury w białej kamizelce.

Za oba te dobrodziejstwa, zespolone w jednym prostym procesie skubania pakuł, Oliwer według wskazówki woźnego podziękował niskim ukłonem, po czym zapędzono go do dużej sypialnej sali, gdzie na twardym, nieprzytulnym łóżku póty gorzko płakał, aż usnął. Cóż za szlachetna ilustracja dobrotliwych praw angielskich! Pozwalają nędzarzowi usnąć!

Biedny Oliwer! Ani się domyślał leżąc uspiiony w błogiej nieświadomości wszystkiego, co go otaczało, że tegoż dnia zarząd powziął decyzję, która miała wywrzeć zasadniczy wpływ na dalsze jego losy. Tak jednak było. A oto ona:

Członkowie zarządu byli to bardzo mądrzy, głębocy filozofowie i kiedy skierowali swą uwagę na przytułek, odkryli natychmiast coś, czego zwykli ludzie nigdy by nie dostrzegli — oto nędzarzom było w nim dobrze! Było to zgoła miejsce publicznej rozrywki dla biedniejszych klas społecznych; gospoda, w której nic nie trzeba było płacić; śniadanie, obiad, podwieczorek i kolacja za publiczne pieniądze przez cały okrągły rok; istny raj, w którym można było nieustannie się bawić i nic nie robić. — Oho! — rzekł zarząd z bardzo mądrą miną — już my tu zrobimy porządek; raz dwa położymy kres temu wszystkiemu. — Wprowadzili więc zasadę, że wszystkim nędzarzom należy dać wybór (zmuszać bowiem nikogo nie będą, broń Boże!) pomiędzy stopniową śmiercią głodową w przytułku a szybką — poza jego murami. W tym celu zawarli umowę z zakładami wodociagowymi o nieograniczoną dostawę wody, a z kupcem zbożowym o dostarczanie od czasu do czasu niewielkiej ilości płatków owsianych i jęli wydawać trzy razy dziennie posiłki z cienkiego kleiku. Dwa razy na tydzień dodawano po jednej cebuli, a w niedzielę — pół bułki. Ustanowili też wiele innych mądrych i humanitarnych przepisów odnośnie dam, których tu przytaczać nie potrzeba. Podjęli się łaskawie rozwodzenia nędzarzy żyjących w związku małżeńskim a to przez wzgląd na wielkie koszty rozprawy sądowej w Kolegium Doktorów. Zamiast więc zmuszać mężczyznę do utrzymywania rodziny, jak to robili dotychczas, rodzinę mu zabierali i czynili zeń kawalera! Trudno przewidzieć, ilu kandydatów do opieki społecznej mogło się zacząć zgłaszać ze wszystkich klas społecznych z uwagi na te dwa ostatnie zarządzenia, gdyby warunkiem do korzystania z nich nie był przytułek. Ale członkowie zarządu mieli głowy nie od parady i przewidzieli tę okoliczność. Opieka społeczna była nierozdzielnie związana z przytułkiem i kleikiem, a to odstraszało ludzi.

W ciągu sześciu pierwszych miesięcy po przeniesieniu Oliwera system ten znajdował się w pełnym rozkwicie. Z początku okazał się nader kosztowny z uwagi na coraz większą ilość rachunków wystawianych przez przedsiębiorcę pogrzebowego oraz na konieczność zwięzania wszystkim nędzarzom ubrań, któ-re po paru tygodniach kleiku trzepotały luźno na ich wynędzniałych,

pochudłych postaciach. Ale równocześnie ze szczupieniem nędzarzy szczupiała również liczba mieszkańców przytułku, toteż zarząd nie posiadał się z radości. Izba, w której dawano jeść chłopcom, była to duża kamienna sala z kotłem w jednym końcu, z którego to kotła w godzinach posiłku kierownik zakładu, przyodziany do tego celu w fartuch, z pomocą jednej lub dwu kobiet wydzielał chochlą kleik. Znakomitej tej strawy każdy chłopiec otrzymywał jedną miseczkę, nie więcej — oprócz dni wielkich świąt publicznych, kiedy to dostawał jeszcze dwie i ćwierć uncji chleba. Naczyń myć nigdy nie było trzeba. Chłopcy wyskrobywali je łyżkami aż do połysku, a skończywszy tę operację (która nigdy zbyt długo nie trwała, ponieważ naczynia były prawie tej samej wielkości co łyżki) siedzieli wpatrzni w kocioł tak głodnymi oczyma, jakby chcieli pożreć same cegły, którymi był obmurowany. Jednocześnie pracowicie obsysali sobie palce, chcąc zlizać każdą kropelkę kleiku, która przypadkiem mogła na nie upaść. Chłopcy mają przeważnie doskonały apetyt. Oliwer Twist i jego towarzysze przez trzy miesiące cierpieli męki powolnego zagłodzenia. W końcu stali się pod wpływem głodu tak żarłoczni i zdziczali, że jeden chłopiec, duży na swój wiek i nieprzyzwyczajony do takiego wikt (ojciec jego prowadził kiedyś małą garkuchnię), napomknął złowieszczo towarzyszom, że jeśli nie dostanie jeszcze jednej miski kleiku *per diem*, nie ręczy, czy którejs nocy nie zje chłopca, który spał obok niego i — tak się akurat składało — był słabowitym, małym jeszcze dzieckiem. Wzrok jego, gdy to mówił, był dziki i zgłodniały, toteż uwierzyli mu bez zastrzeżeń. Urządzono naradę; rzucono losy, kto ma tegoż wieczoru podejść po kolacji do kierownika i poprosić o więcej. Los padł na Oliwera Twista.

Wieczór nadszedł i chłopcy zajęli miejsca. Kierownik w swym uniformie kucharza zajął miejsce przy kotle; jego pomocniczenędzarki stanęły za nim; wydzielono kleik i przed krótkim posiłkiem odmówiono długą modlitwę. Kleik zniknął; chłopcy poszeptali między sobą i zaczęli mrugać na Oliwera, a najbliżsi jego sąsiedzi zaczęli go poszturchiwać. Oliwer był jeszcze dzieckiem, ale — doprowadzony głodem do ostateczności — był tak nieszczęśliwy, że nie dbał już o nic. Wstał od stołu, podszedł z mi-ską i łyżką w ręce do kierownika i rzekł, nieco przerażony własnym zuchwalstwem: — Proszę pana, ja proszę więcej.

Kierownik był zdrowym, tęgim mężczyzną, lecz zrobił się bardzo błądy. Przez parę sekund, osłupiały ze zdumienia, wytrzeszczał oczy na małego buntownika, potem — dla utrzymania równowagi — całym ciężarem oparł się o kocioł. Pomocnice zdretniały z zadziwienia, a chłopcy ze strachu.

— Co?! — wykrztusił wreszcie kierownik słabym głosem.

— Proszę pana — powtórzył Oliwer — ja proszę więcej. Kierownik uderzył Oliwera w głowę chochlą, chwycił go za

ramiona jak w kleszcze i wrzasnął z całych sił, wzywając woźnego.

Zarząd odbywał właśnie uroczyste *conclave*, kiedy wbiegł do pokoju ogromnie wzburzony pan Bumble i powiedział zwracając się do pana w wysokim fotelu:

— Panie Limbkins, przepraszam wielmożnego pana. Oliwer Twist poprosił o więcej!

Nastąpiło ogólne poruszenie. Zgroza odmalowała się na wszystkich obliczach.

— O więcej! — rzekł pan Limbkins. — Uspokój się pan, Bumble, i odpowiedz mi wyraźnie. Czy mam rozumieć, że poprosił o więcej zjadłszy kolację wyznaczoną mu według receptury?

— Tak jest, wielmożny panie.

— Ten chłopak będzie wisiał — rzekł pan w białej kamizelce. — Już ja wiem, że ten chłopak będzie kiedyś wisiał!

Nikt nie sprzeciwił się tej proroczej opinii. Wszczęto ożywioną dyskusję. Wydano nakaz natychmiastowego zamknięcia Oliwera; a następnego ranka przylepiono na branie ogłoszenie oferujące nagrodę w wysokości pięciu funtów temu, kto zechce uwolnić gminę od Oliwera Twista. Innymi słowy, proponowano pięć funtów oraz Oliwera Twista każdemu mężczyźnie czy kobiecie, którzy by potrzebowali terminatora do jakiegokolwiek zajęcia, rzemiosła czy zawodu.

— Nigdy w życiu o niczym nie byłem tak przekonany — rzekł pan w białej kamizelce, kiedy następnego ranka stukając do bramy przeczytał ogłoszenie — nigdy w życiu o niczym nie byłem tak przekonany, jak o tym, że ten chłopak będzie

kiedyś wisiał. Ponieważ zamierzam w dalszym ciągu wykazać, czy pan w białej kamizelce miał słusność, czy się mylił, więc może osłabiłbym zainteresowanie niniejszą opowieścią (jeśli je ona w ogóle budzi), mówiąc już teraz, czy życie Oliwera Twista doczekało się takiego gwałtownego końca, czy też nie.

ROZDZIAŁ TRZECI

OPOWIADA, JAK OLIVER TWIST OMAL NIE DOSTAŁ ZAJĘCIA, KTÓRE NIE BYŁOBY SYNEKURĄ

Przez tydzień od chwili bezbożnej i świętokradczej zbrodni, jaką popełnił upominając się o więcej, Oliwer pozostawał uwięziony w ciemnym i pustym pokoju, w którym go zamknięto z mądrego i

łaskawego rozkazu zarządu. Na pierwszy rzut oka zdawać by się mogło całkiem rozsądnym przypuszczenie, że gdyby żywił należyty szacunek dla przepowiedni pana w białej kamizelce, raz na zawsze wsławiłby go jako proroka, przywiązując jeden koniec swej chustki do nosa do haka w ścianie, a do drugiego końca przymocowując własną osobę. Czynowi temu wszakże stanął na przeszkodzie pewien fakt, a mianowicie, że ponieważ chustki są niewątpliwie artykułem zbytku, nosy nędzarzy zostały ich pozbawione po wszystkie czasy na mocy specjalnego rozkazu wydanego uroczyście i opatrzonego własnoręcznymi podpisami oraz pieczęciami przez obradujący zarząd. Jeszcze większą przeszkodą była młodość Oliwera i jego dziecinne usposobienie. Płakał więc tylko gorzko przez dzień cały, a kiedy nastąpiła długa, posępna noc, zasłonił sobie oczy rączkami, by ukryć się przed ciemnością, i skuliwszy się w kącie, próbował zasnąć. Budził się jednak ciągle, zrywał z drzeniem i przytulał coraz bliżej do ściany, jak gdyby dotknięcie nawet tej zimnej, twardej powierzchni było mu ochroną w tym ponurym, pustym miejscu.

Niechże wrogowie „systemu” nie przypuszczają ani na chwilę, że w okresie samotnego uwięzienia pozbawiono Oliwera zdrowego ruchu, przyjemnego towarzystwa i zbawiennych pociech religijnych. Jeśli chodzi o ruch, pogoda była rozkosznie zimna i co rano pozwalano mu dokonać ablucji pod pompą na kamiennym podwórku w obecności pana Bumble, który częstym użyciem łaski chronił go przed przeziębieniem i sprawiał, że ciało jego przenikał przejmujący dreszcz. Co się tyczy towarzystwa, co drugi dzień sprowadzano go do sali, w której chłopcy spożywali posiłki, i tam chłostano publicznie dla powszechnej przestrogi i przykładu. A pociechy religijnej nie tylko go nie pozbawiono, lecz przeciwnie, co wieczór w porze pacierza wpędzano go przy pomocy kopniaków do tejże sali, gdzie wolno mu było wysłuchać — gwoli pociechy — wspólnej modlitwy chłopców. Do modlitwy tej z woli zarządu włączono specjalny dodatek, w którym chłopcy błagali o to, by Bóg uczynił ich dobrymi, cnotliwymi, zadowolonymi z losu i posłusznymi tudzież ustrzegł ich przed grzechami i występkami Oliwera Twista. Z tekstu modlitwy okazywało się jasno, że Oliwer cieszy się szczególną protekcją i opieką nieczystych mocy i jest towarem pochodzącym wprost z diabelskiej manufaktury.

Zdarzyło się pewnego ranka, podczas gdy sprawy Oliwera znajdowały się w tym miłym, rokującym najlepsze nadzieje stanie, że pan Gamfield, kominiarz, szedł sobie główną ulicą, rozmyślając głęboko nad sposobami i możliwościami spłacenia pewnych zaległości komornego, o które gospodarz dość natarczywie się ostatnio upominał. Nawet przy najróżowszej ocenie swej sytuacji finansowej pan Gamfield zmuszony był stwierdzić, że do potrzebnej sumy brakuje mu całych pięciu funtów. Wpadłszy w pewnego rodzaju arytmetyczną rozpacz, na przemian to łamał sobie głowę, to walił swego osła, gdy wtem, mijając przytułek, zauważył ogłoszenie na bramie.

— Prrr! — zawołał pan Gamfield na osła. Osioł znajdował się w stanie całkowitego oderwania od rzeczywistości; zastanawiał się prawdopodobnie, czy po pozbyciu się z wózka ładunku w postaci dwóch worków sadzy, dane mu będzie uraczyć się paroma głębami kapusty, toteż nie zwracając uwagi na rozkaz pana, poczłapał dalej.

Pan Gamfield wymamrotał grube przekleństwo pod adresem osła w ogóle, a jego oczu w szczególności, i pobiegszy za nim wymierzył mu w głowę cios, którym byłby niewątpliwie rozwaliał każdą czaszkę prócz osłej. Następnie schwyił za uzdę i mocno szarpnął osła za szczękę, by mu delikatnie przypomnieć, że nie jest sam sobie panem; i tymi to sposobami zmusił go do zawrócenia. Potem zdzielił go raz jeszcze po łbie, ot, po to tylko, żeby go ogłuszyć do chwili swego powrotu, i zakończywszy te czynności podszedł do bramy, chcąc przeczytać ogłoszenie.

Pan w białej kamizelce, założywszy ręce do tyłu, stał właśnie przy bramie. Przed chwilą w sali zebrań zarządu wyraził cały szereg głębokich poglądów. Teraz, zauważywszy małe nieporozumienie między panem Gamfieldem a osłem, uśmiechnął się ra-dośnie, gdy ten pierwszy podszedł przeczytać ogłoszenie, bowiem zorientował się od razu, że pan Gamfield był właśnie takim pracodawcą, jakiego trzeba było dla Oliwera Twista. Pan Gamfield uśmiechał się również, czytając pilnie ogłoszenie, gdyż pięć funtów była to właśnie owa upragniona przezeń suma, a co do chłopca, którym była obciążona, to pan Gamfield, znając recepturę, posiłków w przytułku, był pewien, że będzie to dobry, mały wymiar, w sam raz do wąskich kominów. Toteż przesyłabizował raz jeszcze ogłoszenie od początku do końca, po czym dotykając futrzanej czapki na znak pokory, zaczeplił pana w białej kamizelce.

— Ja o tego chłopca, proszę pana, co to go gmina chce oddać do terminu — rzekł pan Gamfield.

— A tak, mój człowieku — powiedział z łaskawym uśmiechem pan w białej kamizelce. — No i cóż o tym powiecie?

— Jeżeli gmina chciałaby, żeby się nauczył dobrego, przyjemnego fachu w porządnej kominiarskiej firmie — odrzekł pan Gamfield — to ja potrzebuję terminatora i mogę go wziąć.

— Wejdźcie do środka — rzekł pan w białej kamizelce. Pan Gamfield pozostał chwilę przed progiem, by raz jeszcze zdzielić osła po łbie i raz jeszcze szarpnąć go za szczękę dla przestrogi, aby zwierzę nie uciekło w czasie jego nieobecności, po czym udał się za panem w białej kamizelce do pokoju, w którym Oliwer Twist zobaczył tego ostatniego po raz pierwszy.

— To paskudny fach — powiedział pan Limbkins, gdy Gamfield ponownie wyraził swoje życzenie.

— Zdarzało się już nieraz, że mali chłopcy dusili się w kominach — rzekł inny pan.

— To przez to, że się podpala w kominie wilgotną słomą, jak się chce sprowadzić ich z powrotem na dół — odparł pan Gamfield. — Z tego jest tylko sam dym, nic żaru, a dym jest do niczego, jak się chce sprowadzić chłopaka na dół, bo go tylko usypia, a chłopakowi w to graj. Chłopaki są strasznie uparte i straszne leniuchy, wielmożni panowie, i nie ma to, jak dobry, gorący żar, żeby ich raz-dwa-trzy sprowadzić na dół. I ludzkie to też jest, wielmożni panowie, bo jeżeli wypadkiem utknęli w kominie, to jak im się stopy podpieką, lepiej starają się wydostać.

Pan w białej kamizelce zdawał się ogromnie ubawiony tym wyjaśnieniem, lecz spojrzenie pana Limbkinsa szybko uśmierzyło jego wesołość. Następnie cały zarząd jął przez parę minut naradzać się między sobą, ale tak cicho, że usłyszeć było można tylko słowa „zaoszczędzenie wydatków”, „dobrze rozejrzeć się w rachunkach” i „kazać ogłosić drukiem sprawozdanie”. A i te tylko dlatego przypadkiem słyszeć się dały, że powtarzano je bardzo często i z wielkim naciskiem.

Na koniec szeptu ustały, członkowie zarządu wrócili do swych foteli i uroczystej powagi, a pan Limbkins powiedział:

— Rozważyliśmy waszą propozycję i nie zgadzamy się na nią.

— Absolutnie — potwierdził pan w białej kamizelce.

— Stanowczo nie — dorzucili inni członkowie.

Ponieważ tak się składało, że o panu Gamfieldzie chodziły rzeczywiście głuchy, iż zatłukł już na śmierć trzech czy czterech chłopców, przyszło mu do głowy, że może zarząd, wiedziony jakimś niewytłumaczonym kaprysem, pozwolił tej nie mającej nic do rzeczy okoliczności wpłynąć na swoją decyzję. Jeśli tak, byłoby to bardzo niepodobne do ogólnie przezeń przyjętej procedury załatwiania interesów, ale ponieważ panu Gamfieldowi nie zależało specjalnie na wznowieniu tych pogłosek, zmiął czapkę w rękach i powoli oddalił się od stołu.

— Więc nie dacie mi go, wielmożni panowie? — spytał zatrzymując się przy drzwiach.

— Nie — odparł pan Limbkins — a przynajmniej, z uwagi na to, że to taki paskudny fach, sądzimy, żeście powinni otrzymać coś niecoś mniej niż nagrodę, którąśmy ofiarowali.

Oblicze pana Gamfielda rozjaśniło się. Szybkim krokiem wrócił do stołu i powiedział:

— A co dacie, panowie? No? Nie bądźcie tacy zawzięci na biednego człowieka. Ile dacie?

— Według mnie, trzy funty i dziesięć szylingów byłoby aż nadto — rzekł pan Limbkins.

— O dziesięć szylingów za dużo — rzekł pan w białej kamizelce.

— Panowie! — nalegał Gamfield — powiedzcie cztery funty. Cztery funty i pozbędziecie się go raz na zawsze. No?!

— Trzy funty i dziesięć szylingów — powtórzył pan Limbkins stanowczo.

— Podzielcież różnicę na połowę, wielmożni panowie — na-stawał Gamfield. — Trzy funty piętnaście.

— Ani pensa więcej — brzmiała stanowcza odpowiedź pana Limbkinsa.

— Strasznie zawzięliście się na mnie, wielmożni panowie — rzekł Gamfield z wahaniem.

— Ech, ech! głupstwo! — powiedział pan w białej kamizelce. — I bez żadnej nagrody tanio by wam wypadło. Biercież go, głupi człowieku! To w sam raz dla was chłopak. Przyda mu się kij od czasu do czasu; dobrze mu to robi, a jego wikt niepowinien was dużo kosztować, bo nie przejadał się od urodzenia. Ha, ha, ha!

Pan Gamfield rozejrzał się chytrze po twarzach otaczających stół, a widząc na wszystkich uśmiechy, powoli sam wykrzywił usta w uśmiechu. Dobito targu. Powiadomiono natychmiast pana Bumble, że tegoż popołudnia należy Oliwera oraz jego dokumenty dostarczyć urzędnikowi sądowemu, który musi przejrzeć i podpisać kontrakt.

W następstwie tego postanowienia małego Oliwera ku wielkiemu jego zdziwieniu wypuszczono z zamknięcia i kazano mu włożyć czystą koszulę. Ledwo zdążył wykonać to zupełnie niezwykle ćwiczenie gimnastyczne, kiedy pan Bumble przyniósł mu własnoręcznie miskę kaszy i świąteczny przydział chleba: dwie i ćwierć uncji. Na widok tych wspaniałości Oliwer zaczął bardzo żałośnie płakać, myślał bowiem — co było dość naturalne — że zarząd najwidoczniej postanowił zabić go w jakimś pożytecznym celu. Inaczej nigdy nie zaczynaliby tak go tuczyć.

— Nie psuj sobie oczu bekiem, Oliwerze, tylko zjadaj i bądź wdzięczny — rzekł pan Bumble tonem imponująco pompatycznym. — Zrobi się z ciebie terminatora, Oliwerze.

— Terminatora, proszę pana! — powiedział chłopczyk drżąc całym.

— Tak, mój Oliwerze — rzekł pan Bumble. — Ci dobrzy, święci panowie, którzy wszyscy razem zastępują ci rodziców, skoro nie masz własnych, ci panowie oddają cię do terminu. Dadzą ci stanowisko w życiu i zrobią z ciebie człowieka, chociaż kosztuje to gminę trzy funty i dziesięć szylingów! Trzy i pół funta, Oliwerze! — siedemdziesiąt szylingów — sto czterdzieści sześciopiosówek! I to wszystko dla niegrzecznego sieroty, którego nikt nie może kochać.

Wygłosiwszy to przemówienie groźnym głosem, pan Bumble zatrzymał się dla zacerpnięcia tchu, a biednemu dziecku Izy jęły splotać się po twarzy i rozszło chał się gorzko.

— No, no — rzekł pan Bumble nieco mniej pompatycznie, gdyż czuł się mile polechtany efektem, który wywarła jego wy-
mowa. — No, no, Oliwerze! Wytrzymaj oczy mankietem kurtki i nie płacz sobie w kaszę. To bardzo głupio tak robić, Oliwerze. — Była to święta prawda, gdyż wody i bez tego było w kaszy dosyć. Po drodze do urzędnika pan Bumble pouczył Oliwera, że powinien tylko mieć bardzo uradowaną minę i kiedy ten pan spyta go, czy chce iść do terminu, odpowiedzieć, że ogromnie sobie tego życzy. Obu tym nakazom Oliwer obiecał być posłuszny, tym bardziej że pan Bumble dorzucił w formie delikatnego napomknienia, że jeśliby źle się spisał, to lepiej nie mówić o tym, co go czeka. Kiedy przybyli do urzędu, zamknięto go samego w małym pokoiku, a pan Bumble nakazał mu tam czekać, aż wróci po niego.

Tam też chłopiec czekał z bijącym sercem przez całe pół godziny. Po upływie tego czasu pan Bumble wsunął przez drzwi głowę, tym razem nie strojną w stosowany kapelusz, i powiedział głośno:

— No, Oliwerze, mój kochany, chodź teraz do pana. — Po tych słowach przybrał groźny wyraz twarzy i dodał po cichu: — Pamiętaj, co ci mówiłem, ty mały łotrze!

Oliwer, słysząc ten nieco sprzeczny styl obu wypowiedzi, naiwnie wytrzeszczył oczy, patrząc ze zdziwieniem na twarz pana Bumble, lecz ów zapobiegł wszelkim ustnym komentarzom ze strony chłopca, gdyż wyprowadził go natychmiast do przyległego pokoju, do którego drzwi były otwarte. Pokój był duży, z wielkim oknem. Za biurkiem siedziało dwu starych panów z upudrowanymi głowami. Jeden czytał gazetę, a drugi przy pomocy w szylkret oprawnych okularów studiował pilnie leżący przed nim niewielki arkusik pergaminu. Przy biurku po jednej stronie stał pan Limbkins, a po drugiej pan Gamfield z twarzą częściowo umytą. Prócz tego w pokoju znajdowało się jeszcze paru ludzi o rubasnym wyglądzie, odzianych w buty z cholewami.

Stary pan w okularach stopniowo zapadł w drzemkę nad skrawkiem pergaminu; pan Bumble ustawił Oliwera przed biurkiem, po czym nastąpiła krótka przerwa.

— To jest ten chłopiec, wasza dostojność — rzekł pan Bumble.

Stary pan czytający gazetę podniósł na chwilę głowę i pociągnął drugiego starego pana za rękaw, na co drugi stary pan ocknął się.

— A więc to jest ten chłopiec? — spytał stary pan.

— To on, proszę pana — odparł pan Rumble. — Ukłoń się panu urzędnikowi, mój drogi.

Oliwer poderwał się i ukłonił najpiękniej, jak umiał. Wlepiwszy oczy w pudrowane peruki urzędników zastanawiał się, czy każdy zarząd przychodzi na świat z czymś takim białym na głowie i dlatego właśnie zostaje zarządem.

— No cóż — rzekł stary pan. — Myślę, że podoba mu się czyszczenie kominów?

— Szalenie, wasza dostojność — odrzekł Bumble uszczypnąwszy ukradkiem Oliwera, by ten nie ważył się czasem zaprzeczyć.

— I chce być kominiarzem, tak? — zapytał stary pan.

— Gdybyśmy go mieli jutro zmusić do pracy w jakimkolwiek innym fachu, uciekłby w jednej chwili, wasza dostojność — odrzekł Bumble.

— A ten człowiek, który ma być jego majstrem — wy, mój panie — będziecie go traktować dobrze, żywić go i tam dalej, tak? — ciągnął stary pan.

— Kiedy mówię, że będę, to będę — odrzekł zuchwale pan Gamfield.

— Gburowato się wyrażacie, przyjacielu, ale wyglądacie na uczciwego, zacnego człowieka — powiedział stary pan zwracając okulary w kierunku kandydata do nagrody za wzięcie Oliwera.

Niegodziwe oblicze pana Gamfielda było tak pewną gwarancją okrucieństwa, jak pewną gwarancją jest należycie ostemplowany kwit. Ale urzędnik był na pół ślepy i na pół zdzieciniał, więc trudno było odeń wymagać, by zauważył to, co dla innych było jasne.

— Bo też taki jestem, wielmożny panie — rzekł pan Gamfield z brzydkim uśmiechem.

— Nie wątpię o tym, przyjacielu — odrzekł stary pan poprawiając na nosie okulary i rozglądając się za kałamarzem.

Była to w losach Oliwera krytyczna chwila. Gdyby kałamarz znajdował się tam, gdzie stary pan spodziewał się go znaleźć, byłby umoczył w nim pióro i podpisał kontrakt, a Oliwera szybko wyprowadzono by z pokoju. Ale ponieważ kałamarz stał akurat tuż pod jego nosem, staruszek oczywiście zaczął go szukać daremnie po całym biurku, a kiedy w trakcie swych poszukiwań spojrzął przypadkiem prosto przed siebie, spostrzegł bladą i wystraszoną twarz Oliwera, który mimo wszystkich karcących spojrzeń i szczypań Bumble'a wpatrywał się w odrażające oblicze swego przyszłego pana z wyrazem zgrozy i lęku zbyt widocznym, by nawet pół ślepy urzędnik mógł go nie zauważyć. Stary pan przerwał poszukiwania, położył pióro i spoglądał na przemian na Oliwera i na pana Limbkinsa, który usiłował zażywać tabakę z pogodną i niezmiśzaną miną.

— Moje dziecko! — rzekł stary pan przechylając się przez biurko. Na dźwięk tych słów Oliwer drgnął cały. Łatwo mu to można wybaczyć, gdyż powiedziane były z dobrocią, a nieznanne dźwięki zawsze wywołują przestraszonych. Zaczął drzeć gwałtownie i wybuchnął płaczem.

— Moje dziecko! — rzekł stary pan — wyglądasz blade i przerażony. Co ci jest?
— Odsuńcie się trochę od niego — rzekł drugi urzędnik do woźnego, odkładając gazetę i pochylając się naprzód z wyrazem zainteresowania. — No, chłopcze, powiedz nam, co ci jest. Nie bój się. Oliwer upadł na kolana i splótłszy dłonie błagał, by zamknęli go z powrotem w ciemnym pokoju, by go głodzili, bili, zabili, jeśli zechcą, byle mu nie kazali iść z tym okropnym człowiekiem.
— No wiecie państwo! — zawołał pan Bumble wznosząc ręce i oczy ku górze z imponującym dostojnictwem. — Ze wszystkich przewrotnych i podłych sierot, jakie kiedykolwiek widziałem, Oliwerze, ty jesteś naj-bez-wstyd-niej-szy.
— Cicho bądźcie, proszę — rzekł do woźnego drugi stary pan, gdy pan Bumble uporał się z tym trudnym słowem.
— Przepraszam, wasza dostojność — rzekł pan Bumble nie dowierzając własnym uszom. — Czy wasza dostojność zwracał się do mnie?
— Tak. Bądźcie cicho.
Pan Bumble osłupiał ze zdumienia. Woźny, któremu każą być cicho! Toż to rewolucja obyczajowa! Stary pan w szybkretowych okularach spojrział na towarzysza. Kiwnął głową znacząco.
— Odmawiamy podpisania tego kontraktu — rzekł stary pan i odrzucił na bok arkusz pergaminu.
— Mam nadzieję — wyjąkał pan Limbkins — mam nadzieję, że panowie urzędnicy na podstawie niczym nie popartych słów małego dziecka nie nabędą przekonania, że władze przytułku w czymkolwiek postąpiły niewłaściwie.
— Panowie urzędnicy nie są powołani do wyrażania jakiegokolwiek opinii w tym względzie — rzekł drugi stary pan ostro. — Zabierzcie chłopca z powrotem do przytułku i bądźcie dobrzy dla niego. Wygląda, jakby bardzo tego potrzebował.
Tegoż wieczoru pan w białej kamizelce z całym przekonaniem i stanowczością stwierdził, że Oliwer nie tylko skończy na szubienicy, ale w dodatku będzie włączony końmi i rozewiartowany. Pan Bumble potrząsał głową posepnie i tajemniczo i mówił, że życzy chłopcu, aby wybrał dobrą drogę; na co pan Gamfield odparł, że chciałby, aby ta droga zaprowadziła go do niego. Choć więc na ogół on i woźny zgadzali się we wszystkim, tym razem życzenia ich wydawały się zgoła rozbieżne.
Następnego ranka poinformowano raz jeszcze szeroki ogół, że Oliwer Twist jest znowu „do wynajęcia” i że pięć funtów wypłacone zostanie temu, kto zechce objąć go w posiadanie.

ROZDZIAŁ CZWARTY W KTÓRYM OLIVER OTRZYMAWSZY INNE ZAJĘCIE WSTĘPUJE NA ARENĘ ŻYCIA PUBLICZNEGO

Kiedy dorastający młodzian wielkiego rodu nie może w żaden sposób uzyskać korzystnego stanowiska ani przez posiadanie, ani przez dziedziczenie, ani przez zapis, ani nawet nie może się go spodziewać w przyszłości — wówczas najczęściej wysyła się go na morze. Idąc za tak mądrym i zbawiennym przykładem zarząd przytułku jął obradować nad koniecznością załadowania Oliwera Twista na któryś mały statek handlowy wybierający się do jakiegoś dobrego, niezdrowego portu. Nasuwało się to jako najlepsza rzecz, którą można z nim było zrobić; istniało bowiem duże prawdopodobieństwo, że szyper zatłucze go na śmierć będąc któregoś dnia po obiedzie w żartobliwym nastroju lub też rozwali mu głowę żelazną sztabą; obie te czynności stanowią bowiem, jak dość powszechnie wiadomo, wielce ulubioną i często uprawianą rozrywkę dżentelmenów tego zawodu. Im głębiej zarząd rozważał sprawę w tym świetle, tym więcej różnorakich korzyści zdawało się wiązać z takim krokiem. Członkowie zarządu przyszli tedy do wniosku, że jedynym sposobem skutecznego zabezpieczenia losu Olivera było niezwłoczne wysłanie go na morze.

Polecono panu Bumble, aby zebrał różne wstępne informacje mające na celu wynalezienie jakiegoś kapitana, który by potrzebował chłopca okrętowego nie posiadającego rodziny ani przyjaciół. Pan Bumble wracał właśnie do przytułku, by zakomunikować zarządowi o wynikach swej misji, gdy przy bramie spotkał ni mniej, ni więcej tylko pana Sowerberry, przedsiębiorcę pogrzebowego na usługach gminy.

Pan Sowerberry był to mężczyzna wysoki, kościsty, o wielkich kończynach, odziany w czarny wyświechtany garnitur, pocerowane skarpetki tejże barwy i odpowiednio dobrane buty. Natura nie przeznaczyła jego rysów do tego, by gościł na nich pogodny wyraz, mimo to pan Sowerberry skłonny był na ogół do pewnej zawodowej żartobliwości. Podszedł sprężystym krokiem do pana Bumble, a kiedy serdecznie ścisnął mu rękę, na jego twarzy odbijało się wewnętrzne zadowolenie.

— Wziąłem miarę z tych dwóch kobiet, które umarły zeszłej nocy, panie Bumble — rzekł przedsiębiorca.

— Majątek pan zbijesz, panie Sowerberry — powiedział woźny wtykając kciuk i palec wskazujący do zaofiarowanej mu tabakierki przedsiębiorcy, która była misternym modelikiem standartowej trumny.

— Powiadam, że majątek pan zbijesz, panie Sowerberry — powtórzył pan Bumble klepiąc

przyjacielsko przedsiębiorcę pogrzebowego laską po ramieniu.

— Tak pan myśli? — rzekł przedsiębiorca tonem, który na pół potwierdzał, na pół zaś podawał w wątpliwość możliwość takiego faktu. — Ceny, które zarząd płaci, są bardzo niewielkie, panie Bumble. — I pańskie trumny także — odparł woźny wydając z siebie coś na tyle zbliżonego do śmiechu, na ile mogła pozwolić jego godność urzędowa.

Oczywiście pana Sowerberry ubawiło to ogromnie, wybuchnął też, jak należało, długim, nieprzerwanym śmiechem.

— No, no, panie Bumble — powiedział w końcu — nie można zaprzeczyć, że odkąd wprowadzono nowy system odżywiania, trumny są nieco węższe i płytsze niż dawniej, ale jakiś zysk mieć przecież trzeba. Dobrze wysuszone drzewo to kosztowny artykuł, a wszystkie żelazne uchwyty sprowadza się kanałem z Birmingham.

— No, no — powiedział pan Bumble — każdy fach ma swoje minusy. Uczciwy zysk jest oczywiście dopuszczalny.

— Oczywiście, oczywiście — odrzekł przedsiębiorca pogrzebowy — i jeżeli nie zarobię na tym czy owym poszczególnym artykule, odbijam to sobie na dalszą metę, rozumie pan — hi, hi, hi!

— Właśnie — potwierdził pan Bumble.

— Chociaż muszę powiedzieć — ciągnął dalej przedsiębiorca podejmując tok uwag, które woźny mu przerwał — chociaż muszę panu powiedzieć, panie Bumble, że zmuszony jestem walczyć z jedną bardzo poważną trudnością, tą mianowicie, że wszyscy otyli ludzie najprędzej umierają. Ludzie, którym się kiedyś lepiej wiodło, którzy przez długie lata byli płatnikami podatków — ci wykańczają się najpierwsi, kiedy się znajdują w przytułku. I powiem panu, panie Bumble, że te trzy czy cztery całe ponad zwykłą kalkulację robią ogromną wyrwę w zyskach, zwłaszcza kiedy się ma rodzinę na utrzymaniu, proszę pana.

Pan Sowerberry powiedział to z oburzeniem, jak przystało człowiekowi pokrzywdzonemu, a pan Bumble czując, że może to rzucić pewien cień na honor gminy, uznał za stosowne zmienić temat rozmowy. Ponieważ zaś umysł jego był zaprzątnięty sprawą Oliwera Twista, zwrócił rozmowę właśnie na ten przedmiot.

— Ale, ale — rzekł więc pan Bumble — nie wie pan czasem o kimś, komu byłby potrzebny chłopiec? Terminator, wychowanek gminy, który w tej chwili jest ciężarem, kamieniem, można powiedzieć, uwiązany u gminnej szyi. Warunki dobre, panie Sowerberry, warunki dobre! — Mówiąc te słowa pan Bumble wznosił laskę ku wiszącemu nad nim ogłoszeniu i z namaszczeniem uderzył trzykrotnie w wyrazy „pięć funtów”, wypisane drukowanymi literami gigantycznych rozmiarów.

— Dalibóg! — odparł przedsiębiorca ujmując pana Bumble za złotem lamowaną klapę jego urzędowego surduta. — Właśnie o tym chciałem z panem porozmawiać. Wie pan — ach, cóż to za elegancki guzik, panie Bumble! Nigdy go przedtem nie zauważyłem.

— Tak, mnie się też zdaje, że jest dosyć ładny — rzekł woźny spoglądając z dumą na wielkie mosiężne guzy zdobiące jego surdut. — Wzór jest taki sam jak na pieczęci gminy: Dobry Samarytanin ratujący chorego i pobitego człowieka. Zarząd podarował mi ten surdut w dzień Nowego Roku, panie Sowerberry. Włożyłem go po raz pierwszy, pamiętam, na śledztwo w sprawie tego zubożałego sklepikarza, który umarł pewnej nocy w jakiejś bramie.

— Przypominam sobie — rzekł przedsiębiorca. — Przysięgli zawyrokowali: „Zmarł na skutek zimna i braku tego, co niezbędne do życia”, prawda?

Pan Bumble kiwnął głową potakująco.

— I zrobili z tego specjalne orzeczenie, jak mi się zdaje — mówił dalej przedsiębiorca — dodając coś w tym sensie, że gdyby urzędnik opieki społecznej był...

— Ech! Bzdura! — przerwał woźny. — Gdyby zarząd zwracał uwagę na wszystkie głupstwa, które wygadują nieświadomi rzeczy przysięgli, miałby ręce pełne roboty.

— Święta prawda — rzekł przedsiębiorca — na pewno by tak było.

— Przysięgli — ciągnął pan Humble ściskając mocno laskę, jak to miał we zwyczaju, kiedy wpadał w pasję — przysięgli to ciemna, ordynarna, podła hołota.

— Tak jest — zgodził się przedsiębiorca pogrzebowy.

— Pojęcia o filozofii, o ekonomii politycznej mają, o, tyle! — rzekł woźny przytykając pogardliwie palcami.

— Ani odrobiny więcej — przytaknął przedsiębiorca.

— Pogardzam nimi — rzekł woźny czerwieniejąc na twarzy.

— I ja tak samo — powiedział przedsiębiorca.

— I chciałbym tylko, żeby tacy przysięgli z gatunku niezależnych pomieszkali w przytułku z tydzień albo ze dwa — rzekł woźny. — Przepisy i regulaminy zarządu wnet by przytarły im rogów.

— Z wszelką pewnością — odparł przedsiębiorca. Mówiąc to uśmiechnął się z aprobatą, by uśmierzyć rosnący gniew oburzonego funkcjonariusza gminy.

Pan Bumble uchylił stosowanego kapelusza, wydobyl z niego chustkę, otarł z czoła pot, którym zrosiła

je wściekłość, po czym nasadził z powrotem kapelusz i zwracając się do przedsiębiorcy pogrzebowego powiedział spokojniejszym głosem:

— No i cóż z tym chłopakiem?

— A! — odrzekł przedsiębiorca. — Wie pan, panie Bumble, ja płacę sporo podatku na ubogich.

— Hm! — rzekł pan Bumble. — No i co?

— No i — odparł przedsiębiorca — myślałem sobie, że jeśli tyle na nich płacę, mam prawo Wyciągnąć z nich, ile tylko mogę, i wobec tego, panie Bumble — wobec tego — zdaje mi się, że ja sam wezmę tego chłopaka.

Pan Bumble schwycił przedsiębiorcę za ramię i wprowadził go do wnętrza budynku. Pan Sowerberry konferował z zarządem przez pięć minut, w ciągu których postanowiono, że Oliwer ma tegoż wieczoru udać się do niego i pozostać tam „wedle woli”, które to wyrażenie w wypadku wychowanka gminy oddawanego do terminu oznacza, iż jeżeli pracodawca jego po krótkim okresie próbnym przekona się, że może wydobyć zeń dosyć pracy nie pakując weń zbyt wiele jedzenia — dostanie go na pewną liczbę lat, by robić z nim, co mu się będzie podobało.

Kiedy wieczorem zaprowadzono małego Oliwera przed oblicze „panów z zarządu”, kiedy powiedziano mu, że ma natychmiast udać się do trumniarza i zostać jego chłopcem do wszystkiego i że jeśliby się skarżył na swój los lub kiedykolwiek wrócił do gminy, wyślą go na morze, by się utopił albo zmarł pod kijami, zależnie od okoliczności — chłopiec objawił tak mało wzruszenia, że panowie jednogłośnie uznali go za zatwardziałego małego nicponia i kazali panu Bumble natychmiast go wyprowadzić.

Było rzeczą całkiem naturalną, że kto jak kto, ale panowie z zarządu musieli zapalać wielkim a cnotliwym oburzeniem i zgrozą, zauważwszy u kogokolwiek bądź najmniejszą oznakę nieczułości. Tym niemniej w tym szczególnym wypadku strzelili, jak to się mówi, kulą w płot. Rzecz miała się po prostu tak, że Oliwer, zamiast cierpieć na brak uczuć, miał ich nieco za wiele i był na najlepszej drodze do pozostania na całe życie w stanie zwierzęcego oglupienia i tępoty na skutek doznanych krzywd. Wysłuchał wiadomości o swym przyszłym losie w zupełnym milczeniu, a kiedy dano mu do ręki jego bagaż, który nie trudno było unieść, albowiem mieścił się cały w papierowym zawiniątku o rozmiarach pół stopy kwadratowej na trzy cale wysokości — nasunął czapeczkę na oczy i raz jeszcze uczepiwszy się mankietu pana Bumble dał się prowadzić temu dygnitarzowi na nowe miejsce udręki.

Przez jakiś czas pan Bumble ciągnął za sobą Oliwera nic nie mówiąc i nie zwracając nań uwagi.

Trzymał bowiem głowę bardzo prosto, jak na woźnego przystało, a że dzień był wietrzny, mały Oliwer zniknął całkiem w fałdach woźnińskiego płaszcza, które rozwiewały się ukazując w wielce efektowny sposób długopołą kamizelkę i tabaczkowe aksamitne hajdawery pana Bumble. Gdy wszakże zbliżyli się do miejsca przeznaczenia, woźny uznał za stosowne spojrzeć w dół i sprawdzić, czy chłopiec był w odpowiednim stanie, by pokazać się nowemu pracodawcy. Tak też uczynił z łaskawą protekcjonalnością, której okoliczności wymagały.

— Oliwerze! — rzekł pan Bumble.

— Słucham pana — odparł Oliwer cichym, drżącym głosem.

— Zesuń no tę czapkę z oczu i podnieś głowę do góry. Chociaż Oliwer posłuchał natychmiast rozkazu i szybkim

ruchem przesunął wierzchem niezajętej dłoni po oczach, przecież pozostała w nich łza, gdy podniósł wzrok na swego przewodnika. A kiedy pan Bumble wpatrzył się weń surowo, łza potoczyła się po policzku. Za nią poszła druga i jeszcze jedna. Chłopczyk zrobił wielki wysiłek, by się opanować, ale na próżno. Wysunął drogą rękę z dłoni pana Bumble, ukrył twarz w obydwóch i rozplakał się, aż łzy zaczęły spływać spomiędzy kościstych paluszków.

— No wiecie państwo! — wykrzyknął pan Bumble stając jak wryty i rzucając małemu podopiecznemu spojrzenie pełne stężonej złości. — No wiecie państwo! Ze wszystkich najniewdzięczniejszych, najgorszych chłopców, jakich widziałem, Oliwerze, ty jesteś naj...

— Nie, nie, proszę pana — wyszlochał Oliwer czepiając się dłoni, która trzymała dobrze znaną mu łaskę. — Nie, nie, proszę pana, ja naprawdę będę grzeczny, naprawdę, naprawdę będę, proszę pana! Ja jestem jeszcze bardzo mały i tak mi jest... tak mi jest...

— Jak? — zapytał pan Bumble, zdumiony.

— Tak samotnie, proszę pana! Tak bardzo samotnie! — zawołało dziecko. — Wszyscy mnie nienawidzą. O, proszę pana, proszę, proszę, niech pan się na mnie nie gniewa! — Chłopczyk położył rękę na sercu i ze łzami prawdziwej męki spojrzął w twarz swego towarzysza.

Pan Bumble przez kilka sekund z pewnym zdziwieniem spoglądał na żalosną i bezradną twarzyczkę Oliwera; chrząknął ochryple trzy czy cztery razy, po czym wymamrotawszy coś o „tym nieznośnym kaszlu” kazał Oliwerowi obetrzeć oczy i być grzecznym chłopcem. Następnie ujął znów jego rękę i poszli dalej w milczeniu.

Przedsiębiorca pogrzebowy, który właśnie zamknął był swój zakład, wpisywał coś do księgi rachunkowej przy świetle bardzo stosownej, ponurej świecy, kiedy zjawił się pan Bumble.

— Aha! — rzekł przedsiębiorca podnosząc oczy znad księgi przerywając pisanie w pół słowa. — To pan Bumble?
— We własnej osobie, panie Sowerberry — odparł woźny. — Ma pan! Przyproważyłem chłopaka. — Oliwer uklonił się.
— A! to on, tak? — rzekł przedsiębiorca i wznosił nad głową świecę, by lepiej przyjrzeć się Oliwerowi. — Pani Sowerberry, bądź no tak dobra i przyjdź tu na chwilę, kochanie. Pani Sowerberry wynurzyła się z małego pokoiku za sklepem. Była to niska, chuda, przygarbiona kobieta o lisim obliczu.
— Kochanie — zwrócił się do niej z uszanowaniem pan Sowerberry — to jest ten chłopiec z przytułku, o którym ci mówiłem. — Oliwer uklonił się znowu.
— Ojej! — rzekła żona przedsiębiorcy. — Jest bardzo mały.
— Tak, rzeczywiście jest dość mały — odpowiedział pan Bumble patrząc tak na Oliwera, jakby to było jego winą, że nie jest większy. — Jest mały. Nie można zaprzeczyć. Ale wyrośnie, pani Sowerberry, wyrośnie.
— A, pewnie, że wyrośnie — odparła dama grymaśnie — na naszym jadle i napitku. Ja tam nie widzę żadnej korzyści w przyjmowaniu gminnych dzieci. Ich utrzymanie zawsze kosztuje więcej, niż są warte. Ale co robić, mężczyznom zawsze się wydaje, że najlepiej wszystko wiedzą. No! Zabieraj się na dół, ty mały kościotrupku. — To mówiąc żona przedsiębiorcy pogrzebowego otworzyła boczne drzwi i wypchnęła Oliwera na strome schody prowadzące do kamiennej komórki, wilgotnej i ciemnej, która znajdowała się obok piwnicy na węgiel i nazywała się „kuchnią”. Siedziała tam niechlujna dziewczyna w przydeptanych na pięcie trzewikach i niebieskich pończochach z surowej wełny, bardzo potrzebujących reperacji.
— Słuchaj, Karolka — rzekła pani Sowerberry, która zeszła za Oliwerem — daj temu chłopcu coś z tych zimnych resztek, któreśmy odłożyli dla Tripa. Nie wrócił od rana, więc może się bez nich obejść. Przypuszczam, że chłopak nie jest za wybredny, żeby je zjeść, co, chłopcze?
Oliwer, któremu oczy zabłysły na wzmiankę o mięsie i który drżał z chęci pożarcia go, odpowiedział przecząco. Postawiono przed nim talerz z resztkami jakiegoś ordynarnego jada.
Chciałbym, by jakiś dobrze odżywiony filozof, w którym mięso i trunek zmieniają się w żółć, którego krew jest lodowata, a serce z żelaza, mógł ujrzeć Oliwera, jak rzucił się na delikatne mięsiwo, którym pies pogardził. Chciałbym, by mógł być świadkiem straszliwej łapczywości, z jaką Oliwer rozrywał kawałki mięsa w owym zapamiętaniu, które daje głód. Jednej tylko rzeczy pragnąłbym jeszcze goręcej: mianowicie zobaczyć, jak ów filozof sam spożywa podobny posiłek, podobnie się nim delektując.
— No — powiedziała żona przedsiębiorcy, gdy Oliwer skończył kolację, której przyglądała się z milczącą zgrozą i trwożnymi przewidywaniami co do jego przyszłego apetytu. — Skończyłeś już? Ponieważ w zasięgu jego nie było już nic do zjedzenia, Oliwer odpowiedział twierdząco.
— Wobec tego chodź ze mną — rzekła pani Sowerberry: wzięła ze stołu ciemną i brudną lampę i, zaprowadziła go po schodach na górę. — Twoje posłanie jest pod ladą. Nic ci nie szkodzi spać pomiędzy trumnami, prawda? Zresztą nie ma wielkiego znaczenia, czy ci się to podoba, czy nie, bo nigdzie indziej spać nie możesz. Chodźże, nie każ mi tu czekać na siebie całą noc!
Oliwer nie zwlekał dłużej, lecz potulnie poszedł za swoją nową panią.

ROZDZIAŁ PIĄTY

OLIWERA ZAWIERA NOWE ZNAJOMOŚCI. BĘDĄC PO RAZ PIERWSZY NA POGRZEBIE, NABIERA ZŁEGO MNIEMANIA O FACHU SWEGO PANA

Pozostawiony samemu sobie w warsztacie przedsiębiorcy pogrzebowego, Oliwer postawił lampę na zydłu i rozejrzył się nieśmiało, z uczuciem zgrozy i lęku, które zrozumie bez trudu wiele ludzi sporo starszych od niego. Niewykończona trumna, stojąca na czarnych krzyżakach pośrodku izby, miała wygląd tak posepny i śmiertelny, że wstrząsał nim zimny dreszcz, ilekroć oczy jego natrafiły na ten ponury przedmiot: oczekiwał niemal, że podniesie się zeń powoli jakaś straszliwa postać, na której widok przyjdzie mu oszaleć z przerażenia. Pod ścianą ustawiony był w równej linii długi szereg desek przykrojonych w ten sam kształt; w przyćmionym świetle wyglądały jak upiory, które wtuliwszy głowy w ramiona trzymając ręce w kieszeniach spodni. Tabliczki na trumny, wióry, gwoździe o błyszczących główkach i skrawki czarnego sukna leżały porozrzucone po podłodze, a ścianę za ladą zdobiło śmiało malowidło wyobrażające dwóch żałobników-statystów w bardzo sztywnych halsztukach, którzy tkwili na posterunku przy wielkich wrotach prywatnego domu, podczas gdy w oddali widać było nadjeżdżający karawan zaprzężony w czwórkę karych rumaków. W warsztacie było duszno i gorąco. Powietrze zdawało się przesycone zapachem trumien. Wnęka pod ladą, w której umieszczono posłanie Oliwera, wyglądała jak grób.

Nie były to jedyne posepne uczucia, które przygnębiały chłopca. Był sam w nieznanym miejscu, a

wszyscy wiemy, jaki chłód i opuszczenie odczuwa nieraz najętszy zuch w podobnej sytuacji. Oliwer nie miał żadnego przyjaciela, którego by kochał lub który by jego kochał. Żadne bolesne rozstanie nie było żywe w jego pamięci; żadne wspomnienie nieobecnej a ukochanej twarzy nie ciążyło mu na sercu. Ale mimo to serce miał ciężkie i wpełzając do ciasnego legowiska myślał sobie, że dobrze by było, gdyby to była jego trumna, gdyby go złożono w cichym, wiecznym śnie na przykościelnym cmentarzu, gdzie wysokie trawy chwiałyby się delikatnie nad jego głową, a kojący, głęboki dźwięk starego dzwonu kołysałby go do snu.

Rano obudziło Oliwera głośnie kopanie do drzwi prowadzących z ulicy do warsztatu. Nim zdołał narzucić ubranie, dźwięk powtórzył się, gniewny i gwałtowny, ze dwadzieścia pięć razy. Kiedy zaczął odczepiać łańcuch, nogi uspokoiły się, natomiast rozległ się głos.

— Otworzycie wreszcie czy nie? — wołał głos należący do nóg, które kopały we drzwi.

— W tej chwili, proszę pana — odpowiedział Oliwer odczepiając łańcuch i przekręcając klucz.

— Tyś pewno ten nowy chłopak, co? — rzekł głos przez dziurkę od klucza.

— Tak, proszę pana — odrzekł Oliwer.

— Ile masz lat? — zapytał głos.

— Dziesięć, proszę pana — odrzekł Oliwer.

— Wobec tego spuszcze ci lanie, jak tylko wejde — rzekł głos — przekonasz się, że tak zrobię, ty bachorze z przytułku! — I wypowiedziawszy tę uprzejmą obietnicę głos zaczął gwizdać.

Oliwer zbyt często poddawany był procesowi, który określało przytoczone wyżej dobitne wyrażenie, aby mieć choć najmniejszą wątpliwość, że właściciel głosu, kimkolwiek by był, spełni z honorem swe zobowiązanie. Drżącą ręką odsunął rygiel i otworzył drzwi.

Przez sekundę czy dwie Oliwer patrzył na ulicę w lewo, w prawo i na drugą stronę. Nabral przekonania, że nieznajomy, który mówił doń przez dziurkę od klucza, odszedł parę kroków, spacerkiem, aby się rozgrzać, nie widział bowiem przed sobą nikogo prócz dużego chłopaka, wychowanka zakładu dobroczynności, który siedział na słupku przed domem jedząc kawałek chleba z masłem; krajał go sobie szczyrykiem na trójkątne kawałki odpowiadające wielkością jego ustom, a potem je zżecznie spożywał.

— Przepraszam pana bardzo — zagadnął wreszcie Oliwer widząc, że nikt inny się nie pojawia. — Czy to pan stukał?

— Ja kopałem — odparł wyrostek.

— Czy potrzebuje pan trumny, proszę pana? — spytał z całą naiwnością Oliwer.

Na to wyrostek przybrał niezmiernie groźny wyraz twarzy i rzekł, że za chwilę potrzebować jej będzie Oliwer, jeśli w ten sposób kpić sobie będzie ze swych przełożonych.

— Nie wiesz pewno, kto ja jestem, znajdo? — mówił w dalszym ciągu wyrostek, z budującą powagą złączając ze słupka.

— Nie, proszę pana — odpowiedział Oliwer.

— Jestem pan Noe Claypole — rzeki tamten — a ty jesteś mój podwładny. Odemknij okiennice, ty leniuchu, łobuzie! — To mówiąc pan Claypole zaaplikował Oliwerowi kopniaka i wszedł do sklepu z godną miną, która przynosiła mu niemałą chlubę. Trudno jest bowiem wyrostkowi o wielkiej głowie, małych oczkach, niezgrabnej figurze i ospałym obliczu wyglądać godnie w jakichkolwiek okolicznościach, szczególnie zaś wtedy, gdy do tych osobistych wdzięków dołączają się czerwony nos i żółte skórzane kamasze.

Oliwer zdjął tedy okiennice i usiłując dźwignąć jedną z nich, by odnieść ją na małe podwórko przy domu, gdzie je na dzień składano, stłukł szybę. Przy tych czynnościach łaskawie asystował mu Noe, który pocieszywszy go zapewnieniem, że „już on za to oberwie”, raczył w końcu mu pomóc. Wkrótce zeszedł na dół pan Sowerberry, a niedługo potem pojawiła się jego żona. Zgodnie z przepowiednią Noego Oliwer „oberwał”, po czym w ślad za tym młodzieńcem udał się na dół na śniadanie.

— Chodź tu bliżej pieca, Noe — rzekła Karolka. — Schowałam ci ładny kawałeczek boczkuz ze śniadania naszego pana. Oliwer, zamknij no te drzwi za panem Noe i weź sobie te okrawki, które ci naszykowałam na pokrywce od puszki do chleba. Tu masz herbatę, weź ją sobie na tamtą skrzynkę i wypij ją tam, a prędko, bo będziesz potrzebny do pilnowania sklepu. Słyszysz?

— Słyszysz, znajda? — dorzucił Noe Claypole.

— Rety, Noe! — powiedziała Karolka. — Ale dziwne z siebie stworzenie. Nie możesz zostawić chłopaka w spokoju?

— Zostawić go w spokoju! — rzekł Noe. — Przecież wszyscy aż zanadto zostawiają go w spokoju, jeżeli o to chodzi. Ani ojciec, ani matka nigdy się do niego nie wtrącają. Wszyscy krewni zostawiają mu zupełnie wolną rękę. Co, Karolka? He, he, he!

— Ach, ty wariacie! — zawołała Karolka wybuchając serdecznym śmiechem, do którego przyłączył się Noe, po czym

oboje spojrzeli z pogardą na biednego Oliwera, który siedział drżący na skrzyni w najciemniejszym kącie izby i zjadał niezbyt świeże ochłapy umyślnie dlań pozostawione.

Noe był chłopcem korzystającym z pomocy zakładu dobroczynności, ale nie sierotą z przytułku. Nie był dzieckiem niewiadomego pochodzenia, mógł bowiem odtworzyć swój rodowód wstecz aż do samych rodziców, którzy mieszkali nie opodal. Matka była praczką, a ojciec żołnierzem-pijaczną, odprawionym z wojska z drewnianą nogą i emeryturą wynoszącą dziennie dwa pensy z jakimś niemożliwym do ustalenia ułamkiem. Chłopcy z okolicznych warsztatów od dawna mieli zwyczaj piętnować Noego na ulicy pogardliwymi epitetami, jak „żebrak”, „dziad” itp., a Noe znosił te przycinki bez odpowiedzi. Teraz jednak, kiedy los rzucił na jego drogę sierotę bez nazwiska, którego nawet najnędniejszy z ludzi mógł wytknąć pogardliwie palcem, odbijał sobie wszystko z nawiązką. Oto urocza strawa do rozmyślań. Pokazuje nam to, jak piękna- może być natura ludzka w pewien sposób urobiona i jak te same miłe przymioty rozwijają się jednakowo u najpyszniejszego lorda i najbrudniejszego biedaka wychowanego z łaski instytucji charytatywnych.

Oliwer przebywał u przedsiębiorcy pogrzebowego już jakieś trzy czy cztery tygodnie. Państwo Sowerberry po zamknięciu warsztatu jedli właśnie kolację w małym saloniku od podwórka, kiedy pan Sowerberry, rzuciwszy na żonę kilka pełnych respektu spojrzeń, rzekł:

— ...Kochanie — i zamierzał powiedzieć więcej, ale pani Sowerberry spojrzała nań z tak osobliwie nieprzychylnym wyrazem twarzy, że urwał natychmiast.

— No? — zagadnęła pani Sowerberry ostro.

— Nic, kochanie, nic — odparł pan Sowerberry.

— Ach, ty brutalu! — rzekła pani Sowerberry.

— Wcale nie, kochanie — tłumaczył się pan Sowerberry pokornie. — Myślałem, że nie chcesz słuchać, kochanie. Chciałem tylko powiedzieć...

— Ach, nie mów mi, co chciałeś powiedzieć — przerwała mu pani Sowerberry. — Ja się nie liczę; proszę cię, nie zasięgaj mojej rady. Nie chcę się wtrącać do twoich tajemnic. — To mówiąc pani Sowerberry wybuchnęła histerycznym śmiechem, który groził gwałtownymi następstwami.

— Ależ, kochanie — rzekł Sowerberry — ja właśnie chcę prosić cię o radę.

— Nie, nie, byle nie mnie — odparła pani Sowerberry z afektacją. — Poproś kogo innego. — Tu nastąpił nowy histeryczny wybuch śmiechu, który ogromnie przeraził pana Sowerberry. Jest to bardzo pospolity, cieszący się wielkim uznaniem i często nader skuteczny sposób postępowania w małżeństwie. Sprawił on natychmiast, że pan Sowerberry zaczął błagać jak o szczególniejszą łaskę, by mu wolno było powiedzieć to, czego pani Sowerberry ogromnie była ciekawa. Po krótkiej wymianie zdań trwającej niespełna trzy kwadransy pozwolenie zostało łaskawie udzielone.

— To chodzi tylko o małego Twista, moja kochana — rzekł pan Sowerberry. — Bardzo dobrze ten chłopaczek wygląda, kochanie.

— Nic dziwnego, je przecież dosyć — zauważyła pani.

— Jest w jego twarzy wyraz melancholii, kochanie — podjął znowu pan Sowerberry — który wygląda bardzo interesująco. Byłby z niego zachwycający niemy żałobnik, moje serce.

Pani Sowerberry podniosła oczy z wyrazem dość silnego zadziwienia. Pan Sowerberry spostrzegł to i nie dając zacnej damie czasu na wypowiedzenie jakiegokolwiek uwagi ciągnął dalej:

— Nie mam na myśli prawdziwego niemego żałobnika dla dorosłych, moja kochana, tylko takiego dla dzieci. Byłoby to coś całkiem nowego mieć niemego żałobnika w odpowiedniej proporcji. Możesz być pewna, że efekt byłby pyszny.

Panią Sowerberry, która miała wiele gustu w rzeczach pogrzebowych, mocno zafrapowała nowość tego pomysłu, lecz ponieważ wypowiedzenie tej opinii w obecnej sytuacji byłoby kompromitujące dla jej godności, zapytała tylko — i to bardzo ostrym tonem — dlaczego tak oczywiste spostrzeżenie nie przyszło wcześniej na myśl jej małżonkowi. Pan Sowerberry słusznie domyślił się w tym przyzwolenia na swą propozycję; postanowiono tedy szybko, że Oliwera należy natychmiast wtajemniczyć w arкана fachu. W tym celu ma on towarzyszyć swemu panu przy pierwszej okazji, kiedy potrzebne będą jego usługi.

Okazja ta nie dała długo na siebie czekać. Następnego ranka, pół godziny po śniadaniu, wszedł do warsztatu pan Bumble, a oparłszy łaskę o ladę wyciągnął swój wielki skórzany portfel, z którego wydobył mały skrawek papieru i wręczył go panu Sowerberry.

— Aha! — rzekł przedsiębiorca przebiegając go oczami z wyrazem ożywienia na twarzy. —

Zamówienie na trumnę, co?

— Najpierw na trumnę, a potem na urzędowy pogrzeb — odparł pan Bumble zapinając z powrotem rzemienny paseczek przy portfelu, który, jak on sam, był nader korpulentny.

— Bayton — rzekł przedsiębiorca przenosząc wzrok ze skrawka papieru na pana Bumble. — Nie słyszałem nigdy dotąd tego nazwiska.

Bumble odpowiadając potrząsnął głową.

— Uparci ludzie, panie Sowerberry, bardzo uparci. A obawiam się, że również hardzi, mój panie.

— Co, hardzi? — wykrzyknął pan Sowerberry szyderczo. — No, tego już za wiele!

— O, wprost niedobrze się robi na myśl o tym — odrzekł woźny. — Niedobrze jak po senesie, panie

Sowerberry!

— Rzeczywiście — przytaknął przedsiębiorca pogrzebowy.

— Dowiedzieliśmy się o tej rodzinie dopiero przedwczoraj wieczór — rzekł woźny — i nadal nic byśmy o niej nie byli wiedzieli, tylko że pewna kobieta, zamieszkała w tym samym domu, wniosła podanie do komitetu gminnego, żeby wysłał gminnego lekarza do jednej kobiety, z którą jest bardzo źle. On był właśnie na obiedzie, ale jego praktykant (bardzo zdolny chłopak) posłał im od razu lekarstwo w butelce od czernidła.

— A, oto szybkość wzorowa — zauważył przedsiębiorca.

— Szybkość, rzeczywiście! — odrzekł woźny. — Ale jaki skutek? Cóż za niewdzięczność tych buntowników, mój panie! Pomyśl pan tylko, mąż każe powiedzieć, że to niewłaściwe lekarstwo na chorobę jego żony, więc ona go nie zażyje. Powiada, że ona go nie zażyje, proszę pana! Dobre, mocne, zdrowe lekarstwo, któreśmy dali z powodzeniem tydzień temu dwóm irlandzkim robotnikom i jednemu węglarzowi — posłaliśmy darmo, dodając jeszcze do tego butelkę od czernidła — a on każe powiedzieć, że ona tego nie zażyje, mój panie!

I ponieważ potworność owa stanęła z całą mocą przed oczyma duszy pana Bumble, uderzył gwałtownie laską o ladę i poczerwieniał z oburzenia.

— No wiecie państwo — rzekł przedsiębiorca — nigdy nie podobnego nie słyszałem.

— Nigdyś pan nie słyszał, panie! — wykrzyknął woźny. — To mało, nikt nigdy czegoś podobnego nie słyszał; ale ta kobieta umarła, a my musimy ją pochować. Takie jest rozporządzenie, a im prędzej się to zrobi, tym lepiej.

To rzekłszy pan Bumble w gorączce urzędowego podniecenia nasadził swój stosowany kapelusz tyłem do przodu, po czym wypadł z warsztatu.

— Patrz, taki był zły, Oliwerze, że zapomniał nawet spytać o ciebie! — rzekł pan Sowerberry odprowadzając wzrokiem woźnego idącego wielkimi krokami po ulicy.

— Tak, proszę pana — odpowiedział Oliwer, który w czasie rozmowy starannie trzymał się na uboczu, trzęsąc się od stóp do głów na samo wspomnienie głosu pana Bumble. Niepotrzebnie wszakże starał się ukryć przed spojrzaniem pana Bumble, gdyż funkcjonariusz ten, na którym przepowiednia pana w białej kamizelce wywarła bardzo silne wrażenie, był zdania, że teraz, gdy przedsiębiorca przyjął chłopca na próbę, lepiej będzie unikać tego tematu aż do czasu, gdy zwiąże się Oliwera solidnie na siedem lat i wszelkie niebezpieczeństwo jego ponownego zaciągnięcia na barkach gminy zostanie w ten sposób efektywnie, i prawnie usunięte.

— No — rzekł pan Sowerberry biorąc do ręki kapelusz — im szybciej się tę sprawę załatwi, tym lepiej. Noe, pilnuj sklepu. Oliwerze, włóż czapkę i chodź ze mną. — Oliwer usłuchał i wyszedł za swym pracodawcą w zawodowej misji.

Szli czas jakiś przez najludniejszą, najgęściej zamieszkałą część miasta, potem skręcili w wąską uliczkę, brudniejszą i nędniejszą od wszystkich, które przewędrowali dotychczas. Wreszcie przystanęli, by odszukać dom, który był celem ich wędrówki. Domy po obu stronach ulicy były wysokie i duże, lecz bardzo stare i zamieszkałe przez ludzi najbiedniejszej klasy. Już sam zaniedbany wygląd owych domów byłby świadczył o tym dostatecznie jasno, bez potwierdzającego dowodu, jakim był nędzny wygląd tych nielicznych mężczyzn i kobiet, którzy snuli się tu niekiedy z założonymi na piersiach rękami, niemal w pół przygięci. Bardzo wiele tych czynszowych kamienic miało od frontu lokale sklepowe, lecz te niszczały, zabite na glucho deskami; tylko izby na górnych piętrach były zamieszkałe. Ponieważ niektóre domy wskutek starości i zaniedbania zaczęły grozić zawaleniem się, powstrzymywano je od runięcia na ulicę podpierając mury ogromnymi belkami, mocno wbitymi w jezdnię. Jednakże nawet i te nędzne nory były najwidoczniej noclegiem jakichś bezdomnych nieszczęśliwów, gdyż wiele spośród surowych desek zastępujących drzwi i okna wyrwano, by stworzyć otwory, przez które ciało ludzkie mogło się przecisnąć. Zaulek był cuchnący i brudny. Nawet szczury, tu i ówdzie żerujące na nieczystościach, miały ohydny wygląd stworzeń wygłodzonych do ostateczności.

U otwartych drzwi, przy których zatrzymali się Oliwer i jego pan, nie było kołatki ani dzwonka, toteż przedsiębiorca pogrzebowy jął ostrożnie, po omacku posuwać się przez ciemny korytarz, po czym nakazawszy Oliwerowi trzymać się blisko i nie bać się, wszedł schodami na pierwsze piętro. Tam natknął się na jakieś drzwi i zastukał.

Drzwi otworzyła dziewczynka lat trzynastu lub czternastu. Przedsiębiorcy wystarczył jeden szybki rzut oka na to, co znajdowało się w pokoju, by stwierdzić, że było to właśnie mieszkanie, do którego został skierowany. Wszedł tedy do środka, a Oliwer za nim.

Ognia na kominku nie było, ale do pustego paleniska garnął się, siłą przyzwyczajenia, jakiś mężczyzna. Obok do tego samego zimnego kominka przyciągnęła sobie niski stołek staruszka. W drugim rogu izby widać było kilkoro dzieci w łachmanach, a w małej wnęce naprzeciw drzwi leżało na ziemi coś okrytego starym kocem. Oliwer wzdrygnął się, kiedy spojrział w to miejsce, i mimo woli przysunął się bliżej do swego pana, gdyż choć to coś było przykryte, chłopiec domyślił się, że to trup.

Twarz mężczyzny była chuda i bardzo blada, włosy i broda posiwiałe, oczy nabiegłe krwią. Twarz staruszki była pełna zmarszczek; jedyne dwa zęby wystawały ponad dolną wargę, oczy miała błyszczące i przenikliwe. Oliwer bał się patrzeć zarówno na nią jak na mężczyznę. Wydawali się tak podobni do szczerów, które widział na dworze.

— Niech się nikt do niej nie zbliża! — zawołał mężczyzna zrywając się gwałtownie, gdy przedsiębiorca podszedł do wnęki. — Precz stąd! Precz, do wszystkich diabłów, jeżeli ci życie miłe!
— Głupstwo, mój człowieku — odparł przedsiębiorca przyzwyczajony do nieszczęścia we wszystkich jego postaciach. — Głupstwo!

— Mówię ci — krzychał mężczyzna zaciskając pięści i tupiąc z wściekłością w podłogę — mówię, że nie dam jej złożyć do ziemi! Nie miałaby tam spokoju. Jest taka wychudzona, że robaki nie miałyby co jeść, gryzłyby ją tylko.

Przedsiębiorca pogrzebowy nie odpowiedział na te szalone słowa, lecz wydobywszy taśmę z kieszeni przykląkł na chwilę obok ciała. — Aa! — krzyknął mężczyzna wybuchając łzami i padając na kolana u stóp zmarłej kobiety. — Klękajcie, klękajcie, klękajcie koło niej wszyscy i słuchajcie tego, co mówię! Powiadam, że zagłodzili ją na śmierć. Ani się domyślałem, jak z nią jest źle, póki nie przyszła na nią gorączka, a wtedy już kości sterczały jej przez skórę. Nie było ani ognia, ani świecy; po ciemku umarła — po ciemku! Nie mogła nawet zobaczyć twarzy dzieci, choć słyszeliśmy, jak ledwo dysząc wołała je po imieniu. Żebrałem dla niej po ulicach, to posłali mnie do więzienia. Kiedym wrócił, konała i krew mi zakrzepła w żyłach — bo oni zagłodzili ją na śmierć. Klnę się na tego Boga, który na to patrzy! Zagłodzili ją! — Wpił palce we włosy i z głośnym krzykiem zaczął tarzać się po podłodze. Oczy stanęły mu w słup, a wargi okryła piana.

Przerażone dzieci zaczęły gorzko płakać, lecz staruszka, która do tej pory zachowywała się tak cicho, jakby była całkiem głucha na to wszystko, co się działo dokoła, uciszyła je groźnym gestem.

Rozluźniła krawat mężczyzny wciąż leżącego na ziemi, po czym chwiejnym krokiem zbliżyła się do przedsiębiorcy.

— To była moja córka — rzekła staruszka kiwając głową i wskazując trupa. Mówiła z jakimś idiotycznym grymasem czy uśmiechem, który straszniejszy był nawet niż śmierć nawiedzająca takie miejsce. — Boże, Boże! No i nie dziwne to, że ja, com ją urodziła, a już wtedy nie byłam młódką, teraz jestem żywa i żwawa, a ona tu leży, taka zimna i sztywna! Boże, Boże! Pomyśleć tylko! To ci heca, to ci heca!

Podczas gdy nieszczęsna istota mamrotała i chichotała w swej ohydnej uciesze, przedsiębiorca skierował się ku wyjściu.

— Stój, stój! — powiedziała staruszka głośnym szeptem. — Czy pogrzeb będzie jutro, czy pojutrze, czy dzisiaj? Ja ją ubrałam do trumny i muszę pójść za pogrzebem, rozumiecie? Przyślijcie mi szeroki płaszcz, taki dobry, ciepły, bo jest bardzo zimno. Powinniśmy też dostać ciasta i wina, nim wyruszymy! Mniejsza z tym, przyślijcie chleba — tylko bochenek chleba i kubek wody. Dostaniemy chleba, kochanie? — spytała z przejęciem, chwytając przedsiębiorcę za płaszcz, gdy ponownie ruszał ku drzwiom.

— Tak, tak — odparł przedsiębiorca — oczywiście. Wszystko, co będziecie chcieli! — Uwolnił się od niej i ciągnąc za sobą Oliwera, pośpiesznie wyszedł.

Następnego dnia (biednej rodzinie udzielono tymczasem pomocy w postaci dwufuntowego bochenka chleba i kawałka sera, które zaniósł jej sam pan Bumble) Oliwer i jego pan wrócili do nędznego domostwa, gdzie bawił już pan Bumble w towarzystwie czterech ludzi z przytułku, którzy mieli występować w charakterze karawaniarzy. Na łachmany staruszki i mężczyzny narzucono stare czarne okrycia, zaśrubowano nagą trumnę, po czym ludzie z przytułku dźwignęli ją na ramiona i wynieśli na ulicę.

— No, teraz musicie rażno maszerować, paniusiu! — szepnął pan Sowerberry do ucha staruszki. — Jesteśmy dosyć spóźnieni, a nie wypada, żeby pastor na nas czekał. Ruszajcie, ludzie — im prędzej, tym lepiej!

Na takie wezwanie ludzie z przytułku ruszyli wyciągniętym krokiem, niosąc lekkie swe brzemie, a oboje żałobnicy pośpieszyli w ślad za nimi najprędzej jak mogli. Pan Bumble i Sowerberry żwawo szli naprzód, a Oliwer, którego nogi nie były tak długie jak jego pana, biegł u ich boku.

Okazało się wszakże, że nie było potrzeby tak bardzo się śpieszyć, jak to przewidywał pan Sowerberry, kiedy bowiem doszli do owego odległego, zarośniętego pokrzywami zakątka cmentarza, w którym na koszt gminy chowano zmarłych, duchownego jeszcze nie było, a pisarz parafialny, który siedział przy kominku w zakrystii, wyraził zdanie, że i godzina może upłynąć, nim nadejdzie. Złożono więc trumnę nad krawędzią grobu, a oboje żałobnicy czekali cierpliwie, stojąc w mokrej glinie, na zimnym siąpiącym deszczu, podczas gdy obdarci chłopcy, których to widowisko przyciągnęło na cmentarz, grali hałaśliwie w chowanego wśród nagrobków lub na odmianę zabawiali się skacząc tam i z powrotem przez trumnę. Panowie Sowerberry i Bumble, jako osobiści znajomi pisarza, siedzieli wraz z nim przy kominku i czytali gazetę.

Na koniec, po upływie przeszło godziny, ujrano panów Sowerberry i Bumble biegnących wraz z pisarzem w kierunku grobu. Zaraz potem ukazał się pastor nakładający po drodze komżę. Następnie pan Bumble dla utrzymania pozorów obił paru chłopaków, po czym wielebny jegomość, odczytawszy tyle tekstu nabożeństwa żałobnego, ile dało się zmieścić w czterech minutach, oddał komżę urzędnikowi i poszedł.

— Dalej, Bill! — rzekł Sowerberry do grabarza. — Zakupuj! Zadanie nie było trudne, gdyż grób był tak pełny, że najwyżej

leżąca trumna była zaledwie o parę stóp od powierzchni. Grabarz zebrał łopatą odrzuconą ziemię, przydeptał ją lekko no-gami, zarzucił łopatę na ramię i odszedł, a za nim chłopcy, głośno się skarżąc, że zabawa tak szybko się skończyła.

— Chodźcie, człowieku — powiedział Bumble szturchając mężczyznę w plecy. — Chcą zamykać cmentarz.

Mężczyzna, który ani razu się nie ruszył, odkąd stanął przy mogile, drgnął teraz, podniósł głowę, utkwiał oczy w tym, który doń przemówił, postąpił parę kroków naprzód i upadł zemdlony. Obląkana staruszka zbyt była zajęta oplakiwaniem utraty płaszcza (który zdjął z niej przedsiębiorca), by się nim zająć. Wylano więc na niego konewkę zimnej wody, a gdy przyszedł do siebie, wyprowadzono go troskliwie poza cmentarz, zamknięto bramę, po czym wszyscy rozeszli się, każdy w swoją stronę.

— No, Oliwerze — zagadnął Sowerberry w drodze do domu. — Jakże ci się podobało?

— Owszem, dziękuję panu — odparł Oliwer ze sporą dozą wahania. — Nie bardzo, proszę pana.

— E, przyzwyczaisz się z czasem, Oliwerze — rzekł Sowerberry. — To nic nie jest, jak się człowiek raz przyzwyczai, mój chłopcze.

Oliwer ciekaw był w głębi duszy, czy długo trwało, nim przyzwyczaił się pan Sowerberry. Osądził jednak, że lepiej nie zadawać tego pytania, i wracając do zakładu rozmyślał nad tym wszystkim, co widział i słyszał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

OLIWER POD WPLYWEM DOCINKÓW NOEGO PORYWA SIĘ DO CZYNU I SPRAWIA NOEMU NADER WIELKĄ NIESPODZIANKĄ

Po upływie miesiąca próby Oliwer został formalnie przyjęty na teminatora. Była to właśnie owa sympatyczna, niezdrowa pora roku. Mówiąc językiem handlowym trumny „szły” i w ciągu paru tygodni Oliwer nabrał dużego doświadczenia. Powodzenie sprytnego pomysłu pana Sowerberry przeszło nawet jego najśmielsze oczekiwania. Najstarsi mieszkańcy nie pamiętali okresu, w którym tak panoszyłyby się odra i tak zgubna była dla życia małych dzieci. Toteż liczne były żałobne pochody, na których czele kroczył mały Oliwer, z żałobną wstążką na kapeluszu zwisającą mu aż do kolan, ku nieopisanemu podziwowi i wzruszeniu wszystkich matek w całym mieście. A ponieważ Oliwer towarzyszył również swemu panu na większość pogrzebów ludzi dorosłych, by nabyć ową równowagę ducha i pełne opanowanie nerwów, które są konieczne dla dobrego przedsiębiorcy pogrzebowego, miał wiele sposobności do zaobserwowania pięknej rezygnacji i męstwa, z jakimi niektórzy mocni ludzie znoszą doznawane ciosy i straty.

Tak było na przykład, kiedy Sowerberry otrzymywał zamówienie na pogrzeb jakiegoś bogatego starego pana lub pani z mnóstwem siostrzeńców i siostrzenic, którzy w ciągu przedśmiertnej choroby byli wprost niepokieszeni i nie umieli opanować swej żalości nawet przy najbardziej publicznych wystąpieniach; teraz byli oni w najlepszym humorze, całkiem pogodni i zadowoleni, i rozmawiali ze sobą tak swobodnie i wesoło, jakby nie zdarzyło się absolutnie nic, co mogłoby zamącić ich szczęście. Także i mężowie znosili stratę swych żon z heroicznym zgoła spokojem. Żony znów wdziwały po śmierci mężów wdowie welony, tak jakby zamiast w żałobnym stroju oddawać się rozpacz, postanowiły raczej uczynić go jak najbardziej twarzowym i pociągającym. Można było również zauważyć, że różne panie i panowie, którzy odchodzili od zmysłów w czasie ceremonii pogrzebowej, odzyskiwali równowagę prawie natychmiast po powrocie do domu i zanim dopito tradycyjnej herbaty, byli już całkiem spokojni. Wszystko to stanowiło bardzo przyjemny i budujący widok, któremu Oliwer przyglądał się z wielkim podziwem.

Że to przykład tych zacnych ludzi skłonił Oliwera do rezygnacji, tego, mimo iż jestem jego biografem, stwierdzić się nie waże; mogę jednak zupełnie wyraźnie powiedzieć, że przez długie miesiące poddawał się potulnie rządowi i znęcaniu Noego Claypole, który dokuczał mu teraz znacznie bardziej niż dawniej, zazdrosny b to, że nowy chłopiec awansował już do czarnej laski i żałobnej wstążki na kapeluszu, podczas gdy on, ten dawny, tkwił ciągle w okrągłej czapce i skórzanych portkach. Karolka dokuczała Oliwerowi dlatego, że robił to Noe, a pani Sowerberry była mu zdecydowanie wroga, ponieważ pan Sowerberry skłonny był traktować go po przyjacielsku. Mając tedy przeciw sobie tych troje z jednej, a orgię pogrzebów z drugiej strony, Oliwer, wszystko razem wzięwszy, nie miał się bynajmniej tak dobrze jak owo głodne prosię, które zamknięto przez pomyłkę w składzie ziarna przy

browarze.

A teraz zbliżam się do bardzo ważnego momentu w dziejach Oliwera. Muszę bowiem opisać czyn, z pozoru może błahy i nieważny, lecz który pośrednio wywołał doniosłą zmianę w kolejach jego losu i perspektywach na przyszłość.

Pewnego dnia Oliwer i Noe zeszli do kuchni o zwykłej obiadowej porze, by spożyć ucztę w postaci małego kawałka baraniny — półtora funta najgorszego mięsa od karku. Karolkę dokądś wywołano, skutkiem czego nastąpił krótki okres wyczekiwania, a Noe, głodny i zły, uznał, iż go najszlachetniej wykorzysta dręcząc i drażniąc małego Oliwera Twista.

Przykładając się pilnie do tej niewinnej zabawy, Noe położył nogi na obrusie, po czym pociągnął Oliwera za włosy, uszczypnął go w ucho, wyraził opinię, że jest „lizusem”, a następnie obwieścił zamiar przyglądania się, jak będą go wieszać, skoro tylko pożądane to wydarzenie nastąpi. Potem poruszył cały szereg innych błahych a dokuczliwych tematów, jak przystało na złośliwego, nieznośnego wychowanka zakładu dobroczynności. Lecz ponieważ żaden z tych sposobów nie wywołał pożądanego skutku, jakim było zmuszenie Oliwera do płaczu, Noe wysilił się na jeszcze dowcipniejszy pomysł i zrobił to, co wielu ludzi późniejszego umysłu, znacznie bardziej sławnych niż Noe, robi niekiedy do dziś dnia, gdy chcą być dowcipni. Użył mianowicie wycieczek osobistych.

— Znajda — zaczął Noe — jak tam twoja matka?

— Umarła — odpowiedział Oliwer — a ty się nawet nie waż mówić czegoś na nią!

Mówiąc to Oliwer zarumienił się mocno, zaczął oddychać szybko, a usta i nozdrza jeły mu dziwnie drgać, co zdało się panu Claypole zapowiedzią bardzo bliskiego gwałtownego wybuchu płaczu. W tym przekonaniu podjął znów atak.

— A na co ona umarła, znajdo? — pytał Noe.

— Serce jej pękło — tak mi mówiły niektóre z naszych starych opiekunek — odrzekł Oliwer raczej sam do siebie niż w odpowiedzi Noemu. — Zdaje mi się, że ja wiem, jak to musi być, kiedy się na to umiera!

— Baj-baju, będziesz w raju, znajda — rzekł Noe widząc łzę toczącą się po policzku Oliwera. — A dlaczegoż ty znów beczysz?

— Nie przez ciebie — odrzekł Oliwer pośpiesznie, ocierając łzę. — Nie wyobrażaj sobie tego.

— A, nie przeze mnie, co? — szydził Noe.

— Nie, nie przez ciebie — odparł Oliwer ostro. — A teraz już dosyć. Przestań mówić o niej; ani słowa więcej, bo zobaczysz!

— Zobaczę! — wykrzyknął Noe. — No wiecie państwo! Ja zobaczę! Znajda, nie bądź bezczelny.

Twoja matka, rzeczywiście! Ładny z niej był numer, nie ma co. O jejku! — Tu Noe wymownie pokiwał głową i tak zmarszczył swój nieduży czerwony nos, jak tylko na to pozwoliły mięśnie jego twarzy.

— Wiesz co, znajda — ciągnął Noe, rozzuchwalony milczeniem Oliwera, przemawiając kpiącym tonem udanej litości, najbardziej dokuczliwym ze wszystkich tonów — wiesz co, znajda, teraz już nie można nic na to poradzić i oczywiście wtedy tyś też nie mógł nic na to poradzić, i naprawdę mnie jest bardzo przykro, i zapewne wszystkim innym także, i bardzo cię wszyscy żalujemy. Ale musisz wiedzieć, znajda, że twoja matka była zupełnie ładaco.

— Coś ty powiedział? — zapytał Oliwer, błyskawicznie podnosząc na niego oczy.

— Zupełnie ładaco, znajdo — odparł Noe z całym spokojem. — I znacznie lepiej, znajdo, że umarła wtedy, kiedy umarła, bo inaczej byłaby teraz na ciężkich robotach w Bridewell albo deportowana, albo powieszona. To ostatnie jest najbardziej prawdopodobne, no nie?

Purpurowy z wściekłości, Oliwer zerwał się, przewrócił krzesło i stół, schwycił Noego za gardło, potrząsnął nim w pasji, aż mu zęby zaszczekały, i włożywszy całą swą siłę w jedno straszne uderzenie, cisnął nim o ziemię.

Przed chwilą jeszcze chłopiec wyglądał na spokojne, potulne, nieszczęsne stworzenie, którym go uczyniło złe traktowanie. Lecz teraz nareszcie zbudziło się w nim męstwo. Okrutna zniewaga pod adresem zmarłej matki wlała mu ogień do krwi. Dyszał ciężko, stał wyprostowany, oczy paliły mu się jasno. Cała jego postać uległa przemianie, gdy tak stał, wpatrzony z wściekłością w tchórzliwego dręczyciela, który teraz leżał skulony u jego stóp. Oliwer grozi! mu z nieznaną do tej pory energią.

— On mnie zamorduje! — chlapał Noe. — Karolka! Proszę pani! Ten nowy chłopak mnie morduje!

Ratunku! Ratunku! Oliwer oszalał! Karolkaa!

W odpowiedzi na krzyki Noego rozległ się głośny wrzask Ka rolki i jeszcze głośniejszy — pani Sowerberry. Pierwsza wpadła do kuchni przez boczne drzwi, podczas gdy druga zatrzymała się na schodach, póki nie nabrała pewności, że zejście na dół nie było sprzeczne z wskazaniem instynktu samozachowawczego.

— Ach, ty mały szkaradniku! — wrzasnęła Karolka chwytając Oliwera z całej swej siły, równej mniej więcej sile przeciętnego mężczyzny będącego w szczególnie dobrej formie. — Ach, ty nie-wdzię-czny, wstrę-tny, pa-sku-dny ma-ty mor-der co! — I po każdej sylabie Karolka z całej siły wymierzała Oli

werowi ciosy, którym towarzyszył wrzask przeznaczony dla uszu szerszej publiczności. Kułak Karolki nie był bynajmniej lekki, ale na wypadek, gdyby się okazał niewystarczający do uśmierzenia szalu Oliwera, wtargnęła do kuchni pani Sowerberry i jedną ręką pomogła go przytrzymać, drugą zaś drapała go po twarzy. Wobec tak sprzyjającego stanu rzeczy Noe podniósł się z ziemi i zaczął walić Oliwera od tyłu.

Te ćwiczenia cielesne zbyt były gwałtowne, aby mogły trwać długo. Gdy wszyscy się już pomęczyli i nie mogli dłużej szarpać i bić, powlekli Oliwera, broniącego się i krzyczącego, lecz nieustraszonego, do piwnicy na węgiel i tam go zamknęli. Skoro tego dokonano, pani Sowerberry padła na krzesło i zalała się łzami.

— Ojej, już ją chwyta! — krzyknęła Karolka. — Podaj szklankę wody, Noe, kochanie. Prędko!
— Och, Karolko — rzekła pani Sowerberry tak wyraźnie, jak jej na to pozwalał brak tchu i obfitość zimnej wody, którą Noe wylał na jej głowę i ramiona. — Och, Karolko, co za łaska boska, żeśmy wszyscy nie zginęli pomordowani w łóżkach!

— O, łaska boska, doprawdy, proszę pani — brzmiała odpowiedź. — Spodziewam się, że to nauczy naszego pana nie brać więcej tych okropnych stworzeń, co to, od samej kołyski są mordercami i bandytami. Biedny Noe! Już prawie był zabity, kiedy weszłam do kuchni.

— Biedaczysko! — rzekła pani Sowerberry patrząc litośnie na wychowanka zakładu dobroczynności. Noe, którego górny guzik od kamizelki mógł być mniej więcej na poziomie czubka głowy Oliwera, w chwili gdy kierowano doń te wyrazy współczucia, zaczął trzeć oczy wnętrzem dłoni i zdobył się na kilka sztucznych łkań i pociągów nosem.

— Co robić? — wykrzyknęła pani Sowerberry. — Pan wyszedł; nie ma w domu żadnego mężczyzny, a on wyłame te drzwi za dziesięć minut. — Gwałtowne uderzenia Oliwera w wymienioną przegrodę z drzewa czyniły tę ewentualność wielce prawdopodobną.

— Jej, jej! Sama nie wiem, proszę pani — rzekła Karolka. — Może by posłać po policję?

— Albo po wojsko — zaproponował pan Claypole.

— Nie, nie — powiedziała pani Sowerberry, która przypomniała sobie o starym znajomym Oliwera.

— Biegnij do pana Bumble, Noe, i powiedz mu, żeby zaraz tu przyszedł nie tracąc ani minuty.

Mniejsza o twoją czapkę! Spiesz się! Możesz sobie w biegu przyłożyć nóż do tego podbitego oka.

Mniej ci za puchnie.

Noe nie tracił czasu na odpowiedź, lecz puścił się przed siebie najszybciej, jak tylko potrafił: i ludzie na ulicy zdziwili się bardzo widząc wychowanka zakładu dobroczynności pędzącego nieprzytomnie, bez czapki, ze scyzorykiem przyłożonym do oka.

ROZDZIAŁ SIÓDMY OLIWER W DALSZYM CIĄGU ZBUNTOWANY

Noe Claypole biegł ulicami, jak mógł najprędzej, i ani razu nie zatrzymał się dla nabrania tchu, póki nie dotarł do bramy przytulku. Tu wypoczął wreszcie minutę czy dwie, by przygotować się do pięknego wybuchu łkań i imponującej komedii łez i przerażenia, po czym głośno zastukał do furtki i staremu nędzarzowi, który mu ją otworzył, zaprezentował tak żalosne oblicze, że nawet on, który widział wkoło siebie w najlepszych nawet czasach same żalosne twarze, cofnął się zdumiony.

— Dlaboga, co się temu chłopakowi stało? — spytał stary nędzarz.

— Panie Bumble! Panie Bumble! — wołał Noe z dobrze udaną rozpaczą, tak głośno i tak podnieconym głosem, że słowa jego nie tylko doszły do uszu samego pana Bumble, który akurat był niedaleko, ale tak go przstraszyły, że wypadł na podwórko bez stosowanego kapelusza, co było okolicznością nader ciekawą i osobliwą, dowodzącą, że nawet woźny pod wpływem nagłego a potężnego impulsu może zostać dotknięty chwilową utratą panowania nad sobą i zapomnieć o godności osobistej.

— O, proszę pana, panie Bumble! — dyszał Noe. — Oliwer, proszę pana, Oliwer...

— Co? Co? — przerwał mu pan Bumble z błyskiem satysfakcji w swych twardych jak metal oczach.

— Nie uciekł chyba? Przecież nie uciekł, co, Noe?

— Nie, proszę pana, nie. Nie uciekł, proszę pana, ale się wściekł — odrzekł Noe. — Chciał mnie zamordować, proszę pana, a potem próbował zamordować Karolkę, a potem naszą panią. Och, cóż to za okropny ból! Co za męka, proszę pana! — To mówiąc Noe jął wić się jak piskorz i skrecać swe ciało w najprzeróżniejsze sposoby, dając tym do zrozumienia panu Bumble, że na skutek gwałtownej a krewkiej napaści Oliwera Twista poniósł ciężkie wewnętrzne obrażenia i uszkodzenia, które sprawiają mu do tej pory najdotkliwsze męczarnie. Gdy Noe spostrzegł, że zakomunikowana przezeń wiadomość jak gromem poraziła pana Bumble, postarał się o wywołanie dodatkowego efektu oplakując swe straszliwe rany jeszcze dziesięć razy głośniej. Kiedy zaś zobaczył, że jakiś pan w białej kamizelce przechodzi przez podwórko, stał się w lamentach swych tragiczniejszy niż kiedykolwiek, uważając słusznie, iż należy zwrócić na siebie uwagę i wzniecić oburzenie w wyżej wymienionym panu.

Uwagę tego pana zwrócił w bardzo krótkim czasie; nie uszedł on bowiem trzech kroków, a już odwrócił się gniewnie i zapytał, czego ten szczeniak tak ryczy i dlaczego pan Bumble nie zaszczycą go czymś, co uczyniłoby określone w ten sposób popisy wokalne procesem mimowolnym.

— To biedny chłopiec z darmowej szkoły, wielmożny panie — odrzekł pan Bumble. — Omal nie został zamordowany... zamordowany, proszę pana... przez małego Twista.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął pan w białej kamizelce stając jak wryty. — Wiedziałem! Miałem od samego początku dziwne przeczucie, że ten zuchwały dzikus skończy na stryczku!

— Usiłował również, łaskawy panie, zamordować służącą — ciągnął pan Bumble z ziemisto bladą twarzą.

— I naszą panią — wtrącił pan Claypole.

— I pana także, mówileś, zdaje się, Noe? — dodał pan Bumble.

— Nie! Nie ma go w domu, inaczej byłby go zamordował — odparł Noe. — Mówił, że chce to zrobić.

— A! Mówił, że chce, tak, mój chłopcze? — spytał pan w białej kamizelce.

— Tak, proszę pana — odrzekł Noe. — I, proszę pana, nasza pani się pyta, czy pan Bumble znajdzie chwilę, żeby tam zaraz wpaść i obić go, bo naszego pana nie ma w domu.

— Oczywiście, mój chłopcze, oczywiście — rzekł pan w białej kamizelce, z dobrotliwym uśmiechem klepiąc Noego po głowie, która znajdowała się o jakieś trzy cale wyżej niż jego własna. — Dobry z ciebie chłopak, bardzo dobry chłopak. Masz tu pensa. Bumble, pójďte no do Sowerberrych z łaską i zobaczcie, co tam trzeba zrobić. Nie oszczędzajcie go, Bumble.

— Nie będę, proszę pana — odrzekł woźny odwiązując w celach urzędowej chłosty rzemień owinięty dokoła laski.

— Powiedźcie też Sowerberry'emu, żeby go nie oszczędzał. Nigdy z niego nic nie zrobią bez pręg na grzbiecie i siniaków — dodał pan w białej kamizelce.

— Postaram się, proszę pana — odrzekł woźny. A ponieważ stosowany kapelusz i laska ku zadowoleniu ich właściciela znalazły się już do tego czasu na właściwym miejscu, pan Bumble i Noe pośpieszyli do warsztatu przedsiębiorcy pogrzebowego.

Tam sytuacja bynajmniej nie uległa poprawie. Sowerberry dotąd nie wrócił, a Oliwer kopał w dalszym ciągu, z niezminiejszą siłą, w drzwi piwnicy. Sprawozdanie o jego rozbawieniu, przedstawione przez panią Sowerberry i Karolkę, było tak przerażające, że pan Bumble przed otwarciem drzwi uznał za przezorne parlamentować. W tym celu w formie preludium kopnął drzwi od zewnątrz, po czym przyłożywszy usta do dziurki od klucza, rzekł głębokim, namaszczonym głosem:

— Oliwerze!

— Hej tam, wypuście mnie! — krzyknął Oliwer ze środka. — Czy poznajesz mój głos, Oliwerze? — spytał pan Bumble.

— Tak — odparł Oliwer.

— I nie boisz się? Nie drżysz, gdy mówię?

— Nie! — odrzekł Oliwer zuchwale.

Odpowiedź tak różna od tej, którą spodziewał się otrzymać i którą zwykł był otrzymywać, wstrząsnęła panem Bumble niemało. Odstąpił od dziurki od klucza, wyprostował się na całą wysokość i oniemiały ze zdumienia, spoglądał kolejno na troje obecnych.

— O, wie pan, panie Bumble, on musiał zwariować — powiedziała pani Sowerberry. — Żaden chłopiec przy jako takich zmysłach nie ważyłby się mówić w ten sposób do pana.

— To nie wariactwo, proszę pani — odrzekł pan Bumble po chwili głębokiego namysłu. — To mięso.

— Co takiego? — wykrzyknęła pani Sowerberry.

— Mięso, proszę pani, mięso — odparł Bumble surowo i z na ciskiem. — Przekarmiła go pani.

Rozbudziła w nim pani ducha i animusz, sprzeczne z naturą i nie przystojące osobie jego stanu.

Panowie z zarządu, którzy są praktycznymi filozofami, potwierdzą to pani. Na cóż potrzebny nędzarzom duch albo animusz? Zupełnie wystarcza, że pozwalamy im zachować żywe ciała. Gdyby pani trzymała chłopca na kaszy, moja pani, to wszystko nigdy by się nie stało.

— Jej, jej! — wykrzyknęła pani Sowerberry, nabożnie wznosząc oczy do kuchennego sufitu. — Takie to są skutki szczodrośliwości!

Szczodrośliwość pani Sowerberry względem Oliwera polegała na hojnym obdarowywaniu go wszelkimi brudnymi ochłapami, których nikt inny nie chciał jeść, toteż dała dowód wielkiej pokory i poświęcenia pozostając dobrowolnie pod ciężkim zarzutem pana Bumble; trzeba bowiem oddać jej sprawiedliwość, iż nigdy ani myślą, ani mową, ani uczynkiem zarzucanego jej grzechu nie popełniła.

— A — rzekł pan Bumble, gdy wzrok damy wrócił na ziemię — jedyne, co teraz można zrobić, jak mi się zdaje, to zostawić go w piwnicy przez dzień albo dwa, póki trochę nie zgłodnieje, a potem wypuścić go i trzymać na kaszy przez cały czas terminatorstwa. On pochodzi ze złej rodziny. Takie natury łatwo się podniecają, pani Sowerberry! I doktor, i położna powiedzieli, że ta jego matka przywlokła się tutaj mimo trudności i cierpień, które byłyby zabiły każdą porządną kobietę o wiele tygodni wcześniej.

W tym miejscu przemówienia pana Bumble Oliwer, który posłyszał dosyć, by wiedzieć, że pada jakaś nowa aluzja do jego matki, zaczął na nowo kopać tak gwałtownie, że zagłuszyło to wszelkie inne dźwięki. Właśnie wtedy wrócił Sowerberry. Opowiedziano mu o przewinieniu Oliwera z całą przesadą, którą obie panie uznały za właściwe zastosować dla rozbudzenia jego gniewu. W mgnieniu oka otworzył piwnicę i wyciągnął za kołnierz zbuntowanego terminatora.

Podczas bicia, które otrzymał Oliwer, podarło się jego ubranie; twarz miał posiniaczoną i podrapaną, a włosy rozsypały mu się po czole. Jednakże gniewny rumieniec nie zniknął z jego twarzy. Gdy wyciągnięto Oliwera z jego więzienia, wpatrzył się śmiało i z gniewem w Noego i wyglądał zupełnie niespieszony.

— No, ładny z ciebie numer, ani słowa — rzekł Sowerberry trzęsąc Oliwerem i dając mu kuksańca w ucho.

— On ubliżał mojej matce — odparł Oliwer.

— No to i cóż, jeśli nawet tak było, ty nieszczyśny mały niewdzięczniku — rzekła pani Sowerberry. — Zaslugaowała na to, co o niej mówił, i na więcej jeszcze.

— Nieprawda — odrzekł Oliwer.

— Owszem — rzekła pani Sowerberry.

— To kłamstwo — powtórzył Oliwer. Pani Sowerberry zalała się łzami.

Ten potok łez nie pozostawił panu Sowerberry żadnego wyboru. Gdyby się był zaważał choć na mgnienie oka przed

wymierzeniem Oliwerowi najsurowszej kary, to każdy doświadczony czytelnik zrozumie jasno, że według wszelkich precedensów ustalonych w małżeńskich sporach byłby uznany za brutala, wyrodnego małżonka, kreaturę dopuszczającą się najgorszej zniewagi, nędzną imitacją mężczyzny oraz za cały szereg innych przyjemnych postaci nazbyt licznych, aby można było je wyszczególnić w ramach niniejszego rozdziału. Trzeba oddać mu sprawiedliwość, że o ile go na to stać było — a stać go było na niezbyt wiele — był względem chłopca dobrotliwie usposobiony; może dlatego, że leżało to w jego własnym interesie, a może dlatego, że żona nie lubiła Oliwera. Jednakże powódź łez postawiła go w sytuacji bez wyjścia, toteż natychmiast spuścił chłopcu lanie, które zadowoliło nawet samą panią Sowerberry i wobec którego urzędowa laska zaaplikowana następnie przez pana Bumble była już raczej zbędna. Na całą resztę dnia zamknięto Oliwera w piwnicy za kuchnią w towarzystwie pompy i kawałka chleba. Wieczorem zaś pani Sowerberry, poczyniwszy przedtem przed drzwiami szereg uwag bynajmniej nie pochlebnych dla jego matki, zajrzała do komórki i wśród drwin i przytyków Noego i Karolki kazała chłopcu iść na górę do jego smutnego legowiska.

Dopiero gdy pozostał sam w ciszy i spokoju ponurego warsztatu trumniarza, Oliwer poddał się uczuciom, które, jak łatwo przypuścić, przeżycia tego dnia musiały wzbudzić w małym jeszcze dziecku. Wysłuchał uragań z pogardliwą miną; zniósł ciężki bez jednego krzyku, gdyż czuł, jak wzbiera mu w sercu taka duma, która zdławiłaby w nim każdy jęk aż do ostatka, choćby piekła go żywcem, Teraz jednak, kiedy nie było komu patrzeć i słuchać, upadł na kolana i kryjąc twarz w dłoniach, rozszlochał się serdecznie. Oby Bóg dał — w imię dobrej sławy natury ludzkiej — by jak najmniej tak młodych istot miało powód wylewać przed nim podobne łzy!

Przez długi czas Oliwer trwał bez ruchu w takiej postawie. Gdy podniósł się, świeca dopalała się w lichtarzu. Obejrzał się ostrożnie wokoło, wyteżył słuch, po czym . delikatnie odsunął rygle na drzwiach i wyjrzał na dwór.

Była zimna, ciemna noc. Zdawało się oczom chłopca, że gwiazdy były bardziej niż kiedykolwiek odległe od ziemi. Wiatru nie było, a głębokie cienie rzucane przez drzewa na ziemię wyglądały jakoś grobowo i śmiertelnie, tak były nieruchome. Cichutko zamknął z powrotem drzwi. Skorzystał z zamierającego płomyka świecy, by zawiązać w chustkę skąpą ilość odzieży, którą posiadał, po czym usiadł na ławce, by oczekiwać świtu.

Skoro tylko pierwszy promień światła przesączył się przez szpary w okiennicach, Oliwer wstał i na nowo odryglował drzwi. Jedno nieśmiałe spojrzenie dokoła — jedna chwila wahania — a już zamknął je za sobą i znalazł się na ulicy.

Spojrzał na lewo i na prawo, nie wiedząc, dokąd uciekać. Przypomniawszy sobie, że widział kiedyś wozy, jak wyjeżdżając z miasteczka mozolnie wpełzały na wzgórze. Poszedł więc w tym kierunku i doszedł do ścieżki wiodącej przez pola, o której wiedział, że po pewnym czasie wyprowadzi go na powrót na drogę. Skręcił w nią zatem i poszedł szybko naprzód.

Pamiętał dobrze, że tą samą ścieżką dreptał kiedyś u boku pana Bumble, gdy ten po raz pierwszy prowadził go z fermy do przytułku. Droga jego wiodła tuż koło tego domku, w którym niegdyś przebywał. Serce zabiło mu żywo, gdy sobie to uprzytomnił, i niemal postanowił się cofnąć. Ale uszedł już był duży kawał drogi, a cofając się straciłby wiele czasu. Poza tym było tak wcześnie, że mała była obawa, iż ktoś go dostrzeże, poszedł więc dalej.

Doszedł do domku. Nic nie wskazywało, by ktoś z mieszkańców był na nogach o tak wczesnej porze. Oliwer zatrzymał się i zajrzał do ogrodu. Jakieś dziecko pełło jedną z grządek; kiedy na chwilę

przerwało pracę, podniosło bladą twarzyczkę i Oliwer poznał jednego ze swych dawnych towarzyszy. Ucieszył się, że zobaczył go przed odejściem, gdyż chłopiec, choć młodszy, był jego przyjacielem i towarzyszem zabaw. Wiele, wiele razy byli razem bici, głodzeni i zamykani.

— Cicho, Dick! — rzekł Oliwer, gdy chłopczyk podbiegł do furki i wysunął chude rączki pomiędzy żelaznymi prętami, by go powitać. — Czy ktoś już wstał?

— Nikt oprócz mnie — odpowiedziało dziecko.

— Nie mów nikomu, żeś mnie widział, Dicku — rzekł Oliwer. — Ja uciekam. Biją mnie i znęcają się nade mną, Dicku, więc idę szukać szczęścia gdzieś daleko stąd. Nie wiem, gdzie. Jakiś ty blady!

— Słyszałem, jak doktor mówił, że jestem umierający — odrzekło dziecko uśmiechając się słabo. — Cieszę się bardzo, że cię widzę, mój kochany. Ale nie zatrzymuj się, nie zatrzymuj!

— Owszem, owszem, zatrzymam się, żeby się z tobą pożegnać — odparł Oliwer. — Zobaczę cię jeszcze kiedyś, Dicku, wiem, że zobaczę! Będziesz zdrow i szczęśliwy!

— Mam nadzieję, że będę — odrzekło dziecko. — Po śmierci, ale nie wcześniej. Wiem, że doktor na pewno ma rację, Oliwerze, bo tak często mi się śni niebo i aniołowie, i dobre twarze, których nigdy na jawie nie widzę. Pocałuj mnie — rzekło dziecko wspinając się po niskiej furcie i zarzucając Oliwerowi rączki na szyję. — Do widzenia, mój kochany! Niech cię Pan Bóg błogosławi!

Błogosławieństwo to wyszło z ust małego dziecka, lecz było pierwszym, jakie kiedykolwiek spłynęło na głowę Oliwera. Toteż wśród wszystkich walk i cierpień, kłopotów i zmiennych losów swego późniejszego życia nie zapomniał o nim ani na chwilę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

OLIWER UDAJE SIĘ DO LONDYNU I SPOTYKA PO DRODZE PEWNEGO DZIWNEGO MŁODZIEŃCA

Oliwer dotarł do płotu, przy którym kończyła się ścieżyna, i znalazł się znów na gościńcu. Była teraz ósma. Choć uszedł już prawie pięć mil od miasta, biegł aż do południa, chowając się od czasu do czasu za żywopłoty w obawie, że ktoś go może ścigać i dogonić. Na koniec usiadł przy kamieniu milowym, aby wypocząć, i po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, dokąd ma iść i gdzie próbować się urządzić. Na kamieniu, przy którym siedział, widniał wielki napis głoszący, że od tego miejsca do Londynu jest akurat siedemdziesiąt mil. Nazwa ta nadała nowy kierunek myślom chłopca. Londyn! To wielkie, ogromne miasto! Nikt — nawet pan Bumble — nie mógłby go tam odnaleźć! Nieraz też słyszał od starych ludzi w przytułku, że w Londynie żaden sprytny chłopiec nie potrzebuje cierpieć biedy i że w tym wielkim mieście są takie sposoby zarobkowania, o których ludzie wychowani na wsi nie mają pojęcia. Było to właściwe miejsce dla bezdomnego chłopca, który musi zemdlać na ulicy, jeśli ktoś mu nie pomoże. Gdy tylko wszystko to przyszło mu na myśl, zerwał się na równe nogi i znów ruszył naprzód.

Zmniejszył już odległość między sobą a Londynem o całe cztery dalsze mile, gdy nagle uprzytomnił sobie, ile to jeszcze czeka go trudów, nim zdoła dotrzeć do miejsca przeznaczenia. A ponieważ myśl ta nie dawała mu spokoju, zwolnił trochę kroku i zaczął rozmyślać nad sposobami dostania się do Londynu. W zawiniątku swym miał kromkę chleba, zgrzebną koszulę i dwie pary pończoch. Miał także w kieszeni pensa — dar pana Sowerberry po jakimś pogrzebie, na którym spisał się lepiej niż zazwyczaj. „Czysta koszula — pomyślał Oliwer — to bardzo dobra rzecz, tak samo dwie pary pocerowanych pończoch, tak samo pens. Ale wszystko to niewiele pomaga, gdy się chce zimą przejść piechotą sześćdziesiąt pięć mil.” Lecz myśli Oliwera, podobnie jak to bywa u większości innych ludzi, choć bardzo chętnie i gorliwie ukazywały mu piętrzące się przed nim trudności, zupełnie zawodziły, gdy chodziło o podsuniecie mu jakiegokolwiek realnego sposobu zwyciężenia ich. Toteż przemyślawszy długą chwilę i nie doszedłszy do żadnej praktycznej konkluzji przerzucił w końcu węzełek na drugie ramię i poczłapał dalej.

Oliwer uszedł dnia tego dwadzieścia mil i przez cały czas nie miał nic w ustach oprócz owej kromki suchego chleba i kilku łyków wody, które wyprosił u drzwi domów znajdujących się przy drodze. Kiedy zapadła noc, skrzył na jakąś łąkę i podpełznawszy pod stóg siana postanowił przeleżeć tam do świtu. Z początku było mu straszno, gdyż wiatr jęczał posepnie na pustych polach, a on był zziębnięty i głodny, i bardziej samotny niż kiedykolwiek. Ponieważ jednak był bardzo zmęczony drogą, wkrótce zasnął i zapomniał o swych troskach.

Gdy wstał nazajutrz rano, zziębnięty i zeszywniały, poczuł taki głód, że w pierwszej napotkanej wiosce był zmuszony wymienić swego pensa na mały bochenek chleba. Nie uszedł więcej niż dwanaście mil, a już ponownie zapadła noc. Stopy miał obolałe, a nogi tak słabe, że drżały pod nim. Druga noc spędzona na ostrym wilgotnym powietrzu pogorszyła jego stan; gdy następnego ranka wyruszył w drogę, ledwo się włókł.

U stóp stromego pagórka poczekał na przejazd dyliżansu i zaczął zebrać u pasażerów siedzących na miejscach odkrytych, lecz niewielu tylko zwróciło na niego uwagę, a i ci kazali mu poczekać, aż

wyjada pod górę, i tam pokazać im, jak daleko potrafi biec za półpensówkę. Biedny Oliwer starał się przez kawałek drogi dotrzymać kroku dyliżansowi, lecz nie udało mu się to ze względu na zmęczenie i bolące stopy. Gdy pasażerowie to spostrzegli, wsadzili swe półpensówki z powrotem do kieszeni i oświadczyli, że jest leniuchem, który na nic nie zasługuje, po czym dyliżans potoczył się dalej, pozostawiając za sobą tylko tuman kurzu.

W niektórych wsiach wisiały duże malowane tablice z ostrzeżeniem, że wszelkie osoby dopuszczające się w tym okręgu zebraniiny karane będą więzieniem. Przeraziło to bardzo Oliwera i sprawiło, że rad był jak najszybciej opuścić takie wioski. W innych przystawał na podwórkach gospód i wpatrywał się żałośnie we wszystkich przechodniów, co zazwyczaj kończyło się tym, że gospodyni wydawała rozkaz jednemu z pętających się tam pocztalionów, by wypędził tego obcego chłopaka, który na pewno przyszedł tu coś ukraść. Jeśli zebrał w zagrodzie fermera, w dziewięciu wypadkach na dziesięć grożono mu, że go psem poszczują, a gdy odważył się pokazać w jakim sklepie, mówiono o wezwaniu woźnego gminnego. Na dźwięk tego słowa Oliwera stawało w przetyku — i było najczęściej jedyną rzeczą, która tam gościła na przestrzeni wielu godzin.

I doprawdy, gdyby nie pewien dobrotliwy człowiek pilnujący kołowrotu u rogatki i pewna poczciwa staruszka, kłopoty Oliwera zakończyłyby się dzięki temu samemu procesowi, który położył kres kłopotom jego matki. Innymi słowy, byłby z całą pewnością padł trupem na gościńcu Jego Królewskiej Mości. Lecz człowiek przy kołowrocie dał mu chleba z serem, a staruszka, której wnuk uratowawszy się z rozbicia okrętu wędrował boso gdzieś w jakim dalekim kraju, zlitowała się nad biednym sierotą i dała mu wszystko, na co tylko stać ją było — i więcej jeszcze — z tak dobrym i ciepłym słowem, z takimi łzami współczucia i litości, że zapadły one głębiej w serce Oliwera niż wszystkie cierpienia, których kiedykolwiek doświadczył.

Wczesnym rankiem siódmego dnia po opuszczeniu rodzinnego miasta Oliwer przykuśtykał powoli do małego miasteczka Bar net. Okiennice były pozamykane, ulica pusta — ani żywej duszy: nikt nie obudził się jeszcze i nie rozpoczął swych dziennych zajęć. Słońce wschodziło w całej swej wspaniałości i krasie, lecz światło jego mocniej tylko dawało chłopcu odczuwać samotność i opuszczenie, kiedy tak siedział na jakimś progu, z nogami pokrwawionymi i okrytymi pyłem. Stopniowo zaczęto odmykać okiennice, podnosić rolety i ludzie zaczęli kręcić się po ulicach. Niektórzy zatrzymywali się chwilę, by popatrzeć na Oliwera, lub idąc śpiesznie, odwracali się, by rzucić nań zdziwione spojrzenie, lecz nikt mu nie pomógł ani nie zadał sobie trudu zapytać go, skąd się wziął. Zebrać nie miał odwagi. Więc siedział dalej.

Pozostał tak skulony na owym progu przez dłuższy czas, dziwiąc się wielkiej ilości gospód (co drugi dom w Barnet był karczmą, dużą lub małą), patrząc apatycznie na przejeżdżające dyliżanse i myśląc sobie, jakie to dziwne, że im tak łatwo w ciągu paru godzin przychodzi to, co jego kosztowało cały tydzień trudów znoszonych z odwagą i wytrzymałością przerastającą jego lata. Nagle zauważył chłopca, który minął go był obojętnie przed chwilą, ale wrócił i teraz przyglądał mu się bacznie z przeciwległego chodnika. Z początku nie zwrócił na to wielkiej uwagi, ale chłopiec tak długo trwał w tej samej postawie baczego obserwatora, że Oliwer podniósł wreszcie głowę i także spojrział nań badawczo. Na to chłopiec przeszedł przez ulicę i podszedłszy blisko do Oliwera, zagadnął:

— Hallo, gołąbku! Co za bieda?

Chłopiec, który zadał to pytanie małemu podróżnikowi, był mniej więcej w jego wieku, lecz wyglądał najdziwniej ze wszystkich chłopców, jakich Oliwer kiedykolwiek w życiu widział. Miał zadarty nos, płaskie czoło i dość pospolitą twarz, trudno też było wyobrazić sobie większego brudasa; miał jednak przy tym minę i sposób bycia dorosłego mężczyzny. Był mały jak na swój wiek, o nieco pałakowatych nogach i małych, bystrych, brzydkich ślepkach. Kapelusz jego był tak lekko nasadzony na czubek głowy, że wydawało się, iż lada chwila spadnie — i byłby rzeczywiście spadał nader często, gdyby nie to, że jego właściciel miał zwyczaj od czasu do czasu nagle podrzucać głowę, skutkiem czego kapelusz powracał na dawne miejsce. Chłopak miał na sobie męską kurtkę, która sięgała mu niemal do pięt. Rękawy jej podwinał do połowy, aby wydobyć z nich ręce, najwidoczniej w tym ostatecznym celu, by je zagłębić w kieszeniach swych sztuczkowych spodni, gdyż tam je właśnie trzymał. Wszystko razem wzięwszy, nie było chyba nigdy bardziej zawadiackiego i pewnego siebie młodzieńca, mierzącego w wysokich do pół łydki kamaszach cztery i pół stopy wzrostu, jeżeli nie mniej.

— Hallo, gołąbku! Co za bieda? — zagadnął ów dziwny młodzieniec Oliwera.

— Jestem bardzo głodny i zmęczony — odrzekł Oliwer, a łzy stanęły mu w oczach, gdy to mówił. — Szedłem bardzo długo. Już od siedmiu dni idę.

— Siedem dni idziesz! — rzekł młodzieniec. — Aa, rozumiem. Rozkaz dzioba, co? Ale — dodał widząc zdziwioną minę Oliwera — zdaje mi się, że ty nawet nie wiesz, co to takiego dziób, mój ty kolezko?

Oliwer odparł nieśmiało, że zawsze słyszał, iż określa się tym terminem usta ptaka.

— O babciu, jaki zielony! — wykrzyknął młodociany dżentelmen. — Przecież dziób to sędzia, a kiedy człowiek idzie

na rozkaz dzioba, to nie prosto przed siebie, tam, gdzie chce, ale zawsze pod górę, nigdy w dół. Nigdyś nie był w klatce?

— W jakiej klatce? — zapytał Oliwer.

— W jakiej klatce? No, wiadomo — w takiej klatce, w której tym ciasniej, im bardziej zły wiatr ludziom w oczy dmucha: bo kiedy dobry — nikt tam nie chce iść. Ale chodź no — rzekł młodociany dżentelmen. — Chcesz zarcia, to dostaniesz. U mnie samego dziury w kieszeniach — tylko parę dytków; ale na ile tego starczy — stawiam i funduję. No, wstawaj, panie szanowny. Jazda! Wio, Gniady!

Młodociany dżentelmen pomógł Oliwerowi wstać, po czym zabrał go do pobliskiego sklepiku, gdzie zakupił sporą porcję pokrojonej szynki i dwufuntowy bochenek, czyli jak sam go nazwał, "otrębów za cztery pensy". Następnie przemyślnie zabezpieczył szynkę przed zakurzeniem, mianowicie wydlubał palcami część miąższu z bochenka i wepchnął szynkę do utworzonej w ten sposób dziury. Wziąwszy chleb pod pachę młody frant wszedł do małej karczmy i powiódł Oliwera do szynkwasu w głębi lokalu. Tu na rozkaz tajemniczego młodziana przyniesiono im dzbanek piwa i Oliwer na zaproszenie swego nowego przyjaciela zabrał się do jedzenia i picia. Podczas gdy się pożywiał długo i z apetytem, nieznajomy chłopiec rzucał na niego od czasu do czasu bystre, badawcze spojrzenie.

— Do Londynu? — zapytał nieznajomy, gdy Oliwer nareszcie skończył.

— Tak.

— Masz jakie mieszkanie?

— Nie.

— Pieniądze?

— Nie.

Nieznajomy chłopiec gwizdnął i wsadził ręce do kieszeni tak głęboko, jak mu na to pozwalały długie rękawy.

— A ty mieszkasz w Londynie? — spytał Oliwer.

— Tak, mieszkam, kiedy jestem w domu — odparł chłopiec. — Pewno chciałbyś mieć jakieś miejsce do spania na tę noc, co?

— O, tak — odpowiedział Oliwer. — Nie spałem pod dachem, odkąd wyruszyłem. — Już o to niech cię głowa nie boli — rzekł młodociany dżentelmen. — Muszę dziś wieczór być w Londynie i znam tam jednego szanownego starszego pana, który ci da mieszkanie za darmo i nawet nie poprosi o resztę — oczywiście, o ile cię przedstawi ktoś, kogo on zna. A czy on mnie zna? O, nie! Ani trochę! Bynajmniej. Skądże?

Młody człowiek uśmiechnął się, jakby chciał dać do zrozumienia, że ostatnie fragmenty jego przemówienia były żartobliwie ironiczne. Jednocześnie wychylił resztę piwa.

Ta niespodziana oferta noclegu była zbyt nęcąca, aby jej się oprzeć, zwłaszcza że zaraz poi niej nastąpiło zapewnienie, iż wspomniany starszy pan niewątpliwie bez zwłoki znajdzie Oliwerowi dobrą posadę. To doprowadziło do bardziej przyjacielskiego i poufnego dialogu, z którego Oliwer dowiedział się, że jego przyjaciel nazywa się Jack Dawkins i jest szczególnym faworytem i protegowanym starszego pana, o którym uprzednio była mowa.

Wygląd pana Dawkinsa nie świadczył zbyt znakomicie o wygodach, którymi jego protektor otaczał swych podopiecznych, lecz ponieważ miał on zwyczaj mówić żartobliwie i bezładnie, a nadto przyznał się, że najbliższe grono przyjaciół znało go lepiej pod pseudonimem „Przemysłny Krętacz”, Oliwer doszedł do wniosku, że był to widocznie niedbały lekkoduch, o którego nauce moralnej jego dobroczyńcy musieli się dotąd obijać jak groch o ścianę. Pod wrażeniem tej myśli postanowił w duchu wyrobić sobie jak najprędzej dobrą opinię u starego pana i gdyby Krętacz okazał się niepoprawny (a był już tego prawie pewny), zrzec się zaszczytu dalszej z nim komitywy.

Ponieważ Jack Dawkins nie chciał pojawić się w Londynie, przed zapadnięciem nocy, była już prawie jedenasta, gdy znaleźli się przy roгатce Islington. Minęli gospodę „Pod Aniołem”, przeszli na St. John's Road, skręcili w małą uliczkę kończącą się przy teatrze Sadler's Wells, potem przez Exmouth Street

Coppice Row, przez mały dziedziniec koło przytułku, przez dzielnicę o starych tradycjach, noszącą kiedyś miano Hockley in-the-Hole; stamtąd na Mały Saffron Hill, a potem na Duży Saffron Hill, przez który Krętacz pomknął szybko, każąc Oliwerowi trzymać się tuż za sobą.

Chociaż Oliwer musiał wytyczać całą uwagę, by nie stracić z oczu swego przewodnika, to jednak nie mógł się powstrzymać od rzucenia w biegu kilku pośpiesznych spojrzeń na obie strony drogi.

Brudniejszej i nędzniejszej okolicy nigdy nie widział. Ulica była niezmiernie wąska i pełna błota, a powietrze przesycone obrzydłymi zapachami. Małych sklepików było sporo, ale jedynym towarem zdawały się być kupy dzieci, które nawet

o tej późnej porze raczkowały koło drzwi i na progach albo też wrzeszczały w domach. Jedyne lokale, które wśród całej okolicznej nędzy zdawały się prosperować, były to karczmy. W nich Irlandczycy

najgorszego rzędu klócili się ze sobą ile sił. Poprzez kryte pasaży i podwórka, które ta i ówdzie odchodziły w bok od głównej ulicy, widać było ciasno stłoczone domki, w których pijani mężczyźni i kobiety dosłownie tarzali się w brudzie; tu i tam z drzwi wymykał się ostrożnie jakiś wielki, podejrzanie wyglądający drab, wybierający się najwidoczniej na wędrowną w niezbyt godziwych i niewinnych celach.

Oliwer namyślał się właśnie, czy powinien by raczej uciec, gdy dotarli do stóp wzgórza. Przewodnik jego chwycił go za ramię, pchnął drzwi prowadzące do pewnego domu przy Field Lane i zamknawszy je za sobą, pociągnął go w głąb sieni.

— No, co tam? — krzyknął jakiś głos z głębi domu w odpowiedzi na gwizd Krętacza.

— Śliwka i kompot! — brzmiała odpowiedź.

Było to widocznie jakieś umówione hasło czy sygnał, oznajmiające, że wszystko w porządku, gdyż w samym końcu długiej sieni zamigotało na ścianie światło słabej świeczki i znad starych schodów kuchennych z odłamaną poręczą wyrzała twarz jakiegoś mężczyzny.

— Dwóch was jest — rzekł mężczyzna wyciągając świecę dalej przed siebie, a drugą dłonią osłaniając oczy. — Kto jest ten drugi?

— Nowy kamrat — odparł Jack Dawkins wypychając naprzód Oliwera.

— Skąd on się wziął?

— Z kraju zielonych. Fagin na górze?

— Tak, sortuje chustki. Jazda na górę! — Świeczkę cofnięto twarz znikła.

Macając przed sobą drogę jedną ręką, z drugą uwięzioną w mocnym uścisku towarzysza, Oliwer z wielkim trudem wspiął się po ciemnych i połamanych schodach, po których przewodnik jego wdrapał się z łatwością i szybkością świadcząca o tym, że dobrze mu były znajome. Otworzył na oścież drzwi do jakiej izby i wciągnął Oliwera za sobą.

Ściany i sufit pokoju były całkiem czarne od starości i brudu. Przed kominem stał stół z burowego drzewa, a na nim świeca zatknięta we flaszkę od piwa, dwa czy trzy cynowe kubki, talerz, bochenek chleba i masło. Na patelni, która stała na ogniu a przymocowana była sznurkiem do gzymsu nad kominkiem, smażyły się parówki; a nad nimi stał z długim kuchennym widelcem w ręku bardzo stary, zgarbiony Żyd, którego złowrogą, odrażającą twarz przesłaniały splecione kosmyki rudych włosów. Ubrany był w luźny flanelowy chałat, który odsłaniał mu szyję. Uwaga starca zdawała się być podzielona między patelnię a wieszak na ubranie, na którym wisiało mnóstwo jedwabnych chustek do nosa. Na podłodze leżało ciasno jeden obok drugiego kilka starych sienników służących jako legowiska. Wokoło stołu siedziało czterech czy pięciu chłopców nie starszych od Krętacza. Palili oni długie gliniane fajki i pili jakiś alkohol z minami mężczyzn w średnim wieku. Wszyscy obstąpili kolegę, podczas gdy ten szeptał coś do starca, po czym odwrócili się w stronę Oliwera uśmiechając się do niego krzywo. To samo uczynił Żyd, wciąż z widelcem w dłoni.

— Oto on, Fagin — rzekł Jack Dawkins — mój przyjaciel Oliwer Twist.

Staruch wykrzywił się znowu w uśmiechu i złożywszy Oliwerowi głęboki ukłon ujął go za rękę i wyraził nadzieję, że dostąpi zaszczytu bliższej z nim znajomości. Na to młodzi panowie z fajkami obstąpili go i bardzo serdecznie jęli potrząsać obydwoma jego dłońmi, a szczególnie tą, w której trzymał swoje małe zawiniątko. Jeden młodzieniec okazał chęć powieszenia jego czapki na wieszaku, inny był aż tak usłużny, że włożył ręce do jego kieszeni, aby Oliwer, skoro tak był zmęczony, idąc spać nie potrzebował sam ich opróżniać. Uprzejmości te posunęłyby się zapewne znacznie dalej, gdyby staruch nie zaczął hojnie okładać widelcem głów i ramion uprzejmych młodzieńców.

— Bardzo się cieszymy z twojego przybycia, Oliwerze, bardzo — rzekł staruch. — Krętacz, zdejm z ognia te parówki i przyciągnij do kominka stołek dla Oliwera. A, przyglądasz się tym chustkom do nosa, mój drogi! Dużo ich, prawda? Właśnie przeglądamy je przed oddaniem do prania; całkiem po prostu, Oliwerze, całkiem po prostu. Ha! ha! ha! Ostatnią część tej przemowy powitał gromki śmiech wszystkich obiecujących pupilków wesołego staruszka. Wśród tej wrzawy zasiedli do kolacji.

Oliwer zjadł swą porcję, po czym Żyd przyrządził mu szklanę gorącego ginu z wodą i kazał wypić ją duszkiem, ponieważ inny kawaler czeka na naczynie. Oliwer uczynił, jak mu kazano. Zaraz potem uczuł, że go przenoszą na jeden z sienników, i zapadł w głęboki sen.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ZAWIERA DALSZE SZCZEGÓŁY DOTYCZĄCE WESOŁEGO STARUSZKA I JEGO OBIECUJĄCYCH WYCHOWANKÓW

Późno już było, gdy następnego dnia Oliwer przebudził się z głębokiego, długiego snu. W izbie nie było nikogo poza starym Żydem, który gotował w rondelku kawę na śniadanie i pogwizdywał cicho sam do siebie, mieszając ją zawzięcie żelazną łyżką. Od czasu do czasu przerywał i nasłuchiwał, czy z dołu nie dochodzi najłżejszy bodaj szmer, a gdy nabrał pewności, że nic nie słychać, mieszał i gwizdał

po dawnemu.

Chociaż Oliwer już nie spał, nie był jeszcze całkiem rozbudzony. Jest taki stan półsnu między snem a jawą, kiedy przez pięć minut, w ciągu których oczy masz półotwarte i jesteś na pół świadomy tego, co się koło ciebie dzieje, przyśni ci się więcej niż w ciągu pięciu nocy, kiedy masz oczy mocno zamknięte, a zmysły spoczywają w błogiej nieświadomości. W takich chwilach człowiek akurat na tyle zdaje sobie sprawę z tego, co robi jego duch, by nabrać mglistego wyobrażenia o jego potężnych możliwościach, o tym, że uwolniony z więzów swego cielesnego współtowarzysza, zdolny jest oderwać się od ziemi i wzgardzić czasem i przestrzenią.

Oliwer znajdował się właśnie w takim stanie. Widział starca przez półzamknięte powieki, słyszał jego ciche gwizdanie i rozpoznawał dźwięk łyżki uderzającej o ścianki rondelka, a jednak w głębi duszy też same władze jego umysłu zajęte były równocześnie rozważaniem wszystkiego niemal, czego w życiu zaznał.

Kiedy kawa była gotowa, Żyd wstawił rondelkę we wnękę kominka, po czym postać chwil kilka, niezdecydowany, jak gdyby nie bardzo wiedział, czym się zająć. Odwrócił się i spojrzął na Oliwera wołając go po imieniu. Chłopiec jednak nie odpowiedział i wszystko wskazywało na to, że śpi. Uspokoiwszy się co do tego, starzec podszedł cicho do drzwi i zaryglował je. Następnie wyciągnął — Oliwerowi zdawało

się, że z jakiejś skrytki w podłodze — małą skrzyneczkę, którą postawił ostrożnie na stole. Oczy zabłyśły mu, gdy odkrył wieczko i zajrzał do środka. Przysunął stare krzesło do stołu i usiadł, po czym wyjął ze skrzynki wspaniałą złoty zegarek, cały lśniący od klejnotów.

— Aha! — rzekł chowając szyję w ramiona i wykrzywiając twarz w ohydny uśmiech. — Sprytne draby! Sprytne draby! Wiernie do ostatka! Nie powiedzieli staremu klesze, gdzie byli! Nic zakapowali starego Fagina. I po co by mieli zakapować? Nie rozluźniłoby to pętli ani nie powstrzymało spustu szubienicy nawet na chwilę. Nie, nie, nie! Zuchy chłopcy! Zuchy chłopcy!

Mamrocąc te i inne podobne refleksje złożył z powrotem zegarek do skrzyneczki. Następnie wyciągnął z niej jeden po drugim jeszcze przynajmniej z pół tuzina innych i obejrzał je z taką samą rozkoszą; prócz tego pierścionki, broszki, bransoletki i inne okazy biżuterii z tak cennego materiału i tak misternej roboty, że Oliwer nie miał nawet pojęcia, jak się nazywają.

Włożywszy te klejnoty z powrotem do skrzynki Fagin wyjął jeszcze jeden, tak mały, że mieścił się w zagłębieniu jego dłoni. Był na nim widocznie jakiś maleńki napis, gdyż położył go na stole i oceniając ręką, długo i intensywnie się w niego wpatrywał. Wreszcie odłożył go, jakby zwątpiwszy o powodzeniu swoich wysiłków, i przechylając się w tył na krześle mruknął:

— Jaka to dobra rzecz kara śmierci! Umarli nigdy nie żałują za winy; umarli nigdy nie wyciągają kłopotliwych historii na światło dzienne. A, dobra to rzecz dla naszego fachu! Pięciu ich zadyndało jeden koło drugiego i nie został żaden, co by mógł sygnąć przez zemstę albo stchórzyć!

Gdy Fagin wymawiał te słowa, jego przenikliwe ciemne oczy, które patrzyły do tej pory jakby w jakąś pustkę przed siebie, spoczęły na twarzy Oliwera. Oczy chłopca utkwione były w jego oczach z niemy zaciekawieniem. I choć była to tylko chwila — najkrótszy ułamek czasu, jaki można sobie wyobrazić — przecież wystarczył, by przekonać starca, że został podpatrzony. Zatrzasnął z głośnym hukiem wieko skrzyneczki i kładąc dłoń na nożu do chleba, który leżał na stole, zerwał się wściekły. Drżał jednak mocno, gdyż mimo całego swego przerażenia Oliwer dostrzegł, że nóż drga w powietrzu. — Co to? — krzyknął Fagin. — Dlaczego mi się przyglądasz? Dlaczego nie śpisz? Coś ty widział? Gadaj, chłopaku! Prędko, prędko! Jeśli ci życie miłe!

— Nie mogłem już dłużej spać, proszę pana — odrzekł Oliwer potulnie. — Bardzo przepraszam, jeżeli panu przeszkodziłem.

— Nie przebudziłeś się już godzinę temu? — spytał staruch patrząc na chłopca z groźnym i gniewnym grymasem.

— Nie! Naprawdę nie! — odrzekł Oliwer.

— Czy aby na pewno? — zawołał staruch patrząc jeszcze ostrzej i przybierając groźną postawę.

— Słowo daję, że nie, proszę pana — odpowiedział Oliwer z powagą. — Naprawdę spałem jeszcze, proszę pana.

— Głupstwo, głupstwo, mój drogi — rzekł starzec, raptownie wracając do dawnego sposobu bycia. Pobawił się trochę nożem, nim go położył na stole, jakby dla wzbudzenia przekonania, że chwycił go jedynie dla zabawy. — Naturalnie, wiem o tym, mój drogi. Próbowałem cię tylko nastraszyć. Dzielny chłopiec z ciebie. Ha, ha! Dzielny chłopiec jesteś, Oliwerze! — Żyd zatarł ręce śmiejąc się cicho, ale mimo to zerknął z niepokojem na skrzyneczkę.

— Widziałeś coś z tych ładnych rzeczy, mój drogi? — spytał po chwili, kładąc dłoń na skrzynce.

— Tak, proszę pana — odparł Oliwer.

— A! — rzekł Żyd błędąc silnie. — To — to moje, Oliwerze; mój skromny mająteczek. Z tego tylko mam żyć na stare lata. Ludzie nazywają mnie skąpcem, mój drogi. Zwyczajnym skąpcem, ot co. Oliwer pomyślał, że staruszek musi być rzeczywiście skąpcem, skoro mieszka w takiej brudnej dziurze

mając tyle zegarków. Lecz ponieważ przyszło mu na myśl, że przywiązanie do Krętacza i pozostałych chłopców kosztuje go z pewnością dużo pieniędzy, rzucił tylko na Żyda spojrzenie pełne uszanowania i zapytał, czy może wstać.

— Oczywiście, mój drogi, oczywiście — odrzekł staruch. — Czekaj. Tam w rogu przy drzwiach stoi dzbanek z wodą. Przynies go tutaj, a ja dam ci miednicę, żebyś mógł się umyć, mój drogi.

Oliwer wstał, przeszedł przez pokój, schylił się na chwilę, by podnieść dzbanek. Gdy odwrócił głowę, skrzynki już nie było. Ledwo zdążył się umyć i zrobić po sobie porządek, co polegało na wylaniu wody z miednicy przez okno, zgodnie ze wskazówkami starca, gdy już powrócił Krętacz w towarzystwie bardzo chwackiego młodego człowieka, którego Oliwer widział palącego fajkę poprzedniego wieczoru, a który teraz został mu formalnie przedstawiony jako Karolek Bates. Cała czwórka zasiadła do śniadania składającego się z kawy oraz gorących bułeczek z szynką, które Krętacz przyniósł w główce swego kapelusza.

— No — rzekł starzec rzucając chytre spojrzenie na Oliwera i zwracając się do Krętacza — mam nadzieję, żeście ładnie dziś pracowali, moi drodzy?

— Bardzo — odrzekł Krętacz.

— Jak nie wiem co — dodał Karolek Bates.

— Pocziwe chłopaki, pocziwe chłopaki! — powiedział Fagin. — Cóż ty przyniosłeś, Krętaczu?

— Dwa portfele — odrzekł ów młodzian.

— Wypchane? — spytał Żyd skwapliwie.

— Dosyc — odparł Krętacz dobywając dwa portfele: jeden zielony, drugi czerwony.

— Nie tak pełne, jakby być mogły — zauważył staruch przejrzawszy starannie zawartość — ale bardzo porządne i ładnie zrobione. Zręczny pracownik, co, Oliwerze?

— Naprawdę bardzo, proszę pana — powiedział Oliwer. Na co imć pan Karol Bates roześmiał się gromko ku wielkiemu zdumieniu chłopca, który nie zauważył nic śmiesznego w tym, co zaszło.

— A co ty masz, mój drogi? — spytał Fagin Karolka.

— Wycieraczki — odrzekł imć pan Bates pokazując cztery chustki do nosa.

— No — rzekł Fagin przyglądając im się pilnie — wcale ładne, wcale. Tylko nie wyznaczyleś ich dobrze, Karolku, więc znaki trzeba będzie wydłubać igłą. Nauczmy Oliwera, jak to robić. Co, Oliwerze? Ha, ha, ha!

— Doskonale, proszę pana — rzekł Oliwer.

— Chciałbyś umieć robić chustki do nosa tak szybko jak Karolek, prawda, mój drogi? — zapytał Fagin.

— Bardzo, proszę pana, gdyby pan tylko zechciał mnie nauczyć.

Imć Bates dojrzał w tej odpowiedzi coś tak niesłychanie zabawnego, że ponownie wybuchnął śmiechem; śmiech ten,

napotkawszy po drodze łykaną właśnie kawę i skierowawszy ją w jakiś nieodpowiedni kanał, omal go nie zadusił i nie zakończył w ten sposób przedwcześnie jego kariery.

— On jest tak cudownie zielony! — rzekł Karolek, kiedy przyszedł do siebie, usprawiedliwiając w ten sposób przed towarzystwem swoje niewytworne zachowanie.

Krętacz nie odpowiedział na to nic, tylko pogładził Oliwera po włosach i orzekł, że pomału zmańdrzeje, na co staruszek widząc, że krew uderza do twarzy Oliwera, zmienił temat i zapytał, czy tego ranka było dużo ludzi na egzekucji. To zadziwiło Oliwera jeszcze więcej, gdyż z odpowiedzi obu chłopców wynikało jasno, że oni obaj tam byli, więc naturalnie Oliwer w prostocie ducha zachodził w głowę, skąd znaleźli jeszcze czas, żeby tak owocnie pracować?

Gdy sprzątnięto po śniadaniu, wesoły staruszek i obaj chłopcy jęli się bawić w bardzo ciekawą i niezwykłą grę, która miała przebieg następujący: wesoły staruszek kładł tabakierkę do jednej kieszeni spodni, portfel do drugiej, a do kieszonki od kamizelki zegarek, przymocowany dla bezpieczeństwa do zawieszzonego na szyi łańcuszka. Wpinał jeszcze szpilkę z fałszywym brylantem w gors koszuli, po czym zapinał starannie surdut, wkładał do kieszeni futerał do okularów i chustkę i dreptał po pokoju wspierając się na lasce, tak jak to zwykle czynią starsi panowie, których się widzi na ulicy o każdej porze dnia. Niekiedy zatrzymywał się przy kominku, a niekiedy koło drzwi, udając, że przygląda się z całą uwagą wystawom sklepowym. W takich razach oglądał się ustawicznie poza siebie w obawie przed złodziejami i kolejno klepał się po wszystkich kieszeniach, by sprawdzić, czy nic mu nie zginęło. Robił to wszystko w tak śmieszny i naturalny sposób, że Oliwer zaśmiewał się, aż łzy spływały mu po twarzy. Przez cały ten czas obaj chłopcy szli za nim krok w krok, gdy jednak się odwracał, nikt mu z oczu tak zwinnie, że niesposób było zauważyć ich manewry. Wreszcie Krętacz nadeptywał mu na nogę lub przypadkowo potykał się o jego but, podczas gdy Karolek Bates wpadał na niego od tyłu; i w tej jednej chwili z nadzwyczajną szybkością zabierali mu tabakierkę, portfel, zegarek, łańcuszek, szpilkę, chustkę do nosa i nawet futerał do okularów. Jeśli stary pan czuł czyjąś rękę w którejkolwiek ze swoich kieszeni, mówił o tym i cała zabawa zaczynała się od początku.

Gdy grę tę powtórzono już bardzo wiele razy, przyszły w odwiedziny do młodzieńców dwie panienki.

Jedna z nich miała

na imię Bet, a druga Nancy. Miały bujne czupryny, niezbyt starannie upięte z tyłu, a ich buty i pończochy w nielepszym były porządku. Nie były może, ściśle mówiąc, ładne, ale miały świeże kolory i wyglądały hożo i wesoło. Ponieważ zachowywały się bardzo swobodnie i serdecznie, Oliwer uznał, że są to bardzo miłe dziewczęta. I niewątpliwie tak było.

Coście siedzieli długo. Wydobyto alkohol, ponieważ jedna z panienek poskarżyła się, że ją „ziębi”, po czym rozmowa stała się bardzo ożywiona i budująca. Na koniec Karolek Bates wyraził pogląd, że czas już „odknać”. Oliwerowi przyszło na myśl, że musi to być francuskie słowo oznaczające „wyjść”, gdyż zaraz potem Krętacz, Karolek i obie panienki wyszli razem, otrzymawszy od pocziwego starego Żyda pieniądze na wydatki.

— Widzisz, mój drogi — rzeki Fagin. — Przyjemne życie, prawda? Wyszli teraz na cały dzień.

— Czy już odrobili swoją pracę, proszę pana? — zapytał Oliwer.

— Tak — odparł Żyd — chyba żeby niespodzianie natrafili na jaką robotę chodząc po mieście. Wtedy nie ominą jej, mój drogi, tego możesz być pewny. Wzoruj się na nich, mój drogi. Wzoruj się na nich!

— Tu zastukał szufelką od węgla w palenisko, by dodać wagi swym słowom. — Rób wszystko, co ci każą, i korzystaj z ich rady we wszystkich sprawach — szczególnie z rad Krętacza, mój drogi. On sam będzie kiedyś wielkim człowiekiem i z ciebie takiego zrobi, jeśli będziesz się na nim wzorował.

Powiedz mi, mój drogi — zagadnął nagle Fagin — czy chustka wygląda mi z kieszeni?

— Tak, proszę pana — odrzekł Oliwer.

— Zobacz, czy potrafisz ją wyjąć tak, żebym tego nie poczuł. Widziałeś, jak oni to robią, kiedyśmy się bawili dziś rano.

Oliwer jedną ręką przytrzymał kieszeń od dołu, tak jak widział, że czynił to Krętacz, a drugą wyciągnął lekko chustkę.

— Czy już jej nie ma? — spytał Fagin.

— Oto ona, proszę pana — rzekł Oliwer pokazując trzymaną w dłoni chustkę.

Zdolny z ciebie chłopiec, mój drogi — powiedział wesoły staruszek, z uznaniem klepiąc Oliwera po głowie. — Nigdy nie widziałem bystrzejszego chłopaka. Masz tu szylinga. Jeśli tak dalej pójdzie, będziesz największym człowiekiem swoich czasów. A teraz chodź tu, a ja ci pokażę, jak wypruwać znaki z chustek. Oliwer zastanawiał się, co okradanie dla zabawy kieszeni starego pana mogło mieć wspólnego z szansami zostania wielkim człowiekiem. Ponieważ jednak pomyślał sobie, że Żyd o tyle lat od niego starszy, musi wiedzieć, co mówi, poszedł za nim spokojnie do stołu i wkrótce zagłębił się w tej nowej dla siebie nauce.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

OLIWER POZNAJE LEPIEJ CHARAKTERY SWYCH NOWYCH TOWARZYSZY I DROGO OKUPUJE NABYTE DOŚWIADCZENIE. ROZDZIAŁ KRÓTKI, LECZ BARDZO WAŻNĄ GRAJĄCY ROLĘ W NINIEJSZYM OPOWIADANIU

Przez wiele dni Oliwer pozostawał w pokoju Żyda wypruwając znaki z chustek (których ogromną ilość zniesiono do domu) i niekiedy biorąc udział w opisaną już grze, w którą obaj chłopcy i starzec bawili się regularnie co rano. Na koniec zaczął tęsknić za świeżym powietrzem i jał przy każdej sposobności prosić staruszka, by pozwolił mu pójść z obydwojema towarzyszami do pracy.

Oliwer tym bardziej płonął chęcią czynnego udziału w ich zajęciach, że przekonał się o surowości zasad moralnych, właściwej charakterowi staruszka. Kiedy tylko Krętaczowi lub Karolkowi zdarzyło się wrócić do domu wieczorem z pustymi rękoma, Fagin z wielkim uniesieniem prawił, jak niegodną rzeczą jest nieróbstwo i lenistwo i wbijał im do głowy konieczność prowadzenia pracowitego życia posyłając ich spać bez kolacji. Raz nawet posunął się tak daleko, że zrzucił ich obu ze schodów, lecz tak mocne wpajanie przepisów cnoty należało raczej do wyjątków.

Jednego ranka Oliwer otrzymał wreszcie upragnione zezwolenie. Przez dwa czy trzy dni nie było chustek, nad którymi mógłby pracować, i obiady stały się nieco skąpe. Może to były powody, które skłoniły starego pana do wyrażenia zgody, dość, że powiedział Oliwerowi, iż może iść, i powierzył go łącznej opiece Karolka Batesa i jego przyjaciela Krętacza.

Chłopcy wyruszyli tedy w trójkę: Krętacz, jak zwykle, z zawiniętymi rękawami i kapeluszem na bakier; imć pan Bates kroczący niedbale z rękami w kieszeniach, a między nimi Oliwer, zaciekawiony, dokąd idą i której branży rękodzielnictwa wypadnie mu najpierw się uczyć.

Tempo ich marszu było tak leniwe i opieszale, że Oliwer wkrótce jał myśleć, iż jego towarzysze mają zamiar oszukać staruszka i wcale nie iść do roboty. Krętacz miał ponadto złośliwy zwyczaj zdzierać czapki z głowy małym chłopcom i wrzucać je do rynsztoka, podczas gdy Karolek Bates dał dowód bardzo luźnych pojęć odnośnie prawa własności, podkradając jabłka i cebule ze stojących z brzegu straganów i wtykając je do kieszeni, które okazały się tak zdumiewająco przepaściste, że zdawały się rozsadać jego garnitur we wszystkich kierunkach. Wszystko to przedstawiało się tak nieprzyjemnie,

iż Olwer miał już oświadczyć zamiar poszukania sobie w jakikolwiek sposób drogi do domu, gdy raptem myśli jego zwróciły się na inne tory wskutek wielce tajemniczej zmiany, jaka zaszła w zachowaniu Krętacza.

Wychodzili właśnie z pewnego wąskiego dziedzińca niedaleko placu w Clarkenwell, zwanego dotąd, dzięki jakiejś dziwnej przewrotności nazw, „Zieleńcem”, gdy nagle Krętacz przystanął i kładąc palec na ustach, z zachowaniem wszelkich ostrożności i oglądając się na wszystkie strony, pociągnął swych towarzyszy z powrotem do tyłu.

— Co się stało? — zapytał Oliwer.

— Sza! — odrzekł Krętacz. — Widzisz tego starego grzyba przy straganie z książkami?

— Tego starszego pana po drugiej stronie ulicy? — rzekł Oliwer. — Tak, widzę.

— On się nada w sam raz — powiedział Krętacz.

— Pierwszorzędny obiekt — zauważył imć pan Karol Bates. Oliwer patrzył z wielkim zdziwieniem to na jednego, to na

drugiego, lecz nie pozwolono mu zadawać żadnych pytań, a obaj chłopcy przeszli chyłkiem przez ulicę i przysunęli się tuż do starego pana, którego mu przedtem pokazali. Oliwer poszedł za nimi parę kroków i nie wiedząc, czy iść dalej, czy się cofnąć, stał i patrzył w niemym zdumieniu.

Stary pan z upudrowaną głową i okularami w złotej oprawie wyglądał bardzo godnie. Ubrany był w ciemnozielony frak z czarnym aksamitnym kołnierzem oraz białe spodnie, a pod ręką trzymał elegancką bambusową laseczkę. Wziął ze straganu książkę i stał tak zaczytany, jak gdyby siedział w wygodnym fotelu w swym własnym gabinecie. Bardzo możliwe, iż zdawało mu się, że tam się istotnie znajduje, gdyż tak był pochłonięty lekturą, że — oczywiście było — nie widział ani straganu, ani ulicy, ani chłopców, krótko mówiąc, nic zgoła poza samą książką, którą wertował od deski do deski, przewracając kartkę, gdy dochodził do końca strony, i zaczynając od pierwszego wiersza strony następnej. I czytał tak w dalszym ciągu systematycznie, z wielkim zajęciem i skwapliwością.

Jakież było przerażenie i zgroza Oliwera, gdy stojąc w odległości paru kroków, oczyma tak szeroko otwartymi, jak to tylko było możliwe, ujrzał, jak Krętacz zapuszcza dłoń w kieszeń starego pana i wyciąga stamtąd chustkę do nosa! Jak podaje ją Karolkowi i wreszcie jak obaj uciekają pędem za róg ulicy.

W jednej chwili cała tajemnica chustek, zegarków, klejnotów i Fagina stała się chłopcu zupełnie jasna. Stał chwilę wstrząśnięty, a krew pod wpływem przerażenia tak żywo tętniła w jego żyłach, że poczuł się jakby objęty płomieniem. Następnie, zmieszany i przerażony, wziął nogi za pas i nie bardzo wiedząc, co robi, zaczął uciekać tak szybko, jak tylko mógł.

Wszystko to stało się w przeciągu minuty. W tej samej chwili gdy Oliwer zaczął biec, stary pan włożył rękę do kieszeni i zauważywszy brak chustki, raptownie się odwrócił. Widząc chłopca tak szybko dającego drapaka, bardzo naturalnie wywnioskował, że to on dopuścił się kradzieży, i krzyżąc ze wszystkich sił: „Trzymaj złodzieja!” — puścił się za nim z książką w rękę.

Ale stary pan nie był jedynym, który wszczął nagonkę. Krętacz i Karolek Bates, nie chcąc zwracać na siebie uwagi ucieczką wprost po ulicy, schowali się tylko do pierwszej bramy za rogiem. Ledwo usłyszeli krzyk i zobaczyli biegnącego Oliwera, domyślili się dokładnie, jak sprawa stoi, natychmiast wybiegli i krzyżąc także: „Trzymaj złodzieja!” — jak prawdziwi dobrzy obywatele dołączyli się do pogoni.

Choć Oliwer był wychowany przez filozofów, jednakże nie zapoznał się teoretycznie z pięknym aksjomatem głoszącym, że instynkt samozachowawczy jest pierwszym prawem natury. Gdyby się był z nim zapoznał, może byłby przygotowany do obecnej sytuacji. Ponieważ jednak przygotowany nie był, tym więcej go ona przerażała. Toteż pędził jak wiatr, a stary pan i obaj chłopcy z krzykiem i wrzaskiem za nim.

„Trzymaj złodzieja! Trzymaj złodzieja!” — Jest w dźwięku tych słów szczególny czar. Sklepiarz rzuca ładę, woźnica wóz, rzeźnik upuszcza niesioną tacę, piekarz zostawia swój koszyk, mleczarz — bańkę, posłaniec — pakunki, uczeń porzuca grę w guziki, kamieniarz — kilof, dziecko — zabawkę. Wszyscy biegną jeden przez drugiego, łap, cap, na złamanie karku. Lecą, wrzeszczą, piszczą, przewracają przechodniów na zakrętach, pociągają za sobą psy, straszą ptactwo domowe. I wszystkie ulice, place i dziedzińce rozbrzmiewają tym jednym okrzykiem.

„Trzymaj złodzieja! Trzymaj złodzieja!” — Sto głosów podejmuje okrzyk i tłum zwiększa się z każdym zakrętem. Lecą rozbryzgując błoto i tupocąc po chodnikach. Okna otwierają się, ludzie wybiegają, motłoch wali naprzód, wszyscy widzowie opuszczają widowisko Puncta w najbardziej podniecającym momencie akcji i łącząc się z biegnącą ciżbą wrzeszczą z nią razem. Z coraz większą siłą rozbrzmiewa okrzyk: „Trzymaj złodzieja! Trzymaj złodzieja!”

„Trzymaj złodzieja! Trzymaj złodzieja!” — W piersi ludzkiej tkwi zakorzeniona namiętność do polowania. Jedno nieszczęsne zdyszane dziecko, ledwie żywe z wyczerpania; wzrok pełen przerażenia, w oczach męka, po twarzy ciekną wielkie krople potu. Dziecko wyteża wszystkie siły, by zostawić w tyle ścigających, a oni biegną za nim trop w trop i z każdą chwilą zbliżają się do niego, witając jego

utrąte sił jeszcze głośniejszym krzykiem, hukając i piszcząc z uciechy. „Trzymaj złodzieja!” O tak, zatrzymajcie go, na Boga, choćby tylko przez litość! Nareszcie! Zręczny cios i już leży, powalony, na chodniku, a wokół niego pośpiesznie zbiera się tłum. Każdy nowy przybysz przeciska się i przepycha przed innych, by samemu coś zobaczyć. — Odsuńcie się! — Dajcie mu trochę powietrza. — Głupstwo! Nie zasługuje na to. — Gdzie ten pan? — Oto on, biegnie ulicą. — Zróbcie miejsce dla pana! — Czy to ten chłopiec, proszę pana? — Tak, to ten. Oliwer leżał zabłocony i zakurzony, z krwią na ustach, i patrzył błędnie na tłum otaczających go twarzy, gdy awangarda pościgu ceremonialnie wciągnęła i wepchnęła starego pana do koła. — Tak — rzeki pan. — Obawiam się, że to ten chłopiec. — Obawia się! — zaszemrał tłum. — A to dobre! — Biedaczek! — rzekł pan. — Zrobił sobie coś złego. — To ja a zrobiłem — powiedział jakiś wielki, ciężki drab wysuwając się naprzód. — I nawet rozciąłem sobie pięść o jego zęby. Ja go zatrzymałem, proszę pana. — Drab szczerząc zęby uchylił kapelusza w oczekiwaniu jakiejś nagrody za swoje trudy, ale starszy pan spojrzął nań z wyrazem niechęci, po czym rozejrzał się niespokojnie, jakby sam nosił się z zamiarem ucieczki. Bardzo możliwe, że byłby się starał urzeczywistnić ten zamiar i dał w ten sposób okazję do nowej pogoni, gdyby nie to, że w tej samej chwili policjant (który w takich razach najczęściej pojawia się ostatni) przedarł się przez tłum i schwycił Oliwera za kołnierz. — No, chodź, podnieś się — rzekł ostro. — To nie ja byłem, naprawdę, proszę pana. Naprawdę, naprawdę, to byli dwaj inni chłopcy — mówił Oliwer, błagalnie składając ręce i rozglądając się wokoło. — Oni muszą tu gdzieś być. — O nie, nie ma ich tu — powiedział policjant. Miało to być ironią, ale było i prawdą zarazem, gdyż Krętacz i Karolek umknęli w pierwsze odpowiednie podwórko, które napotkali po drodze. — Chodź, wstawaj! — Proszę nie zrobić mu nic złego — rzekł starszy pan ze współczuciem. — O nie, już ja mu nic złego nie zrobię — odparł policjant, na potwierdzenie swych słów zdzierając Oliwerowi kurtkę do połowy pleców. — Chodź, już ja cię znam; nic z tego. Staniesz wreszcie na nogi czy nie, ty mały diable? Oliwer, który ledwo mógł ustać, z wysiłkiem podniósł się z ziemi, a policjant, chwyciwszy chłopca za kołnierz, powiodł go od razu szybkim krokiem przez ulicę. Stary pan szedł obok policjanta, a ci z tłumem, którzy potrafili zdobyć się na ten wyczyn, wyprzedzili ich nieco i od czasu do czasu odwracali się, by pogapić się na Oliwera. Chłopcy krzyczeli triumfalnie i pochód posuwał się naprzód.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

OPOWIADA O SĘDZI ŚLED CZYM PANU FANGU I PODAJE DROBNY PRZYKŁAD JEGO SPOSOBU WYMIERZANIA SPRAWIEDLIWOŚCI

Przestępstwo popełnione zostało w obwodzie, a nawet w bezpośrednim sąsiedztwie pewnego stołecznego komisariatu policji o zdecydowanie złej sławie. Toteż tłum poprzestać musiał na satysfakcji odprowadzenia Oliwera przez dwie czy trzy ulice i przez teren zwany Mutton Hill, po czym chłopca przeprowadzono pod niskim podcieniem i przez brudny dziedziniec wiodący do tylnych drzwi owego przybytku doraźnego wymiaru sprawiedliwości. Na małym wybrukowanym podwórku napotkali otyłego człowieka z kępami faworytów na twarzy i pękiem kluczy w dłoni.

— O cóż tam znowu chodzi? — zapytał niedbale ów człowiek.

— Mały złodziej chustek — odrzekł policjant, który miał Oliwera pod opieką.

— A pan jest stroną okradzioną? — zapytał człowiek z kluczami.

— Owszem — odparł starszy pan — ale nie jestem pewien, czy to rzeczywiście ten chłopiec ukradł moją chustkę. Ja... wolałbym umorzyć całą sprawę.

— Teraz już musi iść przed sędziego, proszę pana — odrzekł tamten. — Jego wysokość będzie wolny za minutę. No, młody obwiesiu!

Było to zaproszenie dla Oliwera, aby wszedł we drzwi, które tamten tymczasem otworzył, a które wiodły do kamiennej celi. Tu przeszukano go, a nie znalazłszy przy nim nic, zamknięto.

Pod względem kształtu i wielkości cela ta przypominała kanał ściekowy, tylko nie była tak widna.

Brudna była okropnie, gdyż był to ranek poniedziałkowy, a od soboty wieczór lokatorami jej było sześcioro pijanych, których teraz zamknięto gdzie indziej. Ale to mało. W naszych komisariatach zamyka się co wieczór, pod najbardziej błahymi zarzutami — słowo to warto zapamiętać — mężczyzn i kobiety w norach, w porównaniu z którymi cele więzienia w Newgate, gdzie więzi się, sędzi i skazuje na śmierć najpotworniejszych przestępców, są istnymi pałacami. Ktokolwiek o tym wątpi, niech porówna jedne z drugimi.

Gdy klucz zazgrzytał w zamku, stary pan przybrał minę prawie równie żalostną jak Oliwer. Z westchnieniem zwrócił oczy na książkę, niewinną przyczynę całego zamieszania.

— Jest coś w twarzy tego chłopca — rzekł stary pan do siebie, oddalając się z wolna i w zamyśleniu stukając się po brodzie okładką książki — coś, co mnie wzrusza i zaciekawia zarazem. Czy możliwe, aby był niewinny? Na to zdawałby się wskazywać jego wygląd. Ale, ale! — wykrzyknął starszy pan, zatrzymał się nagle i wlepił oczy w niebo. — Boże drogi! Gdzież to ja widziałem kogoś, kto miał takie samo spojrzenie jak on?

Stary pan podumał chwil kilka, po czym z tym samym wciąż wyrazem zamyślenia wszedł do poczekalni od podwórka i tam, usadowiwszy się w kącie, przywołał przed oczy duszy wielką galerię twarzy, które od wielu lat przesłaniała gęsta, ciemna zasłona. — Nie — rzekł starszy pan potrząsając głową — to musi być urojenie.

Jeszcze raz przeszedł w pamięci wszystkie twarze. Gdy już raz przywołał je przed oczy, nie łatwo było zawiesić ponownie całun, który tak długo je ukrywał. Z tłumu wyzierały natrętne twarze przyjaciół i wrogów, i tych, którzy byli dlań prawie zupełnie obcy; twarze młodych, kwitnących dziewcząt, które dziś były już staruszkami; twarze, które grób w sobie zamknął i zniekształcił, lecz które duch, większą obdarzony potęgą, stroił wciąż jeszcze w dawną świeżość i piękno, przywracając im blask oczu, ciepło uśmiechu, promieniowanie duszy przez cielesną powłokę, i szepcząc o piękności pozagrobowej, odmiennej, ale tym potężniejszej, która z ziemi została zabrana jedynie po to, by jak lampa rzuciła delikatną czarowną światłość na ścieżkę wiodącą do nieba.

Ale stary pan nie mógł sobie przypomnieć ani jednej twarzy, której by rysy Oliwera były odbiciem. Westchnął tedy nad

wspomnieniami, które rozbudził, a ponieważ szczęściem dla siebie był staruszką roztargnionym, zagrzebał je ponownie w kartkach zakurzonej starej książki.

Przerwał lekturę, gdy ktoś dotknął jego ramienia. Człowiek z kluczami polecił mu wejść za sobą do sali. Pośpiesznie zamknął książkę i natychmiast wpuszczony został przed imponujące oblicze osławionego pana Fanga.

Była to frontowa sala, o ścianach pokrytych boazeriami. Pan Fang siedział w jej końcu za balustradą, a z boku stało coś w rodzaju drewnianego kojca, gdzie umieszczono zawczasu biednego małego Oliwera, który drżał na całym cieple, przejęty grozą tej sytuacji.

Pan Fang był chudym, średniego wzrostu mężczyzną o długich plecach i sztywnym karku. Włosów miał niewiele, a te, które miał, rosły z tyłu i po bokach głowy. Twarz jego nosiła wyraz surowy i była mocno zaczerwieniona. Gdyby istotnie nie miał zwyczaju pić nieco więcej, niż mu wychodziło na zdrowie, mógłby wytoczyć przeciwko swemu obliczu skargę o oszczerstwo i śmiało liczyć na przysądzenie wysokiego odszkodowania.

Starszy pan uklonił się z uszanowaniem i zbliżywszy się do biurka sędziego śledczego rzekł, czynem popierając swe słowa:

— Oto moje nazwisko i adres, proszę pana. — Następnie cofnął się o parę kroków i z nowym uprzejmym i dwornym skinieniem głowy czekał na zapytania.

Przypadek zrzucił, że właśnie w tej chwili pan Fang studiował pilnie wstępny artykuł w porannej gazecie, dotyczący któregoś z jego niedawnych wyroków i polecający go — pana Fanga — po raz trzeci pięćdziesiąty specjalnej a bacznej uwadze ministra spraw wewnętrznych. Był przeto w złym humorze i podniósł wzrok z gniewnym grymasem.

— Kto jesteście? — zapytał pan Fang.

Starszy pan z pewnym zdziwieniem wskazał ręką na swój bilet wizytowy.

— Konstabl! — rzekł pan Fang odsuwając pogardliwie bilet wizytowy razem z gazetą. — Co to za jeden?

— Nazwisko moje — odparł starszy pan głosem prawdziwego dżentelmena — nazwisko moje, proszę pana, brzmi Brownlow. Niech mi będzie wolno zapytać z kolei o nazwisko sędziego, który wykorzystując swój urząd wyrządza porządnemu człowiekowi bezpodstawną i niczym nie sprowokowaną zniewagę. — To mówiąc pan Brownlow rozejrzał się po sali, jakby w poszukiwaniu kogoś, kto by mu dostarczył żądanej informacji.

— Konstabl! — powiedział pan Fang odrzucając gazetę na bok. — O co ten człowiek jest obwiniony?

— On nie jest wcale obwiniony, wasza wysokość — odrzekł policjant. — On skarży tego chłopca.

Jego wysokość wiedział o tym bardzo dobrze, ale był to dobry sposób dokuczenia, a przy tym bezpieczny.

— Skarży chłopca, hę? — powiedział Fang obrzucając pana Brownlow od stóp do głów pogardliwym wzrokiem. — Zaprzysięgnijcie go!

— Zanim zostanę zaprzysiężony, muszę powiedzieć parę słów — rzekł pan Brownlow — a mianowicie, że gdybym nie widział na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył...

— Milcz pan! — rzekł pan Fang rozkazującym tonem. — O nie, mój panie! — odrzekł stary pan.

— Milcz pan w tej chwili, bo każę pana wyrzucić za drzwi! — krzyknął pan Fang. — Cóż za

zuchwałe, bezcelne indywiduum! Jak pan śmiesz terroryzować sędziego?

— Co?! — wykrzyknął starszy pan czerwieniejąc.

— Zaprzysięgnijcie tego człowieka! — rzekł Fang do kancelisty. — Nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Zaprzysięgnijcie go.

Pan Brownlow kipiał oburzeniem, lecz zreflektował się, że dając mu upust może tylko zaszkodzić chłopcu, pohamował więc swe uczucia i dał się zaprzysięć.

— A teraz — rzekł Fang — o co ten chłopiec jest oskarżony? Co pan ma do powiedzenia, panie?

— Stałem właśnie przy straganie z książkami... — zaczął pan Brownlow.

— Cicho pan bądź — przerwał mu pan Fang. — Konstabl! Gdzież jest ten konstabl? Hej tam, zaprzysięgnijcie konstabla. No, a teraz mówcie, o co chodzi?

Policjant z należytą pokorą jął opowiadać, jak wysłuchał oskarżenia, jak obszukał Oliwera i nic przy nim nie znalazł i wreszcie, że nic więcej w tej sprawie nie wie.

— Czy są jacy świadkowie? — zapytał pan Fang.

— Nie, wasza wysokość — odrzekł policjant.

Pan Fang siedział przez kilka minut w milczeniu, po czym zwracając się do powoda rzekł głosem nabrzmiałym wściekłością:

— Powie pan wreszcie, człowieku, co pan ma za skargę na tego chłopca, czy nie? Zaprzysiężono pana. Jeśli pan będzie dalej odmawiał zeznań, ukarzę pana za brak uszanowania dla władzy sądowej. Zrobię to, na... Na kogo czy na co, nikt nie wie, gdyż kancelista i dozorca zakaszłali głośno akurat w tej chwili; pierwszy upuścił ponadto na podłogę ciężką księgę, dzięki czemu nikt owego słowa nie posłyszał. Oczywiście stało się to wszystko zupełnie przypadkowo.

Wśród ciągłych przerywań i powtarzających się obelg pan Brownlow zdołał wreszcie przedstawić sprawę. Opowiedział, jak zaskoczony wypadkiem, pobiegł za chłopcem, ponieważ widział, że ten ostatni porwał się do ucieczki. Wyraził przy tym nadzieję, że o ile nawet sędzia uzna go, jeśli nie za winnego kradzieży, to za kogoś w tę kradzież wplątanego, zechce postąpić z nim tak łagodnie, jak tylko na to sprawiedliwość pozwala.

— Już mu zrobiono coś złego — rzekł starszy pan na zakończenie — a obawiam się — dodał bardzo energicznie, spoglądając w kierunku balustrady — naprawdę obawiam się, że on jest chory.

— O tak, z pewnością — rzeki pan Fang drwiąco. — No, tylko bez żadnych komedii, ty mały włóczęgo, to się na nic nie przyda. Jak się nazywasz?

Oliwer próbował odpowiedzieć, ale język odmówił mu posłuszeństwa. Blady był śmiertelnie i zdawało mu się, że cały pokój wiruje dokoła niego.

— Jak się nazywasz, ty zatwardziały łajdaku? — zapytał pan Fang. — Konstabl, jak on się nazywa? Pytanie to skierowane było do dobrodusznego starszego człowieka w pasiastej kamizelce, który stał koło balustrady. Ten pochylił się nad Oliwerem i powtórzył pytanie, lecz widząc, że chłopiec naprawdę niezdolny jest zrozumieć, o co chodzi, a wiedząc, że brak odpowiedzi jeszcze bardziej rozwścieczy sędziego i wywoła tym surowszy wyrok, zaryzykował domysł.

— On powiada, że się nazywa Tom White, wasza wysokość — rzekł pocziwy łapacz złodziejów.

— A, nie chce gadać, tak? — rzekł Fang. — Bardzo pięknie, bardzo pięknie. Gdzie mieszka?

— Gdzie może, wasza wysokość — odparł policjant znów udając, że otrzymał odpowiedź od Oliwera.

— Ma rodziców? — zapytał pan Fang.

— Powiada, że odumarli go we wczesnym dzieciństwie — odpowiedział policjant ryzykując najczęściej spotykaną odpowiedź.

W tym miejscu śledztwa Oliwer podniósł głowę i spoglądając wkoło błagalnymi oczyma, słabym głosem poprosił o łyk wody.

— Bzdura! Głupstwo! — rzekł pan Fang. — Nie próbuj mnie nabierać.

— Ja myślę, wasza wysokość, że on naprawdę jest chory — zaoponował policjant.

— Już ja wiem lepiej — odparł pan Fang.

— Niech pan uważa na niego, panie konstablu — rzekł stary pan instynktownie podnosząc rękę. — On zaraz upadnie.

— Nie zbliżajcie się, konstablu! — krzyknął Fang. — Niech sobie pada, jeżeli chce.

Oliwer skorzystał z tego łaskawego zezwolenia i upadł na podłogę, zemdlony. Obecni spojrzeli po sobie, ale nikt nie śmiał się poruszyć.

— Wiedziałem, że symuluje — rzekł Fang, jak gdyby to było niezbitym dowodem prawdziwości jego przypuszczenia. — Niech tam leży. Niedługo mu się to sprzykrzy.

— Jak pan zamierza postąpić w tej sprawie, proszę pana? — spytał po cichu kancelista.

— Rozprawię się z nim szybko — odrzekł pan Fang. — Skazuję go na trzy miesiące — ciężkich robót, oczywiście. Proszę opróżnić salę.

Otworzono w tym celu drzwi i dwóch ludzi miało właśnie przenieść nieprzytomnego chłopca do celi, kiedy starszy mężczyzna o wyglądzie przyzwoitym, choć biednym, odziany w stary, czarny garnitur, wbiegł pośpiesznie na salę i zbliżył się ku balustradzie.

— Stójcie, stójcie! Nie zabierajcie go! Na miłość boską, zaczekajcie chwilę! — wołał przybyły, zadyszany z pośpiechu.

Choć geniusze, królujący w urzędach takich jak ten, sprawują doraźną i samowolną władzę nad swobodami obywatelskimi, dobrym imieniem, sławą i niemal że życiem poddanych Jej Królewskiej Mości, zwłaszcza należących do biedniejszej klasy, i choć w takich murach wyrządza się co dzień dosyć fantastycznych wręcz krzywd na to, by aniołowie oślepli od płaczu — lokale te zamknięte są dla publiczności, która poznać je może jedynie za pośrednictwem prasy codziennej. Pan Fang był zatem niemało oburzony wtargnięciem nieproszonego gościa i brakiem respektu z jego strony.

— Co to znaczy? Kto to jest? Wyrzucicie tego człowieka! Opróżnić salę! — krzyczał pan Fang.

— Będę mówił — zawołał nowoprzybyły. — Nie dam się wyrzucić. Ja wszystko widziałem. To ja jestem właścicielem tego kramu z książkami. Żądam, żeby mnie zaprzysiężono. Nie ustąpię. Panie Fang, musi mnie pan wysłuchać. Nie może mi pan odmówić.

Człowiek ten miał słuszość za sobą. Postępował z determinacją i sprawa przybierała obrót zbyt poważny, by można ją było zatuszować.

— Zaprzysięgnijcie go — warknął pan Fang bardzo niechętnie. — No, człowieku, co macie do powiedzenia.

— Mam do powiedzenia, co następuje — rzeki przybysz. — 'Widziałem trzech chłopców: dwóch innych i tego tutaj. Szwendali się po przeciwnej stronie ulicy, podczas gdy ten pan czytał. Kradzieży dokonał inny chłopiec. Widziałem to na własne oczy. Widziałem też, że ten tutaj był tym wszystkim zupełnie zaskoczony i oszołomiony. — Odzyskawszy nieco tchu, zacny kramarz jął opowiadać w sposób bardziej systematyczny wszystkie okoliczności kradzieży.

— Dlaczegoście nie przyszli tu wcześniej? — spytał Fang po chwili milczenia.

— Nie było żywej duszy do przypilnowania kramu — odrzekł kramarz. — Wszyscy, którzy mogliby mi pomóc, przyłączyli się do pościgu. Zdołałem kogoś znaleźć dopiero pięć minut temu i całą drogę tu biegłem.

— Powód czytał, tak? — zapytał Fang po nowej chwili milczenia.

— Tak — odrzekł kramarz. — Tę samą książkę, którą trzyma w ręku.

— A, to ta książka — ciągnął Fang. — Czy zapłacił za nią?

— Nie, nie zapłacił — odparł kramarz z uśmiechem.

— Ach, Boże, zupełnie o tym zapomniałem! — wykrzyknął naiwnie roztargniony starszy pan.

— Ładna mi osoba, która wnosi skargę przeciwko biednemu chłopcu! — rzekł Fang, w komiczny sposób wysilając się na humanitaryzm. — Uważani, mój panie, że doszliście do posiadania tej książki w okolicznościach nader podejrzanych i niewłaściwych i możecie się uważać za bardzo szczęśliwego, że właściciel wstrzymuje się od wytoczenia wam sprawy. Niech to będzie dla was nauką, człowieku, inaczej sprawiedliwość jeszcze się z wami kiedyś rozprawi. Chłopiec jest zwolniony. Proszę opuścić salę.

— Do diabła! — zawołał stary pan wybuchając długo tłumioną wściekłością. — Do diabła! Ja was...

— Opróżnić salę! — rzekł sędzia. — Policja? Słyszycie? Opróżnić salę!

Rozkaz został wykonany i wyprowadzono oburzonego pana Brownlow w istnym szale bojowym, wściekłego, z książką w jednej, a bambusową laską w drugiej ręce. Znalazł się wreszcie na podwórku, gdzie pasja jego zgasała w jednej chwili. Na bruku leżał na wznak mały Oliwer Twist w rozpiętej koszuli nie, ze skrońmi polanymi wodą. Twarz miał śmiertelnie bladą, a zimny dreszcz wstrząsał jego ciałem.

— Biedny chłopaczek, biedny chłopaczek — rzekł pan Brownlow pochylając się nad nim. — Proszę, niech ktoś zawoła dorożkę. Prędko!

Znaleziono zamkniętą dorożkę, ułożono Oliwera ostrożnie na jednym siedzeniu, a stary pan wszedł i usadowił się na drugim.

— Czy mogę towarzyszyć panu? — spytał kramarz zaglądając przez okno do wnętrza.

— Ach, Boże, oczywiście, drogi panie — rzekł pan Brownlow szybko. — Zapomniałem o panu. Boże, Boże! Mam przecie jeszcze tę nieszczęsną książkę. Niechże pan wsiada. Biedaczyna! Nie ma czasu do stracenia.

Kramarz wsiadł do dorożki i odjechali.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W KTÓRYM OLIVER DOZNAJE LEPSZEJ OPIEKI NIŻ KIEDYKOLWIEK W ŻYCIU. I W KTÓRYM WRACAMY DO WESOŁEGO STARUSZKA I JEGO MŁODOCIANYCH PRZYJACIÓŁ

Dorożka jechała, turkocząc, po tej samej niemal trasie, którą szedł Oliwer, gdy po raz pierwszy wraz z Krętaczem wchodził do Londynu. Dopiero dojechawszy do Islington skręciła z niej i wreszcie zatrzymała się przed porządnym domem przy spokojnej, zacienionej ulicy w pobliżu Pentonville. Tutaj bez zwłoki przygotowano łóżko, w którym pod okiem pana Brownlow troskliwie i wygodnie ułożono Oliwera. Tutaj też był on pielęgnowany z bezgraniczną dobrocią i pieczołowitością.

Jednakże przez długi szereg dni Oliwer leżał nieświadomy dobroci swych nowych przyjaciół. Słońce wstawało i zachodziło, znów wstawało i znów zachodziło wiele, wiele razy, a chłopiec wciąż leżał na swym łożu boleści, coraz to słabszy, palony trawiącą gorączką. Nawet robak pewniej nie dokonuje dzieła zniszczenia na trupie, niż ów powolny, pełzający ogień na ciele żywego człowieka.

Słaby, wychudzony i blady, zbudził się wreszcie z tego, co zdało mu się długim, niespokojnym snem. Bezsilnie dźwigając się na łożku, z głową wspartą na drżącej dłoni, rozejrzał się z niepokojem dokoła. — Co to za pokój? Gdzie ja jestem? — powiedział Oliwer. — To nie jest to miejsce, w którym zasnąłem.

Wyrzekł te słowa ledwo dosłyszalnym głosem, ponieważ był bardzo osłabiony i bliski omdlenia; jednakże usłyszano je natychmiast. Ktoś odsunął pośpiesznie firankę u wezgłowia i bardzo schludnie i starannie ubrana staruszka o macierzyńskim obliczu wstała z pobliskiego fotela, w którym dotychczas siedziała z robotką w ręku.

— Cicho, kochanie — rzekła staruszka miękким głosem. — Musisz zachowywać się bardzo spokojnie, bo inaczej znowu będziesz chory, a było z tobą bardzo źle, tak źle, jak tylko być może. Połóż się na powrót, jak prawdziwy grzeczny chłopczyk! — Mówiąc to starsza pani bardzo delikatnie ułożyła głowę Oliwera na poduszce, odgarnęła mu włosy z czoła i z taką dobrocią, z taką miłością spojrzała mu w twarz, że mimo woli wsunął swą wymizerowaną rączkę w jej rękę i przyciągnął ją do siebie.

— Boże wszechmogący! — rzekła staruszka ze łzami w oczach. — Cóż to za wdzięczne stworzonko. A jaki ładniutki! Co by czuła jego mamusia, gdyby siedziała przy nim, tak jak ja siedziałam, i gdyby mogła teraz go zobaczyć!

— Może mnie ona i widzi — szepnął Oliwer składając ręce. — Może i przy mnie siedziała. Zdaje mi się nawet, że tak było.

— To tylko gorączka, kochanie — rzekła staruszka łagodnie.

— I ja tak myślę — odparł Oliwer — bo niebo jest bardzo daleko i ludzie są tam zbyt szczęśliwi, żeby przychodzić do łóżka biednego chłopca. Ale jeżeli ona wiedziała, że jestem chory, musiało jej być mnie żal nawet tam, bo sama bardzo chorowała przed śmiercią. Tylko że ona widocznie nic o mnie nie wie — dodał po chwili milczenia. — Gdyby widziała, jak mnie krzywdzą, byłaby się martwiła, a tymczasem, jej twarz, kiedy mi się śniła, zawsze wydawała mi się słodka i szczęśliwa. .

Staruszka nic na to nie odpowiedziała, tylko otarła naprzód oczy, a następnie leżące na kapie okulary, jak gdyby były one nieodłączną częścią tych pierwszych. Przyniosła potem Oliwerowi coś chłodnego do picia, a następnie pogłaskawszy go po policzku, kazała mu leżeć bardzo spokojnie, bo inaczej na nowo się rozchoruje.

Oliwer leżał więc spokojniutko, częściowo dlatego, że chciał być we wszystkim posłuszny dobrej staruszce, a częściowo — prawdę powiedziawszy — dlatego, że to, co już powiedział, całkowicie go wyczerpało. Wkrótce zapadł w przyjemną drzemkę, z której zbudziło go światło świecy zbliżające się do łożka. W jego blasku ujrzał pana z ogromnym i bardzo głośno tykającym złotym zegarkiem w dłoni. Pan ten zmierzył Oliwerowi puls i powiedział, że jest znacznie lepiej.

— Jest ci znacznie lepiej, prawda, mój kochany? — spytał ów pan.

— Tak, dziękuję panu bardzo — odparł Oliwer.

— No tak, wiedziałem, że tak jest — rzekł pan. — Jeść ci się także chce, prawda?

— Nie, proszę pana — odpowiedział Oliwer.

— Hm! — rzekł pan. — No tak, wiedziałem, że nie. Nie chce mu się jeść, pani Bedwin — rzekł pan robiąc bardzo mądrą minę.

Staruszka z uszanowaniem pochyliła głowę, jakby chciała rzec, że doktor jest bardzo mądrym człowiekiem. Sam doktor zdawał się jak najbardziej podzielać to zdanie.

— Ale chce ci się spać, prawda, mój kochany? — pytał dalej lekarz.

— Nie, proszę pana — odrzekł Oliwer.

— Nie — powtórzył doktor przybierając ogromnie bystrą i zadowoloną minę. — Nie chce ci się spać. Ani pić. Prawda?

— Owszem, proszę pana, chce mi się trochę pić.

— Właśnie tego się spodziewałem, pani Bedwin — rzekł lekarz. — Bardzo naturalne, że mu się chce pić. Może mu pani dać trochę herbatki, szanowna pani, i suchych grzanek bez masła. I niech go pani nie przegrzewa; ale proszę też uważać, żeby się nie przeziębził. Będzie pani tak łaskawa?

Staruszka dygnęła. Doktor spróbował owego chłodnego napoju, po czym wyraziwszy się o nim bardzo pochlebnie, wyszedł spiesźnie. Gdy schodził po schodach, buty jego skrzypiały bardzo dostojnie i dostatnio.

Wkrótce potem Oliwer znowu zapadł w drzemkę, a kiedy się zbudził, była już prawie dwunasta.

Niedługo potem starsza pani czule powiedziała mu dobranoc i zostawiła go pod opieką tłustej starej kobiety, która na chwilę przedtem weszła do pokoju, przyniosłszy ze sobą w zawiniątku małą książeczkę do nabożeństwa i ogromny nocny czepiec. Kładąc ten ostatni na głowę, a tę pierwszą na stole, babulka oznajmiła Oliwerowi, że przysłała czuwać przy nim, po czym przysunęła fotel do

kominka i ucięła sobie serię krótkich drzemek, przerywanych często gęsto gwałtownymi kiwnięciami się do przodu oraz wszelkiego rodzaju jękami i odgłosami, jakie zazwyczaj towarzyszą duszeniu się. Nie miały one wszakże żadnych gorszych skutków prócz tych, że pocierała sobie wtedy bardzo mocno nos i zaraz potem ponownie zasypiała.

I tak powoli wlokła się noc. Oliwer leżał czas jakiś nie śpiąc i liczył kęgi światła, które rzucał na sufit ażurowy abażur, lub też leniwie śledził oczyma zawile wzory na tapecie. Ciemność i głęboka cisza panujące w pokoju nastrajały chłopca bardzo uroczyście: przypominały mu, że przez wiele dni i nocy czaiła się tu śmierć i że może ona jeszcze napełnić ten pokój grozą swej ponurej, straszliwej obecności. Toteż wtuliwszy twarz w poduszkę zaczął żarliwie się modlić.

Stopniowo zapadł w ów głęboki, spokojny sen, który przynosi polepszenie po dopiero co przebytej chorobie; ów niezmacony niczym spoczynek, z którego przykro jest się ocknąć. Gdyby taką była śmierć, któż chciałby zbudzić się na nowo do wszystkich walk i burz życia, do trosk związanych z teraźniejszością, niepokoju o przyszłość, a nade wszystko — dręczących wspomnień przeszłości! Dawno już był biały dzień, kiedy Oliwer otworzył nareszcie oczy; czuł się rześki i szczęśliwy. Kryzys minął, niebezpieczeństwo minęło. Oliwer należał znów do świata.

Po trzech dniach mógł już siedzieć w fotelu, dobrze podparty poduszkami, a ponieważ był jeszcze za słaby, by chodzić, pani Bedwin zniosła go na dół do małego pokoiku, który zamieszkiwała jako gospodyni. Tam zacna staruszka usadowiła go przy kominku i sama usiadła obok, a że była wielce uradowana widząc Oliwera o tyle zdrowszym, zaczęła nagle gwałtownie płakać.

— Nie zwracaj na mnie uwagi, kochanie — rzekła staruszka. — Muszę się tylko porządnie wybeczeć. O, już teraz przeszło i jest mi zupełnie dobrze.

— Pani jest bardzo, bardzo dobra dla mnie — powiedział Oliwer.

— E, to głupstwo, doprawdy głupstwo, kochanie — rzekła staruszka. — Nie ma to nic wspólnego z twoim rosołkiem, a już wielki czas, żebyś go dostał. Doktor mówi, że pan Brownlow może dziś przyjść cię odwiedzić, i musimy wobec tego jak najlepiej wyglądać, bo im lepiej będziemy wyglądali, tym bardziej on będzie rad. — To powiedziawszy staruszka zakrzętała się i podgrzała w rondelku pełną ważkę rosołu tak esencjonalnego, że Oliwer pomyślał, iż gdyby go rozcieńczyć do przepisowej mocy, starczyłoby go na obiad najskromniej licząc dla trzystu pięćdziesięciu nędzarzy w przytułku.

— Czy lubisz obrazy, kochanie? — zapytała staruszka widząc, że Oliwer z największym natężeniem utkwiał wzrok w portrecie, który wisiał na ścianie akurat na wprost jego fotela.

— Nie bardzo wiem, proszę pani — rzekł Oliwer nie odrywając oczu od płótna. — Tak niewiele ich widziałem, że do

prawdy nie bardzo mogę wiedzieć. Jaką śliczną, łagodną twarz ma ta pani!

— Ach! — powiedziała staruszka. — Malarze zawsze tak robią, żeby panie wychodziły ładniejsze, niż są, inaczej nie mieliby żadnej klienteli, moje dziecko. Człowiek, który wymyślił maszynę do robienia podobizn, powinien był wiedzieć, że t o nigdy nie będzie miało powodzenia. Jest o wiele za uczciwe. O wiele! — rzekła starsza pani śmiejąc się serdecznie z własnej przenikliwości.

— Czy... czy to jest czyjaś podobizna, proszę pani? — zapytał Oliwer.

— Tak — rzekła staruszka podnosząc na chwilę wzrok znad rosołu. — To jest portret.

— Czyj, proszę pani? — spytał Oliwer.

— Doprawdy, kochanie, nie wiem — odrzekła starsza pani dobrodusznie. — Przypuszczani, że ani ty, ani ja nie znamy osoby, którą przedstawia. Spodobał ci się, jak widzę, kochanie.

— Jest bardzo ładny — odrzekł Oliwer.

— No, ale przecież chyba się go nie boisz? — zagadnęła staruszka widząc z niemalym zdziwieniem nabożny lęk, z jakim chłopiec spoglądał na malowidło.

— O, nie, nie — odrzekł Oliwer szybko — ale oczy patrzą, tak smutno, a stąd, gdzie siedzę, wydaje się, że utkwione są we mnie. Serce mi od tego bije — dodał Oliwer cicho. — Zdaje mi się, że ten obraz jest żywy i chce przemówić do mnie, ale nie może.

— Panie, zmiłuj się nad nami! — wykrzyknęła staruszka wdrygając się. — Nie mówże tak, dziecko. Jesteś słaby i zdenerwowany po chorobie. Pozwól, przesunę ci fotel na drugą stronę, wtedy nie będziesz go widział. O! — rzekła staruszka postępując zgodnie ze słowami. — Teraz przynajmniej nie widzisz go.

Ale Oliwer widział go oczyma duszy równie wyraźnie, jak gdyby wcale nie zmienił pozycji. Pomyślał jednak, że lepiej nie niepokoić dobrej staruszki, więc uśmiechnął się łagodnie, kiedy spojrziała na niego, a pani Bedwin zadowolona, że tak mu wygodniej, posoliła rosół i z całym namaszczeniem, które przystoi kobiecie czyniącej tak uroczyste przygotowania, wdrobiła do niego nieco grzanek. Oliwer uporał się z posiłkiem z zadziwiającą szybkością. Ledwo przełknął ostatnią łyżkę, rozległo się ciche pukanie do drzwi. — Proszę — rzekła staruszka i do pokoju wszedł pan Brownlow.

Stary pan wszedł żwawy i wesoły, lecz skoro tylko podniósł okulary na czoło i założył ręce w tył pod poły szlafroka, by dobrze przyjrzeć się Oliwerowi, oblicze jego jęło się dziwnie jakoś wykrzywiać.

Oliwer na skutek choroby wyglądał bardzo wynędzniały i wątpliwy. Przez uszanowanie dla swego

dobroczyńcy zrobił bezowocny wysiłek, by wstać, zakończony ponownym opadnięciem na fotel. I faktem jest — jeśli już trzeba powiedzieć prawdę — że serce pana Brownlow, które było tak wielkie, iż wystarczyłoby dla sześciu przeciętnych starszych panów o dobrotliwym usposobieniu, wycisnęło z jego oczu porcję łez na zasadzie jakiegoś hydraulicznego procesu, którego — nie mając dostatecznego filozoficznego przygotowania — wyjaśnić nie umiemy.

— Biedny chłopczek! Biedny chłopczek! — rzekł pan Brownlow chrząkając. — Jestem dzisiaj jakiś zachrypnięty, pani Bedwin. Boję się, że się przeziębilem.

— Mam nadzieję, że nie, proszę pana — powiedziała pani Bedwin. — Wszystko, co pan miał na sobie, było przedtem dobrze przewietrzone.

— Nie wiem, Bedwinko, nie wiem — rzekł pan Brownlow. — Coś mi się zdaje, że wczoraj przy obiedzie serwetka była wilgotna, ale mniejsza z tym. Jakże się czujesz, mój kochany?

— Bardzo mi dobrze, proszę pana — odparł Oliwer. —
bardzo jestem wdzięczny za pańską dobroć dla mnie.

— Zuch chłopiec — rzekł pan Brownlow energicznie. — Dała mu pani coś do jedzenia, Bedwinko? Jakieś pomyjki, co?

— Właśnie wypił całą ważkę pysznego mocnego rosółku, proszę pana — odrzekła pani Bedwin prostując się nieco i kładąc nacisk na ostatnim wyrazie, co miało oznaczać, że pomiędzy pomyjami a esencjonalnym rosółem nie istnieje żaden związek ani pokrewieństwo.

— Pfe! — wstrząsnął się lekko pan Brownlow. — Dwa kieliszki portweinu byłyby mu znacznie bardziej posłużyły. Prawda, Tomie White, co?

— Ja mam na imię Oliwer, proszę pana — odrzekł mały pacjent z bardzo zdziwioną miną.

— Oliwer — powtórzył pan Brownlow — i co dalej? Oliwer White, tak?

— Nie, proszę pana, Twist, Oliwer Twist.

— Dziwaczne nazwisko! — rzekł stary pan. — Dlaczego powiedziałeś sędziemu śledczemu, że nazywałeś się Tom White?

— Nigdy mu tego nie powiedziałem, proszę pana — odparł Oliwer zdumiony.

To tak bardzo wyglądało na kłamstwo, że stary pan spojrzął nieco surowo w twarz Oliwera. Niemożliwe było jednak mu nie wierzyć: z jego wychudłej, o zaostzonych rysach twarzy biła prawda.

— Jakaś pomyłka — powiedział pan Brownlow, lecz choć nie było już powodu, by patrzeć tak bystro na Oliwera, dawna myśl o podobieństwie jego rysów do jakiejś dobrze znajomej twarzy wróciła z taką mocą, że stary pan nie był w stanie oderwać od chłopca spojrzenia.

— Mam nadzieję, że pan się na mnie nie gniewa, proszę pana? — spytał Oliwer podnosząc oczy błagalnie.

— Nie, nie — odparł starszy pan. — Ale co to, Bedwinko, niech no pani tu spojrz!

To mówiąc wskazał pośpiesznie na obraz wiszący nad głową Oliwera, a następnie na twarzyczkę chłopca. Była to żywa kopia portretu. Oczy, kształt głowy, usta, wszystkie rysy były takie same. I wyraz twarzy był w tej chwili tak ludzaco podobny, że najdrobniejszy szczegół zdawał się skopiowany z zadziwiającą dokładnością.

Oliwer nie poznał przyczyny tego nagłego okrzyku, gdyż nie będąc dość silnym, aby znieść wywołany nim wstrząs, zemdlał. To jego zasłabnięcie pozwala opowiadaniu zaspokoić ciekawość czytelnika odnośnie dwóch młodych uczniów wesołego staruszka i podania do wiadomości...

Że kiedy Krętacz i jego utalentowany kolega imię pan Bates dołączyli się do pogoni, która ruszyła za Oliwerem w następstwie bezprawnego przywłaszczenia sobie przez nich przedmiotu będącego osobistą własnością pana Brownlow, kierował nimi wielce chwalebny i przystojny względ na własne osoby; a zważywszy, iż swoboda obywatela i wolność jednostki należą do najpierwszych tytułów do dumy prawdziwego Anglika, nie potrzebują chyba zwracać uwagi czytelnika, że czyn taki winien przyczynić się niemało do wstawienia ich w opinii wszystkich działaczy i patriotów. Wymowny ten dowód ich dbałości o własne bezpieczeństwo i spokój stanowi w niemniejszej mierze potwierdzenie i sprawdzenie owego kodeksu praw, który pewni głębcy i dobrze myślący filozofowie uznali za sprężynę wszelkich poczynań i działań Natury. Tym samym rzeczeni filozofowie bardzo mądrze sprowadzili poczynania owej zacnej damy do dziedziny maksym i teorii i składając tak zgrabny i ładny komplement jej niezwyklej mądrości i rozumowi, całkowicie pominęli wszelkie względy na serce, wielkoduszny impuls czy uczucie. Są to bowiem sprawy zupełnie niegodne owej niewiasty powszechnie uznanej za wyższą ponad liczne słabostki i niedomagania swej pici.

Gdybym potrzebował dalszych dowodów wysoce filozoficznego postępowania wymienionych dwóch młodzieńców w tej nader delikatnej sytuacji, w jakiej się znajdowali, znalazłbym je natychmiast w tym (co zostało również podane do wiadomości na wcześniejszych stronach niniejszego opowiadania), że porzucili pościg, skoro tylko uwaga ogółu skupiła się na Oliwerze, i że skierowali się od razu najkrótszą drogą do domu. Nie myślę bynajmniej twierdzić, iż wszyscy sławni i uczeni mędracy mają zawsze zwyczaj skracania sobie drogi do wielkich konkluzji. Przeciwnie, dążą oni raczej do

zwiększenia odległości za pomocą różnych omówień i zygzakowatego toku wywodów, podobnego temu, na który często skłonni są sobie pozwalać pijani pod wpływem zbyt potężnego nawału myśli. Chcę jednak twierdzić i w samej rzeczy twierdząc całkiem wyraźnie, że wielu potężnych filozofów wprowadzając w czyn swoje teorie ma niezmienny zwyczaj okazywać wielką mądrość i przewidywanie w zabezpieczeniu się przed wszelką ewentualnością, która mogłaby przynieść im szkodę. Tak więc, by zrobić coś wielkiego a dobrego, można wyrządzić małe zło; można też użyć wszelkich środków, które uświęca zamierzony cel, przy czym ustalenie ilości dobra oraz ilości zła czy zgoła rozróżnienie pomiędzy dobrem a złem pozostawia się całkowicie do uznania danego filozofa, licząc na jego jasny, wszechstronny i bezstronny sąd o swym własnym szczególnym przypadku. Dopiero gdy obaj chłopcy przemknęli w bardzo szybkim tempie przez zawiły labirynt wąskich uliczek i dziedzińców, zaryzykowali odpoczynek w niskim i ciemnym sklepionym pasażu. Pozostali tam milcząca akurat tyle czasu, ile trzeba było, by odzyskać oddech i móc mówić, po czym imć pan Bates wydał okrzyk uciechy i zachwytu i wybuchając niepowstrzymanym śmiechem rzucił się na pierwszy lepszy próg i jął tarzać się po nim w napadzie wesołości.

— Co się stało? — zapytał Krętacz.

— Ha! ha! ha! — ryczał Karolek Bates.

— Przestań się drzeć — upomniął go Krętacz oglądając się ostrożnie dokoła. — Chcesz, żeby cię capnęli, idioto?

— Nie mogę — rzekł Karolek — nie mogę! Tam on leci jak szalony, obija się na zakrętach, wpada na latarnie i pędzi dalej, jak gdyby też zrobiony był z żelaza, a ja, z tą chustką w kieszeni, huzia za nim! To ci heca! — Bujna wyobraźnia młodego pana Batesa odmalowała mu tę scenę w nazbyt żywych barwach. Doszedłszy do ostatniej apostrofy znów zaczął tarzać się po progu, śmiejąc się głośniejsz niż dotychczas.

— Co powie Fagin? — spytał Krętacz korzystając z pierwszej przerwy spowodowanej brakiem tchu u przyjaciela.

— Co? — powtórzył Karolek.

— Właśnie: co? — rzekł Krętacz.

— A cóż by miał powiedzieć? — zapytał Karolek i dość raptownie przestał się śmiać, ponieważ ton Krętacza był nader sugestywny. — Cóż może powiedzieć?

Pan Dawkins gwizdał przez parę chwil, po czym zdjął kapelusz, podrapał się po głowie i kiwnął nią po trzykroć.

— Co to ma znaczyć? — spytał Karolek.

— Tru-lu-lu-lu, entliczki pentliczki, trumf, trum i kuku-rykuuu! — rzekł Krętacz z lekkim grymasem pogardy na swym obliczu intelektualisty.

Wyjaśniało to wiele, ale nie wszystko. Tak przynajmniej zdawało się imć panu Batesowi, który zapytał ponownie:

— Co to ma znaczyć?

Krętacz nie odpowiedział, lecz włożył z powrotem kapelusz i zgarniając pod pachę długie poły swego surduta, wypchał językiem policzek, spłaszczył sobie nos palcem z pół tuzina razy w sposób znany, lecz pełen wyrazu, i odwróciwszy się na pięcie, ruszył chyłkiem w głąb dziedzińca. Karolek Bates ruszył za nim z zachmurzonym obliczem.

Parę minut po tej rozmowie odgłos kroków, na trzeszczących schodach doszedł do uszu wesołego staruszka, który siedział przy ogniu, trzymając w lewej ręce suszoną kiełbasę i mały bochenek chleba, a w prawej szczyrzyk. Na trójnożnym stoliku stał cynowy dzbanek do piwa. Łotrowski uśmiech igrał na bladej twarzy starucha, gdy się odwrócił i patrząc bystro spod gęstych rudych brwi, zwrócił ucho ku drzwom i jął nasłuchiwać.

— A to co takiego? — wymamrotał, a twarz mu się zmieniła. — Tylko dwóch? A gdzie trzeci? Chyba przecież nie dostali się w jakąś chryję? Sza!

Kroki zbliżyły się; już były na podeście. Drzwi otworzyły się z wolna. Krętacz i Karolek Bates weszli, po czym zamknęli je za sobą.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

INTELIGENTNY CZYTELNIK POZNAJE KILKA NOWYCH POSTACI; PRZY TEJ OKAZJI DOWIADUJE SIĘ RÓŻNYCH PRZYJEMNYCH SPRAW ZWIĄZANYCH Z NINIEJSZYM OPOWIADANIEM

— Gdzie Oliwer? — spytał Fagin podnosząc się z miejsca z groźnym wyrazem twarzy. — Gdzież ten chłopak?

Młodzi złodzieje popatrzyli na swego preceptora, jak gdyby przerażeni jego gwałtownością, po czym spojrzeli po sobie speszeni. Nie dali jednak żadnej odpowiedzi.

— Co się stało z chłopakiem? — krzyknął staruch chwytając Krętacza mocno za kołnierz i grożąc, mu

wśród straszliwych złorzeczeń. — Gadaj albo cię zaduszę!

Pan Fagin zdawał się traktować tę groźbę tak poważnie, że Karolek Bates, który zawsze wolał być ostrożny, a uważał za wysoce prawdopodobne, że i on również może z kolei zostać uduszony, upadł na kolana i wydał z siebie głośny, mocny i przeciągły ryk — coś pośredniego między głosem rozszalałego byka a dźwiękiem okrętowej tuby.

— Będiesz gadał czy nie? — grzmiał Fagin trzęsąc Krętaczem tak mocno, że cudem prawdziwym było, iż nie zleciał z niego zbyt obszerny surdut.

— Ano, cóż, łapacze go capnęli i to wszystko — rzekł ponuro Krętacz. — No, puszczasz mnie wreszcie czy nie? — I wyrwawszy się jednym ruchem, tak że tylko jego obszerny surdut pozostał w ręku Żyda, Krętacz porwał kuchenny widelec i wymierzył w kamizelkę wesołego staruszka cios, który — gdyby wywołał zamierzony skutek — wypuściłby zeń taką porcję wesołości, którą trudno by było zastąpić.

W tej krytycznej chwili staruch uskoczył wstecz ze zwinnością, której nie można było oczekiwać po tak zgrzybiałym na pozór człowieku, schwycił dzbanek i zamierzał cisnąć nim w głowę napastnika. Lecz w tymże samym momencie Karolek Bates zwrócił na siebie jego uwagę straszliwym zgoła wyciem, toteż zmienił cel i rzucił dzbanek wprost w owego młodzieńca. — Ejże, cóż się tu, u diabła, dzieje? — ozwał się mrukliwy, niski głos. — Kto to cisnął tym we mnie? Dobrze, że to piwo, a nie dzbanek trafił we mnie, bobym tu zaraz kogoś uspokoił. Mogłem się spodziewać, że tylko taki przekłety bogacz, taki cholerny stary złodziej i zdzierca może sobie pozwolić na wylewanie innego trunku prócz wody — a i wody szkoda, chyba żeby się na każdej kwarcie oszukało Spółkę Rzeczną. Co się stało, Fagin? Cholera, całą chustkę na szyi mam mokrą od piwa! Pójdź tu, gadzino jedna; czego sterczysz za drzwiami, jakbyś się wstydził swego pana! Pójdź tu, do nogi!

Człowiek, który wypowiedział te słowa, był to krzepko zbudowany trzydziestopięcioletni drab w czarnej welwetowej kurtce, bardzo brudnych hajdawerach z ordynarnej wełny oraz sznurowanych butach i szarych bawełnianych pończochach, w których tkwiły potężne nogi o wielkich wydatnych łydkach — nogi, które w podobnym stroju zawsze wydają się niekompletnie odziane, jeśli nie zdobi ich para kajdan. Na głowie miał brązowy kapelusz, a wokoło szyi związana była brudna kolorowa chustka; mówiąc wycierał sobie z twarzy piwo jej długimi, wystrzępionymi końcami. Gdy skończył, ukazała się szeroka, z gruba ciosana twarz pokryta trzydniowym zarostem oraz para gniewnych oczu; dokoła jednego z nich widniały wielobarwne ślady niedawnej bójki.

— Właż tu, słyszysz? — warknął ten odznaczający się nader zachęcającym wyglądem łotr.

Do pokoju wśliznął się niechętnie biały kudłaty psiak; pysk jego był podrapany i pokiereszowany w dwudziestu co najmniej miejscach.

— Czegoś nie wlażł wcześniej? — powiedział mężczyzna. — Za dumny się już robisz, żeby przyznawać się do mnie w towarzystwie, co? Leżeć!

Rozkazowi temu towarzyszyło kopnięcie, dzięki któremu pies znalazł się w drugim końcu pokoju. Był jednak widocznie przyzwyczajony do tego, gdyż bardzo spokojnie, nie wydając żadnego dźwięku, zwinął się w kłębek i mrugając złośliwymi ślepiami dwadzieścia razy na minutę, zajął się oględzinami mieszkania.

— Cóż ty wyprawiasz? Znęcasz się nad chłopcami, ty chciwy, skąpy, nie-na-sy-co-ny stary paserze? — rzekł mężczyzna siadając energicznie. — Dziwię się, że cię nie zamordują! Już j a bym to zrobił na ich miejscu. Gdybym ja był twoim uczniem, byłbym to zrobił już dawno, a potem... Nie, nie mógłbym cię potem sprzedać, bo nadajesz się tylko do tego, żeby cię trzymać w szklanej butli jako dziwo brzydoty, a takich dużych butli teraz się nie wyrabia.

— Sza! Sza! Panie Sikes — rzekł Fagin drżąc cały. — Nie mów pan tak głośno.

— Tylko bez „panowania” — odpalił bandyta. — Zawsze coś knujesz, kiedy gadasz w ten sposób. Wiesz, jak mam na imię, jazda, nazywaj mnie po imieniu! Jak przyjdzie co do czego, nie przyniosę mu wstydu. .

— No, dobrze już, dobrze, Billu Sikes — powiedział Fagin z obrzydliwą pokorą. — Jesteś jakoś w złym humorze, Bill.

— Może i jestem — odrzekł Sikes. — Zdaje mi się, że i t y jesteś trochę nie w sosie, chyba że rzucać cynowymi dzbankami to u ciebie nic złego, tak samo jak wypaplać i...

— Czyś oszalał? — krzyknął Fagin łapiąc go za rękaw i wskazując na chłopców.

Pan Sikes poprzestał na zawiązaniu wyimaginowanego węzła poniżej lewego ucha i przekrzywieniu głowy na prawe ramię, którą to pantominę Fagin najwidoczniej doskonale rozumiał. Następnie — w dosadnych słowach, którymi wszystkie jego wypowiedzi były gęsto naszpikowane, lecz które, gdyby je tu przytoczyć, byłyby całkiem niezrozumiałe — zażądał szklanki jakiegoś trunku.

— A uważaj, żebyś nie dosypał czasem trucizny — dodał pan Sikes kładąc kapelusz na stole.

Powiedziane to było żartem, lecz gdyby mówca mógł widzieć jadowite spojrzenie starucha, gdy przygryzając blade wargi odwrócił się do kredensu, byłby uznał ostrzeżenie za nie całkiem niepotrzebne i pojąłby, że w każdym razie chęć pewnego uzupełnienia recepty fabrykanta napojów

wyskokowych nie była zbyt obca sercu wesołego staruszka.

Wychyliwszy parę kieliszków pan Sikes raczył zwrócić uwagę na młodych kawalerów, a uprzejmość ta doprowadziła do rozmowy, w której przyczyna i okoliczności ujęcia Oliwera zostały szczegółowo przedstawione z takimi zmianami i odchyleniami od prawdy, jakie Krętacz uznał w danej sytuacji za najbardziej wskazane.

— Obawiam się — rzekł Fagin — że może wygadać się z czymś, co nas nabawi kłopotu.

— To bardzo możliwe — odparł Sikes ze złośliwym uśmiechem. — Już po tobie, Fagin.

— I jeszcze jednej rzeczy się boję — dodał Fagin, jakby nie zauważywszy wtrąconych słów tamtego i patrząc nań bystro przez cały czas. — Boję się, że gdyby z nami było krucho, byłoby krucho także z wieloma innymi i że skutek byłby raczej gorszy jeszcze dla ciebie niż dla mnie, mój drogi.

Mężczyzna drgnął i odwrócił się do starca, ule Fagin wtulił głowę w ramiona aż po uszy, a oczy jego patrzyły bez wyrazu na przeciwną ścianę.

Nastąpiło długie milczenie. Każdy z członków tego szacownego zgromadzenia zdawał się pogrążony we własnych rozmyśleniach, nie wyłączając psa, który oblizywał złośliwie wargi zdając się knuć napaść na nogi pierwszego pana lub pani, których uda mu się spotkać po wyjściu na ulicę.

— Ktoś musi się dowiedzieć, co z nim zrobili w komisariacie — rzekł pan Sikes znacznie cichszym głosem niż dotychczas.

Fagin kiwnął potwierdzająco głową.

— Jeżeli nie sygnął, a dostał wyrok, nie ma się czego bać aż do chwili, kiedy wyjdzie — rzekł pan Sikes. — A wtedy trzeba będzie dobrze go pilnować. Musicie jakoś dostać go z powrotem w ręce.

Znowu Fagin kiwnął głową.

Przezorność tej linii działania była w samej rzeczy oczywista, lecz niestety przyjęcie jej utrudniała jedna bardzo poważna przeszkoda, mianowicie, że wszyscy: i Krętacz, i Karolek Bates, i Fagin, i pan William Sikes żywili gwałtowną i głęboko zakorzenioną odrazę do pokazania się w pobliżu komisariatu policji pod jakimkolwiek bądź pretekstem i z jakiegokolwiek bądź powodu.

Trudno odgadnąć, ile czasu siedzieliby tak i patrzyli jeden na drugiego, pogrążeni w stanie niepewności nie należącym do najprzyjemniejszych w swoim rodzaju. Nie potrzeba wszakże snuć domysłów na ten temat, gdyż nagle wejście tych samych dwóch panienek, które poznał kiedyś Oliwer, sprawiło, że rozmowa ożywiła się i z nową siłą potoczyła dalej.

— O, właśnie! — rzekł Fagin. — Bet pójdzie. Prawda, że pójdziesz, moja droga?

— A dokąd? — zapytała panienka.

— Tylko do komisariatu, moja droga — rzekł staruch przypochlebnie.

Trzeba stwierdzić, że panienka nie powiedziała wręcz, iż nie pójdzie; wyraziła jedynie z naciskiem i przekonaniem pogląd, że jeszcze nie zwariowała. Było to uprzejme i delikatne uchylenie się od spełnienia postawionego jej żądania, świadczące o tym, że młoda dama posiadała owo naturalne dobre wychowanie, które wzdryga się przed zadaniem bliźniemu bólu w postaci bezpośredniej, brutalnej odmowy.

Oblicze Fagina spochmurniało. Odwrócił się od tej panienki, która była barwnie, by nie powiedzieć przepysznie odziana, nosząc czerwoną sukienkę, zielone trzewiki i żółte papiloty, i zwrócił się do drugiej.

— Nancy, moja droga — rzekł przymilnym głosem — a ty co powiesz?

— Że nic z tego, więc nie ma co próbować, Fagin — odrzekła Nancy.

— Co to ma znaczyć? — spytał pan Sikes spoglądając na nią gniewnie.

— To, co mówię, Bill — spokojnie odparła panienka.

— Ależ ty się w sam raz do tego nadajesz — perswadował pan Sikes. — Nikt w tych stronach nie wie nic o tobie.

— I nie chcę, żeby się dowiedział — odparła Nancy tym samym spokojnym tonem. — Nie pójde, Bill.

— Ona pójdzie, Fagin — powiedział Sikes.

— Nie, ona nie pójdzie, Fagin — rzekła Nancy.

— Owszem, pójdzie, Fagin — powtórzył Sikes.

I pan Sikes miał rację. Siłą kolejnych gróźb, namów i obietnic skłoniono na koniec wyżej wymienioną młodą damę, by podjęła się owej misji. Trzeba przyznać, że nie musiała liczyć się z tymi względami, które wstrzymywały jej czarującą przyjaciółkę, gdyż niedawno dopiero przeniosła się w okolice Field Lane z odległego, lecz wytwornego przedmieścia Ratcliffe, wobec czego nie potrzebowała się obawiać, że rozpozna ją ktokolwiek z jej licznych znajomych.

Założywszy tedy na suknię czysty biały fartuszek i schowawszy papiloty pod słomkowy kapeluszek (oba te artykuły odzieżowe wydobyto z niewyczerpanych zasobów Żyda) — panna Nancy gotowała się do wyjścia w wiadomej sprawie.

— Poczekaj chwilę, moja droga — rzekł Fagin dobywając mały koszyczek z pokrywką. — Trzymaj to w jednej ręce. Tak będzie przyzwoiciej, moja droga.

— Daj jej duży klucz od bramy w drugą rękę, Fagin — rzekł Sikes. — To będzie wyglądało

prawdziwie i przekonywająco.

— Tak, tak, mój drogi, słusznie — rzekł staruch zawieszając paniencę na wskazującym palcu prawej ręki wielki klucz od drzwi wejściowych. — O tak. Bardzo dobrze! Naprawdę bardzo dobrze, moja droga! — powtórzył zacierając ręce.

— Och, mój braciszek! Mój biedny, kochany, słodki, niewinny braciszek! — wykrzyknęła Nancy wybuchając łzami i w istnym szale rozpaczy załamując ręce, wraz z trzymanym koszyczkiem i kluczem. — Co się z nim stało? Gdzie go zabrali? Och, ulitujcie się i powiedzcie mi, coście zrobili z tym kochanym chłopczykiem, panowie. Ulitujcie się, panowie, jeśli łaska!

Wypowiedziawszy te słowa — ku nieopisanemu zachwytowi słuchaczy — jak najbardziej żalonym i zrozpaczonym tonem, panna Nancy urwała, mrugnęła okiem do całego towarzystwa, z uśmiechem kiwnęła głową każdemu po kolei i znikła.

— O, to sprytna dziewczyna, moi drodzy — powiedział Fagin zwracając się do swych młodych przyjaciół i trzęsąc, poważnie głową, jakby zachęcał ich milcząco do naśladowania świetnego przykładu, który właśnie oglądali.

— Przynosi zaszczyt swojej płci — rzekł pan Sikes. Napelił sobie kieliszek, po czym grzmotnął w stół olbrzymią pięścią. — Za jej zdrowie i oby wszystkie były takie jak ona!

W czasie gdy wypowiadano te i wiele innych podobnych górnolotnych pochwał utalentowanej Nancy, panienka ta udała się jak najspieszniej do komisariatu, dokąd też przybyła wkrótce potem zgola bezpiecznie, mimo pewnego naturalnego onieśmienia wywołanego tym, że musiała iść przez ulice sama i bez opieki.

Weszła od tyłu, zastukała cicho kluczem do drzwi jednej z cel i jęła nasłuchiwać. Z wewnątrz nie dochodził żaden odgłos, więc kaszlnęła i znów nastawiła uszu. Wciąż nie było żadnej odpowiedzi, toteż wreszcie zdecydowała się przemówić.

— Nolly, jesteś tam, kochanie? — szepnęła Nancy delikatnym głosikiem — Nolly?

W celi nie było nikogo prócz nędznego, bosego przestępcy, którego aresztowano za to, że grał na flecie, i którego po nie zbitym udowodnieniu mu tej zbrodni przeciw społeczeństwu, pan Fang bardzo słusznie skazał na miesiąc domu poprawczego, a do wyroku dorzucił stosowną i dowcipną uwagę, że skoro ma tyle tchu na zbyciu, zdrowiej mu będzie użytkować go przy kieracie niż grając na instrumencie muzycznym. Złoczyńca ów nie odpowiedział Nancy, gdyż zajęty był oplakiwaniem w duchu utraty fletu, który uległ konfiskacie na rzecz hrabstwa. Nancy przeszła zatem do następnej celi i zastukała z kolei do jej drzwi.

— A co tam? — odezwał się cichy i słaby głos.

— Czy jest tam mały chłopczyk? — zapytała Nancy poprzedzając pytanie szlochem.

— Nie — odparł głos — uchowaj Boże.

Tym razem był to sześćdziesięcioletni włóczęga, który miał pójść do więzienia za to, że nie grał na flecie, czyli innymi słowy za to, że żebrał po ulicach i niczym nie zarabiał na życie. W następnej celi był inny mężczyzna, który miał pójść do tegoż więzienia za sprzedawanie bez koncesji blaszanych rondli, zarabiając w ten sposób na życie na przekór odpowiedniemu urzędowi.

Lecz ponieważ żaden z tych przestępców nie miał na imię Oliwer ani też nic o nim nie wiedział, przeto Nancy skierowała się wprost do dobrodusznego policjanta w pasiastej kamizelce i wśród najżałośniejszych zawodzeń i lamentów, podkreślonych, jeszcze przez szybkie i wydatne wymachiwanie kluczem i koszyczkiem, jęła domagać się swego kochanego braciszka.

— Przecież ja go nie mam, panienko kochana — powiedział stary.

— Gdzież on jest? — wrzasnęła Nancy obłąkanym głosem.

— Ten pan go zabrał — odrzekł policjant.

— Co za pan? O, miłosierne nieba! Co za pan? — wykrzyknęła Nancy.

W odpowiedzi na to pytanie stary poinformował strapioną głęboko siostrę, że Oliwer zachorował w urzędzie i został zwolniony w następstwie zeznań świadka, który udowodnił, że kradzieży dokonał inny, nie ujęty chłopiec; że oskarżyciel zabrał Oliwera, nieprzytomnego, ze sobą do własnego domu; o tym ostatnim zaś informujący wiedział tylko tyle, że mieścił się gdzieś w Pentonville, słyszał bowiem tę nazwę we wskazówkach udzielanych dorożkarzowi.

W straszliwym stanie zwątpienia i niepewności zrozpaczona młoda kobieta slaniając się doszła do bramy, po czym zmieniawszy chwiejny krok na szybki bieg powróciła do mieszkania Fagina najbardziej okreżną i skomplikowaną drogą, jaką potrafiła wymyślić. Skoro tylko pan Bill Sikes usłyszał sprawozdanie z ekspedycji, i wielkim pośpiechem zawołał białego psa i nałożywszy kapelusza wyniósł się szybko, nie tracąc czasu na formalności pożegnalne.

— Musimy dowiedzieć się, gdzie on jest, moi drodzy; musimy go znaleźć — rzekł Fagin, ogromnie podniecony. — Karolku, nie rób nic innego, tylko kręć się po okolicy, dopóki nie zdobędziesz o nim jakiejś wiadomości! Nancy, moja droga, musicie mi go znaleźć. Tobie, moja droga, tobie i Przemyslnemu powierzam całą sprawę! Poczekajcie, poczekajcie — dodał odmykając drżącą ręką jedną z szuflad — macie tu pieniądze, moi drodzy. Zamknę tę budę na dzisiejszą noc. Będziecie

wiedzieli, gdzie mnie znaleźć. Nie zatrzymujcie się tu ani chwili. Ani minuty, moi drodzy! To mówiąc wypchnął ich z pokoju, po czym zamknął za nimi drzwi na dwa spusty, zaryglował je i wyciągnął ze schowka skrzynkę, którą niechcący pokazał kiedyś Oliwerowi. Następnie ją pośpiesznie chować na sobie zegarki i biżuterię. Wśród tych czynności zaskoczyło go pukanie do drzwi.

— Kto tam? — krzyknął przenikliwym głosem.

— Ja! — odpowiedział głos Krętacza przez dziurkę od klucza.

— Czego znów chcesz? — zawołał Fagin niecierpliwie.

— Nancy się pyta, czy trzeba go porwać do tamtej meliny? — spytał Krętacz.

— Tak, skoro tylko dostanie go w ręce — odparł staruch. — Znajdźcie go, wynajdźcie go, to wszystkim! Już ja będę wiedział, co potem zrobić, nie bójcie się.

Chłopiec pomrukiem wyraził zrozumienie i zbiegł po schodach w ślad za towarzyszymi.

— Do tej pory nie sypanął — rzekł Fagin wracając do swego zajęcia. — Jeśli zamierza zakapować nas przed swymi nowymi przyjaciółmi, może uda się jeszcze zamknąć mu przedtem usta.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY ZAWIERA DALSZE SZCZEGÓŁY POBYTU OLIVERA U PANA BROWNLAW ORAZ DONIOSŁĄ PRZEPOWIEDNIĘ, KTÓRĄ NIEJAKI PAN GRIMWIG WYPOWIEDZIAŁ O OLIVERZE, GDY WYSLANO GO Z PEWNYM POLECENIEM

Oliwer wkrótce ocknął się z omdlenia, o które przyprawił go nagły okrzyk pana Brownlow. W rozmowie, która potem nastąpiła, zarówno stary pan jak i pani Bedwin starannie unikali tematu obrazu. W ogóle rozmowa ta nie odnosiła się zupełnie ani do dziejów, ani do przyszłości Oliwera, lecz ograniczała się do takich tematów, które mogły go zabawić nie podniecając jednocześnie. Był jeszcze za słaby, żeby wstawać na śniadanie, ale kiedy następnego dnia zeszedł do pokoju gospodyni, pierwszą jego czynnością było rzucić pośpiesznie okiem na ścianę w nadziei ujrzania na nowo twarzy ślicznej pani. Zawiódł się jednak w swych nadziejach, bo obraz tymczasem usunięto.

— A! — rzekła gospodyni śledząc za wzrokiem Oliwera. — Nie ma go już, jak widzisz.

— Widzę, proszę pani — odrzekł Oliwer. — Dlaczego go zdjęto?

— Zdjęto go, moje dziecko, dlatego, że pan Brownlow powiedział, że ponieważ widocznie obraz cię niepokoił, mógłby ci przeszkodzić w powrocie do zdrowia — odpowiedziała staruszka.

— O, nie, doprawdy. On mnie wcale nie niepokoił, proszę pani. Lubiałem na niego patrzeć. Ja go po prostu kochałem.

— No, no! — rzekła staruszka dobrotliwie. — Powracaj do zdrowia tak szybko, jak tylko potrafisz, a powiesimy go na nowo. Tak! Obiecuję ci to! A teraz pogadajmy o czymś innym.

To było wszystko, czego Oliwer zdołał się wówczas dowiedzieć o obrazie. Ponieważ staruszka była tak dobra dla niego w czasie jego choroby, starał się na razie nie myśleć o nim więcej. Wysłuchał tedy z uwagą licznych jej opowiadań o miłej i przystojnej córce, która wyszła za mąż za miłego i przystojnego człowieka i mieszkała na wsi, o synu, który był urzędnikiem u pewnego kupca w Indiach Zachodnich i który także był ogromnie zacnym chłopcem i pisał do domu cztery razy na rok takie miłe i pełne synowskiego oddania listy, że na wspomnienie o nich łzy nabiegły jej do oczu. Gdy staruszka skończyła się rozwodzić nad niezwykłymi przymiotami swych dzieci, a prócz tego nad cnotami swego poczciwego, dobrego męża, który zmarł, biedaczek, akurat dwadzieścia sześć lat temu, nastąpiła pora podwieczorku. Po podwieczorku zaczęła uczyć Oliwera gry w karty, którą przyswajał sobie tak prędko, jak tylko ona potrafiła uczyć. Grali tedy z wielkim zainteresowaniem i powagą tak długo, póki dla pacjenta nie przyszedł czas na wypicie grzanego wina z wodą i sucharkiem, a następnie na wygodne ułożenie się do snu.

Szcześliwe to były dni, owe dni powrotu do zdrowia. Wszystko było takie spokojne, czyste i uporządkowane, wszyscy tacy dobrzy i delikatni, że po zgiełku i niepokoju, w którym stale żył dotychczas, zdawało się Oliwerowi, że jest w niebie. Skoro tylko nabrał na tyle siły, by móc nałożyć ubranie, pan Brownlow sprawił mu nowiusieńki garnitur, czapkę i trzewiki; ponieważ powiedziano Oliwerowi, że ze starym ubraniem może zrobić, co zechce, oddał je służącej, która była dla niego bardzo dobra, i poprosił, by je sprzedała handlarzowi i zatrzymała pieniądze dla siebie. Uczyniła to z miłą chęcią, a kiedy Oliwer przez okno bawialni zobaczył, jak Żyd handlarz pakuje stare łachy do torby i odchodzi, rozkosz sprawiła mu myśl, że oto już ich nie ma, że nie grozi mu już nigdy konieczność nałożenia ich na nowo. Żaloszne to były łachy, prawdę powiedziawszy, a przy tym Oliwer jeszcze nigdy w życiu nie miał nowego ubrania.

Jednego wieczoru, może w tydzień po zdarzeniu z obrazem, kiedy siedział pogrążony w rozmowie z panią Bedwin, przyszła wiadomość z góry od pana Brownlow, że jeśli Oliwer Twist czuje się dobrze, chciałby go widzieć u siebie w gabinecie i troszkę z nim pogadać.

— Boże, błogosław nas i ratuj! Umyjże ręce i pozwól, niech ci zrobię ładny przedziałek, dziecinko — rzekła pani Bedwin. — Serce ty moje! Gdybyśmy wiedzieli, że cię zawoła, bylibyśmy ci nałożyli

czysty kołnierzyk i zrobili z ciebie eleganta, jak się patrzy!

Oliwer zrobił, co mu kazała staruszka, a choć ona tymczasem biadała żałością, że nie było nawet czasu na uplisowanie falbaneczki przy kołnierzu od koszuli, przecież nawet bez tego ważnego dodatku chłopiec wyglądał tak delikatnie i ładnie, że obejrzawszy go z zadowoleniem od stóp do głów, staruszka stwierdziła, że nawet najdłuższe przygotowania niewiele mogłyby zmienić na lepsze w jego wyglądzie.

Podniesiony w ten sposób na duchu, Oliwer zastukał do drzwi gabinetu. Gdy pan Brownlow poprosił go do środka, wszedł i znalazł się w małym pokoiku pełnym książek, z oknem wychodzącym na jakieś przyjemne ogródki. Pod okno przysunięty był stół, przy którym siedział czytając pan Brownlow. Gdy ujrzał Oliwera, odsunął książkę i poprosił go, by zbliżył się do stołu i usiadł. Oliwer usłuchał, zastanawiając się głęboko, czy istnieją ludzie zdolni przeczytać wszystkie te książki napisane najwidoczniej po to, by przysporzyć światu mądrości. Jest to zresztą sprawa, nad którą głowią się dotąd przez całe życie ludzie znacznie bardziej doświadczeni od Oliwera.

— Dużo tu książek, prawda, mój chłopcze? — rzekł pan Brownlow widząc ciekawość, z jaką Oliwer przyglądał się półkom, które sięgały od podłogi aż do sufitu.

— Bardzo dużo, proszę pana — odparł Oliwer. — Nigdy w życiu tyłu nie widziałem.

— Przeczytasz je, o ile będziesz dobrze się sprawiał — rzeki stary pan dobrotliwie — i będziesz to wolał od patrzenia na okładki... To znaczy właściwie w pewnych wypadkach, bo są takie książki, w których okładki i grzbiety są warte znacznie więcej od reszty.

— Myślę, że to te ciężkie, proszę pana — rzekł Oliwer wskazując na wielkie tomy *in quarto* w suto złoconej oprawie.

— Nie zawsze — rzekł pan, z uśmiechem gładząc Oliwera po głowie. — Inne bywają równie ciężkie, choć są o wiele mniejszych rozmiarów. Jakby ci się to podobało, gdybyś wyrósł na mądrego człowieka i pisał książki, co?

— Zdaje mi się, że wolałbym je czytać, proszę pana — odpowiedział Oliwer.

— Jak to! Nie chciałbyś być autorem książek? — spytał stary pan.

Oliwer zastanowił się przez chwilę i na koniec rzekł, że według niego byłoby znacznie lepiej być sprzedawcą książek, na co starszy pan roześmiał się serdecznie i oświadczył, że Oliwer powiedział świętą rzecz. Oliwer ucieszył się tym bardzo, choć bynajmniej nie wiedział, o co chodzi.

— No, no — rzekł stary pan przybierając poważny wyraz twarzy. — Nie bój się! Nie zrobimy z ciebie autora, dopóki są

na świecie ucziwe farchy, których można się nauczyć, a w najgorszym razie można zawsze wziąć się za wypalanie cegły.

— Dziękuję panu bardzo — rzekł Oliwer. Słyszając poważny ton jego odpowiedzi stary pan roześmiał się ponownie i powiedział coś o jakimś dziwnym instynkcie; Oliwer, nie rozumiawszy, o co chodzi, nie zwrócił na to większej uwagi.

— A teraz — rzeki pan Brownlow jeszcze dobrotliwszym, jeśli to możliwe, lecz równocześnie znacznie poważniejszym tonem — chcę, żebyś pilnie uważał, mój chłopcze, na to, co ci powiem. Będę mówił z tobą zupełnie szczerze, bo jestem przekonany, że potrafisz zrozumieć mnie równie dobrze jak wielu dorosłych ludzi.

— O, niech mi pan nie mówi, że mnie pan odprawi stąd, proszę pana! — wykrzyknął Oliwer zatrwożony poważnym

tonem wstępu, który wygłosił stary pan. — Niech mnie pan nie wypędza z powrotem na ulicę. Proszę pozwolić mi zostać tutaj i służyć panu. Proszę mnie nie odsyłać do tego okropnego miejsca, skąd przybyłem. Niech się pan zlituje nad biednym chłopcem!

— Moje kochane dziecko — rzekł stary pan, wzruszony żarem nagłego wybuchu Oliwera. — Nie potrzebujesz się obawiać, że cię opuszczę, chyba że mi dasz do tego powód.

— Nigdy, nigdy, proszę pana — przerwał Oliwer.

— Mam nadzieję, że nie — odparł stary pan. — I nie przypuszczam, abyś to kiedy zrobił. Nieraz już przedtem zawodzili mnie ci, którym starałem się dobrze czynić, ale przecież jestem jak najbardziej skłonny ci ufać. A interesuję się tobą bardziej, niż to mogę uzasadnić nawet przed samym sobą. Osoby, które najbardziej ukochałem, leżą głęboko w grobie, ale choć szczęście i radość mego życia też są tam pochowane, przecież nie zrobiłem z serca mego trumny, nie zapieczętowałem w nim na wieki wszystkich mych najlepszych uczuć. Głęboki ból zahartował je tylko i uszlachetnił.

Stary pan mówił to półgłosem, więcej do siebie niż do swego towarzysza, a ponieważ chwilę potem milczał, Oliwer siedział zupełnie nieruchomo.

— No, no! — rzekł wreszcie stary pan weselszym głosem. — Mówię to tylko dlatego, że serce masz młode, a dowiedziawszy się, że miałem wiele smutków i zmartwień, może będziesz bardziej uważał, by nie zadać mi nowego bólu. Mówisz, że jesteś sierotą, że nie masz ani jednego przyjaciela na świecie; wszystkie badania, jakie zdołałem przeprowadzić, potwierdzają to. Niechże posłyszę twoją historię: skąd jesteś, kto cię wychował i w jaki sposób dostałeś się w towarzystwo, w którym cię

znalazłem. Mów prawdę, a póki żyję, nie zabraknie ci przyjaciela. Przez parę minut łkanie nie pozwoliło Oliwerowi przyjść do słowa. A gdy już miał zacząć opowieść o tym, jak wychowywał się na fermie i jak pan Bumble zabrał go do przytułku, rozległo się u drzwi wejściowych bardzo niecierpliwe dwukrotne stukanie, a po chwili wbiegła na górę służąca i zaanonsowała pana Grimwiga.

— Czy on wchodzi na górę? — spytał pan Brownlow.

— Tak, proszę pana — odparła służąca. — Zapytał, czy w domu są ciasteczka, a kiedy mu powiedziałam, że tak, oznajmił, że przyszedł na podwieczorek.

Pan Brownlow uśmiechnął się i zwracając się do Oliwera powiedział, że pan Grimwig to jego stary przyjaciel i że nie należy się przejmować jego nieco szorstkim sposobem bycia, gdyż w gruncie rzeczy jest to zacy człowiek, o czym sam miał okazję się przekonać.

— Czy mam zejść na dół, proszę pana? — zapytał Oliwer.

— Nie — odrzekł pan Brownlow. — Wolałbym, abyś został tutaj.

W tej chwili wszedł do pokoju tegi starszy pan wspierając się na grubej lasce, gdyż kulał trochę na jedną nogę. Ubrany był w niebieski frak, kamizelkę w paski, nankinowe spodnie i getry oraz biały kapelusz z szerokim rondem podszytym zieloną materią. Spod kamizelki wystawała drobniutko plisowana falbanka od koszuli, a pod nią zwieszał się luźno bardzo długi stalowy łańcuszek od zegarka, na końcu którego wisiał jednakże tylko kluczyk. Końce białego halsztuka związane były w kulę wielkości pomarańczy. Twarz owego pana wykrzywiała się w coraz to inne grymasy, niemożliwe wprost do opisanie. Mówiąc miał zwyczaj przechylać głowę na jedną stronę i jednocześnie zerkać kątem oka, przez co patrzącemu nań nieodparcie przypominał papugę. Tę pozę przybrał, skoro tylko wszedł do pokoju i wyciągnąwszy przed siebie na całą długość rękę, w której trzymał mały kawałek skórki od pomarańczy, wykrzyknął zrzędzącym, niezadowolonym głosem:

— Spójrz! Widzisz to? Czy nie jest to niezwykle i dziwne, że nie mogę przyjść do kogoś w odwiedziny, żeby nie znaleźć na schodach kawałka tej dobrodziejki ubogich doktorów? Już raz okulałem przez skórkę od pomarańczy i wiem, że w końcu skórka od pomarańczy przyprawi mnie o śmierć. Tak, jeżeli skórka od pomarańczy nie przyprawi mnie o śmierć, z przyjemnością zjem własną głowę, panie dobrodzieju.

Tą ponętą propozycją pan Grimwig popierał i poświadczał prawie każde swoje twierdzenie, a było to w jego wypadku szczególnie niezwykle, gdyż przyjąwszy nawet, że postęp nauki pozwoliłby na to, by dżentelmen życzący sobie zjeść własną głowę mógł to uczynić — głowa pana Grimwiga była głową tak osobliwie dużą, że nawet człowiek obdarzony najlepszym na świecie apetytem nie mógł ludzię się nadzieją dania jej rady za jednym posiedzeniem — nie mówiąc już o grubej warstwie pudru, którą była pokryta.

— Zjem swoją władną głowę, panie dobrodzieju! — powtórzył pan Grimwig stukając laską o ziemię.

— Halo! A to co? — Popatrzył na Oliwera i cofnął się o jeden czy dwa kroki.

— To ten mały Oliwer Twist, o którym rozmawialiśmy — rzekł pan Brownlow. Oliwer uklonił się.

— Mam nadzieję, że nie chcesz twierdzić, iż to jest ten chłopak, który chorował na febrę? — rzekł pan Grimwig cofając się jeszcze trochę dalej. — Czekaj! Nie mów! Wstrzymaj się — mówił dalej pan Grimwig urywanym głosem, zapominając o strachu przed chorobą wobec triumfu swego odkrycia. — To on jadł tę pomarańczę! Jeżeli to nie jest ten chłopak, który zjadł pomarańczę i rzucił ten oto kawałek skórki na schody, zjem własną głowę i jego na dodatek.

— Nie, nie, on wcale nie jadł pomarańczy — powiedział pan Brownlow ze śmiechem. — Uspokój się! Odłóż kapelusz i porozmawiaj z moim małym przyjacielem.

— Jestem bardzo czuły na tym punkcie, panie dobrodzieju — rzekł drażliwy starszy pan ścigając rękawiczki. — Na naszej ulicy zawsze wala się na chodniku mniej lub więcej skórek od pomarańcz i pewien jestem, że rzuca je ten chłopak od eskulapa z rogu. Wczoraj wieczór pośliznęła się na nich jakaś młoda kobieta i upadła na parkan mojego ogrodu. Jak tylko podniosła się, zobaczyłem, że spogląda na tę diabelną czerwoną lampkę, co to miga za doktorskim szyldem. „Niech pani tam nie chodzi! — zawołałem przez okno — to morderca! to pułapka na ludzi!” I tak jest rzeczywiście. Jeśli tak nie jest... — Tu gniewny starszy pan mocno stuknął laską o podłogę, co jego przyjaciele zawsze rozumieli jako nie wyrażoną słowami zwyczajową zapowiedź zjedzenia własnej głowy. Następnie usiadł, wciąż trzymając laskę i otworzywszy *face-a-main* które nosił zawieszane na szerokiej czarnej wstążce, przyjrzał się dobrze Oliwerowi. Ten widząc, że jest przedmiotem oględzin, zarumienił się i ponownie uklonił,

— To ten chłopiec, co? — rzekł w końcu pan Grimwig.

— Tak, to ten chłopiec — odpowiedział pan Brownlow.

— Jak się masz, chłopcze? — zapytał pan Grimwig.

— Znacznie lepiej, proszę pana — odrzekł Oliwer.

Pan Brownlow obawiał się widocznie, że jego osobliwy przyjaciel zamierza powiedzieć coś nieprzyjemnego, gdyż kazał Oliwerowi zejść na dół i powiedzieć pani Bedwin, że czekają na podwieczorek, co też Oliwer uczynił z przyjemnością, ponieważ sposób bycia gościa wcale mu się nie

podobał.

— Milo chłopczek wygląda, prawda? — zapytał pan Brownlow.

— Nie wiem — odrzekł pan Grimwig cierpko.

— Nie wiesz?

Nie. Nie wiem. Nigdy nie widzę żadnej różnicy między chłopcami. Znam tylko dwa gatunki chłopców: chuderlawych i pyzaty.

— A do których należy Oliwer?

— Do chuderlawych. Jeden z moich znajomych ma pyzatego chłopca. Mówią, że to piękny chłopak: ma okrągłą głowę, czerwone policzki i wybałuszone oczy. Cóż za ohydny bachor! Jego tułów i kończyny wyglądają, jak gdyby rozsadały szwy granatowego ubrania. Głos jak u pilota okrętowego, a apetyt jak u wilka. Już ja go znam! Nieznośne chłopczysko!

— Uspokójże się — rzekł pan Brownlow. — Przecież to nie są wcale cechy charakterystyczne małego Oliwera Twista, więc niepotrzebnie gniewasz się na niego.

— Rzeczywiście, nie są — odrzekł pan Grimwig. — On może mieć gorsze.

W tym miejscu pan Brownlow kaszlnął ze zniecierpliwieniem, co najwidoczniej sprawiło panu Grimwigowi niesłychane zadowolenie.

— Może mieć gorsze cechy, powiadam — powtórzył pan Grimwig. — Skąd on się wziął? Kim on jest? Czym on jest? Miał febrę. I co z tego? Nie sami porządni ludzie miewają febrę. Znałem człowieka, którego powieszono na Jamajce za to, że zamordował swego pana. Miał febrę sześć razy, ale nie darowano mu winy z tego powodu. Eh! Głupstwo!

Faktem było, że w najtajniejszym wnętrzu swego serca pan Grimwig był nader skłonny przyznać, iż wygląd i sposób bycia Oliwera są niezwykle ujmujące. Że jednak zawsze miał chętkę przekomarzenia się, zaostrzoną jeszcze tym razem znalezieniem skórki od pomarańczy, a poza tym powziął w duchu postanowienie, że nikt mu nie będzie dyktował, czy jakiś chłopiec miło wygląda, czy nie, przeto od samego początku zdecydował, że będzie sprzeciwiać się swemu przyjacielowi. Kiedy pan Brownlow przyznał, że na żadne z zadanych pytań nie potrafi jeszcze udzielić zadowolającej odpowiedzi i że odłożył zbadanie przeszłości Oliwera do chwili, gdy chłopiec będzie na to dość silny, pan Grimwig zachichotał złośliwie. Zapytał z pogardliwym uśmiechem, czy gospodyni ma zwyczaj przeliczać srebra przed nocą; bo jeżeli któregoś pięknego poranku nie zauważy braku kilku łyżek stołowych, no, to on będzie gotów... — i tak dalej.

Pan Brownlow, choć sam był nieco porywczy, znając dziwactwa swego przyjaciela zniósł to wszystko z wielką pogodą ducha. Ponieważ przy podwieczorku pan Grimwig łaskawie wyraził całkowite uznanie dla podanych ciasteczek, sprawy potoczyły się dalej bardzo gładko i Oliwer, który brał udział w posiłku, zaczął czuć się swobodniej niż dotąd w obecności groźnego starszego pana.

— A kiedyż to zamierzasz wysłuchać pełnego, prawdziwego i szczegółowego sprawozdania o życiu i przygodach Oliwera Twista? — spytał pan Grimwig pana Brownlow po skończonym posiłku, zerkając przy tym ukosem na Oliwera.

— Jutro rano — odparł pan Brownlow. — Wolałbym, abyśmy wtedy byli sam na sam. Przyjdź do mnie jutro rano o dziesiątej, mój kochany.

— Dobrze, proszę pana — odrzekł Oliwer. Odpowiedział z pewnym wahaniem, gdyż peszył go uporczywy wzrok pana Grimwiga.

— Powiem ci coś — szepnął ów do pana Brownlow. — On nie przyjdzie jutro rano do ciebie.

Widziałem, jak się zawahał. On cię oszukuje, mój przyjacielu.

— Przysięgnę, że nic podobnego — odrzekł gorąco pan Brownlow.

— Jeżeli cię nie oszukuje — rzekł pan Grimwig — to... — i laska stuknęła o podłogę.

— Życiem zaręcę za uczciwość tego chłopca! — powiedział pan Brownlow uderzając dłonią o stół.

— A ja głowę dam, że jest fałszywy — odrzucił pan Grimwig, również uderzając w stół.

— Zobaczmy — rzekł pan Brownlow hamując wzbierający gniew.

— Zobaczmy — odrzekł pan Grimwig z prowokującym uśmiechem. — Zobaczmy.

Los zrządził, że właśnie w tej chwili pani Bedwin wniosła paczkę Ważek, które pan Brownlow kupił rano u tego samego księgarza, który już występował w niniejszym opowiadaniu. Położywszy je na stole zabierała się do wyjścia.

— Niech pani zatrzyma posłańca, pani Bedwin! — rzekł pan Brownlow. — Jest coś do odesłania.

— Już poszedł, proszę pana — odrzekła pani Bedwin.

— Proszę zawołać go z powrotem — powiedział pan Brownlow. — Bardzo mi na tym zależy.

Księgarz to biedny człowiek, a książki są nie zapłacone. Mam także kilka do zwrotu.

Otwarto drzwi na ulicę. Oliwer pomknął w jedną stronę, służąca w drugą, a pani Bedwin stała na progu i z całych sił krzyczała za posłańcem, ale śladu już po nim nie było. Oliwer i dziewczyna wrócili zdyszani meldując, że go nie znaleźli.

— Ach, naprawdę, bardzo mi przykro — wykrzyknął pan Brownlow — specjalnie chciałem dziś jeszcze odesłać te książki.

— Poślij z nimi Oliwera — rzekł pan Grimwig z ironicznym uśmiechem. — On z pewnością dostarczy je w należyтым porządku.

— Tak, proszę pana, niechże mi pan pozwoli je zanieść — powiedział Oliwer. — Będę biegł całą drogę, proszę pana.

Stary pan już miał' odrzec, że Oliwer w żadnym wypadku nie powinien wychodzić, gdy złośliwe chrząknięcie pana Grimwiga skłoniło go do powzięcia postanowienia, że chłopiec pójdzie i przez szybkie wykonanie zlecenia dowiedzie, jak dalece niesprawiedliwe były wszelkie podejrzenia — przynajmniej w tym wypadku.

— Dobrze, pójdiesz, mój kochany — powiedział stary pan. — Książki leżą na krześle obok mego stołu. Przynieś je z góry.

Oliwer uradowany, że może się przysłużyć, z wielkim pośpiechem przyniósł pod pachą książki i z czapką w ręce czekał na zlecenie, co ma powiedzieć księgarzowi.

— Masz mu powiedzieć — rzekł pan Brownlow, stanowczo spoglądając na Grimwiga — masz mu powiedzieć, że odnosisz te książki i że przyszedłeś zapłacić cztery funty i dziesięć szylingów, które mu jestem winien. Tu masz banknot pięciofuntowy, więc będziesz musiał mi odnieść dziesięć szylingów reszty.

— Będę z powrotem najwyżej za dziesięć minut, proszę pana — odparł Oliwer skwapliwie, po czym schował banknot do zapinanej kieszonki w kurtce, książki ułożył sobie starannie pod pachą, uklonił się z uszanowaniem i wyszedł z pokoju. Pani Bedwin odprowadziła go do drzwi wejściowych, udzielając mu licznych wskazówek, któredy mu najbliżej, jak się nazywa księgarz i na jakiej mieszka ulicy.

Oliwer oświadczył, że wszystko doskonale pojął. Dodawszy wiele upomnień, aby się czasem nie przeziębził, staruszka wreszcie pozwoliła mu wyruszyć.

— Boże, błogosław jego słodką twarzyczkę — rzekła staruszka patrząc w ślad za nim. — Jakoś mi dziwnie ciężko tracić go z oczu.

W tej właśnie chwili Oliwer obejrzał się i kiwnął wesoło głową, nim znikł za rogiem ulicy. Staruszka z uśmiechem odwzajemniła pozdrowienie, zamknęła drzwi i wróciła do swego pokoju.

— Wróci najwyżej za dwadzieścia minut — rzekł pan Brownlow wyciągając zegarek i kładąc go na stole. — Do tego czasu będzie już ciemno.

— O, to ty naprawdę spodziewasz się go z powrotem? — zapytał pan Grimwig.

— A ty nie? — spytał pan Brownlow z uśmiechem.

Duch przekory i tak był w tej chwili mocny w piersi pana Grimwiga, a wzmógł się jeszcze pod wpływem pewnego siebie uśmiechu przyjaciela.

— Nie — odparł uderzając pięścią w stół. — Ja nie. Chłopak ma na sobie nowe ubranie, paczkę cennych książek pod pachą i pięciofuntowy banknot w kieszeni. Pójdzie do swoich starych przyjaciół złodziei i będzie się śmiał z ciebie w kułak. Jeśli ten chłopiec kiedykolwiek wróci do tego domu, panie dobrodzieju, zjem własną głowę.

Z tymi słowy przyciągnął krzesło bliżej do stołu. I tak oto obaj przyjaciele siedzieli w milczącym oczekiwaniu, a między nimi leżał zegarek. Dla zilustrowania wagi, jaką przywiązujemy do naszych własnych sądów, oraz zarozumiałej pewności siebie, z jaką formułujemy najbardziej pośpieszne i pochopne wnioski, zauważyć trzeba, że choć pan Grimwig nie był bynajmniej złym człowiekiem i choć byłoby mu szczerze przykro widzieć swego szanownego przyjaciela wystrychniętym na dudka i oszukanym, to jednak w owej chwili naprawdę gorąco pragnął, by Oliwer nie powrócił.

Zrobiło się tak ciemno, że cyfry na tarczy zegarka były już ledwo widoczne, ale obaj starzy panowie siedzieli dalej w milczeniu. Pomiedzy nimi leżał zegarek.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W KTÓRYM POKAZANE JEST, JAK BARDZO WESOŁY STARUSZEK I PANNA NANCY BYLI PRZYWIĄZANI DO OLIWERA TWISTA

W ciemnej salce podłego szynku w najbrudniejszej okolicy Little Saffron Hill, w mrocznej i posępnej norze, gdzie zimą przez cały dzień paliło się migotliwe światło gazowe, a latem nie docierał ani jeden promyk słońca, siedział mężczyzna w welwetowej kurtce, krótkich spodniach z ordynarnego sukna, sznurowanych butach i pończochach, ponuro zadumany nad niewielką cynową kwaterką i kieliszkiem mocno woniejącym alkoholem. Każdy doświadczony agent policji nawet w tym przyćmionym świetle rozpoznałby w nim natychmiast pana Williama Sikesa. U jego stóp siedział biały, czerwonooki pies; zajmował się on na zmianę mruganiem na swego pana obydwojma oczami na raz i oblizywaniem dużej świeżej rany po jednej stronie pyska, najwidoczniej wyniku jakiejś niedawno stoczonej walki.

— Siedz spokojnie, gadzino jedna! Siedz spokojnie! — rzekł pan Sikes, nagle przerywając milczenie. Czy jego medytacje były tak intensywne, że przeszkadzało mu w nich mruganie psa, czy też wzburzyły go one tak dalece, że konieczna stała się dlań ulga, jaką sprawia kopnięcie niewinnego zwierzęcia — na ten temat można by spierać się i snuć rozważania. Jakakolwiek była przyczyna, skutkiem był

kopniak i przekleństwo, które równocześnie spadły na psa.

Psy nie mają na ogół zwyczaju mścić się za krzywdy wyrządzone im przez ich panów, lecz pies pana Sikesa, który dzielił z nim pewne wady charakteru, a w tej chwili, być może, poczuł się niesłuchanie skrzywdzony, bezzwłocznie wpił się zębami w jeden ze sznurowanych butów. Zatarławszy nim porządnie, wycofał się, warcząc, pod ławkę, o włos unikając uderzenia cynową miarką, którą pan Sikes cisnął w jego głowę.

— Chciałbyś, co? — powiedział Sikes chwytając jedną ręką pogrzebacz, a drugą z rozmysłem otwierając duży nóż skła-

dany, który wydobyl z kieszeni. — Chodź tu, ty wcielony diable! Chodź tu! Słyszysz?

Pies niewątpliwie słyszał, gdyż pan Sikes przemawiał najostrzejszym tonem swego zawsze ostrego głosu, lecz zując widocznie jakąś niewytłumaczoną niechęć do perspektywy poderżniętego gardła, pozostał tam, gdzie był, warcząc tylko jeszcze groźniej niż dotychczas. Równocześnie złapał zębami koniec pogrzebacza i jał gryźć go z zjadłością dzikiej bestii.

Opór ten jeszcze bardziej rozjuszył pana Sikesa, który rzucił się na kolana i zaczął z furią nacierać na psa. Ten skakał na prawo i na lewo, kłapiąc zębami, warcząc i szczekając. Człowiek kłuł i kłął, walił i zlorzczył i walka zbliżała się do krytycznego dla jednego z walczących momentu, gdy nagle drzwi otworzyły się, pies rzucił się do nich i uciekł, a Bill Sikes pozostał z pogrzebaczem i nożem w rękach. W każdej kłótni muszą być dwie strony, powiada stare przysłowie. Pan Sikes, pozbawiony swego psiego przeciwnika, natychmiast przeniósł zapał do kłótni na nowoprzybyłego.

— Dlaczego, u diabła, włączysz tu pomiędzy mnie a mego psa? — rzekł Sikes z groźnym gestem.

— Nie wiedziałem, mój drogi, nie wiedziałem — odparł pokornie Fagin, gdyż on to był owym przybyszem.

— Nie wiedziałeś, ty tchórze, złodzieju! — warknął Sikes. — Nie słyszałeś hałasu?

— Ani troszeczkę, jakem żyw, Bill — odrzekł Fagin.

— O nie! Ty nic nie słyszysz, nic a nic — odpalił Sikes z szyderym grymasem. — Wślizgujesz się i wyślizgujesz tak, że nikt cię nie słyszy. Żałuję, że nie byłeś tym psem pał minuty temu.

— Dlaczego? — spytał staruch z wymuszonym uśmiechem.

— Dlatego że rząd, który dba o życie takich ludzi jak ty, co to nie mają ani połowy tej odwagi, jaką mają kundle, pozwala człowiekowi zabić psa, kiedy mu się podoba — odparł Sikes składając nóż z bardzo wymownym spojrzeniem. — Oto dlaczego.

Żyd zatarł ręce i siadając przy stole udawał, że śmieje się z żartów przyjaciela. Widać było jednak, że czuje się bardzo nieswojo.

— Śmieję się, śmieję — rzekł Sikes odkładając na miejsce pogrzebacz i patrząc na Fagina ze złością i pogardą. — Szczere zęby, ile chcesz. Nigdy jednak nie zakpisz sobie ze mnie, chyba kiedy już będę dyndał. Mam przewagę nad tobą, Fagin, i niech mnie diabli wezmą, jeżeli zamierzam ją stracić.

Widzisz: jeżeli ze mną będzie kiepsko, to i z tobą. Więc dbaj o mnie.

— No, no, mój drogi — rzekł Fagin — wiem to wszystko. My... my... mamy wspólne interesy, Bill, wspólne interesy.

— Hm-m... — rzekł Sikes, jak gdyby uważał, że interesy te korzystne są raczej dla Żyda niż dla niego.

— Cóż mi masz do powiedzenia?

— Wszystko przeszło bezpiecznie przez tygiel — odparł Fagin — i oto masz swoją część. Jest trochę większa, niż być powinna, mój drogi, ale ponieważ wiem, że innym razem ty pójdziesz mi na rękę i że...

— Przystań głądzić — przerwał niecierpliwie bandyta. — Gdzie to masz? Dawaj!

— Dobrze, dobrze, Bill. Daj mi czas, daj mi czas — odrzekł Fagin uspokajająco. — Oto jest! Całość w porządku! — Mówiąc to wyciągnął zza pazuchy starą perkalową chustkę i rozwiązawszy wielki supeł na jednym z rogów, wydobyl stamtąd małą paczuszkę owiniętą w papier. Sikes wyrwał mu ją, spiesznie rozwinął i zabrał się do liczenia złotych suwerenów, które zawierała.

— To wszystko, tak? — spytał Sikes.

— Wszystko — odpowiedział Fagin.

— Nie otworzyłeś czasem paczki i nie połknąłeś paru sztuk po drodze, co? — zapytał Sikes podejrzliwie. — Nie rób obrażonej miny, kiedy cię o to pytam, robiłeś to już nieraz. Trać blaszankę. Słowa te przełożone na zwykły język oznaczały wezwanie do użycia dzwonka. Na jego dźwięk zjawił się mężczyzna młodszy od Fagina, lecz o prawie tak samo łajdackim i odrażającym wyglądzie. Bill Sikes pokazał tylko palcem pustą miarkę. Mężczyzna, który doskonale zrozumiał ów znak, odszedł, by ją napełnić na nowo. Przedtem jednak wymienił znaczące spojrzenie z Faginem, który na chwilę podniósł oczy, jakby oczekiwał tego spojrzenia, i w odpowiedzi potrząsnął przecząco głową, ale tak lekko, że dla trzeciej, spostrzegawczej nawet osoby ruch ten byłby niemal niedostrzegalny. Uszedł on też uwagi Sikesa, który w tej chwili pochylił się, aby zawiązać rozerwane przez psa sznurowadło. Gdyby był dojrzał krótką wymianę znaków, może byłby pomyślał, że nie wróży mu ona nic dobrego.

— Czy jest tam kto, Barney? — spytał Fagin. Teraz, gdy Sikes na niego patrzył, staruch mówił nie podnosząc wzroku z podłogi.

— Nie ma niką — odrzekł Barney. Czy słowa jego pochodziły z serca, czy skądinąd — nie wiadomo, lecz w każdym razie wychodziły przez nos.

— Nikogo? — spytał Fagin zdziwiony tonem, który mógł oznaczać, że Barneyowi wolno tym razem powiedzieć prawdę.

— Nikogo prócz panny Nency — odparł Barney.

— Nancy! — wykrzyknął Sikes. — Gdzie? Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli nie muszę pochwalić tej dziewczyny za jej wrodzone talenty.

— Zjadła właśnie w barze kawałek duszanej wąłowiny — odrzekł Barney.

— Przyślij ją tutaj — rzekł Sikes nalewając kieliszek. — Przyślij ją tutaj.

Barney spojrział nieśmiało na Fagina, jak gdyby prosił o pozwolenie. Ponieważ stary Żyd trwał w milczeniu, nie podnosząc wzroku, Barney wyszedł i wkrótce powrócił prowadząc Nancy; i teraz była w pełnym stroju: czepeczku, fartuszk, z koszykiem i kluczem.

— Jesteś na tropie, co, Nancy? — zapytał Sikes częstując ją kieliszkiem.

— Jestem, Bill — odparła młoda dama wychylając zawartość — zmęczyło mnie to nie byle jak, powiadam wam. Dzieciak był chory i nie ruszał się z łóżka, a potem...

— A, Nancy droga! — rzekł Fagin podnosząc oczy.

Czy jakiś szczególny skurcz rudych brwi Fagina i zmrużenie głęboko osadzonych oczu ostrzegły pannę Nancy, że zbyt dużo mówi? To nieważne. Obchodzą nas tu tylko fakty, a faktem jest, że nagle urwała i rzucając kilka miłych uśmiechów w stronę pana Sikesa, skierowała rozmowę na inne tematy. Po jakichś dziesięciu minutach pana Fagina złapał atak kaszlu, a wtedy Nancy okryła ramiona szalem i oświadczyła, że pora iść. Pan Sikes doszedł do wniosku, że droga wypada mu częściowo w tym samym kierunku, toteż wyraził zamiar towarzyszenia jej. Poszli tedy razem, a za nimi w pewnej odległości pies, który wypelzł z podwórka, skoro tylko pan jego zniknął z pola widzenia. Gdy Sikes opuścił pokój, Fagin wysunął głowę przez drzwi, popatrzył za odchodzącymi wzdłuż ciemnego korytarza, potrząsnął zaciśniętą pięścią, wymamrotał ciężkie przekleństwo, po czym z grymasem okropnego uśmiechu zasiadł na powrót za stołem, gdzie wkrótce zagłębił się w interesujących kartach „Pościgu”.

Oliwer Twist szedł tymczasem do kramu z książkami, ani się domyślając, że znajduje się tak blisko wesołego staruszka. Kiedy doszedł do Clerkenwell, skręcił przypadkiem w boczną uliczkę, która nie była mu całkiem po drodze. Ale że odkrył swą pomyłkę dopiero, kiedy przeszedł już połowę uliczki, a ponadto wiedział, że musi ona prowadzić w dobrym kierunku, pomyślał, iż nie warto mu wracać, i pomaszerował dalej tak szybko, jak tylko mógł, cały czas niosąc książki pod pachą.

Szedł rozmyślając sobie, jak bardzo powinien być zadowolony i szczęśliwy i jakby się cieszył, gdyby mógł choć raz zobaczyć biednego małego Dicka, który, wygłodzony i poszturchiwany, być może w tej właśnie chwili gorzko płacze. Nagle przeraził go głośny krzyk jakiejś dziewczyny: „O, mój kochany braciszku!” Ledwo zdążył podnieść oczy, by zobaczyć, co się dzieje, a już obezwładniły go czyjeś ramiona, które oplótły mu ciasno szyję.

— Nie! — zawołał Oliwer szamocąc się. — Proszę mnie puścić! Kto to? Dlaczego mnie pani zatrzymuje?

Jedyną odpowiedzią był potok głośnych lamentów ze strony dziewczyny trzymającej go w uścisku. Miała ona w rękach koszyczek i duży klucz od bramy.

— O, mój Boże! — mówiła dziewczyna. — Znalazłam go! O, Oliwer, Oliwer! O, ty niegrzeczny chłopcze, ileż ja się przez ciebie nacierpiałam! Chodź do domu, kochanie, chodź. Och, znalazłam go! Bogu najwyższemu niech będą dzięki, znalazłam go! — Po tych niepowiązanych wykrzyknikach dziewczyna znów wybuchnęła łkaniem, i to tak histerycznym, że dwie kobiety, które w tej chwili nadeszły, zapytały przyglądającego się tej scenie chłopca od rzeźnika, o błyszczącej, nasmarowanej sadłem czuprynie, czy nie uważa, że powinien pobiec po doktora. Na co chłopiec, który najwidoczniej był powolnego — by nie powiedzieć leniwego — usposobienia, odpowiedział przecząco.

— Ach, nie, nie, nie warto — rzekła dziewczyna biorąc Oliwera mocno za rękę. — Już mi lepiej. Chodź do domu natychmiast, ty niedobry chłopcze! Chodź!

— Co się stało, proszę pani? — spytała jedna z kobiet.

— Ach, moja pani — odrzekła dziewczyna. — Uciekł prawie miesiąc temu od rodziców, ciężko pracujących i zacnych ludzi, i przysłał do paczki złodziei i niegodziwców. Serce jego matki omal nie pękło ze zmartwienia.

— A to nicpoń! — rzekła jedna z kobiet.

— Idźże do domu, ty mały łajdaku! — dodała druga.

— To nieprawda — odpowiedział Oliwer, bardzo wystraszony. — Ja jej nie znam. Nie mam żadnej siostry ani ojca, ani matki. Jestem sierotą i mieszkam w Pentonville.

— Posłuchajcie tylko, jak on beczelnie kłamie! — zawołała dziewczyna.

— Ależ to Nancy! — wykrzyknął Oliwer, który teraz dopiero ujrzał jej twarz i cofnął się, nie mogąc opanować odruchu zdumienia.

— Widzicie, on mnie zna! — zawołała Nancy odwołując się do gromadki widzów. — Nie może tego ukryć. Zmuscie go, żeby poszedł ze mną do domu, dobrzy ludzie, inaczej jego kochana matka i ojciec umrą ze zmartwienia, a mnie serce pęknie!

— Cóż to, u diabła? — rzekł jakiś mężczyzna wychodzący z piwiarni z białym psiakiem u nogi. — To mały Oliwer! Ruszaj do domu, do swojej biednej matki, szczeniaku! Idź w tej chwili!

— Ja nie należę do nich. Nie znam ich. Ratunku! Ratunku! — wołał Oliwer starając się wyrwać z mocnych łap mężczyzny.

— Ratunku! — powtórzył ten ostatni. — No, no, już ja cię poratuję, ty mały łajdaku! A to co za książki? Ukradłeś, co? Dawaj je tu zaraz. — Z tymi słowy mężczyzna wydarł Oliwerowi książki i uderzył go nimi po głowie.

— Dobrze mu tak! — zawołał jeden z widzów z okna na poddaszu. — To jedyny sposób, żeby nabrał rozumu!

— A pewnie! — zawołał jakiś cieśla o zaspanej twarzy, patrząc z uznaniem w stronę poddasza.

— To mu dobrze zrobi! — dorzuciły obie kobiety.

— Dostanie on, dostanie! — odrzekł mężczyzna wymierzając Oliwerowi nowe uderzenie i chwytając go za kołnierz. —

Chodźże, mały łajdaku. Hej, Karmelek, pilnuj go! Pilnuj!

Cóż miało począć biedne dziecko, samo, osłabione po chorobie, ogłuszone ciosami i nagłą napaścią, przerażone groźnym warczeniem psa i brutalnością mężczyzny, zgnębione przeświadczeniem widzów, że jest naprawdę tak zatwardziałym złoczyńcą, jak mu to zarzucano? Mrok już zapadł, rzecz działa się w zakazanej dzielnicy, w pobliżu nie było nikogo, kto by mógł mu pomóc, toteż opór był bezcelowy. Jeszcze chwila, i pociągnięto go przez labirynt ciemnych, wąskich podwórek, i to tak szybko, że nieliczne okrzyki, które odważył się wydać, były zupełnie niezrozumiałe. Zresztą to, czy były zrozumiałe, czy nie, nie miało wielkiego znaczenia; choćby bowiem były nie wiedzieć jak wyraźne, nie było nikogo, kto by się nimi przejął.

Zapalono latarnie gazowe, pani Bedwin czekała niespokojnie w otwartych drzwiach wejściowych, służąca ze dwadzieścia razy wybiegała na ulicę spojrzeć, czy nie ma gdzie Oliwera, a dwaj starzy panowie wciąż jeszcze wytrwale siedzieli w ciemnym saloniku. Między nimi leżał zegarek.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

OPOWIADA, CO DZIAŁO SIĘ Z OLIVEREM PO PORWANIU GO PRZEZ NANCY

Wąskie uliczki i podwórka skończyły się wreszcie i ukazał się obszerny plac, na którym tu i ówdzie stały stoiska dla bydła; wszystko wskazywało, że było to targowisko. Gdy doszli do tego miejsca, Sikes zwolnił kroku, ponieważ dziewczyna nie była w stanie wytrzymać dłużej dotychczasowego szybkiego tempa. Zwracając się do Oliwera ostrym głosem kazał mu ująć Nancy za rękę.

— Słyszysz? — warknął Sikes, gdy Oliwer zawahał się i rozejrzał się wkoło.

Znajdowali się w ciemnym zakątku, całkiem na uboczu od drogi, którą przechodzili ludzie. Oliwer zrozumiał aż nazbyt jasno, że opór na nic się nie przyda. Wyciągnął rękę, którą Nancy mocno ujęła w swoją.

— Daj mi drugą — rzekł Sikes i pochwycił wolną rękę Oliwera. — Karmelek, do nogi!

Pies podniósł wzrok i zawarczał.

— Słuchaj, ty bydlaku! — powiedział Sikes przykładając dłoń do gardła Oliwera. — Jak chłopak tylko piśnię słówka bierz go! Rozumiesz?

Pies zawarczał ponownie i oblizując wargi przyglądał się Oliwerowi z takim wyrazem, jakby miał wielką ochotę wpić mu się w gardło bez zwłoki.

— Gorliwy jak chrześcijanin; niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli tak nie jest! — powiedział Sikes patrząc na psa z pewnego rodzaju ponurym i dzikim uznaniem. — No, paniczku, teraz, skoro już wiesz, czego się spodziewać, krzycz sobie, ile tylko chcesz; pies raz dwa przerwie ci tę zabawę. Dalej, mały!

Karmelek zamerdał ogonem na to niezwykle czułe odezwanie i warknąwszy raz jeszcze ostrzegawczo pod adresem Oliwera, ruszył naprzód.

Szli przez dzielnicę Smithfield, ale dla Oliwera — choć o tym wiedział — mógł to być równie dobrze Grosvenor Square. Noc była ciemna i mglista. Odblask światła ze sklepów ledwo przedzierał się przez

gęstą mgłę, która z każdą chwilą stawała się bardziej nieprzenikniona i otulała ulice i domy posępnym całunem. Nieznajoma okolica nabierała dzięki temu w oczach Oliwera jeszcze bardziej obcego wyglądu, a w jego niepewności coraz więcej było smutku i przygnębienia.

Przeszli szybko kilka kroków, gdy wtem rozległ się głęboki dźwięk dzwonu kościelnego wybijającego godzinę. Na odgłos pierwszego uderzenia przeciwnicy Oliwera stanęli i zwrócili głowy w kierunku, skąd dźwięk dochodził.

— Ósma, Bill — rzekła Nancy, gdy zegar przestał bić.

— Po co mi to mówić, słyszę przecież, nie? — odparł Sikes.

— Ciekawam, czy oni słyszą to bicie — powiedziała Nancy.

— Pewnie, że tak — odparł Sikes. — Kiedy mnie capnęli akurat na świętego Bartłomieja, słyszałem każdą groszową trąbkę piszczącą na kiermaszu. Kiedy zamknęli mnie na noc już na dobre, to w porównaniu z harmidrem i rwetesem na dworze, w tej przeklętej ciupie było tak cicho, że miałem ochotę tłuc łbem o żelazne drzwi, dopóki mózg nie wyleci.

— Biedacy! — rzekła Nancy z twarzą wciąż jeszcze zwróconą w stronę, skąd rozległ się dzwon. — Och, Bill, takie dzielne, młode chłopaki!

— Tak, wy baby tylko o tym myślicie — odrzekł Sikes. — Dzielne, młode chłopaki! No cóż, oni już tak jakby umarli, więc to i tak nieważne.

Przy pomocy tej pocieszającej uwagi panu Sikesowi udało się widocznie zwalczyć wzbierające w nim uczucie zazdrości i ujawszy mocniej dłoń Oliwera kazał mu iść dalej.

— Poczekaj chwilę! — powiedziała dziewczyna. — Gdyby to ciebie mieli wieszać za następnym wybiciem godziny ósmej, Bill, nie minęłabym tego miejsca tak szybko. Tłukłabym się po placu tam i z powrotem, ażbym padła, choćby śnieg leżał na ziemi, a ja bym nie miała nawet chustki na sobie.

— I co by z tego była za korzyść? — zapytał pan Sikes, który nie był sentymentalny. — Gdybyś mogła rzucić mi pilnik i dwadzieścia jardów mocnego sznura, to co innego, ale jeżeli nie, to mogłabyś równie dobrze spacerować sobie o pięćdziesiąt mil stąd albo i wcale, bo cóż by mi z tego przyszło? Chodźże już, zamiast stać tu i wygłaszać kazania.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem, otuliła się mocniej chustką i poszli dalej. Ale Oliwier poczuł, że ręka jej drży, a

spojrzawszy na jej twarz w świetle mijanej właśnie latarni gazowej zobaczył, że zbladła śmiertelnie. Szli dalej przez całe pół godziny mało uczęszczanymi i brudnymi ulicami. Ludzi spotykali niewielu, a ci, których mijali, zajmowali prawdopodobnie w społeczeństwie taką samą pozycję jak pan Sikes. Na koniec skręcili w bardzo brudną, wąską ulicę, pełną sklepów ze starzyzną. Pies biegł przodem, jak gdyby wiedział, że czujność już niepotrzebna, aż zatrzymał się przed wejściem do jakiegoś sklepu, zamkniętego i na pozór opustoszałego. Dom był wałącą się rudera, a na drzwiach przybita była tabliczka z napisem „Do wynajęcia”. Wyglądała, jakby wisiała tam już od wielu lat.

— W porządku! — zawołał Sikes rozglądając się ostrożnie naokoło.

Nancy sięgnęła pod okiennicę i Oliwier posłyszał odgłos dzwonka. Przeszli na drugą stronę ulicy i stali tam przez kilka chwil pod latarnią. Dał się słyszeć dźwięk, jakby ktoś ostrożnie podniósł spuszczone okno, a wkrótce potem drzwi otworzyły się cicho. Wtedy pan Sikes bez większych ceremonii chwycił przerażonego chłopca za kołnierz i wszyscy troje w mig znaleźli się w domu.

W sieni było zupełnie ciemno. Poczekali, aż ten, który ich wpuścił, zamknie drzwi na łańcuch i zasunie rygle.

— Jest tam kto? — spytał Sikes.

— Nie — odparł jakiś głos, który Oliwier, jak mu się zdawało, już kiedyś słyszał.

— Stary jest? — zapytał bandyta.

— Jest — odrzekł głos. — A był w porządkie złym humorze. Czy ucieszy się, jak was zobaczy? Ach, nie, gdzie tam!

Podobnie jak głos, który ją wyrzekł, tak i styl tej odpowiedzi zdawały się Oliwerowi znajome, lecz niemożliwe było rozpoznać w ciemnościach nawet postaci mówiącego.

— Zapal światło — rzekł Sikes — inaczej połamiemy sobie karki nadeptniemy na psa. A wtedy uwaga na nogi!

— Stójcie chwilę spokojnie, to przyniosę wam światło —

odrzekł głos. Dały się słyszeć oddalające się kroki mówiącego,

a po krótkiej chwili ukazała się postać pana Jacka Dawkinsa, *alias* Przemysłnego Krętacza. W prawej dłoni niósł łójówkę zatknietą w rozszczepiony kawałek drewna.

Młody ów kawaler raczył tylko ubawionym uśmiechem okazać Oliwerowi, że go poznaje, po czym odwrócił się na pięcie i skinął na gości, by zeszli za nim po schodach. Przeszli przez pustą kuchnię, a następnie otworzyli drzwi do niskiej izby, którą czuć było piwnicą i która zdawała się wychodzić na jakieś tylne podwórko. Powitał ich tu głośny wybuch śmiechu.

— Oj, nie mogę, nie mogę! — wołał imć pan Karol Bates, z którego gardzieli wydobył się ów śmiech.

— Toć to on! O babciu, toć to on! Ach, Fagin, popatrz na niego! Fagin, po patrzcie na niego! Nie

wytrzymam, to taka heca, że nie wytrzymam. Niech mnie ktoś potrzyma, aż się wyśmieję. Dając w ten sposób upust niepohamowanej wesołości Karolek Bates rzucił się jak długi na podłogę i wierzgał konwulsyjnie przez jakieś pięć minut w szale radosnego uniesienia. Następnie skoczył na nogi i wyrwał drewno ze świecą z rąk Krętacza, po czym zbliżywszy się do Oliwera obejrzał go dokładnie ze wszystkich stron. Fagin zaś zdjął myckę i złożył przed oszołomionym chłopcem kilkanaście niskich ukłonów. Tymczasem Przemysłny, który był raczej flegmatycznego usposobienia i rzadko puszczał wodze wesołości, gdy kolidowała ona z interesem, pilnie i wytrwale rewidował kieszenie Oliwera.

— Spójrz na jego łaszki, Fagin! — rzekł Karolek przysuwając świecę tak blisko do nowej kurtki Oliwera, że omal jej nie podpalił. — Spójrz na jego łaszki! Pierwszorządne sukno, a co za elegancki krój! Ojej, to ci heca! A te książki! To ci elegant!

— Ogromnie się cieszę, że tak dobrze wyglądasz, mój drogi — rzekł Fagin kłaniając się z ironiczną uniżonością. — Przemysłny da ci inne ubranie, mój drogi, żebyś czasem nie zniszczył tego odświętnego garnituru. Czemuż nie napisałeś, mój drogi, żeby uprzedzić nas o swoim przybyciu? Przygotowalibyśmy coś ciepłego na kolację.

Na to Karolek Bates ryknął znowu tak głośno, że aż sam Fagin zdawał się ubawiony i nawet Krętacz się uśmiechnął. Lecz ponieważ właśnie w tej chwili wydobył na jaw pięćofuntowy banknot — nie wiadomo, czy dowcip, czy to ostatnie odkrycie było powodem jego wesołości.

— Hej, a to co? — spyta! Sikes rzucając się Wprzód w chwili, gdy staruch schwycił banknot. — To moje, Fagin.

— Nie, nie, mój drogi — powiedział Żyd. — Moje, Bill, moje. Ty dostaniesz książki.

— No, jeżeli to nie moje! — rzekł Bili Sikes nakładając zdecydowanym gestem kapelusz — to jest, chciałem powiedzieć, moje i Nancy. Jeśli nie — odprowadzę chłopaka z powrotem.

Fagin drgnął. Oliwer drgnął także, choć z zupełnie innego powodu: nabrał bowiem nadziei, że spór może się naprawdę skończyć odprowadzeniem go do domu.

— No! Dajesz wreszcie czy nie? — rzekł Sikes.

— To nie bardzo sprawiedliwe, Bill, nie bardzo sprawiedliwe, prawda, Nancy? — zapytał Fagin.

— Sprawiedliwe czy niesprawiedliwe — odpalił Sikes — dawaj, mówię ci! Czy myślisz, że Nancy i ja nie mamy nic lepszego do roboty, jak tylko tracić cenny czas na tropienie i porywanie każdego malca, który da się złapać z twojej winy? Dawaj to tutaj, ty chciwy stary kościotrupie, dawaj w tej chwili! Z tym łagodnym upomnieniem pan Sikes wyrwał banknot spomiędzy palców Fagina, po czym, patrząc starcowi w twarz, z zimną krwią złożył papierek w kilkoro i zawiązał go w róg swojej chustki.

— To za nasz udział w tej całej robocie — rzekł Sikes. — I jest to przynajmniej o połowę za mało. Książki możesz zatrzymać, jeżeli lubisz czytać. Jeżeli nie, to je sprzedaj.

— Są bardzo ładne — rzekł Karolek Bates, który krzywiąc twarz w różne grymasy udawał, że czyta jeden z tomów. — Pięknie napisane, prawda, Oliwerze? — Na widok zgnębnego spojrzenia, jakim Oliwer wodził po swych dręczycielach, imć Bates, który był obdarzony żywym poczuciem humoru, wpadł w nowy szal wesołości, jeszcze bardziej hałaśliwy od poprzedniego.

— One należą do jego pana — rzekł Oliwer załamując ręce — do tego zacnego, dobrego starego pana, który mnie wziął do swego domu i kazał mnie pielęgnować, kiedy prawie że umierałem na febrę. O, proszę, odeślijcie je z powrotem, odeślijcie mu książki i pieniądze! Trzymajcie mnie tu przez całe życie, ale proszę, odeślijcie mu te rzeczy! On pomyśli, że ja je ukradłem, i ta staruszka, i oni wszyscy, którzy byli tacy dla mnie dobrzy, pomyślą, że ja je ukradłem. Och, zlitujcie się nade mną i odeślijcie je!

Wypowiedziawszy te słowa z całą siłą swego wielkiego zmartwienia Oliwer padł na kolana u stóp Fagina i splótł dłonie w ostatniej rozpacz.

— Chłopiec ma słuszność — zauważył Fagin spoglądając spod oka i marszcząc krzaczaste brwi, tak że się zbiegły w jedną linię. — Masz rację, Oliwerze. Oni naprawdę pomyślą, żeś je ukradł. Ha, ha! — zachichotał Żyd zacierając ręce. — Nie mogło wypaść lepiej, gdybyśmy sami z rozmysłem wybrali moment!

— Pewnie, że nie mogło — odrzekł Sikes. — Wiedziałem o tym, jak tylko zobaczyłem go idącego przez Clerkenwell z tymi książkami pod pachą. Wszystko się dobrze układa. To są ludzie z miękkim sercem, z takich, co to psalmy śpiewają, inaczej nie byliby go wcale wzięli do siebie. Teraz nie będą też wcale go szukać, bo będą się bali, że byliby zmuszeni wytoczyć mu sprawę i wsadzić go do ciupy. Już on jest całkiem bezpieczny.

Słuchając tych słów Oliwer wodził oczami od jednego do drugiego, jak gdyby, oszołomiony, nie bardzo rozumiał, co się dzieje. Ale kiedy Bill Sikes skończył, skoczył nagle na równe nogi i jak szalony wybiegł z pokoju wołając głośno o pomoc. Cały pusty, stary dom aż pod dach rozbrzmiewał echem jego krzyków.

— Przytrzymaj psa, Bill! — zawołała Nancy rzucając się do drzwi i zamykając je za Faginem i jego dwoma uczniami, którzy wybiegli za Oliwerem. — Przytrzymaj psa, bo rozedrze chłopca na kawałki!

— Dobrze mu tak! — krzyknął Sikes szamocąc się z dziewczyną. — Puść mnie albo rozwałę ci łeb o ścianę!

— Wszystko mi jedno, Bill, wszystko mi jedno! — krzyczała dziewczyna walcząc z całych sił z mężczyzną. — Nie dam psu rozszarpać dzieciaka, chyba że mnie przedtem zabijesz.

— Doprawdy? — warknął Sikes przez zaciśnięte zęby. — Zrobię to zaraz, jeżeli mnie nie puścisz! Włamywacz odepchnął od siebie dziewczynę na drugi koniec pokoju właśnie w chwili, gdy Fagin i obaj chłopcy powrócili włokąc za sobą Oliwera.

— Co się tu dzieje? — spytał Fagin rozglądając się po pokoju.

— Zdaje mi się, że ta dziewczyna zwariowała — odrzekł Sikes z wściekłością.

— Nie, nie zwariowała! — krzyknęła Nancy, blada i zdyszana od walki. — Nie zwariowała, Fagin, niech ci się to nie zdaje!

— No, to bądź cicho, dobrze? — powiedział staruch z groźnym spojrzeniem.

— Ani myślę — odparła Nancy bardzo głośno. — No! I co ty na to?

Pan Fagin był dostatecznie obeznany ze zwyczajami i sposobem bycia tego szczególnego gatunku osób, do których należała Nancy, by wiedzieć, że wdawanie się z nią w dalszą rozmowę byłoby w obecnej chwili niebezpieczne. Chcąc skierować uwagę towarzystwa w inną stronę, zwrócił się do Oliwera.

— Więc chciałeś uciec, mój drogi, tak? — rzekł, po czym wziął do ręki gruby, sękaty kij, który leżał w kącie kominka.

Oliwer nie odpowiedział, ale śledził oczyma ruchy starogo i dyszał szybko.

— Chciałeś wezwać pomocy, wołałeś policję, tak? — sztychł Fagin chwytając chłopca za ramię. —

Wyleczymy cię z tego, mój młody paniczku.

Stary silnie uderzył Oliwera w plecy i już podnosił kij, by zadać następne uderzenie, kiedy dziewczyna rzuciła się naprzód i wydarła mu kij z ręki. Cisnęła go w ogień z taką siłą, że część rozżarzonych węgli rozprysnęła się po pokoju.

— Nie będę stać i patrzeć na to, Fagin! — zawołała. — Masz chłopca i czego jeszcze chcesz? Zostaw go! Zostaw go albo niektórym z was takiego zadam bobu, że jeszcze przed czasem pójde na szubienicę!

Wypowiadając tę pogroźkę dziewczyna tupnęła gwałtownie nogą, po czym z zagryzionymi wargami i zaciśniętymi pięściami spoglądała kolejno to na Żyda, to na bandytę. Twarz jej pobladła zupełnie od szalonej wściekłości, do której się stopniowo doprowadziła.

— Ależ, Nancy! — powiedział Fagin uspokajającym tonem po chwili milczenia, w czasie której on i pan Sikes patrzyli na siebie stropieni. — Ty... Ty jesteś dziś wieczór jeszcze lepsza niż zwykle. Ha, ha! Moja droga, grasz świetnie.

— Gram? — rzekła dziewczyna. — Uważajcie, żebym nie przeszła samej siebie, bo ty na tym wyjdiesz najgorzej, Fagin. Więc mówię ci, póki czas, zjeżdż mi z drogi!

We wzburzonej kobiecie jest coś szczególnego, zwłaszcza jeżeli do wszystkich innych jej namiętności dojdzie groźny bodziec rozpaczliwej, nie liczącej się z niczym odwagi. Niewielu mężczyzn lubi prowokować takie wzburzenie. Starzec zrozumiał, że na nic się nie zda udawać powątpiewanie, czy wściekłość panny Nancy jest prawdziwa. Toteż mimo woli cofnął się o parę kroków i rzucił na pół proszące, na pół trwożliwe spojrzenie na Sikesa, jakby chcąc mu dać do zrozumienia, że on właśnie jest osobą najbardziej powołaną do dalszego prowadzenia rozmowy.

Pan Sikes, do którego się w wyżej opisany sposób milcząco odwołano, uznał zapewne, że jego osobista godność i powaga zainteresowane są w natychmiastowym przyprowadzeniu do rozumu panny Nancy. Wyrzekł zatem ze dwa tuziny grózb i przekleństw z szybkością, która świadczyła chlubnie o płodności jego wyobraźni. Ponieważ jednak nie wywarły one widocznego wrażenia na osobie, do której były skierowane, chwycił się bardziej namacalnych argumentów.

— Co ty sobie myślisz? — rzekł i poparł to zapytanie bardzo pospolitym przekleństwem dotyczącym najpiękniejszego szczegółu ludzkiej twarzy. Gdyby znajdowało ono w niebie posłuch choć raz na pięćdziesiąt tysięcy wypadków, w których wypowiada się je na ziemi, ślepotą byłaby dolegliwością równie częstą jak odrą. — Co ty sobie myślisz? Niech mnie piorun trzaśnie! Czy ty wiesz, kim jesteś i czym jesteś?

— O tak, wiem to doskonale — odparła dziewczyna z histerycznym śmiechem, trzęsąc głową w obie strony ze źle udaną obojętnością.

— No, to w takim razie bądź cicho — rzekł na to Sikes warkliwym głosem, którym zwykle zwracał się do psa — inaczej uspokoję cię na dłuższy czas.

Dziewczyna zaśmiała się ponownie, jeszcze bardziej nerwowo niż przedtem, i rzuciwszy szybkie spojrzenie na Sikesa odwróciła twarz i zagryzła wargi, aż ukazała się na nich krew.

— Akurat nadajesz się do tego — dodał Sikes patrząc na nią z pogardliwą miną — żeby raptem zgrywać się na litościwą i szlachetną! Ładna z ciebie przyjaciółka dla tego dziecka, jak go nazywasz!

— Owszem, na Boga wszechmogącego, jestem jego przyjaciółką! — zawołała dziewczyna namiętnie.

— I żałuję, że nie padłam trupem na ulicy albo nie zamieniłam się na miejsce z tymi, obok których przeszliśmy dziś tak blisko, zanim przyłożyłam ręki do sprowadzenia go tu z powrotem. Od dzisiejszego wieczora będzie złodziejem, kłamcą, diabłem, wszystkim, co najgorsze! Czy to nie dosyć dla tego starego potwora? Czy musi jeszcze go bić?

— No, no, uspokój się, Sikes — rzekł Fagin strofującym tonem, wskazując na chłopców, którzy słuchali pilnie wszystkiego, co się działo. — Trzeba używać grzecznych słów. Grzecznych słów, Billu. — Grzecznych słów! — krzyknęła dziewczyna, na której wściekłość strach było patrzeć. —

Grzecznych słów, ty nikczemniku! Tak, należą ci się one ode mnie! Kradłam dla ciebie, kiedy byłam dzieckiem o połowę młodszym od tego tutaj! — wskazała na Oliwera. — Przez dwanaście lat potem robiłam wciąż to samo i wciąż w twojej służbie. Czy nie wiesz o tym? Gadaj! Nie wiesz o tym?

— No, no — mówił Fagin próbując ją uspokoić. — A jeżeli nawet tak było, to przecież żyjesz z tego! — Tak, żyję z tego! — odparła dziewczyna nie mówiąc już, lecz wyrzucając z siebie słowa w jednym ciągłym i gniewnym wrzasku. — Z tego żyję, a zimne, mokre, brudne ulice są moim domem! A ty jesteś tym łotrem, który mnie tam wypędził już dawno temu i który będzie mnie na nich trzymał dzień i noc, dzień i noc, póki nie umrę!

— A uważaj, bo jeżeli powiesz jeszcze więcej, spotka cię coś złego — wtrącił Fagin, którego rozdrażniły te wymówki — coś jeszcze dużo gorszego niż to.

Dziewczyna nie powiedziała nic więcej, lecz wyrwijąc sobie włosy i drąc na sobie ubranie, w uniesieniu furii z taką siłą rzuciła się na starca, że zostawiłaby niezawodnie trwałe ślady swej zemsty, gdyby Sikes w odpowiedniej chwili nie był chwycił jej za przeguby rąk. Wówczas kilka razy szarpnęła się bezskutecznie, po czym zemdląca.

— Teraz już będzie spokojna — powiedział Sikes układając ją w kącie. — Ma porządną siłę w rękach, kiedy się tak rozzłości.

Stary otarł czoło i uśmiechnął się, jak gdyby czuł ulgę, że zamieszanie minęło. Ale i on, i Sikes, i pies, i chłopcy zdawali się uważać całą scenę za zwykle wydarzenie, z którym trzeba się niekiedy spotkać, kiedy się uprawia tego rodzaju fach.

— To jest najgorsze, kiedy się ma do czynienia z kobietami — rzekł Fagin odkładając kij na miejsce. — Ale są sprytnie i w naszym fachu nie można się bez nich obejść. Karolku, zaprowadź Oliwera do łóżka.

— Chyba lepiej, żeby jutro nie wkładał swego najlepszego ubrania, prawda, Fagin? — spytał Karolek Bates.

— Oczywiście — odparł staruch odwzajemniając szyderczy uśmiech, z którym Karolek zadał to pytanie.

Imć pan Bates, najwidoczniej bardzo zadowolony z otrzymanego zlecenia, wziął rozszczepiony kawałek drewna ze świecą i poprowadził Oliwera do przyległej kuchni, gdzie mieściły się dwa czy trzy legowiska, na których on dawniej sypiał. Tutaj wśród wielu niepowstrzymanych wybuchów śmiechu Karolek wydobył to samo stare ubranie, które Oliwer z taką radością zdjął z siebie u pana Brownlow. Kiedy handlarz, który je wtedy kupił, sprzedał je przypadkowo Faginowi, uzyskano pierwszą wskazówkę o miejscu pobytu Oliwera.

— Ściągaj to elegancko — rzekł Karolek. — Oddam je Faginowi na przechowanie. A to ci heca! Biedny Oliwer usłuchał niechętnie. Imć pan Bates zwinął ubranie, wziął je i wyszedł z pokoju pozostawiając Oliwera w ciemności i zamykając za sobą drzwi na klucz.

Hałaśliwy śmiech Karolka oraz głos panny Betsy, która zjawiała się w samą porę, by skropić wodą przyjaciółkę i różnymi innymi kobiecymi sposobami przywrócić ją do przytomności, byłyby przeskodziły zasnąć wielu ludziom w szczęśliwszych okolicznościach niż te, w których znajdował się Oliwer. Lecz on był chory i znużony, toteż wkrótce zapadł w głęboki sen.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

LOS NADAL NIE SPRZYJA OLIVEROWI I SPROWADZA DO LONDYNU PEWNEGO WIELKIEGO CZŁOWIEKA, KTÓRY SZKODZI JEGO REPUTACJI

Jest taki zwyczaj we wszystkich dobrych melodramatach, aby przeplatać ze sobą sceny tragiczne i komiczne z taką samą regularnością, z jaką występują po sobie czerwone i białe warstwy w połciu przerośniętego słońca boczk. Bohater, skuty w kajdany, zmożony nieszczęściem, osuwa się na swój barłóg ze słomy; w następnej scenie jego wierny, lecz nie wiedzący o niczym giermek raczy widzów zabawną piosenką. Oglądamy z drżeniem serca bohaterkę w szponach dumnego a bezwzględnego możnowładcy; zarówno jej cnota jak życie są w niebezpieczeństwie, wyciąga więc sztylet, by obronić pierwszą kosztem drugiego. I właśnie kiedy napięcie nasze osiąga punkt szczytowy, rozlega się gwizdek i przenosimy się bezpośrednio do wielkiej sali zanikowej, gdzie siwowłosa podczasy intonuje jakąś zabawną pieśń chóralną przy wtórze jeszcze zabawniejszej czeredy wasali, którzy opuścili najróżniejsze miejsca, od krucht kościelnych do pałaców, po to, by wałęsać się po społu,

śpiewając bez przestanku.

Zmiany takie sprawiają wrażenie niedorzecznych, lecz nie są bynajmniej tak nienaturalne, jak to się na pierwszy rzut oka wydaje. W prawdziwym życiu przejścia od suto zastawionych stołów do mar śmiertelnych i od żałobnych kirów do szat świątecznych nie są ani trochę mniej niespodziewane, tylko że tam jesteśmy czynnymi aktorami, nie biernymi widzami, a to wielka różnica. W życiu teatru aktorzy nie odczuwają sztuczności ukazywanych mimiką nagłych zmian i raptownych przyływów namietności czy uczucia, które zwykli widzowie potępiają natychmiast jako rażące i nieprawdopodobne.

W książkach raptowne przejścia do innych dekoracji i nagle zmiany czasu i miejsca nie tylko zostały od dawna usankcjonowane, lecz wielu uważa je za dowód wielkiego kunsztu pisarskiego. Krytycy ci oceniają zręczność autora głównie we-dług kłopotliwych sytuacji, w jakich pozostawia on swych bohaterów na końcu każdego rozdziału. Wobec powyższego, ten krótki wstęp do niniejszego rozdziału zostanie, być może, uznany za niepotrzebny. Jeśli tak, proszę uważać go za delikatne napomnienie ze strony kronikarza, że zamierza powrócić do miasta, w którym urodził się Oliwer Twist; przy czym czytelnik może być pewny, że istnieją uzasadnione i ważne powody podjęcia tej podróży, gdyż inaczej na pewno nie zapraszano by go na taką wyprawę.

Wczesnym rankiem pan Bumble wyszedł z bramy przytułku i pełnym dostojeństwa krokiem ruszył w stronę głównej ulicy. Był w pełnym rozkwicie swej godności woźnego gminy: jego stosowany kapelusz i surdut wyglądały olśniewająco w porannym słońcu, laskę swą dzierżył krzepko w dłoni, dając tym dowód zdrowia i poczucia siły. Głowę pan Bumble zawsze nosił wysoko, ale tego ranka jeszcze wyżej niż zwykle. W oku jego było jakieś oderwanie od świata, w minie jakaś wzniosłość, które bacznemu obserwatorowi dałyby do zrozumienia, że w umyśle woźnego przesuwają się myśli zbyt wielkie na to, by można je było wypowiedzieć.

Pan Bumble nie przystawał, by porozmawiać z drobnymi sklepikarzami i innymi ludźmi, którzy, gdy przechodził, witali go z uszanowaniem. Odpowiadał tylko na ich ukłony lekkim skinieniem dłoni i nie zwolnił dostojnego kroku, póki nie doszedł do fermy, gdzie pani Mann otaczała urzędową opieką małych nędzarzy.

— Niech licha porwie tego woźnego! Przyłazi tu o takiej wczesnej godzinie! — rzekła pani Mann słysząc znajome łomotanie do furtki od ogrodu. — Jej, panie Bumble, pomyśleć tylko, że to pan! To dopiero przyjemność, jak mi Bóg miły! Niech pan wejdzie do bawialni, proszę pana bardzo.

Pierwsze dwa zdania wypowiedziane były do Zuzanny, a okrzykami radości zacna dama powitała pana Bumble już wtedy, gdy odemknąwszy furtkę, z wielką atencją i uszanowaniem wprowadzała go do domu.

— Pani Mann — rzekł pan Bumble, nie siadając po prostu na krześle, jak byle chłystek, ale stopniowo i powoli opuszczając się na siedzenie. — Dzień dobry pani!

— Dzień dobry panu, panie Bumble! — odrzekła pani Mann wśród wielu uśmiechów. — Mam nadzieję, że się pan dobrze ma, proszę pana!

— Tak sobie, pani Mann — odparł woźny, — Urzędowe życie nie jest usłane różami, moja pani.

— Ach, to prawda, proszę pana — zgodziła się z nim dama. I wszyscy nieletni nędzarze, gdyby byli usłyszeli to stwierdzenie, zgodziliby się z nim jednogłośnie z wielką skwapliwością.

— Życie urzędowe, moja pani — ciągnął pan Bumble uderzając laską o stół — jest pełne kłopotów, utrapień i trudów, ale wszyscy ludzie stojący — można powiedzieć — na świeczniku muszą cierpieć prześladowanie.

Pani Mann, która nie bardzo wiedziała, co woźny ma na myśli, wzniosła tylko ręce z współczującą miną i westchnęła.

— Ach, słusznie pani wzdycha, pani Mann! — rzekł woźny.

Widząc, że postąpiła właściwie, pani Mann westchnęła ponownie, ku widocznemu ukontentowaniu męża stojącego na świeczniku; ten powściągnął zadowolony uśmiešek, spojrział surowo na swój stosowany kapelusz i rzekł:

— Pani Mann, wybieram się do Londynu.

— A to dopiero, panie Bumble! — zawołała pani Mann cofając się o krok.

— Do Londynu, moja pani — podjął niewzruszony woźny. — Dylizansem. Ja i dwoje nędzarzy, pani Mann. Ma się odbyć postępowanie sądowe w sprawie ich miejsca zamieszkania i zarząd wyznaczył mnie — mnie, pani Mann — do wniesienia sprawy przed sesją kwartalną w Clerkenwell. I nie zdziwiłbym się wcale — dodał pan Bumble prostując się — gdyby panowie ławnicy w Clerkenwell przekonali się, że „wpadli”, zanim jeszcze zakończą ze mną tę sprawę.

— Ach, nie powinien pan być dla nich zanadto surowy, proszę pana — rzekła pani Mann przymilnym tonem.

— Panowie ławnicy z Clerkenwell sami sobie winni, moja pani — odrzekł pan Bumble — i jeżeli panowie ławnicy przekonają się, że gorzej na tym wyszli, niż przypuszczali, mogą tylko samym sobie za to podziękować.

Tyle było determinacji i głębokiego przeświadczenia w groźnym tonie, jakim pan Bumble wyrzekł te słowa, że panią Mann przeniknęła groza. Wreszcie powiedziała:

— Jedzie pan dylizansem, proszę pana? Myślałam, że tych nędzarzy wysyła się zwykle wózkami.

— To wtedy, kiedy są chorzy, pani Mann — rzekł woźny. — Chorych nędzarzy w czasie deszczu układamy na otwartych wózkach, żeby się nie przeziębili.

— Ach! — rzekła pani Mann.

— Konkurencyjny dylizans zawarł umowę o przewóz tych dwojga i zabiera ich tanio — powiedział pan Bumble. — Oboje są w bardzo podłym stanie i doszliśmy do wniosku, że przewiezienie ich wyniesie o dwa funty taniej niż pochówek — to znaczy, jeżeli zdołamy zwalić ich na kark tamtej gminy: a zdaje się, że nam się to uda, o ile na złość nie umrą nam po drodze. Ha, ha, ha!

Pan Bumble śmiał się czas jakiś, gdy nagle oczy jego na nowo zatrzymały się na kapeluszu. Spoważniał.

— Zapominamy o interesach, moja pani — rzekł woźny. — Tu ma pani swoje miesięczne uposażenie od gminy.

Pan Bumble dobył z portfela rulonik srebrnych pieniędzy i zażądał kwitu, który pani Mann zaraz⁷ napisała.

— Jest na nim bardzo dużo kleksów — rzekła karmicielka nieletnich — ale zdaje mi się, że jest zupełnie w porządku. Dziękuję panu bardzo, panie Bumble. Naprawdę jestem panu bardzo wdzięczna. Pan Bumble kiwnął łaskawie głową w odpowiedzi na dyg pani Mann i zapytał, jak się mają dzieci.

— Niech im Bóg błogosławi! — rzekła pani Mann z uczuciem. — Mają się doskonale, kochane maleństwa! Naturalnie oprócz tych dwojga, które umarły w zeszłym tygodniu. I małego Dicka.

— Nic mu nie lepiej? — zapytał pan Bumble. Pani Mann potrząsnęła głową.

— Niedobry, nieusłuchany, paskudny dzieciak z tego chłopca — rzekł pan Bumble ze złością. — Gdzie on jest?

— Zaraz go panu przyprowadzę — odrzekła pani Mann. — Hej, Dick!

Dick, kilkakrotnie zawołany, znalazł się wreszcie. Podstawiono mu twarz pod pompę, osuszono o suknię pani Mann, po czym ta ostatnia zaprowadziła go przed straszliwe oblicze woźnego.

Dziecko było blade i chude, policzki miało zapadnięte, a oczy szeroko rozwarte i błyszczące. Skąpe gminne ubranko — liberia nędzy — wisiało luźno na wątłym ciałku, a młode jego członki wyschły jak u starca.

Taka była istotka, która stała teraz drżąca pod spojrzeniem pana Bumble, nie śmiejąc podnieść oczu, pełna lęku przed samym dźwiękiem jego głosu.

— Nie możesz to spojrzeć na pana, ty uparciuchu? — rzekła pani Mann.

Dziecko potulnie podniosło oczy i napotkało wzrok pana Bumble.

— Co ci dolega, gminny Dicku? — zapytał pan Bumble z dostosowaną do okoliczności żartobliwością.

— Nic, proszę pana — odparło dziecko słabym głosem.

— No chyba, że nic — rzekła pani Mann, która oczywiście uśmieła się serdecznie z dowcipu pana Bumble. — Nic ci nie brakuje, tego jestem pewna.

— Chciałbym... — wyjąkało dziecko.

— Ejże, ejże! — przerwała pani Mann. — Chcesz zapewne powiedzieć, że ci jednak czegoś brakuje, tak? Ach, ty mały nikczemniku!...

— Cicho, pani Mann, cicho! — rzekł woźny wznosząc rękę na znak władzy. — Czego to chciałbyś, powiedźże!

— Chciałbym... — jąkało dziecko — żeby ktoś, kto umie pisać, nakreślił za mnie parę słów na kawałku papieru, złożył go, zapieczętował i przechował, jak mnie już złożą do ziemi.

— Co? Co ten chłopak mówi? — wykrzyknął pan Bumble, na którym powaga i wymizerowany wygląd dziecka wywarły pewne wrażenie, mimo że był przyzwyczajony do takich rzeczy. — Co chcesz przez to powiedzieć, mój panie?

— Chciałbym — rzekło dziecko — bardzo serdecznie pozdrowić biednego Oliwera Twista i powiedzieć mu, że często siedziałem sam i płakałem myśląc o tym, jak on błąka się nocą po ciemku i nie ma nikogo, kto by mu pomógł. Chciałbym mu też powiedzieć — rzekło dziecko z wielkim żarem, składając rączyny — że cieszę się, że umieram tak wcześnie, bo gdybym dorósł i zestarzał się, to moja siostrzyczka, która jest w niebie, może zapomniałaby mnie albo byłaby zupełnie do mnie niepodobna. A przecież byłibyśmy o tyle szczęśliwsi będąc tam razem jako dzieci.

Pan Bumble z nieopisanym zdziwieniem obejrzał małego mówcę od stóp do głów, po czym zwrócił się do swej towarzyszki i rzekł:

— Oni są wszyscy w znowiu, pani Mann. Ten bezczelny Oliwer zdemoralizował ich wszystkich!

— Nigdy bym w to nie uwierzyła, proszę pana! rzekła pani Mann wznosząc ręce do góry i spoglądając ze złością na Dicka. — Nigdy nie widziałam podobnie zatwardziałego utrapieńca!

— Niech go pani zabierze, pani Mann — powiedział pan Bumble rozkazującym tonem. — O tym

trzeba zameldować zarządowi, moja pani.

— Mam nadzieję, iż ci panowie zrozumieją, że to nie moja wina, proszę pana? — rzekła pani Mann siakając żałośnie nosem.

— Zrozumieją to, moja pani. Zostaną powiadomieni o prawdziwym stanie rzeczy — powiedział pan Bumble. — No, niech go pani zabiera. Nie mogę na niego patrzeć!

Zabrano natychmiast Dicka i zamknięto go w piwnicy na węgiel. Wkrótce potem pan Bumble odszedł, by przygotować się do podróży.

Następnego ranka o szóstej pan Bumble zmienił stosowany kapelusz na okrągły, odział swą postać w wielki niebieski płaszcz z kapturem i zajął miejsce w otwartej części dylizansu razem z dwójkiem przestępców o spornym miejscu zamieszkania. We właściwym czasie przybył wraz z nimi do Londynu. W drodze nie spotkały go żadne przykrości poza tymi, które spowodowało złośliwe zachowanie dwojga nędzarzy uporczywie dygocących i skarżących się na zimno, aż pan Bumble oświadczył, że mu od tego zęby szczękają i że czuje się niedobrze, choć ma na sobie gruby płaszcz. Ulokowawszy na noc tych dwoje niegodziwych ludzi pan Bumble rozgościł się w gospodzie, przed którą zatrzymał się dylizans, i spożył skromny obiad złożony z befsztyków z sosem ostrygowym i portera. Następnie postawił szklanekę grzanego ginu z wodą na parapecie kominka, przyciągnął fotel do ognia i snując wszechstronne rozważania nad zbyt rozpowszechnionym grzechem niezadowolonia z losu i narzekania, zabrał się do czytania gazety.

Pierwszą wiadomością, na której spoczęło jego oko, było następujące ogłoszenie: PIĘĆ GWINEI NAGRODY

Podaje się do wiadomości, że w zeszły czwartek wieczorem nieletni chłopiec, nazwiskiem Oliwer Twist, uciekł lub też został uprowadzony ze swego domu w Pentonville i od tego czasu przepadł bez wieści. Powyższa nagroda zostanie wypłacona każdemu, kto udzieli informacji, które doprowadzą do odnalezienia rzeczonoego Oliwera Twista lub rzucą światło na jego przeszłość, którą osoba podająca niniejsze ogłoszenie z wielu powodów żywo się interesuje.

Potem następował wyczerpujący opis ubioru i wyglądu Oliwera oraz okoliczności jego zniknięcia, a na końcu dokładnie podane nazwisko i adres pana Brownlow.

Pan Bumble szeroko otworzył oczy, przeczytał trzykrotnie, powoli i dokładnie całe ogłoszenie i w niewiele więcej niż pięć minut potem był już w drodze do Pentonville. Był tak podniecony, że pozostawił nawet nietkniętą szklanekę grzanego ginu z wodą.

— Czy pan Brownlow jest w domu? — zapytał pan Bumble służącą, która otworzyła mu drzwi.

Na pytanie to dziewczyna dała nader często spotykaną, lecz dość wymijającą odpowiedź:

— Nie wiem. A kim pan jest?

Zaledwie jednak pan Bumble wymienił nazwisko Oliwera, by wytłumaczyć cel swego przybycia, wybiegła na korytarz zdyszana pani Bedwin, która słuchała zza drzwi bawialni.

— Proszę, proszę, niech pan wejdzie — mówiła staruszka. — Wiedziałam, że się o nim czegoś dowiemy. Biedactwo kochane. Wiedziałam! Byłam tego pewna. Niech go Pan Bóg błogosławi! Cały czas tak mówiłam.

Rzekłszy to zacna staruszka wbiegła z powrotem do bawialni, usiadła na kanapie i wybuchnęła płaczem. Dziewczyna, nieco mniej wrażliwa, pobiegła tymczasem na górę, a teraz wróciła z prośbą, by pan Bumble natychmiast tam z nią poszedł, co też i uczynił.

Wprowadzono go do owego małego gabinetu od ogrodu, gdzie siedział pan Brownlow ze swym przyjacielem panem Grimwigiem. Przed nimi stały karafki i szklanki. Pan Grimwig natychmiast wykrzyknął:

— Woźny! Gminny woźny, albo zjem swoją głowę!

— Proszę cię, nie przerywaj przez chwilę — rzekł pan Brownlow. — Niech pan siada, proszę.

Pan Bumble usiadł, wielce skonfundowany dziwnym odezwaniami się pana Grimwiga. Pan Brownlow przesunął lampę tak, by móc bez przeszkód patrzeć w twarz woźnego, i rzeki z pewną niecierpliwością:

— Czy pan przychodzi w następstwie ogłoszenia?

— Tak, proszę pana.

— I jest pan woźnym, prawda? — spytał pan Grimwig.

— Jestem woźnym gminnym, panowie — odparł pan Bumble dumnie.

— Oczywiście — zauważył na stronie pan Grimwig zwracając się do przyjaciela. — Typowy woźny od stóp do głów.

Pan Brownlow łagodnie potrząsnął głową, aby uciszyć przyjaciela, po czym mówił dalej:

— Czy pan wie, gdzie ten biedny chłopiec teraz się znajduje?

— Nie mam pojęcia — odrzekł pan Bumble.

— No, to co pan o nim wie? — zapytał stary pan. — Proszę mówić, przyjacielu, jeżeli ma pan w ogóle coś do powiedzenia. Co pan o nim wie?

— Nic dobrego pan o nim nie wie, prawda? — rzekł kostycznie pan Grimwig przyjrzawszy się

przedtem bacznie rysom pana Bumble.

Pan Bumble w lot pochwycił to pytanie i potrząsnął głową w sposób ważny i uroczyście.

— Widzisz? — rzekł pan Grimwig spoglądając triumfalnie na pana Brownlow.

Pan Brownlow spojrział z pewnym niepokojem na nadęte oblicze pana Bumble i poprosił go o zakomunikowanie w jak najkrótszych słowach, co wie o Oliwerze.

Pan Bumble położył kapelusz, rozpiął płaszcz, skrzyżował ręce na piersi, pochylił głowę, jak gdyby w rozpamiętywaniu przeszłości, i wreszcie po paru chwilach zastanowienia rozpoczął swoją opowieść.

Byłaby ona nudna, gdyby ją przytoczyć słowami woźnego, gdyż zajęła mu jakieś dwadzieścia minut.

Treścią jej zaś było, że Oliwier był znajdą, urodzonym z niegodziwych, niskiego stanu rodziców. Że od urodzenia nie objawiał żadnych lepszych cech charakteru, tylko skłonności do kręctw, niewdzięczność i złośliwość. Że swoją krótką karierę w rodzinnym mieście zakończył gwałtowną i podłą napaścią na Boga ducha winnego wyrostka i uciekł nocą z domu swego chlebobdawcy. Na dowód, że istotnie jest tym, za kogo się podaje, pan Bumble rozłożył na stole papiery, które przywiózł z sobą do miasta. Następnie, założywszy ponownie ręce na piersi, czekał uwag pana Brownlow.

— Obawiam się, że to wszystko jest aż nazbyt prawdziwe — rzekł stary pan smutnie, przejrząwszy papiery. — Oto niewielka nagroda za pańskie wiadomości, ale chętnie dałbym panu trzy razy tyle, gdyby świadczyły one dobrze o tym chłopcu.

Nie jest rzeczą nieprawdopodobną, że gdyby pan Bumble dowiedział się o tym na początku rozmowy, byłby zgoła innymi barwami okraślił swoje opowiadanie. Teraz jednakże było na to za późno, toteż potrząsnął poważnie głową i wsadziwszy pięć gwinei do kieszeni oddalił się.

Przez kilka minut pan Brownlow chodził tam i na powrót po pokoju, najwidoczniej tak wzburzony opowieścią woźnego, że nawet pan Grimwig wstrzymał się od dalszego dokuczania mu.

Wreszcie stanął i gwałtownie pociągnął za sznurek dzwonka.

— Pani Bedwin — rzekł pan Brownlow, gdy gospodyni pojawiła się. — Ten chłopiec, Oliwier, jest oszustem.

— To niemożliwe, proszę pana. To nie może być — rzekła staruszka energicznie.

— Mówię pani, że tak jest — odparł stary pan. — Co to znaczy: nie może być? Słyszeliśmy właśnie jego dzieje od samego urodzenia: przez całe życie był z gruntu niedobrym małym nicponiem.

— Nigdy w to nie uwierzę, proszę pana — odrzekła staruszka stanowczo. — Nigdy!

— Wy, stare baby, wierzycie tylko szarlatańskim doktorom i kłamliwym powieściom — mruknął pan Grimwig. — Ja wiedziałem o tym przez cały czas. Dlaczegoś od początku nie słuchał moich rad? Byłbyś to zrobił, gdyby chłopak nie dostał febry, co? Interesujący był? Prawda? Interesujący! Ba! — I pan Grimwig zamasyście ją poprawiać ogień pogrzebaczem.

— To było kochane, wdzięczne, delikatne dziecko, proszę pana — odparła pani Bedwin z oburzeniem.

— Ja znam dzieci, proszę pana, i znam je już od czterdziestu lat, a ludzie, którzy tego samego powiedzieć nie mogą, nie powinni o nich mówić. Takie jest moje zdanie!

Był to celny cios w pana Grimwiga, który był kawalerem. Ponieważ jednak starszy pan tylko się uśmiechnął i nic nie odpowiedział, staruszka odrzuciła głowę w tył i wygładziła fartuch, gotując się do nowego przemówienia. Ale pan Brownlow nie dopuścił jej do głosu.

— Cicho! — rzekł stary pan udając gniew, od którego był daleki. — Proszę, żebym nigdy więcej nie słyszał imienia tego chłopca. Zadzwoniłem właśnie, żeby pani to powiedzieć. Nigdy. Nigdy, pod żadnym pozorem, niech pani to sobie zapamięta! Może pani odejść, pani Bedwin. I proszę pamiętać! Nie żartuję.

Smutne były serca w domu pana Brownlow tego wieczoru. Serce Oliwera zamierało w nim, kiedy myślał o swych dobrych, zacnych przyjaciółach. Dobrze, że nie mógł wiedzieć, co usłyszeli, bo byłoby może pękło na dwoje.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

JAK OLIEWER SPĘDZAŁ CZAS W BUDUJĄCYM TOWARZYSTWIE SWYCH SZANOWNYCH ZNAJOMYCH

Okolo południa następnego dnia, kiedy Krętaćz i imć pan Bates wyszli do swych zwykłych zajęć, pan Fagin skorzystał z okazji, by wygłosić do Oliwera długie kazanie o wołającym o pomstę do nieba grzechu niewdzięczności. Wykazał mu niezbitcie, że stał się winnym tego grzechu, i to w nie byle jakim stopniu, przez to, że samowolnie porzucił towarzystwo swych troskliwych przyjaciół, a jeszcze bardziej przez to, że usiłował od nich uciec po tylu kłopotach i wydatkach, które ponieśli, by go odzyskać. Pan Fagin kładł wielki nacisk na fakt, że przygarnął Oliwera i zajął się nim czule wtedy, gdy bez jego pomocy mógł był zginąć z głodu. Opowiedział też ponurą i wzruszającą historię o młodym chłopcu, któremu niegdyś — w porywie filantropii — w podobnych okolicznościach ofiarował pomoc, lecz który okazał się niegodny jego zaufania zdradzając chęć porozumienia się z policją. Tak się niestety stało, że powieszono go pewnego ranka w więzieniu Old Bailey. Pan Fagin nie usiłował

bynajmniej ukryć swego udziału w spowodowaniu tej katastrofy, lecz biadał ze łzami w oczach, że przewrotne i zdradzieckie postępowanie wymienionego młodzieńca doprowadziło do tego, że trzeba było uczynić zeń ofiarę pewnych zeznań złożonych przed prokuratorem Jej Królewskiej Mości. Zeznania te, jeśli nawet nie całkiem zgodne z prawdą, były nieodzownie konieczne dla bezpieczeństwa jego (pana Fagina) i niewielkiego grona przyjaciół. Pan Fagin zakończył nader nieprzyjemnym obrazem przykrych doznań towarzyszących wieszaniu, po czym w sposób ogromnie przyjacielski i grzeczny wyraził żarliwą nadzieję, że nigdy nie będzie zmuszony poddać Oliwera tej niemiłej operacji. Krew lodowaciała w żyłach małego Oliwera, kiedy słuchał słów Fagina, nie całkiem jasno rozumiejąc zawarte w nich ponure groźby. O tym, że nawet sama sprawiedliwość myli nie kiedy niewinnych z winnymi, gdy są przypadkowo powiązani — wiedział już dobrze. Nie wydawało mu się też nieprawdopodobne, że starzec niejedną zapewne raz knuł i wykonywał misterne plany usunięcia osób, które wiedziały lub mówiły za wiele. Przypomniały mu się spory pomiędzy Faginem a Sikesem, w których zdawały się być aluzje do podobnych spisków w przeszłości. Gdy nieśmiało podniósł oczy i napotkał badawczy wzrok Fagina, uczuł, że chytry staruch dobrze widzi błądliwość jego twarzy i drżenie ciała oraz że mu one sprawiają niemałą przyjemność. Uśmiechając się ohydnie, Fagin poklepał Oliwera po głowie i powiedział, że jeśli będzie zachowywał się spokojnie i przykładać się do pracy, będą jeszcze mogli być bardzo dobrymi przyjaciółmi. Następnie wziął kapelusz, otulił się w stary, połatany płaszcz i wyszedł zamykając za sobą na klucz drzwi do pokoju.

I tak przez cały ten dzień i znaczną część wielu następnych dni Oliwer przesiadywał samotnie, nie widząc nikogo od wczesnego ranka do północy, pozostawiony na długie godziny swym własnym myślom. A myśli te były zaiste smutne, wracały bowiem zawsze do jego zacnych przyjaciół i do opinii, którą musieli od dawna sobie o nim wyrobić.

Po jakimś tygodniu Fagin przestał zamykać na klucz drzwi do pokoju, Oliwer mógł tedy swobodnie wędrować po całym domu.

Dom ten był bardzo brudny. Pokoje na górze miały wielkie drewniane parapety nad kominkami, duże drzwi, ściany pokryte boazeriami i gzymsy pod sufitami. Gzymsy te, chociaż zniszczone i czarne od kurzu, były ozdobione przeróżnymi ornamentami. Ze wszystkich tych szczegółów Oliwer wywnioskował, że dawno temu, jeszcze gdy starego Żyda nie było na świecie, dom ten należał do porządniejszych ludzi i może kiedyś był całkiem wesoły i ładny, choć teraz wyglądał tak ponuro i brzydtko.

Pająki uprzedły sobie pajęczyny w kątach sufitu i ścian; czasami też, gdy Oliwer wchodził cicho do jakiegoś pokoju, myszy pomykały po podłodze i przestraszone kryły się w norach. Poza tymi wyjątkami nie było tu słyhać ani widać żadnej żywej istoty. Często też, gdy już było ciemno, a Oliwer był zmęczony i sprzykrzyło mu się wędrować z pokoju do pokoju, siadywał skulony w kącie sieni przy drzwiach wyjściowych, aby być możliwie najbliżej żywych ludzi. Pozostawał tam, nasłuchując i licząc godziny do chwili powrotu starego lub chłopców. We wszystkich pokojach butwiejące okiennice były szczelnie zamknięte: zasuwki, które je przytrzymały, były mocno przyśrubowane do drzewa. Światło wsączało się tylko przez okrągłe dziurki wycięte wysoko w górze. Wskutek tego pokoje te były jeszcze bardziej pępne, pełne niesamowitych cieni. Jedyne okienko mansardowej izdebki od tyłu domu nie miało okiennic, a tylko zardzewiałe kraty. Z tego to okienka Oliwer często wyglądał całymi godzinami, z melancholijnym wyrazem twarzy. Ale nie można było zobaczyć przez nie nic prócz bezładnej, stłoczonej masy dachów, poczerniałych kominów i szczytów domów. Czasami wprawdzie nad murem otaczającym jeden z odległych domów ukazywała się jakaś siwa głowa, ale szybko cofała się z powrotem. Ponieważ zaś okno, z którego wyglądał Oliwer, było zabite gwoździami, a szyba zmętniała od wieloletnich deszczów i dymu, trudno mu było odróżnić kształty znajdujących się poza nią przedmiotów, a cóż dopiero starać się, by go dostrzeżono lub usłyszano, na co miał akurat tyle samo szans, co gdyby siedział w kuli na katedrze Świętego Pawła.

Pewnego popołudnia Krętacz i Karolek Bates wybierali się gdzieś na wieczór, a młodemu dżentelmenowi, którego imię na pierwszym miejscu zostało wymienione, przyszło nagle do głowy zatroszczyć się o wygląd swego przyodziewku (trzeba oddać mu sprawiedliwość, że słabość taką objawiał niezmiernie rzadko). W tym to zamiarze oraz dla tego celu łaskawie rozkazał Oliwerowi, by natychmiast dopomógł mu w toalecie.

Oliwer był zanadto rad, że może się na coś przydać, zanadto uszczęśliwiony, że może popatrzeć na jakieś ludzkie twarze, jakkolwiek złe, zbyt pałał chęcią zjednania sobie — w godziwy sposób — otaczających go ludzi, by mieć jakiegokolwiek bądź zastrzeżenia przeciw tej propozycji. Natychmiast więc wyraził gotowość pomożenia Krętaczowi i podczas gdy ten siedział na stole, Oliwer ukląkł na podłodze, oparł sobie nogę Krętacza na kolanach i zabrał się do czynności, którą pan Dawkins nazywał „woskowaniem człapaków”. Przetłumaczone na zwykły język wyrażenie to oznacza czyszczenie butów.

Usposobienie Krętacza zabarwiło się na ten raz odrobiną romantyzmu i entuzjazmu, które zazwyczaj

obce były jego naturze. Może był to skutek owego poczucia swobody i niezależności, którego musi doznawać wszelkie rozumne zwierzę, gdy siedzi na stole w wygodnej pozycji, pali fajkę, dynda niedbale jedną nogą, a przez cały ten czas daje sobie czyścić buty nie mając poza sobą nawet trudu zdejmowania, a przed sobą przykrej perspektywy nakładania ich; może też dobry tytoń kojąco działał na uczucia Krętacza, a może łagodne piwo wniosło jakąś miękkość do jego myśli. Dość, że przez chwilę w zamyśleniu spoglądał z góry na Oliwera, a następnie podniósłszy głowę i westchnąwszy z lekka, rzekł na pół do siebie, a na pół do młodego pana Batesa:

— Co za szkoda, że on nie jest buchaczem!

— A! — rzekł imię pan Karol Bates. — On nie wie, co dla niego dobre.

Krętacz westchnął powtórnie i zaczął znów ćmić fajkę, to samo uczynił Karolek Bates. Przez kilka sekund palili obaj w milczeniu.

— Pewno nie wiesz nawet, co to jest takiego buchacz? — z żalem powiedział po chwili Krętacz.

— Chyba wiem — odrzekł Oliwier podnosząc oczy. — To zło... ty jesteś buchaczem, prawda? — zapytał przerywając w pół słowa.

— Tak, jestem — odparł Krętacz. — I wstydziłbym się być czymkolwiek innym. —

Wypowiedziawszy tę myśl pan Dawkins przekrzywił zabójczo kapelusz na głowie i spojrzał na pana Batesa, jak gdyby chciał mu dać do zrozumienia, że będzie mu wdzięczny za wyrażenie przeciwnego zdania.

— Tak, jestem — powtórzył. — I Karolek tak samo. I Fagin też. I Sikes. I Nancy. I Bet. Wszyscy razem z psem. A on jest najgorszy z całej paczki.

— I najmniej skłonny do paplania — dodał Karolek Bates.

— Na ławie świadków aniby nie szczeknął, ze strachu żeby się nie wsypać. Nie, nawet gdybyś go tam uwiązał i zostawił bez żarcia na dwa tygodnie — rzekł Krętacz.

— Mowy nie ma — potwierdził Karolek.

— Dziwny psiak. Ależ groźnie patrzy na każdego obcego, który się śmieje albo śpiewa w towarzystwie! — ciągnął Krętacz. — Ależ warczy, kiedy słyszy grę na skrzypcach! Ależ nienawidzi innych psów, które nie są tego samego chowu co on! Ojjoj!

— Prawdziwy chrześcijan — rzekł Karolek.

Było to powiedziane wyłącznie z zamiarem złożenia hołdu zdolnościom zwierzęcia, lecz i w innym sensie uwaga ta była słuszna, choć imię pan Bates nic o tym nie wiedział. Jest bowiem wiele pań i panów, którzy mają się za prawdziwych chrześcijan, a którzy pod wieloma względami wykazują uderzające i zdumiewające podobieństwo do psa pana Sikesa.

— To dobrze — rzeki Krętacz powracając do tego punktu rozmowy, od którego się potem oddalili, z tą samą dbałością

o sprawę swego zawodu, która cechowała wszystkie jego poczynania. — Ale to nie ma nic wspólnego z tym oto naszym niewiniątkiem.

— Rzeczywiście — rzekł Karolek. — Dlaczego nie chcesz wstąpić do służby u Fagina, Oliwerze?

— I zrobić od ręki fortunę? — dodał Krętacz z krzywym uśmiechem.

— I móc potem wycofać się z własnym majątkiem i żyć jak pan, tak jak ja to zamierzam uczynić za dwa przestępne lata, w czterdziesty drugi czwartek następujący w tygodniu po Świętej Trójcy? — rzekł Karolek Bates.

— Nie podoba mi się to — odparł Oliwier nieśmiało. — Chciałbym, żeby mnie puścili. Ja... ja wolałbym sobie pójść.

— A Fagin „wolałby”, żebyś został — odrzekł Karolek. Oliwier wiedział o tym aż nazbyt dobrze, lecz pomyślał, że niebezpiecznie byłoby wypowiadać zbyt otwarcie to, co czuje, toteż westchnął tylko i dalej czyścił buty.

— Idźże! — wykrzyknął Krętacz. — Gdzie twoja ambicja? Czy ty nie masz żadnej dumy? Chciałbyś stale być na utrzymaniu swoich przyjaciół?

— Ach, niech to richo porwie! — rzekł imię pan Bates. Wyciągnął z kieszeni dwie czy trzy jedwabne chustki do nosa

wrzucił je do szafy. — To za podłe! Naprawdę za podłe.

— J a bym tak nie potrafił postępować — powiedział Krętacz z miną pełną wzniesłego obrzydzenia.

— Ale potrafisz opuścić swoich przyjaciół — rzekł Oliwier z półuśmiechem — i pozwolić, żeby byli ukarani za to, co ty zrobiłeś.

— To — odparł Krętacz machając w powietrzu fajką — to było ze względu na Fagina, bo łapacze wiedzą, że pracujemy razem, i on mógł się znaleźć w opałach, gdybyśmy nie byli zwiali. O to chodziło, prawda, Karolku?

Imię pan Bates kiwnął głową potwierdzająco i chciał przemówić, ale ucieczka Oliwera tak nagle mu się przypomniała, że dym, którym się zaciągnął, pomieszał się ze śmiechem, uderzył mu do mózgu, a następnie wpadł do gardzieli, powodując pięciominutowy atak kaszlu i tupania nogami.

— Słuchaj no — rzekł Krętacz wyciągając z kieszeni garść szylingów i półpensówek — raz się żyje! Co za różnica, skąd to się bierze? Masz, łap! Tam, skąd to wzięte, jest tego dużo więcej. Nie chcesz, co? Ach, ty beznadziejny głuptasie!

— On jest niegrzeczny, prawda, Oliwerze? — spytał Karolek Bates. — Kiedyś go za to pobujają, prawda?

— Nie wiem, co to znaczy — odrzekł Oliwer.

— Coś w tym rodzaju, mój stary — powiedział Karolek. Mówiąc to chwycił za róg swego szalika i podniósłszy go do góry, opuścił głowę na ramię i wydał osobliwy dźwięk przez zęby. Za pomocą tego frapującego popisu mimicznego dał do zrozumienia, że bujanie i wieszanie było jednym i tym samym. — To właśnie to znaczy — rzekł Karolek. — Patrz, jak on się gapi, Jack. Nigdy nie widziałem takiego pierwszorzędnego kompana jak ten chłopak. Umrę kiedy ze śmiechu przez niego, na pewno umrę. — I pan Karol Bates, uśmiewszy się znów serdecznie, ze łzami w oczach zabrał się na nowo do palenia fajki.

— Źle cię wychowali — rzekł Krętacz oglądając z wielkim zadowoleniem swe buty, kiedy Oliwer skończył je szczotkować — ale Fagin robi z ciebie ludzi. Jeżeli nie, byłbyś jedynym z jego chłopaków, który by w rezultacie nie przynosił zysku. Lepiej zacznij od razu, bo nim się obejrzysz, wejdiesz do fachu, więc teraz tylko tracisz czas, Oliwerze.

Imć pan Bates poparł tę radę różnymi własnymi admonicjami moralnymi. Gdy te się wyczerpały, on i jego przyjaciel pan Dawkins zagłębili się w olśniewający opis rozlicznych przyjemności towarzyszących życiu, które wiedli, wplatając często napomnienia, by Oliwer bezzwłocznie wziął się do zaskarbiana sobie łaski Fagina w ten sam sposób, w jaki oni ją zyskali, gdyż nic lepszego uczynić nie może.

— I zakonotuj sobie raz na zawsze, Nolly — rzekł Krętacz w chwili, gdy posłyszeli, jak Żyd odmyka na górze drzwi — że jeżeli nie będziesz brał wycieraczek i cykaczy...

— Co za pożytek z takiego gadania? — wtrącił Karolek. — On nie rozumie, co ty mówisz.

— Jeżeli nie będziesz brał chustek do nosa i zegarków — rzekł Krętacz obniżając swoje wywody do poziomu pojętności Oliwera — robi to kto inny, tak że ci, którzy je tracą, tak samo źle na tym wyjdą. I ty też źle na tym wyjdiesz i nikt na tym grosza nie zyska, prócz tych, co je wezmą. A ty masz do nich takie samo prawo co oni.

— Ależ tak, ależ tak! — powiedział Fagin, który tymczasem wszedł niepostrzeżenie dla Oliwera. — Wszystko to oczywista prawda, mój drogi. Oczywista prawda, wierz na słowo Krętaczowi. Ha, ha, ha! Już on dobrze zna katechizm swego rzemiosła.

Staruch wesoło zacierał ręce, gdy w wyżej podanych słowach potwierdzał wywody Krętacza. I chichotał z uciechy, uradowany postępami swego pupila.

Rozmowa tym razem dalej się nie posunęła, gdyż Fagin wrócił do domu w towarzystwie panny Betsy i jakiegoś młodzieńca, którego Oliwer nigdy przedtem nie widział, a którego Krętacz powitał nazywając go Tomem Chitlingiem. Młodzieniec ten zatrzymał się przez parę chwil na schodach, by zamienić kilka uprzejmych słów z młodą damą, po czym zjawił się w pokoju.

Pan Chitling był latami starszy od Krętacza, liczył bowiem może z osiemnaście wiosen, ale w jego zachowaniu względem owego młodego kawalera był pewien odcień szacunku, który zdawał się wskazywać, że jest świadom, iż mu nie dorównuje i jest od niego niższy zdolnościami i fachowym wykształceniem. Miał małe, błyszczące oczka i ospowatą twarz. Ubrany był w futrzaną czapkę, ciemną welwetową kurtkę, wytłuszczone cągowe spodnie i fartuch. Garderoba jego była, prawdę mówiąc, w nader złym stanie, lecz usprawiedliwił się wobec zebranych, mówiąc, że jego „termin” skończył się zaledwie przed godziną i że nosząc w ciągu ostatnich sześciu tygodni skarbowe odzienie nie miał możliwości zadbać o swój prywatny przyodziewek. Pan Chitling dodał z oznakami wielkiej irytacji, że nowy sposób dezynfekowania ubrań „tam” był diablo niezgodny z konstytucją, gdyż wypalano w nich dziury; nie było jednak sposobu walczyć z władzami hrabstwa. Ta sama uwaga stosowała się, jego zdaniem, do przepisowego sposobu strzyżenia włosów, który uważał za zdecydowanie bezprawny. Pan Chitling zakończył swe uwagi stwierdzeniem, że przez czterdzieści dwa śmiertelnie długie, pracowite dni nie łyknął ani kropeczki i że niech pęknie, jeżeli nie jest wysuszony jak wiór.

— Jak myślisz, skąd ten pan przyszedł, Oliwerze? — zapytał Fagin wykrzywiając się w uśmiechu, podczas gdy chłopcy stawiali butelkę spirytusu na stole.

— Ja... ja... nie wiem, proszę pana — odparł Oliwer.

— Kto to jest? — spytał Tom Chitling rzucając, pogardliwe spojrzenie na Oliwera.

— To jeden z moich młodych przyjaciół, mój drogi — odrzekł Żyd.

— Ma szczęście wobec tego — rzekł miody człowiek spoglądając znacząco na Fagina. — Mniejsza z tym, skąd przyszedłem, szczeniaku, załóżę się o koronę, że i tak niedługo tam trafisz.

Chłopcy roześmieli się z tego dowcipu. Pożartowawszy jeszcze trochę na ten sam temat, zamienili z Faginem kilka krótkich zdań szeptem i odeszli.

Ostatnio przybyły młodzieniec porozmawiał chwilę z Faginem na stronie, po czym przysunęli sobie krzesła do kominka, a Żyd kazał Oliwerowi usiąść koło siebie i naprowadził rozmowę na tematy obliczone na jak największe zainteresowanie słuchaczy. Były zaś nimi: wielkie korzyści płynące z ich fachu, uzdolnienia Krętacza, miłe usposobienie Karolka Batesa, wreszcie hojność samego Fagina. Na koniec pojawiły się oznaki, że tematy te zostały gruntownie wyczerpane. Objawy wyczerpania zdradzał również i pan Chitling: dom poprawczy po upływie tygodnia czy dwóch staje się męczący. Wobec tego panna Betsy oddaliła się i pozostali mogli udać się na spoczynek.

Od tego dnia Oliwera rzadko pozostawiano samego. Prawie stale przebywał w towarzystwie obu chłopców, którzy codziennie bawili się z Żydem w ową starą grę. Czy miało to na celu wykształcenie ich, czy Oliwera, o tym wiedział najlepiej Fagin. Niekiedy znów stary opowiadał im historie rabunków, które popełnił za młodu. Opowiadania te zaś były tak śmieszne i ciekawe, że Oliwer mimo woli śmiał się serdecznie i okazywał, że go to bawi na przekór jego lepszym uczniom.

Krótko mówiąc, chytry staruch wziął się ostro za chłopca. Osamotnieniem i ponurym otoczeniem doprowadził do tego, że wołał on każde towarzystwo od towarzystwa własnych smutnych myśli w takim posepnym miejscu. Teraz zaś po trochu wsączał w duszę Oliwera jad, w nadziei, że ją przeniknie, zbrudzi i odmieni na zawsze jej barwę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W KTÓRYM OMAWIA SIĘ I USTALA PEWIEN GODNY UWAGI PLAN

Był chłodny, wilgotny i wietrzny wieczór, kiedy Fagin opuścił swoją kryjówkę. Zapiął płaszcz otulając nim szczelnie swoje wyschłe ciało, a kołnierz postawił na uszy, tak że zupełnie zasłaniał dolną część twarzy. Zatrzymał się na progu, podczas gdy zamykano za nim drzwi i zakładano łańcuch.

Nasłuchiwał, czy chłopcy wszystko należycie zabezpieczyli, a kiedy ich oddalające się kroki ucichły — chyłkiem, jak mógł najspieszej poszedł ulicą.

Dom, do którego sprowadzono Oliwera, znajdował się niedaleko Whitechapel. Na rogu ulicy Żyd przystanął na chwilę, rozejrzał się podejrzliwie, przeszedł na drugą stronę jezdni i skręcił w kierunku Spitalfields.

Błoto leżało grubą warstwą na bruku, a nad ulicami wisiała czarna mgła. Deszcz padał leniwie i wszystko, czego by się dotknąć, było zimne i mokre. Noc zdawała się w sam raz odpowiednia do tego, by taka istota jak Fagin wyszła ze swej kryjówki. Gdy tak ukradkiem przemykał się, skulony, pod osłoną murów i bram, ohydny starzec podobny był do jakiegoś wstrętnego gada zrodzonego z błota i ciemności, w których pełzał po nocy w poszukiwaniu tłustego a brudnego żeru.

Spieszył dalej przez różne kręte i wąskie przejścia, aż doszedł do Bethnal Green, następnie skręcił w lewo i niebawem znalazł się wśród labiryntu nędznych i brudnych uliczek, w które obfituje owa ciasno zabudowana i gęsto zaludniona dzielnica.

Fagin był najwidoczniej zbyt dobrze obznajmiony z terenem, przez który szedł, by ciemność nocy i zawiła płatanina dróg mogły go zdezorientować. Przemknął przez kilka zaułków i ulic i na koniec skręcił w jedną z nich, oświetloną jedyną latarnią stojącą na drugim jej końcu. Zatrzymał się przed drzwiami jednego z domów, zastukał i po zamienieniu kilku cichych słów z osobą, która mu otworzyła, poszedł na górę. Gdy dotknął klamki drzwi wiodących do pokoju, rozległo się warczenie psa, a męski głos zapytał: „Kto tam?”

— To tylko ja, Bill, tylko ja, mój drogi — powiedział staruch zaglądając do środka.

— No, to włącz — rzekł Sikes. — Leżeć, ty głupie bydlę! Nie umiesz rozpoznać diabła, jak się okryje płaszczem?

Widocznie psa zmyliło wierzchnie odzienie pana Fagina. Gdy bowiem Żyd zdjął je i przerzucił przez oparcie krzesła, pies wrócił do kąta, z którego się przedtem podniósł, kręcąc po drodze ogonem na znak, że był na tyle zadowolony, na ile mu pozwalała jego natura.

— No więc? — rzekł Sikes.

— No cóż, mój drogi — odparł staruch. — A, Nancy!

Powitanie to wypowiedział z pewnym odcieniem zażenowania, jak gdyby nie był całkiem pewny, jak zostanie ono przyjęte, pan Fagin i jego młoda przyjaciółka nie spotkali się bowiem od owego wieczoru, kiedy to Nancy wystąpiła w obronie Oliwera. Jeżeli jednak miał jakieś wątpliwości na ten temat, rozproszyło je wnet zachowanie młodej damy. Zdjęła stopy z kraty przed kominkiem, cofnęła swoje krzesło i zaprosiła Fagina, by nie wiele mówiąc przysunął do ognia swoje, gdyż noc jest bez wątpienia bardzo zimna.

— Rzeczywiście jest zimno, moja droga Nancy — powiedział Fagin grzejąc chude ręce nad ogniem.

— Ziąb przenika człowieka na wskroś — dodał starzec dotykając boku.

— Musi być doprawdy przenikliwy, jeżeli przedostaje się do twego serca — rzekł pan Sikes. — Daj mu coś do wypicia, Nancy. Niech mnie piorun, spiesz się! Można się rozchorować patrząc, jak ten stary suchy kościotrup dygocze niczym wstrętny upiór, który dopiero co wstał z grobu.

Nancy prędko przyniosła butelkę z szafy, w której było ich wiele. Rozmaity wygląd świadczył, że

musiały zawierać różne rodzaje płynów. Sikes nalał kieliszek koniaku i kazał Żydowi wypić go duszkiem.

— Zupełnie dosyć, zupełnie, dziękuję, Bill — odrzekł Żyd i odstawił kieliszek ledwo umoczywszy w nim wargi.

— Co? Boisz się, że cię wykiwamy, tak? — zapytał Sikes patrząc uporczywie na starego. — Tfu! Z ochryplym pomrukiem wzgardy pan Sikes pochwycił kieliszek i wylał resztę jego zawartości do ognia. Była to wstępna ceremonia przed ponownym napełnieniem tegoż kieliszka dla siebie, co natychmiast potem uczynił. Podczas gdy Sikes wychylał drugi z kolei kieliszek, Fagin . rozejrzał się po pokoju, nie z ciekawości, gdyż widział go już nieraz przedtem, lecz ze zwykłym u niego niepokojem i podejrzliwością. Mieszkanie było lichy umeblowane i tylko zawartość szafy wskazywała, że jego właściciel był czymś innym niż zwykłym robotnikiem. Jedynymi podejrzanymi przedmiotami pozostającymi na widoku było kilka ciężkich kijów w kącie pokoju oraz wisząca nad kominkiem krótka pałka z metalowym zakończeniem.

— No — rzekł Sikes oblizując wargi. — Teraz jestem gotów. — Na interesy? — zapytał Żyd.

— Na interesy — odrzekł Sikes. — No, więc mów, co masz do powiedzenia.

— O robocie w Chertsey, Billu? — rzekł Fagin bardzo cicho, posuwając się z krzesłem do przodu.

— Tak. No i co z nią? — spytał Sikes.

— Ach, ty wiesz, co mam na myśli, mój drogi — powiedział Fagin. — On wie, co mam na myśli, prawda, Nancy?

— Nie, on nie wie — parsknął drwiąco Sikes. — Albo nie chce wiedzieć, a to na jedno wychodzi. Gadaj i nazywaj rzeczy po imieniu, zamiast siedzieć tu i mrugać, i lypać, i kluczyć, jakbyś to nie ty był pierwszym, któremu przyszedł do głowy pomysł tego rabunku. Czego wreszcie chcesz?

— Sza, Bill, sza! — powiedział Fagin, który na próżno usiłował powstrzymać ten wybuch oburzenia.

— Ktoś nas posłyszysz, mój drogi. Ktoś nas posłyszysz.

— A niech słyszysz! — rzekł Sikes. — Wszystko mi jedno. — Ale ponieważ naprawdę nie było mu wszystko jedno, rozmyślił się i wypowiadając te słowa ściszył głos i udobruchał się nieco.

— No, no — mówił Fagin uspokajająco. — To tylko moja ostrożność, nic więcej. A więc, mój drogi, co do tej roboty w Chertsey — kiedy ona będzie zrobiona, Bili, co? Kiedy będzie zrobiona? Takie srebra, mój drogi, takie srebra! — Żyd zatarł ręce i podniósł brwi ciesząc się już naprzód.

— Wcale — odparł Sikes zimno.

— Jak to? Wcale nie będzie zrobiona? — powtórzył Fagin jak echo, przechylając się w tył na krześle.

— Tak, wcale — powtórzył Sikes. — Przynajmniej nie może to być robota z pomocą służby, jak się spodziewaliśmy.

— W takim razie źle się do tego wzięliście — powiedział Żyd błędąc z gniewu. — Już ty mi nie mów!

— Owszem, powiem ci! — odpalił Sikes. — Komu mam mówić, jak nie tobie? Mówię ci więc, że Toby Crackit kręci się koło tego domu od dwóch tygodni i nie może się dogadać z nikim ze służby.

— Chcesz mi wmówić, Bill — rzekł Fagin łagodniejąc, w miarę jak tamten zaczynał się burzyć — że żadnego z tych dwóch mężczyzn, którzy tam służą, nie uda się wciągnąć?

— Tak, właśnie to chcę ci powiedzieć — odrzekł Sikes. — Są u tej starej paniusi od dwudziestu lat i gdybyś im nawet dawał pięćset funtów, nie zgodziliby się wziąć w tym udziału.

— Ale czy chcesz powiedzieć, mój drogi — perswadował Fagin — że i kobiet nie da się przekabacić?

— Mowy nie ma — odrzekł Sikes.

— Nawet „elegant” Toby Crackit? — spytał staruch niedowierzająco. — Przecież wiesz, jakie są kobiety.

— Nie. Nawet „elegant” Toby Crackit — odpowiedział Sikes. — Powiada, że przez cały przekłętą czas, odkąd się tam kręci, nosi przyklejane baczki i kanarkową kamizelkę, ale to wszystko na nic.

— Powinien był spróbować wąsów i pary wojskowych spodni, mój drogi — powiedział Żyd.

— Tak też zrobił — odparł Sikes — ale nie pomogło to bardziej niż tamto przebranie.

Na tę wieść Fagin stropił się. Po paru minutach namysłu, z brodą opuszczoną na piersi, podniósł głowę i rzekł z głębokim westchnieniem, że jeśli „elegant” Toby Crackit mówi prawdę, to obawia się, iż rzeczywiście nic z tego nie wyjdzie.

— A jednak — powiedział starzec opuszczając ręce na kolana — smutna to rzecz, mój drogi, stracić tak wiele, kiedyśmy już na to liczyli.

— Pewnie — rzekł pan Sikes. — Pech.

Nastąpiło długie milczenie, w czasie którego Fagin pogrążony był głęboko w myślach, a jego pomarszczona twarz przybrała wyraz iście szatańskiej niegodziwości. Sikes od czasu do czasu spoglądał na niego ukradkiem. Nancy, która bała się najwidoczniej rozdrażnić włamywacza, siedziała z oczami utkwionymi w ogniu, jak gdyby głucha na wszystko, co się działo.

— Fagin — rzekł Sikes przerywając raptem milczenie. — Czy dałbyś ekstra pięćdziesiąt funtów,

gdyby to zrobić bezpiecznie z zewnątrz?

— Tak — rzekł stary ożywiając się równie nagle.

— Umowa stoi? — zapytał Sikes.

— Tak, mój drogi, tak — odpowiedział Fagin. Oczy jego lśniły i wszystkie mięśnie twarzy drgały, tak go podnieciło to pytanie.

— Wobec tego — rzekł Sikes odpychając dłoń Fagina z pewną wzgardą — można to będzie zrobić, kiedy tylko zechcesz. Tobi i ja przeleźliśmy przedwczoraj w nocy przez mur od ogrodu i próbowaliśmy wszystkie drzwi i okiennice. Dom jest zaryglowany nocą jak więzienie, ale jest jedno miejsce, przez które możemy się po cichu i bezpiecznie włamać.

— Co to za miejsce, Bill? — spytał Żyd skwapliwie.

— Widzisz — szepnął Sikes — kiedy się przejdzie przez trawnik...

— Tak?! — powiedział Fagin. Pochylił głowę naprzód, a oczy niemal wychodziły mu z orbit.

— Hm! — zawołał Sikes i urwał widząc, że dziewczyna, prawie nie poruszając głową, obejrzała się nagle i przez mgnienie oka wskazała na twarz Żyda. — Mniejsza z tym, które to miejsce. Nie możesz się obejść beze mnie, wiem o tym. Ale lepiej być ostrożnym, kiedy się ma z tobą do czynienia.

— Jak chcesz, mój drogi, jak chcesz — odrzekł Fagin. — Nie potrzeba żadnej pomocy prócz ciebie i Toby'ego?

— Żadnej — rzekł Sikes — oprócz łomu i chłopca. Pierwsze mamy, drugie ty musisz nam znaleźć.

— Chłopca! — wykrzyknął Żyd. — A! w takim razie to jakieś okienko, co?

— Mniejsza z tym, co to jest! — odparł Sikes. — Potrzebuję chłopca, i to niedużego. Do licha! — powiedział z namysłem włamywacz. — Gdybym tylko miał tego chłopaka Neda, kominiarza!

Umyślnie nie dawał mu rosnąć i wypożyczał go jednorazowo na takie roboty. Ale ojciec dostaje się do ciupy i wtedy przychodzi Stowarzyszenie Opieki nad Nieletnimi Przystępcami, zabiera chłopaka z fachu, w którym dobrze zarabiał, uczy go czytać i pisać i wreszcie robi z niego terminatora. Oni stale tak robią — gniew pana Sikesa rozpałał się, w miarę jak przypominał sobie swe krzywdy — stale tak robią i gdyby mieli dosyć pieniędzy (łaska boska, że ich nie mają!), za rok czy dwa nie zostałyby nam w całym fachu ani pół tuzina chłopaków.

— To prawda — zgodził się Fagin, który przez cały czas tego przemówienia rozmyślał i pochwycił tylko ostatnie zdanie. — Bill!

— Co tam znowu? — spytał Sikes.

Fagin kiwnął głową w stronę Nancy, która ciągle wpatrywała się w ogień, i dał znak, że życzyłby sobie, aby kazano jej wyjść z pokoju. Sikes niecierpliwie wzruszył ramionami, jak gdyby uważał tę ostrożność za zbędną, lecz mimo to ustąpił i powiedział pannie Nancy, żeby mu przyniosła dzban piwa.

— Nie chcesz wcale piwa — rzekła Nancy zakładając ręce i z całym spokojem pozostając na miejscu.

— Mówię ci, że tak — odparł Sikes.

— Głupstwo — odrzekła chłodno dziewczyna. — Mów dalej, Fagin. Ja wiem, co on powie, Bill. Nie potrzebuje się mnie krępować.

Żyd wciąż się wahał. Sikes z pewnym zdziwieniem przenosił wzrok z jednego na drugie.

— Przecież chyba nie przeszkadza ci dziewczynisko, co, Fagin? — spytał w końcu. — Znasz ją od dość dawna, żeby jej ufać, u diabła. Ona nie z tych, co paplają. Co, Nancy?

— No chyba! — odrzekła panienska. Przysunęła swoje krzesło do stołu i oparła się na nim łokciami.

— Nie, nie, moja droga, wiem, że nie — powiedział Fagin. — Ale... — i starzec znowu urwał.

— Ale co? — zapytał Sikes.

— Nie wiem, czy ona czasem nie wpadnie w zły humor, rozumiesz, mój drogi, tak jak w tamten wieczór — odparł Fagin.

Na to wyznanie panna Nancy wybuchnęła głośnym śmiechem. Wychyliła kieliszek koniaku, potrząsnęła głową wyzywająco i wydała szereg okrzyków w rodzaju: „Interes przede wszystkim! Uszy do góry!” itp. Okrzyki te najwidoczniej uspokoiły obu panów, gdyż Fagin pokiwał głową z zadowoleniem i znów rozsiadł się w krzesło, podobnie uczynił i pan Sikes.

— No, Fagin — powiedziała Nancy ze śmiechem. — Powiedźże Billowi o Oliwerze!

— Ha! Sprytna jesteś, moja droga. Najbystrzejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem!

— rzekł Fagin poklepując ją po karku. — Rzeczywiście o Oliwerze chciałem mówić, jako żywo. Ha, ha, ha!

— Co takiego? — zapytał Sikes.

— Z niego w sam raz chłopak dla ciebie, mój drogi — odparł Fagin ochryłym szeptem. Przyłożył palec do nosa i wyszczerzył zęby w straszliwym uśmiechu.

— On! — wykrzyknął Sikes.

— Weź go, Bill! — rzekła Nancy. — Na twoim miejscu zrobiłabym to. On może nie jest taki

rozgarnięty jak tamci, ale nie o to ci chodzi, jeżeli ma tylko otworzyć jakieś drzwi. Możesz być pewny, że się doskonale nada, Bill.

— Wiem o tym na pewno — dorzucił Fagin. — Dostał dobrą szkołę w ciągu ostatnich paru tygodni i czas już, aby zaczął pracować na chleb. A poza tym tamci wszyscy są zanadto wyrośnięci.

— No tak, rozmiarów to on jest takich, jak potrzeba — rzekł pan Sikes z zastanowieniem.

— I zrobi wszystko, co zechcesz, Bill, mój drogi — wtrącił Fagin. — Nie może inaczej. To znaczy, o ile odpowiednio go nastraszyć.

— Nastraszyć go! — powtórzył Sikes. — Niezłe to będzie nastraszenie, bądź pewien. Jeżeli będzie się podejrzanie zachowywał, kiedy raz zabierzemy się do roboty, nie zobaczysz go więcej żywego, Fagin. Jak robić, to porządnie. Pomyśl o tym, nim go pošlesz. Zapamiętaj moje słowa! — rzekł bandyta wznosząc żelazną sztabę, którą wyciągnął spod łóżka.

— Pomyślałem o tym wszystkim — odparł Fagin z energią. — Ja... ja obserwowałem go, moi drodzy, z bliska... z bliska. Niech tylko raz poczuje się jednym z nas, niech raz utkwi mu w głowie myśl, że już był złodziejem — a będzie nasz! Nasz na całe życie. Oho! Nie mogło wprost złożyć się lepiej! — Stary skrzyżował ręce na piersiach i wsuwając głowę w ramiona, dosłownie uściskał sam siebie z radości.

— Nasz! — powtórzył Sikes. — Twój, chcesz powiedzieć.

— Może i tak, mój drogi — odrzekł Fagin z przenikliwym chichotem. — Mój, jeśli wolisz, Bill.

Sikes spojrział groźnie na swego miłego przyjaciela.

— A co sprawia, że zadajesz sobie tyle trudu z jednym wymokłym dzieciakiem, kiedy wiesz, że w każdym parku wałęsa

się co wieczór pięćdziesięciu chłopców, z których mógłbyś sobie wybierać do woli?

— Bo oni na nic mi się nie zdadzą, mój drogi — odrzekł Fagin z pewnym zmieszaniem. — Nie oplaca się ich brać. Wygląd kompromituje ich od razu, gdy tylko wpadną, i w ten sposób tracę ich wszystkich. Z tym chłopcem, jeżeli nim należycie pokieruję, moi drodzy, mogę zdziałać więcej niż z dwudziestoma innymi. A poza tym — rzekł Fagin odzyskując panowanie nad sobą — ma on nas teraz w garści, gdyby mu się znów udało umknąć, a więc musi jechać z nami na jednym wozie. Mniejsza z tym, jak się tam znalazł; na to, bym mógł mieć władzę nad nim, wystarczy zupełnie, że będzie brał udział w rabunku. Więcej mi nie trzeba. No i o ileż to będzie lepiej w ten sposób, niż gdybyśmy byli zmuszeni sprzątnąć biednego chłopczykę — co byłoby niebezpieczne, już nie mówiąc o tym, że stracilibyśmy na tym.

— Kiedy to ma być zrobione? — spytała Nancy przerywając jakiś gwałtowny okrzyk Sikesa, mający wyrazić obrzydzenie, które wzbudziła w nim udana litość Fagina.

— A, właśnie — rzekł starzec. — Kiedyż to ma być, Bill?

— Umówiłem się z Tobym na pojutrze w nocy — odrzekł Sikes kwaśno. — Chyba, żebym mu dał znać o jakiejś zmianie.

— Dobrze — rzekł Fagin. — Księżycy nie ma.

— Nie ma — powtórzył Sikes.

— Z wyniesieniem towaru wszystko załatwione, prawda? — spytał Żyd.

Sikes przytaknął.

— A z...

— Ach, wszystko już umówione — przerwał mu Sikes. — Nie troszcz się o szczegóły. Lepiej przyprowadź tu chłopaka jutro wieczorem. Będę w domu w godzinę po zmroku. A potem tylko trzymaj język za zębami i miej tygiel w pogotowiu. Więcej nic nie masz do roboty.

Po dość długim sporze, w którym wszyscy trzej brali czynny udział, postanowiono, że nazajutrz wieczorem, gdy tylko mrok zapadnie, Nancy uda się do kryjówki Żyda i zabierze z sobą Oliwera. Fagin zauważył bowiem chytrze, że jeżeliby Oliwer okazał skłonność do oporu, chętniej niż z kimkolwiek innym pójdzie z dziewczyną, która tak niedawno stanęła w jego obronie. Umówiono się ponadto uroczyście, że na czas zamierzonej wyprawy biedny Oliwer oddany będzie bez zastrzeżeń pod straż i opiekę pana Williama Sikesa, i dalej, iż rzeczony Sikes może postępować z nim, jak będzie uważał za właściwe, i nie będzie odpowiadał przed Faginem za żadną złą przygodę czy nieszczęście, które może się chłopcu przytrafić, ani też za żadną karę, którą uzna za stosowne mu wymierzyć. Aby umowa na tym punkcie była wiążąca, wprowadzono warunek, że wszelkie ważniejsze szczegóły sprawozdania pana Sikesa po powrocie z wyprawy będą musiały znaleźć poświadczenie i potwierdzenie w świadectwie „eleganta” Toby'ego Crackita.

Po zakończeniu tych wstępnych formalności pan Sikes jął pić koniak w szalonym tempie i w niepokojący sposób wymachiwać żelazną sztabą. Jednocześnie ryczał fałszywie urywki piosenek mieszając je z ohydnyimi przekleństwami. Na koniec, ulegając przyływowi zawodowego entuzjazmu, uparł się wydobyć swoją skrzynkę z narzędziami włamywacza. Potykając się co chwila, przyniósł ją do pokoju, lecz zaledwie ją otworzył, by wyjaśnić istotę i właściwości różnych zawartych w niej przyborów oraz szczegółną piękność ich budowy, zaraz przewrócił się, upadł na skrzynkę, ze skrzynki

na podłogę i tam natychmiast zasnął.

— Dobranoc, Nancy — powiedział Fagin opatulając się jak przedtem.

— Dobranoc.

Oczy ich spotkały się i Fagin przyjrzał się jej badawczo i przenikliwie. Dziewczyna ani drgnęła. Była tak szczerze i poważnie przejęta sprawą jak sam Toby Crackit.

Fagin powtórzył raz jeszcze życzenie dobrej nocy, za plecami dziewczyny chytrze wymierzył kopniaka leżącemu nieruchomo panu Sikesowi i zeszedł po omacku ze schodów.

— Tak to jest zawsze! — mruknął Fagin do siebie, kierując się do domu. — Najgorsze u tych bab jest to, że byle co wywołuje w nich jakieś dawno zapomniane uczucia, a najlepsze, że to nigdy nie trwa długo. Ha, ha! Walka mężczyzny z dzieckiem o worek złota!

Zabijając czas tymi przyjemnymi rozmyślaniami pan Fagin dobrnął przez błoto i kałuże do swego ponurego schronienia, gdzie czekał nań niecierpliwie Krętacz.

— Czy Oliwer w łóżku? Chcę z nim pomówić. — Takie były pierwsze słowa Fagina, kiedy wchodził po schodach.

— Już od dawna — odparł Krętacz i otworzył jedne z drzwi. — Oto on!

Chłopiec leżał w głębokim śnie na nędznym pościeli na podłodze. Był tak błady ze smutku i niepokoju oraz na skutek

długotrwałego uwięzienia, że wyglądał jak śmierć: nie ta w całunach i trumnie, lecz taka, jaką jest w chwili, gdy życie dopiero co uleciało, gdy młodziutki i łagodny duch ledwo przed chwilą wzniósł się do nieba, a trujący wiew świata nie zdążył tchnąć zgnilizną na nietrwały proch, który jeszcze tak niedawno uświecała obecność ducha.

— Nie teraz — powiedział staruch i odwrócił się cicho. — Jutro. Jutro.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

W KTÓRYM OLIVER ZOSTAJE PRZEKAZANY PANU WILLIAMOWI SIKESOWI

Kiedy Oliwer obudził się rankiem, zdziwił się bardzo widząc, że przy jego pościeli stoją nowe buty z mocnymi podeszwami, a stare buty zniknęły. Z początku ucieszyło go to odkrycie, nabrał bowiem nadziei, że może jest to zapowiedź wypuszczenia go na wolność. Złudzenia jednak prędko przysły, bo kiedy usiadł do śniadania z Faginem, ten powiedział mu tonem, który jeszcze bardziej go zaniepokoił, że wieczorem zostanie zabrany do mieszkania Billa Sikesa.

— Na... na stałe, proszę pana? — spytał Oliwer z przestraczem.

— Nie, nie, mój drogi. Nie na stałe — odparł Fagin. — Nie chcielibyśmy cię stracić. Nie bój się, Oliwerze, powrócisz do nas. Ha! ha! ha! Nie będziemy tacy okrutni, żeby cię wypędzać, mój drogi. O, nie!

Drocząc się tak z Oliwerem, starzec odwrócił się od ognia, nad którym stał pochylony, rumieniąc na widelcu grzanek. Zaśmiał się przy tym, jak gdyby chciał pokazać, że wie dobrze, iż Oliwer wciąż jeszcze cieszyłby się bardzo, gdyby mógł od nich się wydostać.

— Przypuszczam — rzekł Fagin wbijając wzrok w Oliwera — że chcesz wiedzieć, po co idziesz do Billa, co, mój drogi?

Oliwer zaczerwienił się mimo woli, skoro przekonał się, że stary złodziej odczytał jego myśli.

Odpowiedział jednak śmiało, że owszem, rzeczywiście chciałby to wiedzieć.

— Jak ci się zdaje, po co? — Fagin pytaniem odpowiedział na pytanie.

— Doprawdy nie wiem, proszę pana — odrzekł Oliwer.

— Ba! — rzekł stary odwracając się z rozczarowaniem po baczym przyjrzeniu się twarzy chłopca. — Poczekaj więc, aż ci to Bill powie.

Fagin zdawał się bardzo zły, że Oliwer nie objawia większej ciekawości. Prawdą było, że choć Oliwer czuł wielki niepokój, to jednak poważne i chytre spojrzenia Fagina oraz własne domysły za bardzo go zmieszały, by mógł w tej chwili zadawać dalsze pytania. Ponownej zaś sposobności nie miał, gdyż Żyd pozostał nachmurzony i milczący aż do wieczora, kiedy to zaczął przysposabiać się do wyjścia.

— Możesz palić świecę — powiedział staruch kładąc jedną na stole. — A tu masz książkę do czytania, póki ktoś nie przyjdzie po ciebie. Dobranoc!

— Dobranoc! — odrzekł cichutko Oliwer.

Fagin poszedł do drzwi, patrząc przez ramię na chłopca. Nagle zatrzymał się i zawołał go po imieniu.

Oliwer podniósł oczy. Fagin wskazał na świecę i ruchem ręki kazał mu ją zapalić. Oliwer usłuchał, a w momencie gdy stawiał lichtarz na stole, spostrzegł, że Żyd z nie oświetlonego końca pokoju wpatruje się w niego uporczywie spod groźnie zmarszczonych brwi.

— Uwważaj, Oliwerze! Uwważaj! — rzekł starzec dając prawą ręką jakby znaki ostrzeżenia. — To gwałtowny człowiek i cudzą krew ma za nic, kiedy jego własna się burzy. Cokolwiek się stanie, nic nie mów, tylko rób, co on ci każe. Pamiętaj! — Położywszy silny nacisk na ostatnim wyrazie, pozwolił swym rysom stopniowo ułożyć się w upiorny uśmiech, po czym kiwnął głową i wyszedł.

Gdy stary zniknął, Oliwer oparł głowę na rękę i z drżącym sercem jął rozmyślać nad dopiero co usłyszczanymi słowami. Im więcej zastanawiał się nad przestrogą Fagina, tym trudniej mu było domyślić się jej prawdziwego celu i znaczenia. Nie przychodził mu na myśl żaden niegodziwy cel, którego Fagin nie mógłby równie dobrze osiągnąć pozostawiając go u siebie, jak posyłając go do Sikesa. Po długich medytacjach doszedł do wniosku, że wyznaczono go do pełnienia jakichś codziennych osobistych posług u włamywacza do czasu znalezienia innego chłopca, bardziej odpowiedniego do tego celu. Był zbyt przyzwyczajony do cierpienia i zbyt wiele wycierpiał już pod tym dachem, by móc bardzo się martwić perspektywą zmiany. Przez kilka minut siedział pogrążony w myślach, a potem z ciężkim westchnieniem przyciął knot świecy, wziął książkę pozostawioną mu przez starca i zabrał się do czytania.

Z początku niedbale przerzucał kartki, lecz trafiwszy na ustęp, który przyciągnął jego uwagę, wkrótce zatopił się w lekturze. Były to dzieje życia i procesów wielkich zbrodniarzy. Stronice były brudne i zniszczone częstym przewracaniem.

Przeczytał tu o straszliwych, krew w żyłach mrozących zbrodniach, o tajemniczych mordach popełnionych na bezludnych drogach, o trupach ukrytych przed ludzkim okiem w głębokich rozpadlinach i studniach, które jednak, mimo iż tak głębokie, nie uchowały ich i ukazały je po wielu latach. Widok ten taką zgrozą napawał morderców, że przyznawali się do winy i wielkim głosem błagali, by stryżek skrócił ich mękę. Przeczytał tu także o ludziach, których wśród głuchej nocy napadały w łóżkach (jak twierdzili) złe, kuszące myśli i przywoływały ich do tak krwawych zbrodni, że na myśl o nich jeżyły się włosy na głowie i całym ciałem wstrząsały dreszcze. Straszliwe opisy były tak prawdziwe i żywe, że pożółkłe kartki zdawały się czerwienić od posoki, a napisane na nich słowa rozbrzmiewały w uszach Oliwera, jak gdyby wypowiadały je głuchym szeptem duchy umarłych.

W szaleństwie trwogi chłopiec zamknął książkę i odrzucił ją do siebie. Następnie padł na kolana i modlił się do niebios, by uchroniły go od takich czynów i raczej sprawiły, by natychmiast umarł, niż by miał żyć i popełniać tak straszliwe, przerażające zbrodnie. Stopniowo uspokoił się nieco i cichym, łamiącym się głosem błagał o ocalenie z obecnych niebezpieczeństw: jeśli kiedykolwiek biednemu bezdomnemu chłopcu, który nigdy nie zaznał miłości przyjaciół czy rodziny, miała być okazana pomoc, niechże nadejdzie teraz, kiedy znękany opuszczony, stoi sam jeden wśród występku i niegodziwości. Skończył modlitwę, lecz wciąż jeszcze pozostawał z twarzą

ukrytą w dłoniach, kiedy nagle usłyszał jakiś szelest.

— Co to? — krzyknął zrywając się na równe nogi na widok jakiejś postaci stojącej przy drzwiach. — Kto tam?

— To ja. Tylko ja — odpowiedział drżący głos.

Oliwer uniósł świecę nad głowę i spojrział ku drzwiom. Była to Nancy.

— Postaw światło — rzekła dziewczyna odwracając głowę. — Razi mnie w oczy.

Oliwer spostrzegł, że jest bardzo blada, i zapytał łagodnie, czy ile się czuje. Dziewczyna rzuciła się na krzesło, zwrócona do chłopca plecami, i załamała ręce; nie odpowiedziała jednak nic.

— Boże, daruj mi! — zawołała po chwili. — Nigdy o tym nie pomyślałam.

— Czy coś się stało? — spytał Oliwer. — Czy mogę ci pomóc? Pomogę ci, jeżeli tylko będę mógł. Naprawdę pomogę.

Nancy pochylała się kołyszącym ruchem to naprzód, to w tył, potem chwyciła się dłonią za gardło i wydawszy jakiś chrapliwy dźwięk, z trudem walczyła o oddech.

— Nancy! — zawołał Oliwer. — Co tobie?

Dziewczyna uderzała rękami po kolanach i tupała. Nagle przestała, otuliła się szczelnie chustką i zaczęła dygotać z zimna.

Oliwer podsycał ogień. Ona przysunęła się z krzesłem do kominka i siedziała przez jakiś czas bez słowa, lecz w końcu podniosła głowę i rozejrzała się.

— Nie wiem, co mnie takiego łapie od czasu do czasu — powiedziała udając, że zajęta jest poprawianiem na sobie odzieży. — Zdaje mi się, że to przez ten wilgotny, brudny pokój. No cóż, Nolly, kochanie, jesteś gotów?

— Czy mam z tobą iść? — zapytał Oliwer.

— Tak. Przychodzę od Billa — odrzekła dziewczyna. — Masz pójść ze mną.

— Po co? — spytał Oliwer wzdrygnawszy się.

— Po co? — powtórzyła jak echo dziewczyna. Podniosła oczy, ale odwróciła je znowu, skoro tylko ujrzała twarz chłopca. — Och! Po nic złego.

— Nie wierzę — rzekł Oliwer, który przyglądał się jej bacznie.

— Niech ci będzie — powiedziała z wymuszonym śmiechem. — Po nic dobrego wobec tego.

Oliwer czuł, że ma jakąś władzę nad szlachetniejszymi uczuciami tej dziewczyny, i przez mgnienie oka pomyślał, czyby nie odwołać się w tym rozpaczliwym położeniu do jej współczucia. Ale zaraz

potem przemknęło mu przez myśl, że to dopiero jedenasta i że na ulicy jest jeszcze dużo ludzi, wśród których przecież może się znaleźć ktoś, kto da wiarę jego opowieści. Kiedy ta myśl przyszła mu do głowy, postąpił naprzód i rzekł szybko, że jest gotów.

Ani krótki namysł, ani jego znaczenie nie uszły uwagi dziewczyny. Gdy mówił, popatrzyła nań bystro i rzuciła mu spojrzenie pełne zrozumienia, które wyrażało dostatecznie jasno, że domyśla się, co przeszło mu przez głowę.

— Daj 6pokój! — rzekła pochyliwszy się nad nim i wskazując drzwi, a jednocześnie rozglądając się ostrożnie dokoła. — Nic nie poradzisz. Staralam się zrobić coś dla ciebie, jak tylko mogłam, ale nic nie wskórałam. Jesteś osaczony ze wszystkich stron. Jeżeli masz się kiedykolwiek stąd wydostać, to w każdym razie nie teraz.

Oliwer, uderzony stanowczością jej głosu, z wielkim zdziwieniem spojrzał w twarz dziewczyny. Zdawało się, że mówi prawdę. Oblicze jej było blade i wzburzone, drżała z przejęcia.

— Uratowałam cię raz przed skatowaniem i uratuję jeszcze, i teraz o to mi chodziło — ciągnęła głośno dziewczyna — bo ci, co przyszliby po ciebie, gdybym ja nie przyszła, byłiby znacznie brutalniejsi ode mnie. Obiecałam za ciebie, że będziesz się zachowywał spokojnie i milczał. Jeżeli tak nie zrobisz, zaszkożysz tylko sobie i mnie i będziesz może powodem mojej śmierci. Popatrz! Tyle już zniosłam dla ciebie, Bóg mi świadkiem.

Wskazała pośpiesznie na kilka dużych sińców na szyi i ramionach, po czym mówiła dalej bardzo szybko:

— Pamiętaj o tym. I nie każ mi teraz więcej cierpieć przez ciebie. Gdyby to było możliwe, pomogłabym ci, ale nie jest to w mojej mocy. Oni nie chcą ci zrobić nic złego, a cokolwiek każą ci uczynić, nie będzie to twoją winą. A teraz cicho! Każde słowo, które powiesz, to nowy siniec dla mnie. Daj mi rękę. Spiesz się! Daj rękę!

Schwyciła rękę, którą Oliwer instynktownie złożył w jej dłoni, i zdmuchnąwszy świecę pociągnęła go za sobą po schodach. Drzwi otworzył szybko ktoś ukryty w ciemnościach, a kiedy tylko przeszli, zamknął je z powrotem. Przed domem czekała zamknięta dorożka. Z tą samą gwałtownością, którą okazała mówiąc do niego, dziewczyna wciągnęła za sobą Oliwera i szczelnie zasunęła firanki.

Woźnica nie potrzebował wskazówek, bez chwili zwłoki śmignął batem i koń ruszył naprzód szybkim klusem.

Dziewczyna wciąż trzymała Oliwera mocno za rękę i nadal szeptała mu do ucha te same co przedtem przestrogi i zapewnienia. Wszystko odbyło się tak prędko i w takim pośpiechu, że chłopiec nie miał prawie czasu uprzytomnić sobie, gdzie jest i jak się tu dostał, kiedy dorożka zatrzymała się przed drzwiami domu, do którego Żyd skierował swe kroki poprzedniego wieczora.

Na jedną króciutką chwilę Oliwer rzucił pośpieszne spojrzenie na pustą ulicę, a na wargach jego zadrżało wołanie o pomoc. Ale w uszach dźwięczał mu głos dziewczyny tak boleśnie błagający go, by pamiętał o niej, że nie miał serca zawołać. Gdy się tak wahał, sposobność minęła: już był w domu, a drzwi zamknięto.

— Tędy — rzekła dziewczyna, po raz pierwszy zwalnając uścisk. — Bill!

— Halo! — odrzekł Sikes ukazując się ze świecą nad schodami. — O! Wreszcie jesteście. Chodźcie tutaj!

Z ust osoby o temperamentcie pana Sikesa był to wyraz wielkiego uznania i niezwykle serdeczne powitanie. Nancy, najwidoczniej bardzo tym ucieszona, pozdrowiła go wylewnie.

— Karmelek poszedł do domu z Tomem — powiedział Sikes oświecając im drogę. — Zawadzałby nam.

— Racja — powiedziała Nancy.

— Więc przyprowadziłaś dzieciaka — rzekł Sikes, gdy wszyscy znaleźli się w pokoju. Mówiąc to zaniknął za sobą drzwi.

— Tak, masz go tutaj — odrzekła Nancy.

— Szedł spokojnie? — zapytał Sikes.

— Jak baranek — odpowiedziała Nancy.

— Cieszę się, że to słyszę — rzekł Sikes patrząc złowrogo na Oliwera. — Cieszę się przez wzgląd na jego młode kości, które inaczej uciertałyby na tym. Chodź tu, smarkaczu, muszę ci wygłosić kazanie, a im prędzej to odwalimy, tym lepiej.

Zwracając się w ten sposób do swego nowego ucznia pan Sikes ściągnął mu z głowy czapkę i rzucił ją w kąt; następnie ujął go za ramię, sam usiadł przy stole, a chłopca postawił tuz przed sobą.

— Więc po pierwsze: wiesz, co to jest? — zapytał Sikes biorąc do ręki leżący na stole kieszonkowy pistolet.

Oliwer odpowiedział twierdząco.

— No, to w takim razie spójrz tutaj — ciągnął Sikes. — To jest proch. To kula. A tu jest kawałek starego kapelusza na uszczelnienie lufy.

Oliwer szepetem potwierdził, że poznaje wskazywane mu kolejno przedmioty, a pan Sikes zabrał się z

wielką precyzją i rozmysłem do nabijania pistoletu.

— Teraz jest nabity — powiedział skończywszy. — Tak widzę, proszę pana — odrzekł Oliwer.

— Więc słuchaj — rzekł bandyta chwytając Oliwera mocno za przegub ręki i przykładając lufę tak blisko do jego skroni, że jej dotknęła. Chłopiec w tym momencie mimo woli się wzdrygnął. — Jeżeli piśniesz słowo, kiedy będziesz ze mną poza domem, chyba że do ciebie przemówię — bez ostrzeżenia wpakuję ci ten ładunek w łeb! Więc jeżeli masz zamiar odzywać się bez pozwolenia, to przedtem zmów pacierz. By wzmóc efekt tego ostrzeżenia, pan Sikes z groźnym marszem na czole spojrzął na Oliwera, po czym ciągnął dalej:

— O ile wiem, nie ma nikogo, kto by się specjalnie dopytywał o ciebie, gdyby rzeczywiście przyszło cię sprzątać. Więc jeżeli zadajeś sobie ten cholerny trud, żeby ci to wszystko tłumaczyć, to tylko dla twego własnego dobra. Rozumiesz mnie?

— Jednym słowem, chcesz powiedzieć — rzekła Nancy z wielkim naciskiem, marszcząc z lekka brwi, jakby chciała zmusić Oliwera do pilnego uważania na jej słowa — chcesz powiedzieć, że jeżeli on ci przeszkodzi w tej robocie, którą masz przed sobą, palniesz mu w łeb, żeby się i na przyszłość zabezpieczyć przed jego paplaniem. Zaryzykujesz, że będziesz za to dyndał, tak jak to w swoim fachu ryzykujesz co miesiąc dla wielu innych rzeczy. — O to, to! — stwierdził pan Sikes z uznaniem. — Baby zawsze potrafią powiedzieć wszystko w krótkich słowach. Chyba że się kłóć — wtedy to trwa dłużej. A teraz, kiedyś już dobrze rozumiał, jak sprawy stoją, zjedźmy kolację i prześpijmy się trochę, nim wyruszymy. .

Stosownie do tego życzenia, Nancy szybko nakryła do stołu, po czym zniknąwszy na chwilę, wróciła z dzbankiem porteru i półmiskiem sztokfisz. Dostarczyło to panu Sikesowi okazji do paru przyjemnych dowcipów opartych o osobliwy zbieg okoliczności, polegający na tym, że ich popularna nazwa — łupacze — była jednocześnie nazwą pewnego pomyslowego przyrządu często używanego w jego fachu. Prawdę powiedziawszy, ów szlachetny dżentelmen był pełen werwy i w doskonałym humorze, zapewne wobec bliskiej perspektywy czynnej służby. Na dowód tego można przytoczyć, że wesoło wychylił jednym haustem całe piwo i w czasie posiłku nie wypowiedział więcej niż — z grubsza licząc — osiemdziesiąt przekleństw.

Po kolacji — a łatwo pojąć, że Oliwer nie miał na nią zbyt wielkiego apetytu — pan Sikes pochłonął ze dwie szklanki spirytusu zmieszanego z wodą, po czym rzucił się na łóżko. Przykazał Nancy, by go zbudziła punktualnie o piątej, miotając straszliwe groźby na wypadek, gdyby omieszkała to uczynić. Z jego też rozkazu Oliwer wyciągnął się w ubraniu na materacu rozesłanym na podłodze, a dziewczyna usiadła przy ogniu, podsycając go od czasu do czasu, w oczekiwaniu chwili, kiedy trzeba będzie ich zbudzić.

Przez długi czas Oliwer leżał nie śpiąc, bo wydawało mu się prawdopodobne, że Nancy znajdzie sposobność szepnięcia mu paru dalszych rad. Lecz dziewczyna, zadumana, siedziała nad ogniem nieruchomo, niekiedy tylko przycinając knot świecy. Znużony czuwaniem i niepokojem, zasnął wreszcie.

Kiedy się zbudził, stół był już zastawiony przyborami do herbaty, a Sikes wrzucał najrozmaitsze przedmioty do kieszeni płaszcza przewieszzonego przez oparcie krzesła. Nancy krzątała się pilnie koło śniadania. Jeszcze nie dniało, gdyż świeca wciąż się paliła, a za oknem było całkiem ciemno. O szyby zaczął gęsty deszcz, a niebo było czarne i chmurne.

— No! — warknął Sikes, gdy Oliwer podniósł się z pośłania — pół do szóstej! Spiesz się, bo nie dostaniesz śniadania. Już i tak jest późno.

Oliwer nie stracił dużo czasu na toaletę. Zjadłszy coś niecoś, odpowiedział na burkliwe zapytanie Sikesa, że jest zupełnie gotów.

Nancy, nie patrząc prawie na chłopca, rzuciła mu chustkę, by sobie owinął szyję. Sikes zarzucił mu na ramiona obszerną, szorstką pelerynę. Tak przyodziany, Oliwer podał rękę bandycie, który schwycił ją mocno, lecz przedtem zdążył mu groźnym gestem pokazać, że w bocznej kieszeni płaszcza ma schowany pistolet. Następnie Sikes pożegnał się z Nancy i wyprowadził chłopca.

Kiedy doszli do drzwi, Oliwer odwrócił się na chwilę w nadziei, że napotka spojrzenie dziewczyny. Ale ona wróciła już na dawne miejsce przy kominku i siedziała przed nim zupełnie bez ruchu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY WYPRAWA

Smutny był ranek, kiedy wyszli na ulicę: wiatr dał i zaczął gęsty deszcz, a ciemne chmury zdawały się zapowiadać nawałnicę. Padało całą noc, na jezdni zebrały się duże kałuże wody, rynsztoki były przepelnione. Na niebie widoczna już była mdła jasność zwiastująca nadejście dnia, ale zamiast rozweselać, czyniła ona świat jeszcze posępniejszym. W niepewnym pobrzasku bladły tylko światła latarni ulicznych, lecz mokre dachy i szare ulice nie przyoblekały się w żadne cieplejsze i żywsze barwy. W tej dzielnicy miasta nie było jeszcze ruchu. Wszystkie okna domów zamknięte były na

głucho, a ulice, przez które szli, ciche i puste.

Kiedy doszli do Bethnal Green Road, świeciło już na dobre. Wiele latarni pogasło, kilka wozów wlokło się mozolnie w stronę Londynu, od czasu do czasu z głośnym turkotem prędko przejeżdżał ubłocony dyliżans. Poczytliwni w przejeździe śmigał karcąco batem woźnicę ciężkiego wozu, który jadąc po niewłaściwej stronie ulicy, narażał go na ćwierćminutowe spóźnienie. Gospody były już otwarte, wewnątrz paliły się lampy gazowe. Stopniowo zaczęto też odmykać inne sklepy i na ulicach tu i ówdzie pojawiło się trochę ludzi. Następnie pokazały się grupki robotników udających się ciężkim krokiem do pracy, później mężczyźni i kobiety z koszami ryb na głowach, naładowane jarzynami wózki zaprzężone w osły, wozy pełne żywych zwierząt przeznaczonych na ubój lub olbrzymich ćwierci mięsa, mleczarki z bańkami; nieprzerwany pochód ludzi dostawiających różne towary dla wschodnich przedmieść Londynu. W miarę zbliżania się do City hałas i ruch coraz to się wzmagaly. Kiedy szli przez ulice między Shoreditch a Smithfield, gwar i zamęt stał się wręcz ogłuszający. Widniej niż teraz nie miały już zapewne być aż do wieczora. I tak rozpoczęło się pracowite przedpołudnie połowy ludności Londynu.

Pan Sikes skręcił w Sun Street, potem w Crown Street, minął Finsbury Square, po czym przez Chiswell Street przeszedł do Barbican; stamtąd przez Long Lane dostał się do Smithfield, skąd dochodziła taka wrzawa niezestrojonych ze sobą dźwięków, że Oliwer zdumiał się.

Był ranek targowy. Ziemia pokryta była grubą, prawie da kostek legającą warstwą gnoju i błota; w górze kłębiła się gęsta para, wznosząca się nieustannie z cuchnących zwierzęcych ciał i mieszająca się z mgłą, która zdawała się wisieć ponad domami, oparta o kominy. Wszystkie okólniki w pośrodku obszernego placu, jak również te, które udało się ustawić tymczasowo na skrawkach wolnej przestrzeni po bokach, pełne były owiec. Przywiązane do słupków wzdłuż ścieku stały długie, podwójne lub poczwórne szeregi wołów i innego bydła. Wieśniacy, rzeźnicy, kupcy i wędrowni handlarze bydłem, mali chłopcy, złodzieje, nieroby i włóczędzy wszelkich gatunków tłoczyli się razem w jednej zbitej masie. Rozlegały się wokoło gwizdy kupców, ujadanie psów, ryk wołów, bek owiec, chrząkanie i kwiki świń, wołanie handlarzy; wszyscy krzyczeli, kłęli i kłócili się; ze wszystkich pobliskich gospód dochodziły odgłosy dzwonków i wrzawa podniesionych głosów. Tłoczono się i popychano, popędzano i bito zwierzęta krzycząc na nie w najrozmaitszy sposób. Ohydny, rozdzierający uszy harmider panował w każdym zakątku targowicy. Nie umyci, nie ogoleni, brzydki i brudni ludzie biegali na wszystkie strony, odrywali się od zbitej ciżby i znów się do niej przyłączali. Wszystko to tworzyło oszałamiającą, niezwykłą scenę, która w umysłach powodowała zupełny zamęt. Wlokąc za sobą Oliwera pan Sikes utorował sobie łokciami drogę poprzez najgęstszy tłum, bardzo mało zwracając uwagi na wszystkie widoki i dźwięki, które tak dziwiły chłopca. Dwa czy trzy razy kiwnął głową mijającym go znajomym, lecz oparłszy się ich zaproszeniom na poranny „łyczek”, parł wytrwale naprzód, aż wydostali się z ciżby i przez Hosier Lane skierowali się do Holborn.

— No, smarkaczu! — rzekł Sikes spoglądając na zegar na kościele Świętego Andrzeja. — Już prawie siódma! Musisz wyciągać nogi. Chodź, nie zaczynaj już teraz ustawać, leniuchu!

Przemówienie to pan Sikes uzupełnił mocnym szarpnięciem ręki swego małego towarzysza. Oliwer przyśpieszył kroku i wpadłszy w rodzaj truchcika, coś pomiędzy szybkim chodem a biegiem, jak mógł, tak starał się nadażyć prędkim, długim krokom włamywacza. W tym tempie minęli Hyde Park i byli już na drodze do Kensington, kiedy Sikes zwolnił kroku i poczekał, aż dogoni ich pusty wóz, który jechał w pewnej odległości za nimi. Widząc wypisaną na nim nazwę miejscowości „Hounslow” spytał woźnicę z całą uprzejmością, na jaką potrafił się zdobyć, czy nie. podwiozłby ich do Islington.

— Wskakujcie — rzekł woźnica. — To wasz chłopak?

— Tak, to mój chłopak — odrzekł Sikes wbijając oczy w chłopca i niby mimochodem kładąc rękę do kieszeni z pistoletem.

— Twój tata trochę za szybko chodzi jak na ciebie, prawda, kawalerze? — spytał woźnica widząc, że Oliwerowi brak tchu.

— Nic podobnego — przerwał Sikes. — On przywykł do tego. Masz, złap mnie za rękę, Ned. Jazda na górę!

To rzekłszy pomógł Oliwerowi wdrapać się na wóz, a woźnica wskazał mu stos worków i kazał położyć się na nich i odpocząć.

Mijając coraz to nowe kamienie milowe Oliwer zastanawiał się coraz głębiej, dokąd to wiezie go jego towarzysz. Kensington, Hammersmith, Chiswick, Kew Bridge, Brentford — wszystko to było już poza nimi, a jednak jechali wciąż dalej, jak gdyby dopiero co rozpoczęli podróż. Na koniec dojechali do karczmy noszącej nazwę „Pod Dyliżansem i Czworką Koni”, za którą opodal widoczne było nowe rozwidlenie dróg. Tutaj wózek stanął.

Sikes zsiadł z wielkim pośpiechem, nie puszczając ani na chwilę ręki Oliwera; zсадził go natychmiast, spojrzawszy nań z wściekłością i znacząco poklepał się pięścią po bocznej kieszeni.

— Do widzenia, chłopcze — rzekł woźnica.

— On się dąsa — odparł Sikes potrząsając Oliwerem. — Dąsa się. Szczeniak! Nie zwracajcie na niego

uwagi.

— Pewnie, że nie! — odrzekł woźnica gramoląc się z powrotem na wóz. — Ładny dzień zrobił się w końcu. — I odjechał.

Sikes poczekał, aż się oddalił, powiedział Oliwerowi, że jeśli chce, może się rozglądać, po czym ruszył z nim w dalszą drogę.

Niedaleko za karczmą skręcili w lewo, później znów na drogę odchodzącą w prawo i drogą tą szli bardzo długo. Mijali liczne duże ogrody i pańskie domy po obu stronach drogi. Nie zatrzymywali się wcale, chyba po to, by łyknąć trochę piwa, aż wreszcie doszli do jakiegoś miasta. Tu na ścianie jednego z domów Oliwer ujrzał nazwę „Hampton” wypisaną wielkimi literami. Przez kilka godzin kręcili się po okolicznych polach. Wreszcie wrócili do miasta, weszli do starej gospody, której godło było zatarte, i przy ognisku kuchennym zamówili obiad.

Kuchnia była to stara izba o niskim pułapie, przez którego środek biegła wielka belka. Przy kominie stały ławy z wysokimi oparciami, a na nich, jedząc i paląc, siedziało kilku mężczyzn o ordynarnym wyglądzie, w zgrzebnym odzieniu. Nie zwrócili oni wcale uwagi na Oliwera, a na Sikesa bardzo mało, ponieważ zaś Sikes również nie zwracał na nich uwagi, więc i on, i jego mały towarzysz usiedli osobno w kącie, niewiele sobie robiąc z reszty towarzystwa.

Na obiad zjedli zimne mięsiwo, po czym pan Sikes pozwolił sobie na trzy czy cztery fajki. Siedzieli w ten sposób tak długo, że Oliwer zaczął nabierać pewności, iż nigdzie już dalej się nie ruszą. Będąc bardzo znużony marszem i rannym wstaniem, z początku drzemał trochę, a potem, całkiem odurzony zmęczeniem

dymem tytoniowym, usnął na dobre.

Było zupełnie ciemno, gdy zbudził się, szturchnięty przez Sikesa. Kiedy oprzytomniał na tyle, że mógł wyprostować się i rozejrzeć dokoła, zobaczył swego zacnego opiekuna pogrążonego w zażyłej i przyjacielskiej rozmowie z jakimś chłopem. Obaj popijali piwo.

— Więc jedzicie dalej do Lower Halliford, tak? — pytał Sikes.

— Tak, jadę — odrzekł chłop, który znajdował się najwyraźniej pod złym — a może dobrym, zależnie od punktu widzenia — działaniem alkoholu. — I to prędko. Mój koń teraz w powrotnej drodze nie wiezie ładunku, który miał rano, jadąc w tamtą stronę, więc nie będzie marudził. Jego zdrowie!

Dalibóg! To dobre konisko!

— Czy moglibyście podwieźć mojego chłopca i mnie? — zapytał Sikes podsuwając nowemu znajomemu piwo.

— Jeżeli gotowi jesteście jechać zaraz, to mogę — odrzekł chłop spoglądając znad kufla. — Jedzicie do Halliford?

— Dalej, do Shepperton — odpowiedział Sikes.

— Dokąd i mnie droga, chętnie wam służę — rzekł tamten. — Czy wszystko zapłacone, Becky?

— Tak, ten drugi pan zapłacił — odrzekła posługaczka.

— No, nie! — rzekł chłop z pijacką powagą. — To nie uchodzi, słuchajcie.

— Dlaczego nie? — zaoponował Sikes. — Wyświadczyście nam przysługę, więc dlaczego nie mógłbym postawić wam w zamian za to parę kufelków?

Nieznamy, z wyrazem twarzy świadczącym o głębokim na myślę, zastanowił się nad tym argumentem, po czym chwycił Sikesa za rękę i oświadczył, że z niego bardzo dobry chłop, na co pan Sikes odrzekł, że jego towarzysz stroi sobie żarty. I rzeczywiście, gdyby był trzeźwy, nie brakłoby poważnych powodów do przypuszczeń, że istotnie tak się rzeczy mają.

Wymieniwszy jeszcze kilka komplementów, powiedzieli całemu towarzystwu dobranoc i wyszli.

Posługaczka zebrała ze stołu dzbanki i kubki i z pełnymi rękami podeszła leniwie do drzwi, by przyjrzeć się odjazdowi.

Koń, którego zdrowie wypito zaocznie, stał na dworze, zaprzężony do wózka i gotów do drogi. Oliwer i Sikes wsiedli bez dalszych ceremonii, a właściciel konia po parominutowej zwłóce, w czasie której poklepywał go po karku i wyzywał stajennego i cały świat, by spróbowali znaleźć mu równego, wsiadł także. Następnie kazał stajennemu puścić konia. Na to koń zareagował bardzo nieprzyjemnie: szarpnął łbem do tyłu z wielką pogardą, najechał na okna bawialni domu po przeciwnej stronie drogi, a po tym wyczynie, stanąwszy na parę chwil dęba, ruszył wreszcie naprzód szybkim klusem i ciągnąc za sobą głośno turkocący wózek, po kawalersku wyjechał z miasta.

Noc była bardzo ciemna. Z rzeki i pobliskich mokradel wstawały wilgotne opary i rozciągały się po opustoszałych polach. Było też przenikliwie zimno, a wszystko dokoła było posępne i czarne. Jechano bez słowa, bo woźnica był senny, a Sikes nie miał ochoty wciągać go w rozmowę. Oliwer siedział skulony w kącie wozu, oszołomiony i pełen trwożliwego oczekiwania. Wyobraźnia kazała mu dopatrywać się różnych dziwnych przedmiotów w bezlistnych drzewach, które powiewały gałęzmi tam i z powrotem, jak gdyby z jakiejś fantastycznej uciechy nad smutkiem tego krajobrazu.

Kiedy mijali kościół w Sunbury, zegar wydzwaniał właśnie siódmą. Naprzeciwno, w oknie chaty przewoźnika promu, paliło się światło. Rozlewało się ono na drogę i w jeszcze większym cieniu

pograżało ciemny cis, u którego stóp wznosiły się jakieś mogiły. Skądś niedaleko dochodził odgłos spadającej wody, a liście starego drzewa szeleściły delikatnie w nocnym powiewie. Była to jakby cicha muzyka przygrywająca do snu umarłym. Minęli Sunbury i znaleźli się znów na bezludnej drodze. Jeszcze dwie czy trzy mile i wózek stanął. Sikes zsiadł, wziął Oliwera za rękę i raz jeszcze ruszyli pieszo w dalszą drogę. W Shepperton nie weszli do żadnego domu, jak tego oczekiwali znużony chłopiec. Szli wciąż dalej i dalej, w błocie i ciemnościach, przez posępne zadrzewione aleje i puste przestrzenie, gdzie przenikało ich zimno, aż na koniec niedaleko przed sobą zobaczyli światła jakiegoś miasteczka. Patrząc z natężeniem Oliwer dostrzegł, że nie opodal w dole była woda i że zbliżają się do jakiegoś mostu.

Sikes szedł wciąż naprzód; gdy dochodzili już do mostu, skrzył nagle na lewo wzdłuż brzegu. „Woda — pomyślał Oliwer i zrobiło mu się słabo ze strachu. — Przeprowadził mnie w to bezludne miejsce, żeby mnie zamordować!”

Już miał rzucić się na ziemię i walczyć o uratowanie swego młodego życia, gdy zobaczył, że stoją przed jakąś samotną, walącą się rudera. Miała tylko jedno piętro, a z każdej strony wykrzywionych drzwi wejściowych po jednym oknie; żadnego jednak światła widać nie było. Dom był ciemny, zrujnowany i jak wszystko zdawało się wskazywać, niezamieszkały.

Sikes, wciąż trzymając dłoń Oliwera w swojej, wszedł cicho na niski ganek i nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły pod naciskiem i obydwaj weszli do środka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI WŁAMANIE

Kto tam? — zawołał ktoś donośnym, ochrypłym głosem, skoro tylko znaleźli się w sieni.

— Nie rób takiego gwałtu — rzekł Sikes ryglując drzwi. — Zapal jakieś światło, Toby.

— Aha! mój kolega! — zawołał ten sam głos. — Światło, Barney, światło! Wprowadź tego pana, Barney. A najpierw zbudź się z laski swojej.

Mówiący najwidoczniej cisnął ściągaczem do butów lub innym podobnym przedmiotem w osobę, do której się zwracał, by wyrwać ją z objęć snu; dał się bowiem słyszeć stuk padającego gwałtownie drzewa, a potem niewyraźne mamrotanie człowieka znajdującego się w stanie pomiędzy snem a jawą. — Słyszysz? — wołał dalej ten sam głos. — Tam w sieni jest Bill Sikes i nie ma komu grzecznie go powitać, a ty tu śpisz, jakbyś się objadł bromu albo czegoś jeszcze mocniejszego. Czyś się już rozczmuchał, czy też mam cię porządnie rozbudzić żelaznym lichtarzem?

Para stóp obutych w miękkie pantofle poczłapała spiesźnie po pokoju, kiedy padło to pytanie, po czym w drzwiach po prawej stronie pokazała się najpierw marnie paląca się świeczka, a następnie postać tego samego osobnika, któregośmy opisali uprzednio jako cierpiącego na kalectwo nosowej wymowy kelnera z szynku na Saffron Hill.

— Pan Sikes! — wykrzyknął Barney z prawdziwą czy udaną radością. — Proszę pana do środka, proszę bardzo.

— Ty! Właż pierwszy — rzekł Sikes popychając przed siebie Oliwera. — Prędeży! Albo nadepnę ci na pięty.

Klnąc pod nosem na jego marudztwo Sikes pchnął naprzód Oliwera, po czym obaj znaleźli się w niskiej, ciemnej izbie. Był tu dymiący kominek, dwa czy trzy połamane krzesła, stół i bardzo stara kanapa, na której, rozciągnięty jak długi, leżał jakiś mężczyzna; nogi trzymał oparte na poręczu znacznie wyżej niż głowę. Ćmił długi gliniany cybuch. Ubrany był w elegancko skrojony tabaczkowy frak z dużymi mosiężnymi guzami, pomarańczowy halsztuk, ordynarną jaskrawą kamizelkę w rzucik i hajdawery z szorstkiego sukna. Pan Crackit (on to był bowiem) nie miał zbyt bujnego uwłosienia ani na głowie, ani na twarzy, ale to, co miał, było czerwonego koloru i skrócone w długie, podobne do korkociągów grajcarki, w które od czasu do czasu wtykał bardzo brudne palce, zdobne w wielkie, ordynarne pierścienie. Wzrost miał nieco większy niż średni, a nogi najwidoczniej słabe, lecz okoliczność ta nie umniejszała bynajmniej podziwu, jaki żywił dla swoich wysokich butów sterczących w górę ponad poręczą kanapy. Przyglądał im się bowiem z szczerym zadowoleniem.

— Bill, mój chłopcze! — rzekł ów osobnik zwracając głowę w stronę drzwi. — Cieszę się, że cię widzę. Już się bałem, żeś się rozmyślił. W tym wypadku byłbym sam zaryzykował. Hej!

Wydawszy ten okrzyk tonem najwyższego zdumienia, w chwili gdy oczy jego spoczęły na Oliwerze, pan Toby Crackit przybrał pozycję siedzącą i zapytał, kto to taki.

— Chłopak. To tylko chłopak! — odrzekł Sikes przysuwając krzesło do ognia.

— Jeden z chłopaczków pana Fagina! — wykrzyknął Barney szczerząc zęby w uśmiechu.

— Od Fagina, tak? — zawołał Toby patrząc na Oliwera. — Cóż to będzie za niezrównany chłopak do okradania starszych damulek w, kościołach! Jego fizys przyniesie mu majątek.

— Przezań! Dosyć tego! — przerwał Sikes niecierpliwie i pochyliwszy się nad leżącym leniwie kolegą szepnął mu do ucha kilka słów, na co pan Crackit roześmiał się z całego serca i zaszczycił

Oliwera długim, zdumionym spojrzeniem.

— A teraz — rzekł Sikes siadając — jeżeli nam dasz coś do jedzenia i picia, póki czekamy, to dodasz nam animuszu, przynajmniej mnie. Siadaj przy ogniu, szczeniaku, i wypoczywaj, bo będziesz jeszcze musiał wyjść z nami tej nocy, chociaż nie bardzo daleko.

Oliwer spojrział na Sikesa w niemym i nieśmiałym zadziwieniu, po czym przyciągnął sobie stołek do kominka i usiadłszy oparł obolałą głowę na rękach, ledwo zdając sobie sprawę, gdzie jest i co się wokół niego dzieje.

— Macie — rzekł Toby, gdy Barney stawiał na stole jakieś jadło i butelkę. — Za powodzenie roboty!

— Wstał, by uczcić ten toast i położywszy ostrożnie pustą fajkę w kącie, podszedł do stołu, napełnił kieliszek wódką i wychylił jego zawartość. Pan Sikes uczynił to samo.

— Łyczek dla chłopca — powiedział Toby napełniając do połowy kieliszek do wina. — Pij, niewiniątko.

— Doprawdy — rzekł Oliwer patrząc błagalnie w twarz mężczyzny — doprawdy, ja...

— Pij! — powtórzył Toby. — Myślisz, że nie wiem, co dla ciebie dobre? Każ mu to wypić, Bill.

— Niech spróbuje nie wypić! — rzekł Sikes uderzając ręką po kieszeni. — Niech mnie piorun, jeżeli z nim nie ma więcej kłopotu niż z całą czeredą Krętaczy. Pij, ty bezczelny smarkaczu, pij!

Przestraszony groźnymi gestami obu mężczyzn, Oliwer pospiesznie przełknął zawartość kieliszka i natychmiast gwałtownie się zakaszłał, co wprawiło w szal radości Toby'ego Crackita i Barneya oraz sprowadziło uśmiech nawet na usta ponurego pana Sikesa.

Kiedy Sikes zaspokoił już głód (Oliwer nie mógł przełknąć nic prócz małej skórki od chleba, do której zjedzenia go zmuszono), obaj mężczyźni położyli się na krzesłach na krótką drzemkę. Oliwer pozostał na swoim stołku przy ogniu, a Barney owinał się w koc i wyciągnął na podłodze tuż przy kominku.

Przez czas jakiś spali lub tak się przynajmniej zdawało. Nikt się nie poruszał poza Barneyem, który raz czy dwa razy wstał, żeby dorzucić węgli na ogień. Oliwer zapadł w ciężki półsen. Wydawało mu się, że wlecze się po posępnych alejach, wędruje po ciemnym cmentarzu lub przeżywa ponownie którąś inną ze scen minionego dnia. Zbudził go Toby Crackit, który zerwał się i oświadczył, że jest w pół do drugiej.

W jednej chwili tamci dwaj byli na nogach i wszyscy zajęli się przygotowaniami. Sikes i jego towarzysz owinęli sobie szyje i brody dużymi, ciemnymi szalami i naciągnęli płaszcze. Barney otworzył szafę i wydobyl z niej kilka przedmiotów, które spiesznie wetknął im do kieszeni.

— Szczekaczki dla mnie, Barney — rzekł Toby Crackit.

— Oto są — odparł Barney dobywając parę pistoletów. — Sam je pan naładował.

— Dobrze! — rzekł Toby chowając je na sobie. — A ostrogi?

— Mam je — odrzekł Sikes.

— Krepa, łomy, wytrychy, ślepe latarki — nic nie zapomnieliśmy? — zapytał Toby przymocowując małą żelazną sztabkę do pętelki przyszytej do wewnętrznej strony poły płaszcza.

— W porządku — odparł jego towarzysz. — Przynieś no te drewniane pałki, Barney. Już pora.

To powiedziawszy wziął gruby kij z rąk Barneya, który drugi taki sam podał Toby'emu, a następnie zajął się zapinaniem peleryny Oliwera.

No, idziemy! — powiedział Sikes wyciągając rękę.

Oliwer, zupełnie odurzony niezwykłym dla siebie marszem, powietrzem i trunkiem, do którego wypicia go zmuszono, machinalnie włożył dłoń w wyciągniętą w tym celu rękę Sikesa.

— Weź go za drugą rękę, Toby — rzekł Sikes. — Wyrzyj no, Barney.

Barney poszedł do drzwi i wrócił, by oznajmić, że wszędzie panuje spokój. Obaj złodzieje wyruszyli prowadząc Oliwera między sobą. Barney pozamykał wszystko za nimi, zawiązał się w koc jak przedtem i wkrótce na nowo usnął.

Na dworze panowała teraz nieprzenikniona ciemność. Mgła była dużo gęstsza niż w pierwszych godzinach nocy, a powietrze tak wilgotne, że choć deszcz nie padał, włosy i brwi Oliwera już w parę minut po wyjściu z domu zeszywniały; wilgoć, którą przesycona była atmosfera, osiadała na nich w postaci szronu. Przeszli przez most i skierowali się wprost na światła, które chłopiec przedtem widział. Nie były one zbyt odległe, a że szli dość zwawym krokiem, więc wkrótce znaleźli się w Chertsey.

— Prosto przez miasto — szepnął Sikes. — Teraz nie spotkamy nikogo, kto by nas mógł zobaczyć.

Toby zgodził się z tym, więc poszli spiesznie główną ulicą miasteczka, o tej porze zupełnie opustoszałą. Co pewien czas z okien jakichś sypialni błyskały mdłe światelka, a ochryple ujadanie psów przerywało niekiedy nocną ciszę. Nikogo jednak na dworze nie było. Minęli już miasteczko, kiedy zegar kościelny wydzwonił drugą.

Przyśpieszając kroku skręcili w drogę odchodzącą w lewo. Przeszli około ćwierć mili, po czym zatrzymali się przed odosobnionym domem otoczonym murem. Toby Crackit wdrapał się nań w mgnieniu oka, ledwo zatrzymawszy się chwilę dla nabrania oddechu.

— Teraz chłopiec — szepnął Toby. — Podsadź go, a ja go, wciągnę.

Zanim Oliwer zdążył się rozejrzeć, Sikes schwytał go pod pachy i w parę sekund on i Toby leżeli już

na trawie po przeciwnej stronie muru. Sikes dołączył się do nich zaraz potem i jęli podkradać się ostrożnie ku domowi.

Teraz dopiero Oliwer, bez mała oszalały z rozpacz i przerażenia, zrozumiał, że celem wyprawy jest włamanie i rabunek, jeżeli nie morderstwo. Splótł ręce i mimo woli wydał cichy okrzyk zgrozy. Oczy zaszczyły mu mgłą, zimny pot wystąpił na popielatą twarzyczkę, nogi odmówiły posłuszeństwa, padł na kolana.

— Wstawaj! — warknął Sikes półgłosem, drżąc z wściekłości i dobywając z kieszeni pistolet. — Wstawaj albo rozwalę ci mózg po całym trawniku!

— O, na Boga, puśćcie mnie! — zawołał Oliwer. — Pozwólcie mi uciec i umrzeć gdzieś w polu. Nigdy nie zbliżę się do Londynu, nigdy, nigdy! O! proszę, zlitujcie się nade mną i nie zmuszajcie mnie do kradzieży! Na wszystkich jasnych aniołów, którzy są w niebie, zlitujcie się nade mną!

Ten, do którego prośba owa była skierowana, zaklął straszliwie i zmierzzył z pistoletu, gdy wtem Toby wybił mu go z garści, położył rękę na ustach chłopca i powłókł go pod dom.

— Sza! — zawołał Toby. — Ten sposób się tu nie nadaje. Powiedz tylko słowo, smarkaczu, a sam skończę z tobą jednym uderzeniem po głowie. To nie robi hałasu — jest zupełnie tak samo niezawodne, a bardziej dystyngwowane. No, Bill, wyłam okiennicę. On już nabrał ochoty, ręczę za to. Widziałem wytrawniejszych chłopców w jego wieku, którzy w nocy na zimnie stroili chwilowo takie same fochy.

Wzywając straszliwych przekleństw na głowę Fagina za wysłanie Oliwera na podobną wyprawę, Sikes wziął żelazną sztabę i zabrał się do roboty energicznie, ale po cichu. Po pewnym czasie i przy współdziałaniu Toby'ego okiennica, do której się zabrał, otworzyła się na oścież.

Było to małe okratowane okienko z tyłu domu, około pięciu i pół stóp nad ziemią. Należało do jakiejś spizarki czy małego parnika, znajdującego się w głębi sieni. Otwór był tak mały, że mieszkańcy prawdopodobnie sądzili, iż nie warto staranniej go zabezpieczać; był jednak wystarczająco duży, by chłopiec wielkości Oliwera mógł się przezeń przecisnąć. Bardzo krótki popis umiejętności pana Sikesa wystarczył, by pokonać okratowanie, i wkrótce okno było również szeroko otwarte.

— Słuchaj teraz, smarkaczu — szepnął Sikes dobywając z kieszeni ślepą latarkę i kierując światło wprost w twarz Oliwera. — Wsunę cię tędy. Weź to światło, wejdź cichutko po schodach, które widzisz tam przed sobą, i przejdź przez przedpokój aż do drzwi wejściowych. Otwórz je i wpuść nas.

— U góry jest zasuwa, do której nie dosięgniesz — wtrącił Toby. — Stań na jednym z krzeseł z przedpokoju. Jest ich tam trzy, Billu, z pięknymi błękitnymi jednorozcami i złotymi widłami na poręczach. Taki jest herb starej damulki.

— Cicho bądź, dobrze? — odrzekł Sikes grożąc mu wzrokiem. — Drzwi do pokoju są otwarte, tak?

— Na oścież — odparł Toby zerknąwszy wpierw, aby się upewnić. — Cała rzecz polega na tym, że zostawiają je zawsze otwarte, by pies, który tam sypia, mógł sobie pospacerować po sieni, kiedy mu się nie chce spać. Ha, ha! Barney wywabił go z domu dziś wieczorem. Czysta robota!

Chociaż pan Crackit mówił ledwo dosłyszalnym szeptem i śmiał się bezgłośnie, Sikes rozkazującym tonem kazał mu być cicho i zabrać się do roboty. Toby usłuchał: najpierw wydobył swoją latarkę i postawił ją na ziemi, potem ustawił się mocno z głową opartą o mur pod oknem i z dłońmi na kolanach, tak że plecy jego tworzyły stopień. Sikes stanął na nim, delikatnie wsunął Oliwera przez okienko, nogami naprzód, i nie wypuszczając z rąk jego kołnierza postawił chłopca bezpiecznie na podłodze komórki.

— Weź tę latarkę — rzekł Sikes zaglądając przez okno do wewnątrz. — Widzisz schody przed sobą? Oliwer, ledwo żywy, wyjąkał: — Tak. — Sikes luźną pistoletu wskazał drzwi wejściowe i w kilku krótkich słowach doradził mu mieć na uwadze, że przez cały czas będzie na linii strzału i że jeżeli tylko zawaha się, natychmiast padnie trupem.

— To robota na jedną minutę — powiedział Sikes tym samym cichym szeptem. — Jak tylko cię puszczę, rób swoje. Uwaga!

— Co to? — szepnął Toby. Wytężyli słuch.

— Nic — rzekł Sikes puszczając Oliwera. — Jazda!

W ciągu krótkiego czasu, którym rozporządzał, aby zebrać myśli, chłopiec powziął mocne postanowienie, że choćby przyszło mu zginąć w tej próbie, będzie się starał pomknąć po schodach z przedpokoju na górę i zaalarmować domowników. Przejęty tą myślą, ruszył naprzód, ale bardzo ostrożnie.

— Wróć! — zawołał nagle Sikes na cały głos. — Wracaj! Wracaj!

Przerażony nagłym przerwaniem głuchej ciszy panującej wokół i głośnym krzykiem, który rozległ się zaraz potem, Oliwer upuścił latarkę i zawahał się, czy ma iść dalej, czy uciekać.

Krzyk powtórzył się. Ukazało się światło i w oczach chłopca mignęły postacie dwóch wystraszonych, na pół ubranych mężczyzn stojących na górnych stopniach schodów. Błysk — głośny huk — dym — gdzieś coś trzasnęło, ale gdzie, nie wiedział — i Oliwer zatoczył się, upadając w tył, na ścianę.

Sikes znikł na chwilę, ale zaraz znów pojawił się w okienku i nim dym opadł, trzymał już Oliwera za

kołnierz. Strzelił z pistoletu za tamtymi mężczyznami, którzy tymczasem już się cofali, i dźwignął chłopca do góry.

— Przyciśnij mocniej rękę — mówił Sikes przeciągając go przez okno. — Daj mi tu chustkę. Trafili go. Prędko! Ależ ten chłopak krwawi!

Potem rozległo się głośnie dzwonięcie, strzelanina, krzyki i Oliwer uczył, że ktoś niesie go biegnąc szybko po nierównym gruncie. A potem odgłosy pomieszały się w oddali i serce chłopca ogarnął śmiertelny chłód. Na koniec przestał cokolwiek widzieć lub słyszeć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI KTÓRY ZAWIERA TREŚĆ PRZYJEMNEJ POGAWĘDKI PANA BUMBLE Z PEWNĄ DAMĄ ORAZ POKAZUJE, ŻE NAWET WOŹNY MOŻE BYĆ POD PEWNYMI WZGLĘDAMI WRAŻLIWY

Wieczór był przejmująco zimny. Śnieg leżący na ziemi zamarzając utworzył twardą, grubą skorupę, tak że szalejący wicher mógł dobrać się tylko do zasp nawianych na boczne dróżki i w ustronne zakątki. Rzucając się jakby z tym większą furią na zdobycz, jaką tu znajdował, wiatr z wściekłością porywał z tych miejsc chmury śniegu, rozrywał je na tysiąc zwiewnych tumanów i rozsiewał w powietrzu. W noc tak wietrzną, ciemną i przenikliwie zimną ludzie, mający porządne mieszkania, syci, gromadzą się koło ognia palącego się jasno na kominku i dziękują Bogu, że są w domu, zaś bezdomny, głodny nędzarz kładzie się na ziemi i umiera. Na naszych opustoszałych ulicach w taką porę zasypia na wieki wielu wyniszczonych głodem włóczęgów. I zaprawdę, jakiegokolwiek byłoby ich winy, świat, w którym się przebudzą, nie może być o wiele bardziej okrutny od tego, który opuścili.

Tak się rzeczy miały na dworze, kiedy pani Corney, szafarka przytułku, który czytelnicy nasi poznali już jako miejsce urodzenia Oliwera Twista, usadowiła się przed wesołym ogniem na kominku swego własnego pokoiku. Spozierała z niemalym zadowoleniem na niewielki okrągły stolik, na którym stała odpowiadająca mu rozmiarami taca z wszelkimi przyborami do ulubionego posiłku gospodyń. I w istocie rzeczy, pani Corney miała właśnie zamiar uraczyć się filiżanką herbaty. Kiedy przeniosła wzrok ze stolika na kominek, gdzie najmniejszy z małych imbryczek cieniutko śpiewał swoją cichą piosenkę, wewnętrzne zadowolenie pani Corney najwidoczniej wzrosło, i to do tego stopnia, że uśmiechnęła się.

— No! — rzekła gospodyni opierając się łokciami na stole i patrząc w zamyśleniu w ogień. —

Doprawdy dużo jest rzeczy, za które my wszyscy powinniśmy być wdzięczni! Ogromnie dużo, choć sami o tym nie wiemy. Tak, tak!

Pani Corney żałośnie pokiwała głową, jak gdyby oplakując ślepotę duchową nędzarzy, którzy o tym nie wiedzieli, po czym zanurzyła srebrną łyżeczkę (swoją prywatną własność) w najdalsze głębie dwuuncjowej puszki do herbaty i zabrała się do parzenia.

Jakżeż drobna rzecz wystarcza niekiedy, aby zakłócić równowagę naszego wątłego ducha! Podczas gdy pani Corney moralizowała, z jej czarnego imbryczka, który był bardzo maleńki i łatwo się zapełniał, przelała się gorąca woda i lekko oparzyła dłoń pani Corney.

— Bierz licha ten imbryk! — rzekła zacna szafarka stawiając go pośpiesznie na podstawce. — Głupia skorupka, co mieści tylko dwie filiżanki! Na co się to komu przyda? Chyba tylko — pani Corney zastanowiła się — chyba tylko takiemu biednemu opuszczonemu stworzeniu jak ja. O, mój Boże!

Z tymi słowy szafarka opadła na krzesło i oparłszy się ponownie łokciami na stole, jęła rozmyślać o swym samotnym losie. Maleńki imbryk i jedna jedyna filiżanka wskrzesiły w jej umyśle smutne wspomnienia o panu Corney (który zmarł nie dawniej niż dwadzieścia pięć lat temu) i żal zmógł ją całkowicie.

— Nigdy nie dostanę drugiego! — rzekła pani Corney, rozgoryczona. — Nigdy nie dostanę drugiego takiego jak on.

Czy uwaga ta odnosiła się do męża, czy też do imbryka, nie podobna ustalić. Może chodziło o ten ostatni, gdyż pani Corney mówiąc patrzyła na niego, a następnie wzięła go do ręki. Właśnie skosztowała już pierwszą filiżankę herbaty, kiedy przeszkodziło jej delikatne pukanie do drzwi pokoju.

— Ach, włączcie już, włączcie! — rzekła pani Corney ostrym głosem. — Pewnie któraś z tych starych bab umiera. Zawsze umierają, kiedy siedzę przy posiłku. No, nie stójcie tam, bo ziąb leci do pokoju. Cóż tam się znowu stało?

— Nic, proszę pani, nic — odrzekł męski głos.

— Boże mój! — wykrzyknęła szafarka znacznie słodszy głosem. — Czy to pan Bumble!

— Do usług, moja pani — rzekł pan Bumble, który zatrzymał się przed drzwiami, aby wytrzeć do czysta buty i otrząpać płaszcz ze śniegu, a teraz ukazał się z kapeluszem stosowanym w jednej, a jakimś zawiniątkiem w drugiej ręce. — Czy mam zamknąć drzwi, proszę pani?

Dama skromnie zawahała się z odpowiedzią, w obawie czy wypada jej rozmawiać z panem Bumble przy drzwiach zamkniętych. Pan Bumble wykorzystał to wahanie i ponieważ jemu samemu było

bardzo zimno, zamknął drzwi bez pozwolenia.

— Paskudna pogoda, panie Bumble — rzekła szafarka.

— Paskudna rzeczywiście, moja pani — odrzekł woźny. — Antyurzędowa pogoda, można powiedzieć. Rozdaliśmy już dziś w to przekłete popołudnie, pani Corney, chyba ze dwadzieścia dwufuntowych bochenków i półtorej gomółki sera, a mimo to ci nędzarze nie są zadowoleni.

— Oczywiście. A kiedyż oni są zadowoleni, panie Bumble? — powiedziała szafarka popijając małymi łyżkami herbatę.

— Bo i prawda, że nigdy, proszę pani — odrzekł pan Bumble. — Taki jeden, ponieważ ma żonę i dużo dzieci, dostaje dwufuntowy bochenek chleba i cały funt sera, dobrej wagi. I czy jest wdzięczny, moja pani? Czy jest wdzięczny? Ani odrobinę! Jak pani myśli, cóż on robi? Doprasza się węgla, choćby tyle, ile zmieści się w chustce do nosa, powiada. Węgla! A cóż on by robił z tymi węglami? Przyszedłby sobie na nich ser i przyszedłby po więcej. Tak to jest z tymi ludźmi, moja pani: dać im dzisiaj pełno węgla do fartucha, a pojutrze już wrócą po nową porcję. Mają miedziane czoła jak marmur.

Szafarka wyraziła całkowite uznanie dla tego trafnie dobranego porównania, a woźny ciągnął dalej:

— Do czego teraz rzeczy doszły, to przechodzi ludzkie pojęcie — mówił pan Bumble. —

Przedwczoraj pewien człowiek — była pani mężatką, więc mogę jej o tym wspomnieć — pewien człowiek tak obdarty, że prawie nic nie miał na sobie (tu pani Corney utkwiała oczy w podłogę), przychodzi do drzwi naszego kierownika, kiedy ów miał gości na obiedzie i powiada, że musi otrzymać pomoc. Ponieważ nie chciał w żaden sposób odejść, a gorszył strasznie całe towarzystwo, nasz kierownik kazał wynieść mu funt kartofli i pół litra owsianki. „Dlaboga! — powiada ten niewdzięczny łotr. — A na cóż to mi się przyda? Moglibyście równie dobrze dać mi parę żelaznych okularów!” „Bardzo dobrze — mówi nasz kierownik — ale tutaj nic innego nie dostaniesz.” „W takim razie skonam na ulicy!” — mówi włóczęga. „O nie, nie skonasz!” — powiada nasz kierownik.

— Ha, ha! To doskonale! Takie podobne do pana Grannetta, prawda? — wtrąciła szafarka. — No i co dalej, panie Bumble?

— Cóż, proszę pani — odrzekł woźny. — Poszedł sobie i rzeczywiście skonał na ulicy. Ot, ma pani upartego nędzarza!

— Nie do wiary! — rzekła z emfazą szafarka. — Ale czy nie sądzi pan, że udzielanie pomocy ludziom z zewnątrz to w ogóle bardzo zła rzecz, panie Bumble? Pan jest mężem doświadczonym i powinien wiedzieć najlepiej. Niechże pan powie.

— Pani Corney — rzekł woźny uśmiechając się, tak jak uśmiechają się ludzie, którzy wiedzą, że mają najlepsze informacje — pomoc ludziom z zewnątrz, jeżeli jest należycie udzielana — powtarzam, należycie udzielana, moja pani — jest deską ratunku dla gminy. Najważniejsza zasada tej pomocy polega na tym, żeby dawać nędzarzom akurat to, czego nie potrzebują, wówczas z biegiem czasu sprzykrzy im się przychodzenie.

— Boże mój! — wykrzyknęła pani Corney. — A to też doskonale!

— Tak. Mówiąc między nami, moja pani — ciągnął dalej pan Bumble — taka jest najważniejsza zasada. I dlatego jeśli zbada pani te przypadki, które dostają się do tych beczelnych gazet, przekona się pani zawsze, że chorym rodzinom udzielono pomocy w postaci plasterków sera. Taka jest teraz reguła w całym kraju, pani Corney. Ale wszystko to są urzędowe tajemnice, proszę pani — rzekł woźny zabierając się do rozpakowywania zawiniątka — i nie należy o nich mówić, chyba między urzędnikami gminy, takimi jak pani i ja. Oto, moja pani, jest portwein, który zarząd zamówił dla szpitalika. Prawdziwy, świeży, nie fałszowany portwein, dopiero dziś rano przelany z beczki. Czysty jak dzwon, żadnego osadu!

Pan Bumble podniósł jedną z butelek pod światło i wstrząsnął nią mocno, by dać dowód doskonałości wina, po czym postawił obie przyniesione butelki na komodzie, złożył chustkę, w którą były owinięte, włożył ją starannie do kieszeni i sięgnął po swój stosowany kapelusz, jak gdyby zabierał się do odejścia.

— Będzie panu bardzo zimno iść, panie Bumble — rzekła szafarka.

— Wieje, moja pani — odparł pan Bumble stawiając kołnierz od płaszcza — jakby miało człowiekowi uszy oberwać.

Szafarka spojrzała naprzód na imbryczek, a potem na woźnego, który kierował się do drzwi, a kiedy woźny odchrząknął,

chcąc życzyć jej dobrej nocy, zapytała wstydliwie, czy nie zechciałby się napić herbaty?

Pan Bumble natychmiast opuścił z powrotem kołnierz, położył kapelusz i łaskę na krzesło i przyciągnął drugie krzesło do stołu. Sadowiąc się z wolna, spoglądał na damę. Ona utkwiała oczy w imbryczku. Pan Bumble chrząknął raz jeszcze i uśmiechnął się z lekka.

Pani Corney wstała, by przynieść z kredensu jeszcze jedną filiżankę i spodek. Gdy usiadła, oczy jej znowu spotkały się ze wzrokiem szarmanckiego woźnego. Poczzerwieniała i pilnie zajęła się przyrządzaniem mu herbaty. I znów pan Bumble odchrząknął — tym razem głośniejsz niż kiedykolwiek.

— Słodką, panie Bumble? — zapytała szafarka biorąc do ręki cukierniczkę.

— Bardzo, bardzo słodką, moja pani — odrzekł pan Bumble. Mówiąc to utkwił oczy w pani Corney i jeżeli jakikolwiek woźny miał kiedykolwiek czuć minę, woźnym owym był w tej chwili niewątpliwie pan Bumble.

Herbata była gotowa i gospodyni w milczeniu podała ją gościowi. Rozpostarłszy sobie chustkę na kolanach, by okruszki nie mogły skalać wspaniałości jego hajdawerów, pan Bumble zabrał się do jedzenia i picia. Dla urozmaicenia tych przyjemnych czynności wydobywał co jakiś czas z piersi głębokie westchnienia, które jednak nie wywierały zgubnego skutku na jego apetyt, lecz przeciwnie, zdawały się raczej ułatwiać mu działalność na polu grzankowo-herbacianym.

— Posiada pani kota, jak widzę — rzekł pan Bumble rzucając okiem na kotkę, która wygrzewała się przed kominkiem w otoczeniu potomstwa — i kociaki także, jak mi Bóg miły!

— Taka jestem do nich przywiązana, panie Bumble — odrzekła szafarka. — Nie wyobraża pan sobie! One są takie rozkoszne, takie psotne, takie wesołe, że są dla mnie prawdziwymi towarzyszami.

— Bardzo miłe zwierzęta, moja pani — odparł pan Bumble z uznaniem. — Takie naprawdę domowe.

— O, tak! — podjęła szafarka z zapalem. — I tak kochają swój dom, że doprawdy aż przyjemność patrzeć.

— Pani Corney — rzekł pan Bumble powoli, markując takt łyżeczką od herbaty. — Chcę tyle powiedzieć, moja pani, że wszelki kot czy kociak, który by mieszkał z panią i nie kochał swego domu, musiałby być osłem, proszę pani!

— Ależ, panie Bumble! — upomniała go pani Corney.

— Nie ma co ukrywać faktów, moja pani — rzekł pan Bumble, wolno machając w powietrzu łyżeczką z jakimś miłosnym dostojeństwem, które czyniło go podwójnie imponującym. — Utopiłbym takiego własnoręcznie, i to z przyjemnością.

— Okrutny z pana człowiek w takim razie — rzekła szafarka z ożywieniem, wyciągając dłoń po filiżankę woźnego. — I ponadto zupełnie bez serca.

— Bez serca, proszę pani? — rzekł pan Bumble. — Bez serca? — I nie rzekłszy nic więcej oddał filiżankę; uściśnął mały paluszek pani Corney, gdy ją odbierała, po czym uderzywszy się dwukrotnie dłonią po szamerowanej kamizelce, westchnął potężnie i odsunął swoje krzesło odrobinę dalej od kominka.

Stolik był okrągły, a ponieważ pani Corney i pan Bumble siedzieli dotąd bokiem do ognia, naprzeciwko siebie, a zarazem niezbyt daleko jedno od drugiego, więc łatwo pojąć, że pan Bumble odsuwając się od ognia, lecz wciąż pozostając przy stole — zwiększył odległość pomiędzy sobą a panią Corney. Niektórzy roztropni czytelnicy skłonni będą niewątpliwie podziwiać takie postępowanie i uważać je za wielkie bohaterstwo ze strony pana Bumble, zważywszy, iż czas, miejsce i okoliczności kusily go do wypowiedzania pewnych niewiele znaczących, lecz słodkich słówek. A słówka takie, choć przystoją ustom lekkoduchów i wartogłowów, przecież są w najwyższym stopniu sprzeczne z powagą sędziów krajowych, posłów do parlamentu, ministrów stanu, lordów burmistrzów i innych wielkich dostojników, osobliwie zaś nie licują z dostojeństwem i powagą woźnego, który, jak wiadomo, powinien być najsurowszym i najbardziej nieugiętym z nich wszystkich.

Jakiegokolwiek były jednak intencje pana Bumble (a bez wątpienia były jak najlepsze), tak się niestety zdarzyło, na co już dwukrotnie zwrócono uwagę, że stolik był okrągły. Na skutek tego pan Bumble przesuwając po troszeczkę krzesło zaczął wkrótce zmniejszać odległość pomiędzy sobą a szafarką, a podróżując dalej po obwodzie koła, z biegiem czasu znalazł się ze swoim krzesłem tuż obok tego, na którym siedziała dama. Prawdę mówiąc, krzesła zetknęły się. A gdy to się stało, pan Bumble zatrzymał się.

Otóż gdyby teraz szafarka przesunęła swoje krzesło w prawo, poparzyłaby się, a gdyby w lewo - musiałaby wpaść w ramiona pana Bumble. Toteż, jako kobieta roztropna, która zapewne od jednego rzutu oka przewidziała te następstwa, pozostała na miejscu i podała panu Bumble jeszcze jedną filiżankę herbaty.

— Bez serca, pani Corney? — powtórzył pan Bumble mieszając łyżeczką herbatę i spoglądając w twarz szafarki. — A czy pani jest bez serca, pani Corney?

— Boże mój! — wykrzyknęła szafarka. — Cóż za dziwne pytanie w ustach nieżonatego mężczyzny! A po cóż panu to wiedzieć, panie Bumble?

Woźny wypił herbatę aż do ostatniej kropli, strzepnął z kolan okruszyny, otarł wargi i z całym rozmysłem pocałował szafarkę.

— Panie Bumble! — zaprotestowała owa roztropna dama szeptem, gdyż tak się przeraziła, że zupełnie straciła głos. — Panie Bumble, bo będę krzyżeć! — Pan Bumble nie odpowiedział, lecz powolnym i pełnym godności ruchem otoczył ramieniem kibić szafarki.

Ponieważ dama wyraziła zamiar krzyżenia, byłaby oczywiście krzyknęła na to dodatkowe zuchwałstwo, gdyby spieszne stukanie do drzwi nie uczyniło tego wysiłku zbędnym. Gdy tylko dało się ono słyszeć, pan Bumble niesłychanie zwinnie poskoczył do flaszek z winem i zaczął je

gwałtownie okurzać, podczas gdy szafarka ostro zapytała, kto tam. Warto zauważyć jako ciekawy dowód skuteczności, z jaką nagle zaskoczenie przeciwdziała następstwom nagłego przestraszenia, że głos jej odzyskał całą swą urzędową ostrość.

— Proszę łaski pani — rzekła zawiedźla, ohydnie brzydka stara nędzarka wsuwając głowę przez drzwi — stara Sally dogorywa.

— No i co mnie to obchodzi? — gniewnie zapytała szafarka. — Nie mogę przecież utrzymać jej przy życiu, prawda?

— Nie, nie, proszę pani — odrzekła starucha. — Tego nikt nie może, nic jej już nie zdoła pomóc. Widziałam wielu umierających, małe dzieciątka i rosłych, mocnych mężczyzn, i dobrze wiem, kiedy śmierć się zbliża. Ale coś jej padło na umysł i kiedy jest przytomna — a to nieczęsto się zdarza, bo umiera bardzo ciężko — powiada, że ma coś do powiedzenia, co pani musi usłyszeć. Nie umrze spokojnie, póki pani nie przyjdzie, proszę łaski pani.

Na tę wiadomość zacna pani Corney wymamrotała pod nosem całą litanię złorzeczeń pod adresem starych bab, które nie potrafią nawet umrzeć bez naprzykrzania się lepszym od siebie. Wreszcie wzięwszy spieszenie gruby szal opatulili się nim i krótko poprosiła pana Bumble, by zatrzymał się do jej powrotu na wypadek, gdyby miało się zdarzyć coś nadzwyczajnego. Każąc wysłanniczce iść prędko i nie tracić całego wieczoru na gramolenie się po schodach, bardzo niechętnie wyszła za nią z pokoju, zrzędząc przez całą drogę.

Zachowanie pana Bumble, gdy został sam, było nader zagadkowe. Otworzył kredens, przeliczył łyżeczki, zważył w ręku szczypcę do cukru i przyjrzał się z bliska srebrnemu dzbankowi do mleka, by sprawdzić, czy istotnie jest ze szlachetnego metalu. Gdy zaspokoił pod tym względem swą ciekawość, nasadził kapelusz stosowany na bakier i z wielką powagą całe cztery razy obtańczył stół dookoła. Skończywszy ów niezwykły popis zdjął z powrotem stosowany kapelusz, rozparł się wygodnie w krzesło tyłem do kominka i najwidoczniej zajął się sporządzaniem w myśli dokładnego inventarza umeblowania.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ZAJMUJE SIĘ BARDZO NĘDZNĄ POSTACIĄ, JEST JEDNAK KRÓTKI I MOŻE OKAZAĆ SIĘ WAŻNY W NINIEJSZEJ OPOWIEŚCI

Starucha, która zakłóciła spokój pokoiku szafarki, była godną zaiste wysłanniczką śmierci. Ciało jej zgięła w pół starość, kończyny trzęsły się na skutek drżączki, a twarz, wykrzywiona w bezzębny uśmiech, przypominała raczej groteskowy twór jakiegoś obłąkanego rysownika niż dzieło natury. Niestety! Jakże mało twarzy pozostaje tak pięknymi, jak dla radości naszych oczu stworzyła je natura! Troski, zmartwienia i nędze tego świata zmieniają je tak samo, jak zmieniają serca. I dopiero gdy namiętności te usną i na zawsze stracą swą władzę, skłębione chmury znikają i pozostawiają za sobą czystą powierzchnię niebios. Bardzo często się zdarza, że oblicza zmarłych, chociaż zastygłe i nieruchome, nabierają dawno zapomnianego wyrazu uśpionego dziecka i w rysach zjawia się przypomnienie twarzy dziecięcej. Tak spokojne, tak ciche się znów stają, że ci, którzy je znali w czasach szczęśliwego dzieciństwa, klękają przy trumnie z nabożnym lękiem i zdaje im się, że oglądają na ziemi anioła.

Starucha wlokła się korytarzami i gramoliła się po schodach, mamrocząc jakieś niezrozumiałe odpowiedzi na połajanki towarzyszącej jej pani Corney. Na koniec, gdy musiała przystanąć dla nabrania tchu, oddała tej ostatniej świecę, po czym pozostała już w tyle, starając się nadażyć jak mogła, podczas gdy zwinniejsza jej zwierzchniczka kierowała się do izby, gdzie leżała chora. Była to nieumeblowana mansarda, w głębi której paliło się przyćmione światło. Przy łóżku czuwała inna starowina, a przy kominku stał praktykant aptekarski strugając z gęsiego pióra wykałaczkę.

- Zimna noc, pani Corney — powiedział młodzian, gdy szafarka weszła.

— Bardzo zimna, rzeczywiście, proszę pana — odrzekła pani najuprzejmiejszym tonem, na jaki umiała się zdobyć, i mówiąc to dygnęła.

— Powinna pani żądać lepszego węgla od swoich dostawców — powiedział delegowany aptekarza rozbijając zardzewiałym pogrzebaczem kawał węgla na kominku: — Ten jest zupełnie do niczego w taki zimny wieczór.

— To zarząd taki wybiera — odparła szafarka. — Pewno, że mogliby przynajmniej dbać, żeby nam było ciepło. I tak już dość ciężką mamy służbę.

W tym miejscu rozmowę przerwał jęk chorej kobiety.

— Ach! — rzekł młody człowiek zwracając się twarzą do łóżka, jak gdyby przedtem całkiem zapomniał o pacjentce. — Tam już koniec, pani Corney.

— Doprawdy, proszę pana? — zapytała szafarka.

— Dziwiłbym się, gdyby pociągnęła jeszcze dwie godziny — orzekł praktykant aptekarski przykładając się gorliwie do ostrzenia wykałaczkę. — Zupełne załamanie całego organizmu. Czy ona

drzemie, powiedzcie, paniusiu?

Czuwająca przy łóżku kobieta pochyliła się nad chorą, żeby sprawdzić, po czym skinęła twierdząco.

— Wobec tego może umrze w ten sposób, jeżeli nie będziecie hałasować — powiedział młody człowiek. — Postawcie światło na podłodze. Tam go nie będzie widziała.

Stara zrobiła, jak jej kazano, trzęsąc przez cały czas głową, jakby chciała dać do zrozumienia, że tamta tak łatwo nie umrze, po czym usiadła z powrotem obok drugiej staruchy, która tymczasem nadeszła.

Gospodyni, z wyrazem zniecierpliwienia na twarzy, owinęła się szalem i usiadła w nogach łóżka.

Uczeń aptekarski, który skończył ostrzyć wykałaczkę, stanął przed kominkiem i grzał się przy ogniu przez dobre dziesięć minut. Potem znudziło mu się widocznie, gdyż złożywszy pani Corney życzenia przyjemnego spędzenia wieczoru, na palcach wyniósł się z izby.

Po dość długim, milczącym wyczekiwaniu obie stare kobiety podniosły się z łóżka chorej i przykucnąwszy nad ogniem, wyciągnęły zwiędłe dłonie do żaru. Płomień rzucał niesamowity odbłask na ich starcze twarze i czynił ich brzydote wręcz przerażającą. W tej pozie jęły po cichu rozmawiać.

— Mówiła jeszcze co więcej, Anno kochana, kiedy mnie nie było? — zapytała wysłanniczka.

— Ani słowa — odrzekła tamta. — Przez jakiś czas skubała się i szarpała, ale przytrzymałam jej ręce i niedługo potem

zasnęła. Nie ma dużo siły, więc łatwo ją utrzymałam. Nie jestem taka słaba jak na starą kobietę, chociaż jestem na gminnym wikcie. Nie, nie!

— A wypita to grzane wino, które jej doktor kazał dać? — spytała pierwsza.

— Próbowałam je wlać jej do gardła — odparła tamta. — Ale zęby miała mocno zaciśnięte, a tak kurczowo ścisnęła kubek, że ledwo zdołałam jej go odebrać. Wobec tego ja wypitałam wino i dobrze mi ono zrobiło!

Obie wiedźmy obejrzały się ostrożnie, by sprawdzić, czy ich nikt nie podsłuchuje, i zachichotały wesoło.

— Pamiętam te czasy — rzekła pierwsza — kiedy ona zrobiłaby to samo i trzęsłaby się potem ze śmiechu.

— A, tak, tak — odparła druga. — Wesołą miała naturę. Wyszukiwała do trumny dużo, dużo trupów pięknych i czystych jak woskowe laleczki. Oglądały je moje stare oczy, oglądały, a te stare ręce dotykały ich, bo pomagałam jej dziesiątki razy.

Mówiąc to staruszka rozpostarła drżące palce i z uciechą potrząsnęła nimi przed twarzą, po czym pomacawszy ręką w kieszeni wyciągnęła stamtąd starą, szerniałą blaszaną tabakierkę, z której wysypała szczyptę tabaki w wyciągniętą dłoń towarzyszki, a nieco więcej we własną. Podczas gdy one w ten sposób się zabawiały, szafarka, która dotąd czekała niecierpliwie, aż konająca zbudzi się z odrętwienia, zbliżyła się do kominka i spytała ostro, jak długo jeszcze ma czekać.

— Niedługo, pani — odrzekła druga kobieta podnosząc na nią oczy. — Nikt z nas nie będzie długo czekać na śmierć. Cierpliwości! Cierpliwości! Przyjdzie ona do nas prędzej, niż byśmy chcieli.

— Cicho bądź, ty zdziecinniała idiotko! — rzekła szafarka surowo. — Ty, Marto, powiedz mi, czy ona była już kiedy w takim stanie?

— Nieraz — odrzekła pierwsza kobieta.

— Ale już nigdy więcej nie będzie — dodała druga. — To znaczy, obudzi się już tylko raz jeden, a i to nie na długo — wspomni pani moje słowa!

— Na długo czy na krótko — rzekła szafarka ze złością — nie znajdzie mnie tu, kiedy się wreszcie obudzi. Uważajcie, wy obie, żeby nie niepokoić mnie drugi raz po próżnicy. Nie mam obowiązku oglądać śmierci wszystkich starych bab w tym zakładzie, a co więcej — nie mam wcale ochoty tego robić. Pamiętajcie o tym, bezcelne stare jędze. Jeżeli jeszcze raz zakpicie sobie ze mnie, ręczę, że niedługo wam się tego odechce!

I już miała wypaść z pokoju, gdy okrzyk obu starych kobiet, które zwróciły się tymczasem do łóżka, zmusił ją do obejrzenia się. Chora siedziała wyprostowana na łóżku i ręce miała wyciągnięte w ich kierunku.

— Kto to? — krzyknęła głuchym głosem.

— Cicho, cicho! — rzekła jedna z kobiet pochylając się nad nią. — Połóż się, połóż!

— Nigdy się już więcej nie położę żywa! — powiedziała umierająca szamocąc się. — Muszę jej powiedzieć! Niech pani tu przyjdzie! Bliżej! Tak żebym mogła szeptać pani do ucha.

Schwyciła szafarkę kurczowo za ramię i zmusiła ją, by usiadła na krześle u wezgowia. Już miała przemówić, gdy nagle rozejrzawszy się zobaczyła obie staruchy pochylone naprzód w postawie ciekawego nasłuchiwanie.

— Niech je pani stąd wyrzuci — powiedziała umierająca sennym głosem. — Prędko! Prędko!

Obie stare zaczęły chórem lamentować żałośnie, że z tym biedactwem kochanym już tak źle, iż nie poznaje swych najlepszych przyjaciółek. Protestowały i zaklinały się, że nigdy jej nie opuszczą, ale przełożona wypchnęła je z pokoju, zamknęła drzwi i powróciła do wezgowia chorej. Skoro je już wyrzucono, obie stare zmieniły ton i jęły krzyczeć przez dziurkę od klucza, że stara Sally jest pijana.

W samej rzeczy nie było to nieprawdopodobne, bo oprócz umiarkowanej dozy opium przepisanego jej przez aptekarza, znajdowała się ona pod działaniem poźegnalnego łyku ginu z wodą, który w dobroci serca dały jej potajemnie owe zacne staruszki we własnych osobach.

— A teraz niech pani mnie posłucha — rzekła głośno konająca, jak gdyby zdobywała się na ostatni, wielki wysiłek, by rozbudzić w sobie jedyną pozostałą iskierkę energii. — W tej samej izbie, w tym samym łóżku pielęgnowałam kiedyś ładne, młode stworzenie, które przywieziono tu do przytułku z nogami poranionymi i opuchniętymi od chodzenia, całą powalaną kurzem i krwią. Urodziła chłopczyka i umarła. Zaraz, zaraz — w którym to było roku?

— Mniejsza o rok rzekła niecierpliwa słuchaczka. — I co z nią?

— Właśnie — wymruczała chora zapadając w poprzedni senny stan. — Co z nią?... Co?... Już wiem! — zawołała i rzuciła się gwałtownie w przód, z rozognioną twarzą i wytrzeszczonymi oczyma. — Obrabowałam ją, obrabowałam! Jeszcze nie ostygła — powiadam ci, że jeszcze nie ostygła, kiedy to ukradłam.

— Co ukradłaś, na miłość boską? — wykrzyknęła szafarka z takim gestem, jak gdyby chciała wołać o pomoc.

— To! — odrzekła kobieta kładąc rękę na ustach tamtej. — Jedyne, co miała. Potrzebowała ciepłej odzieży i jedzenia, ale to uchowała i trzymała schowane na piersi. To było złoto, mówię ci! Szczere złoto, które mogło być uratować jej życie!

— Złoto! — zawtórowała szafarka pochylając się w napięciu nad chorą, gdy ta opadła na poduszki. — Mów dalej, mów dalej — tak — i co potem? Kim była ta matka? Kiedy to było?

— Poleciała mi to przechować — odrzekła konająca z jękiem. — Zaufała mi, bo byłam jedyną kobietą, która przy niej była. Ukradłam to w duchu już w pierwszej chwili, kiedy mi to pokazała zawieszona na swojej szyi. I może do tego ciąży na mnie jeszcze i śmierć tego dziecka! Byliby się z nim lepiej obchodzili, gdyby wiedzieli o wszystkim!

— Gdyby wiedzieli o czym? — spytała tamta. — Mówże!

— Chłopiec wyrósł taki podobny do matki — chaotycznie mówiła dalej chora nie zwracając uwagi na pytanie — że nie mogłam nigdy o tym zapomnieć patrząc na jego twarz. Biedaczka! Biedaczka! Taka była młoda! Taka łagodna jak baranek! Czekaj, jest jeszcze coś więcej do powiedzenia. Nie powiedziałam ci przecież wszystkiego, prawda?

— Nie, nie — odrzekła szafarka pochylając głowę, by zrozumieć słowa wydobywające się coraz ciszej z ust konającej kobiety. — Spiesz się, bo może być za późno!

— Matka — rzekła chora zdobywając się na jeszcze większy niż przedtem wysiłek — matka, kiedy chwyciły ją śmiertelne bóle, szepnęła mi do ucha, że jeśli jej dzieciątko urodzi się żywe i uchowa się, może przyjść dzień, że nie będzie się już czuło tak bardzo zhańbione dowiadując się nazwiska swojej biednej młodej matki. „O, dobry Boże! — mówiła składając chude rączyny — czy to będzie chłopczyk, czy dziewczuszka, daj mu na tym niespokojnym świecie przyjaciół i zlituj się nad samotnym, opuszczonym dzieckiem pozostawionym na jego łasce!”

— Imię chłopca? — zapytała szafarka.

— Nazwali go Oliwer — odrzekła kobieta słabym głosem. — To złoto, które ukradłam, było...

— No? No? Co? — zawołała tamta.

Pochyliła się skwapliwie nad umierającą, aby dosłyszeć odpowiedź, ale instynktownie cofnęła się, gdy ta raz jeszcze powoli i sztywno uniosła się do pozycji siedzącej, a potem, kurczowo trzymając oburącz koldrę, wymamrotała gardłowo kilka niezrozumiałych dźwięków i opadła bez życia na łóżko.

— Martwa jak kamień — powiedziała jedna ze starych kobiet wbiegając do izby, skoro tylko drzwi się otworzyły.

— I okazało się w końcu, że nic nie miała do powiedzenia — rzekła szafarka wychodząc niedbale z pokoju.

Dwie staruchy, najwidoczniej zbyt zajęte przygotowaniem do spełnienia swych okropnych obowiązków, by coś na to odpowiedzieć, pozostały same i jeły krzątać się około ciała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

W KTÓRYM NINIEJSZE OPOWIADANIE POWRACA DO PANA FAGINA I SPÓŁKI

Podczas gdy to wszystko działo się w prowincjonalnym przytułku, pan Fagin siedział w dawnej swej kryjówce — tej samej, z której dziewczyna zabrała Oliwera — i rozmyślał przy kominie, na którym palił się leniwy, kopący ogień. Na kolanach trzymał miechy, którymi widocznie starał się go przedtem lepiej rozniecić, ale tymczasem zapadł w głęboką zadumę; skrzyżował na miechach ręce i oparłszy brodę o keciuki utkwiał niewidzące oczy w zardzewiałej kracie paleniska.

Za nim przy stole siedzieli Przemysłny, imię pan Bates oraz pan Chitling, pochłonięci grą w wista.

Przemysłny grał z dziadkiem przeciwko Karolkowi Batesowi i panu Chitlingowi. Oblicze pierwszego z wymienionych panów, nader inteligentne, nabrało dodatkowego wyrazu zainteresowania wywołanego

czujnym śledzeniem gry i bacznyimi oględzinami kart pana Chitlinga, na które od czasu do czasu, gdy nadarzała się okazja, rzucał bystre spojrzenia, przezornie regulując własną grę według wyników inspekcji kart sąsiada. Ponieważ noc była zimna, Krętacz miał na głowie kapelusz, jak to mu się zresztą często w domu zdarzało. Między zębami trzymał gliniany cybuch wyjmując go tylko na krótko, kiedy uznawał za konieczne orzeźwić się łykiem ginu z wodą, czerpanego ze stojącej na stole kwatěrki przeznaczonej na użytek zgromadzonego towarzystwa.

Imć pan Bates również zwracał pilną uwagę na grę, ale ponieważ miał bardziej wybuchową naturę niż jego utalentowany przyjaciel, można było zauważyć, że częściej zabiera się do ginu z wodą, a ponadto pozwala sobie na wiele żartów i ubocznych uwag. Wszystko to zupełnie nie licowało z naukowo rozgrywanym robrem. Toteż Przemysłny, korzystając z łączącego ich

przyjacielskiego stosunku, nieraz z powagą zwracał koledze uwagę na niewłaściwość takiego postępowania. Wszystkie te upomnienia młody pan Bates przyjmował bardzo dobroduszenie, życząc przyjacielowi co najwyżej, żeby go gęś kopnęła, radząc mu się wypchać trocinami lub odpowiadając jakimis̄ innymi zręcznymi dowcipami, które zdawały się budzić nader wielki podziw w duszy pana Chitlinga. Rzeczą godną uwagi było, że ten ostatni i jego partner stale przegrywali oraz że okoliczność ta, zamiast gniewać pana Batesa, zdawała się nadzwyczajnie go bawić. Śmiał się bowiem bardzo hałaśliwie po każdym rozdaniu kart i zaręczał, że jak żyje, nie widział takiej byczej gry.

— To już rober — powiedział pan Chitling z mocno speszoną miną, wyciągając półkoronówkę z kieszeni kamizelki. — Nigdy nie widziałem takiego gościa jak ty, Jack. Zawsze wygrywasz. Nawet kiedy mamy dobre karty, Karolek i ja, nie możemy nic z nimi wskórać.

Uwaga ta wypowiedziana była bardzo żalonym tonem. Jej treść czy też forma tak ubawiły Karolka Batesa, że jego gromki śmiech wyrwał Żyda z zadumy i skłonił go do zapytania, co się stało.

— Co się stało, Fagin! — zawołał Karolek. — Szkoda, żeś się nie przyglądał grze. Tommy Chitling nie wygrał ani jednego punktu. Ja z nim grałem przeciw Przemysłnemu z dziadkiem.

— Tak, tak! — rzekł staruch wykrzywiając się w uśmiechu, który wskazywał dostatecznie jasno, że powód tego stanu rzeczy nie był dla niego tajemnicą. — Spróbuj jeszcze raz, Tom, spróbuj jeszcze raz.

— Już mam dosyć, Fagin, dziękuję bardzo — odrzekł pan Chitling. — Ten Krętacz ma takie szczęście, że nie można sobie z nim dać rady.

— Ha, ha! mój drogi — odparł Fagin. — Trzeba wstać bardzo rano, żeby wygrać z Krętaczem.

— Rano! — wykrzyknął Karolek Bates. — Musisz włożyć buty już poprzedniego wieczoru, mieć teleskop przy każdym oku i lornetkę między łopatkami, jeżeli chcesz z nim się uporać.

Pan Dawkins z filozoficznym spokojem wysłuchał tych pięknych komplementów i zaproponował zakład z którymkolwiek z obecnych panów o to, kto pierwszy otworzy talię kart na figurze. Stawka miała wynosić szylinga za każdą udaną próbę. Ponieważ jednak nikt wyzwania nie przyjął, a jego fajka tymczasem się wypaliła, Krętacz jął się zabawiać rysowaniem na stole planu Newgate przy pomocy kawałka kredy, która służyła mu przedtem do zapisywania punktów. Przez cały czas pogwizdywał przenikliwie.

— Ach, jakiś ty tępy, Tommy! — powiedział Krętacz po długiej ciszy, przerywając rysowanie i zwracając się do pana Chitlinga. — Jak ci się zdaje, Fagin, o czym on teraz myśli?

— Skądże miałbym wiedzieć, mój drogi? — odparł starzec dmuchając miechem w ogień i oglądając się przez ramię. — Może o swojej przegranej, a może o wiejskim ustroniu, które niedawno opuścił, co? Ha, ha! Czy zgadłem, mój drogi?

— Nic podobnego — odrzekł Krętacz wtrącając się do rozmowy w chwili, kiedy pan Chitling miał właśnie odpowiedzieć. — A co ty powiesz, Karolku?

— Ja myślę — odrzekł młody pan Bates szczerząc zęby w uśmiechu — że on się kocha w Betsy. Patrzenie, jak się czerwieni! O jejku! Co za kawał! Tommy Chitling zakochany! O, Fagin, Fagin! A to ci heca!

Zupełnie obezwładniony myślą o panu Chitlingu jako o ofierze czulej namiętności, imć pan Bates rzucił się do tyłu w krześle tak gwałtownie, że stracił równowagę i zwałił się na podłogę. Wypadek ten nie zgasił bynajmniej jego wesołości. Leżał na ziemi, rozciągnięty jak długi, póki atak śmiechu nie minął, po czym wstał, wrócił do dawnej pozycji i zaczął się śmiać na nowo.

— Nie zwracaj na niego uwagi, mój drogi — powiedział Żyd mrugając do pana Dawkinsa i szturchając pana Batesa karcąco czubkiem miecha. — Betsy to pierwszorzędna dziewczyna. Trzymaj się jej, Tommy, trzymaj się jej.

— Co chcę powiedzieć, Fagin — rzekł pan Chitling, bardzo czerwony na twarzy — to, że przecież nikomu tutaj nic do tego.

— Bo i prawda — odrzekł Fagin — Karolek zawsze tak plecie. Nie zwracaj na niego uwagi, mój drogi, nie zwracaj na niego uwagi. Betsy to pierwszorzędna dziewczyna. Rób, co ona ci każe, Tom, a zrobisz majątek.

— Toteż robię, co ona mi każe — odparł pan Chitling. — Nie byliby mnie wsadzili, gdyby nie jej rada. Ale tobie to wyszło na dobre, prawda, Fagin? I co to znaczy sześć tygodni? Kiedyś to się

przecież musi przytrafić, więc dlaczego nie w zimie, kiedy człowiek nie potrzebuje tyle spacerować, nie, Fagin?

— Ależ oczywiście, mój drogi — odrzekł Żyd.

— Nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby ci się to zdarzyło po raz drugi, prawda, Tom? — zapytał Krętacz mrugając do

Karolka i Fagina — byleby tylko z Bet było wszystko w porządku?

— Pewno, że nie — odrzekł Tom rozgniewany. — Jakaście chcieli wiedzieć, to macie. Aha! I chciałbym bardzo wiedzieć, kto potrafi to samo powiedzieć o sobie, co, Fagin?

— Nikt, mój drogi — odparł Żyd. — Nikt absolutnie, Tom. Nie znam ani jednego, kto by to mógł zrobić oprócz ciebie. Ani jednego, mój drogi.

— Mogłem się wydostać na czysto, gdybym ją sypnął, prawda, Fagin? — ciągnęła dalej gniewnie biedna głupkowata ofiara. — Jedno moje słowo byłoby starczyło, nie, Fagin?

— Z pewnością, mój drogi — odrzekł stary.

— Ale ja się nie wygadałem, prawda, Fagin? — pytał Tom rzucając z wielką natarczywością jedno pytanie za drugim.

— Nie, nie, oczywiście, że nie — odrzekł Żyd. — Na to byłeś za lojalny. Znacznie za lojalny, mój drogi!

— Może i byłem — rzekł Tom na to rozglądając się dokoła. — A jeżeli byłem, to z czego tu się śmiać, co, Fagin?

Fagin widząc, że pan Chitling jest nader wzburzony, pośpieszył z zapewnieniem, że nikt się nie śmieje, i aby zadokumentować poważny nastrój zebranych, zwrócił się do głównego winowajcy, imię pana Batesa. Lecz niestety Karolek, który otworzył usta, by odpowiedzieć, że nigdy w życiu nie był tak poważny jak w tej chwili, nie zdołał powstrzymać gwałtownego wybuchu śmiechu, na co obrażony pan Chitling bez żadnych wstępnych ceremonii skoczył przez cały pokój i wymierzył winowajcy potężny cios. Karolek, zawsze zręczny w wymykaniu się pogoni, uchylił się przed uderzeniem w tak umiejętnie dobranej chwili, że wylądowało ono na piersi wesołego staruszka, który zachwiał się i oparł o ścianę, gdzie stał dysząc, podczas gdy pan Chitling patrzył nań, niezmiernie speszony.

— Cicho! — zawołał w tej chwili Krętacz. — Słyszałem dzwonek. — I porwawszy światło poszedł cicho po schodach na górę.

Zadzwoniono ponownie, i to z pewnym zniecierpliwieniem; tymczasem całe towarzystwo siedziało w ciemnościach. Po krótkiej chwili Krętacz powrócił i szepnął coś tajemniczo Faginowi.

— Co! — zawołał starzec. — Sam?

Krętacz kiwnął twierdząco i osłoniwszy ręką płomień świecy dał Karolkowi gestem znak, że w tej chwili lepiej wstrzymać się od kawałów. Wyświadczywszy tę przyjacielską przysługę utkwiał wzrok w twarzy Fagina i czekał na jego wskazówki.

Starzec medytował przez parę sekund, obgryzając poźółtkę palce. Twarz mu drgała, jak gdyby przeczuwał coś złego i obawiał się usłyszeć najgorsze. Na koniec podniósł głowę.

— Gdzie on jest? — zapytał.

Krętacz wskazał na piętro nad nimi i uczynił gest, jakby miał wyjść z pokoju.

— Tak — rzeki Fagin w odpowiedzi na to nieme pytanie. — Sprowadź go na dół. Sza! Spokój, Karolku! Cicho, Tom! Precz! precz!

Karolek Bates i jego niedawny przeciwnik cicho i bezzwłocznie usłuchali tego krótkiego rozkazu. Nie było już po nich ani śladu, kiedy Krętacz zszedł po schodach prowadząc za sobą mężczyznę w nędznym odzieniu. Rozejrzawszy się śpiesznie po pokoju zerwał on duży szal zakrywający mu dolną część twarzy. Ukazało się wychudłe, nie umyte i nie ogolone oblicze „eleganta” Toby'ego Crackita.

— Jak się masz, Fagusiu! — rzekł ów ze wszech miar szanowny jegomość kiwając głową Żydowi. — Wsuń ten szal do mojej skrzynki, Krętaczu, żebym wiedział, gdzie go szukać, jak będę zwiewał. O, właśnie! Będzie z ciebie pierwszorzędny młody włamywacz, lepszy od starej wiary.

Z tymi słowami podciągnął do góry długą bluzę, owinał się nią w pasie, przysunął sobie krzesło do kominka i oparł nogi o kratę;

— Spójrz, Faguś — powiedział wskazując z rozżaloną miną na swoje długie buty. — Ani krztyny wosku od... sam wiesz, odkąd. Ani odrobinki czernidła, na Jowisza! Ale nie patrz tak na mnie, człowieku. Wszystko w swoim czasie. Nie mogę gadać o interesach, póki się nie najem i nie napiję, więc dawaj zarcie, niech się posiłę spokojnie pierwszy raz od trzech dni!

Fagin nakazał gestem Krętaczowi, by ten postawił na stole, co jest w domu do jedzenia, po czym siadł naprzeciwko włamywacza i cierpliwie czekał, aż zechce opowiadać.

Z pozorów sądząc Toby'emu nie śpieszyło się bynajmniej z rozpoczęciem rozmowy. Z początku Żyd poprzestał na cierpliwym obserwowaniu jego twarzy, jak gdyby z jej wyrazu chciał wyczytać jakąś zapowiedź wiadomości, które przynosił. Ale nadaremnie. Toby wyglądał zmęczony i mizerny, ale w rysach jego było to samo spokojne zadowolenie z siebie co zawsze. Poprzez brud i zarost przeświecał wciąż jeszcze' niezmienny, zarozumiały uśmiezek „eleganta” Toby'ego Crackita. Fagin w męce

wyczekiwania śledził każdy kęs, który tamten wkładał do ust; tymczasem chodził tam i z powrotem po pokoju w podnieceniu, którego nie był w stanie opanować.. Wszystko to jednak nie pomagało. Toby jadł dalej z doskonałą obojętnością, aż wreszcie nie mógł już więcej. Wtedy kazał Krętaczowi wyjść, zamknął drzwi, zmieszał sobie szklanke spirytusu z wodą i usadowił się wygodnie do rozmowy.

— Więc przede wszystkim, Fagusiu... — rzekł Toby.

— Tak? Tak? — przerwał Żyd przysuwając się bliżej z krzesłem.

Pan Crackit przerwał, aby łyknąć alkoholu i oświadczyć, że gin jest znakomity. Następnie umieścił stopy na niskim gzymsie kominka, tak by buty znalazły się mniej więcej na poziomie jego oczu, i spokojnie mówił dalej.

— Więc przede wszystkim, Fagusiu — powiedział włamywacz — jak tam Bill?

— Co! — wrzasnął starzec zrywając się z krzesła.

— Jak to, nie chcesz chyba powiedzieć, że... — zaczął Toby błędąc.

— Powiedzcie! — krzyknął Fagin tupiąc wściekle. — Gdzie oni są? Sikes i ten chłopak! Gdzie oni są? Gdzie się chowają! Dlaczego tu nie przyszli?

— Robota się nie udała — rzekł Toby słabym głosem.

— To wiem — odparł starzec wyrывая z kieszeni gazetę i pokazując na nią palcem. — Co więcej?

— Strzelili i trafili chłopaka. Zwiewaliśmy przez pola za domem, niosąc go między sobą — prosto jak strzała — przez płoty i rowy. Oni ścigali nas. Niech to diabli! Cała okolica się zbudziła i psy nas gonily.

— Chłopak?!

— Bill niósł go na plecach. Leciał jak wicher. Przystanęliśmy, żeby go wziąć między siebie: głowa mu zwisała i był cały zimny. Ale tamci deptali nam po piętach. Więc każdy musiał dbać

o siebie, bo przecież obaj umykaliśmy przed strykiem! Rozstaliśmy się, a malca zostawiliśmy w rowie. Żywego czy umarłego, nie wiem. To wszystko.

Fagin nie czekał na więcej, lecz wydawszy głośny okrzyk

i wplótszy dlonie we włosy wybiegł z pokoju, a następnie z domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY W KTÓRYM NA WIDOWNI POJAWIA SIĘ TAJEMNICZA OSOBISTOŚĆ ORAZ DZIEJE SIĘ WIELE RZECZY ŚCIŚLE ZWIĄZANYCH Z NINIEJSZYM OPOWIADANIEM

Nie pierw, nim dobiegł do rogu ulicy, starzec zaczął otrząsać się z wrażenia, jakie sprawiła na nim wiadomość przyniesiona przez Toby'ego Crackita. Nie zwolnił jednak ani trochę niezwykłego dla siebie tempa i biegł dalej tak samo ślepo i nieprzytomnie. Na chodnik wszedł dopiero wtedy, kiedy nagle tuż koło niego przejechał szybko jakiś powóz i rozległ się głośny krzyk przechodniów, którzy dostrzegli grożące Faginowi niebezpieczeństwo. Unikając w miarę możliwości wszelkich ruchliwszych ulic i przemykając się samymi bocznymi uliczkami i zaułkami, dostał się w końcu na Snów Hill. Tu zaczął iść jeszcze szybciej niż dotychczas i nie zwolnił kroku, póki nie skręcił znowu w pewien dziedziniec. Wtedy, jak gdyby poczuł się znów w swym właściwym żywiole, wrócił do normalnego chodu i jak gdyby odetchnął swobodniej.

W pobliżu miejsca, w którym stykają się ze sobą Snow Hill i Holborn Hill, po prawej ręce, jeśli idzie się z City, zaczyna się wąska, ponura uliczka prowadząca na Saffron Hill. W oknach brudnych sklepów powystawiane są na sprzedaż ogromne sterty używanych jedwabnych chustek do nosa wszelkich wielkości i wzorów, tu bowiem mieszkają handlarze skupujący je od złodziei kieszonkowych. Setki tych chustek zwieszają się z haków wbitych po zewnętrznej stronie okien lub powiewają na drzwiach, a na półkach wewnątrz sklepów piętrzą się ich całe stosy. Chociaż rozmiary Field Lane są bardzo ograniczone, zaułek ten ma własny zakład fryzjerski, własną kawiarnię, piwiarnię i sklep ze smażoną rybą. Field Lane stanowi samoistną kolonię handlową: targ na drobniactwo pochodzące z kradzieży. Wczesnym rankiem i o zmierzchu przychodzą tam małomówni kupcy, którzy dobijają targu w ciemnych zakamarkach i znikają równie tajemniczo, jak się zjawili. Tutaj handlarze odzież, obuwiem i szmatami rozkładają swe towary mające służyć za szyldy reklamowe dla drobnych złodziejasków; tutaj rdzewieją i gniją w brudnych piwnicach ogromne ilości starego żelastwa i kości oraz stosy spleśniałych kawałków materii wełnianych i płótna.

W ten to zaułek skręcił Fagin. Mieszkańcy zaułka, o chorobliwie żółtej cerze, dobrze go snadź znali, gdyż ci, którzy kręcili się po ulicy w zamiarze kupienia lub sprzedania czegoś, pozdrawiali go, kiedy przechodził, jak starzy znajomi. On odpowiadał na te powitania takim samym skinieniem głowy, lecz z nikim nie wdawał się w rozmowę, póki nie doszedł do końca zaułka. Tu zatrzymał się i zwrócił do handlarza, człowieka o wyjątkowo maleńkiej figurce, który wcisnął w dziecinne krzeselko tyle ze swej postaci, ile się tam mogło zmieścić, i kurzył fajkę przed drzwiami swojego sklepu.

— Ach, widok pana, panie Fagin, wyleczyłby człowieka z nie wiem czego! — rzekł ów szanowny

kupiec w odpowiedzi na zapytanie Żyda dotyczące jego zdrowia.

— W tej okolicy zrobiło się trochę za gorąco, panie Lively — rzekł Fagin wznosząc brwi i krzyżując ramiona.

— Tak, słyszałem już parę razy, jak się na to skarżono — odrzekł kupiec. — Ale prędko się potem znowu ochładza, nie uważa pan?

Fagin kiwnął potwierdzająco głową. Wskazując w kierunku Saffron Hill zapytał, czy jest tam kto dzisiejszego wieczoru.

— „Pod Kalekami”? — spytał tamten. Fagin przytaknął.

— Zaraz, niech pomyślę — ciągnął kupiec z zastanowieniem. — Tak, o ile widziałem, weszło ich tam z pół tuzina. Zdaje się jednak, że nie ma między nimi pańskiego przyjaciela.

— Sikesa zapewne też nie ma?

— *Non est ventus*, jak powiadają prawnicy — odrzekł mały człowieczek potrząsając głową z niebywale chytrą miną. — Ma pan dzisiaj dla mnie coś w moim guście?

— Dzisiaj nic — odpowiedział staruch zabierając się do odejścia.

— Idzie pan „Pod Kaleki”, Fagin? — zawołał za nim mały człowieczek. — Niech pan poczeka!

Chętnie napiję się tam z panem kieliszeczek! Ale Fagin odwrócił się i machnął ręką na znak, że woli być sam, a że ponadto trudno było małemu człowieczkowi wydostać się z krzeselka, przeto gospoda „Pod Kalekami” musiała na czas pewien obejść się bez zaszczytu obecności pana Lively. Nim bowiem stanął na nogach, Fagina już nie było. Wobec tego postawiwszy chwilę daremnie na palcach w nadziei dojrzenia go jeszcze, pan Lively ponownie wcisnął się w krzeselko; pokiwał głową do pewnej damy ze sklepu naprzeciwko, dając tym oczywisty wyraz swemu zwątpieniu i nieufności, po czym z wielką powagą zabrał się z powrotem do fajki.

„Pod Trzema Kalekami” albo po prostu „Pod Kalekami” — takie było godło, pod którym stali bywalcy znali gospodę, w której już kiedyś oglądaliśmy pana Sikesa i jego psa. Ledwie skinąwszy mężczyźnie, który stał za bufetem, Fagin udał się prosto na górę, otworzył drzwi jednego z pokoi i cicho wśliznąwszy się do środka rozejrzał się niespokojnie, przysłaniając oczy ręką, jak gdyby poszukiwał jakiejś określonej osoby.

Izbę oświetlały dwie gazowe lampy; okiennice przytrzymane żelaznymi sztabami oraz starannie zasunięte czerwone, wypłowiałe zasłony sprawiały, że światło nie było widoczne z zewnątrz. Sufit pomalowany był na czarno, aby płomień lamp nie mógł go zbrudzić. W izbie było tak pełno gęstego tytoniowego dymu, że z początku trudno było dostrzec coś więcej. Stopniowo jednak, w miarę jak część dymu wypłynęła przez otwarte drzwi, dało się widzieć wiele głów; były one tak różnego charakteru i tak niedobre jak dźwięki, które się w pokoju rozlegały. Kiedy oczy przyzwyczyły się nieco, widz powoli zdał sobie sprawę z obecności liczego towarzystwa obojga płci, stłoczonego wokół długiego stołu, u końca którego zasiadał przewodniczący z urzędowym młotkiem w dłoni. W kącie pokoju przy rozklekotanym fortepianie siedział zawodowy grajek; nos jego był siny, twarz obwiązana z powodu bólu zębów.

Właśnie gdy Fagin wchodził cicho do środka, grajek przejechał dłonią po klawiaturze. Preludium to stało się powodem ogólnego wołania o piosenkę. Skoro krzyk się uciszył, jakaś młoda dama jęła bawić towarzystwo śpiewaniem ballady o czterech zwrotkach, między którymi akompaniator przegrywał całą melodię tak głośno, jak tylko potrafił. Gdy to się skończyło, przewodniczący wznosił toast, po czym dwaj inni zawodowi muzycanci, siedzący po prawej i lewej ręce przewodniczącego, zaproponowali duet i odśpiewali go wśród hucznych oklasków. Ciekawe było obserwować niektóre twarze, wyróżniające się spośród innych. Był więc sam przewodniczący (gospodarz lokalu), wulgarny, nieokrzesany, potężnie zbudowany drab, który w czasie występów śpiewaczych toczył wzrokiem tam i sam i chociaż na pozór oddawał się bez reszty zabawie, miał przecież oczy bacznie otwarte na wszystko, co się działo, a uszy — na każde wypowiedziane słowo. Blisko niego znajdowali się śpiewacy, którzy z zawodową obojętnością przyjmowali wyrazy uznania od towarzystwa, chętnie natomiast pociągali z tuzina szklanek spirytusu z wodą, ofiarowanych im i podsuniętych przez hałaśliwych wielbicieli. Twarze tych ostatnich, świadczące o wszystkich niemal występkach we wszystkich niemal stopniach, nieodparcie przykuwały do siebie uwagę tym właśnie, że były odrażające. Przebiegłość, dzikość i wszystkie stadia pijaństwa dawały się tu zaobserwować w najostrzejszej formie. Były też kobiety: jedne, u których ostatni nikły ślad dawnej świeżości zdawał się nikać niemal w oczach; inne, na których twarzy wszelkie znamiona i piętna kobiecości szczyły już doszczętnie, pozostawiając tylko ohydny maskę rozwiązłości i zbrodni. Niektóre były dziewczátkami zaledwie, inne młodymi jeszcze kobietami, a żadna nie przekroczyła wieku średniego. Kobiety te stanowiły najciemniejszą i najsmutniejszą część całego ponurego obrazu.

Gdy to wszystko się działo, Fagin, którego nie trapiły żadne tak poważne refleksje, przeniósł bystro oczy z jednej twarzy na drugą, lecz najwidoczniej nie znajdował tej, której szukał. Udało mu się wreszcie spotkać wzrok człowieka siedzącego na przydzielonym miejscu; skinął nań nieznacznie i wyszedł z pokoju równie cicho, jak wszedł.

— Czym mogę panu służyć, panie Fagin? — zapytał gospodarz wyszedłszy za nim na schody. — Nie przyłączy się pan do nas? Wszyscy będą zachwyceni, co do jednego.
Żyd potrząsnął głową niecierpliwie i zapytał szeptem:
— Czy o n jest tutaj?
— Nie, nie ma — odrzekł tamten.
— I żadnych wiadomości o Barneyu? — spytał Fagin.
— Żadnych — odpowiedział gospodarz lokalu „Pod Kalekami”. — On się nie pokaże, aż będzie znów bezpiecznie. Może pan być pewien, że oni tu węszą i że gdyby tylko się zjawiał, zaraz zrobiłaby się awantura. Z Barneyem jest wszystko w porządku, inaczej byłbym o nim posłyszał. Założę się, że daje sobie radę doskonale. Co do tego można na nim polegać.
— A czy o n będzie tu dziś? — spytał Fagin kładąc taki sam jak przedtem nacisk na zaimkę.
— To znaczy Monks? — zapytał gospodarz z wahaniem.
— Sza! — rzekł Fagin. — Tak.
— Z pewnością — odrzekł tamten wydobywając z kieszonki złoty zegarek. — Spodziewałem się go tutaj już wcześniej. Jeżeli pan poczeka dziesięć minut, on na pewno...
— Nie, nie — powiedział pośpiesznie Fagin. Wyglądało na to, że chociaż pragnie zobaczyć wspomnianą osobę, to jednak jej nieobecność sprawia mu ulgę. — Proszę mu powiedzieć, że przyszedłem tu, aby się z nim zobaczyć, i że on musi przyjść do mnie jeszcze dziś wieczór. Albo nie, powiedzmy, jutro. Skoro go tu nie ma, jutro wystarczy.
— Dobrze — powiedział tamten. — Nic więcej?
— Na razie ani słowa — rzekł staruch schodząc ze schodów.
— Słuchaj pan — powiedział ochryplym szeptem gospodarz przechylając się przez poręcz — cóż to byłaby za chwila, żeby urządzić wyspę! Mam tutaj Fila Barkera tak pijanego, że dziecko dałoby mu radę.
— Aha! Ale jeszcze nie pora na Fila Barkera — odparł Fagin spoglądając w górę. — Fil ma jeszcze coś niecoś do zrobienia, zanim będziemy sobie mogli pozwolić na rozstanie się z nim. Wracaj więc do swoich gości, mój drogi, i powiedz im, niech sobie używają — póki mogą. Ha, ha, ha!
Gospodarz roześmiał się także, po czym wrócił do gości. Skoro tylko Fagin został sam, oblicze jego przybrało z powrotem wyraz troski i zamyślenia. Po krótkim namyśle przywołał dorożkę i kazał się zawieźć w stronę Bethnal Green. Na ćwierć mili przed miejscem zamieszkania pana Sikesa odprawił dorożkarza i krótką resztę drogi przebył na piechotę.
— No, a teraz — mruknął Żyd stukając do drzwi — jeżeli tu się kryje jakaś podwójna gra, wydestanę to z ciebie, dziewczyno, mimo że jesteś taka chytra.
Kobieta, która otworzyła mu drzwi, powiedziała, że Nancy jest u siebie. Fagin prześliznął się cicho po schodach i wszedł do pokoju bez żadnych uprzednich ceremonii. Dziewczyna była sama; siedziała oparłszy na stole głowę ukrytą w potarganych włosach.
„Podpiła sobie — pomyślał Fagin z zimną krwią — albo może poprostu ciężko jej na duszy.”
Myśląc to stary odwrócił się, aby zamknąć za sobą drzwi. Szmer sprawił, że dziewczyna się ocknęła. Spytała, czy są jakie wiadomości, i długo a bacznie przyglądała się przebiegłej twarzy Fagina, gdy ten zdawał jej sprawę z opowieści Toby'ego Crackita. Kiedy skończył, wróciła do dawnej pozycji, ale nie powiedziała ani głowa. W zniecierpliwieniu odepchnęła od siebie świecę i parę razy zmieniając gorączkowej pozycję zaszurgotała nogami po podłodze. Ale to było wszystko.
Wśród tej ciszy Fagin rozglądał się niespokojnie po pokoju, jakby chciał sprawdzić, czy nie ma tam żadnych dowodów potajemnego powrotu Sikesa. Najwidoczniej uspokojony tym, co zobaczył, kaszlnął raz i drugi i parokrotnie spróbował wszcząć rozmowę, ale dziewczyna zwracała na niego tak mało uwagi, jak gdyby był z kamienia. W końcu spróbował raz jeszcze i zacierając ręce powiedział swym najbardziej pojednawczym głosem:
— Jak myślisz, gdzie też Bill może teraz być, moja droga? Dziewczyna w odpowiedzi jęknęła niemal niedosłyszalnie, że nie wie, a stłumiony dźwięk, który jej się wyrwał, świadczył o tym, że płacze.
— I do tego ten chłopak — rzekł staruch wyteżając oczy, by choć przelotnie dojrzeć jej twarz. — Biedne dziecko. Pozostawione w rowie, Nancy, pomyśl tylko.
— Dziecku — rzekła dziewczyna, nagle podnosząc głowę — lepiej jest tam, gdzie jest, niż u nas. I jeżeli Billowi nie stanie się z tego powodu nic złego, to mam nadzieję, że Oliwier leży w tym rowie martwy i że jego młode kości tam zgniją.
— Co! — krzyknął Fagin zdumiony.
— Tak, naprawdę — odpowiedziała dziewczyna patrząc mu prosto w oczy. — Ucieszę się, kiedy nie będę musiała na niego patrzeć i kiedy się dowiem, że już po nieszczęściu. Nie mogę znieść jego obecności koło siebie. Jego widok każe rui nienawidzić samej siebie i was wszystkich.
— Ech! — powiedział Fagin pogardliwie. — Pijana jesteś.

— Pijana jestem, tak? — zawołała dziewczyna z goryczą. — Jeżeli nie jestem, to z pewnością nie z twojej winy. Gdyby to od ciebie zależało, chciałbyś, żebym zawsze była pijana, z wyjątkiem tej chwili. Teraz ci mój humor nie odpowiada, prawda?

— Nie! — odrzekł Fagin wściekłym głosem. — Nie odpowiada mi.

— No to go zmień! — odparła dziewczyna ze śmiechem.

— Zmienić go! — wybuchnął starzec, doprowadzony do ostateczności niespodzianym uporem towarzyski i wszystkimi irytującymi zdarzeniami tego wieczoru. — A właśnie, że go zmienię. Słuchaj mnie, ty dziwko! Słuchaj mnie, który sześciora słowami mogę zacisnąć stryczek koło szyi Sikesa z taką samą pewnością, jak gdybym w tej chwili miał jego byczy kark między palcami! Jeżeli wróci bez chłopca, jeżeli sam się szczęśliwie wykręci, a nie odda mi go, żywego czy umarłego — to go zamorduj sama, jeżeli chcesz, żeby nie dostał się w ręce kata. I zrób to zaraz, jak tylko noga jego stanie w tym pokoju, bo inaczej będzie za późno, popamiętaj to sobie.

— Co to wszystko znaczy? — zawołała mimo woli dziewczyna.

— Co to znaczy? — ciągnął Fagin oszalały z pasji. — Kiedy ten chłopak wart jest dla mnie setki funtów, mam stracić to, co zrządzenie losu miało mi dać bez żadnego ryzyka, przez kaprysy pijanej bandy, którą mógłbym wykończyć w oka mgnieniu. I do tego jestem związany z wcielonym diabłem, któremu chodzi tylko o testament i który może mnie... może mnie...

Zdyszany starzec zająknął się szukając słowa i w tej samej chwili pohamował wybuch gniewu i zmienił całe swoje zachowanie. Jeszcze przed chwilą ręce jego kurczowo chwyciły powietrze, oczy miał rozszerzone, a twarz zbieleła z pasji. Lecz teraz opadł na krzesło, skulił się i drżał cały z obawy, że wygadał się z jakimś tajnym łotrostwem. Po krótkim milczeniu odważył się spojrzeć na towarzyszkę. Uspokoił się nieco, widząc ją w tej samej zmartwiałej postawie, z której ją przedtem wyrwał.

— Nancy droga! — zaskrzeczał swym zwykłym głosem. — Słyszałaś mnie, kochanie?

— Nie męcz mnie teraz, Fagin — odrzekła dziewczyna, leniwie podnosząc głowę. — Jeżeli Billowi nie udało się tym razem, uda mu się innym. Nieraz już robił dla ciebie zyskowne roboty i więcej jeszcze zrobi, jeżeli będzie mógł; a jeżeli nie będzie mógł, to nie robi. Więc nie mówmy już o tym.

— A co do tego chłopca, moja droga? — spytał Fagin, nerwowo zacierając ręce.

— Chłopiec musi ryzykować ze wszystkimi innymi — przerwała spiesźnie Nancy. — I powtarzam raz jeszcze: mam na

dzieję, że umarł, że mu już więcej nic złego nie grozi, zwłaszcza od ciebie — to znaczy, o ile przez to Billowi nic się nie stanie. A jeżeli Toby się wywinął, to i Bill na pewno jest bezpieczny, bo Bill wart jest z pewnością tyle co dwóch Tobych razem wziętych.

— A to, co mówiłem, moja droga? — rzucił Fagin, uporczywie patrząc na nią błyszczącymi oczyma.

— Musisz powtórzyć to jeszcze raz, jeżeli ci chodzi o to, żebym coś zrobiła — odparła Nancy. — A jeżeli tak jest, to lepiej poczekaj do jutra. Rozbudziłaś mnie na chwilę, ale teraz jestem znowu cała otepiąta.

Fagin zadał jeszcze kilka pytań, które wszystkie miały za cel przekonanie się, czy dziewczyna zrozumiała jego nieostrożne napomknienia. Ona jednakże odpowiadała tak chętnie i z takim niewzruszonym spokojem wytrzymywała jego badawcze spojrzenie, że stary utwierdził się w swoim pierwotnym wrażeniu, iż Nancy jest dobrze pijana. Istotnie Nancy nie była wolna od słabości, która występowała nader często u pupilek Fagina i którą on — kiedy były jeszcze młodziutki — raczej popierał, niż zwalczał. Jej nieporządny wygląd oraz mocny zapach alkoholu panujący w całym mieszkaniu były silnym potwierdzeniem słuszności przypuszczeń Żyda. A gdy po wyżej opisanym przejęciowym wybuchu Nancy popadła naprzód w otepienie, a następnie zaczęły nią miotać różne sprzeczne uczucia, pod wpływem których na zmianę to płakała, to wydawała rozmaite okrzyki w rodzaju: „Uszy do góry”, „Co za różnica, byle człowiekowi było dobrze!” — pan Fagin, który w swoim czasie zdobył w tych sprawach duże doświadczenie, przekonał się z wielkim zadowoleniem, że doprawdy była w stanie silnego zamroczenia alkoholem.

Odkrycie to uspokoiło go. A ponieważ osiągnął już wytknięty podwójny cel: powtórzenia dziewczynie tego, czego się dowiedział od Toby'ego, oraz przekonania się na własne oczy, że Sikes nie wrócił — pan Fagin skierował się znów ku domowi pozostawiając swą młodą przyjaciółkę śpiącą z głową opartą na stole.

Brakowało godziny do północy. Na dworze była ciemność i dojmujący chłód, więc nic nie skłaniało Żyda do marudzenia po drodze. Zdawało się, że ostry wiatr, który hulał po ulicach, wymiółł z nich przechodniów na równi z kurzem i błotem. Mało bowiem spotykało się ludzi, a i ci nieliczni spieszyli się najwyraźniej do domu. Dla Fagina jednak wiatr dął w dobrym kierunku; szedł więc szybko, drząc i dygocąc, a każdy nowy podmuch popychał go brutalnie naprzód.

Doszedł już do rogu swojej ulicy i szperał w kieszeni szukając klucza, kiedy z pograżonej w głębokim mroku sionki jednego z domów wyłoniła się ciemna postać i przeszedłszy ulicę przysunęła się do niego niepostrzeżona.

— Fagin — szepnął jakiś głos tuż koło jego ucha.
— A! — rzekł starzec odwracając się szybko. — Czy to...
— Tak — przerwał nieznajomy. — Czekam tu od jakichś dwóch godzin. Gdzieś ty chodził, u diabła?
— Za twoimi sprawami, mój drogi — odrzekł Żyd spoglądając niepewnie na towarzysza i zwalnając kroku. — Za twoimi sprawami biegam już cały wieczór.
— Ach, oczywiście! — rzekł szyderczo nieznajomy. — No i co z tego wyszło?
— Nic dobrego — odparł Fagin.
— Nic złego, mam nadzieję? — spytał tamten i stanął jak wryty zwracając na towarzysza zaniepokojone spojrzenie.
Fagin potrząsnął głową i już miał odpowiedzieć, kiedy nieznajomy przerwał mu wskazując na dom, do którego tymczasem już doszli. Zauważył, że będzie lepiej, jeżeli to, co ma mu do powiedzenia, powie pod dachem, bo krew skrzepła mu w żyłach od długiego stania i wiatr przewiał go na wylot. Wyglądało na to, że Fagin ma wielką ochotę wymówić się od wprowadzenia gościa do domu o tak późnej porze. Mruknął coś, że nie ma u niego ognia. Ale kiedy towarzysz jego rozkazującym głosem ponowił swe życzenie, stary otworzył drzwi i poprosił, żeby tamten zamknął je cicho za sobą, podczas gdy on sam przyniesie światło.
— Ciemno tu jak w grobie — powiedział nieznajomy mężczyzna dając po omacku kilka kroków przed siebie. — Spiesz się!
— Zamknij drzwi — szepnął Fagin z końca sieni. Kiedy to mówił, drzwi zatrasnęły się z hałasem.
— To nie ja — rzekł tamten macając drogę przed sobą. — Wiatr je zamknął albo zatrasnęły się same: jedno z dwojga. Spiesz się z tym światłem, inaczej rozwalę sobie o coś głowę w tej przeklętej dziurze. Fagin po cichutku zszedł po schodach kuchennych. Po krótkiej nieobecności powrócił z zapaloną świecą oraz wiadomością, że Toby Crackit śpi na dole w izbie od podwórka, a chłopcy we frontowej. Kiwnął na nieznajomego, by szedł za nim, i poprowadził go na górę.
— Te parę słów, które mamy sobie do powiedzenia, możemy powiedzieć tutaj, mój drogi — rzekł Żyd otwierając jakieś drzwi na pierwszym piętrze. — Ponieważ w okiennicach są otwory, a my nigdy nie pokazujemy światła sąsiadom, postawimy świecę na schodach. O, tak.
Mówiąc to pochylił się i umieścił świecę na stopniu schodów biegnących w górę, dokładnie naprzeciwko drzwi, do których zamierzali wejść. Następnie wprowadził gościa do pokoju, w którym nie było żadnych sprzętów oprócz połamanego fotela i starej kozetki czy sofy bez obicia, stojącej w kącie za drzwiami. Na tym to meblu spoczął nieznajomy przybierając pozę człowieka bardzo zmęczonego, podczas gdy Fagin usiadł naprzeciwko niego w fotelu. Nie było całkiem ciemno, gdyż drzwi były na wpół otwarte, a światło stojącej na schodach świecy rzuciło słaby odbłask na przeciwległą ścianę.
Przez jakiś czas rozmawiali szeptem. Choć z rozmowy tej nic słyhać nie było poza kilkoma niezwiązanymi z sobą wyrazami, rzucanymi głośniejszym głosem od czasu do czasu, przecież słuchaczowi łatwo byłoby dostrzec, że Fagin zdawał się bronić przed jakimiś zarzutami nieznajomego i że ten ostatni był nader zirytowany. Rozmawiali tak z sobą już jakiś kwadrans lub więcej, kiedy Monks — gdyż tak starzec kilkakrotnie w ciągu rozmowy nazwał nieznajomego — rzekł nieco podniesionym głosem:
— Mówię ci jeszcze raz, to było źle uplanowane. Dlaczego nie chciałeś go tu trzymać razem z innymi i zrobić z niego od razu nędznego, tchórzliwego złodziejzaka?
— Słuchajcie tylko, co on mówi! — wykrzyknął Fagin wzruszając ramionami.
— Co, czy chcesz twierdzić, że nie umiałbyś tego zrobić, gdybyś chciał? — zapytał Monks ostro. — Czyż nie robiłeś tego dziesiątki razy z innymi chłopcami? Gdybyś był cierpliwie poczekał rok najwyżej, mogłeś doprowadzić do tego, aby został skazany i wywieziony z kraju, może dożywotnio — I komu byłoby to wyszło na korzyść, mój drogi? — zapytał Fagin pokornie.
— Mnie — odrzekł Monks.
— Ale nie mnie — odparł potulnie staruch. — On mógł się stać dla mnie pożyteczny. Kiedy dwie strony są zainteresowane w jakiejś transakcji, sam rozsądek wskazuje, że należy uwzględnić interesy obu stron. Czy nie prawda, drogi przyjacielu?
— No i co z tego? — zapytał Monks.
— Zobaczyłem, że nie łatwo jest wyszkolić go w naszym fachu — odpowiedział Fagin. — On nie był taki jak inni chłopcy w tych samych okolicznościach.
— Nie, nie był, przeklęty! — mruknął tamten. — Inaczej od dawna już byłby złodziejem.
— Nie miałem władzy nad nim, żeby go zepsuć — ciągnął Fagin śledząc z niepokojem twarz towarzysza. — On nie był wplątany w nasze sprawy. Nie miałem go czym nastraszyć, a to konieczne jest na początku, inaczej darmo się trudzić. Cóż miałem zrobić? Wysłać go z Krętaczem i Karolkiem? Dosyć mieliśmy strachu za pierwszym razem, mój drogi. Drżałem wtedy o nas wszystkich.
— Tamto nie było z mojej winy — zauważył Monks.

— Nie, nie, mój drogi! — podjął Fagin. — I teraz nie żałuję już tego, bo gdyby się to nie było stało, chłopak mógł ci się nigdy nie nawinąć na oczy i nie przekonałbyś się, że to jego właśnie szukasz. No! Odzyskałem go z powrotem dla ciebie z pomocą dziewczyny; a potem ona zaczęła brać jego stronę.

— Sprzątnąć dziewczynę! — rzekł Monks niecierpliwie.

— Nie, w tej chwili nie możemy sobie na to pozwolić, mój drogi — odparł Fagin z uśmiechem. — A poza tym my nie robimy takich rzeczy. Inaczej może i chętnie kazałbym to kiedyś zrobić. Dobrze wiem, Monks, jakie są te dziewczyny. Skoro tylko chłopak stwardnieje, nie będzie ją obchodził więcej niż kawałek drewna. Ty chcesz, żeby z niego zrobić złodzieja. Jeżeli żyje, będę teraz mógł to zrobić, a jeżeli... jeżeli... — tu Fagin przysunął się bliżej do tamtego — to nieprawdopodobne, uważasz, ale jeżeli stało się najgorsze i on nie żyje...

— To nie moja wina, jeżeli tak jest! — przerwał Monks z wyrazem lęku w oczach, drżącymi rękoma chwytając Żyda za ramię. — Pamiętaj o tym, Fagin! Ja nie maczałem w tym ręk. Wszystko, tylko nie jego śmierć, tak ci mówiłem od początku. Nie chcę przelewać krwi. Zawsze się to wyda, a poza tym prześladowuje potem człowieka we wspomnieniach. Jeżeli go zastrzelili, ja tego nie spowodowałem, słyszysz mnie? Niech diabli porwą tę przeklętą norę! Co to?

— Co? — zawołał Fagin przytrzymując tchórza obiema rękami, gdy ten zerwał się na równe nogi. — Gdzie?

— Tam! — odrzekł Monks wlepiając oczy w przeciwległą ścianę. — Cień! Widziałem, jak cień kobiety w pelerynie

czepku przesunął się, jak tchnienie, po ścianie!

Staruch zwolnił uścisk i obaj jeden przez drugiego wybiegli z pokoju. Świeca stała na dawnym miejscu, prawie zupełnie stopiona przez przeciąg. W jej świetle ujrzeli tylko pustą klatkę schodową i własne pobladłe twarze. Nasłuchiwali z natężeniem: w całym domu panowała głęboka cisza.

— Wydało ci się — powiedział Fagin podnosząc świecę i zwracając się do towarzysza.

— Przysięgnę, że ją widziałem! — odrzekł Monks cały drżący. — Z początku, kiedy ją zobaczyłem, pochylała się do przodu, a kiedy przemówiłem, odskoczyła.

Fagin spojrział pogardliwie na bladą twarz współnika, powiedział mu, że może iść za nim, jeżeli chce, i poszedł po schodach na górę. Zajrzeli do wszystkich pokoi: były zimne, nagie i puste. Zeszli do sieni, a stamtąd do piwnic na dole. Zielona wilgoć sphywała po niskich ścianach, w świetle świecy lśniły ślimacze szlaki, ale wszędzie panował śmiertelny spokój.

— Cóż teraz sądzisz? — spytał Żyd, kiedy wrócili do sieni. — Oprócz nas nie ma w domu żywej duszy poza Tobym i chłopcami, a tych nie ma się co bać. Spójrz tutaj!

I na potwierdzenie swych słów Fagin wyciągnął z kieszeni dwa klucze, po czym wyjaśnił, że kiedy pierwszym razem zszedł na dół, pozamykał ich na klucz, by nikt nie mógł przeszkodzić w rozmowie. To nagromadzenie dowodów przekonało na koniec pana Monksa. Jego zapewnienia stawały się stopniowo coraz to mniej gwałtowne, w miarę jak szukali dalej i dalej, nie odkrywając niczego. Teraz zaśmiał się kilka razy ponuro i przyznał, że to nie mogło być nic innego jak tylko igraszka jego podnieconej wyobraźni. Odmówił jednak ponownego podjęcia rozmowy tej nocy, przypominając sobie nagle, że to już po pierwszej. Wobec tego miła para pożegnała się.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY NAPRAWIA NIEGRZECZNOŚĆ JEDNEGO Z POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW, W KTÓRYM BEZ ŻADNYCH CEREMONII PORZUCONO DAMĘ

Nie godzi się wcale, by skromny autor zmuszał tak wpływową osobistość jak woźnego do czekania przy kominku, z połami surduta podgarniętymi pod pachy, póki nie spodoba mu się go wyzwolić. Jeszcze mniej przystoi stanowi i kurtuazji owego autora zaniedbać w podobny sposób damę, na którą ów woźny spoglądał czułym i rozmiłowanym okiem i w której uszko szeptła słodkie słówka, zdolne — skoro pochodzą z takich ust — przejąc drzeniem łono dziewicy lub niewiasty najwyższego bodaj stanu. Kronikarz, którego pióro kreśli niniejsze słowa, pochlebia sobie, że wie, jakie jest jego miejsce, i że żywi należyta cześć dla tych, którym na tej ziemi dana jest wielka i ważna władza. Spieszy tedy okazać im szacunek należny ich stanowisku i potraktować ich z całą powinna ceremonią, której kategorycznie domaga się od niego ich wysoki urząd i (co za tym idzie) ich niezwykle cnoty. W tym celu zamierzał nawet zamieścić w tym miejscu dysertację o boskim pochodzeniu władzy woźnego i o tym, że woźny niezdolny jest postępować źle. Dysertacja taka nie omieszkałaby sprawić przyjemności i pożytku dobrze myślącemu czytelnikowi. Niestety, z braku miejsca i czasu autor widzi się zmuszony odłożyć ją do bardziej sposobnej i właściwej chwili. Z nadejściem jej gotów będzie wykazać, iż formalnie zatwierdzony woźny, a więc woźny gminny, przydzielony do gminnego przytułku i z urzędu piastujący funkcję w parafialnym kościele, jest z prawa i mocy sprawowanej godności wyposażony we wszystkie najdoskonalsze i najznamienitsze przymioty ludzkie, do których to przymiotów zwykli woźni towarzystw akcyjnych, woźni sądowi i inni (z wyjątkiem woźnych przydzielonych do kaplic

filialnych — ale ci w znacznie niższym i mniej doskonałym stopniu) nie mogą rościć najmniejszej pretensji.

Pan Bumble ponownie przeliczył łyżeczki od herbaty, jeszcze raz zważył w rękach szczypcę do cukru, przyjrzał się bliżej dzbanuszkowi do mleka i stwierdził dokładnie stan mebli, aż do włosianych siedzeń krzesel włącznie. Każdą z tych czynności powtórzył pełne sześć razy i wreszcie zaczął myśleć, że czas już, by pani Corney wróciła. Każda myśl rodzi dalsze myśli, ponieważ zaś nie było słychać, aby pani Corney nadchodziła, panu Bumble przyszło do głowy, że niewinnym i godziwym sposobem spędzenia czasu byłoby dalsze zaspokojenie ciekawości przez szybki przegląd zawartości komody pani Corney. Posłuchawszy przez dziurkę od klucza, by przekonać się, czy nikt nie nadchodzi, pan Bumble jął zapoznawać się z zawartością trzech obszernych szuflad, począwszy od najniższej. Szuflady te, pełne różnych ubrań dobrego kroju i z dobrych materiałów, starannie przechowanych pomiędzy dwiema warstwami starych gazet i posypanych suszoną lawendą, sprawiały mu najwidoczniej najwyższe zadowolenie. Doszedłszy z biegiem czasu do prawej górnej szuflady (w której tkwił kluczyk) i ujrawszy w niej małą zamkniętą na kłódkę skrzyneczkę, która przy potrząśnięciu wydawała przyjemny dźwięk, jak gdyby pobrzękujących monet, pan Bumble powrócił statecznym krokiem do kominka. Zajął dawną pozycję i rzekł z poważną miną wyrażającą mocne postanowienie: „Zrobię to!” Po tym doniosłym oświadczeniu przez dziesięć minut kiwał filuternie głową, jak gdyby sam siebie łąjał za to, że jest takim miłym chłopem, a następnie z widocznym zainteresowaniem i przyjemnością przyjrzał się z profilu swym nogom.

Wciąż jeszcze zajęty był tymi budującymi oględzinami, kiedy do pokoju weszła szybko pani Corney, rzuciła się zadyszana na krzesło przy kominku i przysłoniwszy oczy jedną ręką, drugą położyła na sercu i jęła z trudem łowić oddech.

— Pani Corney — rzekł pan Bumble pochylając się nad szafarką. — Co to znaczy, proszę pani? Czy coś się stało? Proszę, niech pani mi odpowie! Stoję jak na... na... — panu Bumble w jego trwodze nie mogło od razu przyjść na myśl wyrażenie „na rozżarzonych węglach”, więc powiedział „na potłuczonych butelkach”.

— Och, panie Bumble! — zawołała dama. — Tak mnie okropnie zdenerwowano!

— Zdenerwowano panią, proszę pani! — wykrzyknął pan Bumble. Kto się ośmielił? Już wiem! — Pan Bumble

przerwał sam sobie z wrodzonym dostojeństwem. — To jeden z tych nikczemnych nędzarzy!

— Strach pomyśleć! — rzekła dama wstrząsając się.

— Niech więc pani nie myśli o tym, moja pani — odparł pan Bumble.

— Kiedy muszę — zachlipała dama.

— Więc może się pani czegoś napije — rzekł pan Bumble kojąco. — Troszeczkę wina?

— Za nic na świecie! — odrzekła pani Corney. — Nie mogłabym... ach! Górna półka po prawej stronie... a a ach! — Wymawiając te słowa zacna dama wskazała nieprzytomnie na kredens, po czym uległa atakowi wstrząsających ją spazmów. Pan Bumble rzucił się do kredensu i porwawszy z owej półprzytomnie wskazanej półki litrową butelkę z zielonego szkła, nappełnił jej zawartością filiżankę od herbaty i przyłożył ją do warg damy.

— Już mi lepiej — rzekła pani Corney wypiwszy połowę, po czym przechyliła się do tyłu w krześle. Pan Bumble na znak wdzięczności wzniosł oczy pobożnie do sufitu, po czym opuścił je na brzezek filiżanki i przytknął ją sobie do nosa.

— Mięta — rzuciła pani Corney słabym głosem, uśmiechając się zarazem słodko do woźnego. — Niech pan spróbuje. Jest w niej troszkę... troszkę czegoś innego.

Pan Bumble z podejrzliwą miną skosztował lekarstwa. Obliznął wargi, skosztował raz jeszcze i odstawił filiżankę opróżnioną do dna.

— To bardzo dobrze robi — rzekła pani Corney.

— Bardzo dobrze, rzeczywiście, proszę pani — rzekł woźny. Mówiąc to przysunął sobie krzesło do szafarki i spytał czule, co ją tak wzburzyło.

— Nic — odrzekła pani Corney — jestem głupią, łatwo się denerwującą, słabą istotą.

— Nie słabą, proszę pani — zaoponował pan Bumble przysuwając krzesło odrobinę bliżej. — Czy jest pani słabą istotą, pani Corney?

— Wszyscy jesteśmy słabymi istotami — rzekła pani Corney ustanawiając ogólną zasadę.

— To prawda — rzekł woźny. Przez następną minutę czy dwie nikt nic nie mówił. W ciągu tego czasu pan Bumble zilustrował stwierdzoną zasadę przenosząc swoją lewą rękę z poręczy krzesła pani Corney, gdzie dotąd spoczywała, na szelki fartucha szafarki i obejmując ją stopniowo.

— Wszyscy jesteśmy słabymi istotami — rzekł pan Bumble. Pani Corney westchnęła.

— Proszę nie wdychać, pani Corney — rzekł pan Bumble.

— Nie mogę się powstrzymać — rzekła pani Corney. I westchnęła ponownie.

— To bardzo wygodny pokój, proszę pani — rzekł pan Bumble rozglądając się wokoło. — Jeszcze jeden pokój i ten — a byłoby całe mieszkanko.

— Za dużo na jedną osobę — szepnęła dama.
— Ale nie na dwie, moja pani — odrzekł pan Bumble miękko głosem. — Co, pani Corney?
Na te słowa pani Corney pochylała głowę, a woźny pochylał z kolei swoją, by móc spojrzeć w twarz pani Corney. Ta, jak na skromną niewiastę przystało, odwróciła głowę i oswobodziła rękę, by wydobyć chustkę do nosa, po czym nieświadomie wsunęła ją — to jest rękę — z powrotem w dłoń pana Bumble.
— Zarząd przydziela pani węgle, prawda, pani Corney? — zapytał woźny czule ściskając jej rękę.
— I świece — odrzekła pani Corney, lekko odwzajemniając uścisk.
— Węgla, świece i mieszkanie darmo — rzekł pan Bumble. — Ach, pani Corney, jakież anioł z pani! Dama nie oparła się temu wybuchowi uczucia. Osunęła się w objęcia pana Bumble, a dżentelmen ów w swym podnieceniu wycisnął namiętny pocałunek na jej cnotliwym nosie.
— Taka urzędowa _doskonałość! — wykrzyknął pan Bumble w zachwycie. — Wiesz, że panu Sloutowi jest dziś gorzej, moja czarodziejko?
— Tak — odrzekła wstydliwie pani Corney.
— Nie pociągnie nawet tygodnia, jak powiada doktor — ciągnął pan Bumble. — On jest kierownikiem tego zakładu; jego śmierć opróżni to miejsce i trzeba będzie, aby ktoś je zajął. Ach, pani Corney, jakie to otwiera perspektywy! Co za okazja do połączenia serc i gospodarstw! Pani Corney załkała.
— Jedno słóweczko? — rzekł pan Bumble pochylając się nad zawstydzoną pięknoscia. — Jedno małe, maleńkie, malusieńkie słóweczko, luba Corney?
— Ta-a-ak! — westchnęła szafarka.
— I jeszcze jedno — ciągnął woźny. — Pohamuj raz jeszcze swoje najmiłsze uczucia i powiedz, kiedy to ma nastąpić?
Pani Corney dwukrotnie usiłowała coś powiedzieć i dwukrotnie zbrakło jej słów. Wreszcie zdobyła się na odwagę, zarzuciła ramiona na szyję pana Bumble i rzekła, że może to nastąpić, kiedy tylko on zechce, oraz że jest on „strasznie miłutki”.
Po tak przyjacielskim i zadowalającym załatwieniu sprawy, uroczyście ratyfikowano układ przy pomocy nowej filizanki miętowej mikstury, tym potrzebniejszej, że dama była strwożona i podniecona. W czasie picia pani Corney powiadomiła pana Bumble o śmierci starej kobiety.
— Doskonale — rzekł ów dżentelmen popijając drobnymi łykami piperment. — Po drodze do domu wstąpię do Sowerberry'ego i każę mu przysłać kogoś jutro rano. Czy to właśnie tak cię przeraziło, moje serce?
— To nie było nic szczególnego, kochanie — odrzekła dama wymijająco.
— Coś jednak być musiało, moje serce — nalegał pan Bumble. — Nie powiesz swojemu własnemu B.?
— Nie teraz — odparła dama. — Niedługo ci powiem. Po ślubie, kochanie.
— Po ślubie! — wykrzyknął pan Bumble. — Chyba nie była to jakaś bezczelna zaczepka ze strony jednego z tych nędzarzy, która...
— Nie, nie, kochanie! — wtrąciła dama pośpiesznie.
— Gdybym sądził, że o to chodzi — ciągnął pan Bumble — gdybym myślał, że jeden z nich ośmielił się podnieść swoje ordynarne oczy na to śliczne oblicze...
— Nigdy nie odważyliby się na to, kochanie — odparła dama.
— Niechby spróbowali! — rzekł pan Bumble zaciskając pięści. — Niechby zobaczył mężczyznę, z gminy czy spoza gminy, który poważyłby się na to, a mogę go zapewnić, że nie zrobiłby tego po raz drugi!
Słowa te, nie poparte gwałtowną gestykulacją, mogłyby się zdawać niezbyt pochlebne dla wdzięku damy. Ponieważ jednak groźbie pana Bumble towarzyszyły liczne wojownicze gesty, ten dowód jego przywiązania wzruszył panią Corney niepomierne. Spojrzała nań z uwielbieniem i zapewniła go, że jest prawdziwym gołębkiem.
Następnie gołębek podniósł kołnierz od płaszcza, nasadził stosowany kapeluszy i wymieniwszy długi i serdeczny uścisk z przyszlą towarzyszką życia, raz jeszcze stawił czoło zimnemu nocnemu wichrowi. Po drodze zatrzymał się tylko na parę minut w sali sypialnej mężczyzn, by powymyślać im trochę, a to w celu przekonania się, czy z należytą surowością potrafi sprawować urząd kierownika przytułku. Upewniwszy się o swoich kwalifikacjach pan Bumble opuścił budynek przytułku z lekkim sercem i głową pełną wizji przyszłego awansu. Zajął to jego myśli do czasu, kiedy stanął przed warszatem przedsiębiorcy pogrzebowego.
Sklep był otwarty, choć zwykła pora zamykania minęła. Państwo Sowerberry wyszli bowiem na podwieczorek i kolację do znajomych, a Noe Claypole, nigdy nie zdradzał skłonności do podjęcia większego wysiłku fizycznego niż ten, który konieczny jest dla pomyślnego spełniania dwóch funkcji: jedzenia i picia. Pan Bumble kilkakrotnie zastukał laską o ladę, lecz nie odniosło to żadnego skutku. Zauważywszy światło przeświecające przez oszklone u góry drzwi małej bawialni za warszatem, odważył się zerknąć przez szybę, by przekonać się, co się tam dzieje. Kiedy zaś ujrzał, co tam się

istotnie działa, zdziwił się niezmiernie.

Stół nakryty był do kolacji, stały na nim chleb i masło, talerze i szklanki, dzbanek z porterelem i butelka wina. Przy stole siedział pan Noe Claypole, wygodnie rozparty w fotelu, z nogami przewieszonymi przez jedną z poręczy. W jednej dłoni trzymał otwarty szczyryk, a w drugiej olbrzymią pajdę posmarowanego masłem chleba. Tuż przy nim stała Karolka; otwierała ostrygi dobywane ze stojącej obok beczułki, a pan Claypole raczył je nader żarłocznie połykać. Silniejsza niż zwykle czerwoność okolicy nosa młodego kawalera, jak również coś w rodzaju stałego zmruczenia prawego oka świadczyły, iż był lekko podchmielony. Objawy te potwierdzała niezwykła rozkosz, którą sprawiało mu jedzenie ostryg, a którą uzasadnić mogła jedynie ulga, jaką przez swe chłodzące właściwości sprawiły one mogą człowiekowi trawionemu wewnętrzną gorączką.

— O, tu masz taką świetną, tłustą, Noe, kochanie! — rzekła Karolka. — Spróbuj ją, spróbuj! Jeszcze tylko tę jedną.

— Cóż to za znakomita rzecz: ostryga! — zauważył pan Claypole przełknawszy ją. — Jaka szkoda, że kiedy człowiek zje ich dużo, robi mu się niedobrze, prawda, Karolka?

— Okropność — rzekła Karolka.

— Naprawdę okropność — zgodził się pan Claypole. — A ty nie lubisz ostryg?

— Nie za bardzo — odrzekła Karolka. — Wolę patrzeć, jak ty jesz, Noe, kochanie, niż jeść sama.

— Joj! — rzekł Noe z namysłem. — Ależ to dziwne!

— Zjedz jeszcze — powiedziała Karolka. — Tu jest jedna z taką śliczną, delikatną bródką!

— Już nie mogę więcej — rzekł Noe. — Bardzo mi przykro. Chodź ta, Karolka, to cię pocałuję.

— Co! — krzyknął pan Bumble wpadając do pokoju. — Powtórz to jeszcze raz, mój panie!

Karolka wrzasnęła i ukryła twarz w fartuchu. Pan Claypole spuścił nogi na podłogę i nie zmieniając poza tym pozycji gapił się na woźnego z pijackim przestraczem.

— Powtórz to jeszcze raz, ty przewrotny, bezczelny łajdaku! — krzyknął pan Bumble. — Jak śmiesz wspominać o takich rzeczach? A ty jak śmiesz go zachęcać, zuchwała dziewucho? Całować ją? — wykrzyknął pan Bumble srodze oburzony. — Jeszcze czego!

— Ja wcale nie chciałem! — rzekł Noe pochlipując. — To ona mnie ciągle całuje, czy ja chcę, czy nie.

— Och, Noe! — zawołała Karolka z wyrzutem.

— Tak jest, wiesz dobrze, że tak jest — osadził ją Noe. — Ona stale to robi, proszę pana. Ona mnie głaszcze pod brodę, proszę pana, i zaleca się do mnie na wszystkie sposoby!

— Milcz! — zawołał pan Bumble surowo. — Zabieraj się na dół, moja panno. Noe, zamknij sklep. Nie waż się powiedzieć ani słowa więcej, dopóki twój pan nie wróci. A kiedy wróci, powiedz mu, że pan Bumble powiedział, że jutro rano po śniadaniu ma przysłać skorupę dla starej kobiety. Słyszysz, mój panie? Całują się! — zawołał pan Bumble wznosząc ręce do nieba. — Strach, co za grzechy i przewrotność u ludzi niskiego stanu w tej gminie! Jeżeli parlament nie weźmie się za ich obrzydliwe występki, kraj zginie, a obyczajność chłopstwa przepadnie na wieki! — To rzekłszy woźny z wyniosłą i ponurą miną opuścił zakład trumnarza.

A teraz, kiedyśmy już prawie odprowadzili go do domu i poczynili wszystkie niezbędne przygotowania do pogrzebu starej kobiety, zapytajmy, co stało się z małym Oliwerem Twistem, i przekonajmy się, czy leży on jeszcze w rowie, w którym pozostawił go Toby Crackit.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

ZAJMUJE SIĘ OLIVEREM I ZAWIERA DALSZY CIĄG JEGO PRZYGÓD

Żeby wam wilki porozszarzywały gardziele! — wymamrotał Sikes zgrzytając zębami. — Chciałbym tylko dostać paru z was w ręce, zawylibyście jeszcze głośniej.

Wypowiadając te złorzeczenia warkliwym głosem i z najbardziej desperacką furią, do jakiej tylko jego desperacka natura była zdolna, Sikes przewiesił sobie przez zgięte kolano ciało rannego chłopca i na mgnienie oka odwrócił głowę, by spojrzeć na pogoń.

Wśród mgły i ciemności niewiele było widać, lecz powietrze drgało od głośnych krzyków ludzi, a ujadanie okolicznych psów, zbudzonych dźwiękiem alarmowego dzwonu, rozbrzmiewało ze wszystkich stron.

- Stój, ty psie, tchórz! — krzyknął bandyta w ślad za Tobym Crackitem, który go już wyprzedził korzystając ze swych długich nóg. — Stój!

Powtórzenie tego wyrazu sprawiło, że Toby zatrzymał się jak wryty. Nie był bowiem całkiem pewien, czy znajduje się już poza zasięgiem strzału pistoletowego, a Sikes nie był w nastroju do żartów.

— Pomóż mi z tym chłopakiem — zawołał Sikes kiwając wściekle na swego współnika. — Zawróć!

Toby niby to zawrócił, lecz idąc powoli w kierunku Sikesa ośmielił się zaznaczyć cichym, przerywanym z braku tchu głosem wyraźną niechęć do tego kroku.

— Prędej! — zawołał Sikes. Położył chłopca w suchym rowie u swoich stóp i wyciągnął z kieszeni

pistolet. — Nie strój sobie ze mnie żartów!

W tym momencie hałas przybrał na sile. Obejrzawszy się ponownie, Sikes dostrzegł, że ścigający przełazą już przez furtkę prowadzącą na pole, na którym się znajdował, i że o parę kroków przed nimi biegną dwa psy.

— Wszystko przepadło, Bill! — zawołał Toby. — Zostaw chłopaka i bierz nogi za pas! — Z tą pożegnalną radą pan Crackit, który wołał ryzyko postrzelenia przez przyjaciela niż pewność, że zostanie ujęty przez wrogów, odwrócił się na pięcie i pomknął naprzód jak strzała. Sikes zacisnął zęby, rozejrzał się szybko, zarzucił na nieruchome ciało Oliwera pelerynę, w którą go przedtem pośpiesznie owinięto, i pobiegł wzdłuż żywopłotu, jak gdyby dla odwrócenia uwagi goniących od miejsca, gdzie leżał chłopiec. Zatrzymał się na sekundę przed drugim żywopłotem, który stykał się z tamtym pod kątem prostym, po czym zakręciwszy pistoletem wysoko w powietrzu, wystrzelił wszystkie ładunki, przesadził płot jednym susem i zniknął.

— Hej, hej, tam! — zawołał drżący głos w tyle. — Pincher! Neptun! Do nogi! Do nogi!

Psy, podobnie jak ich panowie, nie zdawały się zbyt gustować w zabawie, w której brały udział, z całą więc gotowością posłuchały rozkazu. Trzej mężczyźni, którzy tymczasem posunęli się już nieco w pole, zatrzymali się dla odbycia wspólnej narady.

— Moja rada albo raczej powinienem powiedzieć: mój rozkaz — rzekł najgrubszy z trójki — jest taki: wracajmy natychmiast do domu.

— Mnie tam odpowiada wszystko, co odpowiada panu Gilesowi — powiedział niższy mężczyzna, nie odznaczający się bynajmniej smukłą figurą, natomiast bladością twarzy i bardzo uprzejmym zachowaniem, jak to zazwyczaj bywa z wystraszonymi ludźmi.

— Nie chciałbym wydać się niegrzecznym, panowie — rzekł trzeci, ten, który przywołał przedtem psy. — Pan Giles powinien wiedzieć najlepiej, co trzeba robić.

— Oczywiście — odparł niższy mężczyzna — i cokolwiek mówi pan Giles, nie przystoi nam sprzeciwiać się jemu. Nie, nie, ja tam dobrze wiem, co do mnie należy! Dziękować Bogu, wiem, gdzie jestem i co do mnie należy. — Prawdę powiedziawszy, nieduży człowieczek rzeczywiście wiedział, gdzie jest, i równie dobrze wiedział, że wcale nie chce nadal się tani znajdować, gdyż w chwili gdy mówił, zęby mu szczękały.

— Boisz się, Brittles — powiedział pan Giles.

— Wcale nie — odrzekł Brittles.

— Owszem — rzekł Giles.

— Pan się mija z prawdą, panie Giles — odparł Brittles.

— A ty łiesz, Brittles — powiedział Giles.

Cztery powyższe repliki zrodziły się z przymówki pana Gilesa, a przymówka ta zrodziła się z jego oburzenia, że pod pokrywką uprzejmości narzucono mu odpowiedzialność za decyzję powrotu do domu. Trzeci mężczyzna wysoce filozoficznie doprowadził dysputę do końca.

— Powiem wam, w czym rzecz, panowie — powiedział. — Boimy się wszyscy.

— Proszę mówić za siebie, mój panie — rzekł pan Giles, który był najbłedszy z całej trójki.

— Tak też i robię — odrzekł tamten. — To naturalne i całkiem właściwe bać się w takich okolicznościach. J a tam się boję.

— I ja też — powiedział Brittles. — Tylko nie potrzeba zaraz człowiekowi mówić tego, tak prosto z mostu.

Te szczerze wyznania ułagodziły pana Gilesa, który przyznał się od razu, że i on także się boi, po czym wszyscy trzej dokonali półobrotu i pobiegli z powrotem z najdoskonalszą jednomyślnością. W pewnej chwili jednak pan Giles (który miał największe skłonności do zadyszki, a ponadto był obciążony widłami) wspaniałomyślnie uznał za konieczne zatrzymać się, aby przeprosić za swą zapalczywość.

— Ale to nadzwyczajne — rzekł pan Giles wytłumaczwszy się — co też człowiek potrafi zrobić, kiedy się w nim krew wzburzy. Byłbym popełnił morderstwo — wiem o tym na pewno — gdybyśmy byli złapali któregoś z tych łotrów.

Ponieważ tamci dwaj przyznali się do podobnego przeczucia, a obecnie krew wszystkich trzech zupełnie się uspokoiła, przeto nastąpiło nieco rozważań nad przyczyną takiej naglej zmiany usposobienia.

— Już wiem, co to było — rzekł pan Giles. — To ta furtka.

— Nie dziwiłbym się, gdyby tak rzeczywiście było — wykrzyknął Brittles chwytając się tej myśli.

— Możecie być pewni — powiedział Giles — że ta furtka uśmierzyła nasze podniecenie. Kiedy przez nią przełaziłem, czułem, jak nagle cały się uspokajam.

Dzięki osobliwemu zbiegowi okoliczności tamci dwaj ściśle w tej samej chwili doznali identycznego niemilego uczucia. Było tedy oczywiste, że przyczyną wszystkiego była furtka, zwłaszcza że nie było żadnej wątpliwości co do czasu, w którym nastąpiła przemiana. Wszyscy trzej pamiętali bowiem doskonale, że właśnie w chwili kiedy się ona dokonała, spostrzegli po raz pierwszy bandytów. Cała ta rozmowa toczyła się pomiędzy owymi dwoma mężczyznami, którzy zaskoczyli włamywaczy, a

wędrownym blacharzem, który nocował w jednym z budynków gospodarskich. Zbudzono go oraz jego dwa kundle, aby wzięli udział w pościgu. Pan Giles pełnił podwójną funkcję: lokaja i rządcy w służbie starszej pani, właścicielki posiadłości, Brittles zaś był chłopcem do wszystkiego. Ponieważ wstąpił na służbę będąc jeszcze dzieckiem, traktowano go nadal jako obiecującego wyrostka, choć przekroczył już trzydziestkę.

Takimi to rozmowami dodawali sobie wzajemnie odwagi, niemniej jednak trzymali się bardzo blisko jeden drugiego i kiedy tylko silniejszy powiew wiatru zaszeleścił wśród konarów, rozglądali się trwożliwie. Szybko wrócili do drzewa, za którym pozostawili latarnię, obawiając się, by jej światło nie wskazywało złodziejom kierunku, w jakim mają strzelać. Wziąwszy latarnię rączym truchcikiem pośpieszyli do domu i nawet kiedy ich ciemne postacie przestały już być dostrzegalne, długo jeszcze widać było w oddali migotliwe, roztańczone światelko, niby oddech tego wilgotnego i chłodnego powietrza, przez które je pośpiesznie niesiono.

W miarę jak zwolna nadchodził dzień, robiło się zimniej i mgła sunęła nisko nad ziemią niczym gęsta chmura dymu. Trawa była mokra, ścieżki i zagłębienia terenu były pełne błota i wody; z głuchym jękiem, leniwie snuło się po okolicy wilgotne tchnienie niezdrowego wiatru. A Oliwer ciągle jeszcze leżał bez ruchu i bez czucia w tym samym miejscu, gdzie pozostawił go Sikes.

Szybko wstawał rano. Powietrze stało się ostre i przenikliwe, gdy pierwsze przyćmione barwy — śmierć nocy raczej niż narodziny dnia — słabo zaczęły przebłykiwać na niebie. Przedmioty, które majacząc ledwie w ciemności były przerażające, teraz jeły nabierać coraz to bardziej określonych kształtów i stopniowo przyjeły swą dobrze znaną postać. Zaczął padać szybki, rzęsy deszcz, chlupiąc głośno wśród bezlistnych krzewów. Ale Oliwer nie czuł, jak krople go uderzały, leżał bowiem dalej na swym posłaniu z gliny, nieruchomy, bezwładny i nieprzytomny.

Na koniec cichy krzyk bólu przerwał panującą ciszę; wydawszy go chłopiec obudził się. Lewa ręka, byle jak owiązana szalikiem, zwisała mu u boku ciężka i bezużyteczna, a opatrunek był cały przesiąknięty krwią. Oliwer był taki słaby, że ledwo zdołał podnieść się do pozycji siedzącej. Gdy to wreszcie uczynił, z trudem rozejrzał się za jakimś ratunkiem i jęknął z bólu. Drżąc na całym ciele z zimna i wyczerpania, próbował wstać, lecz od stóp do głów wstrząsnął nim dreszcz i chłopiec runął nieprzytomny na ziemię.

Po krótkim nawrocie omdlenia, w którym tak długo przedtem był pogrążony, Oliwer podniósł się, przynaglony ogarniającym go powoli osłabieniem, które zdawało się ostrzegać, że jeśli dalej będzie tu leżał, umrze na pewno. Spróbował iść. Kręciło mu się w głowie i zataczał się na wszystkie strony jak pijany. Ale mimo to utrzymał się na nogach i z głową zwieszoną bezsilnie na piersi, potykając się szedł dalej, sam nie wiedząc, dokąd.

Chmury oszałamiających, bezładnych myśli zaczęły teraz tłoczyć się w jego mózgu. Zdawało mu się, że wciąż jeszcze idzie pomiędzy Sikesem a Crackitem, którzy kłócą się i złością — te same bowiem słowa, które wypowiadali wtedy, dźwięczały mu jeszcze w uszach. A kiedy gwałtowny wysiłek, by powstrzymać się od upadku, doprowadził go na chwilę do przytomności, spostrzegł się, że sam do nich coś mówi. Potem był znów sam z Sikesem. Szedł z nim mozolnie i długo jak poprzedniego dnia, a kiedy mijały ich cienie ludzi, czuł na swej dłoni mocny uścisk bandyty. Nagle drgnął i cofnął się słysząc huk wystrzału, powietrze nappełniło się głośnym wołaniem i krzykiem, jakieś światła zamigotały mu przed oczyma, hałas i wrzawa zapanowały dokoła, a czyjeś niewidoczne ręce unosiły go w pośpiechu. Poprzez wszystkie te szybko po sobie następujące zwidzenia przewijała się niejasna, przykra świadomość bólu, która męczyła i dokuczała mu nieustannie.

I tak włókł się dalej, zataczając się i prawie odruchowo szukając przejścia przez drewnianą furtkę lub przez dziurę w żywopłotach, aż wreszcie doszedł do jakiejś drogi. Tu deszcz zaczął padać z taką siłą, że doprowadził go do przytomności.

Rozejrzał się i spostrzegł, że niezbyt daleko stoi dom, do którego może uda mu się dotrzeć. Wzruszeni jego stanem, może ulitują się tam nad nim, a jeżeli nie, to i tak — myślał sobie — lepiej będzie umrzeć niedaleko ludzi niż na bezludnym, otwartym polu. Zebrał wszystkie siły do tej ostatniej próby i skierował niepewne kroki w stronę domu.

Kiedy się doń zbliżył, ogarnęło go uczucie, że dom ten już kiedyś widział. Nie pamiętał żadnych szczegółów, ale kształt i ogólny wygląd budynku wydały mu się znajome.

Ten mur od ogrodu... To tu, na trawie, w tym ogrodzie upadł wczorajszej nocy na kolana i błagał obu bandytów o zmiłowanie. To był ten sam dom, do którego usiłowali się włamać.

Gdy Oliwer poznał, gdzie jest, ogarnął go taki strach, że przez chwilę zapomniał o bólu, który sprawiała mu rana, i myślał tylko o ucieczce. Ucieczka! Ledwie przecie stał, a gdyby nawet w pełni władał wszystkimi siłami swego wątłego, młodego ciała, dokądże mógłby uciekać? Pchnął furtkę od ogrodu — nie była zamknięta na klucz i otworzyła się pod naciskiem. Powłókł się chwiejnie przez trawnik, wszedł po schodkach i zastukał słabo do drzwi. Wtedy do reszty opuściły go siły i osunął się opierając o jeden z filarów małego ganeczku.

Traf chciał, że mniej więcej w tym samym czasie pan Giles, Brittles i blacharz pokrzepiali się w kuchni

herbatą i różnymi smakołykami po trudach i przerażeniu ubiegłej nocy. Nie znaczy to, by leżało w zwyczaju pana Gilesa dopuszczać niższą służbę do zbyt wielkiej poufałości. Zwykł raczej odnosić się do nich z wyniosłą łaskawością, którą choć sprawiał im przyjemność, przecież nie omieszkiał jednocześnie przypominać o swoim wyższym stanowisku społecznym. Ale śmierć, pożar i włamanie czynią wszystkich ludzi równymi; toteż pan Giles siedział teraz w kuchni przy kominie, z nogami wyciągniętymi przed siebie i z lewą ręką opartą o stół, podczas gdy ruchami prawej ilustrował barwne, drobiazgowo sprawozdanie z wydarzeń minionej nocy, któremu zebrani (przede wszystkim znajdujące się tu również kucharka i pokojówka) przysłuchiwali się z zapartym tchem.

— Było około pół do trzeciej — mówił pan Giles — albo raczej nie przysięgłbym, że nie było troszkę bliżej trzeciej, kiedy obudziłem się, obróciłem się na łóżku, o, jakoś tak (tu pan Giles wykręcił się na krześle i naciągnął na siebie róg obrusa na podobieństwo kołdry) i wydało mi się, że słyszę jakiś hałas...

W tym miejscu opowiadania kucharka zbladła i kazała pokojówce zamknąć drzwi; ta poprosiła o to Brittlesa, który poprosił o to samo blacharza, który udał, że nie słyszy.

— ...że słyszę jakiś hałas — ciągnął pan Giles. — Powiadam sobie naprzód: „To złudzenie” — i już układałem się na powrót do snu, kiedy znowu słyszę hałas, tym razem całkiem wyraźnie.

— Jaki to był hałas? — zapytała kucharka.

— Taki jakiś hałas, jakby ktoś coś wylał — odparł pan Giles tocząc wzrokiem dokoła

— To było raczej tak, jak gdyby ktoś pocierał pilnikiem po żelazie — poddał Brittles.

— Było tak wtedy, kiedy tyś posłyszał, mój panie — odparł pan Giles — ale w tym czasie to był taki hałas, jakby ktoś coś wylał. Odrzuciłem kołdrę — ciągnął dalej Giles odsuwając od siebie obrus — usiadłem na łóżku i zacząłem nasłuchiwać.

Kucharka i pokojówka jednocześnie wykrzyknęły: „Jej!” — i przysunęły się z krzesłami bliżej do siebie.

— Słyszałem to teraz zupełnie wyraźnie — podjął pan Giles. — Ktoś, mówię sobie, wyważa drzwi albo okno. Co robić? Zawołałem tego biednego chłopca Brittlesa i uratuję go, inaczej może zginąć zamordowany we własnym łóżku, mówię sobie. Poderżną mu gardło od ucha do ucha, sam nawet nie będzie wiedział kiedy.

W tym miejscu wszystkie oczy zwróciły się na Brittlesa, który utkwiał swoje w mówcy i wpatrywał się weń z szeroko otwartymi ustami i twarzą wyrażającą niepojętą lęk.

— Odrzuciłem kołdrę — mówił Giles odtrącając od siebie serwetę i patrząc przenikliwie na kucharkę i pokojówkę — cicho wysunąłem się z łóżka, naciągnąłem parę...

— Damy są obecne, panie Giles — szepnęła blacharz.

— Parę butów, mój panie — wyrzekł Giles odwracając się ku niemu i kładąc wielki nacisk na tym słowie. — Schwyciłem naładowany pistolet, który zawsze zanoszę na górę razem z koszem ze srebrem, i na palcach poszedłem do jego pokoju. „Brittles — mówię do niego, kiedy go zbudziłem — nie bój się!”

— Tak było — przyświadczył Brittles cicho.

— „Coś mi się zdaje, że już po nas, Brittles, powiadam — ciągnął Giles — ale się nie bój.”

— A on się b a ł? — spytała kucharka.

— Ani odrobinę — odrzekł pan Giles. — Trzymał się tak dzielnie jak... ach! Prawie tak dzielnie jak ja.

— Ja bym tam napewno umarła na miejscu, gdyby to o mnie chodziło — zauważyła pokojówka.

— Ty jesteś kobietą — odparł Brittles nabierając nieco animuszu.

— Brittles ma rację — rzekł pan Giles kiwając głową z aprobatą. — Po kobiecie niczego innego spodziewać się nie można. Ale my, jako mężczyźni, wzięliśmy ślepą latarnię, która stała na kominku u Brittlesa, i po omacku, w zupełnych ciemnościach, zesłaliśmy ze schodów — o tak.

Pan Giles powstał z krzesła i z zamkniętymi oczami postąpił naprzód dwa kroki, aby odpowiednią akcją zilustrować swoje opowiadanie. Wtem drgnął gwałtownie, podobnie jak wszyscy pozostali członkowie towarzystwa, i pośpieszył z powrotem na swoje miejsce. Kucharka i pokojówka wrzasnęły.

— Ktoś stuka do drzwi — powiedział pan Giles udając doskonały spokój. — Niech tam kto pójdzie otworzyć.

Nikt się nie ruszył.

— Dziwne się to wydaje, żeby ktoś stukał o tak wczesnej porze — rzekł pan Giles. Powiódł oczami po otaczających go pobladłych twarzach i sam wyglądał bardzo nietęgo. — Ale ktoś musi drzwi otworzyć. Słyszycie, jeden z drugim?

Mówiąc to pan Giles spojrzął na Brittlesa, ale ów młodzieniec, będąc z natury skromnym, sądził zapewne, że jest nikim, i wobec tego uważał, że wezwanie to nie może w żaden sposób odnosić się do niego. W każdym razie nie dał żadnej odpowiedzi. Pan Giles zwrócił rozkazujący wzrok na blacharza, ale ten nagle usnął. Kobiety nie wchodziły w rachubę.

— Jeżeli Brittles wolałby otworzyć drzwi w obecności świadków — rzekł pan Giles po chwili

milczenia — gotów jestem być jednym z nich.

— A ja drugim — odrzekł blacharz budząc się równie nagle, jak usnął.

Na tych warunkach Brittles skapitulował. Wszyscy nabrali nieco ducha, gdy otworzywszy okiennice przekonali się, że był już biały dzień, i poszli po schodach na górę. Psy szły przodem, a obie kobiety, które bały się zostać same na dole, zamykały pochód. Za radą pana Gilesa wszyscy rozmawiali na cały głos, by ostrzec ewentualnego złoczyńcę za drzwiami, że są liczebnie silni. W mózgu tegoż pomysłowego jegomościa zrodziło się też inne mistrzowskie posunięcie taktyczne: w hallu pociągnięto silnie psy za ogony, skutkiem czego zaczęły one dziko ujadać.

Przedsięwziawszy wszystkie te ostrożności pan Giles chwycił blacharza mocno za ramię (by zapobiec jego ucieczce, jak mu to łaskawie wyjaśnił) i wydał rozkaz otwarcia drzwi. Brittles usłuchał i wszyscy, wyzierając trwożliwie jeden zza ramion drugiego, ujrzeli zjawisko zaiste niezbyt przerażające: biednego małego Oliwera Twista, który bez słów, wyczerpany, podniósł ociężałe powieki i wzrokiem błagał ich o współczucie.

— Chłopiec! — wykrzyknął pan Giles, mężnie odpychając do tyłu blacharza. — Co się stało temu... Ejże, Brittles! Patrz! Nie poznajesz?

Brittles, który otwierając drzwi schował się był za nie, ledwie ujrzawszy Oliwera wydał głośny okrzyk. Pan Giles złapał chłopca za jedną nogę i jedną rękę (na szczęście nie tę ranioną), wciągnął go od razu do przedpokoju i położył jak długiego na podłodze.

— Jest! Jest! — wrzeszczał w wielkim podnieceniu Giles stojąc u stóp schodów prowadzących na górę. — Mamy jednego ze złodziei, proszę pani! Mamy złodzieja, panienko! Ranny, panienko! Ja go postrzeliłem, panienko, a Brittles trzymał światło.

— Latarnię, proszę panienki! — wołał Brittles przykładając dłoń do ust z jednej strony, by głos niósł się lepiej.

Obie służące pobiegły na górę z wiadomością, że pan Giles złapał bandytę, blacharz zaś zajął się ratowaniem Oliwera w obawie, by nie umarł, nim będzie go można powiesić. Wśród całego tego gwaru i zamieszania dał się słyszeć słodki kobiecy głos, który uśmierzył je w jednej chwili.

— Giles! — szepnął ten głos z góry schodów.

— Tu jestem, panienko — odrzekł pan Giles. — Niech się panienka nie boi, nic wielkiego mi się nie stało. Nie bardzo się opierał, panienko. Bardzo prędko wzięłem nad nim górę,

— Cicho! — odparła młoda panna. — Przeraziliście ciocię nie mniej niż złodzieje. Czy ten biedak jest ciężko ranny?

— Bardzo ciężko, panienko — odrzekł Giles z nieopisanym zadowoleniem w głosie.

— Wygląda, jakby dogorywał, proszę panienki — ryknął Brittles w ten sam sposób jak poprzednio. — Nie chciałaby panienka przyjść go obejrzeć? Bo a nuż potem umrze?

— Proszę was bardzo, bądźcie cicho! — odparła młoda panna. — Poczekajcie chwilę spokojnie, ja tymczasem pomówię z ciocią.

I odeszła krokiem tak cichym i miękkim jak jej głos. Wkrótce wróciła z poleceniem, by rannego przenieść ostrożnie do pokoju pana Gilesa. Brittles miał osiodłać kucyka i udać się natychmiast do Chertsey, skąd miał sprowadzić jak najprędzej policjanta i lekarza.

— Ale czy panienka przedtem nie rzuci okiem na niego? — spytał pan Giles z taką dumą, jakby Oliwer był jakimś ptakiem o wyszukanym upierzeniu, którego zręcznie upolował. — Tylko przez jedną chwileczkę, panienko?

— Nie teraz, za nic w świecie — odrzekła młoda panna. — Biedaczysko! O, bądź dla niego dobry, Giles, zrób to dla mnie!

Stary sługa spojrział w górę na odchodzącą wzrokiem tak pełnym dumy i podziwu, jak gdyby była własnym jego dzieckiem. Potem pochylił się nad Oliwerem troskliwie i pieczołowicie jak kobieta i pomógł zanieść go na górę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY ZAWIERA WSTĘPNĄ CHARAKTERYSTYKĘ MIESZKAŃCÓW DOMU, W KTÓRYM OLIWER SZUKAŁ POMOCY

W ładnie urządzonego pokoju — choć umeblowanie jego charakteryzowało raczej staroświeckie upodobanie w wygodzie niż współczesna elegancja — przy suto zastawionym stole siedziały przy śniadaniu dwie panie. Usługiwał im pan Giles, odziany z wielką starannością w czarny garnitur. Zajął on pozycję mniej więcej w środku drogi pomiędzy kredensem a stołem i wyprostowany, z głową odrzuconą w tył, przechyloną odrobinę na jedną stronę, z lewą nogą wysuniętą do przodu, z prawą ręką wetkniętą za wycięcie kamizelki, a lewą zwieszoną u boku i trzymającą tacę, wyglądał jak człowiek przyjemnie świadomy swych własnych cnót i ważności.

Z dwu pań jedna była już podeszła w latach, ale trzymała się jeszcze tak prosto, że linia jej pleców nie odchyłała się ani trochę od oparcia wysokiego dębowego krzesła, na którym siedziała. Ubrana była

niezwykle porządnie i starannie, a ubiór jej stanowił osobliwą mieszaninę strojów minionych Czasów ze szczegółami będącymi lekkim ustępstwem na rzecz panującej mody; podkreślały one jednak raczej w miły sposób staroświec kość, niż osłabiały jej efekt. Siedziała dostojnie, z rękami złożonymi na stole przed sobą. Oczy jej (a wiek niewiele tylko zmącił ich blask) utkwione były badawczo w młodej towarzyszcze.

Młoda dama znajdowała się w najcudowniejszym rozkwicie wiosny kobiecych lat. Była w tym wieku, w którym — jeśli kiedykolwiek aniołowie na mocy dobrych zamysłów bożych obierają sobie mieszkanie w ciałach śmiertelnych — można przypuszczać, nie popełniając profanacji, iż wcielają się w takie jak jej kształty.

Nie przekroczyła jeszcze siedemnastu lat. Tak była subtelnym i doskonałym tworem natury, tak była łagodna i delikatna, tak czysta i piękna, że wydawało się, iż ziemia nie jest odpowiednim dla niej żywiołem, a z grubszej gliny ulepione ziemskie istoty — stosownymi towarzyszami. Inteligencja, lśniąca w jej głębokich niebieskich oczach i widoczna na szlachetnym czole, zdawała się nie mieć nic wspólnego z jej wiekiem ani też w ogóle z tym światem. A jednak zmienny wyraz słodczy i wesela, tysiące światełek igrających na twarzy i nie pozostawiających na niej miejsca na cień, a nade wszystko uśmiech, wesoły, szczęśliwy uśmiech, stworzone były dla życia domowego, dla spokoju i szczęśliwości rodzinnego ogniska.

Zajęta była pilnie drobnymi czynnościami związanymi z posiłkiem. A kiedy przypadkiem podniosła oczy i spotkała się ze wzrokiem starszej damy, żartobliwym ruchem odsunęła w tył włosy, z prostotą ułożone w koronę wokół czoła, i w swoje promienne spojrzenie włożyła tyle przywiązania i naturalnego wdzięku, że na jej widok musiałyby się uśmiechnąć błogosławione duchy.

— Brittles siedzi już w mieście od przeszło godziny, prawda? — zapytała stara dama po chwili milczenia.

— Od godziny i dwunastu minut, proszę pani — odparł Giles poradziwszy się srebrnego zegarka, który wyciągnął za czarną wstążeczkę.

— Zawsze marudzi — zauważyła stara dama.

— Z Brittlesa zawsze był powolny chłopiec — odrzekł sługa. (Nawiasem mówiąc, skoro Brittles był powolnym chłopcem już od przeszło trzydziestu lat, małe było prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek stanie się prędkim.)

— Zdaje mi się, że robi się coraz gorszy, zamiast się poprawiać — rzekła starsza pani.

— To bardzo nieładnie z jego strony, jeżeli zatrzymuje się po drodze, dla zabawy z innymi chłopcami — rzekła młoda panienka z uśmiechem.

Widać było, że pan Giles rozważa, czy wypada mu pozwolić sobie na pełen uszanowania uśmiech, gdy wtem przed furtkę ogrodową zajechała bryczuszka, z której wyskoczył jakiś gruby pan. Podbiegł on prosto do drzwi wejściowych, jakimś tajemniczym sposobem dostał się do domu, wpadł jak bomba do pokoju i omal nie przewrócił za jednym zamachem pana Gilesa i stołu jadalnego.

— Nigdy nie słyszałem czegoś podobnego! — wybuchnął gruby pan. — Moja droga pani Maylie — Boże kochany — i to

wśród głuchoj nocy! Nie, nigdy nie słyszałem o czymś podobnym!

Wśród takich wyrazów kondolencji gruby pan przywitał się z obu damami i przyciągnąwszy sobie krzesło, zapytał o ich zdrowie.

— Powinnyście panie być nieżywe, absolutnie nieżywe ze strachu — mówił gruby pan. — Czemuście panie nie przysłały kogoś? Boże mój, przecież mój służący byłby przyjechał w jednej chwili, i ja też, i mój pomocnik byłby to zrobił z największą przyjemnością, w ogóle każdy w takich okolicznościach! Boże, Boże! Tak nieoczekiwanie! I to wśród głuchoj nocy!

Doktora najwidoczniej najbardziej niepokoił fakt, że włamanie było nieoczekiwane i że usiłowano dokonać go w nocy — jak gdyby stałym obyczajem panów włamywaczy było załatwianie swoich interesów w południe i umawianie się drogą listowną na dzień czy dwa naprzód.

— A pani, panno Rózo — rzekł doktor zwracając się do młodej panienki. — Ja naprawdę...

— Ach, tak, z pewnością — przerwała mu Róza — ale tam na górze leży ten biedak i ciocia chciałyby bardzo, aby go pan obejrzał.

— A! oczywiście — odrzekł lekarz — to prawda. To wasze dzieło, Giles, jak słyszałem.

Pan Giles, który do tej pory gorączkowo przestawiał filiżanki, teraz zaczerwienił się mocno i powiedział, że istotnie miał ten honor.

— Honor, co? — rzekł doktor. — No, cóż, nie wiem, może to i taki sam honor ustrzelić złodzieja w spiżarni, jak trafić przeciwnika z odległości dwunastu kroków. Wyobraźcie sobie, że tamten oddał strzał w powietrze i żeście walczyli w pojedynku, Giles.

Pan Giles, który uważał, że takie lekkie potraktowanie całej sprawy stanowi niesłuszną próbę pomniejszenia jego chwały, odpowiedział z uszanowaniem, iż nie do takich jak on należy sąd o tego rodzaju rzeczach, ale zdaje mu się, że dla drugiej strony to żartem nie było.

— Dalibóg, to prawda! — rzekł lekarz. — Gdzie on jest? Wskażcie mi drogę. Schodząc wstąpię raz

jeszcze, pani Maylie. On wszedł przez to maleńkie okienko, co? No, no, nigdy bym w to nie uwierzył. Mówiąc przez cały, czas, poszedł za panem Gilesem na górę. A podczas gdy on idzie po schodach, dobrze będzie poinformować czytelnika, że pan Losberne, lekarz z sąsiedztwa, znany w promieniu dziesięciu mil jako „pan doktor”, utył bardziej na skutek dobrego humoru niż dobrego wikt, i że był to najpocziwszy, najbardziej dobrotliwy, a zarazem najekscentryczniejszy stary kawaler, jakiego dałoby się znaleźć na pięć razy większej przestrzeni.

Nieobecność doktora trwała znacznie dłużej, niż to przewidywał zarówno on sam jak i obie panie. Z bryczki wydobyto dużą płaską skrzynkę; bardzo często rozlegały się dzwonki, a służba latała bezustannie tam i z powrotem po schodach. Z tych wszystkich objawów wyciągnięto słuszny wniosek, że na górze dzieje się coś ważnego. Na koniec doktor powrócił, a w odpowiedzi na niespokojne zapytanie o stan chorego przybrał wielce tajemniczą minę i starannie zamknął za sobą drzwi.

— To bardzo niezwykła sprawa, pani Maylie — rzekł lekarz opierając się plecami o drzwi, jak gdyby dla dopilnowania, aby pozostały zamknięte.

— Nie ma niebezpieczeństwa śmierci, mam nadzieję? — rzekła staruszka.

— No, w tym by nie było nic niezwykłego, zważywszy na okoliczności — odparł doktor. — Ale nie przypuszczam.

Czy pani widziała tego złodzieja?

— Nie — odrzekła stara dama.

— I nic pani o nim nie słyszała?

— Nie.

— Przepraszam bardzo wielmożną panią — wtrącił pan Giles — ale miałem właśnie opowiedzieć pani o nim, kiedy wszedł pan doktor Losberne.

Prawdą zaś było, że pan Giles nie mógł zrazu zdobyć się na wyznanie, że postrzelił tylko małego chłopca. Tyle się nachwalono jego męstwa, że za nic w świecie nie mógł się powstrzymać od odłożenia wyjaśnień na parę rozkosznych minut, w ciągu których mógł stanąć w samym zenicie krótkotrwałej sławy nieustraszonego bohatera.

— Róża pragnęła go zobaczyć — rzekła pani Maylie — ale nie chciałam nawet o tym słyszeć.

— Hm! — rzekł doktor. — W jego wyglądzie nie ma nic bardzo przerażającego. Czy panie mają coś przeciwko temu, by zobaczyć go w mojej obecności?

— Jeśli to potrzebne — odrzekła starsza dama to oczywiście, że nie.

— Wobec tego sądzę, że to jest potrzebne — rzeki doktor. — W każdym razie jestem zupełnie pewien, że żałowałybyście panie głęboko, gdybyście tego zaniedbały. On jest teraz całkiem spokojny i nic mu nie trzeba. Proszę — panno Różo, pozwoli pani? Nie ma najmniejszej obawy, ręczę za to słowem honoru!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

OPOWIADA, JAKIE WRAŻENIE SPRAWIŁ OLIVER NA SWYCH GOŚCIACH

Wśród wielu wymownych zapewnień, że widok zbrodniarza sprawi im miłą niespodziankę, doktor wziął młodą panienkę pod ramię, wolną rękę ofiarował pani Maylie i z wielkimi ceremoniami i bardzo dostojnie powiódł obie panie na górę.

— No, a teraz — rzekł lekarz szeptem, cichutko naciskając klamkę u drzwi sypialni — ciekaw jestem bardzo, co panie

O nim pomyśla. Nie jest co prawda świeżo ogolony, ale mimo to nie wygląda wcale złowrogo. Ale

pocekalajcie. Niech lepiej sprawdzę naprzód, czy jest w odpowiednim stanie na przyjęcie gości.

Wyprzedził je i zajrzał do pokoju. Następnie gestem zaprosił je do wejścia, a kiedy już znalazły się w sypialni, zamknął za nimi drzwi, po czym delikatnie odsunął firanki zasłaniające łóżko. Zamiast groźnego, zatwardziałego zbrojnego, którego spodziewały się ujrzeć, na pościeli leżało dziecko, wymizerowane z bólu

i wyczerpania i pogrążone w głębokim śnie. Raniona ręka, zabandażowana i ujęta w łupki, leżała zgięta na jego piersi; głowa spoczywała na drugiej ręce, na pół zakrytej długimi włosami, które rozsypały się na poduszce.

Zacny doktor przytrzymał ręką firankę i przez minutę czy dwie przyglądał się chłopcu w milczeniu. Podczas gdy tak obserwował chorego, młodsza z pań delikatnie przesunęła się obok niego i usiadłszy na krześle u wezglowia, odgarnęła Oliwerowi włosy z twarzy. Kiedy pochyliła się nad nim, łzy jej padły na jego czoło.

Chłopiec drgnął i uśmiechnął się przez sen, jak gdyby te oznaki litości i współczucia zbudziły w nim błogie marzenia o miłości i czułości nigdy nie zaznanej. Tak niekiedy jakiś urywek cichej melodii, jakiś plusk wody wśród ciszy, zapach jakiegoś kwiatu, dźwięk dobrze znajomego słowa — budzą nagle mgliste przypomnienia scen, których nigdy w tym życiu nie zdarzyło się nam widzieć. Zdawać by się mogło, że jakieś ulotne wspomnienie minionego, szczęśliwego bytu zbudziło je do życia, ale

rozwiewają się jak tchnienie i żaden kierowany wolą wysiłek mózgu nie potrafi przywołać ich z powrotem.

— Co to może znaczyć? — wykrzyknęła starsza pani. — To biedne dziecko nie mogło przecież w żaden sposób być wychowankiem bandytów.

— Występek — westchnął lekarz zasuważąc z powrotem firankę — obiera sobie mieszkanie w niejednej świątyni i któż ośmieli się twierdzić, że piękna powierzchowność nie może go skrywać?

— Ale w tak młodym wieku... — nastawała Róża.

— Droga pani — odparł lekarz, smutnie potrząsając głową. — Zbrodnia, podobnie jak śmierć, nie bywa wyłącznie udziałem starych i zgrzybiałych. Najmłodszy i najpowabniejszy aż nazbyt często bywają jej wybranymi ofiarami.

— Ale czy może pan... Och! Czy pan może naprawdę uwierzyć, że ten delikatny chłopczyk był dobrowolnym współnikiem najgorszych wyrzutków społeczeństwa? — spytała Róża.

Lekarz pokiwał głową dając w ten sposób do zrozumienia, iż obawia się, że to bardzo możliwe, po czym zwrócił uwagę, że mogą zakłócić spokój chorego, i wyprowadził obie panie do sąsiedniego pokoju.

— Ale nawet jeżeli był kiedyś zły — ciągnęła dalej Róża — pomyślcie, jaki jest młody! Pomyślcie, że może nigdy nie zaznał miłości matczynej ani radości rodzinnego domu, że złe traktowanie i bicie albo brak chleba mogły zaprowadzić go w towarzystwo ludzi, którzy zmusili go do przestępstwa. Ciociu, kochana ciociu, przez litość, pomyśl o tym wszystkim, nim pozwolisz zawlec to chore dziecko do więzienia, które w każdym razie musi stać się grobem wszelkich możliwości poprawy. O! jeśli mnie kochasz — a wiesz, że twoja dobroć i przywiązanie nigdy nie pozwoliły mi odczuć braku rodziców, ale że mogłam brak ten odczuć i być równie pozbawiona opieki i pomocy jak to biedne dziecko — ulituj się nad nim, zanim nie będzie za późno!

— Kochanie moje — rzekła starsza pani tuląc zapłakane dziewczę do piersi — czy myślisz, że chciałabym tknąć jeden bodaj włos na jego głowie?

— Och, nie! — odparła gorąco Róża.

— Nie, z pewnością nie — powiedziała staruszka. — Dni moje zbliżają się do końca i oby miłosierdzie było mi okazane

w tej samej mierze, w jakiej ja okazuję je innym. Co mogę zrobić, aby go ocalić, panie doktorze?

— Proszę mi pozwolić pomyśleć, droga pani — rzeki doktor. — Niech się namyślę.

Pan Losberne zagłębił ręce w kieszeniach i kilka razy przeszedł się po pokoju, przy czym często przystawał, kołysał się na palcach i groźnie marszczył brwi. Po serii wykrzykników: „Już mam!” i „Nie, to na nic!” — po których za każdym razem rozpoczynał na nowo spacer i na nowo przybierał groźne miny, zatrzymał się wreszcie na dobre i przemówił w te słowa:

— Sądzę, że jeżeli da mi pani pełne i nieograniczone pełnomocnictwo do sterroryzowania Gilesa i tego smarkacza Brittlelesa, to dam sobie z tą sprawą radę. Giles jest wiernym poczciwcem i dawnym sługą pani, wiem o tym. Ale będzie mu pani mogła na tysiąc sposobów wyrównać tę krzywdę, a ponadto jeszcze wynagrodzić go za to, że tak dobrze strzela. Nie ma więc pani nic przeciwko temu?

— Jeżeli nie ma innej drogi uratowania dziecka — odrzekła pani Maylie.

— Nie ma innej — powiedział doktor. — Nie ma innej, proszę wierzyć memu słowu.

— Wobec tego ciotka moja daje panu pełną władzę — rzekła Róża uśmiechając się przez łzy — ale proszę, niech pan nie będzie dla tych biedaków surowszy, niż koniecznie potrzeba.

— Sądzi pani najwidoczniej — odciął się doktor — że dziś wszyscy prócz pani jednej skłonni są postępować bezlitośnie, panno Rózo. Ufam tylko — w interesie dorastającej młodzieży męskiej — że nastrój podobnej wrażliwości i równie miękkie serce zastanie u pani pierwszy godny wyboru młodzieniec, który odwoła się do pani współczucia. I sam chciałbym być młodzieńcem, aby móc na miejscu skorzystać z tak szczęśliwej sposobności jak obecna.

— Taki sam z pana dzieciak jak z biednego Brittlelesa — odparła zapłoniona Róża.

— No — rzekł doktor śmiejąc się serdecznie — to znów nie taka wielka sztuka. Ale wróćmy do tego chłopca. Do najważniejszego punktu naszej umowy jeszcze nie doszedłem. On zbudzi się zapewne za jakąś godzinkę, a choć powiedziałem temu tępemu konstablowi na dole, że przeniesienie chorego lub rozmowa z nim grozi mu śmiercią, to w istocie uważam, że możemy z nim porozmawiać bez niebezpieczeństwa. A więc proponuję, że wybadam go w obecności pań i jeśli z tego, co nam powie, wywnioskujemy, a ja zgodnie ze zdrowym rozsądkiem zdołam wykazać paniom, że chłopiec jest naprawdę i do gruntu zły (co jest więcej niż możliwe), wówczas pozostawimy go jego losowi.

Przynajmniej ja więcej się do tego nie będę wtrącał.

— Ach, nie, ciociu! — powiedziała Róża błagalnie.

— Ach, tak, ciociu — powiedział lekarz. — Umowa stoi?

— On nie może być zatwardziałym złoczyńcą — powiedziała Róża. — To niemożliwe.

— Świetnie — odparł doktor. — Tym lepszy powód, aby zgodzić się na moją propozycję.

Na koniec traktat zawarto i strony zasiadły czekając z dużą dozą niecierpliwości na ocknięcie się

Oliwera.

Cierpliwości obu pań sądzone było przejść dłuższą próbę, niż się tego spodziewały na podstawie zapowiedzi pana Losberne. Godzina za godziną mijała, a Oliwer wciąż jeszcze trwał w ciężkim śnie. Wieczór już był, gdy poczciwy doktor przyniósł im wiadomość, że chory wreszcie na tyle przyszedł do siebie, by można było z nim porozmawiać. Chłopiec — jak mówił — był poważnie chory i osłabiony na skutek utraty krwi, lecz zdradzał tak wielki niepokój, tak wielką chęć wyjaśnienia czegoś, że zdaniem lekarza lepiej było dać mu do tego sposobność, niż upierać się przy pozostawieniu go w spokoju do następnego ranka, co w innym wypadku uważałby za stosowne uczynić.

Rozmowa była bardzo długa. Oliwer opowiedział im całe swe proste dzieje, a ból i osłabienie nieraz mu przerywały. Słaby głos chorego dziecka, wyliczającego smutną listę krzywd i cierpień, których doznał, słyszany w tym przyciemnionym pokoju, miał w sobie jakieś dostojeństwo grozy. O! gdybyśmy uciskając i dręcząc naszych bliźnich choć raz pomyśleli o tych mrocznych świadectwach ludzkich złości, co choć powoli, to prawda, ale tak niezawodnie wznoszą się do nieba jak gęste i ciężkie chmury, z których kiedyś późna zemsta spadnie na nasze głowy; gdybyśmy choć przez jedną chwilę mocą wyobraźni usłyszeli przejmujące świadectwo głosów ludzi umarłych, głosów, których żadna siła nie zdławi, od których nikt się pychą odgradzić nie zdoła — gdzież wówczas byłyby krzywdy i niesprawiedliwości, cierpienie, nędza, okrucieństwo i zło, które każdy dzień życia przynosi ze sobą!

Poduszkę Oliwera wygładziły tej nocy delikatne ręce, a piękność i cnota czuwały nad jego snem. On zaś czuł się spokojny i szczęśliwy, gotów umrzeć w tej chwili bez słowa skargi. Gdy tylko zakończyła się owa doniosła rozmowa, a Oliwer uspokoił się i ułożył na nowo do snu, doktor wytarł oczy i wyraziwszy pod ich adresem swe oburzenie, że tak nagle osłabły, podążył na dół, by zabrać się do pana Gilesa. Ponieważ zaś w pokojach nie zastał nikogo, przyszło mu na myśl, że może z lepszym skutkiem uda mu się wszcząć sprawę w kuchni, i tam też co prędzej się udał.

W owej niższej izbie domowego parlamentu zgromadzeni byli: służba kobieca, pan Brittles, pan Giles, blacharz (którego w uznaniu jego zasług zaproszono specjalnie, aby przez cały dzień raczył się smakowałykami) oraz konstabl. Ten ostatni miał wielką łaskę, wielką głowę, wielką twarz i wielkie sznurowane buty, wyglądał też, jak gdyby niedawno wypił odpowiednio wielką porcję piwa — co istotnie było prawdą.

Wciąż jeszcze widocznie omawiano przygody ubiegłej nocy, gdyż kiedy wszedł doktor, pan Giles rozwodził się właśnie nad swą przytomnością umysłu. Pan Brittles, z kuflem piwa w dłoni, z góry przytakiwał wszystkiemu, cokolwiek miał powiedzieć jego zwierzchnik.

— Nie wstawajcie! — rzekł doktor machając ręką.

— Dziękujemy, panie doktorze — odrzekł pan Giles. — Pani kazała wydać piwa, proszę pana, a że nie byłem usposobiony do siedzenia w moim pokoiku i miałem ochotę na towarzystwo, więc piję swoją porcję tu ze wszystkimi.

Brittles zapoczątkował cichy szmer, przy pomocy którego panie i panowie dali do zrozumienia, jak bardzo są radzi z łaskawości pana Gilesa. Pan Giles powiódł wkoło protekcyjnym wzrokiem, jak gdyby chciał powiedzieć, że dopóki będą właściwie się zachowywać, nigdy ich nie opuści.

— Jak się miewa pacjent, panie doktorze? — spytał Giles.

— Tak sobie — odparł doktor. — Obawiam się, żeście sobie napytali kłopotu tą całą sprawą, Giles.

— Mam nadzieję, że nie chce pan doktor przez to powiedzieć, iż on umrze — rzekł Giles drząc cały.

— Gdyby tak miało być, nigdy już nie zaznałbym spokoju. Za nic na świecie nie przysłużyłbym się tak żadnemu chłopcu, nie, nawet temu oto Brittlesowi, nawet gdyby chodziło o wszystkie srebra w całym hrabstwie.

— Nie w tym rzecz — powiedział doktor tajemniczo. — Panie Giles, czy jesteś protestantem?

— Tak, panie doktorze, mam nadzieję, że jestem — bąknął pan Giles mocno pobladły.

— A ty czym jesteś, chłopcze? — rzeki doktor zwracając się ostro do Brittlesa.

— Niech mnie Bóg ma w swojej opiece! — drgnąwszy gwałtownie, odpowiedział Brittles. — Ja... ja tak samo jak pan Giles.

— Wobec tego powiedzcie mi jedno — rzekł doktor — wy obaj. Obaj! Czy przyjmiecie na siebie odpowiedzialność za przysięgę, że ten chłopiec na górze jest tym chłopcem, którego ubiegłej nocy wpuszczono tu przez okienko? Jazda! mówcie! Czekamy.

Doktor, którego uważano powszechnie za jednego z najdobroduszniejch ludzi pod słońcem, wypowiedział to żądanie tonem tak straszliwego gniewu, że Giles i Brittles, którym wyraźnie kręciło się w głowie od piwa i podniecenia, spojrzeli po sobie w osłupieniu.

— Zwróć pan uwagę na ich odpowiedź, panie konstablu — powiedział doktor trzęsąc z wielką powagą wskazującym palcem i postukując nim o garb swego nosa, co miało oznaczać zachętę, by ów zacny jegomość wyteżył całą bystrość umysłu. — A niebawem coś z tego może wyniknąć.

Konstabl przybrał najmědrszą minę, na jaką go było stać, i ujął w garść swą urzędową łaskę, która dotychczas spoczywała leniwie, oparta o ścianę w kącie koło komina.

— To po prostu kwestia tożsamości, uważasz pan — powiedział doktor.
— Tak jest, rzeczywiście, panie doktorze — odrzekł konstabl kaszłąc gwałtownie, gdyż dopił piwa w wielkim pośpiechu, skutkiem czego część płynu dostała się w nieodpowiedni kanał.
— Mamy do czynienia z włamaniem — mówił doktor — dwóch ludzi przez krótką chwilę widzi jakiegoś chłopca wśród dymu po wystrzale i w zamroczeniu wywołanym strachem i ciemnością. Do tego samego domu przychodzi następnego ranka chłopiec i tylko dlatego, że przypadkiem ma przewiazaną rękę, ci ludzie chwytają go przemocą — czym narażają jego życie na wielkie niebezpieczeństwo — i przysięgają, że to on jest złodziejem. Teraz kwestia, czy fakty usprawiedliwiają postępowanie tych ludzi, a jeżeli nie, to w jakim oni stawiają się położeniu? Konstabl pokiwał głową z głębokim zrozumieniem. Faktycznie, musi stwierdzić, że jest to piękny wywód prawny.
— Pytam was raz jeszcze — grzmiał doktor — czy możecie pod uroczystą przysięgą stwierdzić tożsamość tego chłopca?
Brittles spojrział niepewnie na pana Gilesa, pan Giles spojrział niepewnie na Brittlesa, konstabl przyłożył sobie dłoń do ucha, by lepiej posłyszeć odpowiedź, obie kobiety i blacharz pochylili się naprzód w pozie pełnej oczekiwania, doktor ostrym wzrokiem rozejrzał się wokoło. Wtem posłyszano turkot kół i zaraz potem rozległ się dzwonek u furtki.
— To agenci! — zawołał Brittles z widoczną ulgą.
— Kto taki? — wykrzyknął doktor, teraz on z kolei przerażony.
— Agenci z urzędu śledczego na Bow Street — odrzekł Brittlee biorąc do ręki świecę. — Ja i pan Giles posialiśmy po nich dziś rano.
— Co? — zawołał doktor.
— Tak — odrzekł Brittles. — Dałem znać przez woźnicę dyliżansu i dziwię się tylko, że nie przyjechali wcześniej.
— Ach tak, daliście znać? Więc niech diabli wezmą wasze... wasze marudne dyliżanse w tej okolicy, i kwita! — powiedział doktor i wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY OPISUJE KRYTYCZNĄ SYTUACJĄ

- Kto tam? — zapytał Brittles. Uchylił nieco drzwi nie zdejmując łańcucha i wyjrzał na dwór osłaniając świecę dłonią.
— Otwórzcie drzwi — odparł męski głos z dworu. — Tu agenci śledczy z Bow Street, coście po nich dzisiaj przysłali.
Uspokojony tym zapewnieniem, Brittles otworzył drzwi na oścież. Stał przed nim zażywny jegomość w burce, który następnie nie mówiąc słowa więcej wszedł do przedpokoju i wytarł nogi o słomiankę z tak zimną krwią, jak gdyby tu stale mieszkał.
— Poślijcie no kogo, żeby zwolnić mojego kolegę, dobrze, młodzieńcze? — powiedział agent. — Jest na bryczce, pilnuje kobyły. Macie tu jaką wozownię, gdzie moglibyście ją wprowadzić na jakie pięć czy dziesięć minut?
Brittles odpowiedział twierdząco i wskazał ręką budynek. Wówczas zażywny jegomość cofnął się do bramy ogrodowej i pomógł towarzyszowi ulokować bryczkę. Brittles tymczasem przyświecał im przyglądając się z wielkim podziwem. Kiedy skończyli, wrócili do domu, a gdy ich poproszono do bawialni, zdjęli płaszcze i kapelusze i pokazali się w swej prawdziwej postaci.
Ten, który zastukał do drzwi, był otyłym mężczyzną średniego wzrostu, lat około pięćdziesięciu, z błyszczącymi czarnymi włosami przystrzyżonymi tuż przy skórze. Miał krótkie faworyty, okrągłą twarz i bystre oczy. Drugi był rudy i kościsty, nosił wysokie buty, miał nader nieprzyjemne oblicze i zadarty, złowrogi nos.
— Powiedźcie swemu panu, że przyjechali Blathers i Duff, dobrze? — rzekł grubszy mężczyzna przyglądając ręką włosy i kładąc na stole parę kajdanków. — A! Dobry wieczór szanownemu panu. Czy mogę zamienić z panem parę słów na osobności?
Ostatnie słowa zwrócone były do pana Losberne, który w tej chwili się pojawił. Doktor dał znak Brittlesowi, by odszedł, po czym wprowadził do pokoju obie panie i zamknął drzwi.
— Oto jest pani tego domu — rzekł pan Losberne wskazując panią Maylie.
Pan Blathers uklonił się. Gdy poproszono go, aby usiadł, położył kapelusz na podłodze i zajął miejsce na krześle, po czym gestem nakazał Duffowi uczynić to samo. Ten ostatni, najwidoczniej mniej przyzwyczajony do dobrego towarzystwa lub nie czujący się w nim tak swobodnie — jedno z dwojga — usiadł dopiero po wykonaniu kilku dziwnych ruchów kończyn i z pewną dozą zakłopotania wepchnął sobie główkę laski do ust.
— No, a teraz pomówimy, jak to było z tym rabunkiem, panie szanowny — rzekł Blathers. — Jakie były okoliczności?

Pan Losberne, który najwyraźniej pragnął zyskać na czasie, opowiedział o nich bardzo szeroko i z licznymi omówieniami. Panowie Blathers i Duff przybrali tymczasem bardzo mądre miny i od czasu do czasu porozumiewawczo kiwali do siebie głowami.

— Powiedzieć na pewno nie mogę, ma się rozumieć, nim zobaczę, jak wyglądała ta robota — rzeki Blathers — ale na po. czekaniu jestem zdania, że tego nie zrobił żaden głąb ze wsi, co, Duff?

— Oczywiście, że nie — odparł Duff.

— A chcąc przetłumaczyć na użytek pań wyrażenie „głąb”, domyślam się, iż pan ma na myśli, że tej próby włamania nie dokonał prosty wieśniak? — zapytał pan Losberne z uśmiechem.

— O to, to, panie szanowny — odrzekł Blathers. — To już wszystko o tym rabunku, co?

— Wszystko — przytaknął doktor.

— No, a teraz co to jest takiego z tym chłopakiem, o którym rozpowiada służba? — zapytał Blathers.

— Nic zgoła — odrzekł doktor. — Jednemu z przestraszonych służących spodobało się ubzdurać sobie, że miał on coś wspólnego z tym usiłowanym włamaniem. Ale to nonsens, czysta niedorzeczność.

— Jeżeli tak jest, to bardzo łatwoście się państwo dali o tym przekonać — zauważył Duff.

— To, co on mówi, jest zupełnie słuszne — powiedział Blathers kiwając potwierdzająco głową i bawiąc się niedbale kajdankami, jakby to była para kastanietów. — Kto jest ten chłopak? Co on o sobie opowiada? Skąd się wziął? Nie spadł przecie z nieba, co, szanowny panie? — Oczywiście, że nie — odrzekł doktor z nerwowym spojrzeniem w kierunku obu pań. — Znam całą jego historię. Ale o tym możemy pomówić za chwilę. Przedtem panowie zapewne zechcą obejrzeć miejsce, w którym złodzieje dokonali próby włamania?

— Oczywiście — rzekł na to pan Blathers. — Najlepiej najpierw obejrzymy teren, a potem będziemy badać służbę. Tak się zwykle prowadzi sprawy.

Postarano się zatem o światło i panowie Blathers i Duff w asyście miejscowego konstabla, Brittlesa, Gilesa i, krótko mówiąc, wszystkich pozostałych udali się do małej komórki na końcu sieni i wyjrzeli przez okienko na dwór. Potem obeszl naokoło trawnikiem i zajrzeli przez okienko do środka. Potem zażądali świecy, by móc obejrzeć okiennicę, a potem latarni, aby wytropić ślady stóp, a potem jeszcze widel, aby przetrząsnąć krzaki. Uporawszy się z tym wszystkim, wśród niesłychanego zaciekawienia wszystkich obecnych, weszli z powrotem do domu, po czym pan Giles i Brittles musieli w melodramatyczny sposób przedstawić swój udział w wydarzeniach poprzedniej nocy, co też uczynili ze sześć razy w kółko. Za pierwszym razem zeznania ich były sprzeczne ze sobą nie więcej niż pod jednym ważnym względem, a za ostatnim — nie więcej niż pod dwunastoma. Osiągnąwszy ten sukces Blathers i Duff wyprosilili wszystkich z pokoju i odbyli długą naradę, w porównaniu z którą — jeśli idzie o tajność i uroczysty nastrój — konsylium wielkich lekarzy na temat najzawilszych tajników medycyny zdawałoby się dziecinną igraszką.

Doktor tymczasem chodził tam i z powrotem po sąsiednim pokoju, bardzo niespokojny, a pani Maylie i Róża przyglądały mu się z zatroskanymi twarzami.

— Słowo daję — rzekł przystanąwszy po bardzo wielu bardzo szybkich okrążeniach — nie wiem zupełnie, co robić.

— Ale przecież — rzekła Róża — opowieść tego biednego chłopca, jeśli ją wiernie powtórzymy tym ludziom, wystarczy, by go oczyścić.

— Bardzo wątpię, moja droga pani — rzekł doktor kręcąc głową. — Nie sędzę, by go ona oczyściła ani w ich oczach, ani w oczach funkcjonariuszy prawa na wyższym szczeblu. Kimże on jest w gruncie rzeczy? — powiedzieliby. Zbiegiem. Jeśli przyjąć właściwy ogółowi tok myśli i rachunek prawdopodobieństwa, opowieść chłopca budzi wiele wątpliwości.

— Ale chyba pan w nią wierzy? — przerwała Róża.

— Ja w nią wierzę, jakkolwiek jest dziwna i choć może czyniąc to jestem starym głupcem — rzekł doktor. — Ale nie uważam, aby to była opowieść odpowiednia dla wytrawnego policjanta.

— Dlaczego nie? — zapytała Róża.

— Dlatego, mój śliczny sędzio śledczy — odrzekł doktor — dlatego, że jeśli spojrzeć na tę historię ich oczami, jest w niej wiele brzydkich momentów. Chłopiec może dowieść tylko tych części, które źle o nim świadczą, a żadnej z tych, które świadczą dobrze. Ci ludzie, niech ich licho, chcą się zawsze dowiedzieć i co, i jak, i dlaczego, i nic nie chcą przyjąć na słowo. Widzi pani, on sam mówi, że od jakiegoś czasu był towarzyszem złodziei. Był wzięty na posterunek policji pod zarzutem okradzenia jakiegoś pana; został porwany przemocą z domu tegoż pana i zaprowadzony w miejsce, którego nie potrafi opisać ani wskazać i o którego położeniu nie ma najmniejszego pojęcia Do Chertsey sprowadzają go ludzie, którzy jak gdyby gwałtownie go sobie upodobali, czy chciał tego, czy nie. Wsadzają go przez okno, aby obrabować dom, i wtedy właśnie, w chwili gdy ma zaalarmować mieszkańców i w ten sposób uczynić to jedno jedyne, co dowiodłoby jego niewinności — wpada jak na złość ten głuptas lokaj, co zawsze pokpi sprawę, i pakuje w niego kulkę. Jakby umyślnie po to, żeby mu przeszkodzić w zrobieniu tego, co było dla niego dobre. Czy nie rozumie pani tego wszystkiego?

— Rozumiem oczywiście — odrzekła uśmiechając się Róża, ubawiona popędliwością doktora — ale wciąż jeszcze nie widzę w tym nic, co by obciążało to biedne dziecko.

— Nie — odparł doktor — naturalnie, że nie. Boże, błogosław bystre oczy kobiece! Czy to w dobrym, czy złym widzą one zawsze tylko jedną stronę każdej sprawy, i to zawsze tę, która im się pierwsza narzuci.

Dając w ten sposób wyraz rezultatom swych doświadczeń życiowych doktor wsadził ręce do kieszeni i jął spacerować po pokoju szybciej jeszcze niż dotychczas.

— Im więcej o tym myślę — powiedział wreszcie — tym lepiej widzę, że jeśli opowiemy tym ludziom prawdziwą historię chłopca, narazimy się na nieskończenie wiele kłopotów i trudności. Pewien jestem, że nie dadzą jej wiary, a nawet jeśli w ostatecznym wyniku nie zdołają chłopcu zrobić nic złego, to samo wyciągnięcie na jaw jego historii, rozgłoszenie wszystkich wątpliwości, które ona budzi — będą musiały w znacznej mierze przeszkodzić waszemu miłosiernemu planowi ocalenia go z niedoli.

— Ach! Co robić? Co robić? — zawołała Róża. — Boże, Boże! Po cóż oni posłali po tych ludzi?

— Rzeczywiście po co? — wykrzyknęła pani Maylie. — Ja za nic w świecie nie byłabym życzyła sobie ich obecności.

— Wiem tylko tyle — rzekł na koniec pan Losberne siadając z jakimś desperackim spokojem — że musimy spróbować wygrać sprawę tupetem. Cel jest dobry i niech to będzie naszym usprawiedliwieniem. Chłopiec ma silne objawy gorączki febrycznej i stan jego nie pozwala więcej z nim rozmawiać — to przynajmniej pociecha. Musimy się postarać to wykorzystać, a jeżeli najlepsze, co uda się nam zdziałać, będzie mimo wszystko niedobre, nie będzie to nasza wina. Proszę wejść.

— No, panie szanowny — rzekł Blathers wchodząc do pokoju w towarzystwie kolegi i zamykając starannie drzwi, nim powiedział coś więcej — to nie była ukartowana robota.

— A co to, u diabła, takiego: ukartowana robota? — zapytał doktor niecierpliwie.

— My nazywamy ukartowanym rabunkiem, moje panie — rzekł Blathers zwracając się do nich, jak gdyby litował się nad ich ignorancją, lecz gardził nieuświadomieniem doktora — kiedy służba jest w znowie.

— W tym wypadku nikt ich o to nie podejrzewał — rzekła pani Maylie.

— Bardzo możliwe, proszę pani — odrzekł Blathers — ale mimo to mogli maczać w tym palce.

— A raczej tym bardziej — dodał Duff.

— Uważam, że był to ktoś z miasta — Blathers ciągnął dalej swe sprawozdanie — bo jakość roboty jest pierwszorzędna.

— Rzeczywiście robota jak cacko — zauważył Duff półgłosem.

— Dwóch ich było — mówił dalej Blathers — i mieli ze sobą chłopaka. To widać jasno po rozmiarach okna. To wszystko, co na razie można powiedzieć. Teraz musimy zaraz zobaczyć tego chłopca, co go państwo macie na górze, jeśli łaska.

— Może najpierw ci panowie napiliby się czegoś, proszę pani? — rzekł doktor. Twarz mu się rozjaśniła, jak gdyby przyszedł mu do głowy jakiś nowy pomysł.

— Ach, naturalnie! — wykrzyknęła Róża skwapliwie. — Natychmiast, jeżeli tylko panowie sobie życzą. — A owszem, bardzo pani dziękujemy! — rzekł Blathers ocierając sobie usta rękawem. — Sucha praca, taka służba jak nasza. Cokolwiek panienka ma pod ręką, proszę sobie nami nie sprawiać kłopotu.

— Co byście panowie chcieli? — spytał doktor idąc za Różą w stronę kredensu.

— Kropelkę wódki, panie szanowny, jeżeliby to nie zrobiło różnicy — odrzekł Blathers. — Zimno było jechać z Londynu, pani szanowna, a ja zawsze mówię, że wódka najlepiej rozgrzewa i przywraca czucie.

Interesujące to twierdzenie skierowane było do pani Maylie, która przyjęła je bardzo mile. Podczas tego doktor wymknął się z pokoju.

Pan Blathers nie ujął swego kieliszka za nóżkę, lecz ścisnął go pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym lewej ręki i trzymał kieliszek tuż przy piersi. — A! — powiedział — niejedną ja taką sprawę widziałem w swoim czasie, moje panie.

— Tamto włamanie w małej uliczce w Edmonton, Blathers, pamiętasz? — rzekł pan Duff przychodząc w pomoc pamięci kolegi.

— To było coś w tym samym rodzaju, prawda? — odparł pan Blathers. — Sprawcą był nie kto inny jak Nochal Chickweed — Kurzeziele.

— Ty zawsze jemu to przypisujesz — odrzekł Duff. — Mówię ci, że to zrobił Mamin Synek. Nochal miał z tym akurat tyle wspólnego co ja.

— Idźże! — odpalił Blathers. — Już ja wiem lepiej. Ale pamiętasz, jak to wtedy Nochalowi zrabowano pieniądze? To dopiero była historia! Lepsze niż wszystko, co j a przynajmniej wyczytałem kiedykolwiek w jakiegokolwiek powieści.

— A co to było? — zapytała Róża chcąc podsycić wszelkie objawy dobrego humoru u nieproszonych gości.

— To był taki rabunek, proszę pani, którego byle kto by nie wysledził — rzekł Blathers. — Ten właśnie Nochal Kurzeziele...

— Nochal znaczy Wścibski, paniusiu — wtrącił Duff.

— Naturalnie pani sama to wie, prawda? — zapytał Blathers. — Ty stale przerywasz i przerywasz, kolego! Więc ten właśnie Nochal, proszę pani, prowadził szynk w okolicach Battlebridge i miał piwnicę, do której sporo młodych lordów chodziło oglądać walki kogucie, drażnienie borsuka i różne takie rzeczy. Wszystkie te sporty uprawiane były w bardzo wykształcony sposób. Wiem, bo często sam to oglądałem. W tych czasach Nochal nie należał jeszcze do „rodziny” i pewnego wieczoru ktoś mu ukradł trzysta dwadzieścia siedem gwinei zaszytych w płóciennym woreczku. Wykradł mu je z sypialni wśród ciemnej nocy jakiś wysoki mężczyzna z czarną przepaską na oku, który ukrył się pod łóżkiem, a po dokonaniu rabunku wyskoczył z okna, które było na wysokości tylko jednego piętka od ziemi. Bardzo szybko się z tym załatwił. Ale Nochal też był szybki. Kiedy go hałas obudził, wyskoczył z łóżka, wystrzelił za złodziejem z pistoletu i zaalarmował całe sąsiedztwo. Rozpoczęli natychmiast pościg, a kiedy się rozejrzeli, spostrzegli, że Nochal trafił bandytę, bo były ślady krwi przez całą drogę aż do płotu, który znajdował się dosyć daleko, i dopiero tam się urywały. Jednakże rabuś czmychnął z pieniędzmi, wobec czego nazwisko pana Chickweeda, koncesjonowanego szynkarza, pojawiło się w gazecie razem z nazwiskami innych bankrutów. Urządzono więc różne benefisy i składki i nie wiem co tam jeszcze dla tego biedaka, który był ogromnie przybity stratą i przez trzy czy cztery dni laził po ulicach rwąc włosy z głowy w tak desperacki sposób, że ludzie bali się, czy on przypadkiem nie ma zamiaru skończyć ze sobą. Jednego dnia przyleciał do naszego urzędu, cały zadyszany, i rozmawiał w cztery oczy z sędzią, który po długim gadaniu dzwoni, woła Jema Spyersa (Jem był wtedy na służbie) i każe mu iść z panem Chickweedem i pomóc mu wytropić człowieka, który go okradł. „Widziałem go, Spyers — mówi Chickweed — jak przechodził wczoraj rano koło mego domu.” — „To dlaczegoś go pan nie capnął?” — powiada Spyers. „Bo tak mnie zatkało, że można by mi było wykałaczką czaszkę rozłupać — mówi na to ten biedak — ale złapiemy go na pewno, bo między dziesiątą a jedenastą wieczór przeszedł jeszcze raz koło mego domu.” Ledwo to Spyers posłyszał, wsadził do kieszeni zmianę bielizny i grzebień na wypadek, gdyby musiał być parę dni poza domem. Idzie i sadowi się przy jednym z okien szynku za czerwoną firaneczką, w kapeluszu, gotów wyskoczyć w jednej chwili. Późnym wieczorem pali tam sobie fajkę, aż tu nagle Nochal w ryk: „Jest! Jest! Trzymajcie złodzieja! Morderstwo!” Jem Spyers wypada na dwór i tu widzi Nochala, jak leci z krzykiem po ulicy. Spyers pędzi, Nochal Kurzeziele pędzi, ludzie się oglądają, wszyscy wrzeszczą „Złodzieje!”, a sam Nochal krzyczy przez cały czas jak szalony. Na jakimś zakręcie Spyers traci go z oczu na minutkę, bierze zakręt, widzi małą kupkę ludzi, wpada pomiędzy nich: „Który to z nich?” — „Diabli nadali! — powiada Kurzeziele — znów go zgubiłem!” Dziwny wypadek, ale że nigdzie złodzieja widać nie było, wrócili do szynku. Następnego ranka Spyers zajął dawne miejsce i zza firanki wypatrywał wysokiego draba z czarną przepaską na oku, aż go jego własne oczy rozboleły. Nareszcie nie mógł się już dłużej powstrzymać od przymknięcia ich na chwilę dla wypoczynku i w tym samym momencie słyszy ryk Nochala „Jest! Jest!” Więc wybiega znowu. Kurzeziele już jest daleko na przedzie; i po dwa razy dłuższym biegu niż poprzedniego dnia złodziej znów gdzieś się zapodziewa! To się powtórzyło jeszcze raz czy dwa razy, aż połowa sąsiadów orzekła, że pana Chickweeda okradł sam diabeł, który teraz jeszcze żarty sobie z niego stroi, a druga połowa — że biedny pan Chickweed zwariował z rozpaczy.

— A co mówił Jem Spyers? — zapytał doktor, który wrócił do pokoju wkrótce po rozpoczęciu opowiadania.

— Jem Spyers — podjął agent — przez długi czas nic w ogóle nie mówił, tylko się przysłuchiwał, i to tak, że nikt na to nie zwrócił uwagi, co dowodzi, że znał się na rzeczy. Ale jednego ranka wchodzi do szynku, wyjmuje tabakierkę i powiada: „Słuchaj, Nochal, już wiem, kto popełnił ten rabunek. — „Naprawdę? — powiada Nochal. — O, mój kochany Spyers, pozwól mi się pan tylko pomścić na nim, a umrę szczęśliwy! O, mój kochany Spyers, gdzie jest ten łotr?” — „No! — mówi Spyers częstując go szczyptą tabaki — dosyć tego zawracania głowy! Tyś to sam zrobił.” Tak też i było. I dobrze na tym zarobił. I nikt by się nie był tego domyślił, gdyby Kurzeziele nie był tak strasznie gorliwy w stwarzaniu pozorów! — rzekł pan Blathers odstawiając kieliszek i pobrzękując kajdankami.

— Doprawdy, to bardzo ciekawe — zauważył doktor. — No, a teraz, jeśli panowie pozwolą, możemy iść na górę.

— Jeśli pan pozwoli, panie doktorze — odrzekł pan Blathers. Postępując tuż za panem Losberne obaj policjanci poszli na górę do sypialni Oliwera; na czele pochodu kroczył pan Giles z zapaloną świecą w ręku.

Oliwer drzemał przez cały czas, ale wyglądał gorzej i miał większą gorączkę niż dotychczas. Przy pomocy doktora zdołał usiąść w łóżku na chwilę i spojrzął na obcych przybyszów nie rozumiejąc wcale, o co chodzi. Właściwie wydawało się, że nie zdaje sobie sprawy, gdzie się znajduje ani co się dokoła niego dzieje.

— To — rzekł pan Losberne cichym, ale mimo to pełnym oburzenia głosem — jest chłopaczek, który został przypadkowo

ranny ze sprężynówki podczas jakichś chłopięcych figli na terenie posiadłości pana Jak mu tam, zaraz za ogrodem, i przyszedł do tego domu dziś rano prosić o pomoc, na co ten oto pomyslowy jegomość, który stoi tu ze świecą w ręku, natychmiast złapał go za kark i zaczął poniewierać narażając tym samym jego życie na poważne niebezpieczeństwo, co mogę stwierdzić jako lekarz.

Panowie Blathers i Duff spojrzeli na pana Gilesa, którego w ten sposób polecono ich uwadze.

Oszołomiony lokaj przeniósł szeroko rozwarte oczy z nich na Oliwera, a z Oliwera na pana Losberne, z bardzo zabawną mieszaniną trwogi i zakłopotania.

— Nie zamierzacie chyba zaprzeczać temu? — powiedział doktor układając Oliwera delikatnie z powrotem na łóżku.

— Ja... ia chciałem jak... jak najlepiej, panie doktorze — odparł Giles. — Ja doprawdy myślałem, że to był tamten chłopak, inaczej wcale nie byłbym go dotykał. Nie jestem nieludzki z natury, panie doktorze.

— Myśleliście, że to był jaki chłopak? — zapytał starszy agent.

— Chłopak włamywaczy, proszę pana! — odpowiedział Giles. — Oni... oni na pewno mieli ze sobą chłopca.

— No i co? Czy teraz też tak myślicie? — zapytał Blathers.

— Czy teraz też myślę co? — odparł Giles i popatrzył błędnym wzrokiem na pytającego.

— Czy myślicie, że to jest ten sam chłopiec, tępa głowo! — powiedział Blathers, zniecierpliwiony.

— Nie wiem, doprawdy nie wiem — rzeki Giles z żalosną miną. — Nie mógłbym przysiąc, że to on.

— A jak wam się zdaje? — spytał pan Blathers.

— Sam nie wiem, co myśleć — odrzekł biedny Giles. — Nie sędzę, żeby to był ten chłopiec.

Właściwie pewny jestem, że to nie on. Przecież to nie może być ten sam.

— Czy ten człowiek sobie podpił, proszę pana? — zapytał Blathers zwracając się do doktora.

— A cóż z was za pomylenieć! — rzekł Duff do pana Gilesa z najwyższą pogardą.

Pan Losberne w czasie tej krótkiej rozmowy badał puls chorego. Teraz jednak powstał z krzesła przy łóżku i powiedział, że jeśli panowie agencji mają jakiegokolwiek wątpliwości na ten temat, zechcą może przejść do drugiego pokoju i wezwać Brittlesa.

Zgodnie z tą propozycją przeszli do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie zawezwany pan Brittles zaplątał siebie i swego szacownego zwierzchnika w tak niesłychany labirynt nowych sprzeczności i niepodobieństw, że nie zostało wyświetlone nic prócz faktu, iż zeznający sam nic nie wie. Oświadczył między innymi, że nie poznałby prawdziwego chłopca włamywaczy, gdyby go przed nim w tej chwili postawiono; że przypuszczał, iż tym chłopcem jest Oliwier, jedynie dlatego, że tak powiedział pan Giles; wreszcie, że pięć minut temu pan Giles przyznał się w kuchni, iż zaczyna mocno się obawiać, czy nieco się nie zagalopował ze swym sądem.

Wśród innych pomyslowych przypuszczeń zaczęto wówczas roztrząsać kwestię, czy pan Giles rzeczywiście kogokolwiek postrzelił, a kiedy zbadano bliźniaczy pistolet tego, z którego wystrzelił Giles, okazało się, że jedynym jego ładunkiem był proch strzelniczy i papier pakowy. Odkrycie to wywarło duże wrażenie na wszystkich prócz doktora, który mniej więcej dziesięć minut przedtem usunął kulę. Nikt wszakże nie był tym bardziej wstrząśnięty niż sam pan Giles, który dręczony od kilku godzin obawą, że śmiertelnie zranił bliźniego, teraz skwapliwie uczepił się tej nowej myśli i popierał ją jak naj usilniej. Wreszcie agencji, nie troszcząc się zbytnio o Oliwera, pozostawili w domu konstabla z Chertsey i udali się na nocleg do miasteczka, obiecując powrócić nazajutrz rano.

Następnego ranka rozeszła się pogłoska, że w areszcie w Kingston znajdują się dwaj mężczyźni i chłopiec, schwytani tej nocy w podejrzanych okolicznościach. Panowie Blathers i Duff pospieszyli tedy do Kingston. Okazało się wszakże przy bliższym badaniu, że podejrzane okoliczności sprowadzały się do jednego tylko faktu, że znaleziono ich śpiących pod stogiem siana. A chociaż zbrodnia to wielka, jednakże karana bywa tylko więzieniem. W oczach litościwego prawa angielskiego, które otacza miłością wszystkich królewskich poddanych, nie stanowi ona wystarczającego dowodu — jeśli żadnych innych poszlak nie ma — iż śpiący człowiek czy też ludzie popełnili włamanie przy użyciu gwałtu i tym samym zasłużyli sobie na karę śmierci. Panowie Blathers i Duff wrócili tedy niewiele mędrsi, niż wyjechali.

Słowem, po krótkich próbach dalszego śledztwa i długim rozpytywaniu skłoniono wreszcie ku ogólnemu zadowoleniu sędziego z sąsiedztwa, aby przyjął wspólne poręczenie pani Maylie i pana Losberne za stawiennictwo Oliwera, o ile by go kiedykolwiek pozwano. Blathers i Duff, otrzymawszy w nagrodę dwie gwinee, powrócili do stolicy żywiąc odmienne poglądy na przedmiot swej wyprawy: albowiem drugi z tych panów po dojrzałym rozważeniu wszystkich okoliczności skłaniał się ku przekonaniu, że próby włamania dokonał Mamin Synek, pierwszy natomiast był równie skłonny przypisać pełną zasługę sławnemu panu Nochalowi Kurzeziele.

Oliwier tymczasem odzyskiwał siły i rozkwitał dzięki połączonym staraniom pani Maylie, Róży i

dobrego pana Losberne. Jeżeli żarliwe modły tryskające z serc przepelnionych wdzięcznością słyszane bywają w niebie — a jakież modły tam docierają, jeśli nie takie? — to błogosławieństwa, o które modlił się dla nich mały sierota, musiały przeniknąć w ich dusze, napełniając je pokojem i szczęściem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI O SZCZĘŚLIWYM ŻYCIU, JAKIE OLIVER ZACZAŁ WIEŚĆ WŚRÓD SWYCH PEŁNYCH DOBROCI PRZYJACIÓŁ

Dolegliwości Oliwera nie były lekkie ani nie było ich mało. Poza bólem i unieruchomieniem związanymi ze złamaniem ręki, długie przebywanie na wilgoci i zimnie spowodowało nań malaryczną gorączkę, która trawiła go przez długie tygodnie i ogromnie go wymizerowała. Na koniec jednak zaczął pomaleńku przychodzić do siebie i był zdolny wyrazić niekiedy w paru łzawych słowach, jak głęboko odczuwa dobroć obu pełnych słodyczy pań i jak żarliwą żywi nadzieję, że gdy powróci do sił i zdrowia, będzie mógł coś dla nich zrobić, aby okazać swą wdzięczność. Coś, co je przekona o miłości i oddaniu, którego pełne jest jego serce; coś — choćby drobnego — co będzie dla nich dowodem, że ich łagodna dobroć nie poszła na marne, lecz że biedny chłopiec, którego w miłosierdziu swym ocaliły od nędzy lub nawet śmierci, gorąco pragnie im służyć z całego serca i z całej duszy.

— Biedaczku! — rzekła Róża pewnego dnia, kiedy Oliwer usiłował właśnie wypowiedzieć słowa wdzięczności, które cisnęły się mu na blade wargi. — Będziesz miał dużo sposobności do przysłużenia się nam, jeżeli zechcesz. Wybieramy się na wieś i ciotka moja chce, abyś nam towarzyszył. Spokój, czyste powietrze i wszystkie przyjemności i uroki wiosny w ciągu niewielu dni przywrócą ci zdrowie. Będziemy cię zatrudniać na sto różnych sposobów, skoro tylko będziesz dość silny, aby znieść takie zmęczenie.

— Zmęczenie! — zawołał Oliwer. — O, pani droga, gdybym tylko mógł dla pani pracować! Gdybym mógł sprawiać pani przyjemność podlewając jej kwiaty albo pilnując ptaszków, albo biegając po to i owo przez calutki dzień, aby panią uradować — cóż bym ja za to dał!

— Nic nie będziesz potrzebował za to dawać — rzekła panna Maylie z uśmiechem — ponieważ, jak ci już mówiłam, będziemy cię zatrudniać na sto różnych sposobów i jeżeli tylko zadasz sobie połowę tego trudu, który teraz obiecujesz, aby nam dogodzić, będę dzięki tobie bardzo szczęśliwa.

— Szczęśliwa, proszę pani! — zawołał Oliwer. — Jaka pani dobra, że tak mówi!

— Będę dzięki tobie szczęśliwsza, niż umiem wypowiedzieć — odrzekła panienka. — Sama myśl, że moja kochana, dobra ciocia ocaliła kogokolwiek przed tak żalosną niedolą, o jakiej nam opowiedziałeś, byłaby już dla mnie niewymownie przyjemna. Ale wiedzieć, że ten, który stał się przedmiotem jej dobroci i współczucia, jest szczerze wdzięczny i przywiązany — to dla mnie radość tak wielka, że nie umiesz sobie nawet wyobrazić. Czy mnie rozumiesz? — zapytała przypatrując się zamyślanej twarzyczce Oliwera.

— O, tak, proszę pani, tak! — odrzekł gorąco Oliwer — ale myślałem sobie, że teraz jestem niewdzięczny.

— Wobec kogo? — spytała panienka.

— Wobec dobrego pana i kochanej starej gosposi, którzy przedtem tak o mnie dbali — odparł Oliwer.

— Gdyby wiedzieli, jak mi jest dobrze, ucieszyliby się, jestem tego pewny.

— I ja jestem tego pewna — odrzekła na to dobrodziejka Oliwera — a pan Losberne był już tak dobry, że obiecał cię do nich zawieść, jak tylko będziesz na tyle zdrów, aby znieść podróż.

— Doprawdy, proszę pani? — zawołał Oliwer i twarz rozjaśniła mu się zadowoleniem. — Sam nie wiem, co zrobię z radości, kiedy znów zobaczę ich dobre twarze!

Wkrótce Oliwer na tyle już przyszedł do siebie, by móc podjąć trudy tej wyprawy. Pewnego więc ranka on i pan Losberne, jak to zostało postanowione, wyruszyli w drogę w małym powoziku, który należał do pani Maylie. Kiedy dojechali do mostu Chertsey, Oliwer pobladł bardzo i wydał głośny okrzyk.

— Co się temu chłopcu stało? — zawołał doktor, jak zwykle gwałtownie. — Czy widzisz coś, słyszysz coś, czujesz coś? Powiedz!

— Tam, proszę pana! — zawołał Oliwer wskazując ręką przez okno kolaski. — Tamten dom!

— Tak, no i cóż z tego? Stańcie, stangrecie. Zatrzymajcie tu konie! — zawołał doktor. — No i co z tym domem, mój chłopcze? Hej?

— Złodzieje... to jest dom, do którego mnie zaprowadzili — szepnął Oliwer.

— Do diabła! — zawołał doktor. — Hej, tam! Otwórzcie mi!

Zanim jednak woźnica zdołał zleść z kozła, doktor jakimś sposobem już się wydostał z kolaski i pobiegłszy do opuszczonego domostwa zaczął kopać w drzwi jak szalony.

— A co tam? — zapytał mały, brzydki garbus, który otworzył drzwi tak nagle, że doktor z samego impetu ostatniego kopnięcia omal nie wpadł do sieni. — O co chodzi?

— O co chodzi? — wykrzyknął lekarz, bez namysłu chwytając tamtego za kołnierz. — O bardzo dużo!

O rabunek chodzi!

— Zaraz będzie chodziło i o morderstwo — odrzekł garbus z zimną krwią — jeżeli pan natychmiast nie zabierze łap. Słyszysz mnie pan?

— Słyszę — rzekł doktor, mocno potrząsając swym jeńcem. — Gdzie jest ten... do diabła z nim, jakże się ten łotr nazywa? Sikes. O, właśnie. Gdzie jest Sikes, ty złodzieju?

Garbus wytrzeszczył oczy jakby w najwyższym zdumieniu i oburzeniu, a następnie wywinąwszy się zręcznie z rąk doktora, wyrzucił z siebie chrapliwym głosem całą kaskadę straszliwych przekleństw i cofnął się w głąb domu. Zanim jednak zdążył zatrzaskać drzwi, doktor wtargnął do bawialni nie tracąc słów na parlamentowanie. Obejrzał się niespokojnie dookoła: ani jeden mebel, ani jeden ślad czegokolwiek, żywego czy nieożywionego, ani nawet położenie szaf ściennych nie odpowiadało opisowi Oliwera!

— No, a teraz — rzekł garbus, który przyglądał się bacznie — co pan sobie myślisz wpadając tak gwałtem do mego domu? Chcesz mnie obrabować czy zamordować? O co chodzi?

— Czyś pan kiedy słyszał, żeby kto przyjeżdżał w takich celach kolaską zaprzęzoną w parę koni, śmieszny stary wampirze? — wykrzyknął łatwo wpadający w irytację lekarz.

— Czegóż pan w takim razie chcesz? — zapytał garbus. — Pójdiesz pan sobie, zanim się z tobą rozprawię? Do diabła z panem!

— Pójdę wtedy, kiedy uznam za stosowne — rzekł pan Losberne zaglądając do drugiej bawialni, która podobnie jak pierwsza w niczym nie przypominała tej z opowiadania Oliwera. — Już ja cię kiedyś przyłapię, mój przyjacielu.

— Ach, tak? — zadzwiał szpetny kaleka. — Jeżeli mnie pan kiedykolwiek będziesz potrzebował, jestem tutaj. Nie po to

żyję tutaj, zdziwaczały, sam jeden od dwudziestu pięciu lat, żeby się dać panu zastraszyć. Zapłacisz mi pan za to, zapłacisz mi za to. — I mówiąc to niekształtny mały diabeł wrzasnął i zaczął miotać się po pokoju, jakby oszalał z wściekłości.

— Dosyć głupia sprawa — mruknął doktor do siebie — chłopiec musiał się pomylić. Masz pan!

Wsadź to do kieszeni i milcz. — Z tymi słowy rzucił garbusowi monetę i wrócił do kolaski.

Garbus poszedł za nim aż do drzwiczek pojazdu, przez całą drogę sypiąc najdzikszymi złorzeczeniami i przekleństwami. Gdy jednak pan Losberne zwrócił się do woźnicy, zajął do środka kolaski i przez chwilę wpatrywał się w Oliwera spojrzeniem tak byстрыm i groźnym, a zarazem tak wściekłym i mściwym, że chłopiec przez całe miesiące potem nie mógł ani we śnie, ani na jawie o nim zapomnieć. Garbus wykrzykiwał najstraszliwsze złorzeczenia, póki woźnica nie wdrapał się z powrotem na swoje miejsce. A kiedy byli już znowu w drodze, widzieli go w pewnej odległości poza sobą, jak tupał nogami i rwał włosy z głowy w uniesieniu prawdziwej czy udanej wściekłości.

— Osiół ze mnie! — rzekł doktor po długim milczeniu. — Wiedziałeś o tym już dawniej, Oliwerze?

— Nie, proszę pana.

— No, to nie zapomnij o tym na drugi raz.

— Osiół — powtórzył lekarz po nowym, kilkuminutowym milczeniu. — Nawet gdyby to był ten dom i gdyby ci ludzie w nim byli, cóż bym mógł zdziałać sam jeden? A gdybym nawet miał pomoc, nie widzę, co mógłbym wskórać poza tym, że sam zostałbym zdemaskowany i że musiałby się wydać sposób, w jaki zatuszowałem tę całą sprawę. Ale to by mi się należało. Ile razy daję się powodować impulsowi, zawsze wplątuje się w jakąś kabałę, nie tę, to inną. Może byłoby mi to wyszło na dobre. Rzeczy zaś miały się tak, że przezacny doktor przez całe życie nigdy nie powodował się niczym innym jak impulsem, i nie łąda zasługą rządzących nim impulsów było, że nie tylko nie wplątał się w żadne szczególne kłopoty i nieszcześcia, lecz cieszył się jak najgorętszym szacunkiem i poważaniem wszystkich, którzy go znali. Jeśli już trzeba powiedzieć prawdę, to był on przez minutę czy dwie nieco zły, że nie udało mu się uzyskać dowodów na potwierdzenie prawdziwości opowiadania Oliwera zaraz za pierwszym razem, kiedy miał szansę po temu. Udobruchał się jednak wkrótce i widząc, że odpowiedzi Oliwera na jego pytania są tak samo proste i zgodne ze sobą jak zawsze i wypowiedane z tą samą widoczną szczerością prawdomównością, postanowił sobie od tej chwili całkowicie im wierzyć.

Ponieważ Oliwer znał nazwę ulicy, na której mieszkał pan Brownlow, mogli prosto się tam udać.

Kiedy pojazd skręcił w tę ulicę, serce chłopca biło tak gwałtownie, że z trudem łowił oddech.

— No, mój chłopcze, któryż to dom? — zapytał pan Losberne.

— Ten! Ten! — odrzekł Oliwer wskazując skwapliwie palcem przez okno. — Ten biały dom! O! spieszmy się! Proszę, spieszmy się! Czuję się, jakbym miał umrzeć, tak cały drzę.

— No, no, uspokój się — rzekł zacny doktor klepiąc go po ramieniu. — Zaraz ich zobaczysz i będą uradowani widząc, że jesteś bezpieczny i zdrow.

— Och, mam nadzieję, że tak będzie! — zawołał Oliwer. — Byli tacy dobrzy dla mnie, tacy bardzo, bardzo dobrzy.

Kolaska toczyła się dalej. Stanęła. Nie, to nie ten dom, to następny. Podjechała jeszcze parę kroków i

znów się zatrzymała. Oliwer podniósł głowę i spojrzał w okna, a łzy radosnego oczekiwania spływały mu po twarzy.

Niestety! Biały dom był pusty, a w oknie widniała tabliczka: „Do wynajęcia”.

— Zastukajmy do sąsiednich drzwi — zawołał pan Losberne biorąc Oliwera pod rękę. — Czy nie wie panienka, co się stało z panem Brownlow, który kiedyś mieszkał w sąsiednim domu?

Służąca nie wiedziała, ale zgodziła się pójść i zapytać. Wkrótce powróciła mówiąc, że pan Brownlow wyprzedził swoje ruchomości i sześć tygodni temu wyjechał do Indii Zachodnich. Oliwer załamał dłonie i cofnął się bezsilnie.

— Czy jego gospodyni także wyjechała? — zapytał pan Losberne po chwili.

— Tak, proszę pana — odpowiedziała służąca. — Stary pan, gospodyni i jeszcze jeden pan, który był przyjacielem pana Brownlow — wszyscy wyjechali razem.

— Zawracajcie zatem do domu — rzekł pan Losberne do woźnicy — i nie przestawajcie popędzać koni, nim się nie wydostaniecie z tego przeklętego Londynu!

— A właściciel kramu z książkami, proszę pana? — powiedział Oliwer. — Znam drogę do niego. Proszę, niech pan się z nim zobaczy! Koniecznie niech się pan z nim zobaczy!

— Mój biedny chłopcze, mamy dosyć zawodów na jeden dzień — odrzekł lekarz. — Wystarczy ich zupełnie na nas obu. Jeżeli pojedziemy do kramarza, okaże się na pewno, że umarł, podpalił swój dom albo uciekł. Nie, jedziemy prosto do domu! — I posłuszni impulsowi doktora, pojechali do domu.

To gorzkie rozczarowanie przyczyniło Oliwerowi — mimo szczęśliwego życia, jakie wiódł — wiele smutku i zmartwienia. Wielekroć bowiem w czasie swej choroby cieszył się na myśl

o tym wszystkim, co mu powiedzą pan Brownlow i pani Bedwin,

i jaka to będzie radość opowiedzieć im, ile długich dni i nocy spędził na rozmyślaniach o tym, co oni dla niego zrobili, i na opłakiwaniu swej okrutnej z nimi rozłąki. Także nadzieja oczyszczenia się w ich oczach, wytłumaczenia, że został porwany, dodawała mu otuchy i podtrzymywała go w niedawno minionych ciężkich chwilach. Teraz więc myśl, że odjechali tak daleko, unosząc przekonanie, że jest oszustem i złodziejem, przekonanie, któremu może do samej śmierci nie będzie mógł zaprzeczyć — myśl ta była dlań prawie nie do zniesienia.

Okoliczność ta wszakże nie spowodowała żadnej zmiany w zachowaniu jego dobrodziejek. Po dalszych dwóch tygodniach, gdy na dobre zrobiło się już ładnie i ciepło, a wszystkie drzewa i rośliny jęły okrywać się młodziutkimi liśćmi i bujnym kwieciami, zaczęto czynić przygotowania do opuszczenia domu w Chertsey na przeciąg kilku miesięcy. Wysławszy do banku srebra, które niegdyś tak rozbudziły pożądliwość Fagina, i pozostawiwszy dom pod opieką Gilesa i jeszcze kogoś ze służby, panie wyjechały do małego domku wiejskiego w pewnej odległości od Chertsey i zabrały ze sobą Oliwera.

Któż potrafi opisać przyjemność, rozkosz, spokój ducha i słodkie ukojenie, których wciąż jeszcze osłabiony chłopiec doznawał w balsamicznym powietrzu, wśród zielonych wzgórz i bujnych lasów zapadłej wsi! Któż potrafi opowiedzieć, jak te obrazy pełne niczym nie zamąconego spokoju i pogody zapadają w dusze wyczerpanych, zboliałych mieszkańców zatłoczonych i hałaśliwych miast, jak swą własną świeżość wnoszą w głąb ich znużonych serc! Wiadomo, że nawet ludzie, którzy całe swe znojne życie spędzili wśród tłocznych, ciasnych ulic i nigdy nie pragnęli odmiany, ludzie, dla których przyzwyczajenie stało się naprawdę drugą naturą, którzy niemal że pokochali każdą cegłę i kamień składające się na ciasne granice ich powszednich wędrówek — nawet i oni, kiedy śmierć kładzie już na nich dłoń, czują niekiedy dojmującą tęsknotę za jednym krótkim spojrzeniem w twarz Natury. I przeniesieni z dala od widowni swych dawnych cierpień i uciech, zdają się przechodzić od razu do nowego bytu. Wloką się co dnia do jakiegoś zakątka pełnego zieleni i słońca, gdzie widok nieba, wzgórz, równiny i lśniącej wody budzi w nich takie wspomnienia, że przedsmak niebios przynosi im ukojenie w ostatnich dniach szybko zbliżającego się końca żywota. Kładą się w grób tak spokojnie jak słońce, na którego zachód, zasnuty mgłą ich zmętniałego, osłabłego wzroku, zaledwie parę godzin temu patrzyli z okien swej samotnej izby. Wspomnienia, które się budzą na widok cichych krajobrazów wiejskich, nie są z tego świata, nie mają nic wspólnego z ziemskimi myślami i nadziejami. Ich łagodny wpływ może nauczyć nas wić świeże wieńce na groby naszych ukochanych, może oczyszczać nasze myśli i wymiatać z nich dawne urazy i nienawiści — ale pod tym wszystkim tkwi nawet w najmniej refleksyjnym umyśle niejasne i na pół świadome poczucie, że kiedyś już, dawno, dawno temu, żywiliśmy takie uczucia. Poczucie to budzi uroczyste myśli o tym, co nadejdzie kiedyś w odległej przyszłości, i zmusza nas do wyzbycia się światowej próżności i pychy.

Śliczne było to miejsce, do którego się udali. Oliwer, którego dni ubiegały dotychczas wśród brudnej cizby, wśród zgiełku i głośnych kłótni, teraz jakby rozpoczął nowe życie. Po ścianach dworku pięły się róże i powoje, pnie drzew oplatał bluszcz, a kwiaty z ogrodu rozkosznymi woniami nasyciły powietrze. Niedaleko był mały cmentarzyk; nie zapchany wysokimi, brzydkimi pomnikami grobowymi, lecz pełen skromnych mogiłek pokrytych świeżą darnią i mchem, pod którymi odpoczywali na wieki starzy ludzie z wioski. Oliwer często tam błądził i myśląc o nędznym grobie, w

którym leżała jego matka, siadał tam czasem, nie widziany przez nikogo, i szlochał. Lecz kiedy wznosił oczy i widział nad sobą przepastne niebo, przestawał myśleć o niej jako o leżącej w grobie i zaczynał płakać nad nią smutnie, ale bez bólu.

Szczęśliwe to były czasy. Dni biegly spokojnie i bez wstrząsów, noce nie przynosiły ze sobą lęku ni troski. Żadnej męki w obmierzłym więzieniu, żadnej konieczności zadawania się ze złymi ludźmi; nic, tylko same przyjemne i radosne myśli. Co rano chodził do pewnego siwowłosego staruszka, który mieszkał w pobliżu kościółka. Uczył go on pisać i lepiej czytać, a przemawiał z taką dobrocią, tyle trudu zadawał sobie dla niego, że Oliwer nie mógł się dość nastarać, aby mu dogodzić. Następnie chodził na spacer z panią Maylie i Różą i przysłuchiwał się ich rozmowie o książkach albo też czasem siadywał koło nich w jakimś cienistym zakątku i słuchał, jak młoda panienka czyta. Mógł tak słuchać dopóty, dopóki nie było już za ciemno, by widzieć litery. Trzeba też było przygotować lekcje na dzień następny; przykładał się do nich pilnie, siedząc w małym pokoiku wychodzącym na ogród, aż do wieczora, kiedy to panie wychodziły znowu na spacer, a on z nimi. Z taką przyjemnością słuchał wszystkiego, co mówiły, taki był szczęśliwy, jeżeli zapragnęły jakiego kwiatka, który on mógł dla nich zerwać, albo jeżeli zapomniały w domu czegoś, po co mógł pójść, że nigdy nie mógł się wtedy dość naśpieszyć. Kiedy robiło się już zupełnie ciemno, wracali do domu, panienka zasiadała do fortepianu i grała jakąś ładną melodię lub cichym i łagodnym głosem śpiewała starą pieśń, której lubiła słuchać jej ciotka. Nie zapalano wtedy świec, a Oliwer siadywał przy jednym z okien i w najwyższym uniesieniu zachwyty wsłuchiwał się w słodką muzykę.

A gdy przychodziła niedziela, jakże inaczej spędzano ten dzień, niż on go kiedykolwiek dotąd spędzał! I jakże radośnie, podobnie jak i wszystkie inne dni w owym najszczęśliwszym okresie! Rankiem mały kościółek: za oknami zielone liście poruszane wiatrem, śpiew ptaków na dworze, pachnące powietrze płynące przez niski portyk i napełniające swą wonią przytulny budynek. Ubodzy ludzie byli tak schludni i czysti, klęczeli tak nabożnie rozmodleni, że wydawało się, iż gromadzenie się tu jest dla nich przyjemnością, nie zaś nudnym obowiązkiem. A choć śpiew był może nieuczony, brzmiał on szczerze i wydawał się (przynajmniej uszom Oliwera) bardziej dźwięczny niż wszystko, co słyszał kiedykolwiek przedtem w kościele. Potem następowały zwykłe spacery i liczne odwiedziny w czystych chatach chłopskich. Wieczorem zaś Oliwer odczytywał jeden lub dwa rozdziały Biblii, których uczył się przedtem cały tydzień; wypełnianie tego obowiązku sprawiało mu więcej dumy i przyjemności, niż gdyby był samym pastorem.

Rano Oliwer już o szóstej był na nogach; biegał po polach i myszkował zawzięcie pod żywopłotami, aby zebrać wiązanki polnych kwiatów; obładowany nimi, wracał do domu i z wielką starannością i rozważą starał się je tak ułożyć, by jak najładniej zdobiły stół przy śniadaniu. Trzeba też było pomyśleć o ziele dla ptaszków panny Maylie: Oliwer, który przestudiował przedtem ten przedmiot pod fachowym kierownictwem wioskowego pisarza, z wielkim smakiem dekorował wszystkie klatki. Kiedy już u ptaszków wszystko było ładnie posprzątane i urządzone na cały dzień, znajdowała się zazwyczaj jakaś drobna dobroczynna misja, którą trzeba było załatwić we wsi; jeśli nie, grywano czasami w krykieta na murawie, wreszcie było zawsze coś do roboty w ogrodzie lub przy roślinach, do czego Oliwer (który i tej umiejętności wyuczył się u tego samego mistrza, ogrodnika z zawodu) przykładał się całym sercem, dopóki nie ukazała się panna Róża. Wtedy otrzymywał tysiące pochwał za wszystko, czego dokonał.

Tak upłynęły trzy miesiące, miesiące, które w życiu najhjojnziej obdarzonego przez los śmiertelnika byłyby okresem niezamąconej szczęśliwości, a dla Oliwera były istnym błogostanem. Skoro z jednej strony była najczystsza, najserdeczniejsza szczerobliwość, z drugiej zaś najprawdziwsza, najgorętsza, z głębi duszy płynąca wdzięczność — nic dziwnego, że pod koniec tego krótkiego okresu Oliwer zadomowił się zupełnie u starej damy i jej siostrzenicy i że za żarliwe przywiązanie jego młodego, wrażliwego serca odpłacały mu one wzajemnością i były z niego dumne.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI W KTÓRYM, SZCZĘŚCIE OLIWERA I JEGO PRZYJACIÓŁ ZOSTAJE NAGLE ZAMĄCONE

Wiosna minęła szybko i nadeszło lato. Jeżeli przedtem wieś była piękna, to teraz rozkwitła w pełnym blasku swej bujnej krasy. Wielkie drzewa, które we wcześniejszych miesiącach roku były takie skurczone i nagie, teraz rozrastały się, pełne żywotności i siły, i rozciągając zielone ramiona nad spragnioną ziemią, przemieniały otwarte i puste miejsca w szczególnie piękne zakątki, gdzie z głębokiego, przyjemnego cienia można było oglądać rozległą, skapaną w słońcu okolice. Ziemia przyodziwała się w płaszcz najsoczystszej zieleni i rozsiewała wkoło najbardziej odurzające woni. Był to najżywotniejszy okres roku; wszystko było radosne, wszystko rozkwitało.

W małym dworku wciąż płynęło to samo spokojne życie, ten sam pogodny spokój panował wśród jego mieszkańców. Oliwer od dawna już był krzepki i zdrowy, ale zdrowie czy choroba nie zmieniały nic w

gorących uczuciach, jakie żywił dla otaczających go osób, mimo że u wielu ludzi zmiany takie bywają wtedy bardzo widoczne. Był wciąż tym samym łagodnym, przywiązanym, serdecznym stworzeniem co wówczas, kiedy ból i cierpienie wyczerpywały jego siły i kiedy o najdrobniejszą przysługę i pomoc musiał się zwracać do tych, którzy go pielęgowali.

Pewnego pięknego wieczoru spacerowali dłużej niż zazwyczaj, dzień był bowiem niezwykle gorący, a teraz księżyc świecił jasno i zerwał się lekki, nadzwyczaj odświeżający wietrzyk. Róża była w doskonałym humorze, toteż szli coraz dalej i dalej, rozmawiając wesoło, aż zaszli daleko poza granice, na których zwykle kończyły się ich wędrówki. Ponieważ pani Maylie była zmęczona, wracali do domu nieco wolniej. Po powrocie panienka zrzuciła tylko swój prosty kapelusik i zasiadła jak zwykle do fortepianu. Po kilku minutach, w ciągu których przebiegała w roztargnieniu palcami po klawiaturze zaczęła grać cichą i bardzo uroczą melodię; a kiedy grała, usłyszeli jakby jej płacz. — Różo, najdroższa moja! — powiedziała starsza dama. Róża nic nie odrzekła, tylko zaczęła grać nieco prędzej, jak

gdyby te słowa obudziły ją z jakichś przykrych rozmyślań.

— Różo, kochanie moje! — zawołała pani Maylie wstając pośpiesznie i pochylając się nad nią. — Co to znaczy? Cała we łzach! Dziecko drogie, co cię smuci?

— Nic, ciociu, nic — odrzekła panienka. — Nie wiem, co to takiego, nie umiem tego opisać, ale czuję się...

— Nie chora czasem, kochanie? — przerwała pani Maylie.

— Nie, nie! O, nie chora! — odparła Róża; zadrzała, jak gdyby w chwili, kiedy to mówiła, poczuła jakiś śmiertelny chłód. — Zaraz mi będzie lepiej. Proszę, zamknijcie okno!

Oliwer pośpieszył spełnić jej prośbę. Panienka, starając się odzyskać wesołość, usiłowała zagrać jakąś żywszą melodię, ale palce jej opadły bezsilnie na klawisze. Kryjąc twarz w dłoniach, osunęła się na kanapę i dała upust łzom, których już teraz nie potrafiła powstrzymać.

— Dziecko moje! — powiedziała starsza dama tuląc ją w ramionach. — Nigdy jeszcze nie widziałam cię w takim stanie.

— Nie niepokoiłabym cię, ciociu, gdybym mogła tego uniknąć — odparła Róża. — Ale doprawdy, choć próbowałam z całej siły, nie mogę się opanować. Boję się, że jestem rzeczywiście chora, ciociu. Była istotnie chora, kiedy bowiem przyniesiono świece, przekonali się, że w ciągu krótkiego czasu, który upłynął od ich powrotu do domu, twarz jej stała się marmurowo biała. Wyraz jej nie stracił nic ze swej piękności, lecz był zmieniony. W łagodnej twarzyczce było coś niespokojnego, bolesnego, czego tam nigdy przedtem nie bywało. Jeszcze minuta i pokryła się ona szkarłatnym rumieńcem, a łagodne błękitne oczy spojrzwały nieprzytomnie. Potem to znów znikło jak cień rzucony przez przelotną chmurę i Róża była znów śmiertelnie biała.

Oliwer, który z niepokojem obserwował starszą panią, zauważył, że objawy te ją zatrwożyły. On również, prawdę powiedziawszy, zaniepokoił się, lecz widząc, że pani Maylie udaje, iż się tym wszystkim nie przejmując, usiłował, czynić to samo. Udało im się na tyle, że kiedy ciotka nakłoniła wreszcie Różę do pójścia na nocny spoczynek, panienka była już w lepszym nastroju. Zdawała się nawet zdrowsza i zapewniała ich, że nazajutrz rano wstanie z pewnością zupełnie zdrowa.

— Mam nadzieję — rzekł Oliwer, kiedy pani Maylie powróciła — że nie ma w tym nic złego? Nie wygląda dziś dobrze, ale...

Starsza pani gestem nakazała mu, by nic nie mówił, i usiadłszy w ciemnym kącie pokoju przez czas pewien trwała w milczeniu. Na koniec powiedziała drżącym głosem:

— I ja też mam nadzieję, Oliwerze. Byłam z Różą przez szereg lat bardzo szczęśliwa, może zanadto szczęśliwa. Może nadszedł czas, kiedy ma mnie dotknąć nieszczęście, ale mam nadzieję, że nie takie.

— Jakież nieszczęście? — spytał Oliwer.

— Ciężki cios — rzekła staruszka — utracenia drogiego dziewczęcia, które tak długo było moją pociechą i radością.

— Ach! Niech Pan Bóg broni! — wykrzyknął Oliwer pośpiesznie.

— Amen, dziecko moje! — rzekła staruszka załamując ręce. — Przecież chyba nie grozi nic aż tak strasznego? — spytał

Oliwer. — Dwie godziny temu była zupełnie zdrowa.

— Teraz jest bardzo chora — odparła pani Maylie — i pewna jestem, że jej się jeszcze pogorszy. Moja kochana, kochana Róża! O, cóż bym bez niej robiła!

Staruszka okazywała tak wielką rozpacz, że Oliwer, opanowując własne wzruszenie, ośmielił się odwołać do jej rozsądku i błagał, aby się uspokoiła dla dobra ukochanej Róży.

— I niechże pani pomyśli — mówił Oliwer, a łzy cisnęły mu się do oczu mimo wysiłków, aby je powstrzymać — o, niech pani pomyśli, jaka ona jest młoda i dobra i jaką radość i pociechę sprawia wszystkim dokoła. Myślę, że... jestem pewny, zupełnie pewny, że ona nie umrze! Dlatego że pani też jest przecież taka dobra, i ona sama, i że wszystkim daje tyle szczęścia... Niebo nigdy nie pozwoli jej umrzeć tak młodo!

— Cicho! — rzekła pani Maylie kładąc dłoń na głowie Oliwera. — Rozumujesz jak dziecko, biedny chłopcze. Ale mimo to uczysz mnie mojego obowiązku. Zapomniałam o nim na chwilę, Oliwerze, ale mam nadzieję, że mi to będzie przebaczone, bo stara jestem i dość widziałam chorób i śmierci, by znać mękę rozstawania się z tymi, których kochamy. Dość też widziałam, aby wiedzieć, że los nie zawsze oszczędza tych najmłodszych i najlepszych. Ale to powinno nam być pociechą w naszym zmartwieniu. Niebo jest bowiem sprawiedliwe, a takie rzeczy uczą nas dobitnie, że istnieje świat jaśniejszy od tego i że przejście do niego odbywa się szybko. Niech się stanie wola boża! Ja kocham Różę. I On dobrze wie, jak bardzo! Oliwer spostrzegł ze zdziwieniem, że pani Maylie wypowiedziawszy te słowa opanowała wybuchy rozpacz jak gdyby jednym wysiłkiem woli, wyprostowała się i nabrała spokoju i siły. Zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy przekonał się, że spokój ten jest trwały, że wśród wszystkich trosk i trudów, które potem nastąpiły, pani Maylie była zawsze gotowa do czynu i przytomna i wykonywała wszystkie przypadające na nią obowiązki wytrwale i na pozór nawet pogodnie. Oliwer młody był jeszcze i nie wiedział, do czego silne dusze są zdolne w chwilach próby. Skądże miałyby wiedzieć, skoro posiadacze tych silnych dusz sami tak rzadko zdają sobie z tego sprawę?

Nastąpiła noc pełna niepokoju. Gdy nadszedł ranek, okazało się, że przewidywania pani Maylie były aż nadto słuszne. Róża znajdowała się w pierwszym stadium silnej i niebezpiecznej gorączki.

— Musimy być czynni, Oliwerze, i nie poddawać się bezużytecznej rozpacz — powiedziała pani Maylie kładąc sobie palec na ustach i patrząc z wyrazem stanowczości na Oliwera. — Ten oto list wysłać trzeba jak najprędzej do pana Losberne. Trzeba go zanieść do miasteczka, które leży stąd nie dalej niż o cztery mile, jeżeli iść ścieżką przez pola. Stamtąd trzeba wyprawić list przez umyślnego konnego kuriera prosto do Chertsey. Właściciele gospody podejmą się tego polecenia, a wiem, że mogą ci zaufać, iż tego dopilnujesz.

Oliwer nie mógł zdobyć się na odpowiedź, ale widać było, że pragnie wyruszyć natychmiast.

— A tutaj jest drugi list — ciągnęła pani Maylie zastanowiwszy się chwilę — ale doprawdy nie wiem, czy wysłać go teraz, czy poczekać, aż będzie wiadomo, jak jest z Różą. Nie chciałabym posyłać go, chyba że obawiałabym się najgorszego.

— Czy ma on też iść do Chertsey, proszę pani? — zapytał Oliwer, który niecierpliwił się, chcąc jak najprędzej wykonać polecenie, i wyciągnął drżącą rękę po list.

— Nie — odrzekła staruszka wręczając mu go machinalnie. Oliwer spojrział na kopertę i zobaczył, że była zaadresowana do Jaśnie Wielmożnego Harry'ego Maylie w wiejskiej rezydencji jakiegoś lorda; gdzie dokładnie, nie mógł dojrzeć.

— Czy mam go wysłać, proszę pani? — spytał Oliwer podnosząc niecierpliwy wzrok.

— Myślę, że nie — odparła pani Maylie biorąc list z powrotem. — Zaczekam do jutra. Z tymi słowy wręczyła Oliwerowi swą sakiewkę, a on bez dalszej zwłoki ruszył w drogę tak prędko, jak tylko potrafił.

Biegł szybko na przełaj przez pola, a niekiedy wąskimi drogami, które je przedzielały, to niemal niewidoczny spoza wysokich zbóż po obu stronach, to znów wynurzając się na łąkę, gdzie kosiarze i dziewczęta z grabiami pracowali przy sianie. Nie zatrzymał się też ani razu, chyba czasem na parę sekund dla nabrania tchu, aż stanął zgrzany, okryty pyłem, na małym rynku targowego miasteczka. Tu zatrzymał się i rozejrzał szukając gospody. Zobaczył biały budynek banku, czerwony browar i żółty ratusz, w rogu zaś duży dom, którego wszystkie drewniane części pomalowane były na zielono; przed nim widniała tabliczka z napisem: „Gospoda pod Jerzym”. Dostrzegłszy to pośpieszył tam natychmiast.

Zwrócił się do pocztyliona, który drzemał w bramie, ten zaś wysłuchawszy życzeń Oliwera skierował go do stajennego; ten znów wysłuchawszy ponownie, z czym chłopiec przychodzi, skierował go do gospodarza. Był to wysoki jegomość w niebieskiej chustce na szyi, białym kapeluszu, brązowych spodniach do konnej jazdy i wysokich butach ze sztylpami o odpowiadającej barwie. Stał oparty o pompę przy drzwiach stajni i dłubał sobie w zębach srebrną wykałaczką.

Dżentelmen ten powoli i z wielką godnością udał się do baru, aby wypisać rachunek. Wypisywanie to trwało długo, a gdy wreszcie rachunek był gotów i zapłacony, trzeba było osiodłać konia i wyekwipować posłańca, co zajęło nowych dziesięć minut. Oliwer tymczasem był w stanie tak wielkiej niecierpliwości i niepokoju, że czuł, iż najchętniej skoczyłby sam na konia i pogalopował ile sił do następnej stacji pocztowej. Na koniec wszystko było gotowe; konnemu podano pakiecik wśród wielu zaklinań i błagań o prędkie jego doręczenie. Posłaniec spiął konia ostrogami i ruszył z tętentem po nierównym bruku rynku. W przeciągu dwóch minut był już poza miastem i galopował drogą za rogatkami.

Dobrze było przynajmniej wiedzieć, że ktoś pojechał po pomoc i że nie straciło się czasu; toteż Oliwer wracał przez podwórze gospody z nieco lżejszym sercem. Właśnie wychodził z bramy, kiedy natknął się przypadkiem na wysokiego mężczyznę otulonego w pelerynę, który w tej samej chwili opuszczał gospodę.

— Ha! — zawołał mężczyzna wlepiając oczy w Oliwera i cofając się nagle. — Cóż to, u diabła?

— Przepraszam pana bardzo — rzekł Oliwer. — Spieszyłem się ogromnie do domu i nie widziałem, że pan idzie.

— Piekło i szatani! — mruknął mężczyzna do siebie, wpatrując się w chłopca swymi wielkimi, ciemnymi oczyma. — Kto by to pomyślał! Och! W proch go zetrzeć! A on i z kamiennej trumny się wydostanie, aby stanąć na mojej drodze!

— Bardzo mi przykro — wyjąkał Oliwer, zmieszany dzikim spojrzeniem nieznajomego mężczyzny.

— Mam nadzieję, że nie potrafiłem pana.

— Idź do diabła! — ze straszliwą wściekłością wymamrotał tamten przez zaciśnięte zęby. — Gdybym był tylko miał odwagę wyrzec słowo, byłbym się uwolnił od ciebie w jedną noc! Przekleństwo na twoją głowę, a zaraza na twoje serce, ty mały czarciu! Co ty tu robisz?

Mężczyzna wymówił te słowa niewyraźnie, potrząsając przy tym złowrogo pięścią. Ruszył w kierunku Oliwera, jak gdyby chciał go uderzyć, lecz nagle upadł ciężko na ziemię, rażony jakimś atakiem: jął się więc i piana pokazała mu się na ustach.

Oliwer patrzył przez chwilę w zdumieniu, jak ów szaleniec (sądził, iż nieznajomy nim jest) rzuca się i miota, a potem pobiegł do gospody wezwać pomocy. Dopilnowawszy, by zaniecono go bezpiecznie do budynku, zwrócił się w kierunku domu, biegnąc jak mógł najszybciej, aby nadrobić czas stracony. Po drodze przypomniał sobie z wielkim zdumieniem i pewnym lękiem niezwykle zachowanie człowieka, z którym dopiero co się rozstał.

Zdarzenie to jednak nie na długo utkwiło w jego pamięci. Gdy bowiem dobiegł do dworku, inne rzeczy zajęły jego umysł i wyгнаły mu z głowy wszystkie myśli o sobie.

U Róży Maylie nastąpiło szybkie pogorszenie; nim nadeszła północ, była już w malignie. Miejscowy lekarz czuwał nad nią bez przerwy. Zaraz po pierwszym badaniu wziął panią Maylie na bok i orzekł, iż choroba młodej dziewczyny jest bardzo niebezpieczna. — Właściwie — powiedział — trzeba by niemal cudu, by powróciła do zdrowia.

Jakże często tej nocy Oliwer zrywał się z łóżka i zakradał bezszelestnie na schody, nasłuchując najlżejszego szmeru z pokoju chorej! Ileż razy drżenie wstrząsało jego ciałem i zimne krople potu występowały na czoło, kiedy nagły odgłos bieganiny kazał mu obawiać się, że w tej właśnie chwili nastąpiło coś zbyt strasznego, by można było o tym pomyśleć! I czymże była żarliwość wszystkich jego dotychczasowych modlitw w porównaniu z tymi, które teraz zanosił i w męce i szalonym napięciu, błagając o życie i zdrowie dla delikatnej istoty, która chwiejnie stąpała nad krawędzią głębokiego grobu.

Och! to napięcie, to straszne, dotkliwe napięcie, jakie czujemy stojąc beczynnym na uboczu, podczas gdy życie kogoś umiłowanego waży się na włosku! Och, te dręczące myśli, które tłoczą się w mózgu i siłą wywołanych wizji sprawiają, że serce gwałtownie bije i oddech przychodzi z trudem; to rozpaczliwe pragnienie, aby coś zrobić, coś, co by ulżyło cierpieniu lub zmniejszyło niebezpieczeństwo, którego zażegnanie nie jest w naszej mocy; owo zamieranie ducha i umysłu, wywołane smutnym przypomnieniem własnej bezradności — jakież tortury mogą się z nimi równać? Jakie refleksje lub wysiłki w gorączce owych najgorszych chwil ulżyć im mogą?

Nadszedł ranek; w małym dworku było smutno i cicho. Ludzie mówili szeptem. Od czasu do czasu u furtki pojawiały się wylękłe twarze. Kobiety i dzieci odchodziły splakane. Przez calutki dzień i przez długie godziny po zapadnięciu ciemności Oliwer chodził cicho tam i z powrotem po ogrodzie, podnosząc co chwila oczy ku pokojowi chorej i wstrząsając się na widok zaciemnionego okna; wyglądało ono tak, jak gdyby wewnątrz gościła sama śmierć. Późnym wieczorem przybył pan Losberne.

— To okrutne — rzekł dobry doktor odwracając przy tych słowach głowę — taka młodzianka, tak przez wszystkich kochana... Ale nadziei jest bardzo mało.

Jeszcze jeden ranek. Słońce świeciło jasno, tak jasno, jakby nie spoglądało na nieszczęście i troskę. Oto każdy listek, każdy kwiat był w pełni rozkwitu, wszędzie dokoła życie, zdrowie, radosne dźwięki i widoki. A tam leży ona — młoda, śliczna istota, szybko tracąc siły. Oliwer uciekł chyłkiem na stary cmentarz i usiadłszy na jednym z zielonych kopczyków płakał i modlił się za nią w milczeniu.

Tyle było spokoju i piękna dokoła, tyle jasności i wesela w słonecznym krajobrazie, tak błoga nuta w śpiewie ptaków wśród lata, tyle swobody w szybkim locie wrony przemykającej nad jego głową, tyle życia i radości w tym wszystkim — że kiedy chłopiec podniósł zbolące oczy i rozejrzył się wokoło, instynktownie pomyślał, że to nie pora na śmierć; że Róża przecież na pewno umrzeć nie może wtedy, gdy tyle niższych stworzeń tak się cieszy i weseli; że groby przystoją chłodnej, posępnej zimie, ale nie słońcu i wonnemu latu. Zdało mu się niemal, że całuny są przeznaczone dla starych i zawiędłych lecz że nigdy nie spowijają one w swe upiorne fałdy istot młodych i pełnych wdzięku.

Uderzenie kościelnego dzwonu brutalnie przerwało te młodzieńcze rozmyślania. Jeszcze jedno! I znów! Dzwoniono na nabożeństwo pogrzebowe. Grupa ubogich żałobników weszła przez bramę; mieli na ubraniu białe wstążeczki, gdyż chowano kogoś młodego. Stanęli z odkrytymi głowami przy jakimś grobie. Wśród płaczącego orszaku znajdowała się matka — ktoś, kto do niedawna był matką.

Ale słońce świeciło jasno, a ptaki śpiewały dalej.

Oliwer zawrócił ku domowi, myśląc o licznych dowodach dobroci, której doznawał od młodej panienki, i pragnąc, by znowu powrócił czas, gdy będzie mógł jej okazywać nieustannie swą wdzięczność i przywiązanie. Nie miał powodu wyrzucać sobie niedbalstwa czy braku serdecznych myśli, gdyż zawsze z oddaniem starał się jej służyć. A przecież stawało mu w oczach sto różnych okazji, gdy, jak mu się zdawało, mógł być okazać więcej gorliwości, więcej przejęcia się, i teraz żałował, że ich nie okazał. Powinniśmy zważać na to, jak postępujemy wobec tych, co nas otaczają, każda bowiem śmierć przypomina małemu kółku osieroconych, że tyle zaniedbali, tak niewiele zrobili, o tylu rzeczach zapomnieli, a tyle innych można było naprawić. Nie ma wyrzutów sumienia gorszych niż te, które nic już zmienić nie mogą. Jeżeli chcemy oszczędzić sobie tej męki, pamiętajmy o tym zawczasu.

Kiedy Oliwer doszedł do domu, pani Maylie siedziała w małym saloniku. W chłopcu serce zamarło na jej widok, gdyż nigdy dotąd nie opuszczała łoża siostrzenicy; zadrzał na myśl, jaka to zmiana mogła ją stamtąd oddalić. Dowiedział się, że Róża zapadła w głęboki sen, z którego zbudzi się albo do zdrowia i życia, albo też po to, by pożegnać się z nimi i umrzeć.

Siedzieli całe godziny nasłuchując i bojąc się przemówić słowo. Nietknięty posiłek zabrano.

Wzrokiem, który świadczył, że myśli ich są gdzie indziej, patrzyli na słońce kłoniące się coraz to niżej i niżej, aż wreszcie rzuciło na niebo i ziemię owe promienne barwy, które zwiastują jego odejście. Ich czujne uszy złowiły odgłos zbliżających się kroków. Oboje mimo woli rzucili się do drzwi, przez które wszedł pan Losberne.

— Co z Różą? — zawołała staruszka. — Niech mi pan powie od razu. Zniosę to. Wszystko, byle nie niepewność. O, proszę mi powiedzieć! Na Boga!

— Musi się pani uspokoić — rzekł doktor podtrzymując ją. — Błagam, droga pani, niech się pani uspokoi.

— Proszę mnie puścić, na Boga! Moje kochane dziecko! Ona umarła! Ona umiera!

— Nie! — zawołał doktor żarliwie. — Dzięki Jego dobroci i miłosierdziu będzie żyła i będzie błogosławieństwem dla wszystkich przez długie, długie lata.

Pani Maylie padła na kolana i usiłowała spleść dłonie, lecz energia, która podtrzymywała ją tak długo, teraz wraz z pierwszym dziękczynieniem uleciała do nieba. Staruszka osunęła się w przyjacielskie ramiona wyciągnięte na jej przyjęcie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY ZAWIERA TROCHĘ WSTĘPNYCH SZCZEGÓŁÓW DOTYCZĄCYCH PEWNEGO MŁODEGO CZŁOWIEKA, KTÓRY ZJAWIA SIĘ TERAZ NA SCENIE, ORAZ OPISUJE NOWĄ PRZYGODĘ, KTÓRA PRZYTRAFIŁA SIĘ OLIVEROWI

Szczęście było niemal zbyt wielkie, by można je było znieść. Oliwer czuł się ogłuszony i oszołomiony niespodziewaną wiadomością; nie mógł ani płakać, ani mówić, ani wypoczywać. Ledwo był zdolny zrozumieć cokolwiek z tego, co zaszło, aż wreszcie, po długiej przechadzce w spokojnym wieczornym powietrzu, przyniósł mu ulgę wybuch płaczu. Było to tak, jakby raptem się zbudził i zdał sobie w pełni sprawę z radosnej zmiany, jaka nastąpiła, oraz z nieznośnie ciężkiego brzemienia bólu, które obecnie zostało zdjęte z jego piersi.

Noc zapadała już, gdy wracał do domu obładowany kwiatami, które wybrał ze szczególną starannością, aby przyozdobić pokój chorej. Idąc szybko drogą usłyszał za sobą turkot pojazdu zbliżającego się w szalonym tempie. Obejrzawszy się spostrzegł, iż była to karetka pocztowa jadąca z wielką szybkością; że zaś konie były w galopie, a droga wąska, oparł się o jakąś furtkę, by poczekać, aż przejadą.

Gdy karetka go mijała, Oliwer ujrzał przelotnie człowieka w białym czepku nocnym, którego twarz zdała mu się znajoma. Widział go jednak przez tak krótką chwilę, że nie mógł rozpoznać osoby.

Jeszcze sekunda czy dwie, a nocny czepak wysunął się z okna karetki i stentorowy głos krzyknął na woźnicę, by stanął, co też ten ostatni uczynił, skoro tylko zdołał zatrzymać konie. Wówczas nocny czepak pojawił się znowu i ten sam głos zawołał Olivera po imieniu.

— Hej! — krzyczał głos. — Oliwerze, jakie wiadomości? Jak panna Róża? Paniczu O — li — we — rze!

— To wy, Giles? — zawołał Oliwer podbiegając do drzwi karetki.

Giles znów wysunął swój nocny czepak przygotowując się w ten sposób do udzielenia odpowiedzi, gdy nagle odciągnął go do tyłu młody człowiek siedzący w głębi karetki i spytał niespokojnie, jakie są wiadomości.

— Krótko! — zawołał młodzieniec — lepiej czy gorzej?

— Lepiej, dużo lepiej! — odrzekł Oliwer pośpiesznie.

— Dzięki Bogu! — wykrzyknął pan. — Jesteś tego pewien?

— Zupełnie, proszę pana — odparł Oliwer. — Poprawa nastąpiła zaledwie parę godzin temu i pan Losberne mówi, że nie ma już żadnego niebezpieczeństwa.

Młody pan nie powiedział więcej ani słowa, tylko otworzył drzwi karetki, wyskoczył i biorąc Oliwera spieszenie za ramię, odprowadził go na stronę.

— Jesteś tego zupełnie pewien? Nie ma możliwości jakiegś pomyłki z twojej strony, co, mój chłopcze?

— pytał młodzieniec drżącym głosem. — Nie zawieź mnie rozbudzając we mnie nadzieję, która nie będzie spełniona.

— Nie zrobiłbym tego za nic na świecie, proszę pana — odrzekł Oliwer. — Doprawdy może mi pan wierzyć. Pan Losberne powiedział, że ona będzie żyć i będzie dla nas wszystkich błogosławieństwem przez długie lata. Sam słyszałem, jak to mówił.

Łzy stanęły w oczach Oliwera, kiedy wspomniawszy scenę, która dała początek tak wielkiemu szczęściu, a młody pan odwrócił twarz i przez parę minut trwał w milczeniu. Oliwerowi zdawało się kilka razy, że słyszy jego szloch, lecz bał się przerwać mu jakąś nową uwagą, gdyż domyślał się doskonale, co mógł on odczuwać. Stał więc z boku i udawał, że jest zajęty swym bukietem.

Przez cały ten czas pan Giles, w białym czepku nocnym na głowie, siedział na stopniach karetki opierając łokcie o kolana i ocierał oczy niebieską perkalową chustką w białe kropki. Że ten pocziwy człowiek nie udawał wzruszenia, to było aż nadto widoczne po bardzo zaczerwienionych oczach, którymi spojrzał na młodzieńca, gdy ten odwrócił się i przemówił do niego.

— Myślę, że dobrze będzie, jeżeli pojedziecie dalej karetką do mojej matki, Giles — powiedział. — Ja wolę pójść powoli pieszo, aby zyskać trochę czasu, nim ją zobaczę. Możecie powiedzieć, że zaraz nadejdę.

— Bardzo pana przepraszam, panie Harry — rzekł Giles przesuwając chustką po swym obliczu, aby wygładzić je ścierając ostatecznie ślady wzruszenia — byłbym panu bardzo wdzięczny, gdyby pan zechciał pozostawić załatwienie tego poczytlionowi. Nie wypada, żeby pokojówki widziały mnie w tym stanie, proszę pana. Nigdy już więcej nie miałbym u nich posłuchu.

— No, cóż — odrzekł Harry Maylie z uśmiechem — możecie zrobić, jak się wam podoba. Niech on jedzie dalej z rzeczami, jeśli chcecie, a wy idźcie z nami. Tylko najpierw zmieńcie ten czepkę na jakies stosowniejsze nakrycie głowy, inaczej ludzie wezmą nas za wariatów.

Pan Giles, któremu w ten sposób przypominano o jego nieodpowiednim stroju, zerwał z głowy nocny czepkę i wsadził go do kieszeni, a na jego miejsce włożył wydobyty z karetki kapelusz o poważnym i prostym kształcie. Gdy to zrobił, poczytliion odjechał, a pan Giles, pan Maylie i Oliwer nie spiesząc się szli dalej pieszo.

Po drodze Oliwer z zainteresowaniem i ciekawością przyglądał się od czasu do czasu nowoprzybyłemu. Wyglądał on na jakies dwadzieścia pięć lat, wzrostu był średniego, twarz miał szczerą i przystojną, a obejście swobodne i ujmujące. Mimo różnicy, jaka jest między młodością a sędziwym wiekiem, był tak uderzająco podobny do starej damy, że gdyby nawet nie był mówił o niej jako o matce, Oliwer bez trudu mógłby się domyślić ich pokrewieństwa.

Pani Maylie czekała już niecierpliwie na syna, kiedy ten przybył do dworku. Spotkanie nie obyło się bez wielkiego wzruszenia obu stron.

— Matko! — szepnął młody człowiek — dlaczego nie napisałaś wcześniej?

— Napisałam — odrzekła pani Maylie — ale po namyśle postanowiłam wstrzymać list do chwili, kiedy usłyszę zdanie pana Losberne.

— Ale dlaczego? — pytał młodzieniec. — Dlaczego było ryzykować, że stanie się to, co o tak mały włos się nie stało? Gdyby Róża... Nie mogę teraz wypowiedzieć tego słowa — gdyby jej choroba skończyła się inaczej, jakżebyś mogła kiedykolwiek sobie darować! Jakżebyś ja mógł kiedykolwiek jeszcze być szczęśliwy!

— Gdyby tak się rzeczywiście stało, Harry — rzekła pani Maylie — obawiam się, że twoje szczęście i tak byłoby zniweczone, a twoje przybycie tu o jeden dzień wcześniej czy później miałoby bardzo, bardzo niewielkie znaczenie.

— I któż mógłby się dziwić, jeżeliby tak było, mamó? — odparł młody człowiek — albo raczej, po co mówię „jeżeli“?

Tak przecież jest — tak jest — ty wiesz o tym, mamó — musisz wiedzieć!

— Wiem, że ona zasługuje na największą i najczystsza miłość, jaką może dać serce mężczyzny — powiedziała pani Maylie. — Wiem, że w zamian za jej oddanie i przywiązanie należy się jej wzajemność naprawdę głęboka i trwała. Gdybym tego nie myślała, gdybym nie wiedziała ponadto, że zmiana uczuć człowieka kochanego przez nią złamałaby jej serce — zadanie moje nie byłoby tak trudne do spełnienia. Nie musiałabym staczać tyłu walk we własnej duszy, czyniąc to, co mi się wydaje moim świętym obowiązkiem.

— To beztłotne, matko — rzekł Harry. — Czy wciąż przypuszczasz, że jestem chłopcem, który nie wie, czego chce, i błędnie rozumie impulsy własnej duszy?

— Myślę, mój drogi synu — odparła pani Maylie kładąc dłoń na jego ramieniu — że młodość zna wiele szlachetnych impulsów, które są jednak krótkotrwałe, i że są wśród nich takie, które, jeśli się za nimi pójdzie, stają się przez to tym bardziej przelotne. A nade wszystko myślę — tu dama utkwiała oczy w twarzy syna — że jeśli zapalczywy, żarliwy i ambitny człowiek pojmie żonę mającą na swym nazwisku płamę, płama ta, choć nie powstała z jej winy, może przecież dzięki podłości pozbawionych serca ludzi zostawić piętno na niej samej, a także na jego dzieciach. Im bardziej człowiekowi takiemu powiedzie się w życiu, tym bardziej będą mu to ciskać w twarz i szydzić. A wówczas, choć byłby z natury nie wiedzieć jak szlachetny i dobry, może pewnego dnia pożałować związku, który zawarł we wczesnej młodości. Ją zaś czeka bolesna świadomość, że on tego żałuje.

— Matko — rzekł niecierpliwie młody człowiek — ten, który by tak postąpił, byłby nędznym samolubem, niegodnym ani miana mężczyzny, ani tej kobiety, o której mówisz.

— Teraz tak myślisz, Harry — odrzekła jego matka.

— I zawsze będę tak myślał! — powiedział młodzieniec. — Męka duchowa, którą wycierpiałem przez ostatnie dwa dni, zmusiła mnie do przyznania się przed tobą do uczucia, które jak dobrze wiesz, trwa nie od wczoraj i nie lekkomyślnie zostało powzięte. Serce moje wybrało Różę, słodką, dobrą dziewczynę! I pragnie jej tak mocno, jak tylko serce mężczyzny potrafi pragnąć kobiety. Poza nią nie mam w życiu żadnej myśli, żadnych widoków, żadnej nadziei. I jeżeli sprzeciwisz mi się w grze o tę wielką stawkę, bierzesz mój spokój i moje szczęście w ręce i rzucasz je na wiatr. Pomyśl o tym raz jeszcze, matko, pomyśl o mnie i nie lekceważ szczęścia, które zdajesz się cenić tak nisko!

— Harry — rzekła pani Maylie — właśnie dlatego, że tak wysoko cenię gorące i wrażliwe serca, chciałabym ustrzec je przed zranieniem. Ale na teraz powiedzieliśmy już dosyć o tej sprawie, więcej niż dosyć!

— Pozwól więc, aby zadecydowała Róża — przerwał Harry. — Nie będziesz chyba posuwać tych swoich zbyt surowych poglądów aż tak daleko, aby stawiać jakieś przeszkody na mojej drodze?

— Nie będę — odrzekła pani Maylie. — Ale chciałabym, abyś rozważył...

— Już rozważyłem! — brzmiała niecierpliwa odpowiedź. — Mamo, rozważałem to już całe lata. Rozważałem od pierwszej chwili, kiedy zdolny się stałem do poważnego namysłu. Uczucia moje pozostają niezmienione i pozostaną nimi na zawsze. Czemuż więc miałbym zadawać sobie ból tajemnic ich dłużej, skoro zwłoka ta nikomu na świecie żadnej korzyści przynieść nie może? Nie! Nim stąd odjadę, Róża musi mnie wysłuchać.

— Wysłucha — rzekła pani Maylie.

— Jest coś w twoim tonie, co zdaje się dawać do zrozumienia, że wysłucha mnie ozięble, mamo — powiedział młodzieniec.

— Nie ozięble — odparła stara dama. — Na pewno nie ozięble.

— Więc jak? — nalegał młody człowiek. — Nie pokochała przecież nikogo innego?

— O, nie — odpowiedziała jego matka. — Jeżeli się nie mylę, ty już zbyt mocno zająłeś jej serce. Ja przypuszczam co innego — stara dama wstrzymała syna, który już miał przemówić — zanim postawisz wszystko na tę jedną kartę, zanim dasz się unieść na wyżyny nadziei, pomyśl chwilę, dziecko moje,

o historii Róży i zastanów się, w jaki sposób świadomość wątpliwego pochodzenia wpłynąć może na jej decyzję, zważywszy jej wielkie przywiązanie do nas, bystrość jej szlachetnego umysłu i ową zdolność całkowitego poświęcenia się, która zawsze ją cechowała we wszystkich sprawach, wielkich czy błahych.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— O tym przekonasz się sam — odparła pani Maylie. — Muszę do niej wracać. Niech cię Bóg ma w swej opiece!

— Zobaczę cię jeszcze dzisiaj? — spytał młody człowiek skwapliwie. . .

— Za jakiś czas — odrzekła stara dama. — Kiedy odejdę od Róży.

— Powiesz jej, że tu jestem? — spytał Harry.

— Oczywiście — odpowiedziała pani Maylie.

— I powiedz, jak się niepokoiłem, ile wycierpiałem i jak bardzo tęsknię do zobaczenia jej. Nie odmówisz mi tego, mamo?

— Nie — rzekła staruszka. — Powiem jej wszystko. — I uściśnawszy serdecznie rękę syna, szybko wyszła z pokoju.

W czasie gdy toczyła się ta pośpieszna rozmowa, pan Losberne i Oliwer czekali w drugim końcu pokoju. Obecnie pierwszy z nich wyciągnął rękę do Harry'ego Maylie i obaj zamienili serdeczny uścisk. Następnie w odpowiedzi na rozliczne zapytania swego młodego przyjaciela doktor złożył mu dokładne sprawozdanie o stanie pacjentki. Sprawozdanie to było tak pocieszające i pełne dobrych przewidywań, że nie zawiodło nadziei rozbudzonych już przez słowa Oliwera. Pan Giles, który udawał, że krząta się około bagaży, chciwie się wszystkim przysłuchiwał.

— Ustrzeliliście ostatnio coś ciekawego, Giles? — zapytał doktor skończywszy relację.
— Nie szczególnego, panie doktorze — odrzekł pan Giles i zaczerwienił się po same białka oczu.
— Nie łapaliście żadnych złodziei ani nie rozpoznawaliście żadnych włamywaczy? — pytał doktor.
— Żadnych absolutnie — odpowiedział pan Giles z wielką powagą.
— No — rzekł doktor — z przykrością to słyszę, bo robicie te rzeczy znakomicie. A jak się ma Brittles?

— Chłopak czuje się doskonale, panie doktorze — odrzekł pan Giles odzyskując swój zwykły protekcjonalny ton — i zasyła panu swoje uszanowanie.

— To dobrze — rzekł doktor. — Ale widząc was tutaj, Giles, przypominam sobie, że w wilię tego dnia, w którym zostałem tak nagle tu wezwany, załatwiłem na prośbę waszej dobrej pani pewną drobną sprawę w waszym interesie. Przejdźcie no tu do kąta na chwilę, dobrze?

Pan Giles z ważną miną i pewną dozą zaciekawienia udał się do kąta, gdzie dostąpił zaszczytu krótkiej szepowanej konferencji z doktorem, po której złożył mnóstwo ukłonów i wycofał się niezwykle dostojnym krokiem. Temat tej konferencji nie został ujawniony w salonie, kuchnia natomiast szybko doczekała się wyjaśnienia sprawy. Pan Giles udał się tam bowiem natychmiast i zawoławszy, by mu podano kufel piwa, obwieścił z majestatyczną miną, która wywarła ogromne wrażenie, że pani jego spodobało się złożyć w miejscowej kasie oszczędności — do jego wyłącznego użytku i rozporządzania — sumę dwudziestu pięciu funtów, a to w uznaniu dla jego mężnej postawy przy okazji nieudanego włamania. Na to obie służące wzniosły ręce i oczy do góry i wyraziły przypuszczenie, że pan Giles zrobi się teraz całkiem dumny. Wtedy pan Giles wyciągnął na wierzch żabot od koszuli, odrzekł: „Nie, nie” i dodał, że jeśli uważają, iż zachowuje się on dumnie wobec niższych od siebie, mają mu to w oczy powiedzieć. Potem wygłosił jeszcze bardzo dużo innych uwag, równie dobrze ilustrujących jego pokorę i przyjętych z niemniejszym uznaniem i aplauzem. Były one zresztą tak samo oryginalne i odpowiednio dobrane, jak zwykle uwagi wielkich ludzi.

Na górze reszta wieczoru upłynęła pogodnie, gdyż doktor był w świetnym usposobieniu, a Harry Maylie, jakkolwiek z początku zmęczony i zamyślony, nie oparł się dobremu humorowi tego zacnego człowieka. Humor ten objawiał się w opowiadaniu wielu rozmaitych dowcipów i wspomnień z życia związanych z zawodem oraz w mnóstwie drobnych żarcików, które Oliwerowi wydawały się najśmieszniejsze ze wszystkiego, co kiedykolwiek słyszał. Zaśmiewał się też cały czas, ku widocznemu zadowoleniu lekarza, który śmiał się sam z siebie zupełnie niepomahomowanie, aż Harry Maylie musiał choćby przez sympatię śmiać się prawie równie szczerze. Spędzili zatem tak przyjemny wieczór, jak tylko to było możliwe w danych okolicznościach. Późno już było, gdy z lekkimi i pełnymi wdzięczności sercami udali się na spoczynek, którego po niedawno przeżytych napięciu i obawach tak bardzo potrzebowali.

Oliwer wstał nazajutrz raźniejszy i zabrał się do swych zwykłych porannych zajęć z większą otuchą i przyjemnością, niż mu się to zdarzyło od wielu dni. Znów wywiesił ptaszki w klatkach na dawne miejsca, by sobie śpiewały, i znów nabierał najwdzięczniejszych kwiatów polnych, jakie można było znaleźć, by Róża mogła się cieszyć ich pięknnością. Melancholia, która — jak się zdawało smutnym oczom zatroskanego chłopca — wisiała przez wszystkie ubiegłe dni nad wszystkimi przedmiotami, choćby najpiękniejszymi, teraz rozproszyła się jak pod działaniem czaru. Zdało się, że rosa błyszczy jaśniej na zielonych liściach, wietrzyk szeleszczący wśród nich śpiewa czarowniejszą melodię, a samo niebo jest bardziej błękitne i przezrocze. Taki to wpływ wywiera stan naszych własnych myśli nawet na wygląd zewnętrzny przedmiotów. Ludzie, którzy patrząc na przyrodę i bliźnich wołają, że wszystko jest ciemne i ponure, nie myślą się; ale te ciemne kolory są odbiciem ich własnych pełnych żółci serc i oczu. Prawdziwe barwy są delikatne i wymagają czystszygo wzroku.

Zaznaczyć trzeba — i Oliwer w owym czasie nie omieszkiał zwrócić na to uwagi — że swych porannych wypraw nie odbywał już samotnie. Gdy Harry Maylie pierwszego zaraz ranka spotkał powracającego do domu obładowanego kwiatami Oliwera, sam tak się zapalił do ich zbierania i wykazał tak dobry smak w ich układaniu, że pozostawił swego młodego towarzysza daleko w tyle. Jeżeli jednak Oliwer pod tym względem mu ustępował, to za to wiedział, gdzie można znaleźć najładniejsze; toteż rano po ranku myszkowali razem po całej okolicy i znosili do domu, co tylko kwitło najpiękniejszego. Okno pokoju młodej panny stało teraz otworem, gdyż ogromnie lubiła czuć, jak wpływa strumieniem letnie, nasycone zapachami powietrze i świeżością swoją przywraca jej życie. Ale na parapecie, tuż obok ramy okiennej, stała zawsze w wodzie jedna specjalna wiązanecka, układana co rano z ogromną starannością. Oliwer zauważył mimo woli, że zwiędłych kwiatów nigdy nie wyrzucano, choć wazonik był regularnie napełniany świeżymi. Nie mógł też nie zaobserwować, że ilekroć doktor wychodził do ogrodu, niezmiennie rzucał okiem na ten właśnie kącik i kiwał głową bardzo wymownie, wyruszając na poranną przechadzkę. Wśród tych spostrzeżeń dni ulatywały jeden za drugim, a Róża szybko wracała do zdrowia.

Oliwerowi czas bynajmniej się nie dłużył, choć panienska jeszcze nie opuściła swego pokoju i nie było wieczornych spacerów, chyba od czasu do czasu krótkie przechadzki z panią Maylie. Chłopiec

przykładał się ze zdwojoną pilnością do nauki udzielanej mu przez siwowłosego staruszka i pracował tak gorliwie, że szybkie postępy, które czynił, dziwiły nawet jego samego. I właśnie gdy był pochłonięty tym zajęciem, zaszło kiedyś zupełnie nieoczekiwane zdarzenie, które go ogromnie przeraziło i zaniepokoiło.

Pokoik, w którym zwykł przesiadywać nad książkami, mieścił się na parterze w tylnej części domu. Przypominał zupełnie izbę w wiejskiej chacie z oknem o małych szybkach; koło tego okna rosły kępy jaśminu i wonnego powoju, które pięły się wokół ramy napelniając pokój swym cudnym zapachem. Okno wychodziło na ogród, z którego niewielka furtka prowadziła na mały okólnik dla koni. Dalej ciągnęły się piękne łąki i lasy. W tym kierunku nie było w pobliżu, żadnego domostwa, a widok, który się stąd roztaczał, był bardzo rozległy.

Pewnego pięknego wieczoru, kiedy pierwsze cienie zmierzchu zaczynały zasnuwać ziemię, Oliwer siedział przy oknie, pogrążony w książkach. Ślęczał już nad nimi czas jakiś, a że cały dzień był niezwykle upalny, a on namęczył się niemało, przeto stwierdzić można bez ujmy dla autorów, kimkolwiek oni tyli, że powoli i stopniowo usnął.

Nachodzi nas niekiedy taki sen, który choć trzyma w niewoli ciało, nie zwalnia jednak ducha od świadomości tego, co się dzieje naokoło, i nie pozwala mu bujać, gdzie mu się podoba. O ile obezwładniająca ociężałość, bezsila, całkowita niezdolność panowania nad myślami i niemożność poruszania się może być nazwana snem, jest to sen; a jednak świadomi jesteśmy wszystkiego, co się wokół nas dzieje, i jeżeli w takich chwilach śnimy, słowa naprawdę wymówione lub dźwięki rzeczywiście się wówczas rozlegające dostosowują się z zadziwiającą łatwością do naszych wizji, aż wreszcie rzeczywistość i wyobraźnia tak się dziwnie splatają, że później prawie niemożliwe jest oddzielić jedną od drugiej. Nie to jest wszakże najbardziej uderzającym zjawiskiem związanym z tego rodzaju stanem. Jest niewątpliwym faktem, że choć nasze zmysły dotyku i wzroku są na razie nieczynne, to jednak nasze sennie myśli i wizyjne sceny snujące się przed nami ulegają wpływowi — i to bardzo silnemu — samej bezgłośnej obecności jakiegoś zewnętrznego przedmiotu. Przedmiot ten mógł nie znajdować się koło nas, gdyśmy zamykali oczy, i na jawie moglibyśmy nie zdawać sobie sprawy z jego bliskości.

Oliwer wiedział doskonale, że znajduje się w swym własnym pokoiku, że przed nim na stole leżą jego książki i że wonny powiew szeleści wśród pnączy za oknem. A jednak spał. Nagle scena się zmieniła: stało się duszno i ciasno i zdało mu się w przypiływie przerażenia, że znów jest w domu Fagina. Tam oto w swym zwykłym kącie siedział ohydny starzec, wskazywał na niego i szeptał coś drugiemu mężczyźnie, siedzącemu obok niego z odwróconą twarzą.

— Sza, mój drogi — zdało się Oliwerowi, że słyszy głos Fagina. — To on, nie ma dwóch zdań. Chodźmy stąd.

— On! — brzmiała odpowiedź tamtego. — Czy myślisz, że mógłbym się omylić co do tego? Gdyby cały tłum duchów przybrał dokładnie jego postać, a on stanąłby wśród nich, jest coś, co podpowiedziałyby mi, jak go rozpoznać. Gdybyś pochował go na głębokości pięćdziesięciu stóp i przeprowadził mnie przez jego grób, nie wyróżniający się żadnym widomym znakiem, zdaje mi się, że wiedziałbym, iż on tam leży pogrzebany!

Człowiek zdawał się mówić to z tak straszną nienawiścią że Oliwer zbudził się, pełen przerażenia, i zerwał się na nogi.

Boże wielki! Cóż to sprawiło, że krew boleśnie uderzyła mu do serca, co pozbawiło go głosu i zdolności poruszania się? Tam — tam — w oknie — tuż przed nim — tak blisko, że prawie mógł go dotknąć, nim odskoczył do tyłu — tam stał Fagin! Zaglądał do pokoju i oczy jego spotkały się z oczami Oliwera. A obok Fagina, błądy z wściekłości czy przestachu, czy też jednego i drugiego, z rysami wykrzywionymi w złowrogi grymas, stał ten sam człowiek, który zaczął Oliwera na podwórzu gospody.

Była to tylko sekunda, jedno spojrzenie, mgnienie oka — i już ich nie było. Ale poznali go i on ich poznał. Ich wygląd tak mocno wbił mu się w pamięć, jakby — głęboko wryty w kamieniu — stał mu przed oczyma od chwili urodzenia. Przez moment chłopiec stał jak rażony piorunem, następnie wyskoczył przez okno do ogrodu i zaczął głośno wołać o pomoc.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY **OPOWIADA O NIEPOMYŚLNYM WYNIKU PRZYGODY OLIWERA ORAZ O NADER** **WAŻNEJ ROZMOWIE POMIĘDZY HARRYM MAYLIE** **A RÓŻĄ**

Kiedy domownicy, sprowadzeni wołaniami Oliwera, nadbiegli na miejsce, skąd one pochodziły, ujrzeni go, jak błądy i roztrzęsiony wskazywał palcem w kierunku łąk leżących za domem i ledwo zrozumiale wymawiał słowa: — Fagin! Fagin!

Pan Giles nie mógł w żaden sposób zrozumieć, co znaczy ten okrzyk, lecz Harry Maylie, który był z natury nieco bystrzejszy i słyszał od matki historię Oliwera, pojął natychmiast jego znaczenie.

— W którym kierunku uciek!? — spytał Oliwera chwytając gruby kij oparty o mur domu.

— W tamtym — odrzekł Oliwer wskazując, w którą stronę pobiegł Fagin. — Znikli mi z oczu w jednej chwili!

— Wobec tego są w rowie! — powiedział Harry. — Za nimi! Trzymajcie się możliwie jak najbliżej mnie. — To rzekłszy przesadził płot i pomknął tak szybko, że pozostałym było niezmiernie trudno dotrzymać mu kroku.

Giles pędził za nim ile sił, pędził także Oliwer, a po minucie czy dwóch pan Losberne, który właśnie wracał ze spaceru, przeskoczył za nimi płot na łeb na szyję. Pozbierawszy się z upadku z nieoczekiwaną u niego zręcznością, pobiegł tą samą drogą w niebyle jakim tempie, krzycząc przez cały czas ze wszystkich sił, aby się dowiedzieć, o co chodzi.

Biegli tedy wszyscy nie zatrzymując się ani na chwilę dla zacerpnienia tchu, aż wreszcie przewodnik skręcił w zakątek pola wskazany mu przez Oliwera i zaczął przeszukiwać dokładnie rów i przylegający do niego żywopłot. To pozwoliło pozostałym dogonić go, a Oliwerowi — powiadomić pana Losberne o okolicznościach, które doprowadziły do tak wyjątkowego wyścigu.

Poszukiwania okazały się daremne. Nie widać było nawet świeżych śladów stóp. Stali teraz na wierzchołku niewielkiego

wzgórza, skąd widać było pola rozpościerające się we wszystkich kierunkach, w promieniu trzech czy czterech mil. W kotlinie po lewej stronie widniała wioska, lecz aby się do niej dostać, poszedłszy uprzednio po szlaku wskazanym przez Oliwera, zbiegowie byliby musieli zatoczyć łuk po nieosłoniętym terenie, czego nie mogli dokonać w tak krótkim czasie. Z drugiej strony z łąką graniczył gęsty las, ale z tej samej co powyższa przyczyny nie mogli jeszcze skryć się pod jego osłonę.

— Musiało ci się przyśnić, Oliwerze — powiedział Harry Maylie.

— O nie, naprawdę, proszę pana — odparł Oliwer wstrząsając się na samo wspomnienie oblicza starego łotra. — Za dobrze go widziałem, żeby to mógł być sen. Widziałem ich obu tak wyraźnie, jak pana teraz widzę.

— Kim był ten drugi? — spytali jednocześnie Harry i pan Losberne.

— Ten sam człowiek, o którym panom opowiadałem, że tak nagle natknął się na mnie w gospodzie — odrzekł Oliwer. — Patrzyliśmy sobie prosto w oczy i mógłbym przysiąc, że to był on.

— I uciekli w tę stronę? — zapytał Harry. — Jesteś tego pewien?

— Tak samo pewien jak tego, że ci ludzie byli przy oknie — odrzekł Oliwer i wskazał jednocześnie na żywopłot oddzielający ogród dworku od łąki. — Ten wysoki przeskoczył płot w tym miejscu, a Fagin pobiegł parę kroków w prawo i przelazł przez tamtą oto dziurę.

Kiedy Oliwer mówił, obaj panowie przyglądali się jego poważnej twarzyczce, po czym przeniósłszy wzrok z niego na siebie nawzajem, nabrali zda się przekonania, iż to, co mówił, było zgodne z prawdą. A jednak w żadnym kierunku nie było widać śladów stóp pośpiesznie uciekających ludzi. Trawa była wysoka, lecz nigdzie nie podeptana prócz tych miejsc, gdzie przygniotły ją ich własne stopy. Gliniasta ziemia na ścianach i brzegach rowów była wilgotna, lecz nigdzie nie mogli dostrzec odcisku męskich butów ani najmniejszej oznaki, że czyjeś nogi świeżo tamtędy przeszły.

— Dziwne — rzekł Harry.

— Dziwne? — zawtórował doktor. — Nawet Blathers i Duff nic by z tego nie zrozumieli.

Mimo iż było oczywiste, że poszukiwania ich są daremne, nie ustawali w nich dopóty, dopóki nadejście nocy nie uczyniło

dalszych wysiłków zgoła beznadziejnymi. Nawet i wtedy zresztą zrezygnowali z wielkim ociąganiem. Wysłano Gilesa do wszystkich po kolei piwiarni we wsi, zaopatrzwszy go w najlepszy opis wyglądu i ubioru obu nieznajomych, jaki tylko Oliwer potrafił dać. Wygląd starca był w każdym razie na tyle charakterystyczny, że musiano by go zapamiętać, gdyby go widziano pijącego lub wałęsającego się po wsi. Giles powrócił jednak bez żadnych wiadomości, które by mogły rozświetlić lub przynajmniej w części wyjaśnić tajemnicę.

Następnego dnia wszczęto na nowo poszukiwania i rozpytywania, lecz z nielepszym skutkiem. Jeszcze następnego Oliwer i pan Maylie udali się do miasteczka w nadziei, że zobaczą tam poszukiwanych lub coś o nich usłyszą, ale i ta próba była równie bezowocna. Po kilku dniach sprawa zaczęła ulegać zapomnieniu jak większość spraw, kiedy zaciekawienie nimi zamiera, nie podsycane żadną nową strawą.

Tymczasem Róża szybko wracała do zdrowia. Opuściła swój pokój, mogła już wychodzić na dwór, a przebywając na nowo wśród rodziny, wносиła radość do wszystkich serc.

Jednakże choć ta szczęśliwa zmiana wywarła widoczny wpływ na wszystkich członków małego kółka i chociaż w dworku słychać było znów pogodne głosy i wesoły śmiech, przecież czasami u niektórych osób dawała się odczuć pewna mimowolna powściągliwość. Nawet u samej Róży — i Oliwer nie mógł tego nie zauważyć. Pani Maylie i jej syn zamykali się często na długie rozmowy, a Róża

niejednokrotnie pojawiała się ze śladami łez na twarzy. Kiedy pan Losberne wyznaczył już dzień swego powrotu do Chertsey, objawy te stały się częstsze i oczywiste było, że dzieje się coś, co odbiera spokój młodej panie i nie tylko jej.

Wreszcie pewnego poranku, kiedy Róża była sama w saloniku, wszedł Harry Maylie i z pewnym wahaniem poprosił o pozwolenie pomówienia z nią przez parę chwil.

— Niewiele, bardzo niewiele mi ich trzeba, Różo — mówił młody człowiek przysuwając do niej swoje krzesło. — To, co mam do powiedzenia, już ci jest wiadome. Najtkliwsze nadzieje mego serca nie są dla ciebie tajemnicą, choć nie słyszałaś tego jeszcze z moich ust.

Róża była bardzo blada od chwili, gdy Harry wszedł, lecz mógł to być skutek niedawno przebytej choroby. Skłoniła tylko głowę i pochyliwszy się nad jakimś wazonem, który stał tuż przy niej, czekała w milczeniu na dalsze jego słowa.

— Ja — ja powinienem być wyjechać stąd wcześniej — powiedział Harry.

— Rzeczywiście, powinieneś być — odrzekła Róża. — Wybacz mi, że to mówię, ale pragnęłabym, abyś tak był uczynił.

— Sprowadziła mnie tu najstraszliwsza, najokrutniejsza ze wszystkich obaw — mówił młodzieniec — obawa utracenia jedynej, najdroższej istoty, będącej celem wszystkich moich pragnień i nadziei. Byłaś umierająca: jakby zawieszona pomiędzy ziemią a niebem. Wiemy, że kiedy młodych, pięknych i dobrych ludzi nawiedza choroba, ich czyste duchy nieświadomie zwracają się ku jasnej ojczyźnie wieczystego spoczynku. Wiemy, Boże nam dopomóż! że najlepsi i najpiękniejsi z nas nazbyt często więdną w pełnym kwiecie.

Łzy stanęły w oczach wrażliwej dziewczyny, kiedy usłyszała te słowa, a gdy jedna z nich upadła na kwiat, nad którym się pochylała, i rozbłysła na jego kielichu czyniąc go piękniejszym jeszcze, zdawało się mogło, że to, co przepelnia jej świeże, młode serce, zespała się w naturalny sposób z tym, co najśliczniejsze w naturze.

Tymczasem młodzieniec żarliwie ciągnął dalej: — Istota tak piękna i bezgrzeszna jak anioł boży, chwiała się pomiędzy życiem a śmiercią. Ach, któż mógł mieć nadzieję, że powróci do smutków i nieszczęść tego świata, skoro odkrył się już na pół przed jej oczyma tamten odległy świat, który jest jej własnym. Różo! Różo, wiedzieć, że odchodzisz jak zwiewny cień, który światłość z góry rzuca na ziemię, nie mieć nadziei, że zostaniesz wśród tych, którzy tu pozostaną, nie widzieć prawie powodu, dla którego miałabyś z nimi zostać, czuć, że przynależysz do tej jasnej sfery, gdzie tyłu najpiękniejszych i najlepszych uleciało przedwcześnie — a jednak pocieszając się tym wszystkim, modlić się, abyś została powrócona tym, którzy cię kochają — były to przeżycia niemal zbyt silne do zniesienia. To wszakże przeżywałem dniem i nocą, a jednocześnie ogarnął mnie taki nawał obaw, lęków i samolubnego żalu, że umrzesz nie dowiedziawszy się wcale, jak gorąco cię kocham, iż omal nie załamał się mój rozsądek i rozum. Wyzdrowiałaś! Z każdym dniem, niemal z każdą godziną wracała jakaś kropelka zdrowia i mieszając się z nadwątlonym i słabym strumykiem życia, który leniwie w tobie krążył, czyniła zeń znowu potężną, wezbraną falę. Patrzyłem, jak przechodzisz od śmierci niemal — do życia. Patrzyłem oczyma osłepłymi z niepokoju i głębokiego uczucia. Nie mów mi, że chciałabyś, abym tego nie przeżył, gdyż uczyniło to me serce czulszym dla całej ludzkości.

— Nie to miałam na myśli — rzekła Róża łkając — chciałabym tylko, żebyś był stąd odjechał, aby zwrócić się znowu ku wzniosłym i szlachetnym zajęciom, tak bardzo ciebie godnym.

— Nie ma zajęcia bardziej godnego mnie, bardziej godnego najwznioślejszej natury, jaka istnieje, niż walka o zdobycie serca takiego jak twoje — rzekł młody człowiek ujmując jej rękę. — Różo, moja kochana, droga Różo! Lata — lata całe — kochałem ciebie i ufałem, że zdobędę sławę, a wtedy wrócę dumny do domu i powiem ci, że goniłem za nią po to jedynie, byś ty mogła ją dzielić. Myślałem sobie, śniąc na jawie, że w tej szczęśliwej chwili przypomnę ci o wielu milczących dowodach chłopięcego uczucia, że upomnę się o twoją rękę, jakby dla uprawomocnienia jakiejś dawnej, milczącej umowy, którąśmy kiedyś zawarli! Chwila taka nie nadeszła. Ale teraz, choć nie zdobyłem sławy ani nie urzeczywistniłem żadnego młodzieńczego marzenia, ofiaruję ci serce, które od tak dawna należy do ciebie, i wszystko uzależniam od słów, którymi przyjmiesz ten dar.

— Twoje postępowanie było zawsze dobre i szlachetne — rzekła Róża opanowując przenikające ją wzruszenie. — Wierzysz chyba, że nie jestem ani nieczuła, ani niewdzięczna, wysłuchaj więc mojej odpowiedzi.

— Brzmi ona, że mogę się starać zasłużyć na ciebie, nieprawdaż, kochana Różo?

— Brzmi ona — odrzekła Róża — że musisz się starać o mnie zapomnieć. Nie jako o swojej dawnej, serdecznie do ciebie przywiązanej towarzysze, gdyż to zraniłoby mnie głęboko, lecz jako o przedmiocie twej miłości. Spójrz na świat, pomyśl, ile tam jest serc, z których zdobycia mógłbyś być dumny. Zwierz mi się z jakimś nowym uczuciem, jeżeli chcesz, a będę twoją najprawdziwszą, najbardziej oddaną, najwierniejszą przyjaciółką.

Nastąpiła chwila milczenia, w czasie której Róża, przysłoniwszy twarz dłonią, dała swobodny upust łzom. Harry nadal trzymał jej drugą rękę.

— A powody, Rózo? — powiedział na koniec cichym głosem. — Powody tej decyzji?

— Masz prawo je poznać — odparła Róza. — Żadne twoje słowa nie zdołają zmienić mego postanowienia. Jest to obowiązek, który muszę spełnić. Winna to jestem zarówno innym jak samej sobie.

— Samej sobie?

— Tak, Harry. Moja godność wymaga tego ode mnie, bym ja, dziewczyna bez przyjaciół i mienia, z płamą na nazwisku, nie dawała twoim przyjaciołom powodu do podejrzeń, że kierując się niskimi pobudkami uległam twojej pierwszej miłości i zaciążyłam kamieniem na wszystkich twych nadziejach i widokach na przyszłość. Wobec ciebie i twoich mam obowiązek powstrzymać cię, byś w porywie swego szlachetnego serca nie stawiał tak wielkiej przeszkody na drodze swej kariery życiowej.

— Jeżeli twoje uczucia są zgodne z twoim poczuciem obowiązku... — zaczął Harry.

— Nie są zgodne — odrzekła Róza oblewając się mocnym rumieńcem.

— Więc kochasz mnie również? — spytał Harry. — Powiedz tylko to jedno, najdroższa Rózo, powiedz tylko to jedno i złagodź gorycz tego bolesnego zawodu!

— Gdybym mogła to uczynić nie wyrządzając ciężkiej krzywdy temu, którego kocham — odparła Róza — byłabym...

— Zupełnie inaczej przyjęła te oświadczyzny? — zawołał Harry. — Nie ukrywaj tego przynajmniej przede mną, Rózo.

— Byłabym... Ale dosyć o tym — dodała uwalniając rękę. — Po co przedłużać tę bolesną rozmowę? Dla mnie bardzo bolesną, a mimo to dającą mi szczęście, które nie przeminie. Bo będzie to szczęściem wiedzieć, że kiedyś zajmowałam w twych oczach to wysokie miejsce, które teraz zajmuję. Każdy twój życiowy triumf da mi nową siłę i nieugiętość. Żegnaj, Harry!

Tak jak dzisiaj, nigdy już nie będziemy rozmawiali. Ale stosunki inne niż te, jakie mogły wyniknąć z dzisiejszej rozmowy, mogą nas łączyć długo i przynosić wiele szczęścia. I niech cię pokrzepią i dadzą ci szczęście wszystkie błogosławieństwa, które modlitwa szczerego i wiernego serca może uprosić u źródła wszelkiej szczerości i prawdy!

— Jeszcze jedno słowo, Rózo — powiedział Harry. — Powody twojej odmowy. Chcę je usłyszeć, wypowiedziane twoimi własnymi słowami, z twoich własnych ust.

— Twoje widoki na przyszłość — powiedziała Róza stanowczo — są olśniewające. Czekają cię wszystkie zaszczyty, które wielkie zdolności i stosunki z ludźmi o potężnych wpływach mogą dać mężczyźnie w życiu publicznym. Ale ludzie o potężnych wpływach są dumni, a ja nie chcę ani zadawać się z tymi, co mogą gardzić matką, która dała mi życie, ani też nie chcę przynieść hańby lub porażki życiowej synowi tej, która tak dobrze matkę mi zastępowała. Jednym słowem — rzekła panienka zwracając się ku wyjściu, gdyż czuła, że opuszcza ją chwilowa stanowczość — na moim nazwisku jest plama, za którą świat mści się na niewinnych. Nie chcę, by czyjekolwiek imię prócz mego własnego było skalane. Niech ta hańba spoczywa wyłącznie na mnie.

— Jeszcze jedno słowo, Rózo. Najdroższa Rózo, jedno tylko! — zawołał Harry zagradzając jej drogę.

— Gdybym był mniej... mniej szczęśliwy, jak świat by to nazwał, gdyby losem moim było jakieś skromne, spokojne życie, gdybym był biedny, chory, bezradny — czy wtedy odwróciłabyś się ode mnie? Czy też skrupuły te zrodziły się wskutek moich perspektyw osiągnięcia bogactw i zaszczytów?

— Nie każ mi odpowiadać — odrzekła Róza. — Ten problem nie istnieje i nigdy istnieć nie będzie. niesprawiedliwe, niemal okrutne jest stawiać mnie przed nim.

— Jeżeli twoja odpowiedź jest taka, jak prawie ośmielał się przypuszczać — odparł Harry — rzuci to promień szczęścia na moją smutną drogę i rozświetli ją przede mną. Nie jest to chyba bezcelowe, by przez wypowiedzenie paru krótkich słów sprawić tyle szczęścia komuś, kto kocha cię ponad wszystko. O, Rózo! W imię mojej żarliwej i nieszczęśliwej miłości, w imię wszystkich cierpień, które przeżyłem przez ciebie i na które mnie teraz nieodwołalnie skazujesz, błagam cię — odpowiedz mi na to jedno pytanie!

— Wiedz więc — odrzekła Róza — że gdyby twój los był inny, gdybyś nawet stał trochę, ale nie tak wysoko ponad mną, gdybym mogła ci być podporą i pociechą w jakimś skromnym, spokojnym, odosobnionym ustroniu, a nie kamieniem u szyi i przeszkodą wśród tłumu ambitnych i wysoko postawionych osób — ta ciężka próba byłaby mi oszczędzona. Teraz mam powody do tego, żeby być bardzo, bardzo szczęśliwą, ale przyznaję, Harry, że wówczas byłabym szczęśliwsza, Wspomnienia dawnych nadziei, hodowanych dawno temu, kiedy była jeszcze dzieckiem, stanęły przed oczyma Rózy, gdy czyniła to wyznanie. Wywołały łzy, jak to zwykle bywa z dawnymi nadziejami, gdy powracają zwarzone. I łzy te przyniosły jej ulgę.

— Nie mogę nic poradzić na tę słabość i tym mocniejszym czyni ona moje postanowienie — rzekła Róza wyciągając rękę. — Teraz doprawdy muszę cię już pożegnać.

— Proszę o jedną obietnicę — powiedział Harry. — Raz, ale to tylko jeszcze jeden raz — powiedzmy za rok, ale może znacznie wcześniej — niech mi wolno będzie po raz ostatni pomówić z tobą na ten temat.

— Ale nie po to, by nalegać na mnie, żebym zmieniła swe słuszne postanowienie — odrzekła Róża z melancholijnym uśmiechem. — To się na nic nie przyda.

— Nie — rzekł Harry — po to, byś je jeszcze raz przede mną powtórzyła, jeśli zechcesz — powtórzyła ostatecznie! Wszelkie stanowisko czy fortunę, jaką mieć będę, złożę u twych stóp, a jeśli będziesz wciąż trwała przy swym obecnym postanowieniu, ani słowem, ani czynem nie będę się starał go zmienić.

— Więc niech tak będzie — odparła Róża. — To tylko jeden ból więcej, a w owym czasie może będę w stanie znieść go lepiej.

Znów wyciągnęła rękę. Lecz młody człowiek przygarnął ją do piersi i wycisnąwszy jeden jedyny pocałunek na pięknym czole dziewczyny, wybiegł z pokoju.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY JEST BARDZO KRÓTKI I MOŻE NA TYM MIEJSCU WYDAWAĆ SIĘ MAŁO WAŻNY. NALEŻY GO JEDNAK PRZECZYTAĆ JAKO CIĄG DAJSZY POPRZEDNIEGO I KLUCZ DO INNEGO, KTÓRY NASTĄPI W SWOIM CZASIE

Więc postanowiłeś być dzisiaj moim towarzyszem podróży, co? — rzeki doktor, kiedy Harry Maylie zasiadł do śniadania obok niego i Oliwera. — Ależ ty w ciągu jednej godziny zmieniasz swoje zamiary i plany!

— Przyjdzie czas, że będzie pan zgoła innego zdania — powiedział Harry i zarumienił się bez widocznej przyczyny.

— Mam nadzieję, że będę miał po temu dobre powody — odrzekł pan Losberne — choć wyznam, że nie spodziewam się tego. Przecież wczoraj rano nagle postanowiłeś tu zostać i towarzyszyć matce nad morze, jak przystało na troskliwego syna. Przed południem oznajmiasz, że jadąc do Londynu zaszczytujesz mnie swym towarzystwem przez wspólną część drogi, a wieczorem nalegasz na mnie bardzo tajemniczo, żeby wyruszyć, zanim panie wstaną, czego wynikiem jest, że tu obecny mały Oliwer siedzi teraz przy śniadaniu, zamiast uganiać się po łąkach za różnego rodzaju okazami botanicznymi. Fatalne, prawda, Oliwerze?

— Byłoby mi bardzo przykro nie być w domu, kiedy pan i pan Maylie wyjeżdżają — odparł Oliwer.

— Dobry chłopak z ciebie — rzekł doktor. — Kiedy wrócicie, musisz przyjechać mnie odwiedzić. Ale mówmy poważnie, Harry: czy to jakaś wiadomość od możnych tego świata sprawiła, że tak ci nagle pilno wyjeżdżać?

— Możni tego świata — odpowiedział Harry — pod którym to mianem rozumie pan zapewne mego szanownego wuja, nie porozumiewali się ze mną wcale, odkąd tu jestem. Nie jest też prawdopodobne, by o tej porze roku zdarzyło się cokolwiek, co wymagałoby mego natychmiastowego stawienia się u nich.

— Ależ — rzekł doktor. — dziwny z ciebie człowiek. Przecież oni cię oczywiście wpakują do parlamentu przy wyborach przed Bożym Narodzeniem, a takie nagle przenosiny i zmiany są niezłym przygotowaniem do kariery politycznej. To zawsze coś znaczy. Dobra zaprawa jest zawsze pożądana, czy gra idzie o stanowisko, o puchar, czy o wygraną na wyścigach.

Harry Maylie zrobił taką minę, jak gdyby czuł się zdolny zakończyć całą rozmowę paru uwagami, które niemało by doktora zadziwiły; poprzestał jednak na powiedzeniu: „Zobaczmy” i więcej na ten temat nie mówił. Wkrótce potem zajechała przed dom karetka pocztowa, a że Giles przyszedł po rzeczy, zacny doktor wybiegł dopilnować ich załadowania.

— Oliwerze — rzekł Harry Maylie cichym głosem. — Chciałbym z tobą chwilę porozmawiać.

Oliwer zbliżył się do wnęki okiennej, dokąd przywołał go skinieniem pan Maylie. Chłopca dziwiło połączenie smutku i wybuchowej wesołości, przejawiające się w całym zachowaniu młodego człowieka.

— Umiesz już teraz dobrze pisać? — spytał Harry kładąc chłopcu dłoń na ramieniu.

— Mam nadzieję, że tak, proszę pana — odparł Oliwer.

— Nie będzie mnie teraz w domu może przez dłuższy czas. Chciałbym bardzo, żebyś do mnie pisał — powiedzmy raz na dwa tygodnie, co drugi poniedziałek, na adres Głównej Poczty w Londynie. Zrobisz to?

— O, z pewnością, proszę pana. Dumny będę z tego! — wykrzyknął Oliwer, zachwycony tym poleceniem.

— Chciałbym wiedzieć, jak... jak się miewa moja matka

i panna Maylie — rzekł młody człowiek. — Możesz zapełnić cały arkusz pisząc mi, na jakie spacerować, o czym rozmawiacie i czy ona... to znaczy one wydają się szczęśliwe i całkiem zdrowe. Rozumiesz mnie?

— O, bardzo dobrze, proszę pana, bardzo dobrze — odparł Oliwer.

— Wolałbym, abyś im o tym nie wspominał — mówił Harry szybko — bo moja matka mogłaby czuć się obowiązana pisać do mnie częściej, a to ją męczy i sprawia jej kłopot. Niech to będzie sekretem między nami dwoma. A pamiętaj, żebyś mi o wszystkim donosił! Polegam na tobie.

Oliwer był bardzo uradowany i zaszczycony poczuciem własnej ważności i przyrzekł uroczyście zachować tajemnicę

i o wszystkim dokładnie pisać. Pan Maylie pożegnał się z nim, zapewniając go wielokrotnie o swej sympatii i opiece.

Doktor siedział już w karetce, Giles (co do którego posta-nowiono, że ma zostać) przytrzymał otwarte drzwi, a z ogrodu przypatrywały się służące. Harry rzucił jedno tylko spojrzenie na wiadome okno, po czym wskoczył do pojazdu.

— Jazda! — zawołał — szybko, ostro, galopem! Tylko coś zblizonego do lotu odpowiada mi dzisiaj.

— Hola! — krzyknął doktor spuszczać gośpiesznie szybę i zwracając się do pocztyliona. — Mnie odpowiada coś bynajmniej nie zblizonego do lotu. Słyszycie?

Brzęcząc i turkocząc, póki odległość nie stłumiła odgłosu tak, że okiem tylko można było rozpoznać szybkość jazdy, pojazd, niemal całkowicie ukryty w tumanie kurzu, potoczył się drogą. To zniknął zupełnie, to znów ukazywał się, w miarę jak na to pozwalały zasłaniające go niekiedy przedmioty czy też skrzyty drogi. Grupka odprowadzających go wzrokiem rozproszyła się wtedy dopiero, gdy nawet tumanu kurzu już widać nie było.

Był jednak ktoś, kto trzymał oczy utkwione w punkcie, gdzie pojazd przestał być widoczny, wtedy jeszcze, kiedy oddalił się on już o całe mile. Za białą firanką, która zasłoniła ją w momencie, kiedy Harry spojrział w okno, siedziała Róża.

— Wydaje się w doskonałym humorze i szczęśliwy — powiedziała w końcu. — Obawiałam się jakiś czas, że może być inaczej. Myliłam się. Jestem bardzo, bardzo zadowolona.

Łzy bywają oznaką szczęścia równie jak cierpienia, lecz te, które płynęły po twarzy Róży, gdy siedziała w zamyśleniu przy oknie, patrząc wciąż w tym samym kierunku, zdawały się świadczyć bardziej o smutku niż o radości.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY W KTÓRYM CZYTELNIK MOŻE ZAOBSERWOWAĆ KONFLIKT NIERZADKI W STOSUNKACH MAŁŻEŃSKICH

Pan Bumble siedział w kancelarii przytułku i patrzył pełnym przygnębienia wzrokiem w palenisko kominka, na którym — ponieważ było to lato — nie trzaskał wesoły ogień i tylko słabe promienie słońca odbijały się od jego zimnej i lśniącej powierzchni. Papierowa łapka na muchy zwisała u sufitu i ku niej to pan Bumble w ponurej zadumie wznosił niekiedy oczy, a widząc, jak niebaczone owady krążą wokół owej pstrokatej plecionki, wzdychał głęboko i jeszcze posepniejszy cień powlekał jego oblicze. Pan Bumble medytował; możliwe, że owady przypominały mu jakiś nieprzyjemny epizod jego własnej przeszłości.

Ponury nastrój pana Bumble nie był jedyną rzeczą, która niewątpliwie rozbudziłaby miłą melancholię w sercu przypadkowego widza. Nie brakowało i innych objawów ściśle związanych z osobą naszego bohatera, a zwiastujących, że w jego sytuacji zaszła wielka przemiana. Gdzież się podziały szamerowany surdut i 6tosowany kapelusz? Na swych dolnych kończynach wciąż jeszcze nosił on krótkie spodnie i ciemne bawełniane pończochy, ale nie były to tamte spodnie. Surdut miał szerokie poły i pod tym względem przypominał tamten surdut, ale jakież był inny! Miejsce stosowanego zajął skromny okrągły kapelusz. Pan Bumble nie był już woźnym.

Bywają w życiu stanowiska, które niezależnie od bardziej namacalnych korzyści, jakie ze sobą noszą, nabierają szczególnej wartości i godności od związanych z nimi surdutów i kamizelek. Feldmarszałek ma swój mundur, biskup — fartuszek, radca — jedwabną togę, a woźny — stosowany kapelusz. Pozbawić biskupa jego fartuszka lub woźnego jego kapelusza i szamerunków — czym będą wtedy? Ludźmi. Zwykłymi ludźmi. Godność, a niekiedy nawet i świętość są bardziej kwestią surduta i kamizelki, niż się to niektórym wydaje.

Pan Bumble zaślubił panią Corney i był zarządzającym przytułku. Inny woźny objął władzę.

Stosowany kapelusz, surdut szamerowany płótem, laska — wszystko dostało się teraz jemu.

— Jutro będzie dwa miesiące, jak to się stało! — rzekł pan Bumble z westchnieniem. — A wydaje się, że to już wieki całe.

Pan Bumble chciał może przez to powiedzieć, że oto szczęście całego życia skoncentrowało się w krótkim okresie ośmiu tygodni, ale westchnienie — to westchnienie było ogromnie znaczące.

— Sprzedałem się — powiedział pan Bumble idąc dalej za tym samym tokiem rozmyślań — za sześć łyżeczek, parę szczyptic do cukru i dzbanek do mleka oraz kilka sztuk używanych mebli i dwadzieścia funtów gotówką. Poszedłem za bardzo umiarkowaną cenę. Tanio, diabelnie tanio!

— Tanio! — zawołał ostry głos nad uchem pana Bumble. — Za ciebie każda cena byłaby wysoka i ja dość drogo zapłaciłam za ciebie, Bóg mi świadkiem!

Pan Bumble odwrócił się i ujrzał twarz swej interesującej towarzyszkę życia, która niedokładnie pojęła kilka podsłuchanych słów jego utyskiwań, lecz zaryzykowała na chybił trafił wyżej przytoczoną uwagę.

— Ależ moja pani Bumble! — powiedział pan Bumble z sentymentalną surowością.

— No? — zawołała dama.

— Bądź łaskawa spojrzeć na mnie. — Bumble utkwiał w niej oczy. — („Jeżeli wytrzyma taki wzrok jak ten — rzekł do siebie — wytrzyma wszystko. Wobec nędzarzy nigdy mi się nie zdarzyło, żeby taki wzrok zawiódł. Jeśli wobec niej zawiedzie, moja władza przepadła.”)

Czy bardzo niewielkie natężenie wzroku wystarcza na ujarzmienie nędzarzy, którzy dzięki lekkiemu odżywianiu są w nienajlepszej kondycji, czy też dawna pani Corney była szczególnie odporna na orle spojrzenia — to kwestia zapatrywań. Faktem jednak jest, że szafarka zgoła się nie ulękła groźnego wejrzenia pana Bumble, lecz przeciwnie, potraktowała je z wielką pogardą, a nawet powitała je śmiechem, który brzmiał zupełnie szczerze.

Usłyszawszy ów zgoła nieoczekiwany dźwięk, pan Bumble przybrał najpierw minę niedowierzającą, a potem zdumioną.

Następnie powrócił do dawnego stanu i nie ocknął się zeń, póki nie usłyszał znów głosu swej połowicy.

— Czy będziesz cały dzień tu siedzieć i chrapać? — zapytała pani Bumble.

— Będę tu siedział tak długo, jak mi się to wyda stosowne, moja pani — odrzekł pan Bumble — a chociaż teraz nie chrapałem, będę chrapał, gapił się, kichał, śmiał się albo płakał wedle upodobania, bo takie są moje przywileje.

— Twoje przywileje! — zadrwiła pani Bumble z niezrównaną pogardą.

— Tak powiedziałem, moja pani — rzekł pan Bumble. — Przywilejem mężczyzny jest rozkazywać.

— A jakie, na miłość boską, są przywileje kobiety? — zawołała wdowa po świętej pamięci panu Corney.

— Posłuszeństwo, moja pani — zagrzmiął pan Bumble. — Nieboszczyk twój nieszczęsny mąż powinien cię być tego nauczyć. Może wtedy żyłby do tej chwili, biedaczysko! Dałbym wiele, żeby tak było!

Pani Bumble zorientowała się od razu, że nadszedł decydujący moment i że cios wymierzony z jednej czy drugiej strony dla zdobycia rządów musi się okazać rozstrzygający i ostateczny. Toteż skoro tylko usłyszała tę aluzję do zmarłego, osunęła się na krzesło i wrzasnąwszy głośno, że pan Bumble jest brutalem bez serca, uległa paroksyzmowi łez.

Ale nie łez trzeba było, by znaleźć drogę do duszy pana Bumble: jego serce było wodoszczelne. Jak owe odporne na wodę czapki bobrowe, które na deszczu stają się jeszcze lepsze, nerwy jego krzepiły się i wzmacniały widokiem płynących łez, które będąc oznaką słabości, a co za tym idzie, milczącym uznaniem jego własnej potęgi, sprawiały mu wzniosłe zadowolenie. Spoglądał tedy na swą dostojną małżonkę z wielką satysfakcją i zachęcał ją usilnie, aby płakała ile wlezie, medycyna uważa bowiem, iż to ćwiczenie cielesne znakomicie działa na zdrowie.

— Przewietrza ono płuca, zmywa oblicze, ćwiczy wzrok i łagodzi usposobienie — mówił pan Bumble. — Płacz sobie, płacz.

Ulżywszy sobie tym żartobliwym powiedzeniem, pan Bumble zdjął kapelusz z kołka, włożył go nader zawadiacko na jedno oko, jak mężczyzna, który czuje, że zaakcentował należycie swą wyższość; wsunął ręce do kieszeni i ruszył powoli ku drzwiom, a w całej jego postaci malowała się wielka swoboda i żartobliwość. Otóż ta, która była niegdyś panią Corney, spróbowała łez. gdyż sprawiały one mniej kłopotu niż rękocyny; była jednakże w zupełności gotowa spróbować tego ostatniego trybu postępowania, o czym pan Bumble miał się niezadługo przekonać.

Pierwszym tego dowodem był głuchy dźwięk, w następstwie którego jego kapelusz błyskawicznie przefrunął na przeciwległy koniec pokoju. Obnażywszy tym wstępnym zabiegiem jego głowę, doświadczona dama jedną ręką ścisnęła go mocno za szyję, a drugą zaczęła mu wymierzać jeden za drugim grad ciosów (zadawanych z osobliwym wigorem i zręcznością). Następnie wprowadziła małe urozmaicenie drapiąc go po twarzy i targając za włosy, po czym uznawszy, iż ukarała dostatecznie jego przewinę, pchnęła go na krzesło, które szczęśliwie stało w sposobnym miejscu, i rzuciła mu wyzwanie, proponując, by odważył się powiedzieć jeszcze słowo o swych przywilejach.

— Wstawaj! — rzekła pani Bumble rozkazującym tonem. — I zabieraj się stąd, jeżeli nie chcesz doprowadzić mnie do ostateczności.

Pan Bumble powstał z bardzo żalną miną, zastanawiając się głęboko, jakby wyglądało doprowadzenie jej do ostateczności. Podniósłszy kapelusz spojrział w stronę drzwi.

— Idziesz czy nie? — zapytała pani Bumble.

— Oczywiście, moja droga, oczywiście — odparł pan Bumble posuwając się szybciej w kierunku

drzwi. — Nie miałem zamiaru... Już idę, kochanie. Jesteś tak gwałtowna, że doprawdy ja...
W tej chwili pani Bumble postąpiła spiesźnie naprzód, by poprawić dywan podwinięty kopnięciem w czasie utarczki. Pan Bumble natychmiast wypadł z pokoju, nie troszcząc się ani trochę o niedokończone zdanie, i pozostawił byłą panią Corney panującą niepodzielnie nad polem bitwy. Pan Bumble został całkowicie zaskoczony i został też sromotnie pobity. Miał on zdecydowaną skłonność do znęcania się; popelnianie drobnych okrucieństw sprawiało mu niemałą przyjemność, a co za tym idzie, był (rozumie się) tchórzem. Nie jest to bynajmniej ujmą dla jego charakteru, gdyż wiele urzędowych osobistości, otoczonych wielkim poważaniem i podziwem, ulega podobnym słabościom. Wypowiedziana uwaga przemawia w istocie raczej za nim niż przeciw niemu: ma ona na celu wpoić czytelnikowi właściwy osąd kwalifikacji służbowych pana Bumble.

Ale miara jego poniżenia jeszcze się nie dopełniła. Obszedł on cały zakład i myślał po raz pierwszy w życiu, że prawa

o ubogich są doprawdy zbyt surowe. Mężczyznom, którzy uciekają od swych żon i pozostawiają je na utrzymaniu gminy, nie powinno się, sprawiedliwie rzecz biorąc, naznaczać żadnych kar. Owszem, należałoby raczej nagradzać ich jako zasłużone jednostki, które bardzo wiele wycierpiały. Na koniec swego obchodu pan Bumble doszedł do izby, w której kilka nędzarek było zazwyczaj zatrudnionych przy praniu gminnej bielizny. Teraz dochodził stamtąd gwar rozmowy.

— Hm! — rzekł pan Bumble przyoblekając się w całą swą wrodzoną godność. — Niech przynajmniej te kobiety w dalszym ciągu szanują moje przywileje. Hej! Hej tam! Co znaczy ten hałas, lafiryndy jedne?

Z tymi słowy pan Bumble otworzył drzwi i wkroczył do izby z ogromnie groźnym i gniewnym wyrazem twarzy, który natychmiast zmienił się na wielce pokorny i wystraszony, gdyż oczy jego spoczęły niespodzianie na postaci jego pani i małżonki.

— Moja droga — rzekł pan Bumble — nie wiedziałem, że tu jesteś.

— Nie wiedział, że tu jestem! — powtórzyła pani Bumble. — A ty co tu robisz?

— Zdawało mi się, że one za dużo gadają, żeby móc dobrze robić swoją robotę, kochanie — odrzekł pan Bumble spoglądając zarazem niespokojnie na dwie staruchy przy balii, które dzieliły się uwagami, pełne podziwu dla pokory kierownika przytułku.

— To b i e się zdawało, że one za dużo gadają! — powiedziała pani Bumble. — A tobie co do tego?

— Ależ, kochanie... — zaproponował potulnie pan Bumble.

— Co tobie do tego? — zapytała ponownie pani Bumble.

— To prawda, że ty tu jesteś gospodynią, kochanie — przyznał pan Bumble — ale myślałem, że może w tej chwili cię tu nie ma.

— Powiem ci coś, mój panie — odrzekła jego małżonka. — Nie potrzeba nam tu twego wtrącania się.

O wiele za bardzo lubisz wtykać nos w sprawy, które do ciebie nie należą. Cały zakład śmieje się z ciebie, jak tylko się odwrócisz. Od rana do nocy robisz z siebie głupca. Idź sobie! No, prędzej!

Pan Bumble zawahał się chwilę, widząc z nieopisaną boleścią uciechę dwu staruch, które w najwyższym zachwycie chichotały ukradkiem. Pani Bumble, której cierpliwość nie znosiła najmniejszej zwłoki, schwyciła garnek mydlin i gestem wskazując mężowi drzwi kazała mu wynosić się natychmiast, inaczej zawartość garnka znajdzie się na jego zażywej osobie.

Cóż pan Bumble miał począć? Rozejrzał się wkoło z przygnębieniem i chyłkiem wymknął się z izby.

Kiedy zamknął drzwi, stłumione chichoty nędzarek zamieniły się w przenikliwy śmiech, wybuch niepowstrzymanej uciechy. Tego tylko brakowało. Został poniżony w ich oczach. Jego godność i honor stanowiska doznały uszczerbku wobec nędzarek; spadł z całej wysokości i pompy woźniństwa na samo dno najbardziej upodlonego pantoflarstwa.

— I to wszystko w dwa miesiące! — powiedział do siebie pan Bumble, pełen ponurych myśli. — Dwa miesiące. Nie więcej niż dwa miesiące temu byłem nie tylko panem samego siebie, ale i wszystkich innych, jeżeli chodzi o gminny przytułek. A teraz!

Tego było za wiele. Pan Bumble natarł, uszu chłopcu, który otworzył mu bramę (w zadumie doszedł bowiem do wrót przytułku), i wyszedł zrozpaczony na ulicę.

Przeszedł jedną ulicę, przeszedł drugą, aż wreszcie przechadzka uśmierzyła pierwszy wybuch żalu.

Wtedy zaś zmiana uczuć sprawiła, że zachciało mu się pić. Minął wiele gospod, ale na koniec przystanął przed jedną, która mieściła się w bocznej uliczce i — jak przekonał się rzuciwszy szybkie spojrzenie ponad zazdrostkami w oknie — była prawie pusta. Znajdował się w niej jeden tylko samotny klient. To zadecydowało. Pan Bumble wszedł do środka, zamówił w szynkwasiu po drodze coś do wypicia i udał się do sali, do której zajrzał przedtem z ulicy.

Mężczyzna, który tam siedział, był wysoki i ciemnowłosy i miał na sobie obszerną pelerynę. Wyglądał na obcego; pewne znużenie malujące się na jego twarzy, jak również kurz na ubraniu zdawały się świadczyć, że przebył daleką drogę. Spojrzał na wchodzącego Bumble'a, lecz ledwo raczył kiwnąć głową w odpowiedzi na jego ukłon.

Gdyby nawet nieznajomy okazał więcej familiarności, to pan Bumble miał w sobie godności za

dwóch, toteż jął popijać w milczeniu swój gin z wodą czytając przy tym gazetę z demonstracyjną pompą i dostojeństwem.

Zdarzyło się wszakże — jak to nieraz bywa, gdy ludzie stykają się z sobą w takich okolicznościach — że pan Bumble odczuwał od czasu do czasu nieodpartą, przemożną chęć spojrzenia ukradkiem na nieznanego. Ilekroć zaś czynił zadość tej chęci, odwracał wzrok z pewnym zmieszaniem, gdyż przekonywał się, że obcy w tej samej chwili patrzy ukradkiem na niego. Zażenowanie pana Bumble wzrosło pod wpływem bardzo osobliwego wyrazu oczu nieznanego — bystrych i błyszczących, lecz pociemniałych i. przymrużonych w grymasie nieufności i podejrzliwości. Były to oczy nie podobne do wszystkich, które widział dotychczas, i widok ten był zgoła odpychający.

Gdy spojrzenia ich spotkały się w ten sposób kilkakrotnie, nieznanomy przerwał milczenie ostrym, głębokim głosem:

— Czy pan mnie szukał — zapytał — kiedy pan zajrzał przez okno?

— Nic mi o tym nie wiadomo, chyba że pan jest panem... — Tu pan Bumble urwał, gdyż był ciekaw nazwiska nieznanego i w ciekawości swej sądził, że tamten może mu podpowie.

— Widzę, że tak nie było — rzekł nieznanomy, a wyraz cichego szyderstwa igrał wokół jego ust — inaczej znalazłby pan moje nazwisko. A pan go nie zna. Radziłbym panu nie pytać o nie.

— Nie miałem nic złego na myśli, młody człowieku — zauważył z godnością pan Bumble.

— Toteż i nie zrobił pan nic złego — odrzekł nieznanomy. Po tej krótkiej rozmowie nastąpiło nowe milczenie i znów

przerwał je nieznanomy.

— Zdaje mi się, że widziałem pana już kiedyś — powiedział. — Był pan wtedy inaczej ubrany i minąłem pana tylko na ulicy, ale to wystarczy, abym pana poznał. Był pan tu kiedyś woźnym, prawda?

— Owszem, byłem — rzekł pan Bumble nieco zdziwiony. — Woźnym gminnym.

— Właśnie — powiedział tamten kiwając głową. — W tym właśnie charakterze pana widziałem. Czym pan jest teraz?

— Zarządzającym przytułku — odparł pan Bumble powoli z naciskiem, aby ukrócić wszelką niewłaściwą poufalość, na którą inaczej mógłby sobie pozwolić nieznanomy. — Zarządzającym przytułku, młody człowieku.

— Niewątpliwie tak samo dba pan o swoje interesy jak zawsze? — podjął nieznanomy patrząc badawczo w oczy pana Bumble, gdy ten podniósł je w zdziwieniu, usłyszawszy to pytanie. — Proszę nie krępować się i odpowiadać szczerze, mój panie. Widzi pan, znam pana bardzo dobrze.

— Myślę, że człowiek żonaty nie więcej gardzi sposobnością zarobienia uczciwie paru groszy niż kawaler — odrzekł pan

Bumble przysłaniając oczy ręką i z widocznym zakłopotaniem przypatrując się nieznanemu od stóp do głów. — Urzędnicy gminni nie są tak dobrze płatni, aby mogli sobie pozwolić na odrzucenie jakiegokolwiek dochodziku ekstra, kiedy im go kto zaproponuje w sposób uprzejmy i godziwy. Nieznanomy uśmiechnął się i raz jeszcze kiwnął głową, jak gdyby chciał powiedzieć, że nie omylił się w swym sądzie. Następnie zadzwonił.

— Proszę napelnić jeszcze raz tę szklankę — powiedział wręczając gospodarzowi pusty kufel pana Bumble. — Trunek ma być mocny i gorący. Myślę, że lubi pan właśnie taki?

— Nie za mocny — odrzekł pan Bumble chrząkając delikatnie.

— Rozumiecie, co to znaczy, gospodarzu! — rzekł nieznanomy sucho.

Gospodarz uśmiechnął się, zniknął i wkrótce potem powrócił ze sporą czarką dymiącego trunku, którego pierwszy łyk sprowadził lży do oczu pana Bumble.

— A teraz słuchaj mnie pan — rzekł nieznanomy zamknawszy uprzednio drzwi i okno. —

Przyjechałem dziś do tego miasta, aby pana odnaleźć. Dzięki jednemu z tych przypadków, które diabeł sieje czasami na drodze swoich przyjaciół, wszedł pan do tego właśnie pokoju, w którym siedziałem myśląc intensywnie o panu. Chcę od pana pewnych informacji. Chociaż to drobiazg nie żądani ich za darmo. Bierz pan to na początek.

Mówiąc to posunął po stole ku swemu rozmówcy dwa suwereny, ostrożnie, jak gdyby nie chciał, aby za drzwiami usłyszano brzęk pieniędzy. Kiedy pan Bumble przyjrzał się już uważnie monetom, by sprawdzić, czy nie są fałszywe, a następnie z wielkim zadowoleniem schował je do kieszeni kamizelki, nieznanomy znowu przemówił:

— Cofnij się pan pamięcią wstecz o... zaraz... o dwanaście lat od ubiegłej zimy.

— To kawał czasu — rzekł pan Bumble. — Doskonale. Jużem to zrobił.

— Scena: przytułek. — Dobrze.

— Pora: noc.

— Tak.

— A miejsce: la brudna nora — gdziekolwiek się ona, mieści, gdzie nędzne dziewczki dają innym życie i zdrowie, którego tak często same są pozbawione, gdzie rodzą piszczące dzieciaki, które potem musi

wychowywać gmina, a same kryją swą hańbę w grobie, przeklętнице.

— Chodzi o izbę połogową, przypuszczam? — rzekł pan Bumble niezupełnie rozumiejąc wypowiedziane w wielkim podnieceniu słowa nieznanego.

— Tak — rzekł nieznanomy. — Tam urodził się chłopiec.

— Nie jeden — zauważył pan Bumble trzęsąc ponuro głową.

— Niech piekło pochłonie to diabelskie nasienie! — zawołał nieznanomy. — Ja mówię o jednym: potulnie wyglądającym, bladym chłopaku, którego oddano tu do terminu do trumniarza. Oby był sam sobie zrobił trumnę i zamknął w niej swoje ciało! A potem uciekł, jak przypuszczano, do Londynu.

— Ależ pan ma na myśli Oliwera! Małego Twista! — powiedział pan Bumble. — Pamiętam go, oczywiście. Nie było nigdy bardziej nieusłuchanego małego nicponia...

— Nie chcę o nim słuchać. Dosyć już o nim słyszałem — powiedział nieznanomy przerywając panu Bumble, który właśnie rozpoczynał tyradę na temat okropnych wad biednego Oliwera. — Chodzi mi o kobietę: o tę starą wiedźmę, która pielęgnowała jego matkę. Gdzie ona jest?

— Gdzie ona jest? — rzekł pan Bumble, którego gin z wodą wprawił w żartobliwy nastrój. — To trudno powiedzieć. Roboty dla akuszerki tam nie ma, więc do któregośkolwiek miejsca tam trafiła, pewno tak czy tak jest bezrobotna.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? — zapytał surowo nieznanomy.

— Że umarła zeszłej zimy — odrzekł pan Bumble. Usłyszawszy tę informację mężczyzna wlepił weń oczy, a choć

przez dłuższą chwilę ich nie odwracał, spojrzenie jego stopniowo stało się nieobecne i nieprzytomne, a on sam zdawał się pogrążony w myślach. Wydawało się, że przez jakiś czas waha się, czy usłyszana nowina ma mu sprawić ulgę, czy zawód. Na koniec jednak odetchnął swobodniej i odwracając oczy powiedział, że to nie ma wielkiego znaczenia. Po czym wstał, jak gdyby chciał odejść.

Ale pan Bumble był nader przebiegły i zorientował się od razu, że oto nadarza się sposobność korzystnego sprzedania pewnej tajemnicy, będącej w posiadaniu jego lepszej połowy. Dobrze pamiętał wieczór śmierci starej Sally. Zdarzenia owego dnia dały mu do tego dobry powód, wówczas to bowiem oświadczył się pani Corney, a choć dama ta nigdy nie zwierzyła mu treści wyznania, którego była jedynym świadkiem, przecież usłyszał dosyć, aby wiedzieć, że chodziło o coś, co zdarzyło się, gdy starucha, pełniąca w przytułku posługi przy chorych, czuwała nad młodą matką Oliwera Twista. Przypomniawszy sobie szybko o tej okoliczności, z tajemniczą miną poinformował nieznanego, że pewna kobieta przed samą śmiercią starej jędzy rozmawiała z nią w cztery oczy i że ma podstawy do przypuszczeń, iż potrafi ona rzucić pewne światło na interesującą go sprawę.

— Jak mogę ją znaleźć? — spytał nieznanomy nie zachowując już żadnych ostrożności. Było widoczne, że wszystkie jego obawy (jakiegokolwiek one były) ożyły na nowo pod wpływem tej wiadomości.

— Tylko przeze mnie — odparł pan Bumble.

— Kiedy? — zawołał spieszenie nieznanomy. - Jutro — odrzekł Bumble.

— O dziewiątej wieczór — powiedział nieznanomy. Dobył świstek papieru i piemem, które zdradzało jego podniecenie, napisał na nim adres jakiejś nędznej ulicy na wybrzeżu rzeki. —

O dziewiątej wieczór przyprowadzi ją pan tam do mnie. Nie potrzebuję mówić, żebyś pan trzymał język za zębami. We własnym interesie.

Z tymi słowy ruszył pierwszy do wyjścia, zatrzymawszy się tylko, aby zapłacić za wypite trunki.

Zauważy! krótko, że drogi ich prowadzą w różnych kierunkach, po czym odszedł bez żadnych innych ceremonii poza dobitnym powtórzeniem umówionej na następną wieczór godziny.

Kiedy funkcjonariusz gminy rzucił okiem na adres, spostrzegł, że nie ma na nim nazwiska.

Nieznanomy nie odszedł był jeszcze daleko, więc dogonił go, aby o nie spytać.

— Czego pan chcesz? — zawołał nieznanomy odwracając się szybko w chwili, kiedy Bumble dotknął jego ramienia. — Czemu pan idziesz za mną?

— Tylko po to, żeby zadać jedno pytanie — rzekł tamten

wskazał na świstek papieru. — O kogo mam pytać?

— Monks! — odpowiedział mężczyzna i oddalił się szybkim krokiem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

ZAWIERAJĄCY SPRAWOZDANIE O TYM, CO ZASZŁO POMIĘDZY PAŃSTWEM BUMBLE A PANEM MONKSEM W CZASIE ICH NOCNEGO SPOTKANIA

Był parny, duszny, chmurny letni wieczór. Z chmur, które cały dzień groziły deszczem, rozpostarte na niebie niby gęsta, nieruchoma zasłona mgły, padały już pierwsze wielkie krople. Wyglądało, że zanoszą się na gwałtowną burzę, kiedy państwo Bumble skręcili z głównej ulicy miasta i skierowali swe kroki ku odległej od niej o jakieś półtorej mili, rozrzuconej grupce ruder, zbudowanych na niskim i niezdrowym mokradle nad rzeką.

Oboje otuleni byli w stare i zniszczone wierzchnie okrycia, które miały zapewne służyć podwójnemu celowi: ochrony od deszczu i ochrony od ludzkich spojrzeń. Mąż niósł latarnię, w której jednakże nie świeciło się jeszcze żadne światło, i człapał o kilka kroków przodem, jak gdyby — wobec błota na drodze — chciał umożliwić żonie stąpanie po wielkich śladach pozostawionych przez jego ciężkie stopy. Szli w głębokim milczeniu; od czasu do czasu pan Bumble zwalniał kroku i odwracał głowę, jakby dla upewnienia się, czy jego towarzyszka życia za nim nadąży, po czym spostrzegłszy, że jest ona tuż, przyśpieszał tempa i podążał znacznie szybciej ku miejscu przeznaczenia.

Nie było to bynajmniej miejsce o reputacji wątpliwej, od dawna bowiem wiadano, że mieszkali tam wyłącznie łotrzykowie najniższego rzędu, którzy Udawali tylko w rozmaity sposób, że żyją z pracy, lecz w rzeczywistości utrzymywali się głównie z rabunku i zbrodni. Były tam same nędzne nory: niektóre sklecone pośpiesznie z ledwo spojonych cegieł, inne ze starego, stoczonego przez robaki drzewa pochodzącego z rozbiórki okrętów. Ustawione były gęsto, bez jakiegokolwiek ładu czy planu, przeważnie o parę zaledwie stóp od brzegu rzeki. Kilka dziurawych łódek wyciągniętych było na błotniste wybrzeże i przymocowanych do biegnącego wzdłuż niego niskiego murku. Wałające się tu i ówdzie wiosła lub zwoje lin zdawały się na pierwszy rzut oka wskazywać, że mieszkańcy tych nędznych chat uprawiają jakieś rzeczne rzemiosło; lecz jedno uważniejsze spojrzenie wystarczyłoby, aby dostrzec, jak dalece przedmioty te były zniszczone i niezdatne do użytku. Każdy więc przechodzień bez trudu doszedłby do wniosku, że były tu one porozrzucane raczej dla zachowania pozorów niż z myślą o prawdziwym ich użytkowaniu.

W samym sercu tych stłoczonych bud, tuż przy rzece, nad którą pochylały się jego górne kondygnacje, stał duży budynek, w którym mieściła się niegdyś fabryka. W swoim czasie dawała ona zapewne zatrudnienie mieszkańcom okolicznych czynszówek. Dawno już jednak budynek popadł w ruinę. Szczury, robaki i działanie wilgoci osłabiły i stoczyły pale, na których się wspierał, toteż znaczna jego część pograżyła się w wodzie, gdy reszta, przekrzywiona i chyląca się nad ciemnym nurtem, zdawała się czekać na sposobną chwilę, aby pójść w ślady dawnej towarzyszki i ulec temuż losowi. Przed tym to wałącym się budynkiem zatrzymała się szacowna para małżeńska w chwili, gdy pierwszy daleki przeciągły grzmot rozległ się w powietrzu, a deszcz zaczął lać gwałtownie.

— To powinno być gdzieś tutaj — rzekł pan Bumble zaglądając do trzymanego w dłoni skrawka papieru.

— Hej tam! — krzyknął jakiś głos z góry.

Kierując się dźwiękiem pan Bumble podniósł głowę i spostrzegł mężczyznę, który wyglądał z jakichś małych drzwiczek na drugim piętrze.

— Stójcie chwilę spokojnie — zawołał głos. — Zaraz do was przyjdę. — Po czym głowa znikła i drzwi się zamknęły.

— Czy to ten? — spytała zacna połowica pana Bumble. Pan Bumble kiwnął głową potakująco.

— Więc pamiętaj, co ci mówiłam — rzekła szafarka — i uważaj, żebyś mówił jak najmniej, bo inaczej wszystko się zaraz wyda.

Pan Bumble, który do tej pory z bardzo żalną miną przyglądał się budynkowi, miał najwidoczniej zamiar wyrazić powątpiewanie co do słuszności kontynuowania całej tej wyprawy, jednakże przeszkodziło mu pojawienie się Monksa. Ten ostatni otworzył niewielkie drzwi, koło których stali, i skinął na nich, by weszli do środka.

— Wchodźcie! — zawołał niecierpliwie, tupiąc nogą. — Nie każcie mi tu czekać.

Kobieta, która na razie zawahała się, weszła teraz śmiało, nie czekając na dalszą zachętę. Pan Bumble wstydził się czy też obawiał pozostać w tyle, toteż wszedł również, choć widać było, że czuje się bardzo nieswojo; z owej niezwyklej godności, która cechowała go zazwyczaj, nie pozostało prawie śladu.

— Dlaczegoście, u diabła, marudzili tam na deszczu? — spytał Monks zwracając się do Bumble'a po zaryglowaniu drzwi.

— My... myśmy się tylko chłodzili — wyjąkał Bumble oglądając się trwożnie dokoła.

— Chłodziliście się! — odparł Monks. — Wszystek deszcz, który kiedykolwiek spadł lub spadnie, nie zdoła ugasić tego ognia piekielnego, który człowiek potrafi w sobie nosić. Nie ochłodzicie się tak łatwo, nie ma się co ludzić!

Po tej przyjemnej przemowie Monks zbliżył się do szafarki i skierował na nią uporczywe spojrzenie, aż nawet ona, której byle co nie peszyło, musiała odwrócić wzrok i wbić go w ziemię.

— To jest ta kobieta, co? — zapytał Monks.

— Tak, to jest ta kobieta — odrzekł pan Bumble, pomny przestróg żony.

— Pan pewnie myśli, że kobiety nie potrafią utrzymać sekretu? — wtrąciła szafarka i mówiąc to odwzajemniła badawcze spojrzenie Monksa.

— Wiem, że jeden utrzymują zawsze, dopóki się nie wy kryje — rzekł Monks.

— A jakiz to? — spytała szafarka.

— Utrata ich własnej dobrej sławy — odrzekł Monks. — Więc w myśl tej samej zasady, jeżeli kobieta

jest dopuszczona do tajemnicy, która może ją posłać na szubienicę albo deportację, nie boję się, że ją przed kimkolwiek wypaple. O, nie! Rozumiesz mnie, jejmość?

— Nie — odrzekła szafarka rumieniając się z lekka.

— Oczywiście, że nie! — powiedział Monks. — Skądżeby?

Posławszy swym dwojgu towarzyszom coś pośredniego między uśmiechem a groźnym zmarszczeniem brwi, Monks skinął na nich ponownie i pośpiesznie poszedł w głąb izby, która była dość duża, lecz niska. Gotował się właśnie do wejścia na strome schody lub raczej drabinę prowadzącą na górne piętro składów, gdy wtem w otworze zamigotała jasno błyskawica, a po niej nastąpił huk piorunu, który wstrząsnął aż do posad całym tym zmurszałym budynkiem.

— Słuchajcie! — krzyknął i cofnął się, skulony. — Słuchajcie! Grzmi i wali, jak gdyby rozlegało się echo po tysiącu pieczar, w których ukryli się czarci. Nienawidzę tego dźwięku! Przez parę chwil trwał w milczeniu, potem odjął nagle ręce od twarzy, przy czym ku niewypowiedzianemu zaniepokojeniu pana Bumble okazało się, że była ona wykrzywiona w jakimś grymasie i pobladła.

— Miewam od czasu do czasu takie ataki — rzekł Monks widząc jego strach — i niekiedy sprowadza je piorun. Nie bójcie się teraz o mnie. Na ten raz już przeszło.

Tak mówiąc wszedł pierwszy po drabinie i zamknąwszy spiesznie okiennice pokoju, do którego wiodła, opuścił latarnię wiszącą na końcu sznura z bloczkiem, przewieszoną przez jedną z grubych belek stropu, i rzucającą przyćmione światło na umieszczony pod nią stół z trzema krzesłami.

— No — rzekł Monks, gdy wszyscy troje usiedli — im wcześniej przystąpimy do naszej sprawy, tym lepiej dla wszystkich. Ta kobieta wie, o co chodzi, prawda?

Pytanie to było zwrócone do Bumble'a, lecz żona jego uprzedziła odpowiedź oświadczając, że jest doskonale obznajmiona z przedmiotem rozmowy.

— On ma rację twierdząc, że pani była z tą wiedźmą w noc jej śmierci i że ona powiedziała pani coś?...

— O matce chłopca, którego imię pan wymienił — przerwała mu kobieta. — Tak.

— Pierwsze pytanie: jakiego rodzaju była ta wiadomość? — rzekł Monks.

— To dopiero drugie pytanie — zauważyła szafarka z najzupełniejszym spokojem. — Pierwsze brzmi: co ta wiadomość może być warta?

— Któż u diabła potrafił to powiedzieć nie wiedząc, jaka ona jest? — spytał Monks.

— Nikt lepiej od pana, tego jestem pewna — odpowiedziała pani Bumble, której nie brakowało wojowniczego ducha, jak to mógł najdoskonalej zaświadczyć jej dozgonny towarzysz.

— Hm! — rzekł Monks znacząco, ze spojrzeniem pełnym pożądlivej ciekawości. — A więc to coś cennego, powiada pani?

— Może i tak — brzmiała spokojna odpowiedź.

— Coś, co zostało jej zabrane — rzekł Monks. — Coś, co nosiła na sobie. Coś, co...

— Niech pan lepiej ofiaruje cenę — przerwała pani Bumble. — Usłyszałam już dosyć, żeby upewnić się, że pan jest człowiekiem, z którym powinnam się dogadać.

Pan Bumble, którego jego lepsza połowa nie dopuściła dotąd do większego udziału w tajemnicy niż ten, jaki miał od

początku, słuchał tej rozmowy z wyciągniętą szyją i wytrzeszczonymi oczyma. Zwracał je kolejno z nie tajonym zdumieniem to na żonę, to na Monksa. Zdumienie to wzrosło jeszcze, o ile to było możliwe, kiedy ten ostatni zapytał ostro, jakiej żąda sumy za odkrycie tajemnicy.

— A ile ona jest warta dla pana? — spytała kobieta z takim samym spokojem jak poprzednio.

— Może nic, a może dwadzieścia funtów — odparł Monks. — Mów pani, a przekonam się czy jedno, czy drugie.

— Dodaj pan pięć funtów do wymienionej sumy, daj mi dwadzieścia pięć funtów złotem — rzekła kobieta — a powiem panu wszystko, co wiem. Ani chwili wcześniej.

— Dwadzieścia pięć funtów! — wykrzyknął Monks i cofnął się.

— Powiedziałam tak wyraźnie, jak umiałam — odrzekła pani Bumble. — Zresztą to wcale nie taka duża suma.

— Nieduża suma za głupi sekret, który może okazać się niczym, kiedy go posłyszę! — zawołał Monks niecierpliwie. — I to za sekret, który leżał pogrzebany przez ubiegłe dwanaście czy więcej lat!

— Takie sprawy przechowują się dobrze i jak dobre wino często z czasem nabierają podwójnej wartości — odrzekła szafarka, wciąż zachowując obrany ton pewnej siebie obojętności. — A co do leżenia w grobie, to są tacy, co będą leżeć pogrzebani jeszcze dwanaście tysięcy lat, a kto wie, może i dwanaście milionów, ale na koniec opowiedzą dziwne historie.

— A co będzie, jeśli zapłacę tę sumę za nic? — rzekł Monks z wahaniem.

— Będzie pan mógł z łatwością odebrać ją sobie z powrotem — odparła szafarka. — Jestem tylko kobietą! Jestem tu sama, bez opieki.

— Nie sama, kochanie, i nie bez opieki — powiedział pan Bumble głosem drżącym ze strachu. — J a tu jestem, kochanie. A przy tym — zęby pana Bumble szczękały, gdy to mówił — pan Monks jest

zanadto dżentelmenem, aby popełnić jakikolwiek gwałt na urzędowych osobach. Pan Monks wie, że nie jestem młodzieńcem, kochanie, i że jestem, można powiedzieć, odrobinę korpulentny, ale słyszał także — powiadam, że nie wątpię, iż pan Monks słyszał, kochanie — że jestem bardzo odważnym urzędnikiem i mam niezwykłą siłę, jeżeli mnie raz wyprowadzić z równowagi. Potrzeba mi tylko małego wstrząsu, nic więcej. Mówiąc to pan Bumble zdobył się na smętną komedię schwycenia latarni w garść z groźną determinacją. Trwożliwy wyraz wszystkich jego rysów wskazywał przy tym, że istotnie potrzeba mu będzie wstrząsu, i to niemałego, nim wykaże jakiś większy animusz wojenny, chyba że miałby do czynienia z nędzarcami lub inną jakąś osobą czy osobami specjalnie w tym celu doprowadzonymi do upadku sił.

— Głupi jesteś — rzekła pani Bumble w odpowiedzi — i lepiej byś zrobił trzymając język za zębami. — Lepiej by było, żeby go sobie kazał uciąć, zanim tu przyszedł, jeżeli nie umie mówić ciszej — rzekł Monks złowrogo. — A więc to tak. On jest pani mężem, co?

— On moim mężem! — zachichotała szafarka unikając odpowiedzi.

— Pomyślałem to sobie zaraz, kiedyście weszli — powiedział Monks widząc gniewne spojrzenie, którym dama obrzuciła małżonka. — Tym lepiej. Mniej mam wątpliwości mając do czynienia z dwojgiem ludzi, kiedy wiem, że rządzi nimi jedna tylko wola. Mówię poważnie. Spójrzcie tutaj. Szybkim ruchem włożył rękę do bocznej kieszeni i dobywszy płóciennej sakiewki wyliczył na stół dwadzieścia pięć suwerek, które pchnął następnie ku kobiecie.

— Teraz — rzekł — niech je pani zgarnie. A kiedy uciszy się ten przekłety huk grzmotu, który — czuję to — za chwilę rozlegnie się nad tym domem, niech pani powie, co pani ma do powiedzenia. Kiedy przetoczył się łoskot, który zdawał się rzeczywiście tak bliski, jakby piorun uderzył tuż nad ich głowami, Monks podniósł twarz znad stołu i pochylił się naprzód, aby wysłuchać słów kobiety.

Twarze wszystkich trojga niemal się dotykały, gdyż dwaj mężczyźni, chciwie oczekujący jej słów, pochyłali się nad małym stolikiem, a kobieta pochylała się także, by szept jej mógł być słyszany.

Padające wprost na nich mdłe promienie wiszącej latarni podkreślały jeszcze bladeść i niepokój ich twarze, które — wylaniając się z otaczających je głębokich ciemności — wyglądały zaiste upiornie.

— Kiedy ta kobieta, którą nazywaliśmy starą Sally, umierała — zaczęła szafarka — ona i ja byliśmy same.

— Nikogo innego przy tym nie było? — spytał Monks takim samym głuchym szeptem. — Żadnej chorej hultajki czy idiotki w jakim innym łóżku? Nikogo, kto mógłby usłyszeć i być może, zrozumieć?

— Ani żywej duszy — odrzekła kobieta. — Byliśmy same. J a sama jedna stałam przy ciele, kiedy przysłała na nią śmierć.

— Dobrze — rzekł Monks patrząc uważnie na szafarkę. — Dalej.

— Mówiła o młodej istocie — podjęła szafarka — która przed laty wydała na świat dziecko nie tylko w tym samym pokoju, ale w tym samym łóżku, w którym ona teraz umierała.

— Tak? — rzekł Monks drżącymi wargami, oglądając się przez ramię. — Piekło! Jak się to wszystko splata!

— Było to to samo dziecko, o którym wczoraj pan z nim mówił — rzekła szafarka z niedbałym ruchem głowy w stronę męża. — A ta posługaczka okradła jego matkę.

— Za życia? — spytał Monks.

— Po śmierci — odpowiedziała kobieta z czymś na kształt wzdrygnięcia. — Skradła z trupa, ledwo stał się trupem. Skradła to, co zmarła matka ostatnim tchnieniem kazała jej przechować dla dziecka.

— Sprzedała to? — zawołał Monks z rozpaczliwym niepokojem. — Sprzedała? Gdzie? Kiedy? Komu? Na jak dawno przedtem?

— Kiedy z wielkim trudem powiedziała mi, że to zrobiła — mówiła szafarka — opadła na łóżko nieżywa.

— I nie powiedziała nic więcej? — zawołał Monks głosem, który choć stłumiony, zdawał się tym bardziej wściekły. — To kłamstwo! Nie pozwolę się wystrychnąć na dudka! Ona powiedziała coś więcej. Wydrę życie z was obojga, a dowiem się, co to było!

— Nie wyrzekła więcej ani słowa — powiedziała kobieta zachowując wszelkie pozory zupełnego spokoju (czego nie można było bynajmniej twierdzić o panu Bumble) wobec gwałtowności nieznanego mężczyzny — ale jedną ręką, na pół zaciśniętą, schwyciła mnie gwałtownie za suknię. A kiedy zobaczyłam, że umarła, i oderwałam siłą tę rękę, przekonałam się, że ścisnęła w niej skrawek brudnego papieru.

— A w nim... — wtrącił Monks pochylając się cały do przodu.

— Nic — odrzekła kobieta. — To była kopia kwitu zastawnego.

— Na co? — spytał Monks.

— Powiem panu w swoim czasie — odpowiedziała kobieta. — Sądzę, że przez jakiś czas przechowywała klejnot w nadziei, że wyciągnie za niego więcej. Potem go zastawiła i oszczędzała, czy w jakiś sposób zdobywała co roku pieniądze na procenty, żeby nie przepadł. Chciała móc go odzyskać w razie, gdyby się jej mógł na coś przydać. Nie przydał się jednak na nic i jak panu mówię, umarła z

tym skrawkiem papieru w dłoni, całym postrzępionym i zniszczonym. Termin wykupu upływał za dwa dni. Ja też pomyślałam sobie, że może mi się to kiedyś przydać, toteż poszłam i wykupiłam go.

— Gdzie on jest teraz? — spytał prędko Monks.

— Tutaj — odrzekła kobieta. I jakby rada, że może się go pozbyć, rzuciła spieszenie na stół sakiewkę z kozłowej skóry, tak małą, że ledwo zdołałby się w niej zmieścić francuski zegarek. Monks skoczył do niej i otworzył ją drżącymi rękami. Zawierała mały złoty medalionik, w którym były dwa pukle włosów i złota, niczym nie ozdobiona ślubna obrączka.

— Wewnątrz wygrawerowane jest słowo „Agnieszka” — rzekła kobieta. — Na nazwisko pozostawione jest puste miejsce. A dalej jest data — rok przed urodzeniem dziecka. Sprawdziłam to. — I to jest wszystko? — powiedział Monks przyjrzywszy się pilnie i dokładnie zawartości paczuszki.

— Wszystko — odrzekła kobieta.

Pan Bumble odetchnął głęboko, jak gdyby rad, że opowieść się skończyła, a mimo to nie było mowy o odebraniu dwudziestu pięciu funtów. Teraz odważył się wytrzeć pot, który w czasie całej poprzedniej rozmowy spływał mu po nosie.

— Nie wiem nic o tej całej historii prócz tego, czego mogę się domyślać — rzekła jego żona do Monksa po krótkim milczeniu — i nie chcę nic wiedzieć, bo tak jest bezpieczniej. Ale mogę zadać panu dwa pytania, prawda?

— Zadać, owszem — powiedział Monks z nieco zdziwioną miną — ale czy odpowiem, czy nie, to inne pytanie.

— To razem trzy — spróbował zadowcipkować pan Bumble. — Czy to o właśnie spodziewał się pan dostać ode mnie? —

spytała szafarka.

— Tak — odrzekł Monks. — Drugie pytanie?

— Co pan zamierza z tym zrobić? Czy może to być użyte przeciwko mnie?

— Nigdy — odparł Monks. — Ani przeciwko mnie również. Spójrzcie tu. Ale nie ruszajcie się ani na krok naprzód, inaczej nie damę za wasze życie funta kłaków.

Mówiąc to, raptownie odsunął stół i pociągnął za żelazne kółko przymocowane do podłogi. Odchylił w ten sposób dużą klapę, która rozwarła się tuż przed stopami pana Bumble, wskutek czego jegomość ten z wielkim pośpiechem cofnął się o parę kroków.

— Popatrzcie w dół! — powiedział Monks spuszczać latarnię w czeluść. — Nie bójcie się mnie.

Mogłem was przecież spokojnie zepchnąć, kiedyście nad tym siedzieli, gdyby mi o to chodziło.

Na taką zachętę szafarka zbliżyła się do samej krawędzi i nawet pan Bumble, wiedziony ciekawością, zaryzykował to samo. W dole kłębiła się mętna woda, wezbrana ulewnym deszczem, i jej plusk i chlupot o zielone, ośliżne pale tłumiał wszelkie inne odgłosy. Kiedyś było tu w dole koło wodne; prąd pieniał się uderzając i rozbijając o kilka pozostałych szprych i szczątki maszynierii, po czym zdawał się z nowym impetem rwać naprzód, uwolniwszy się od przeszkód, które na próżno usiłowały zahamować jego szalony pęd.

— Gdyby rzucić tu ciało człowieka, gdzie byłoby ono jutra rano? — rzekł Monks huśtając latarnię w ciemnej studni.

— Dwanaście mil w dół rzeki, i do tego rozszarpane na kawałki — odrzekł Bumble wzdrygając się na samą myśl o tym.

Monks wyciągnął pakiecik spod ubrania, gdzie przedtem wsunął go w pośpiechu, przywiązał do leżącego na ziemi ołowianego ciężarka, który kiedyś stanowił część jakiegoś systemu bloczków, i wreszcie rzucił w nurt. Poleciał prosto jak strzała, przeciął wodę z ledwo dosłyszalnym plusnięciem i zniknął.

Wszyscy troje spojrzeli po sobie i jakby odetchnęli swobodnie.

— No! — rzekł Monks zamykając klapę, która opadła ciężko do poprzedniej pozycji. — Jeżeli nawet, jak powiadają książki, morze zwraca niekiedy swoich umarłych, złoto i srebro zatrzymuje sobie, zatrzyma więc i te rupiecie. A teraz nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia i możemy zakończyć naszą miłą pogawędkę.

— Oczywiście — skwapliwie podchwycił pan Bumble.

— Będziesz pan trzymał język za zębami, dobrze? — powiedział Monks z groźbą we wzroku. — Co do pańskiej żony nie mam żadnych obaw.

— Może pan na mnie polegać, młody człowieku — odrzekł pan Bumble z przesadną grzecznością, wśród licznych ukłonów wycofując się stopniowo ku drabinie. — Dla dobra wszystkich, młody człowieku, i dla mego własnego, rozumie pan, panie Monks?

— Ze względu na pana cieszę się, że to słyszę — zauważył Monks. — Zapalcie swoją latarnię! I wynoście się stąd tak szybko, jak tylko potraficie.

Szczerze, że rozmowa na tym się skończyła, gdyż inaczej pan Bumble, którego ukłony zaprowadziły już na odległość sześciu cali od drabiny, byłby niechybnie spadł na łeb na szyję do pokoju na dole.

Zapalił swoją latarnię od tej, którą Monks zdjął ze sznura, i trzymał teraz w ręce, po czym bez dalszych

prób przeciągania konwersacji zeszedł w milczeniu po szczeblach, a za nim żona. Monks zamykał pochód, zatrzymawszy się uprzednio, by sprawdzić, czy na dworze nie słychać nic innego poza deszczem i hukiem rwącej wody.

Przez dolną izbę przeszli zwolna i ostrożnie, Monksa bowiem każdy cień przyprawiał o nerwowe drżenie, a pan Bumble, który trzymał latarkę na wysokość stopy od ziemi, szedł nie tylko z niezwykłą ostrożnością, lecz dziwnie lekkim krokiem jak na człowieka jego tuszy i rozglądał się trwożliwie szukając ukrytych kłap w podłodze. Monks cicho odryglował i odemknął furtkę, przez którą poprzednio weszli. Pożegnawszy się ledwo skinieniem głowy ze swym tajemniczym znajomym, para małżeńska znalazła się na dworze wśród ciemnej nocy i ulewy.

Gdy tylko odeszli, Monks, który najwidoczniej żywił nieprzezwyciężony wstręt do samotności, zawołał na chłopca ukrytego gdzieś w dolnej części budynku. Każąc mu iść przodem i nieść latarnię powrócił do izby, którą przed chwilą opuścił.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY WPROWADZA KILKA WIELCE SZANOWNYCH POSTACI, KTÓRE CZYTELNIKOWI JUŻ SĄ ZNAJOME, I PRZEDSTAWIA NARADĘ MONKSA I FAGINA

Następnego wieczoru po tym, kiedy to zacna trójca wymieniona w poprzednim rozdziale załatwiła swe sprawy w sposób tamże opisany, pan William Sikes zbudziwszy się z drzemki, sennie wymamrotał pytanie, która może być godzina.

Pokój, w którym pytanie to zadał, nie był jednym z wynajmowanych przed wyprawą do Chertsey, choć położony był w tej samej dzielnicy miasta, w niewielkiej odległości od jego poprzedniej kwatery. Na wygląd ustępował dawniejszemu mieszkaniu: był mały, nędzny i lichy umeblowany. Oświetlało go jedno tylko nieduże okno w mansardowym dachu, wychodzące na ciasny i brudny zaułek. Nie brakowało też innych oznak, że stanowisko, jakie zajmował w świecie ów zacny dżentelmen, uległo ostatnio obniżeniu. Niezmiernie skąpe umeblowanie, zupełny brak wygód oraz zniknięcie wszelkich drobnych ruchomości, jak zapasowa odzież i bielizna, świadczyły o krańcowej biedzie; gdyby zaś mało było tych objawów, znalazłyby one pełne potwierdzenie w chudości i wymizerowaniu samego pana Sikesa.

Włamywacz leżał na łóżku owinięty w swą białą burkę, która służyła mu za szlafrok. Trupia, chorobliwa bladość cery, brudna mycka oraz czarny, szpeceniasty tygodniowy zarost nie dodawały bynajmniej piękności jego rysom. Przy łóżku siedział pies, to spoglądając żałośnie na pana, to strzygąc uszami i warcząc z cicha, gdy jakiś szmer na ulicy lub na dolnym piętrze domu przyciągał jego uwagę. Przy oknie, pilnie zajęta łataniem starej kamizelki stanowiącej część codziennego stroju bandyty, siedziała kobieta tak blada i wychudzona czuwaniem po nocach i niedojadaniem, że gdyby nie głos, którym odpowiedziała na pytanie pana Sikesa, trudno by w niej było rozpoznać tę samą Nancy, która już występowała w niniejszej opowieści.

— Parę minut po siódmej — rzekła dziewczyna. — Jak się czujesz dziś wieczór, Bill?

— Słaby jak woda — odparł pan Sikes dodając przekleństwo pod adresem swych oczu i członków. — Chodź no tu! Podaj mi rękę i pomóż mi wydostać się z tego pioruńskiego łóżka, było nie było.

Choroba nie zmieniła na lepsze usposobienia pana Sikesa, gdy bowiem dziewczyna dźwignęła go i prowadziła do krzesła, mruczał różne przekleństwa na jej niezręczność, a nawet uderzył ją.

— Chlipiesz, co? — rzekł Sikes. — No! Nie stój tak i nie siąkaj nosem. Jeżeli cię nie stać na nic lepszego, to wynoś się ze wszystkim! Słyszysz mnie?

— Słyszę — odrzekła dziewczyna odwracając twarz i siląc się na śmiech. — Cóż ci znowu strzeliło do głowy?

— A! Rozmyśliłaś się, co? — warknął Sikes widząc łzy, które drżały na jej rzęsach. — Tym lepiej dla ciebie.

— Ależ, Bill, przecież chyba dziś nie będziesz niedobry dla mnie — rzekła dziewczyna kładąc dłoń na jego ramieniu.

— No, wiesz! — zawołał Sikes. — A dlaczegożby nie?

— Tyle nocy — rzekła dziewczyna z jakąś nutą kobiecej tkliwości, która nawet jej głosowi zdołała nadać pewną słodycz — tyle nocy byłam dla ciebie cierpliwa, pielęgnowałam cię i dbałam o ciebie jak o dziecko. Dziś po raz pierwszy widzę cię podobnym do siebie. Gdybyś o tym pomyślał, nie byłbyś postąpił ze mną jak przed chwilą, prawda? Proszę, proszę, powiedz, że nie.

— No więc — rzekł Sikes — nie byłbym. Ej, do diabła, ta dziewucha znów chlipie!

— To nic — rzekła dziewczyna i opadła na krzesło. — Nic sobie ze mnie nie rób. To zaraz przejdzie.

— Co przejdzie? — zapytał pan Sikes dzikim głosem. — Co to za głupstwa przychodzą ci znowu do głowy? Wstań, zakrzętnij się i nie zawracaj mi więcej głowy swoimi babskimi głupstwami.

Kiedy indziej napomnienie to oraz ton, którym zostało wygłoszone, odniosłoby pożądaną skuteczną. Ale że dziewczyna była naprawdę słaba i wyczerpana, więc opuściła głowę na poręcz krzesła i zemdląca,

nim pan Sikes zdążył wypowiedzieć odpowiednie w tej sytuacji przekleństwa, którymi w podobnych okolicznościach miał zwyczaj krasić swe pogróżki. W tej niezwyklej sytuacji nie bardzo wiedział, co począc, gdyż histeria panny Nancy należała zazwyczaj do owego typu gwałtownego, który pacjentka zwalcza i pokonywa bez poważniejszej pomocy. Pan Sikes spróbował klątw, lecz widząc, iż ten sposób leczenia jest całkowicie bezskuteczny, zawołał o pomoc.

— Cóż się tu dzieje, mój drogi? — spytał Fagin zaglądając do pokoju.

— Pomóż mi coś zrobić z tą dziewczyną, dobrze? — odrzekł Sikes niecierpliwie. — Nie papłaj i nie szczerz do mnie zębów, tylko chodź tutaj.

Z okrzykiem zdziwienia Fagin pośpieszył na ratunek dziewczynie, podczas gdy pan Jack Dawkins (alias Przemysłny Krętacz), który wszedł do pokoju za swym czcigodnym przyjacielem, prędko złożył na ziemi dźwigany przez siebie toból i schwyciwszy butelkę z rąk idącego tuż za nim imć pana Karola Batesa odkorkował ją zębami w mgnieniu oka i wlał trochę jej zawartości do gardła chorej. Przedtem wszakże zdążył sam spróbować łyk, by zabezpieczyć się przed możliwością pomyłki.

— Weź miech i puść na nią trochę świeżego powietrza, Karolku — powiedział pan Dawkins. — Ty rozetrzyj jej ręce, Fagin, a tymczasem Bill porozpina jej halki.

Skutki tych połączonych zabiegów, stosowanych z wielką energią (zwłaszcza jeżeli chodzi o dział wyznaczony imć panu Batesowi, który swój udział w całej tej akcji zdawał się uważać za bezprzykładnie ucieszną zabawę) nie dały na siebie długo czekać. Dziewczyna stopniowo odzyskała przytomność, po czym chwiejnym krokiem podeszła do krzesła przy łóżku, rzuciła się na nie i ukryła twarz w poduszce, pozostawiając witanie nowoprzybyłych panu Sikesowi, nieco zdziwionemu ich nieoczekiwanym pojawieniem się.

— Cóż to za zły wiatr przywiał was tutaj? — spytał Fagina.

— Wcale nie żaden zły wiatr, mój drogi. Złe wiatry nikomu nic dobrego nie przynoszą, a ja przyniosłem ze sobą coś dobrego, z czego się bardzo ucieszysz. Krętaczu, mój drogi, otwórz no tłumok i daj Billowi te drobiazgi, na które wydaliśmy dziś rano wszystkie nasze pieniądze.

Zgodnie z życzeniem pana Fagina, Przemysłny rozwiązał duży toból sporządzony ze starego obrusa, po czym zawarte w nim artykuły jał podawać kolejno Karolkowi Bates, który kładł je na stole wśród różnych górnołotnych zachwyków nad ich rzadką doskonałością.

— Taka zapiekanka z królika, Bill — wykrzykiwał ów młodzian odsłaniając przed oczyma zebranych olbrzymi kawał mięsa w cieście — takie delikatne stworzenia, z takimi mięciutkimi członkami, Bill, że nawet kości rozpływają ci się w ustach i nie potrzeba ich wydłubywać z zębów. Pół funta chińskiej herbaty po siedem i pół szylinga, takiej mocnej, że jak ją zalejesz gotującą wodą, zdmuchnie ci pokrywkę z imbryczka. Półtora funta cukru, przy którym Murzyni nic się nie narobili, o, nie! zanim go doprowadzili do takiego szczytu doskonałości. Dwa dwufuntowe bochny chleba, funt najlepszego świeżego maselka, kawałek sera i na domiar wszystkiego najlepszy trunek, jakim się kiedykolwiek delektowałeś.

Wygłosiwszy ten ostatni panegiryk imć pan Bates wydobył

z jednej ze swych przepaścistych kieszeni dużą, starannie zakorkowaną butelkę od wina, a w tej samej chwili pan Dawkins nalał

z butelki, którą sam przyniósł, pełny kieliszek czystego spirytusu, który chory włamywacz wypił duszkiem bez namysłu.

— A! — rzekł Fagin zacierając ręce z wielkim zadowoleniem. — Będziesz zdrów, Bill, teraz będziesz zdrów.

— Zdrów! — wykrzyknął pan Sikes. — Mogłem zdechnąć ze dwadzieścia razy, nimbyście zrobili cośkolwiek, żeby mi pomóc. Co ty sobie myślisz zostawiając człowieka samego w tym stanie przez więcej niż trzy tygodnie, ty łajdaku bez czci i wiary?

— Posłuchajcie go tylko, chłopcy! — rzekł Fagin wzruszając ramionami. — A myśmy mu przynieśli te wszystkie przepiękne rzeczy.

— Rzeczy jak rzeczy, są nienajgorsze — zauważył pan Sikes, ułagodzony nieco oględzinami stołu — ale jak potrafisz się wytłumaczyć z tego, żeś mnie tu zostawił z nosem na kwintę, chorego, bez grosza i tak dalej, i że przez cały ten przekłety czas dbałeś o mnie akurat tyle, jak gdybym był tym oto psem? Wypuść go, Karolku.

— Nigdy nie widziałem milszego psiaka! — zawołał imć pan Bates. — Węszy żarcie jak stara panusia, kiedy idzie na targ. Ten pies zrobiłby majątek na scenie i jeszcze oprócz tego teatr odrodziłby się dzięki niemu.

— Stul pysk! — krzyknął Sikes, podczas gdy pies, wciąż warcząc gniewnie, wycofywał się pod łóżko.

— A ty, co powiesz na swoją obronę, ty zmurszały, stary paserze?

— Nie było mnie w Londynie przeszło tydzień, mój drogi. Wyjeżdżałem w pewnej sprawie — odrzekł Fagin.

— A co z tamtymi dwoma tygodniami? — zapytał Sikes. — Co z tamtymi dwoma tygodniami, podczas których zostawiliście mnie leżącego tutaj jak chorego szczura w norze?

— Nie mogłem nic na to poradzić, Bill. Nie mogę ci tego wytłumaczyć szczegółowo, bo nie jesteśmy sami, ale nie mogłem nic na to poradzić, na mój honor.

— Na twój — co takiego? — warknął Sikes z niewymownym obrzydzeniem. — Hej, chłopcy, ukrój mi tam który kawałek tej zapiekanki, żebym mógł sobie przetrzeć gębę po tym paskudztwie, inaczej udławię się na śmierć.

— Nie złość się, mój drogi — nalegał pokornie staruch. — Ani przez chwilę o tobie nie zapomniałem, Bill, ani przez chwilę.

— Nie! Szyję dam, żeś o mnie nie zapomniał — odparł Sikes krzywiąc się w gorzkim uśmiechu. — Przez cały czas, kiedy mnie tu gorączka paliła i trzęsa, tyś tam sobie obmyślał i knuł plany, a w nich Bill miał zrobić to, Bill miał zrobić tamto, Bill miał zrobić wszystko, i to za marne grosze, jak tylko wyzdrowieje i zbiednieje na tyle, żeby się ona wszystko godził. Gdyby nie dziewczyna, byłbym może umarł.

— Otóż to, Bill — upomniał go Fagin, skwapliwie łapiąc go za słowo. — Gdyby nie dziewczyna! A dzięki komu, jak nie dzięki biednemu staremu Faginowi, masz koło siebie taką obrotną dziewczynę?

— W tym on ma świętą rację! — wtrąciła pośpiesznie Nancy. — Daj mu spokój, daj mu spokój.

Wystąpienie Nancy nadało rozmowie nowy obrót. Chłopcy bowiem na chytre mrugnięcie przezornego starucha jęli obficie częstować ją alkoholem, którego ona jednakże piła bardzo niewiele. Fagin tymczasem, zachowując się z niezwykłą u niego wesołością, stopniowo wprowadził pana Sikesa w lepszy humor, udając, że uważa jego pogróżki za miłe przekomarzanie się, oraz śmiejąc się bardzo serdecznie z paru grubych dowcipów, które włamywacz raczył powiedzieć pociągnawszy przedtem wielokrotnie z butelki.

— Wszystko to bardzo pięknie — rzekł pan Sikes — ale muszę dziś dostać od ciebie trochę gotówki.

— Nie mam przy sobie ani grosza — odpowiedział Fagin.

— W takim razie masz ich dużo w domu — odpalił Sikes — i musisz mi ich stamtąd trochę dać.

— Dużo! — zawołał Fagin wznosząc ręce do nieba. — Nie mam nawet tyle, żeby...

— Nie wiem, ile masz, i ty pewno też nie bardzo wiesz, bo dużo trzeba by czasu, żeby je policzyć — rzekł Sikes — ale dziś wieczór muszę trochę dostać i kwita.

— No no — powiedział Fagin z westchnieniem — zaraz pošlę Przemysłnego.

— Nie zrobisz tego — odrzekł Sikes. — Przemysłny jest o wiele za przemysłny i gdybyś jego użył na pewno zapomniałby wrócić albo zablądziłby, albo policjanci zaczęliby go śledzić i to by mu przeszkodziło, albo znalazłby sobie byle jaką inną wymówkę. Dla pewności niech Nancy pójdzie z tobą po pieniądze, a ja tymczasem położę się i zdrzemnę trochę.

Po długich targach i kłótniach Fagin utargował kwotę żądanej zaliczki z pięciu funtów na trzy funty, cztery szylingi i sześć pensów, zaklinając się przy tym uroczyście, że zostanie mu tylko osiemnaście pensów na gospodarstwo. Pan Sikes zauważył z kwaśną miną, że jeżeli nie może dostać więcej, to musi poprzestać na tej sumie. Nancy zaczęła się tedy przygotowywać do drogi, podczas gdy Krętacz i imć pan Bates wkładali jadło do szafy. Następnie Żyd, pożegnawszy się ze swym kochającym przyjacielem, wybrał się do domu w towarzystwie Nancy i chłopców, a tymczasem pan Sikes rzucił się na łóżko, by przespać czas nieobecności panienki.

Zgodnie ze swymi zamiarami doszli do mieszkania Fagina, gdzie zastali Toby'ego Crackita i pana Chitlinga, pochłoniętych piętnastą już z kolei partią „mączka”. Nie potrzeba dodawać, że przegrał ją drugi z panów, a wraz z nią — swoją piętnastą i ostatnią sześciopensówkę, co wzbudziło wielką uciechę jego młodych przyjaciół. Pan Crackit był wyraźnie zawstydzony, że zastano go zabawiającego się z kimś o tyle niższym od niego stanowiskiem i zdolnościami umysłowymi. Ziewnął i spytałszy o Sikesa wziął kapelusz i jął się zbierać do odejścia.

— Nikogo nie było, Toby? — spytał Fagin.

— Żywego ducha — odpowiedział pan Crackit naciągając kołnierz na uszy. — Nudno było, że aż strach. Powinieneś mi coś ładnego postawić, Fagin, w nagrodę za to, że tak długo pilnowałem tu gospodarstwa. Niech mnie diabli, znudzony jestem jak członek ławy przysięgłych. Byłbym zasnął jak amen w pacierzu, gdybym przez dobre serce nie zabawiał tego młokosa. Niech mnie licho porwie, jeżeli nie jestem okropnie znudzony!

Wśród tych i tym podobnych wykrzykników pan Toby Crackit zgarnął swoją wygraną i z wyniosłą miną wsunął ją do kieszeni kamizelki, jak gdyby takie drobne srebrne monety niegodne były uwagi człowieka jego pokroju. Następnie zawiadackim krokiem wyszedł z pokoju z takim szykiem i wytworną gracją, że pan Chitling pełnym podziwu wzrokiem powiódł za jego nogami i butami, póki nie zniknęły z pola widzenia, a potem zapewnił całe towarzystwo, iż uważa, że piętnaście sześciopensówek to niska cena za taką znajomość i że nie żałuje przegranej ani odrobinę.

— Ależ z ciebie dziwny chłop, Tom! — rzekł imć pan Bates, wielce ubawiony tym oświadczeniem.

— Wcale nie — odrzekł pan Chitling. — Prawda, Fagin?

— Bardzo sprytny z ciebie chłopak, mój drogi — rzekł Fagin klepiąc go po ramieniu i mrugając porozumiewawczo do pozostałych uczniów.

— A pan Crackit to naprawdę wspaniały elegant, nie, Fagin? — spytał Tom.

— To nie ulega żadnej wątpliwości, mój drogi.

— I to jest zaszczytna rzecz być jego znajomym, prawda, Fagin? — ciągnął Tom.

— Ależ oczywiście, jak najbardziej, mój drogi. Oni są tylko zazdrośni, Tom, ponieważ on się z nimi nie zadaje.

— Aha! — zawołał Tom triumfalnie. — W tym właśnie rzecz! On mnie ograł. Ale przecież mogę pójść zarobić więcej, jak tylko zechcę, prawda, Fagin?

— Oczywiście, że możesz, Tom, i im wcześniej, tym lepiej. Więc od razu zabierz się do nadrobienia straty, nie tracąc więcej czasu. Krętać! Karolek! Czas się wziąć do roboty. No! Już! Blisko dziesiąta, a nic jeszcze nie zrobione.

Posłuszni temu wezwaniu, chłopcy kiwnęli głowami Nancy, wzięli kapelusze i wyszli z pokoju. Po drodze Krętać i jego wesoły przyjaciel pozwalali sobie na wiele dowcipów kosztem pana Chitlinga. A przecież trzeba sprawiedliwie stwierdzić, że w postępowaniu tego ostatniego nie było nic szczególnie zwracającego uwagę ani nic osobliwego. W Londynie jest bowiem wielu dziarskich złotych młodzieńców, którzy płacą znacznie wyższą cenę niż pan Chitling za to, by być widzianymi w dobrym towarzystwie. Jest też wielu wytwornych dżentelmenów (składających się na wyżej wymienione dobre towarzystwo), którzy zdobywają sobie reputację w sposób bardzo zbliżony do tego, którym posługiwał się „elegant” Toby Crackit.

— No, a teraz — rzekł Fagin po ich wyjściu — przyniosę ci te pieniądze, Nancy. To jest tylko kluczyk od szafki, gdzie trzymam trochę różnych drobiazgów, które mi chłopcy znoszą, moja droga. Pieniądzy nigdy na klucz nie zamykam, bo i nie ma co zamykać, moja droga — ha! ha! ha! — nie ma co zamykać. Marny to fach, Nancy, i niewdzięczny. Ale lubię widzieć młodzież koło siebie, więc znoszę to wszystko, znoszę to wszystko. Sza! — rzekł chowając szybko kluczyk za pazuchę. — Kto to? Posłuchaj!

Dziewczyna, która z założonymi rękoma siedziała przy stole, zdawała się nie interesować zupełnie gościem ani też troszczyć o to, czy gość ten, kimkolwiek był, zostanie, czy pójdzie sobie. Tak było dopóty, dopóki nie usłyszała przyciszzonego męskiego głosu. Skoro tylko dźwięk ten doszedł do jej uszu, z szybkością błyskawicy zerwała kapelusz i szal i rzuciła je pod stół. Kiedy Żyd w chwilę potem odwrócił się w jej stronę, bąknęła jakąś skargę na gorąco w pokoju, omdlałym tonem, kontrastującym uderzająco z niezmiernym pośpiechem i gwałtownością tamtego czynu; Fagin jednak nic nie zauważył, gdyż stał wówczas odwrócony do niej plecami.

— Ba — szepnął, jak gdyby zły, że mu przerwano. — To człowiek, którego się przedtem spodziewałem. Schodzi teraz na dół. Ani słowa o pieniądzach, póki on tu będzie, Nancy. Nie zabawi długo, mniej niż dziesięć minut, moja droga.

Położywszy chudy palec na ustach, Żyd podszedł ze świecą do drzwi w chwili, kiedy na schodach za nimi dały się słyszeć kroki mężczyzny. Doszedł do drzwi jednocześnie z gościem, który wszedł prędko do pokoju i zauważył dziewczynę wtedy dopiero, kiedy znalazł się tuż przy niej.

Był to Monks.

— To tylko jedna z moich młodych przyjaciółek — rzekł Fagin widząc, że Monks cofa się na widok nieznanym. — Możesz siedzieć dalej, Nancy.

Dziewczyna przysunęła się bliżej do stołu i spojrzawszy raz niedbale na Monksa, spuściła oczy. Kiedy jednak zwrócił się do Fagina, rzuciła na niego ukradkiem jeszcze jedno spojrzenie, tak bystre i badawcze, tak znaczące, że gdyby znalazł się świadek tej przemiany, trudno by mu było uwierzyć, że dwa te spojrzenia mogły pochodzić od jednej i tej samej osoby.

— Są jakie wiadomości? — spytał Fagin.

— Bardzo ważne.

— A... a... dobre? — Fagin zawahał się, jak gdyby się bał rozgniewać tamtego zbytnią niecierpliwością.

— W każdym razie nie złe — odrzekł Monks z uśmiechem. — Tym razem byłem dość szybki w działaniu. Chciałbym zamienić z tobą parę słów.

Dziewczyna przysunęła się bliżej stołu i nie zaproponowała, że opuści pokój, choć wiedziała, że Monks pokazuje na nią palcem. Żyd zląkł się zapewne, iż może ona powiedzieć coś głośno o pieniądzach, jeśli będzie się starał jej pozbyć, wskazał bowiem ręką na sufit i wyprowadził Monksa z pokoju.

— Nie do tej piekielnej dziury, w której rozmawialiśmy wtedy — usłyszała słowa mężczyzny, kiedy szli po schodach na górę. Fagin zaśmiał się i odpowiedział coś, czego nie dosłyszała. Ze skrzypienia desek można było wywnioskować, że prowadzi towarzysza na drugie piętro.

Nim echo ich kroków przestało rozbrzmiewać po domu, dziewczyna zsunęła z nóg trzewiki, narzuciła spódnicę luźno na głowę, otuliła w nią ramiona i stanęła pod drzwiami, nasłuchując z zapartym tchem. Gdy tylko hałas ustał, wysłiznęła się z pokoju, nieprawdopodobnie cicho i lekko weszła na schody i znikła w mroku na górze.

Przez kwadrans czy więcej pokój pozostawał pusty, po czym dziewczyna wśliznęła się doń z powrotem tym samym lekkim, jakby nieczłowieczym krokiem, a zaraz potem słychać było, jak schodzą obaj mężczyźni. Monks poszedł prosto na ulicę, a Żyd poczłapał znów na górę po pieniądze. Kiedy wrócił, dziewczyna poprawiała na sobie szal i czepek, jak gdyby przygotowywała się do odejścia.

— Ależ, Nancy — wykrzyknął Żyd i cofnął się z niepokojem, stawiając świecę na stole — jakaś ty błada!

— Błada! — powtórzyła dziewczyna przysłaniając oczy ręką, jak gdyby chciała dobrze mu się przyjrzeć. — Coś okropnego. Co ci się stało?

— Nie wiem o niczym, chyba to, że siedziałam w tym dusznym pokoju nie wiedzieć jak długo — odparła dziewczyna niedbale. — No! puść mnie już stąd, jeśli łaska.

Wzdychając nad każdą monetą, Fagin wyliczył jej na dłoń umówioną sumę. Rozstali się bez dalszej rozmowy, rzuciwszy sobie zaledwie: „Dobranoc!”

Kiedy dziewczyna wydostała się na ulicę, usiadła na jakimś progu i przez chwilę zdawała się zupełnie oszołomiona i niezdolna do dalszej drogi. Nagle wstała i pospieszyła w kierunku wręcz przeciwnym do tego, gdzie czekał ją Sikes. Przyspieszała kroku, aż stopniowo przeszedł on w gwałtowny bieg. Po pewnym czasie, zupełnie wyczerpana, zatrzymała się dla nabrania tchu i jakby nagle oprzytomniawszy, w rozpacz, że nie może uczynić tego, co chce, załamała ręce i wybuchnęła płaczem.

Może łzy przyniosły jej ulgę, a może poczuła pełną beznadziejność swego położenia; dość, że zawróciła i pomknęła z taką samą prawie szybkością w przeciwnym kierunku, częściowo, aby nadrobić czas Stracony, częściowo zaś, aby dotrzymać tempa gwałtownemu biegowi własnych myśli. W ten sposób wkrótce przybyła do domu, w którym pozostawiła włamywacza.

Jeśli stanąwszy przed panem Sikesem zdradzała pewne podniecenie, on tego nie zauważył. Zapytał tylko, czy przyniosła pieniądze, a gdy otrzymał odpowiedź twierdzącą, mruknął coś z zadowoleniem i przyłożywszy głowę do poduszki, zapadł na nowo w sen przerwany jej przybyciem.

Szczerze dla niej było, że posiadanie pieniędzy dało mu nazajutrz okazję do ciągłego jedzenia i picia, co z kolei miało ten dobroczynny skutek, że złagodziło jego przykry humor. Nie miał tedy ani czasu, ani ochoty zbyt krytycznie odnosić się do jej zachowania i wyglądu. Fakt, że była roztargniona i nerwowa jak ktoś, kto znajduje się w przededniu śmiałego i ryzykownego czynu, na który zdecydował się po ciężkiej walce, nie uszedłby bystrym oczom Fagina i byłby go najprawdopodobniej od razu zaniepokoił. Lecz panu Sikesowi brakowało wyostrzonych zdolności poznawczych, nie trapiły go żadne, większą przenikliwością pobudzone złe przeczucia poza tymi, które przejawiają się w uporczywym grubiaństwie w stosunku do wszystkich. A że był on ponadto, jak już się rzekło, w niezwykle dobrym usposobieniu, przeto nie zauważył nic nadzwyczajnego w zachowaniu Nancy. Tak mało w istocie zwracał na nią uwagi, że gdyby nawet jej wzburzenie było daleko bardziej widoczne, najpewniej nie wzbudziłoby jego podejrzeń.

W miarę jak dzień dobiegał końca, podniecenie dziewczyny rosło. Gdy wieczór zapadł, a ona siadła, by czekać, aż włamywacz zaśnie pod wpływem trunku, policzki jej pokryła niezwykła błądź, a w oczach zapalił się ogień, który nawet Sikes zauważył ze zdziwieniem.

Pan Sikes, osłabiony gorączką, leżał w łóżku i popijał gin zmieszany z gorącą wodą w celu uczynienia go mniej palącym. Podsunął swą szklankę Nancy, aby ją po raz trzeci czy czwarty napełniła, gdy uderzyły go te objawy.

— Niech mnie piorun trzaśnie! — rzekł unosząc się na rękach i wlepiając oczy w twarz dziewczyny.

— Wyglądasz jak trap, który ożył. Co się stało?

— Stało? — odrzekła dziewczyna. — Nic. Dlaczego mi się tak przyglądasz?

— Cóż to za błazeństwa? — Sikes chwycił ją za ramię i potrzasał nią brutalnie. — O co chodzi? Go to znaczy? O czym myślisz?

— O wielu rzeczach, Bill — odrzekła dziewczyna drżąc i przyciskając dłonie do oczu. — Ach, Boże mój! Czy to nie wszystko jedno?

Ton wymuszonej wesołości, którym wypowiedziane były ostatnie słowa, wywarł głębsze wrażenie na Sikesie niż błędne i osłupiałe spojrzenie, które je poprzedziło.

— Powiem ci, co to znaczy — rzekł Sikes. — Jeżeli nie złapałaś febry i cna cię teraz nie bierze, to w takim razie w powietrzu jest coś niezwykłego i w dodatku niebezpiecznego. Przecież ty nie... Nie, do diabła! Tego byś nie zrobiła.

— Czego bym nie zrobiła? — spytała dziewczyna.

— Nie ma przecież — wymamrotał sam do siebie Sikes trzymając oczy utkwione w jej twarzy — nie ma przecież na świecie pewniejszej dziewczyny, inaczej byłbym jej poderznął gardło trzy miesiące temu. Febra ją bierze, nic innego.

Pokrzepiony na duchu tym zapewnieniem, Sikes wychylił do dna szklankę, po czym mamrocząc liczne przekleństwa zawołał

o lekarstwo. Dziewczyna zerwała się z wielką skwapliwością i naląła je szybko, ale odwrócona tyłem do Sikesa. Następnie podała mu do ust naczynie, a on wypił jego zawartość.

— A teraz — rzekł bandyta — chodź tu i usiądź przy mnie. A nałóż no z powrotem swoją zwykłą gębę, bo inaczej tak ci ją przerobię, że sama jej nie poznasz, kiedy będziesz jej naprawdę potrzebowała.

Dziewczyna usłuchała. Sikes przytrzymał jej rękę w swojej, opadł na poduszkę i zwrócił oczy na jej twarz. Oczy te zamknęły się, otwarły znowu, zamknęły raz jeszcze i znów otwarły. Niespokojnie zmieniał pozycję i zadrzemał parę razy na dwie czy trzy minuty; za każdym razem zrywał się jednak z wyrazem przerażenia i rozglądał błędnie dokoła. Wreszcie w chwili, kiedy się znów miał podnieść, zapadł nagle, jak porażony, w ciężki, głęboki sen. Ucisk jego ręki zelżał, wzniesione ramię opadło bezwładnie. Leżał teraz jak człowiek pogrążony w głębokim transie.

— Laudanum podziałało nareszcie — szepnęła dziewczyna powstając z miejsca. — Może i tak już nie zdążę.

Nalozyla z pośpiechem kapelusza i szala, oglądając się raz po raz trwożliwie, jak gdyby mimo nasennego środka oczekiwała lada chwila ucisku ciężkiej dłoni Sikesa na swym ramieniu. Pochyliła się delikatnie nad łóżkiem i ucałowała wargi bandyty, a potem cichutko otworzywszy i zamknawszy drzwi, szybko wyszła z domu.

W ciemnym zaułku, przez który wypadła jej droga, nim wydostała się na główną ulicę, stróż nocny obwoływał godzinę: pół do dziesiątej.

— Czy dawno już minęło pół? — spytała dziewczyna.

— Jeszcze kwadrans, a wybije godzina — odparł stróż podnosząc latarnię do jej twarzy.

— A ja nie będę mogła się tam dostać prędzej niż za godzinę albo i więcej — mruknęła Nancy.

Wyminięła szybko stróża i prędko pomknęła ulicą.

Wiele sklepów zamykało się już na wąskich uliczkach i zaułkach, wśród których szukała drogi ze Spitalfields ku zachodniej dzielnicy Londynu. Zegar wybił dziesiątą, co zwiększyło jej niecierpliwość. Pędziła po wąskim chodniku, łokciami roztrzaskując przechodniów; tuż przed łbami końskimi przebiegała zatłoczona jezdnie tam, gdzie inni zbierali się w gromadki, by wyczekać odpowiedniejszej chwili.

— Oszałała kobieta! — mówili ludzie odwracając się za nią i patrząc, jak pędzi.

Kiedy dotarła do zamożniejszej dzielnicy miasta, ulice były stosunkowo puste. Tutaj jej szalony bieg wzbudzał jeszcze większą ciekawość w zapóźnionych przechodniach, których szybko mijała.

Niektórzy sami przyśpieszali kroku, jak gdyby chcieli się przekonać, dokąd biegnie z tak niezwykłą szybkością; paru zastąpiło jej drogę i patrzyło za nią potem w zdumieniu, że nie zwolniła tempa.

Wszyscy jednak odpadali jeden za drugim i kiedy zbliżyła się do miejsca przeznaczenia, była zupełnie sama.

Był to pensjonat przy spokojnej, ale eleganckiej ulicy w pobliżu Hyde Park. Kiedy dotarła na miejsce, wiedziona światłem latarni palącej się u wejścia, zegar wybijał jedenastą. Przez chwilę ociągała się jakby niepewna, zbierając odwagę, by pójść dalej, lecz na dźwięk ten zdecydowała się i weszła do hallu. Krzesło portiera było puste. Rozejrzała się niepewnie i podeszła do schodów.

— Ej, moja panno! — zawołała elegancko ubrana kobieta, która wyjrzała z jakichś drzwi za jej plecami. — Kogo panna tu szuka?

— Jednej damy, która zatrzymała się w tym domu — odrzekła dziewczyna.

— Damy! — brzmiała odpowiedź, której towarzyszyło pogardliwe spojrzenie. — Jakiej damy?

— Panny Maylie — rzekła Nancy.

Młoda kobieta, która tymczasem przyjrzała się jej dokładnie, odpowiedziała tylko spojrzeniem pełnym cnotliwej wzgardy i wezwała jakiegoś mężczyznę, by się z nią rozmówił. Jemu też Nancy powtórzyła swe żądanie.

— Jakie nazwisko mam podać? — spytał służący.

— Nazwisko na nic się nie przyda — odrzekła Nancy.

— Ani w jakiej sprawie? — spytał mężczyzna.

— Nie, i tego też nie trzeba — odparła dziewczyna. — Muszę się widzieć z tą panią.

— Ejże! — rzekł mężczyzna popychając ją ku wyjściu. — Nic z tego. Zabieraj się stąd!

— Jeżeli mam się stąd ruszyć, musicie mnie wynieść! — zawołała porywczo dziewczyna. — A jak się postaram, to wam obojgu nie w smak pójdzie ta robota! Czy nie ma tu nikogo — rozejrzała się wkoło — kto zanieś te parę słów od takiej nieszczęśliwej jak ja dziewczyny?

Apel ten zrobił wrażenie na poczciwym wyglądającym kucharzu, który z paru innymi służącymi przyglądał się tej scenie, a teraz wystąpił naprzód i wtrącił się.

— Zrób to dla niej, Joe, dobrze? — rzekł ów człowiek.

— I co z tego? — odparł służący. — Chyba nie przypuszczasz, że ta paniąka przyjmie taką jak ona, co?

Ta aluzja do wątpliwej kondycji Nancy wzbudziła falę cnotliwego oburzenia w łonach czterech pokojówek, które z wielkim zapalem orzekły, że ta istota przynosi hańbę swej płci, i opowiedziały się z całą energią za bezlitosnym wyrzuceniem jej do rynsztoka.

— Róbcie ze mną, co chcecie — rzekła dziewczyna zwracając się ponownie do mężczyzn — ale najpierw zróbcie to, o co was proszę, a proszę was w imię Boga wszechmogącego, powtórzcie moją prośbę.

Dobroduszny kucharz wstawił się za nią i w rezultacie ów mężczyzna, który pojawił się pierwszy, podjął się zanieść zlecenie.

— Co mam powiedzieć? — spytał z jedną nogą na stopniach schodów.

— Że pewna młoda kobieta usilnie prosi o rozmowę w cztery oczy z panną Maylie — rzekła Nancy — i że kiedy tylko ta

pani usłyszy jej pierwsze słowa, będzie wiedziała, czy ma ją wysłuchać, czy kazać wyrzucić za drzwi jako oszustkę.

— No, no! — powiedział mężczyzna. — Ostro się panna bierzesz do rzeczy!

— Proszę tylko powtórzyć moje zlecenie — odparła stanowczo dziewczyna — i przynieść mi odpowiedź.

Mężczyzna pobiegł na górę. Nancy czekała, blada i prawie bez tchu, z drżącymi wargami wysłuchując głośniejszych wyrazów pogardy, których nie szczędziły jej cnotliwe pokojówki i które stały się jeszcze głośniejsze, kiedy służący powrócił z oznajmieniem, że młoda kobieta ma iść na górę.

— Nie oplaca się być przyzwoitym na tym świecie — orzekła pierwsza pokojówka.

— Bezwstyd może więcej niż wypróbowana cnota — powiedziała druga.

Trzecia poprzestała na wydziwianiu: „Co też to panie mają w głowie”, a czwarta dała hasło do okrzyku: „Wstyd!”, którym to kwartetem czyste Diany zakończyły swój występ.

Nie bacząc na to wszystko — miała bowiem ważniejsze sprawy na sercu — Nancy, cała drżąca, posłała za służącym do małego przedpokoiku oświetlonego lampą wiszącą u sufitu. Tu pozostawiono ją samą.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY NIEZWYKŁA ROZMOWA BĘDĄCA DALSZYM CIĄGIEM POPRZEDNIEGO ROZDZIAŁU

Dziewczyna przemarnowała swoje życie na ulicy, w najbardziej hałaśliwych domach rozpusty i złodziejskich melinach Londynu, ale zostało w niej jeszcze coś z nieskażonej natury kobiecej. Toteż kiedy usłyszała lekkie kroki za drzwiami znajdującymi się naprzeciwko tych, którymi weszła, i kiedy pomyślała o ostrym kontraście, którego świadkiem stanie się za chwilę ten pokój, ugięła się pod poczuciem własnego głębokiego pohańbienia i skuliła się, jak gdyby trudno jej było znieść obecność tej, z którą przedtem tak bardzo chciała się zobaczyć.

Lecz z tymi lepszymi uczuciami walczyła pycha — grzech, zarówno najniższych i najbardziej upodlonych istot jak i wysoko postawionych i pewnych siebie. Nędzna towarzyszka złodziei i łotrzyków, upadły wyrzutek obracający się w podejrzanych spelunkach, współniczka bywalców aresztów i więzień, sama żyjąca w cieniu szubienicy — nawet ta tak zepsuta istota czuła się zbyt dumna, aby zdradzić nikłą iskierkę kobiecego uczucia. Uważała je bowiem za słabość, choć było to jedyne, co wiązała ją z ową ludzkością, której tyle, tyle cech zatarło w niej już w dzieciństwie zmarnowane życie.

Podniosła oczy trochę tylko, co wystarczyło, by zauważyć, że ta, która weszła, jest wiotkim i pięknym dziewczęciem, następnie znów skierowała wzrok na ziemię i ze sztuczną obojętnością potrząsnęła głową, mówiąc:

— Ciężka to rzecz dostać się do pani. Gdybym się była obraziła i odeszła, jak to niejedna byłaby zrobiła na moim miejscu, pożałowałaby pani tego kiedyś, i to nie bez powodu.

— Bardzo mi przykro, jeśli ktokolwiek zachował się wobec pani niegrzecznie — odrzekła Róża. — Niech pani zapomni o tym. Proszę mi powiedzieć, dlaczego chciała się pani ze mną zobaczyć. Ja jestem tą, o którą pani pytała.

Uprzejmy ton odpowiedzi, słodki głos, łagodne obejście, brak wszelkiego akcentu wyniosłości lub niezadowolenia — wszystko to zupełnie zaskoczyło dziewczynę. Wybuchnęła łkaniem.

— Och, panienko, panienko! — zawołała namiętnie, splatając dłonie i zasłaniając nimi twarz. —

Gdyby było więcej takich jak pani, byłoby mniej takich jak ja — naprawdę — naprawdę!

— Niech pani usiądzie — rzekła Róża poważnie. — Jeżeli pani jest w biedzie czy w nieszczęściu, z prawdziwą przyjemnością pani pomogę, jeżeli tylko będę mogła. Na pewno to zrobię. Niechże pani usiądzie.

— Proszę pozwolić mi stać, panienko — mówiła dziewczyna wciąż jeszcze szlochając. — I niech pani nie przemawia do mnie z taką dobrocią, zanim mnie pani lepiej nie pozna. Robi się późno. Czy... czy... te drzwi są zamknięte?

— Tak — rzekła Róża cofając się o parę kroków, jakby po to, aby znaleźć bliżej pomoc, w razie gdyby jej potrzebowała. — Dlaczego?

— Dlatego — odparła dziewczyna — że za chwilę złożę swoje życie i życie innych w pani ręce. Ja jestem tą dziewczyną, która zawlokła małego Oliwera z powrotem do starego Fagina tego wieczoru, kiedy wyszedł z domu na Pentonville.

— Pani! — zawołała Róża Maylie.

— Ja, panienko! — odrzekła dziewczyna. — To ja jestem tą niegodną istotą, o której pani słyszała. To ja żyję pomiędzy złodziejami i Bóg mi świadkiem — nigdy, od pierwszej chwili, kiedy moje oczy i uszy otworzyły się na ulice londyńskie, nie pamiętam, bym zaznała lepszego życia ani życzliwszych słów niż te, które oni mi dali. Niech się pani nie kępuje otwarcie odsunąć ode mnie, panienko.

Młodsza jestem, niż pani mogłaby myśleć patrząc na mnie, ale zdążyłam już do tego przywyknąć. Najbardziej kobiety usuwają się przede mną, kiedy idę po zatłoczonym chodniku.

— Jakież to okropne! — rzekła Róża odsuwając się mimo woli od swej dziwnej rozmówczyni.

— Niech pani na klęczkach Bogu dziękuje, droga panienko — zawołała dziewczyna — że miała pani przyjaciół, którzy dbali o panią i opiekowali się panią w dzieciństwie, i że nigdy nie znała pani zimna i głodu, burd i pijaństwa... i... i... czegoś gorszego jeszcze niż wszystko, tak jak ja to znałam od kołyski. Mogę użyć tego słowa, bo ulica i rynsztok były moją kołyską, tak jak będą moim śmiertelnym łóżem.

— Żal mi pani! — powiedziała Róża łamiącym się głosem. — Serce mi się kraje, kiedy pani słucham!

— Boże panią błogosław za jej dobroć! — odrzekła dziewczyna. — Gdyby pani wiedziała, jaką bywam czasami, doprawdy pożałowałyby mnie pani. Ale wykradłam się od tych, którzy z pewnością zamordowaliby mnie, gdyby wiedzieli, że tu byłam po to, aby pani powiedzieć, co podsłuchałam. Czy zna pani człowieka nazwiskiem Monks?

— Nie — odparła Róża.

— On panią zna i wie, że pani tu mieszka. Znalazłam panią dlatego tylko, że posłyszałam, jak on wymienił ten adres.

— Nigdy nie słyszałam tego nazwiska — rzekła Róża.

— W takim razie wśród nas używa fałszywego — powiedziała dziewczyna — czego zresztą już dawniej byłam prawie pewna. Wkrótce potem, jak Oliwer dostał się do pani domu po włamaniu, zaczęłam podejrzewać tego człowieka i podsłuchałam pewną rozmowę, którą po ciemku prowadził z Faginem. Z tego, co posłyszałam, dowiedziałam się, że Monks — ten człowiek, o którego panią pytałam, wie pani...

— Tak — rzekła Róża. — Rozumiem.

— ...że Monks zobaczył Oliwera przypadkiem z dwoma naszymi chłopcami w ten dzień, kiedy nam zginął po raz pierwszy, i rozpoznał w nim od razu to samo dziecko, którego szukał, choć nie mogłam zrozumieć, dlaczego. Umówił się z Faginem, że jeżeli stary odzyska Oliwera, dostanie pewną sumę. Więcej jeszcze miał dostać za zrobienie z niego złodzieja, co potrzebne było Monksowi dla jakichś jego celów.

— Dla jakich celów? — spytała Róża.

— Słuchałam w nadziei, że się tego dowiem, ale on dostrzegł mój cień na ścianie — rzekła dziewczyna — i mało kto poza mną potrafiłby uciec przed nimi wówczas tak, żeby go nie odkryli. Mnie się to jednak udało. A później nie widziałam go więcej aż do wczorajszego wieczoru.

— A co zaszło wczoraj?

— Powiem pani, panienko. Wczoraj wieczorem przyszedł znowu. Znowu poszli na górę, a ja okryłam się tak, ażeby mój cień mnie nie zdradził, i znowu podsłuchiwałam pod drzwiami. Pierwsze słowa Monksa, które słyszałam, były takie: „A więc jedyne dowody, kim chłopiec jest, leżą na dnie rzeki, a stara jędrza, która dostała je od jego matki, gnije już w trumnie.” Zaśmiali się i mówili, jak dobrze mu się to udało. Monks mówił dalej o chłopcu, zrobił się nagle bardzo podniecony i powiedział, że chociaż pieniądze tego małego diabła ma już teraz na pewno w rękę, wolałby, żeby to poszło inaczej. Bo co by to była za uciecha zadać kłam przechwałce zawartej w testamencie ojca i przepędzić Oliwera przez wszystkie więzienia w mieście, a potem doprowadzić do powieszenia go za jakieś karane śmiertelne przestępstwo, co Fagin z łatwością mógłby urządzić, w dodatku wykorzystawszy go przedtem, ile by się tylko dało.

— Co to wszystko znaczy? — spytała Róża.

— To jest prawda, panienko, chociaż pochodzi z moich ust — odparła dziewczyna. — Potem z przekleństwami, do których ja aż nadto przywykłam, ale których pani uszy nie znają, powiedział, że gdyby mógł nasycić swoją nienawiść odbierając chłopcu życie bez nadstawiania własnego karku, zrobiłby to. Ale ponieważ nie może, więc będzie się starał go spotkać w każdym trudnym momencie jego życia i jeżeli wykorzysta jego pochodzenie i przeszłość, będzie jeszcze mógł zrobić mu wiele złego. „Słowem, Fagin — powiada — nigdyś jeszcze nie zastawia takich sideł, jakie ja obmyślę dla tego mego braciszka Oliwera.”

— Jego brata! — wykrzyknęła Róża.

— Takie były jego słowa — rzekła Nancy i obejrzała się niespokojnie. Czyniła to niemal bez przerwy, odkąd tylko zaczęła mówić, gdyż wizja Sikesa prześladowała ją bezustannie. — I jeszcze więcej. Kiedy mówił o pani i o tej drugiej damie, powiedział, że zdaje mu się, jakby Bóg czy raczej diabeł zrządził na przekór niemu, że Oliwer dostał się do was. Zaśmiał się i powiedział, że i w tym jest pociecha, bo ileż tysięcy i setek tysięcy funtów dałybyście, gdybyście je miały, za to, by wiedzieć, kim jest wasz dwunożny piesek.

— Nie twierdzi pani chyba — rzekła Róża błędąc gwałtownie — że to powiedziane było poważnie?

— Mówił twardo i ze złością, najpoważniej, jak tylko człowiek potrafi — odrzekła dziewczyna potrząsając głową. — On nie żartuje, kiedy poczuje nienawiść. Znam wielu, którzy robią gorsze rzeczy, ale wolę słuchać ich wszystkich dziesięć razy niż tego Monksa raz jeden. Późno już jest, a ja muszę zdążyć do domu nie wzbudzając podejrzeń, że zrobiłam coś takiego. Muszę prędko wracać.

— Ale co ja mogę zrobić? — zapytała Róża. — Jak mogę wykorzystać tę wiadomość bez pani? Wracać! Dlaczego pani chce wracać do tych, których mogę przywołać w tej chwili z sąsiedniego pokoju, można będzie pani w ciągu pół godziny znaleźć jakieś bezpieczne schronienie.

— Ja chcę wracać — rzekła dziewczyna. — Muszę wrócić, bo... Jakże mogę powiedzieć taką rzecz takiej niewinnej panience jak pani? Bo wśród ludzi, o których pani mówiłam, jest jeden, najbardziej zatwardziały z nich wszystkich, którego opuścić nie mogę. Nie, nawet gdyby mnie to wybawiło od życia, które teraz prowadzę.

— To, że pani i przedtem wstawiła się za tym kochanym chłopcem — rzekła Róża — i że pani przysła tu ryzykując tak wiele, aby mi powiedzieć, co pani słyszała; pani sposób bycia, który przekonuje mnie o prawdziwości tego, co pani mówi; widoczna skrucha i poczucie wstydu — wszystko to prowadzi mnie do przeświadczenia, że może pani jeszcze wrócić na dobrą drogę. Ach! — powiedziała dziewczę z powagą składając ręce, a łzy płynęły jej po twarzy — nie bądź głucha na błaganie tej, która podobnie jak i ty jest kobietą. Pierwszej — pierwszej, jak mi się zdaje, która kiedykolwiek przemówiła do ciebie głosem litości i współczucia. Wysłuchaj słów moich i daj się ocalić dla lepszej przyszłości.

— Panienko — zawołała dziewczyna osuwając się na kolana — kochana, słodka, anielska panienko, ty pierwsza rzeczywiście dałaś mi zaznać błogosławieństwa takich słów i gdybym je była usłyszała przed laty, mogły mnie one były wtedy odwrócić od życia pełnego grzechu i cierpienia. Ale teraz za późno, za późno!

— Nigdy nie jest za późno na pokutę i zadośćuczynienie — rzekła Róża.

— Owszem jest — zawołała dziewczyna słaniając się w śmiertelnej męce. — Nie mogę go teraz opuścić! Nie mogłabym stać się przyczyną jego śmierci.

— Dlaczego byś miała nią zostać? — spytała Róża.

— Nic by go nie uratowało! — zawołała dziewczyna. — Gdybym powiedziała innym to, co pani powiedziała, gdybym doprowadziła do ich ujęcia, zginąłby na pewno. On jest najzuchwalszy i bywał taki okrutny!

— Czy to możliwe — zawołała Róża — że dla takiego człowieka możesz wyrzec się wszelkiej nadziei na przyszłość i pewności natychmiastowego ocalenia? To szaleństwo.

— Nie wiem, co to jest — odrzekła dziewczyna. — Wiem tylko, że tak jest, i nie tylko ze mną, ale z setkami innych, równie zepsutych i nieszczęśliwych jak ja. Muszę wrócić. Czy to gniew boży za moje winy, nie wiem. Ale ciągnie mnie z powrotem do niego całe moje cierpienie i poniewierka. I ciągnęłoby mnie, myślę, nawet wtedy, gdybym wiedziała, że mam w końcu zgiąć z jego ręki.

— Cóż ja mam począć? — powiedziała Róża. — Nie powinnam pozwolić pani odejść w ten sposób ode mnie.

— Owszem, powinna pani, i wiem, że pani to zrobi — odrzekła dziewczyna. — Nie przeszkodzi mi pani w odejściu dlatego, że zaufałam pani dobroci i nie wymusiłam żadnego przyrzeczenia, choć mogłam to uczynić.

— Jakież więc pożytek z wiadomości, które pani przyniosła? — spytała Róża. — Tę tajemnicę trzeba wyświecić, bo inaczej cóż przyjdzie Oliwerowi, któremu pani pragnie przecież się przysłużyć, z tego, że odkryła ją pani przede mną?

— Ma pani z pewnością wśród swoich bliskich jakiegoś zacnego pana, który wysłucha tego pod sekretem i poradzi pani, co robić — odrzekła dziewczyna.

— Ale gdzie mogę odnaleźć panią, kiedy zajdzie potrzeba? — spytała Róża. — Nie chodzi mi o dowiedzenie się, gdzie mieszkają ci okropni ludzie, ale gdzie pani będzie chodzić lub przechodzić w jakimś określonym czasie?

— Czy obieca mi pani, że dochowa pani ściśle mojej tajemnicy i przyjdzie sama albo w towarzystwie tej jedynej osoby, która prócz pani będzie ją znać, i że nikt nie będzie mnie pilnował ani śledził?

— Obiecuję to pani uroczyście — odparła Róża.

— W każdą niedzielę wieczorem, od jedenastej do wybiecia dwunastej — rzekła bez wahania

dziewczyna — będę chodzić po Moście Londyńskim, jeżeli tylko będę żywa.
— Niech pani zostanie jeszcze chwilę — szybko powiedziała Róża, gdy dziewczyna śpieszyła już ku drzewom. — Proszę, niech pani pomyśli raz jeszcze o własnym położeniu i o tej okazji, aby się z niego wydostać. Ma pani prawo do mojej pomocy — nie tylko dlatego, że dobrowolnie przyniosła pani wiadomości, ale jako kobieta zgubiona prawie bez nadziei odkupienia. Czy chce pani powrócić do tej szajki bandytów i do tamtego mężczyzny, kiedy przecież jedno słowo może panią ocalić? Cóż to za urok ciągnie cię tam z powrotem i każe ci trwać w występku i nędzy? Och, czy nie ma w twoim sercu żadnej struny, którą bym mogła poruszyć? Czy nie zostało nic, do czego mogłabym się odwołać broniąc cię przeciwko temu straszemu zapamiętaniu!
— Kiedy panny tak młode, dobre i piękne jak pani — odparła z przekonaniem dziewczyna — ofiarują komuś serce, miłość zawodzi was nieraz bardzo daleko — nawet was, które macie dom, przyjaciół, innych wielbicieli — wszystko, czym można zapełnić serce. Kiedy takie jak ja, które prócz wieka od trumny żadnego pewnego dachu nie mają, ani innych przyjaciół w śmierci czy chorobie prócz szpitalnej posługaczki, oddadzą swe splugawione serce jakiemuś mężczyźnie i pozwolą mu wypełnić miejsce, które było puste przez całe nasze nieszczęsne życie — któż może nas uleczyć? Lituj się nad nami, panienko, lituj się nad tym, że pozostało nam tylko jedno uczucie, kobiety, i że i to, mocą strasznego wyroku, zamiast być naszą pociechą i dumą, obróciło się w nowe narzędzie hańby i cierpienia.
— Zgodzi się pani — rzekła Róża po chwili — wziąć ode mnie trochę pieniędzy, które pozwolą pani żyć uczciwie — w każdym razie dopóty, dopóki się znów nie spotkamy?
— Ani pensa — odrzekła dziewczyna z gestem odmowy.
— Nie zamykaj przede mną twego serca i nie odrzucaj mnie, gdy staram się ci pomóc — rzekła Róża przysuwając się do niej łagodnie. — Ja naprawdę chcę pani oddać przysługę.
— Najlepszą dla mnie przysługą, panienko — odparła dziewczyna załamując ręce — byłoby, gdybyś mogła od razu odebrać mi życie. Bo dziś więcej cierpiałam na myśl o tym, czym jestem, niż kiedykolwiek przedtem, i byłoby to zawsze coś — umrzeć nie w tym piekle, w którym żyłam. Niech cię Bóg błogosławi, słodka panienko, i ześle na twoją głowę tyle szczęścia, ile ja hańby ściągnęłam na swoją.
Mówiąc te słowa i łkając głośno, nieszczęśliwa istota zwróciła się ku wyjściu, a Róża Maylie, znękana tą niezwykłą rozmową, podobniejszą do przelotnego snu niż do prawdziwego zdarzenia, osunęła się na krzesło i usiłowała zebrać rozproszone myśli.

Rozdział czterdziesty pierwszy zawiera nowe odkrycia i pokazuje, że niespodzianki, podobnie jak nieszczęścia, rzadko przychodzą w pojedynkę

Sytuacja, w jakiej znalazła się Róża, była rzeczywiście niezwykle trudna i ciężka. Chociaż paliła ją gorąca chęć zgłębienia tajemnicy, którą otoczona była historia Oliwera, przecież nie mogła nie uszanować zaufania, jakie nieszczęsna kobieta, z którą dopiero co rozmawiała, położyła w niej jako w młodej, niewinnej dziewczynie. Jej słowa i zachowanie wzruszyły do głębi serce Róży Maylie i gorące pragnienie nawrócenia wykołejonej istoty na drogę pokuty i nadziei mieszało się z miłością do małego wychowanka, niewiele jej ustępując szczerością i żarem.
Zamierzali pozostać w Londynie tylko trzy dni przed wyjazdem na kilkotygodniowy pobyt nad morzem w dalekim zakątku wybrzeża. Teraz była północ pierwszego dnia. Na jakąż linię działania mogła się zdecydować mając przed sobą tylko czterdzieści osiem godzin na jej przeprowadzenie? Albo też — jak odłożyć podróż nie wzbudzając podejrzeń? ' Pan Losberne był z nimi i miał pozostać przez następne dwa dni; lecz Róża zbyt dobrze знаła zapalczywość przeznaczonego doktora i zbyt jasno przewidywała gniew, z jakim w pierwszym porwywie oburzenia odniósłby się do sprawcy porwania Oliwera, aby zawierzyć mu tajemnicę, tym bardziej że żadna doświadczona osoba nie poparłaby jej wstawiennictwa za dziewczyną. Wszystko to przemawiało również za największą ostrożnością i oględnością przy wtajemniczeniu pani Maylie, której pierwszym impulsem byłoby niezawodnie naradzenie się z pocziwym doktorem. Co do zwrócenia się do doradcy prawnego, było to z tych samych powodów nie do pomyślenia, gdyby nawet, Róża wiedziała, jak ma się do tego zabrać. Przyszło jej na myśl poszukać pomocy u Harry'ego, lecz to wzbudziło w niej wspomnienie ich ostatniego rozstania i niegodnym zdało się jej przyzywać go z powrotem, kiedy, być może — na tę myśl lzy napły-nęły jej do oczu — zdołał ją już zapomnieć i był z dala od niej szczęśliwszy.
Wśród takich różnych rozmyślań Róża spędziła bezsenną i niespokojną noc, to skłaniając się ku tej lub owej linii postępowania, to znów odrzucając wszystkie, w miarę jak przychodziły jej do głowy nowe argumenty. Po dalszym namyśle następnego dnia doszła do rozpaczliwego wniosku, że należy poradzić się Harry'ego.

„Jeśli jemu ciężko będzie wrócić tutaj — myślała — jakież ciężkie będzie to dla mnie! Ale może nie przyjedzie. Może napisze, a może przyjedzie sam, ale starannie będzie unikał spotkania ze mną — tak jak przed swym odjazdem. Nie spodziewałam się, że tak postąpi, ale tak było lepiej dla nas obojga.” Tu Róża wypuściła z ręki pióro i odwróciła twarz, jak gdyby pragnęła, by nawet papier, który miał zanieść jej wezwanie, nie oglądał jej łez.

Podejmowała pióro i kładła je z powrotem z pięćdziesiąt razy; namyślała się wciąż i wciąż nad pierwszym wierszem listu, nie napisawszy jeszcze nawet pierwszego słowa, gdy wtym Oliwer, który do tej pory spacerował po ulicach z panem Gilesem jako gwardią przyboczną, wpadł do pokoju zdyszany, w gwałtownym podnieceniu, które zdawało się świadczyć o jakimś nowym powodzie do niepokoju.

— Co się stało? Dlaczego jesteś taki wzruszony? — spytała Róża zrywając się na jego spotkanie.

— Nie wiem. Czuję, jakby mnie coś dławilo — odrzekł chłopiec. — O, Boże! Pomyśleć tylko, że nareszcie zobaczę go i państwo się przekonacie, że powiedziałem wam samą prawdę!

— Nigdy nie sądziłam, żeś nam mówił co innego niż prawdę — rzekła Róża uspokajająco; — Ale co to znaczy? O kim mówisz?

— Widziałem pana — odparł Oliwer ledwo zrozumiałe wymawiając wyrazy — pana, który był dla mnie taki dobry, pana Brownlow, o którym tak często rozmawialiśmy.

— Gdzie? — spytała Róża.

— Wysiadał z powozu — odrzekł Oliwer ze łzami radości — i wchodził do pewnego domu. Nie rozmawiałem z nim — nie, mogłem z nim rozmawiać, bo mnie nie widział, a ja drżałem tak, że nie byłem w stanie do niego podejść. Ale Giles zapytał za mnie, czy on tam mieszka, i powiedziano mu, że tak. Proszę spojrzeć — Oliwer rozwinął skrawek papieru — tu jest adres. Tu jest napisane, gdzie on mieszka — biegnę tam zaraz! O Boże mój, Boże! Co ja zrobię, kiedy go znów zobaczę i usłyszę jego głos!

Wśród tych i wielu innych odwracających jej uwagę nieprzytomnych okrzyków radości Róża przeczytała adres: Craven Street, w bok od Strandu. Bardzo prędko postanowiła wykorzystać to odkrycie.

— Szybko! — powiedziała. — Każ przywołać dorożkę i bądź gotów ze mną pojechać. Zabiorę cię tam zaraz, nie tracąc ani minuty. Powiem tylko cioci, że wychodzimy na godzinę, i będę gotowa razem z tobą.

Nie trzeba było przynaglać Oliwera do pośpiechu. W niewiele ponad pięć minut byli już w drodze na Craven Street. Gdy tam przybyli, Róża zostawiła Oliwera w dorożce pod pretekstem, że musi przygotować starego pana do przyjęcia go, i wysłała bilet wizytowy przez służącą, prosząc o rozmowę z panem Brownlow w bardzo pilnej sprawie. Służąca wróciła niebawem i poprosiła przybyłą na górę. Róża udała się za nią do pokoju, w którym ujrzała starszego pana o dobrotliwym wyglądzie, odzianego w ciemnozielony frak. Nie opodal niego siedział drugi starszy pan w nankinowych spodniach do kolan i getrach. Pan ten nie wyglądał szczególnie dobrotliwie i siedział z brodą opartą na dłoniach splecionych na gałce grubej laski.

— Boże mój — rzekł pan w ciemnozielonym fraku zrywając się z wielką uprzejmością. — Przepraszam panią bardzo — wyobrażałem sobie, że to jakiś natręt, który... Bardzo proszę o wybaczenie. Niechże pani usiądzie.

— Przypuszczam, że mam przed sobą pana Brownlow? — spytała Róża przenosząc wzrok z drugiego pana na tego, który przemawiał.

— Takie jest moje nazwisko — rzekł stary pan. — A to mój przyjaciel pan Grimwig. Grimwig, czy zechcesz pozostawić nas na parę minut samych?

— Sądzę — wtrąciła panna Maylie — że w tym stadium naszej rozmowy nie potrzebuję trudzić tego pana prośbą o odejście. Jeśli się nie mylę, zna on sprawę, o której pragnę z panem mówić.

Pan Brownlow skłonił głowę. Pan Grimwig, który przedtem ukłonił się bardzo sztywno i wstał z fotela, teraz ukłonił się znowu nie mniej sztywno i usiadł z powrotem.

— Nie wątpię, że sprawię panu wielką niespodziankę — rzekła Róża ze zrozumiałym zakłopotaniem — ale kiedyś okazał pan wielką życzliwość i dobroć pewnemu bardzo mi drogiemu młodemu przyjacielowi i pewna jestem, że wysłucha pan z zainteresowaniem nowych o nim wiadomości.

— Doprawdy! — rzekł pan Brownlow.

— Znał go pan jako Oliwera Twista — rzekła Róża. Ledwo słowa te wyszły z jej ust, pan Grimwig, który dotąd

udawał, że przerzuca wielką księgę leżącą na stole, upuścił ją z wielki trzaskiem i odchylił się w tył na fotelu. Z rysów jego znikł wszelki wyraz poza niesłychanym zdziwieniem. Utkwił w Róży przeciągłe, błędne spojrzenie, po czym jakby zawstydzony, że okazał tyle wzruszenia, rzucił się w przód konwulsyjnym ruchem, wracając do dawnej postawy. Patrząc prosto przed siebie, wydał głęboki, przeciągły gwizd, który zamierając zdawał się nie rozplýwać w powietrzu, lecz tonąc jakimś sposobem w przepaścistych głębinach jego żołądka.

Pan Brownlow był nie mniej zdziwiony, choć zdumienia tego nie wyraził w tak ekscentryczny sposób. Przynął się z fotelem bliżej do panny Maylie i rzekł:

— Proszę mi zrobić tę łaskę, droga pani, aby wyłączyć całkowicie z tej sprawy ową dobroć i życzliwość, o której pani wspomina, a o której nikt inny nic nie wie. I jeżeli w pani mocy jest dać mi jakikolwiek dowód, który odmieni niekorzystną opinię, jaką zmuszony byłem ongiś powziąć o tym biednym dziecku, na Boga, niech mi go pani da!

— Nicpoń! Zjem swoją głowę, jeżeli to nie jest nicpoń — mruknął pan Grimwig. Przemawiał jakimś brzuchomówczym sposobem, gdyż żaden mięsień nie poruszył się w jego twarzy.

— To jest dziecko o szlachetnej naturze i gorącym sercu — powiedziała Róża czerwieniąc się — i owa Moc, która uznała za stosowne zesłać nań próby zbyt ciężkie jak na jego lata, umieściła w jego piersi tyle przywiązania i uczucia, że przyniosłyby one chlubę wielu ludziom, bodaj i sześć razy starszym od niego.

— Mam tylko sześćdziesiąt jeden lat — rzekł pan Grimwig z tą samą nieruchomą twarzą. — A ponieważ ten Oliwer, u licha, musi mieć przynajmniej ze dwanaście, więc nie widzę, jakie ta uwaga ma zastosowanie.

— Niech pani nie zwraca uwagi na mojego przyjaciela, panno Maylie — rzekł pan Brownlow. — On nie myśli tego, co mówi.

— Owszem, myśli — warknął pan Grimwig.

— Nie, nie myśli — rzeki pan Brownlow, w którym wyraźnie wzbierał gniew.

— Zje swoją głowę, jeżeli tak nie myśli — warknął pan Grimwig.

— Zasługiwałby na to, żeby mu ją strącić z karku, jeżeli tak myśli — powiedział pan Brownlow.

— I bardzo by chciał zobaczyć tego, kto by spróbował to zrobić — odrzekł pan Grimwig stukając łaską o podłogę.

Doszedłszy do tego punktu obaj starzy panowie zażyli tabaki, każdy na swoją rękę, a potem uściśnęli sobie dłonie według swego niezmiennego zwyczaju.

— A teraz, panno Maylie — rzekł pan Brownlow — wróćmy do tematu, którym pani litościwie serce tak żywo zdaje się interesować. Czy zechce pani powiedzieć mi, co pani wie o tym biednym dziecku? Przedtem zaś niech mi będzie wolno wyjaśnić, że wyczerpałem wszelkie środki, które były w mej mocy, aby go odnaleźć, oraz że odkąd wyjechałem z kraju, pierwsze moje wrażenie, iż oszukał mnie i został przez dawnych towarzyszy namówiony, by mnie okraść, uległo poważnemu zachwianiu. Róża, która miała czas zebrać myśli, w krótkich, naturalnych słowach opowiedziała natychmiast wszystko, co spotkało Oliwera po opuszczeniu domu pana Brownlow. Odłożyła wiadomości udzielone przez Nancy do chwili rozmowy w cztery oczy i zakończyła swą opowieść zapewnieniem, że od wielu miesięcy jedynym zmartwieniem Oliwera była niemożność zobaczenia się ze swym dawnym dobrodziejem i przyjacielem.

— Dzięki Bogu! — rzekł stary pan. — To wielkie szczęście dla mnie, wielkie szczęście. Ale nie powiedziała mi pani, gdzie on teraz jest, panno Maylie. Musi mi pani darować, że robię pani wymówki, ale dlaczego go pani nie przyprowadziła ze sobą?

— Czeka w dorożce przed drzwiami — odrzekła Róża.

— Przed tymi drzwiami! — zawołał stary pan i bez dalszych słów wypadł z pokoju i pobiegł w dół po schodach przed dom i do dorożki.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, pan Grimwig podniósł głowę i uczyniwszy z jednej z tylnych nóg swego fotela oś, nie przestając w nim siedzieć, przy pomocy łaski i stołu trzy razy okręcił się w kółko. Po wykonaniu tej ewolucji wstał i jak mógł najprędzej, utykając, przeszedł się po pokoju przynajmniej ze dwanaście razy, po ” czym nagle zatrzymał się przed Różą i bez najmniejszego wstępu pocałował ją.

— Cicho! — rzekł, gdy młoda panienka wstała, nieco zatrwożona tym niezwykłym postępowaniem. — Niech się pani nie

boi. Jestem dość stary na to, żeby być pani dziadkiem. Pani jest słodką dziewczyną. Podoba mi się pani. Oto oni!

I rzeczywiście w tej samej chwili, kiedy pan Grimwig jednym zręcznym susem przeniósł się z powrotem na dawne miejsce, wrócił pan Brownlow w towarzystwie Oliwera, którego pan Grimwig powitał bardzo łaskawie. I gdyby szczęście tej chwili było jedyną zapłatą za całą jej troskę i starania o Oliwera, Róża Maylie czułaby się sowiec wynagrodzona.

— Ale, ale, jest jeszcze ktoś, o kim nie powinniśmy zapominać — rzekł pan Brownlow i pociągnął za sznurek dzwonka. — Proszę przysłać tutaj panią Bedwin.

Stara gospodyni z całą szybkością stawiała się na wezwanie i dygnawszy u drzwi czekała na rozkazy.

— Ależ ślepnie pani z każdym dniem, Bedwinko — rzekł pan Brownlow nieco zgryźliwie.

— Ano, owszem, proszę pana — odrzekła staruszka. — W moim wieku oczy nie robią się coraz lepsze.

— Mógłbym sam to pani powiedzieć — powiedział pan Brownlow — ale proszę włożyć okulary i

spróbować przekonać się, po co panią wzywano, dobrze?

Staruszka jęła szperać po kieszeniach w poszukiwaniu okularów. Ale cierpliwość Oliwera nie wytrzymała tej nowej próby: ulegając pierwszemu impulsowi skoczył w jej ramiona.

— Boże, zlituj się nade mną! — zawołała staruszka ściskając go. — To mój niewinny chłopczyzna!

— Moja kochana stara niania! — wołał Oliwer.

— Wrócił, wiedziałam, że wróci — mówiła staruszka trzymając go w objęciach. — Jak on dobrze wygląda i jak znowu ładnie ubrany, jak pańskie dziecko! Gdzieś ty się podziewał tak długo, tak długo? Ach! Ta sama słodka buzia, ale już nie taka blada, te same łagodne oczy, ale nie takie smutne. Nigdy ich nie zapomniałam, ani też tego spokojnego uśmiechu. Widziałam go codziennie obok twarzyczek moich własnych kochanych dzieci, które pomarły, kiedy jeszcze byłam płochym, młodym stworzeniem. — Mówiąc tak dalej i to odsuwając od siebie Oliwera, by przekonać się, jak urósł, to znów tuląc go do siebie i wodząc z miłością palcami po jego włosach, pocziwa kobiecina kolejno śmiała się i płakała.

Pozostawiając ją z Oliwerem, by mogli nacieszyć się sobą do woli, pan Brownlow zaprowadził Różę do drugiego pokoju i tam usłyszał od niej pełne sprawozdanie z jej rozmowy z Nancy, które zdziwiło go i zakłopotало niemało. Róża wyjaśniła również powody, dla których nie zwierzyła się od razu swemu przyjacielowi panu Losberne. Stary pan uznał, że postąpiła rozważnie, i chętnie podjął się sam przeprowadzić poważną rozmowę z zacnym lekarzem. By dać mu rychłą sposobność urzeczywistnienia tego zamiaru, postanowiono, że pan Brownlow zjawi się w hotelu tegoż wieczora o godzinie ósmej i że do tego czasu Róża zawiadomi ogłędnie panią Maylie o tym, co zaszło. Po załatwieniu tych wstępnych spraw Róża i Oliwer powrócili do domu.

Róża bynajmniej nie przesadziła wyobrażając sobie gniew zacnego doktora. Skoro tylko opowiedziano mu historię Nancy, dał upust istnej powodzi grózb zmieszanych ze złorzeczeniami. Groził, że uczyni z niej pierwszą ofiarę połączonej pomysłowości panów Blathersa i Duffa, a nawet włożył kapelusz przygotowując się do wyprawy mającej na celu przyzwanie pomocy tych dwóch godnych dżentelmenów. Nie ulega też wątpliwości, że w pierwszym wybuchu oburzenia byłby doprowadził ten zamiar do skutku nie bacząc ani chwili na konsekwencje, gdyby nie powstrzymały go z jednej strony analogiczna gwałtowność pana Brownlow, który również miał porywcze usposobienie, a z drugiej — argumenty i prośby najlepiej obliczone na powstrzymanie go od tego nieopatrzego kroku.

— Wobec tego cóż, u diabła, należy robić — spytał zapalczywy lekarz, kiedy znaleźli się znów w towarzystwie obu pań. — Czy mamy uchwalić votum wdzięczności dla wszystkich tych hultajów, mężczyzn i kobiet, i błagać ich, aby przyjęli po sto czy ileś tam funtów na głowę, jako drobną oznakę naszego poważania i podziękę za ich dobroć dla Oliwera?

— Niezupełnie — odrzekł pan Brownlow ze śmiechem — ale musimy postępować delikatnie i nad wyraz ostrożnie.

— Delikatnie i ostrożnie! — wykrzyknął doktor. — Ja bym posiał ich wszystkich razem i każdego z osobna do...

— Mniejsza z tym, dokąd — przerwał pan Brownlow. — Ale proszę pomyśleć, czy posłanie ich gdziekolwiek bądź dopomoże nam do osiągnięcia naszego celu.

— Jakiego celu? — spytał doktor.

— Musimy po prostu odkryć pochodzenie Oliwera i odzyskać dlań schedę, której — jeśli ta historia jest prawdą — został nieuczciwie pozbawiony.

— A — rzekł pan Losberne wachlując się chustką — prawie o tym zapomniałem.

— Widzi pan — ciągnął pan Brownlow — nawet jeśli wyłączymy z tej sprawy zupełnie tę biedną dziewczynę i założymy, że możliwe byłoby postawienie tych łotrów przed oblicze sprawiedliwości bez narażenia jej bezpieczeństwa, cóż byśmy dobrego przez to wskórali?

— Powieszono by przynajmniej kilku z nich, według wszelkiego prawdopodobieństwa — podsunął lekarz — a deportowano pozostałych.

— Bardzo pięknie — odrzekł pan Brownlow z uśmiechem. — Ale oni bez wątpienia sami dojdą do tego w swoim czasie, a jeśli my wdamy się i zechcemy ich uprzedzić, to zdaje mi się, że popełnimy akt donkiszoterii wprost przeciwny naszym interesom czy raczej interesom Oliwera, co na jedno wychodzi.

— Jak to? — zapytał doktor.

— A tak. Jasne jest, że będzie nam niezmiernie trudno zgłębić tajemnicę, jeżeli nie zmusimy tego Monksa do uległości. To zaś można sprawić jedynie podstępem, przez schwywanie go wtedy, kiedy nie jest otoczony tymi ludźmi. Przypuśćmy bowiem, żeby go przytrzymało — nie mamy żadnych dowodów przeciwko niemu. Nie jest on nawet (o ile wiemy na podstawie znanych nam faktów) zamieszany w żadne ze złodziejstw tej szajki. Gdyby go nawet nie zwolniono, nie jest prawdopodobne, by mógł otrzymać jakąś większą karę niż więzienie za to, że jest hultajem i obwiesiem. I oczywiście potem milczałby tak uparcie, że jeżeli chodzi o naszą sprawę, mógłby równie dobrze być głuchym, niemym, ślepym i idiotą.

— A zatem — rzekł doktor porywczo — pytam pana raz jeszcze, czy zdaniem pana rozsądnie jest uważać obietnicę daną tej dziewczynie za wiążącą? Obietnicę daną w najlepszej i najbardziej miłosiernej intencji, ale doprawdy...

— Proszę, niech pani nie dyskutuje o tej kwestii, droga pani — rzekł pan Brownlow nie dając Róży dojść do głosu. — Obietnicy dotrzemy. Nie sądzę, aby to w najmniejszym bodaj stopniu przeszkodziło nam w działaniu. Lecz zanim zdecydujemy się na jakąkolwiek konkretną linię postępowania, trzeba będzie zobaczyć się z dziewczyną i przekonać się, czy zechce ona wskazać nam tego Monksa pod warunkiem, że my rozprawimy się z nim, a nie prawo. Jeśli zaś nie zechce czy też nie będzie mogła tego uczynić, musimy zdobyć od niej wiadomości o tym, gdzie bywa i jak wygląda, abyśmy byli w stanie go rozpoznać. Nie można będzie się z nią zobaczyć do niedzieli wieczór; dziś mamy wtorek. Proponuję, abyśmy tymczasem nie przedsięwzięli nic i trzymali te sprawy w tajemnicy nawet przed samym Oliwerem.

Chociaż pan Losberne nie bez wielu grymasów niezadowolenia przyjął propozycję pociągającą za sobą zwłokę całych pięciu dni, to jednak musiał przyznać, że w danej chwili żaden lepszy pomysł nie przychodzi mu do głowy; a że i Róża, i pani Maylie bardzo mocno opowiedziały się przy panu Brownlow, wniosek tego ostatniego przeszedł jednomyślnie.

— Chciałbym — powiedział on — zwrócić się o pomoc do mojego przyjaciela Grimwiga. To dziwak, ale człowiek bystry i mógłby się nam okazać bardzo pomocny. Powiniennem dodać, że kształcił się na prawnika i rzucił adwokaturę z obrzydzeniem, ponieważ w ciągu dwudziestu lat otrzymał tylko jedną sprawę. Chociaż, czy to jest rekomendacją, czy nie, muszą państwo zawyrokować sami.

— Nie mam nic przeciwko temu, aby pan wezwał swojego przyjaciela, jeśli mnie będzie wolno wezwać mojego — powiedział doktor.

— Musimy poddać to pod głosowanie — odrzekł pan Brownlow. — Kto to taki?

— Syn tej oto pani, a tej panienki — bardzo dawny przyjaciel — rzekł doktor wskazując naprzód na panią Maylie, a potem kończąc wymownym spojrzeniem w stronę jej siostrzenicy.

Róża zarumieniła się mocno, lecz nie wyraziła głośno żadnego sprzeciwu wobec tego wniosku (czując się być może w beznadziejnej mniejszości), toteż Harry Maylie i pan Grimwig zostali dodatkowo wciągnięci do komitetu.

— Zostajemy w Londynie, oczywiście — rzekła pani Maylie — dopóki jest najmniejsza szansa prowadzenia dalej z dobrym skutkiem tych poszukiwań. Nie pożałuję ani fłaty, ani wydatków na ten cel, w którym jesteśmy wszyscy tak głęboko zainteresowani, i z chęcią pozostanę tutaj choćby przez dwanaście miesięcy, o ile tylko powiedzą mi panowie, że istnieje jakakolwiek nadzieja.

— Doskonale! — rzekł pan Brownlow. — A ponieważ widzę na twarzach zebranych chęć zapytania, jak się to zdarzyło, że nie było mnie na miejscu, aby potwierdzić opowiadanie Oliwera, i że tak nagle opuściłem kraj — niech mi będzie wolno poprosić, aby nie zadawano mi pytań do czasu, kiedy uznam za celowe uprzedzić je i opowiedzieć swoją historię. Wierście mi, państwo, iż mam dobre powody, by o to prosić, inaczej bowiem mógłbym wzbudzić nadzieje, którym nigdy nie sądzono się ziścić, i w ten sposób zwiększyłbym tylko trudności i zawody, które i tak są już dość liczne. Chodźmy! Oznajmiono już, że kolacja podana, a mały Oliwer, który siedzi sam jeden w sąsiednim pokoju, myśli pewno, że sprzykrzyło nam się jego towarzystwo i że knujemy jakiś ponury spiszek, aby wygnać go w szeroki świat.

To mówiąc stary pan podał ramię pani Maylie i poprowadził ją do jadalni. Za nim poszedł pan Losberne prowadząc Różę i naradę na razie przerwano.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

STARY ZNAJOMY OLIVERA, WYKAZUJĄCY ZDECYDOWANE OZNAKI GENIUSZU, STAJE SIĘ ZNAKOMITĄ OSOBISTOŚCIĄ W STOLICY

Tej samej nocy, kiedy Nancy uspiwszy pana Sikesa pośpieszyła do Róży Maylie, by wypełnić misję, którą sama sobie narzuciła, wielkim traktem północnym zbliżały się ku Londynowi dwie osoby, na które wypada nam teraz koniecznie zwrócić nieco uwagi w niniejszym opowiadaniu.

Byli to mężczyzna i kobieta — albo lepiej byłoby ich określić jako istoty płci męskiej i żeńskiej. On był bowiem jednym z tych długorekich i długonogich, niezgrabnych, kościstych osobników, którym trudno jest przypisać jakiś konkretny wiek; gdy są jeszcze chłopcami, wyglądają na niewyrośniętych mężczyzn, a gdy są już prawie mężczyznami — na nadmiernie wyrośniętych chłopców. Kobieta była młoda, lecz krzepka i wytrzymała; musiała być taką, jeśli mogła unieść ciężki i wielki tobół przytoczony na jej plecach. Towarzysz jej nie był objuczony zbyt wielkim bagażem: niósł bowiem tylko na ramieniu kij, na którego końcu dyndała mała paczuszka owinięta w zwykłą chustkę do nosa i najwyraźniej nader lekka. Okoliczność ta, w połączeniu z niezwykle długością jego dolnych kończyn, pozwalała mu trzymać się z łatwością o jakieś pół tuzina kroków przed towarzyszką, do której odwracał się niekiedy z niecierpliwym ruchem głowy, jak gdyby wyrzucając jej marudztwo i

nakłaniając do większego wysiłku.

Mozolnie posuwali się w ten sposób zakurzonym gościńcem, mało zwracając uwagi na otoczenie, chyba tylko wówczas, gdy ustępowali na bok, by zejść z drogi dyliżansom pocztowym mknącym od strony miasta. Przeszli na koniec pod arkadami Highgate i tam idący przodem podróżny przystanął i zawołał niecierpliwie na swoją towarzyszkę:

— Chodźe prędzej, chyba potrafniesz? Ależ z ciebie leń, Karolka!

— To ciężki tobół, żebyś wiedział — odpowiedziała istota płci żeńskiej doganiając go, cała zadyszana ze zmęczenia.

— Ciężki! Co ty tu masz do gadania! A od czegoż ty jesteś? — odparł podróżny płci męskiej przekładając jednocześnie swój maleńki pakuneczek na drugie ramię. — O, widzisz, już znowu wypoczywasz. No, jeżeli to nie wystarczy, żeby człowieka wyprowadzić z cierpliwości, to nie wiem. — Czy to jeszcze daleko? — spytała kobieta. Oparła się o nasyp biegnący wzdłuż drogi i podniosła oczy. Pot spływał jej po twarzy.

— Daleko? Tak jakbyś już była na miejscu — rzekł długonogi wędrowiec wskazując palcem przed siebie. — Popatrz. To są światła Londynu.

— To przynajmniej o dobre dwie mile stąd — rzekła kobieta z przygnębieniem w głosie.

— Mniejsza, czy dwie, czy dwadzieścia — rzekł Noe Claypole, on to był bowiem. — Ale wstawaj i ruszaj naprzód, bo inaczej cię kopnę. Ostrzegam cię.

Czerwony nos Noego zrobił się ze złości jeszcze czerwieńszy. Mówiąc to przeszedł przez drogę, jak gdyby gotów wprowadzić groźbę w czyn. Toteż kobieta wstała nie mówiąc nic więcej i powlokła się dalej obok niego.

— Gdzie chcesz zatrzymać się na noc, Noe? — spytała, gdy uszli już paręset jardów.

— Skądże niby mam wiedzieć — odburknął Noe, któremu marsz popsuł bardzo humor.

— Mam nadzieję, że gdzieś blisko — rzekła Karolka.

— Nie, nie blisko — odrzekł pan Claypole. — Mówię ci! Nie blisko. Nie wyobrażaj sobie nic podobnego.

— Dlaczego?

— Kiedy ci mówię, że nie zamierzam czegoś zrobić, to dosyć, i nie potrzeba żadnych dlaczego ani dlatego — odparł pan Claypole z godnością.

— No, nie masz czego się tak złościć — powiedziała jego towarzyszka.

— Ładnie by to było, nie? Zatrzymać się zaraz w pierwszej gospodzie pod miastem, żeby Sowerberry, jeżeli nas goni, mógł tam wetknąć swoje nosisko i sprowadzić nas z powrotem na wózku, z kajdankami na rękach — powiedział pan Claypole szyderym tonem. — Nie. Będę szedł, aż zniknę w najciaśniejszych uliczkach, jakie tylko znajdę, i nie zatrzymam się, aż zajdziemy do najodludniejszej dziury, jaką tylko zobaczę. Ojej, dziękuj swojemu losowi, że mam głowę na karku. Bo gdybyśmy z samego początku nie byli poszli umyślnie złą drogą, a potem zawrócili na przełaj, już od tygodnia siedziałabyś pod kluczem, moja panno. I dobrze by ci tak było za to, że jesteś taka głupia.

— Wiem, że nie jestem taka sprytna jak ty — odrzekła Karolka. — Ale nie zwalaj wszystkiego na mnie i nie mów, że ja bym siedziała pod kluczem. Ty byś w każdym razie też siedział, gdybym ja siedziała.

— Tyś wzięła pieniądze z szuflady, wiesz o tym! — rzekł pan Claypole.

— Wzięłam je dla ciebie, Noe, kochanie — odparła Karolka.

— A czy ja je zatrzymałem? — spytał pan Claypole.

— Nie, zaufałeś mi i pozwoliłeś mi je mieć, bo jesteś kochany chłopak — rzekła panna gładząc go pod brodę i biorąc pod rękę.

Tak się też w istocie rzeczy miały. Ponieważ jednak nie było zwyczajem pana Claypole pokładać w kimkolwiek ślepe i lekkomyślne zaufanie, trzeba stwierdzić, by oddać mu sprawiedliwość, że zawierzył Karolce do tego stopnia po to tylko, by w razie przychwycenia znaleziono pieniądze przy niej. To bowiem dałoby mu sposobność twierdzenia, że nie jest winnym żadnej kradzieży, i znacznie zwiększyłyby szansę ucieczki. Oczywiście w tej chwili nie wdawał się w wyjaśnianie swych pobudek i poszli dalej razem jako czuła para.

Zgodnie ze swym ostrożnym planem pan Claypole szedł wciąż nie zatrzymując się, aż doszedł do gospody „Pod Aniołem” w Islington, gdzie z tłumu pasażerów i liczby pojazdów bardzo mądrze wywnioskował, że zaczyna się tu na dobre Londyn. Zatrzymawszy się tam tylko na chwilę, aby zauważyć, która z ulic wydaje się najbardziej ludna, a zatem której najbardziej należy unikać — zboczył z Saint John's Road i wkrótce zabrnął głęboko w płataninę ciemnych i brudnych uliczek, które leżą między Gray's Inn Lane a Smithfield i czynią tę część miasta jedną z najodludniejszych i najgorszych, jakie bez żadnych zmian na lepsze, nieuporządkowane pozostały w samym sercu Londynu.

Przez te właśnie ulice szedł Noe Claypole wlokąc za sobą Karolkę. Od czasu do czasu wstępował na podwórko jakiejś małej gospody, by ogarnąć ją jednym rzutem oka, po czym, gdy jakieś urojenie

kazało mu ją uznać za zbyt uczęszczaną, szedł uparcie dalej. Nareszcie stanął przed jedną, skromniejszą i brudniejszą na wygląd niż wszystkie, które widział dotychczas. Przeszedłszy tedy na drugą stronę ulicy i przypatrzwszy się jej z przeciwległego chodnika, oznajmił łaskawie, iż ma zamiar zatrzymać się tutaj na nocleg.

— Więc daj mi tobół — rzekł Noe zdejmując go z pleców kobiety i przewieszając sobie przez ramię — i nic nie gadaj, chyba że kto do ciebie się odezwie. Jak się nazywa ten szynk? Pod t r z trzema czego?

— „Kalekami” — rzekła Karolka.

— „Pod Trzema Kalekami” — powtórzył Noe. — Ot i bardzo dobre godło. No, jazda! Trzymaj się tuż przy mnie i chodźmy. — Wypowiedziawszy tę przestrożę pchnął ramieniem rozklekotane drzwi i wszedł do szynku, a jego towarzyszka za nim.

W izbie nie było nikogo prócz młodego Żyda, który czytał brudną gazetę, oparty łokciami o ladę. Wlepił badawczy wzrok w Noego, a Noe z kolei wlepił badawczy wzrok w niego. Gdyby Noe był odziany w strój chłopca z zakładu dobroczynności, Żyd miałby może powód, by tak szeroko otworzyć oczy, ale że pozbył się kurtki i odznaki i nosił teraz skórzane spodnie i krótką bluzę, przeto nie było chyba szczególnego powodu, by jego wygląd miał w szynku zwracać tyle uwagi.

— Czy to jest gospoda „Pod Trzema Kalekami”? — spytał Noe.

— Taka jest nazwa tego domu — odparł Żyd.

— Pewien pan, którego spotkaliśmy na drodze, idąc ze wsi, polecił nam to miejsce — rzekł Noe i szturchnął Karolkę być może po to, by zwrócić jej uwagę na ten najbardziej pomysłowy sposób pozyskania należytego respektu, a może celem ostrzeżenia jej, by nie okazywała zdziwienia. — Chcemy tu dzisiaj przenocować.

— Nie wiem, czy to się da — rzekł Barney, gdyż on to pełnił tu rolę stróżującego ducha. — Ale się zapytam.

— Pokażcie nam, gdzie tu jest wyszynk, i dajcie nam trochę zimnego mięsa i kropelkę piwa, zanim pójdziecie się spytać, dobrze? — rzekł Noe.

Barney usłuchał i wpuścił ich do małej izby od tyłu, gdzie postawił przed nimi żądane mięsiwo. Następnie poinformował podróżnych, że mogą otrzymać tu nocleg, i pozostawił miłą parę nad posiłkiem.

Otóż izdebka owa mieściła się tuż za szynkwą i o parę schodków niżej od niego. W ścianę ostatnio wymienionego apartamentu, na jakieś pięć stóp nad jego podłogą wprawiona była pojedyncza szybka zasłonięta firanką. Każdy więc, kto znał tajniki domu, mógł odsunawszy firanczkę nie tylko spoglądać z góry na gości w tylnej izdebce nie ryzykując niemal wcale, że sam zostanie dostrzeżony (szyba znajdowała się bowiem w ciemnym załomie ściany i chcąc dostrzec podglądającego trzeba by się wcisnąć między ścianę a wielką pionową belkę), lecz także, przyłożywszy ucho do przepierzenia, mógł słyszeć dość wyraźnie, o czym się tam mówi. Gospodarz domu już od pięciu minut nie odrywał oka od tego szpiegowskiego posterunku, a za ledwie Barney zdążył wrócić udzieliwszy wspomnianej wyżej wiadomości, do baru wszedł Fagin. W toku załatwiania swych wieczornych zajęć chciał się on dowiedzieć o któregoś ze swych młodych wychowanków.

— Sza! — rzekł Barney. — W drugim pokoju są obcy.

— Obcy! — powtórzył starzec szeptem.

— Aha! I to ogromnie dziwni — dodał Barney. — Ze wsi, ale to coś dla pana, jak mi się zdaje.

Fagin przyjął tę wiadomość z wielkim zainteresowaniem. Wdrapawszy się na stółek, ostrożnie przyłożył oko do szybki i z tego tajnego posterunku dostrzegł, jak pan Claypole nabiera sobie zimnej wołowiny z półmiska, nalewa z dzbanka porteru i wydziela homeopatyczne dawki jednego i drugiego Karolce, która siedziała cierpliwie opodal, jedząc i pijąc, co on raczył jej dać.

— Aha! — szepnęła Fagin odwracając się do Barneya. — Podobna mi się ten chłopak. Przydałby się nam. Już teraz potrafi krótko trzymać dziewczuchę. Zachowuj się cicho jak mysz, mój drogi, to posłucham, co oni mówią, posłucham, co mówią.

I znów przyłożył oko do szybki i przywarłszy uchem do przepierzenia, uważnie nasłuchiwał. Twarz jego przybrała wyraz chytry i pożądlivy, którym przypominał jakiegoś starego, złośliwego ducha.

— Więc ja zamierzam być panem — mówił pan Claypole wyciągając przed siebie nogi i ciągnąc dalej rozmowę, na której początek Fagin się spóźnił. — Żadnych przebrzydłych, starych trumien, Karolka. Pańskie życie — to dla mnie, a ty, jeżeli chcesz, będziesz damą.

— Bardzo bym tego chciała, kochanie — odrzekła Karolka. — Ale nie codziennie udaje się plądrować czyjeś szuflady i potem wymigać z tego, jakby nigdy nic.

— Do licha z szufladami! — powiedział pan Claypole. — Oprócz szuflad jest jeszcze dużo rzeczy do plądrowania.

— Co na przykład? — spytała Karolka.

— Kieszenie, damskie woreczki, domy, dylizanse, banki — wyliczał pan Claypole ożywiając się pod działaniem porteru.

— Ale ty tego wszystkiego nie potrafisz — rzekła Karolka.

— Będę się starał poznać takich, co potrafia — odparł Noe. — Już oni będą umieli jakoś nas zatrudnić. Ot, choćby ty sama warta jesteś tyle co pięćdziesiąt innych kobiet. Nigdy nie widział drugiego takiego chytrego i oszukańczego stworzenia, jakim ty potrafisz być, kiedy ci na to pozwalam.

— Jej, jak miło słyszeć, że ty to mówisz! — wykrzyknęła Karolka wyciskając pocałunek na jego brzydkiej twarzy.

— No, wystarczy. Nie bądź taka czuła, bo się zezłoszczę — powiedział Noe i uwolnił się z jej objęć z wielką powagą. — Chciałbym być hersztem jakiejś bandy złodziei i poganiać ich, i śledzić ich tak, ażeby sami o tym nie wiedzieli. To by mi odpowiadało, byle był dobry zysk. Gdybyśmy tylko mogli spiknąć się z takimi jegomościami, warto by za to dać ten dwudziestofuntowy czek, który ty masz — szczególnie, że nie bardzo wiemy, jak mamy sami się go pozbyć.

Wyraziwszy ten pogląd pan Claypole z bardzo mądrą miną zajrzał do dzbanka z portem. Wstrząsnął dobrze jego zawartość i skinąwszy łaskawie głową ku Karolce, wypił długi łyk, który najwidoczniej ogromnie go pokrzepił. Namyślał się właśnie nad następnym, kiedy nagle otworzyły się drzwi i przerwało mu wejście nieznanego.

Nieznanym tym był pan Fagin, a miał minę bardzo uprzejmą i podchodząc uklonił się bardzo nisko. Usiadł przy najbliższym stoliku i zamówił coś do wypicia u Barneya, który wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Przyjemny wieczór, proszę pana, ale chłodny jak na tę porę roku — rzekł Fagin zacierając ręce. — Pan ze wsi, jak widzę?

— A skąd pan to wie? — spytał Noe Claypole.

— Nie mamy tyle kurzu w Londynie — odrzekł Fagin wskazując na buty Noego i jego towarzyski, a potem na oba tobołki.

— Bystry człek z pana — rzekł Noe. — Ha! ha! Posłuchaj tylko, Karolka!

— Cóż, w tym mieście trzeba być byстрым, mój drogi — odparł staruch zniżając głos do poufnego szeptu. — Święta to prawda.

W ślad za tą uwagą Fagin postukał palcem wskazującym w jedno ze swych nozdrzy. Gest ten Noe usiłował naśladować, lecz z niezupełnym powodzeniem, ponieważ nos jego był do tego celu za mały. Pan Fagin jednakże wytłumaczył sobie widocznie tę próbę jako oznakę całkowitej zgodności z jego poglądami, gdyż w bardzo przyjacielski sposób nalał Noemu trunku przyniesionego w tej chwili przez Barneya.

— Dobrze to! — zauważył pan Claypole mlaskając wargami.

— Ale drogie! — odrzekł Fagin. — Jeżeli człowiek chce to stale pić, musi wiecznie plądrować jakieś szuflady albo kieszenie, albo damskie woreczki, albo domy, albo dyliżanse, albo banki.

Ledwo pan Claypole usłyszał ten wyciąg z własnego przemówienia, opadł w tył na oparcie krzesła, przenosząc wzrok ze starca na Karolkę, a oblicze jego stało się ziemistobłede i przybrało wyraz okropnego przerażenia.

— Nie krępuj się mną, mój drogi — rzekł Fagin przysuwając bliżej krzesło. — Ha! ha! Szczęście, że to tylko ja przypadkiem cię usłyszałem. Wielkie szczęście, że to tylko ja.

— Ja tego nie wziąłem — wyjąkał Noe. Już nie wyciągał po pańsku nóg przed siebie, tylko podkurczył je pod krzesło, najgłębiej jak umiał. — To wszystko była jej sprawka. Masz to przecież i teraz, Karolka, wiesz, że masz.

— Wszystko jedno, kto to ma i kto to zrobił, mój drogi! — odrzekł Fagin rzucając jednak krogulcze spojrzenie na dziewczynę i na oba tobołki. — Ja sam jestem z takich i podobacie mi się za to.

— Z jakich? — spytał pan Claypole przychodząc nieco do siebie.

— Pracuję w tym samym fachu — odparł Fagin. — Właściciele tego szynku również. Trafiłeś młotkiem we właściwy gwóźdź i jesteś tutaj bezpieczny jak u siebie w domu. Nie ma w całym tym mieście bezpieczniejszego miejsca niż „Pod Kalekami” — przynajmniej dopóty, dopóki mnie się tak podoba. A ja upodobałem sobie ciebie i tę młodą kobietę, toteż powiedziałem tylko słówko i możecie już mieć spokojną głowę.

Głowa Noego Claypole może i była spokojna po tym zapewnieniu, ale reszta ciała bynajmniej. Skręcał się bowiem i wił, przybierając różne dziwne pozy i przez cały czas spozierając na swego nowego znajomego z mieszaniną trwogi i podejrzliwości.

— Powiem wam coś więcej — rzekł Fagin uspokoivszy przedtem dziewczynę przyjacielskim kiwaniem głową i zachęcającymi pomrukami. — Mam przyjaciela, który, jak mi się zdaje, potrafi spełnić wasze marzenia i skierować was na właściwą drogę. Będziecie mogli wybrać ten dział fachu, który będzie wam na początek najbardziej odpowiadał, i nauczyć się wszystkich pozostałych.

— Mówi pan tak, jakby pan nie żartował — powiedział Noe.

— A cóż by mi przyszło z żartowania? — spytał Fagin wzruszając ramionami. — Słuchaj! Wyjdźmy stąd. Chęć z tobą pomówić na osobności.

— Nie ma potrzeby się fatygować — rzekł Noe stopniowo wysuwając znów nogi do przodu. — Ona

tymczasem zanieś rzeczy na górę. Karolka, zajmij się manatkami!
Rozkaz ten, wypowiedziany bardzo majestatycznie, został wypełniony bez najmniejszego szemrania. Karolka odeszła szybko z pakunkami, podczas gdy Noe przytrzymał jej drzwi i dopilnował, by wyszła.
— Nieźle zna mores, co? — wracając na miejsce spytał tonem dozorca menażerii, który poskromił jakąś dziką bestię.
— Znakomicie — odparł Fagin i poklepał go po ramieniu. — Jesteś nadzwyczajny, mój drogi.
— Ano myślę, że gdybym taki nie był, nie byłoby mnie tutaj — odrzekł Noe. — Ale słuchaj no pan, jeżeli będziemy tracić czas, ona wróci.
— No więc jak myślisz? — spytał Fagin. — Jeżeli miałby ci się spodobać mój przyjaciel, czy mógłbyś zrobić coś lepszego, niż wejść z nim w kompanię?
— A czy jego interesy dobrze idą? W tym cała rzecz! — odparł Noe mrużąc jedno swe małe oczko.
— Jeszcze jak! Zatrudnia mnóstwo pomocników. Najlepsze towarzystwo z całego fachu jest u niego.
— Wszystko miastowi? — spytał pan Claypole.
— Ani jednego wieśniaka u niego nie ma i wątpię, czyby ciebie przyjął, nawet za moją rekomendacją, gdyby nie to, że akurat teraz brak mu trochę pomocników.
— Czy musiałbym mu oddać?... — Noe poklepał się po kieszeni spodni.
— Bez tego ani rusz — odparł Fagin bardzo stanowczym tonem.
— Ale dwadzieścia funtów — to kupa pieniędzy!
— Nie wtedy, kiedy to jest czek, którego nie możesz się pozbyć — odrzucił Fagin. — Numer i data pewnie zapisane? Wypłata *vr* banku wstrzymana? A! To dla niego niewiele warte. Będzie musiało iść za granicę i na rynku mało za to dostanie.
— Kiedy mógłbym się z nim zobaczyć? — spytał Noe niepewnie.
— Jutro rano. — Gdzie?
— Tu.
— Hm! — mruknął Noe. — A jakie warunki?
— Pańskie życie, wikt, mieszkanie, tytoń i trunki darmo — połowa tego, co zarobisz, i połowa tego, co zarobi dziewczyna.
Gdyby Noe Claypole, którego zachłanność nie należała do najmniejszych, miał całkowicie wolną rękę, bardzo wątpliwe, czy byłby się zgodził nawet na takie olśniewające warunki. Kiedy jednak uprzytomnił sobie, że w razie odmowy z jego strony nowopoznany mógł oddać go natychmiast w ręce sprawiedliwości (a wiadomo, że i mniej prawdopodobne rzeczy się zdarzały), zmiękł stopniowo i powiedział, że chyba mu to będzie odpowiadało.
— Ale, widzisz pan — zauważył Noe — ponieważ ona będzie mogła robić bardzo dużo, więc ja chciałbym wziąć na siebie coś bardzo lekkiego.
— Jakąś przyjemnościową robótkę — poddał Fagin.
— Aha! Coś w tym rodzaju — odrzekł Noe. — Jak pan myśli, co by się dla mnie nadawało? Coś nie zanadto męczącego i nie zanadto niebezpiecznego, rozumiesz pan? O coś takiego mi chodzi!
— Słyszałem, jakieś coś mówił o szpiegowaniu innych, mój drogi — rzekł Fagin. — Mój przyjaciel bardzo potrzebuje kogoś, kto by to dobrze robił.
— A tak, rzeczywiście, wspominałem o tym i nie miałbym nic przeciwko temu od czasu do czasu — odrzekł pan Claypole powoli. — Ale to samo przez się nie przynosiłoby mi nic, rozumie pan.
— Prawda! — zauważył Żyd namyślając się czy też udając, że się namyśla. — Rzeczywiście, to mogłoby nic nie przynosić,
— Co pan myśli wobec tego? — spytał Noe patrząc nań z niepokojem. — Coś takiego, co się robi chyłkiem, na pewniaka. I żeby człowiek niewiele więcej ryzykował niż siedząc w domu.
— Co sądzisz o staruszkach? — spytał Fagin. — Można dużo zarobić wyrzucając im woreczki i pacuszki, a potem czmychając za róg.
— A czy one nie wrzeszczą i czasami nie drapią? — spytał Noe potrząsając głową. — Nie wydaje mi się, żeby mi to odpowiadało. Nie ma jakiejś innej branży do wyboru?
— Czekaj! — rzekł Fagin i położył rękę na kolanie Noego. — Chodzenie na bębny.
— A co to jest? — zapytał pan Claypole.
— Bębny, mój drogi — rzeki Fagin — to są małe dzieci, które matki wyprawiają na posyłki z sześciopensówkami i szylingami. A chodzenie na bębny to po prostu zabieranie im pieniędzy — zawsze trzymają je przygotowane w garści. Potem spycha się dzieciaki do rynsztoka i odchodzi się bardzo powoli, jak gdyby nic innego się nie stało prócz tego, że jakieś dziecko przewróciło się i potłukło. Ha! ha! ha!
— Ha! ha! — ryknął pan Claypole wierzgając nogami w uniesieniu zachwytu. — Jej, to wymarzona rzecz!
— To prawda! — odrzekł Fagin — i można ci będzie wyznaczyć kilka dobrych rewirów w Camden Town, Battle Bridge i podobnych okolicach, gdzie dzieci ciągle chodzą na posyłki; możesz tam o

każdej porze dnia przewracać tyle bębnow, ile tylko zechcesz. Ha! ha! ha!
Tu Fagin szturchnął pana Claypole w bok i obaj wybuchnęli długim głośnym śmiechem.
— No, to dobrze! — rzekł Noe, kiedy przyszedł do siebie, a Karolka już wróciła. — Na którą godzinę się jutro umówimy?
— Dziesiąta ci odpowiada? — spytał Fagin, a kiedy pan Claypole kiwnął głową na znak zgody, dodał:
— Jakie nazwisko mam podać mojemu dobremu przyjacielowi?
— Pan Bolter — odrzekł Noe, który przygotował się na taką ewentualność. — Pan Morris Bolter. A to jest pani Bolter.
— Uniżony sługa pani Bolter — powiedział Fagin i złożył Karolce ukłon pełen groteskowej dworności. — Mam nadzieję, że bardzo niedługo poznamy się bliżej.
— Słyszysz, co ten pan mówi, Karolka? — zagrział pan Claypole.
— Słysz, Noe, kochanie! — odrzekła pani Bolter wyciągając rękę.
— Nazywa mnie Noe, ot tak sobie z czułości, rozumie pan? — rzekł pan Morris Bolter, dawniej Claypole, zwracając się do Fagina.
— O tak, rozumiem, doskonale rozumiem — odrzekł Fagin, raz przynajmniej nie mijając się z prawdą.
— Dobranoc! Dobranoc!
Wśród wielu pożegnań i miłych życzeń pan Fagin odszedł. Noe Claypole nakazał swej towarzysze, by baczenie uważała, i jął oświecać ją w tym, co dotyczy zawartej umowy. Czynił to z całą wyniosłością i wyższością, które przystoją nie tylko przedstawicielowi silniejszej płci, lecz także dżentelmenowi doceniającemu godność specjalnego poruczenia, jakim jest chodzenie na bębny w Londynie i okolicy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI W KTÓRYM POKAZANE JEST, JAK PRZEMYŚLNY KRĘTACZ WPAŁ W TARAPATY

Więc to pan byłeś swoim własnym przyjacielem, tak? — spytał pan Claypole, alias Bolter, gdy zgodnie z zawartą między nimi umową przeniósł się nazajutrz do domu Fagina. — Ehe, zaraz wczoraj wieczór tak sobie myślałem.
— Każdy jest przyjacielem siebie samego, mój drogi — odparł Fagin ze swym najbardziej znaczącym uśmiechem. — Nikt i nigdzie nie ma lepszego.
— Chyba czasami — odrzekł Morris Bolter przybierając minę bywałego światowca. — Niektórzy nie są dla nikogo takimi wrogami jak dla siebie, wie pan.
— Nie wierz temu — rzekł Fagin. — Kiedy człowiek jest samemu sobie wrogiem, to tylko dlatego, że jest sobie za dobrym przyjacielem, a nie dlatego, że dba o wszystkich innych prócz siebie. Tere fere! Czegoś takiego nie ma w naturze.
— Jeżeli nawet jest, to nie powinno być — odrzekł pan Bolter.
— Rozumie się. Niektórzy czarnoksiężnicy powiadają, że magiczną liczbą jest trójka, inni, że siódemka. Ani jedno, ani drugie, przyjacielu, ani jedno, ani drugie. Magiczną liczbą jest numer jeden.
— Ha! ha! — zawołał pan Bolter. — Niech żyje numer jeden!
— W takiej małej społeczności jak nasza, mój drogi — rzekł Fagin czując, że należy dokładnie wyjaśnić tę tezę — mamy wspólny numer jeden. To znaczy, że nie możesz uważać siebie za numer jeden, nie uważając zarazem za to samo mnie i wszystkich pozostałych młodych ludzi.
— O, do diabła! — wykrzyknął pan Bolter.
— Widzisz — ciągnął Fagin udając, że nie zauważył tego okrzyku — jesteśmy tak z sobą związani i tak jednakowe mamy interesy, że tak być musi. Twoim na przykład celem jest dbać o numer jeden, to znaczy o siebie.
— Oczywiście — odrzekł pan Bolter. — Tu masz pan rację.
— No więc! Nie możesz zaś dbać o siebie, o numer jeden, nie dbając zarazem o mnie, też o numer jeden.
— Numer dwa, chce pan powiedzieć — rzeki pan Bolter, który posiadał w znacznym stopniu cechę samolubstwa.
— Nie! — odparł Fagin. — Jestem dla ciebie tak samo ważny jak ty sam.
— Ej, słuchaj no pan — przerwał pan Bolter — bardzo z pana miły człowiek i bardzo pana lubię, ale znów tak, jak wychodzi z tego, co pan mówi, tośmy się jeszcze nie pokumali.
— Pomyśl tylko — rzekł Fagin wzruszając ramionami i rozczapierzając ręce — tylko się zastanów. Zrobiłeś coś, co jest bardzo miłe i za co cię kocham, ale co jednocześnie założyłoby ci na szyję taki krawat, który łatwo jest zawiązać, ale zdjęć bardzo trudno — mówiąc po prostu: stryczek!
Pan Bolter przyłożył sobie dłoń do halsztuka, jakby mu w nim było ciasno, i mruknął potwierdzająco, jak przynajmniej należało wnosić z tonu, słowa bowiem były niezrozumiałe.
— Szubienica — mówił dalej Fagin — szubienica, mój drogi, to bardzo brzydka drogowskaz.
Wskazuje ona bardzo krótki i ostry zakręt, który położył kres karierze niejednego rycerza gościńca.

Utrzymać się na łatwej drodze i z dala od tego zakrętu, to dla ciebie cel numer jeden.

— No chyba — odrzekł pan Bolter. — Po co pan mówi o takich rzeczach?

— Tylko po to, żeby ci jasno pokazać, o co mi chodzi — rzekł Żyd unosząc w górę brwi. — By móc osiągnąć ten cel, zależny jesteś ode mnie. Ja znów zależny jestem od ciebie, jeżeli chcę, żeby moje skromne interesy szły gładko. Pierwszy cel to numer jeden dla ciebie, drugi — dla mnie. Im więcej cenisz twój numer jeden, tym bardziej musisz dbać o mój. Dochodzimy więc w końcu do tego, co ci mówiłem na początku — że wzgląd na numer jeden trzyma nas wszystkich razem i musi trzymać, jeżeli nie chcemy całym towarzystwem zejść na psy.

— To prawda — odrzekł pan Bolter zamyślony. — O! ale to z pana chytry stary skapiec!

Pan Fagin dostrzegł ku swemu wielkiemu zadowoleniu, że ów hołd dla jego zdolności nie był czczym komplementem, lecz że istotnie wpoił swemu nowozwerbowanemu pomocnikowi przekonanie o swej niezwykłej przebiegłości. A było ogromnie ważne, by młodzieniec miał to przekonanie wpojone od samego początku ich znajomości. Aby pogłębić tak pożądane i pożyteczne wrażenie, Zaraz po tym pierwszym uderzeniu objaśnił mu nader szczegółowo, jak doniosła i rozległa była jego działalność. Mieszał przy tym prawdę z fikcją w sposób, który najlepiej służył jego celom. Jedną i drugą podawał zaś z takim kunsztem, że szacunek pana Boltera rósł wyraźnie, a zarazem zabarwiał się w pewnym stopniu zdrowym strachem, którego wzbudzenie było wysoce pożądane.

— Owo wzajemne zaufanie, które wszyscy mamy do siebie, pociesza mnie po różnych ciężkich stratach — mówił Fagin. — Właśnie wczoraj rano straciłem mojego najlepszego pomocnika.

— Nie chce pan chyba powiedzieć, że umarł? — zawołał pan Bolter.

— Nie, nie — odrzekł Fagin — tak źle nie jest. Aż tak źle jeszcze nie jest.

— Więc go...

— Wzięto — przerwał Fagin. — Tak, wzięto go.

— Za coś bardzo wyjątkowego? — spytał pan Bolter.

— Nie — odrzekł Fagin — nie bardzo. Obwiniono go o usiłowanie kradzieży kieszonkowej, a przy tej okazji znaleziono przy nim srebrną tabakierkę — jego własną, mój drogi, jego własną, bo sam zażywał tabakę i bardzo to lubił. Zatrzymali go do dzisiaj, bo zdawało im się, że wiedzą, kto jest jej właścicielem. Ach! On był wart pięćdziesiąt tabakierki i chętnie zapłaciłbym taką cenę, aby odzyskać go z powrotem. Szkoda, żeś nie znał Krętacza, mój drogi, szkoda, żeś nie znał Krętacza.

— No, ale chyba go przecież poznam, nie myśli pan? — zapytał pan Bolter.

— Wątpię bardzo — odrzekł Fagin z westchnieniem. — Jeżeli nie zdobędą nowych dowodów, będzie to tylko niegroźne zasądzenie i będziemy go mieli z powrotem za jakieś sześć tygodni. Ale jeżeli zdobędą, to będzie spacer. Oni wiedzą, jaki to sprytny chłopak. Dadzą mu dożywotkę. Już tam Przemysłnemu nie dadzą mniej niż dożywotkę!

— Co to znaczy spacer i dożywotka? — zapytał pan Bolter. — Co za sens gadać do mnie w ten sposób? Dlaczego pan nie mówi tak, żebym mógł coś zrozumieć?

Fagin miał właśnie przetłumaczyć te tajemnicze wyrażenia na potoczny język (z przekładu tego pan Bolter dowiedziałby się, że oznaczają one „deportację na całe życie”), kiedy mowę przerwało wejście imię pana Batesa, który trzymał ręce w kieszeniach spodni, a twarz miał wykrzywioną grymasem na pół zartobliwej żałości.

— Wszystko przepadło, Fagin — powiedział Karolek, kiedy zapoznał się z nowym towarzyszem.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Znaleźli tego jegomościa, co jest właścicielem tabakierki. Jeszcze dwóch czy trzech innych ma przyjąć go rozpoznać i Przemysłny jakby już miał bilet na statek — odrzekł imię Bates. — Muszę mieć kompletny garnitur żalobny, Fagin, i przepaskę z krepki na kapelusz, żeby go odwiedzić, zanim wyruszy w podróż. Pomyśleć, że Jack Dawkins — wspaniały Jack — Krętacz — Przemysłny Krętacz — jedzie za granicę przez zwykłą kichaczkę za dwa i pół pensa! Nigdy nie myślałem, że go to może spotkać za coś mniejszego niż co najmniej złoty zegarek z łańcuszkiem i dewizkami. Och, dlaczegoż nie okradł jakiegoś bogatego starego jegomościa ze wszystkich jego drogo cenności? Przynajmniej wyjeżdżałby jak pan, a nie jak byle głupiec, bez zaszczytu i chwały!

W ten sposób wyraziwszy swe uczucie dla nieszczęsnego przyjaciela imię pan Bates, z miną pełną żalu i przygnębienia, usadowił się na najbliższym krześle.

— Dlaczego mówisz, że nie będzie miał zaszczytu ani chwały? — wykrzyknął Fagin rzucając na wychowanka gniewne spojrzenie. — Czy nie był zawsze mistrzem pośród was wszystkich? Czy jest choć jeden z was, który by mógł mu dorównać pod jakimkolwiek względem? Co?

— Ani jeden — odrzekł imię Bates głosem ochryplym z żalu — ani jeden.

— Więc co ty gadasz? — powiedział Fagin gniewnie. — Czego lamentujesz?

— Dlatego, że to wszystko nie jest zapisane, no nie? — rzekł Karolek, który był rozżalony do tego stopnia, że zapomniał o szacunku dla swego czcigodnego przyjaciela. — Dlatego, że to nie może wyjść na jaw w wyroku, że nikt nie będzie wiedział ani w połowie, czym był Krętacz. Jak on będzie figurował w rejestrze Newgate? Może wcale. O retę, o retę, co za cios!

— Ha! ha! — zawołał Fagin. Wyciągnął prawą rękę i zwrócił się do pana Boltera, trzęsąc się ze śmiechu tak, jakby miał drgawki. — Zauważ tylko, jacy oni są dumni ze swego zawodu, mój drogi. Czy to nie piękne?

Pan Bolter kiwnął głową przytakująco, a Fagin z widocznym zadowoleniem patrzył przez parę sekund na zmartwionego Karolka Batesa, po czym podszedł doń i poklepał go po ramieniu.

— Nie martw się, Karolku — powiedział tonem pociechy — wszystko wyjdzie na jaw, wyjdzie na pewno. Wszyscy się dowiedzą, co to był za sprytny chłopak. On im to sam pokaże i nie przyniesie hańby swoim starym kamratom i nauczycielom. I pomyśl też, jaki jest młody! Co za wyróżnienie, Karolku, być zasądzonym na deportację w tym wieku!

— No przecież, że to zaszczyt! — rzekł Karolek, nieco pocieszony.

— Będzie miał wszystko, czego będzie potrzebował — ciągnął Żyd. — Będą go trzymać w klatce jak jakiego pana. Jak pana! Co dzień piwo i pieniądze w kieszeni, którymi może grać w orla i reszkę, jeżeli nie zdoła ich wydać.

— Nie, naprawdę? — zawołał Karolek Bates.

— Tak — odrzekł Fagin. — I zaangażujemy jakąś wielką szyszkę, żeby go broniła, taką najmocniejszą w pysku, Karolku. I on sam będzie przemawiał, jeżeli zechce. I przeczytamy to potem wszystko w gazetach: „Przemysłny Krętacz — huragan śmiechu — sądem wstrząsnął wybuch wesołości” — co, Karolku, co?

— Ha! ha! — zaśmiał się imć pan Bates — co by to była za heca, prawda, Fagin? Hej, ale ten Krętacz zadałby im bobu, nie?

— Zadałby? — zawołał Fagin. — Zada, musi zadać!

— Ach, pewnie, że musi — powtórzył Karolek zacierając ręce.

— Tak jakbym już go widział — powiedział staruch i utkwiał oczy w swoim uczniu.

— I ja też — zawołał Karolek Bates. — Ha! ha! ha! I ja też. Wszystko to mam przed oczami, Fagin, jak mi życie miłe. Co za heca! Co za nadzwyczajna heca! Wszystkie grube szyszki starają się wyglądać uroczyście, a tu Jack Dawkins zwraca się do nich tak poufale i swobodnie, jakby był synalkiem sędzię, wygłaszającym mówkę przy kieliszku — ha! ha! ha!

Pan Fagin w samej rzeczy tak potrafił zagrać na ekscentrycznym usposobieniu swego młodego przyjaciela, że imć pan Bates, który z początku skłonny był uważać uwięzionego Krętacza raczej za ofiarę, teraz patrzył nań jako na głównego aktora w scenie pełnej najbardziej niepospolitego i wybornego humoru i nie mógł już po prostu doczekać się chwili, kiedy stary towarzysz uzyska tak znakomitą sposobność pochwalenia się swymi zdolnościami.

— Musimy jakimś sposobem dowiedzieć się, jak mu się dzisiaj powiedzie — rzekł Fagin. — Pozwólcie, niech pomyślę.

— Czy ja mam pójść? — spytał Karolek.

— Za nic w świecie — odrzekł Fagin. — Czyś oszalał, mój drogi, czyś na dobre oszalał?... Chciałbyś wpakować się tam właśnie, gdzie... Nie, Karolku, nie! Dostyc stracić jednego na raz.

— Nie myślisz chyba pójść sam? — spytał Karolek z kpiącym grymasem.

— To by niezupełnie uchodziło — odrzekł Fagin potrząsając głową.

— Więc dlaczego nie posłać tego nowego ptaszka? — spytał imć pan Bates kładąc dłoń na ramieniu Noego. — Nikt go nie zna.

— Prawda! Jeżeliby nic nie miał przeciwko temu...

— Przeciwno temu? — przerwał Karolek. — A cóż on może mieć przeciwko temu!

— Prawdę powiedziawszy nic, mój drogi — rzekł Fagin zwracając się do Boltera. — Prawdę mówiąc, to nic.

— Ale! Coś wam powiem, wiecie — powiedział Noe wycofując się tyłem w stronę drzwi i potrząsając głową z pewnym trzęwym zaniepokojeniem. — Nie, nie, nic z tego. To nie mój wydział, nie.

— A jakież to on ma wydział, Fagin? — zapytał imć pan Bates patrząc z obrzydzeniem na niezgrabną postać Noego. — Pewno wianie wtedy, kiedy tylko coś pójdzie źle, i spijanie całej śmietanki, kiedy wszystko idzie dobrze. Czy to jest jego branża?

— Mniejsza z tym — odciął się pan Bolter. — A ty nie pozwalaj sobie za wiele z lepszymi od siebie, smarkaczu, bo jeszcze gotówes się znaleźć tam, gdzie nie potrzeba.

W odpowiedzi na tę wspaniałą pogroźkę imć Bates wybuchnął tak gwałtownym śmiechem, że upłynęło nieco czasu, nim Fagin zdołał się wtrącić i wytłumaczyć panu Bolterowi, że odwiedzając urząd policyjny nie naraża się na żadne zgoła niebezpieczeństwo. Wytłumaczył mu, że ponieważ żadna wieść o sprawce, którą miał na sumieniu, ani żaden opis jego osoby nie zostały dotąd przesłane do stolicy, było wysoce prawdopodobne, iż nikt nawet nie przypuszcza, że przybył do niej w poszukiwaniu schronienia. Jeśli zatem odpowiednio się przebierze, może równie bezpiecznie udać się na policję jak w każde inn miejsce w Londynie, zwłaszcza że każdy by uważał, iż jest to ostatnie miejsce, dokąd mógłby się udać z własnej nieprzymuszonej woli.

Częściowo przekonany tymi argumentami, ale bardziej pod wpływem strachu przed Faginem, pan Bolter, choć wielce niechętnie, zgodził się wreszcie na podjęcie tej wyprawy. W myśl wskazówek Fagina zmienił natychmiast swój zwykły przyodziewek na kaftan woźnicy, welwetowe spodnie do kolan i skórzane kamasze, które to artykuły Fagin miał pod ręką. Dostarczono mu również filcowy kapelusz, za którego wstążką zatkniętych było mnóstwo kwitów za opłacenie rogatkowego, a w rękę wetknięto mu furmański bat. Tak wyekwipowany miał swobodnie wejść do urzędu, jak to mógłby uczynić jakiś ciekawski chłop z targu w Covent Garden. A że był tak niezgrabny w ruchach, niezdamny i ciężko zbudowany, że nie trzeba lepiej, Fagin nie miał żadnych wątpliwości, iż zagra swoją rolę doskonale.

Po ukończeniu tych przygotowań Noemu objaśniono dokładnie, za pomocą jakich to znaków i cech ma rozpoznać Przemysłnego Krętacza. Potem pan Bates zaprowadził go ciemnymi, krętymi uliczkami do miejsca leżącego bardzo blisko Bow Street. Tam Karolek opisał mu dokładnie położenie urzędu policyjnego, dał wyczerpujące wskazówki, jak ma podejść prosto do bramy, a potem w podwórzu pójść po schodkach do drzwi po prawej stronie i zdjęć kapelusz wchodząc na salę. Następnie kazał mu ruszać szybko samemu, obiecując czekać na jego powrót w miejscu rozstania.

Noe Claypole, lub jeśli czytelnik woli, Morris Bolter, pokierował się ściśle otrzymanymi wskazówkami. Były one tak dokładne — imć pan Bates był bowiem doskonale obznajomiony z okolicą — że zdołał dostać się przed oblicze ciała sędziowskiego bez zadawania jakichkolwiek pytań i nie spotkawszy po drodze żadnej przeszkody. Znalazł się wśród rozpychającego się tłumu ludzi, przeważnie kobiet, stłoczonego w brudnej, dusznej sali, w której jednym końcu zbudowane było podwyższenie, odgrodzone od pozostałej części pomieszczenia balustradą. Na podwyższeniu tym na lewo pod ścianą było ogrodzone miejsce dla podsądnych, w środku miejsce dla świadków, a po prawej pulpity sędziów. Ostatnio wymieniony straszliwy przybytek osłonięty był przepierzeniem kryjącym go przed spojrzem gminu, któremu pozostawało tylko wyobrażanie sobie (jeśli potrafi) całego majestatu sprawiedliwości.

Za przegrodą dla oskarżonych były tylko dwie kobiety, które kiwnięciem głowy pozdrowiały swych pełnych podziwu przyjaciół na sali, gdy równocześnie urzędnik wczytywał jakieś polecenia dwom policjantom i mężczyźnie w cywilnym ubraniu, pochylonemu nad stołem. Oparty o przegrodę, stał dozorca więzienny, bezmyślnie stukając się po nosie wielkim kluczem; czynność tę przerywał wyłącznie wtedy, gdy głośnym wołaniem o ciszę poskramiał niewłaściwe skłonności do gadulstwa wśród gapiów lub też gdy podnosząc groźnie wzrok nakazywał tej czy owej kobiecie, by „wyniosła tego dzieciaka”, kiedy powagę wymiaru sprawiedliwości zakłócały słabe okrzyki jakiegoś wątłego niemowlęcia, na pół zduszonego w matczynej chustce. Powietrze w sali było duszne i niezdrowe, ściany szare od kurzu, a sufit poczerniały. Na parapecie kominka stało jakieś zakopcone popiersie, a nad pomieszczeniem dla oskarżonych tykał kurzem pokryty zegar. Zdawał się on jedyną na sali rzeczą, która szła tak jak należy, gdyż zepsucie i nędza lub długotrwałe przyzwyczajenie do obcowania z jednym i drugim skaziły niejako całą znajdującą się tu materię ożywioną, nie mniej odrażającą niż gruba, tłusta powłoka brudu na wszystkich otaczających a nieprzyjaznych przedmiotach martwych. Noe rozglądał się skwapliwie za Krętaczem. Ale choć było tu kilka kobiet, które mogłyby bez trudu uchodzić za matki czy siostry owej znakomitej osobistości, oraz niejedyn mężczyzna, którego by można podejrzewać o duże podobieństwo do jego ojca, to jednak nikt zgoła nie odpowiadał rysopisowi pana Dawkinsa. Noe czekał tedy w napięciu i niepewności, aż wreszcie podsądne, doczekawszy się postanowienia, iż wytoczy im się proces, wyszły z zuchwałymi minami. Zaraz potem ku wielkiej uldze pana Boltera pojawił się nowy aresztant i Noe od razu domyślił się, że musi to być ten, dla którego tu przyszedł.

Rzeczywiście był to pan Dawkins. Szedł on parę kroków przed strażnikiem; obszerne rękawy miał podwinęte, jak zwykle, lewą rękę trzymał w kieszeni, a w prawej dzierżył kapelusz. Szedł nie dającym się opisać posuwistym krokiem i zajmawszy miejsce za przegrodą dla oskarżonych, donośnym głosem jął się domagać wyjaśnienia, czemu to znalazł się w takiej haniebnej „sytuacji”.

— Cicho bądź, dobrze? — powiedział strażnik.

— Jestem przecież Anglikiem, nie? — odparł Krętacz. — Gdzie są moje przywileje?

— Doczekasz ty się niedługo swoich przywilejów — odparł strażnik — aż je dobrze popamiętasz.

— Zobaczmy, co minister spraw wewnętrznych będzie miał dziobom do powiedzenia, jeżeli zapomną o moich przywilejach — odrzekł pan Dawkins. — No, więc! Co to wszystko znaczy? Bardzo będę wdzięczny sędziom, jeżeli załatwią od ręki tę całą sprawę i nie każą mi czekać, aż skończą czytać gazetę, bo mam umówione spotkanie z jednym panem z City, a że jestem człowiekiem słownym i bardzo punktualnym w interesach, on pójdzie sobie, jeżeli nie stawię się o umówionej porze. A wtedy ciekaw jestem bardzo, czy nie wniosę sprawy o odszkodowanie przeciwko tym, co mnie tu zatrzymali. O nie, na pewno nie wniosę!

Tutaj Krętacz okazując wielką troskliwość w związku ze swoimi dalszymi planami, zażądał od strażnika, by mu wymienił „nazwiska tych dwóch ptaszków, co to siedzą jeden przy drugim na ławie”.

To tak ubawiło widzów, że roześmieli się prawie równie serdecznie, jak byłby to uczynił imię pan Bates, gdyby słyszał owo żądanie.

— Cicho tam! — zawołał strażnik.

— O co tu chodzi? — spytał jeden z sędziów.

— wypadek kradzieży kieszonkowej, wasza dostojność.

— Czy chłopak był tu już kiedy?

— Powinien był być, i to nie raz — odrzekł strażnik. — Bo wszędzie indziej na pewno już był. J a bo znam go dobrze, wasza dostojność.

— Oho! Znacie mnie, tak? — zawołał Przemysłny podchwytyjąc to zeznanie. — A to świetnie. To jest w każdym razie podstawa do skargi o zniesławienie.

Tu nastąpił nowy wybuch śmiechu i nowe wezwanie do uciszenia się.

— No więc, gdzie są świadkowie? — spytał urzędnik.

— A! właśnie — dodał Krętacz. — Gdzie oni są? Bardzo bym chciał ich zobaczyć.

Życzeniu temu natychmiast stało się zadość. Wystąpił, bowiem policjant, który widział, jak oskarżony usiłował okraść w tłoku pewnego nieznanego pana, nawet zabrał mu z kieszeni chustkę do nosa, która jednak okazała się bardzo stara, toteż z całym rozmysłem wsadził ją z powrotem do kieszeni tego pana, wypróbował wprzód jej zalety na własnym obliczu. Z tego to powodu policjant zaarrestował Krętacza, skoro tylko zdołał się do niego docisnąć, i przy rewizji okazało się, iż rzeczony Krętacz ma przy sobie srebrną tabakierkę z nazwiskiem właściciela wyrytym na wieczku. Pana tego odnaleziono następnie, zajrzawszy do Przewodnika Dworskiego. Pan ów był teraz na sali i stwierdził pod przysięgą, że tabakierka należy do niego i że brak jej zauważył poprzedniego dnia, w chwili kiedy przeciskał się w tłoku, o którym była tu już mowa. Zauważył też w ciżbie młodzieńca kręcącego się ze szczególną ruchliwością. Tym młodzieńcem był obecny na sali aresztant.

— Czy chcesz o coś zapytać tego świadka, chłopcze? — spytał sędzia.

— Nie chcę sobie ubliżać zniżając się do rozmowy z nim — odparł Krętacz.

— Czy masz w ogóle coś do powiedzenia?

— Czy słyszysz, jego dostojność pyta, czy masz coś do powiedzenia? — spytał strażnik trącając łokciem milczącego Krętacza.

— Przepraszam — rzekł Krętacz podnosząc wzrok z roztargnioną miną. — Czyście się do mnie zwracali, mój człowieku?

— Nigdy w życiu nie widziałem takiego bezczelnego hultaja, wasza dostojność — zauważył strażnik szczerząc zęby w uśmiechu. — Czy chcesz coś powiedzieć, ty łobuzie?

— Nie — odrzekł Krętacz — nie tutaj, bo tu nie jest miejsce dla wymiaru sprawiedliwości, a poza tym mój adwokat je dzisiaj śniadanie z wiceprzewodniczącym Izby Gmin. Ale będę miał coś do powiedzenia gdzie indziej, i on także, a oprócz niego bardzo liczne i szanowne grono moich przyjaciół. Dzioby będą żałować, że się w ogóle urodziły albo że ich fagasy nie powiesiły na kołkach do kapeluszy, zanim pozwoliły sobie nastawać tu dzisiaj na mnie. Ja...

— Dosyć! Jego wina nie ulega żadnej wątpliwości! — przerwał urzędnik. — Zabrać go.

— Chodź no — rzekł strażnik.

— Dobrze, dobrze, pójdę — odparł Krętacz otrzepując dłonią swój kapelusz. — O! (do ławy sędziowskiej) nic wam nie pomogą wystraszone miny. Nie będę miał dla was za grosz litości. Już wy mi za to zapłacicie, moi mili! Nie chciałbym być na waszym miejscu za nic na świecie! Nie poszedłbym teraz na wolność, choćbyście mnie błagali na kolanach. Hej, odprowadzić mnie do więzienia! Zabierajcie mnie!

Wyrzekłszy te ostatnie słowa Krętacz dał się wyprowadzić za kołnierz. Przez całą drogę aż na podwórze odgrażał się, że zrobi z tego sprawę w parlamencie, po czym uradowany i zadowolony z siebie, roześmiał się strażnikowi prosto w nos.

Stwierdziwszy, że Krętacza zamknięto samego w małej celce, Noe pośpieszył z powrotem na miejsce, gdzie pozostawił imię pana Batesa. Po jakimś czasie zjawił się tam i ów młodzian, który przezornie nie pokazywał się dopóty, dopóki rozejrzawszy się ostrożnie wkoło, nie przekonał się, że nowego znajomego nie śledzi żaden natręt.

Obaj wrócili szybko do domu, by zanieść panu Faginowi pocieszające wiadomości, iż Krętacz przynosi zaszczyt swemu wychowawcy i zdobywa sobie chlubną reputację.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY DLA NANCY PRZYCHODZI PORA WYWIĄZANIA SIĘ Z OBIETNICY DANEJ RÓŻY MAYLIE. JEJ NIEPOWODZENIE

Chociaż Nancy posiadała nie byle jaką wprawę w sztuczkach, jakich wymaga chytre maskowanie się, nie potrafiła całkowicie ukryć wpływu, który świadomość powziętego kroku wywarła na jej duszę. Pamiętała, że zarówno przebiegły Fagin jak brutalny Sikes zwierali jej się z planami, które dla

wszystkich innych pozostawały tajemnicą. Czynili to w pełnym przeświadczeniu, że jest godna zaufania i poza zasięgiem ich podejrzeń. Jakkolwiek występne były te plany, jakkolwiek nieubłaganie okrutni ci, którzy je knuli, jakkolwiek gorzkie uczucia żywiła ona sama wobec Fagina, który stopniowo, coraz głębiej i głębiej, zepchnął ją niegdyś w otchłań zbrodni i nieszczęścia, z której nie ma już ucieczki — przecież były chwile, kiedy nawet wobec niego stawała się pobłażliwsza, jakby obawiając się, że jej wyznanie wtrąci go w żelazne kleszcze, którym tak długo się wymykał, i że — choć w pełni zasługiwał na taki los — padnie na koniec z jej ręki.

Były to jednak tylko nieskładne majaczenia istoty niezdolnej oderwać się całkowicie od dawnych towarzyszy i związków, choć zdolnej do wytrwałego skupienia się na jednym celu i niezłomnie zdecydowanej nie dać się od niego odwieść żadnymi względami. Obawy o Sikesa stanowić mogły silniejszą pobudkę do cofnięcia się, póki był jeszcze czas. Ale zastrzegła przecież ściśle dochowanie tajemnicy; nie wymknęła się jej żadna wskazówka, która mogłaby doprowadzić do wytropienia Billa; dla niego wreszcie odmówiła proponowanego schronienia z dala od całego jej otoczenia — grzechu i niedoli. Cóż więcej mogła zrobić! Trwała zatem mocno w swym postanowieniu.

Choć wszystkie jej walki duchowe kończyły się tym ostatecznym wnioskiem, jednakże męczyły ją, wciąż się powtarzając, co oczywiście musiało pozostawiać ślady. W ciągu paru zaledwie dni Nancy schudła i pobladła. Niekiedy nie zwracała zupełnie uwagi na to, co się koło niej dzieje, albo też nie brała udziału w rozmowach, w których niegdyś słysząc ją było najwięcej. Kiedy indziej znów śmiała się bezradośnie i zachowywała się hałaśliwie bez powodu i sensu. Jeszcze kiedy indziej — nieraz w chwilę po tym przelotnym ożywieniu — siedziała milcząca i przybita, rozmyślając z głową opartą na rękach, a wysiłek, z jakim budziła się z tego stanu, jeszcze wyraźniej niż te objawy mówił, że było ciężko na duszy i że jej myśli zajęte były sprawami zgoła odmiennymi i odległymi od tych, które stanowiły przedmiot rozmów jej towarzyszy.

Była niedziela wieczór; zegar najbliższego kościoła wydzwaniał godzinę. Sikes i Fagin rozmawiali, lecz przerwali rozmowę, by posłuchać. Dziewczyna, która siedziała skulona na niskim stołku, podniosła głowę i nasłuchiwała również. Jedenasta.

— Jeszcze godzina do północy — rzekł Sikes. Uniósł zasłonę okienną, wyrzwał na dwór i powrócił na miejsce. — Ciemno i niebo zaciągnięte. Dobra noc na robotę.

— Ach! — odparł Fagin. — Jaka szkoda, Bill, mój drogi, że nie ma w tej chwili żadnej całkiem gotowej do zrobienia.

— Masz rację tym razem — odparł Sikes ochryłym głosem. — Szkoda, bo akurat miałbym teraz ochotę.

Fagin westchnął i potrząsnął głową w przygnębieniu.

— Musimy nadrobić stracony czas, kiedy uda się nam znowu puścić sprawę w ruch, i tyle — powiedział Sikes.

— O to, to, tak trzeba mówić, mój drogi — odrzekł Fagin i odważył się klepnąć go po ramieniu. — Dobrze mi to robi, gdy słyszę, jak tak mówisz.

— Dobrze ci robi, doprawdy! — zawołał Sikes. — No cóż, niech i tak będzie.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się Fagin, jakby nawet i to ustępstwo przyniosło mu ulgę. — Jesteś dzisiaj sobą, Bill! Zupełnie sobą.

— Wcale nie czuję się sobą, kiedy mi kładziesz to swoje stare, pomarszczone łapsko na ramieniu, więc zabierz je precz — odrzekł Sikes strząsając z siebie dłoń starca.

— Denerwuje cię to, Bill — przypomina ci, jak to jest, kiedy człowieka biorą, co? — powiedział Fagin, który postanowił się nie obrażać.

— Przypomina mi, jak to jest, kiedy człowieka biorą diabli — odpalił Sikes. — Nie było nigdy na ziemi człowieka z taką gębą jak twoja, chyba twój ojciec. A myślę, że on teraz przypieka już sobie swoją rudą brodę, chyba że pochodziś prosto od Lucypera, bez żadnego ojca pośrodku, czemu bym się ani trochę nie dziwił.

Na ten komplement Fagin nie dał żadnej odpowiedzi, lecz pociągnawszy Sikesa za mankiet, pokazał palcem na Nancy, która skorzystała z dotychczasowej rozmowy, by nałożyć kapelusz, i teraz wychodziła z pokoju.

— Hej! — krzyknął Sikes. — Nancy! Gdzie ta dziewczyna lezie o tej porze?

— Niedaleko.

— Cóż to za odpowiedź? — odrzekł Sikes. — Dokąd idziesz?

— Mówię: niedaleko.

— A ja się pytam: gdzie? — odparł Sikes. — Słyszysz?

— Nie wiem gdzie — odpowiedziała dziewczyna.

— Ale ja wiem — rzekł Sikes bardziej przez upór niż dlatego, żeby miał istotnie coś przeciwko temu, by dziewczyna poszła, dokąd się jej podoba. — Nigdzie nie pójdziesz. Siadaj.

— Niedobrze mi. Mówiłam ci już przedtem — odparła Nancy. — Potrzeba mi powietrza.

— Wystaw głowę przez okno — rzekł Sikes

Tam nie ma go dosyć — powiedziała dziewczyna. — Chcę łknąć trochę powietrza na ulicy.
— W takim razie go nie łkniesz — odparł Sikes. Z tym zapewnieniem wstał, zamknął drzwi i wyjął klucz, a następnie zerwawszy Nancy z głowy kapelusz, cisnął go na starą szafę. — Masz! — rzekł bandyta. — A teraz siedź spokojnie na miejscu, dobrze?
— Nie myśl, że taka rzecz jak kapelusz może mnie powstrzymać — powiedziała dziewczyna błędą gwałtownie. — Co ty sobie myślisz, Bill? Czy wiesz, co robisz?
— Czy wiesz, co... O! — krzyknął Sikes zwracając się do Fagina — ona chyba zmysły straciła, bo inaczej nie śmiałaby odzywać się do mnie w ten sposób.
— Doprowadzisz mnie do czegoś rozpaczliwego — szepnęła dziewczyna kładąc obie ręce na piersi, jakby chciała powstrzymać siłą jakiś gwałtowny wybuch. — Puść mnie, słyszysz, w tej chwili — natychmiast!
— Nie! — odpowiedział Sikes.
— Każ mu, żeby mnie puścił, Fagin! Niech lepiej puści! Lepiej tak będzie dla niego. Słyszysz mnie?
— zawołała Nancy tupiąc nogą.
— Czy cię słyszę! — powtórzył Sikes obrócił się w krzesło tak, by znaleźć się wprost naprzeciw niej.
— Tak, słyszę! I jeżeli cię będę słyszał jeszcze przez pół minuty, ten pies tak cię złapie za gardło, że ci z niego wyrwie trochę tego wrzeszczącego głosu. Co ci strzeliło do głowy, ty lafiryndo! Co to ma znaczyć?
— Puść mnie — powiedziała dziewczyna z wielką powagą. Potem usiadła na ziemi przed drzwiami i powtórzyła: — Bill, puść mnie, ty nie wiesz, co robisz. Naprawdę nie wiesz. Tylko na godzinę puść mnie, puść!
---Niech mnie potną na kawałki — zawołał Sikes chwytając ją brutalnie za ramię — jeżeli nie myślę, że ta dziewczyna zupełnie zwariowała. Wstawaj!
— Nie wstanę, aż mnie wypuścisz... aż mnie wypuścisz... nigdy!... nigdy! — wrzasnęła Nancy. Sikes przypatrywał się jej przez chwilę, wyczekując okazji, po czym nagle chwyciwszy mocno obie jej ręce, zawlókł szamoczącą się z nim i walczącą dziewczynę do małej przyległej komórki, gdzie sam usiadł na ławce, a ją rzucił na krzesło i siłą przytrzymał na miejscu. Ona kolejno to wrywała mu się, to błagała go, aż wreszcie wybiła północ. Wtedy, znużona i wyczerpana, przestała się opierać. Sikes ostrzegł ją, popierając to ostrzeżenie licznymi przekleństwami, by nie próbowała już tej nocy wychodzić, po czym pozostawił Nancy samą i wrócił do Fagina.
— Uff! — rzekł włamywacz ocierając pot z twarzy. — A cóż to za dziwna dziewczyna!
— Masz rację, Bill, masz rację — odparł Fagin w zamyśleniu.
— Co jej strzeliło do głowy, żeby koniecznie dziś wyjść, jak myślisz? — spytał Sikes. — Słuchaj no, powinienes ją znać lepiej ode mnie. Co to znaczy?
— Upór. Kobięcy upór, jak sądzę, mój drogi.
— Ha, cóż, pewnie tak jest — mruknął Sikes. — Wysiałem, żem ją poskromił, ale została taka sama wściekła, jak była.
— Nawet gorsza — powiedział Fagin w zamyśleniu. — Nigdy jeszcze nie widziałem jej w takim stanie z tak błahego powodu.
— Ani ja — odrzekł Sikes. — Zdaje mi się, że ona ma jeszcze we krwi trochę tej febry, która nie chce z niej wyjść, co?
— Bardzo możliwe.
— Upuszczę jej trochę krwi bez fatygowania doktora, jeżeli jeszcze raz złapie ją coś takiego — powiedział Sikes.
Fagin wymownie kiwnął głową, pochwalając ten sposób leczenia.
— Warowała tu przy mnie całymi dniami, a także nocami, kiedy leżałem chory, a ty jak przeklęty wilk chodziłeś stronami i aniś tu zajrzał — mówił dalej Sikes. — Byliśmy do tego przez cały ten czas w wielkiej biedzie i myślę, że to wszystko jakoś ją wymęczyło i szkodziło jej i że siedzenie w zamknięciu przez tyle czasu rozdrażniło ją, co?
— To, to, mój drogi — odparł Żyd szeptem. — Sza!
Gdy wymawiał te słowa, ukazała się dziewczyna i wróciła na dawne miejsce. Oczy miała zapuchnięte i czerwone, kołysała się całym ciałem, potrzasała głową, a po pewnym czasie wybuchnęła śmiechem.
— Co, teraz znów coś innego! — wykrzyknął Sikes zwracając pełen najwyższego zdumienia wzrok na towarzysza.
Fagin dał mu znak, by na razie nie zwracał na nią uwagi, i po paru minutach dziewczyna uspokoiła się i wróciła do swego zwykłego sposobu bycia. Szepnąwszy Sikesowi, że nie ma obawy, by jej atak się powtórzył, Fagin wziął kapelusz i pożegnał się. Kiedy doszedł do drzwi, przystanął, obejrzał się i spytał, czyby mu kto nie poświecił na ciemnych schodach.
— Poświeć mu — rzekł Sikes, który napychał sobie fajkę. — Szkoda, żeby miał sobie kark skrócić będąc sam i sprawić zawód tym, co chcieliby to oglądać. Potrzymaj mu tam jakie światło.

Nancy zeszła więc ze starcem po schodach, świecąc mu łójówką. Kiedy byli już w sieni, Fagin położył palec na ustach i przysunawszy się blisko do dziewczyny szepnął:

— Co to było, Nancy droga?

— O czym mówisz? — spytała równie cicho dziewczyna.

— Jaki był powód tego wszystkiego? — mówił Fagin. — Jeżeli o n — tu wskazał chudym palcem na górę — jest dla ciebie taki niedobry (to bestia, Nancy, brutalna bestia), dlaczego ty nie...

— No? — rzekła dziewczyna, gdy Fagin urwał. Usta jego prawie dotykały jej uszu, a oczy patrzyły prosto w jej oczy.

— Mniejsza z tym na razie. Pomówimy o tym jeszcze. Masz we mnie przyjaciela, Nancy, wiernego przyjaciela. Mam potrzebne środki u siebie, dyskretne i pewne. Jeżeli chcesz się zemścić na tych, co cię traktują jak psa... jak psa? gorzej! bo swemu psu on czasami okazuje pobłażliwość — przyjdź do mnie. Powiadam, przyjdź do mnie. On jest tylko chwilowym twoim towarzyszem, Nancy, ale mnie znasz od dawna.

— Znam cię bardzo dobrze — odrzekła dziewczyna nie objawiając najmniejszego wzruszenia. — Dobranoc!

Cofnęła się, gdy Fagin wyciągnął do niej rękę, ale spokojnym głosem powiedziała mu raz jeszcze dobranoc i odpowiadając na jego pożegnalne spojrzenie porozumiewawczym skinieniem głowy, zamknęła drzwi.

Fagin skierował się ku domowi z mózgiem pełnym kłębiących się w nim myśli. Nie z tego, co wydarzyło się dziś wieczorem (choć znalazł w tym potwierdzenie swoich przypuszczeń), lecz powoli i stopniowo powziął był myśl, że Nancy, znużona brutalnością włamywacza, zakochała się w jakimś nowym znajomym. Jej zmienione zachowanie, częste samotne wyjścia z domu, stosunkowa obojętność dla spraw szajki, którym niegdyś poświęcała się z takim zapałem, a na dodatek jej rozpaczliwa chęć opuszczenia domu tej nocy o oznaczonej godzinie — wszystko potwierdzało to przypuszczenie i czyniło je, przynajmniej w oczach Fagina, czymś niemal pewnym. Nowy przedmiot przywiązania Nancy nie był kimś z otoczenia Fagina. Byłby to dla niego cenny nabytek, zwłaszcza z taką pomocnicą jak Nancy. Należało więc — tak rozumował Fagin — zdobyć go sobie bez zwłoki.

Do osiągnięcia był również i drugi, bardziej ciemny cel. Sikes wiedział zbyt wiele, a jego grubiańskie przymówki drażniły niemało Fagina, choć nie okazywał on tego. Dziewczyna musi zdawać sobie dobrze sprawę, że jeżeli rzuci Sikesa, nigdy nie będzie bezpieczna przed jego wściekłością i że wściekłość tę wyrwie on z pewnością na mężczyźnie, który stał się nowym przedmiotem jej uczuć, przygotowując go o kalectwo lub nawet o śmierć. „Jest to więc bardzo prawdopodobne — myślał Fagin — że przy odrobinie namowy zgodziłaby się otruć Sikesa. Kobiety nieraz już robiły w podobnym celu takie rzeczy, i gorsze jeszcze. Otóż i byłoby po niebezpiecznym łotrze, znikłby człowiek, którego nienawidzę. Na jego miejsce byłby inny, a mój wpływ na dziewczynę, oparty na tym, że wiedziałbym o jej zbrodni, byłby nieograniczony.”

Myśli te chodziły już po głowie Fagina w owym krótkim czasie, który spędził siedząc sam w pokoju włamywacza. One to sprawiły, że skorzystał później z okazji, jaka się nadarzyła, by wysondować dziewczynę przy pomocy urywanych aluzji rzuconych w chwili rozstania. Ona zaś nie okazała żadnego zdziwienia, nie udawała wcale, że nie może zrozumieć, o co mu chodzi. Najwyraźniej rozumiała doskonale. Świadczyło o tym jej spojrzenie przy pożegnaniu.

Może jednak Nancy cofnie się przed spiskiem na życie Sikesa, a to było jednym z głównych celów, które należało osiągnąć. „Jak mogę wzmocnić mój wpływ na nią? — zastanawiał się Fagin przemyskując się do domu. — Jak mogę nad nią zdobyć nową władzę?”

Takie mózgi jak Fagina są płodne w sposoby. A gdyby tak nie zmuszając Nancy do wyznań, szpiegować ją, wyśledzić nowy przedmiot jej uczuć i zagrozić jej, że o ile nie zechce współdziałać z planami starca, opowie on o wszystkim Sikesowi, którego dziewczyna boi się śmiertelnie? Czy w ten sposób nie zmusi się jej do uległości?

— Zmuszę — rzekł Fagin prawie na głos. — Nie ośmieli się wtedy odmówić mi. Nigdy w życiu, nigdy w życiu! Obmyśliłem już wszystko. Środki są gotowe, trzeba tylko wszystko puścić w ruch. Jeszcze cię będę miał, zobaczysz!

Rzucił poza siebie złowieszcze spojrzenie i zrobił groźny gest ręką w stronę miejsca, w którym pozostawił zuchwalszego od siebie bandytę. Potem poszedł dalej, zapuszczając kościste dłonie w fałdy swego obszarpanego okrycia. Miał je mocno w garści, jak gdyby każdym ruchem palców miażdżył znenawidzonego wroga.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY FAGIN WYSYŁA NOEGO CLAYPOLE W TAJEMNEJ MISJI

Staruch wstał nazajutrz wcześniej i czekał niecierpliwie na nowego współnika, który po nieskończeniu — jak się Faginowi zdawało — długim czasie pojawił się na koniec i rozpoczął żarłoczny atak na

śniadanie.

— Bolter — rzekł Fagin przysuwając sobie krzesło i siadając naprzeciwko Morrisa Boltera.

— No, jestem przecież — odrzekł Noe. — O co chodzi? Nie każ mi aby nic robić, dopóki nie skończę jeść. To wielki tutejszy minus. Nigdy człowiek nie ma dosyć czasu na posiłki.

— Możesz przecież jedząc rozmawiać, nie? — spytał Fagin przeklinając w głębi serca łakomstwo swego „drogiego młodego przyjaciela”.

— Ano tak, rozmawiać mogę. Nawet mi lepiej idzie, kiedy rozmawiam — odrzekł Noe i ukroił sobie potwornych rozmiarów kawał chleba. — Gdzie Karolka?

— Wyszła — powiedział Fagin. — Wysłałem ją rano z tamtą drugą dziewczyną, bo chciałem, żebyśmy byli sami.

— O! — rzekł Noe. — Żałuję, żeś jej nie kazał przedtem usmażyć grzanek na maśle. No, gadaj. Jedzenia mi nie przerwiesz.

W istocie nie było wielkiej obawy, aby cokolwiek mogło mu przerwać, zasiadł bowiem do stołu z oczywistym postanowieniem długiego urzędowania.

— Dobrze się wczoraj spisałeś, mój drogi — rzekł Fagin. — Wspaniale! Sześć szylingów i dziewięć i pół pensa od razu pierwszego dnia! Chodzenie na bębny przyniesie ci majątek.

— Nie zapomnij dodać trzech garnków i bańki na mleko — powiedział pan Bolter.

— Nie, nie, mój drogi. Garnki — to wielkie przebłyски geniuszu, ale bańka na mleko — to istne arcydzieło.

— Ładnie chyba jak na początkującego — zauważył pan Bolter ze spokojnym zadowoleniem z siebie.

— Garnki zdjąłem

z płotów, a bańka stała sama jedna przed jakąś gospodą. Pomyślałem sobie, że może zardzewieć na deszczu albo zaziębić się, wiesz? Co? Ha! ha! ha!

Fagin udał, że śmieje się bardzo serdecznie, pan Bolter zaś uśmiewając się do syta odgryzł jeden po drugim kilka wielkich kęsów. Skończył w ten sposób pierwszą pajdę chleba z masłem i czym prędzej ukroił sobie drugą.

— Bolter — rzekł Fagin pochylając się ku niemu przez stół — chcę, żebyś wykonał dla mnie pewną robotę wymagającą wielkiej staranności i ostrożności.

— Słuchaj no — odparł Bolter — nie pakuj mnie tylko w nic niebezpiecznego ani nie wysyłaj mnie więcej do żadnych waszych urzędów policyjnych. To mi się wcale nie podoba, mówię ci.

— Najmniejszego niebezpieczeństwa w tym nie ma, najmniejszego — powiedział Fagin. — Chodzi tylko o śledzenie pewnej kobiety.

— Starej kobiety? — spytał pan Bolter.

— Młodej. — odparł Fagin.

— O, to ja doskonale potrafię, wiesz o tym — rzekł Bolter. — Jeszcze w szkole byłem doskonałym, chytrym szpiclem. A po co mam ją śledzić? Nie po to, żeby...

— Nie po to, żeby cośkolwiek robić, tylko żeby mi powiedzieć, gdzie chodzi, z kim się widuje i jeżeli to możliwe, co mówi. Żeby zapamiętać, jaka to ulica, jeżeli to jest ulica, albo jaki dom, jeżeli to jest dom. Wreszcie żeby przynieść mi wszelkie możliwe do zdobycia wiadomości.

— A co mi za to dasz? — spytał Noe. Postawił filiżankę i bystro spojrzął swemu chlebobdawcy w twarz.

— Jeżeli dobrze się sprawisz, dam ci funta, mój drogi. Funta — powiedział Fagin, który pragnął możliwie jak najbardziej zainteresować Noego tym tropem, na który chciał go puścić. — A takiej sumy nigdy jeszcze nie dałem za robotę nie przynoszącą namacalnego zysku.

— Kim ona jest? — spytał Noe.

— To jedna z naszych.

— Ojej! — zawołał Noe marszcząc nos. — Nie ufasz jej, co?

— Znalazła sobie nowych przyjaciół, mój drogi, i muszę się dowiedzieć, co to za jedni — odrzekł Fagin.

— Rozumiem — rzekł Noe. — Po prostu po to, żeby sprawić sobie przyjemność poznania ich, jeżeli są to ludzie godni szacunku, co? Ha! ha! ha! Już ja ci to załatwię.

— Wiedziałem, że tak będzie — zawołał Fagin, uradowany pomyslnym wynikiem swej propozycji.

— Naturalnie, naturalnie — odrzekł Noe. — Gdzie ona jest? Gdzie mam na nią czekać? Gdzie mam iść?

— Tego wszystkiego dowiesz się ode mnie, mój drogi. Pokażę ci ją we właściwym czasie — odparł Fagin. — Ty bądź tylko w pogotowiu, a resztę pozostaw mnie.

Tego wieczoru, następnego i jeszcze następnego szpieg siedział, obuty i odziany w swój strój woźnicy, gotów wyruszyć na jedno słowo z ust Fagina. Przeszło sześć wieczorów — sześć długich, nużących wieczorów, a każdego z nich Fagin wracał do domu z zawiedzioną miną i krótko dawał do zrozumienia, że jeszcze nie pora. Siódmego wieczoru wrócił wcześniej i z radością, której nie był w

stanie ukryć. Była to niedziela.

— Dzisiaj wychodzi — rzekł — i pewien jestem, że w wiadomym celu, bo cały dzień była sama, a mężczyzna, którego się boi, nie wróci przed świtem. Chodź ze mną. Prędko!

Noe zerwał się bez słowa, gdyż Żyd zaraził go swym niesłychanym podnieceniem. Ukradkiem wysunęli się z domu i pośpieszyli przez labirynt ulic, aż wreszcie stanęli przed gospodą, w której Noe rozpoznał tę, gdzie nocował pierwszego dnia po przybyciu do Londynu.

Było po jedenastej i drzwi były już zamknięte. Otworzyły się bezszelestnie na cichy gwizd Fagina. Weszli po cichu i drzwi za nimi zamknięto.

Bojąc się nawet szeptać, lecz zastępując słowa gestami, Fagin i młody Żyd, który ich wpuścił, wskazali Noemu ukrytą szybkę i dali mu znak, aby wszedł na krzesło i przyjrzał się osobie znajdującej się w przyległym pokoju.

— Czy to ta kobieta? — spytał Noe ledwo dosłyszalnie. Fagin potakująco kiwnął głową.

— Nie widzę dobrze jej twarzy — szepnął Noe. — Głowę ma spuszczoną, a świeca jest za nią.

— Zostań tutaj — odszepnął Fagin i dał znak Barneyowi, który wysunął się ostrożnie. Po chwili wyrostek wszedł do przyległego pokoju i pod pozorem objaśnienia świecy przesunął ją na požądane miejsce, po czym przemówiwszy do dziewczyny sprawił, że podniosła głowę.

— Teraz ją widzę — powiedział szpieg.

— Wyraźnie?

— Poznałbym ją spomiędzy tysiąca.

Zszedł spieszenie, gdyż drzwi od pokoju otworzyły się i ukazała się w nich dziewczyna. Fagin wciągnął Noego do małej, zasłoniętej firanką wnęki. Wstrzymali oddech, gdy ona przeszła o parę stóp od ich kryjówki i zniknęła w drzwiach, przez które przedtem oni weszli.

— Uwaga! — zawołał wyrostek, który jej otworzył. — Teraz. Noe zamienił spojrzenie z Faginem i wybiegł.

— Na lewo — szepnął wyrostek — idź na lewo i trzymaj się po drugiej stronie ulicy.

Noe posłuchał i już w dość znacznej odległości przed sobą ujrzał przy świetle latarni oddalającą się postać dziewczyny. Dogonił ją na tyle, na ile pozwalała mu ostrożność, i trzymał się po drugiej stronie ulicy, aby tym lepiej obserwować jej ruchy. Ona dwa czy trzy razy nerwowo obejrzała się za siebie, a raz zatrzymała się, by przepuścić dwóch mężczyzn idących tuż za nią. W miarę jak szła naprzód, zdawała się nabierać odwagi

i iść śmielszym, pewniejszym krokiem. Szpieg zachowywał wciąż tę samą odległość między sobą a śledzoną i szedł za nią nie spuszczać z niej oczu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

NANCY DOTRZYMUJE UMOWY

Zegary kościelne wydzwaniały trzy kwadranse po jedenastej, kiedy na Moście Londyńskim pojawiły się dwie postacie. Jedna, poruszająca się zwinnym i szybkim krokiem, była to kobieta, która rozglądała się bacznie, jak gdyby szukając czegoś. Druga — był to mężczyzna, który w pewnej za pierwszą odległości posuwał się chyłkiem, w najgłębszym, jaki mógł znaleźć, cieniu, dostosowując szybkość swoich kroków do kroku kobiety. Zatrzymywał się, gdy ona się zatrzymywała; gdy znów zaczynała iść, ostrożnie przemykał się za nią, ale choć ścigał ją zapamiętałe, uważał, by nie zbliżyć się do niej zanadto. W ten sposób przeszli mostem z wybrzeża Middlesex na wybrzeże Surrey, gdy nagle kobieta, która bacznie przyglądając się przechodniom doznała widocznego zawodu, zawróciła. Ruch jej był nagły, ale nie uszedł czujności szpiega. Uskoczywszy bowiem w jedną z wnęk nad filarami mostu i wychyliwszy się przez parapet, aby tym lepiej ukryć swą postać, przeczekał, aż ona przejdzie na przeciwległy chodnik. Kiedy odległość między nimi była znów mniej więcej taka sama jak przedtem, ześliznął się spokojnie i na nowo poszedł za nią. Doszedłszy niemal do środka mostu przystanęła. Mężczyzna zatrzymał się także.

Noc była bardzo ciemna. Pogoda przez cały dzień była brzydka, toteż w tym miejscu i o tej porze ludzi kręciło, się mało, a i ci szybko przechodzili, prawdopodobnie nie widząc, a już na pewno nie zwracając uwagi ani na kobietę, ani na mężczyznę, który ją miał na oku. Wygląd ich nie był obliczony na przyciąganie natrętnych spojrzeń tych spośród londyńskiej biedoty, którym wypadło błąkać się po moście tej nocy w poszukiwaniu jakiejś zimnej arkady lub niszy, w której mogliby złożyć głowę. Oboje zachowywali milczenie, nie przemawiali do nikogo i nikt z przechodniów do nich się nie zwracał.

Nad rzeką wisiała mgła, przyciemniając czerwony odbłask ogni palących się na małych barkach przycumowanych do

różnych przystani, zacierając i przysłaniając ciemne zarysy budynków widniejących na wybrzeżach.

Stare, szerniałe od dymu składy wznosiły się po obu stronach; ciężkie i ciemne, wynurzały się spośród zwartej masy dachów i szczytowych ścian domostw, patrząc groźnie na wodę zbyt czarną, by

mogła odbić nawet ich masywne kształty. Wieża starego kościoła Zbawiciela i iglica Św. Magnusa, niby olbrzymy od wieków stróżujące przy starodawnym moście, widoczne były w mroku, ale las masztów łodzi pod mostem i gęsto rozsiane wieżycy odleglejszych kościołów były prawie zupełnie niedostrzegalne dla oka.

Dziewczyna kilka razy niespokojnie przeszła parę kroków tam i z powrotem, przez cały czas bacznie obserwowana przez ukrytego szpiega. Tymczasem ciężki dzwon katedry Św. Pawła obwieścił swoim biciem śmierć jeszcze jednego dnia. Na ludne miasto zstąpiła północ. W pałacu i w suterenie, w więzieniu i w domu dla obłąkanych, w komnatach narodzin i śmierci, zdrowia i choroby, nad zeszytyniałym trupem i nad spokojnym snem dziecka: północ była wszędzie.

Nie minęły dwie minuty, odkąd wybiła godzina, kiedy młoda panienska w towarzystwie siwowłosego pana wysiadła z dorożki niedaleko mostu i poszła prosto w jego stronę, odprawivszy przedtem pojazd. Ledwo znaleźli się na moście, śledzona dziewczyna drgnęła i natychmiast ruszyła ku nim.

Oni szli tymczasem dalej, rozglądając się jak ludzie mający jakąś nikłą nadzieję, której spełnienie wydaje się im bardzo mało prawdopodobne, gdy nagle dołączyła się do nich ta nowa towarzyszka. Zatrzymali się z okrzykiem zdziwienia, który jednak od razu stłumili, ponieważ w tej właśnie chwili nadszedł człowiek ubrany po wiejsku i prawie że otarł się o nich.

— Nie tu — rzekła Nancy pośpiesznie. — Boję się rozmawiać z wami tutaj. Chodźcie... zejźmy z drogi... tam, po schodach w dół.

Kiedy wymawiała te słowa wskazując dłonią kierunek, w którym pragnęła się udać, wieśniak obejrzał się, spytał grubiańsko, dlaczego zajmują cały chodnik, i poszedł dalej.

Schody, na które wskazała dziewczyna, były to te, które na wybrzeżu Surrey, po tej samej stronie co kościół Zbawiciela, schodzą ku rzece i kończą się przystanią. Ku nim też pospieszył niepostrzeżenie człowiek wyglądający na wieśniaka; przez chwilę przypatrywał się całej okolicy, a potem zaczął schodzić.

Schody owe są częścią mostu i składają się z trzech kondygnacji. Tuż poniżej końca drugiej, licząc od góry, kamienny

mur po lewej kończy się ozdobnym pilastrem zwróconym fasadą ku Tamizie. W miejscu tym stopnie niżej położone rozszerzają się tak, że ktoś, kto skreśli idąc po tej stronie tuż pod murem, nie może być widoczny dla osób znajdujących się bodaj o jeden stopień wyżej od niego. Gdy wieśniak doszedł do tego miejsca, rozejrzał się szybko. Nie widać było nigdzie lepszej kryjówki, a że był odpływ i miejsca było pod dostatkiem, więc uskokzył w bok, oparł się plecami o pilaster i tam czekał, prawie pewien, że tamci nie zejną niżej i że jeśli nawet nie uda mu się dosłyszeć, co mówią, będzie mógł bezpiecznie dalej ich śledzić.

Tak powoli włókł się czas w tym bezludnym miejscu, a szpieg tak palił się do przeniknięcia powodów spotkania całkiem różnego od tego, którego — jak mu dano do zrozumienia — mógł oczekiwać, że kilkakrotnie uznawał sprawę za straconą i wmawiał sobie, iż zapewne tamci zatrzymali się znacznie wyżej albo udali się w zupełnie inne miejsce dla odbycia swej tajemniczej rozmowy. Już już miał wysunąć się z kryjówki i wrócić na górę na ulicę, kiedy dosłyszał odgłos kroków, a zaraz potem dźwięk głosów niemal tuż przy swoim uchu.

Przywarł ciasno do muru i ledwo oddychając nasłuchiwał uważnie.

— Już dosyć daleko zaszliśmy — rzekł jeden z głosów, należący najwyraźniej do mężczyzny. — Nie pozwolę, aby ta młoda dama miała iść jeszcze dalej. Wiele ludzi zbyt nieufnie odnosiłoby się do pani, aby przyjść tak daleko, ale ja, jak pani widzi, gotów jestem zadowolić pani fantazje.

— Moje fantazje! — zawołał głos śledzonej dziewczyny. — Doprawdy, jest pan bardzo uprzejmy, proszę pana. Moje fantazje! No, zresztą, mniejsza z tym.

— Ale bo dlaczego — rzekł pan łagodniejszym tonem — dlaczego nas pani sprowadziła w to dziwne miejsce? Dlaczego było nie dać mi rozmówić się z panią tam na górze, gdzie jest widno i jest jakiś ruch, zamiast sprowadzać nas do tej ciemnej i ponurej dziury?

— Mówiłam panu już przedtem — odrzekła Nancy — że bałam się tam z wami rozmawiać. Nie wiem dlaczego — tu dziewczyną wstrząsnął dreszcz — ale tej nocy dławi mnie taki strach i mam tak złe przeczucia, że ledwo stoję na nogach.

— Strach — przed czym? — spytał pan takim głosem, jakby się nad nią litował.

— Nie bardzo wiem, przed czym — odpowiedziała dziewczyna. — Chciałabym to wiedzieć. Cały dzień nawiedzały mnie

okropne myśli o śmierci, widziałam zakrwawione całuny i strach palił mnie, jak gdybym była w ogniu. Czytałam dziś wieczór książkę dla zabicia czasu i to samo widziałam między jej wierszami.

— Przywidzenia — rzekł pan uspokajająco.

— Nie przywidzenia — odparła dziewczyna ochryplym głosem. — Przysięgnę, że widziałam słowo „trumna” wypisane wielkimi czarnymi literami na wszystkich stronicach książki. Tak, i dziś wieczór na ulicy przenieśli jedną tuż obok mnie.

— W tym nic niezwykłego nie ma — powiedział pan. — Nieraz mijają mnie trumny.

— Prawdziwe — odparła dziewczyna. — Ta nie była prawdziwa.
Było w jej zachowaniu coś tak niesamowitego, że ukrytego słuchacza, gdy usłyszał, jak wymawiała te słowa, przeszedł dreszcz i krew zmroziła się w jego żyłach. Nigdy w życiu nie doznał większej ulgi niż słysząc słodki głos młodej panny proszącej dziewczynę, by się uspokoiła i nie poddawała tak strasznym igraszkom wyobraźni.

— Proszę, niech pan z nią mówi łagodnie — powiedziała panienka do swego towarzysza. — Biedactwo! Ona najwidoczniej potrzebuje tego.

— Wasi wynieśli pobożnisie podnieśli głowy wysoko, widząc mnie dzisiaj, i wygłaszaliby kazania o ogniu piekielnym i pomście niebios! — zawołała dziewczyna. — O, panienko droga, czemuż ci, którzy nazywają siebie ludźmi bożymi, nie są tak łagodni i dobrzy dla nas, biednych nieszczęśników, jak ty, która mając młodość, urodę i to wszystko, co oni utracili, mogłabyś być trochę dumna, zamiast być o tyle od nich pokorniejsza!

— A! — rzekł pan. — Turek, obmywszy dobrze twarz, zwraca ją ku wschodowi, kiedy odprawia modły. Tymczasem ci dobrzy ludzie, kiedy już tak mocno otarli się o świat, że starli z twarzy uśmiech, z taką samą regularnością zwracają się ku najciemniejszej stronie niebios. Jeślibym miał wybierać między mułmaninem a faryzeuszem, zawsze wybrałbym pierwszego.

Słowa te zdawały się być zwrócone do panienki i powiedziane były być może po to, aby dać Nancy czas do opanowania się. Wkrótce potem pan zwrócił się do niej.

— Nie było tu pani zeszłej niedzieli — powiedział.

— Nie mogłam przyjść — odrzekła Nancy. — Zostałam zatrzymana siłą.

— Przez kogo?

— Przez tego, o którym przedtem opowiadałam tej paniencie.

— Nikt — mam nadzieję — nie podejrzewa, że pani porozumiewa się z kimkolwiek w sprawie, która nas tu dziś sprowadza? — zapytał stary pan.

— Nie — odrzekła dziewczyna potrząsając głową. — Ale nie jest mi łatwo wyjść, jeżeli on nie wie, po co wychodzę. Wtedy mogłam się widzieć z panią tylko dlatego, że przed wyjściem dałam mu na sen.

— Czy zbudził się, nim pani wróciła? — spytał stary pan.

— Nie, i ani on, ani nikt inny nie podejrzewa mnie.

— To dobrze — rzekł pan. — A teraz niech mnie pani posłucha.

— Jestem gotowa — odrzekła dziewczyna, gdy zamilkł na chwilę.

— Ta panienka — zaczął — powiadomiła mnie i paru innych przyjaciół, którym można na pewno zaufać, o tym, co jej pani powiedziała blisko dwa tygodnie temu. Przyznani się pani, że z początku miałem wątpliwości, czy można polegać na pani bez zastrzeżeń, ale teraz wierzę mocno, że można.

— Można — powiedziała dziewczyna z powagą.

— Powtarzam, że mocno w to wierzę. Aby dowieść pani, że mam zamiar pani zaufać, mówię otwarcie, że zamierzamy wydrzeć tajemnicę, jakakolwiek ona jest, ze szponów owego Monksa. Ale jeżeli... jeżeli — ciągnął dalej pan — nie będzie go można pojmać albo jeżeli pojmany nie spełni naszych życzeń, wtedy musi pani wydać Fagina.

— Fagina! — zawołała dziewczyna cofając się odruchowo.

— Pani musi nam wydać tego człowieka — powtórzył stary pan.

— Nie zrobię tego. Nigdy tego nie zrobię! — odrzekła dziewczyna. — Choć to diabeł, choć dla mnie był gorszy niż diabeł, nie zrobię tego nigdy.

— Nie robi pani? — powiedział pan, który zdawał się być całkowicie przygotowany na taką odpowiedź.

— Nigdy! — odrzekła Nancy.

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego.

— Jeden powód — odparła dziewczyna stanowczo — jeden powód zna ta panienka i poprze mnie. Wiem o tym, bo mam jej obietnicę. A drugi powód to ten, że choć prowadził on takie złe życie, to przecież i ja też prowadziłam złe życie. Wielu nas robiło wspólnie to samo i ja nie zwrócę się przeciwko tym, którzy mogli byli — każdy z nich — zwrócić się przeciwko mnie, a nie zrobili tego, chociaż są tacy źli.

— Wobec tego — rzekł prędko pan, jakby to był punkt, do którego przez cały czas. zmierzał — niech pani da mi w ręce Monksa i pozwoli mi rozprawić się z nim.

— A co będzie, jeżeli on zwróci się przeciwko tamtym?

— Obiecuję pani, że w wypadku, o ile wymusi się z niego prawdę, sprawa na tym się zakończy. W historii Oliwera muszą być okoliczności, które przykro byłoby wywlekać przed oczy ogółu. Jeśli więc raz wydobędziemy na jaw prawdę, oni ujdą zupełnie cało.

— A jeżeli nie? — podsunęła dziewczyna.

— Wtedy — ciągnął dalej pan — ów Fagin nie zostanie oddany w ręce sprawiedliwości bez pani zgody. Sądzę, że w tym wypadku mógłbym pani przedstawić argumenty, które skłoniłyby panią do udzielenia jej.

— Czy pani mi to też obiecuje? — spytała dziewczyna.
— Obiecuje — odrzekła Róża. — Obiecuje święcie i uroczyście.
— Czy Monks nie dowie się nigdy, skąd wy dowiedzieliście się tego, co wiecie? — spytała dziewczyna po krótkim milczeniu.
— Nigdy — odpowiedział pan. — Wiadomości te zostaną w stosunku do niego w taki sposób wykorzystane, że nigdy nie będzie się mógł nawet domyślić.
— Kłamałam sama i żyłam wśród kłamców od małego dziecka — rzekła dziewczyna po nowej chwili milczenia — ale uwierzę waszemu słowu.
Otrzymałszy od obojga zapewnienie, że może spokojnie to uczynić, mówiła dalej tak cicho, że podsłuchującemu trudno było czasami dociec nawet ogólnego sensu jej słów. Podała nazwę i opisała położenie gospody, w której zaczęto śledzić ją tej nocy. Z tego, iż od czasu do czasu przestawała mówić, można było wnosić, że pan robi pośpieszne notatki z udzielanych mu wiadomości. Gdy już dokładnie opisała otoczenie gospody, miejsce, skąd najlepiej można ją było obserwować nie zwracając na siebie uwagi, oraz dni i godziny, kiedy Monks zazwyczaj tam bywał, zdawało się, że namyśla się parę chwil, aby wyraźniej przywołać na pamięć jego rysy i wygląd.
— Jest wysoki — mówiła — i dobrze zbudowany, ale nie tęgi. Chodzi chyłkiem, a idąc wciąż ogląda się przez ramię to w jedną stronę, to w drugą. Proszę nie zapomnieć, że jego oczy są o tyle głębiej osadzone w głowie niż u innych ludzi, iż można by prawie rozpoznać go po tym jednym tylko. Cere ma ciemną, tak samo jak oczy i włosy i chociaż nie może mieć więcej niż dwadzieścia sześć czy osiem lat — zwiędłą i wymizerowaną. Wargi jego często są blade i zeszczone śladami zębów, bo miewa okropne ataki i czasem nawet gryzie sobie ręce, aż całe pokryte bywają ranami... Dlaczego pan drgnął?
— zapytała dziewczyna urywając nagle.
Pan odparł szybko, że nie uczynił tego świadomie, i poprosił ją, by mówiła dalej.
— Część tego, co wiem — powiedziała dziewczyna — wyciągnęłam od ludzi bywających w tej samej gospodzie, bo ja widziałam go tylko dwa razy i oba razy był otulony szeroką peleryną. Zdaje mi się, że to wszystko, czym mogę wam ułatwić rozpoznanie go. Chociaż zaraz — dodała — na jego szyi tak wysoko, że widoczne to jest częściowo spod halsztuka, kiedy odwraca twarz, jest...
— Duże czerwone znamię, wyglądające jak ślad po oparzeniu lub blizna! — zawołał pan.
— Jak to? — spytała dziewczyna. — Pan go zna!
Młoda panna wydała okrzyk zdziwienia, po którym nastąpiło kilka chwil takiej ciszy, że podsłuchujący wyraźnie słyszał ich oddechy.
— Zdaje mi się, że tak — powiedział stary pan przerywając milczenie. — Sądząc z opisu pani powinienem go znać. Zobaczmy. Wielu ludzi bywa dziwnie podobnych do siebie. To może być kto inny.
Kiedy to mówił z udaną niedbałością, przysunął się o jeden czy dwa kroki bliżej ukrytego szpiega, co ten ostatni mógł wywnioskować stąd, iż wyraźnie posłyszał, jak tamten cicho szepnął do siebie: — To musi być on!
— No, więc — powiedział wracając, jak to można było sądzić z natężenia głosu, na dawne miejsce — udziela nam pani bardzo cennej pomocy, za co życzę pani jak najlepiej. Co mogę zrobić, aby się pani przysłużyć?
— Nic — odpowiedziała Nancy.
— Niechże pani nie obstaje przy tym, co pani mówi — rzekł pan z tak wielką dobrocią w głosie, że musiałaby wzruszyć nawet znacznie twardsze i bardziej zakamieniałe serce. — No, niech pani pomyśli. Niech pani mi powie.
— Nic, proszę pana — odparła dziewczyna płacząc. — Nie może mi pan w niczym pomóc. Żadnej już nadziei dla mnie nie ma, naprawdę.
— Sama się pani jej pozbawia — odrzekł stary pan. — Przeszłość pani była ponura. Zmarnowała w niej pani skierowaną na złe drogi młodzieńczą energię, roztrwonila pani bezcenne skarby, którymi Stwórca obdarza raz jeden, nigdy nie dając ich powtórnie. Ale na przyszłość może pani mieć nadzieję. Nie twierdzą, że jest w naszej mocy dać pani spokój serca i umysłu, gdyż to przyjąć może tylko dzięki własnemu pani wysiłkowi. Ale dać pani spokojne schronienie czy to w Anglii, czy też — jeśli pani boi się tu pozostać — w jakimś obcym kraju — to nie tylko leży w granicach naszych możliwości, lecz jest naszym najgorętszym pragnieniem. Zanim ranek zaświta, zanim ta rzeka zbudzi się z pierwszym promieniem światła dziennego, znajdzie się pani tak daleko i tak bezpieczna od swoich dawnych współników, tak dalece zatrze pani za sobą wszelkie ślady, jak gdyby pani w tej chwili zniknęła z tej ziemi. Niechże mnie pani posłucha. Nie chciałbym, żeby pani wracała, by zamienić choćby jedno słowo z którymś z dawnych towarzyszy, rzucić choćby jedno spojrzenie na dawne miejsca ani nawet zaczerpnąć owego powietrza, które równa się dla pani przekleństwu i śmierci. Proszę porzucić to wszystko, póki jest czas i sposobność po temu.
— Teraz ona da się przekonać! — zawołała młoda panna. — Waha się, pewna tego jestem.
— Obawiam się, że nie, droga moja — odrzekł pan.

— Nie, proszę pana, nie waham się — odparła dziewczyna po krótkiej walce wewnętrznej. — Przykuta jestem łańcuchem do mojego dawnego życia. Przeklinam, nienawidzę go teraz, ale porzucić nie mogę. Widocznie zabrnęłam już za daleko, żeby zawrócić — a jednak nie wiem, bo gdyby pan był przemówił tak do mnie jeszcze niedawno temu, byłabym to zbyła śmiechem. Ale teraz — i tu rozejrzała się gorączkowo — ale teraz ten strach znów mnie ogarnia. Muszę wracać do domu.

— Do domu! — powtórzyła młoda panna kładąc silny nacisk na ostatni wyraz.

— Do domu, panienko — odparła dziewczyna. — Do takiego domu, jaki sobie własnoręcznie zbudowałam pracą całego mojego życia. Rozstańmy się. Ktoś może mnie śledzić albo zobaczyć. Idźcie! Idźcie! Jeżeli oddałam wam jaką przysługę, proszę za to tylko o jedno: zostawcie mnie i dajcie mi iść samej moją drogą.

— To się na nic nie zda — rzekł stary pan z westchnieniem. — Zostając tu dłużej, narażamy ją może na niebezpieczeństwo. Może i tak zatrzymaliśmy ją dłużej, niż się spodziewała.

— Tak, tak — nalegała dziewczyna. — Tak jest.

— Jakiż może być koniec życia tej biednej istoty! — zawołała młoda panna.

— Jaki! — powtórzyła dziewczyna. — Spójrz przed siebie, panienko. Spójrz na tę ciemną wodę. Ileż to razy czytasz o takich jak ja, że skaczą w nurt nie zostawiając po sobie nikogo, kto by się tym przejął albo płakał za nimi. Może to być za ileś tam lat, a może tylko za ileś miesięcy, ale i mnie to w końcu czeka.

— Nie mów tak, proszę — odrzekła łkając młoda panna.

— Do twoich uszu to nigdy nie dotrze, droga panienko; niech Bóg zachowa, żebyś miała się dowiadywać o takich okropnościach — powiedziała dziewczyna. — Dobranoc, dobranoc!

Stary pan odwrócił się.

— Błagam cię — zawołała młoda panna — weź tę sakiewkę, abyś miała jakiś ratunek w potrzebie czy kłopotcie!

— Nie! — odrzekła dziewczyna. — Nie zrobiłam tego dla pieniędzy. Proszę mi pozwolić mieć choć tę myśl na pociechę. A jednak — proszę dać mi coś, co pani nosiła na sobie. Chciałabym mieć coś — nie, nie, nie pierścionek — rękawiczki albo chusteczkę — cokolwiek, co mogłabym przechować jako coś, co należało do ciebie, słodka panienko. O, to, to. Niech cię Bóg błogosławi! Niech cię Bóg błogosławi! Dobranoc, dobranoc!

Gwałtowne wzburzenie dziewczyny oraz obawa, że w razie odkrycia może być narażona na prześladowanie i brutalne potraktowanie, skłoniły widocznie pana do spełnienia jej prośby. Dał się słyszeć dźwięk oddalających się kroków i głosy umilkły.

Postacie młodej panny i jej towarzysza wkrótce potem ukazały się na moście. U szczytu schodów przystanąli.

— Uwaga! — zawołała panienka nasłuchując. — Czy ona nie zawołała? Zdawało mi się, że słyszę jej głos.

— Nie, kochanie — odrzekł pan Brownlow rzucając poza siebie smutne spojrzenie. — Ona nie ruszyła się i nie ruszy, aż pójdziemy.

Róża Maylie ociągała się jeszcze, ale stary pan wziął ją pod ramię i łagodną przemocą odwiódł stamtąd. Kiedy zniknęli, dziewczyna osunęła się niemal jak długa na jeden z kamiennych stopni i w gorzkich łzach dała upust męce swego serca.

Po pewnym czasie podniosła się i chwiejnym krokiem, zataczając się weszła po schodach na ulicę. Zdziwiony szpieg jeszcze przez kilka minut trwał bez ruchu na posterunku, po czym upewniwszy się za pomocą licznych ostrożnie wkoło rzucanych spojrzeń, że jest znowu sam, wysunął się z wolna z kryjówki i chyłkiem, w cieniu murów, powrócił na górę w ten sam sposób, jak schodził.

Doszedłszy do szczytu i wyrzawszy kilkakrotnie, aby przekonać się, czy nikt go nie śledzi, Noe Claypole puścił się największym pędem i pomknął ile sił w nogach do domu Fagina.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY FATALNE NASTĘPSTWA

Brakowało prawie dwóch godzin do świtu. Była to pora, którą na jesieni słusznie nazwać można głuchą nocą: pora, kiedy ulice są ciche i opustoszałe, kiedy nawet dźwięki zdają się drzemać, a rozpusta i zbrodnia zabrnęły już do domu, by zasnąć. O tej to cichej i milczącej porze Fagin siedział czuwając w swej starej kryjówce, z twarzą tak zmienioną i bladą, z oczyma tak czerwonymi i nabiegłymi krwią, że wyglądał mniej na człowieka niż na jakąś ohydny zjawę, wilgotną od grobowej pleśni i dręczoną przez złego ducha.

Siedział skulony nad wystygłym paleniskiem kominka, owinięty w stary, podarty koc, z twarzą zwróconą ku dogasającej świecy, która stała przy nim na stoliku. Prawą rękę miał podniesioną do ust,

a kiedy, zagłębiając się w myślach, ogryzał długie, czarne paznokcie, wśród bezzębnych dziąseł błyskało kilka kłów tak ostrych, że mogły należeć do psa albo szczura.

Na materacu na podłodze leżał rozciągnięty Noe Claypole, pogrążony w głębokim śnie. Stary od czasu do czasu zwracał ku niemu na chwilę oczy, a potem kierował je z powrotem na świecę, której długi, wypalony knot, zgięty niemal we dwoje oraz gorący łój skapujący gęsto na stół świadczyły wyraźnie, że myśli jego zajęte były czym innym.

Istotnie tak było. Żal z powodu rozwiania się znakomitego planu, nienawiść do dziewczyny, która osmieszyła się zadać z obcymi, całkowita niewiara w szczerą jej odmowę wydania go, gorzki zawód — utrata nadziei zemsty nad Sikesem, strach przed odkryciem, ruiną i śmiercią, wreszcie rozplamiona tym wszystkim straszliwa, śmiertelna wściekłość — oto były namiętne uczucia i myśli, które goniąc się i kłębiąc w nieustannym wirze przemękały przez mózg Fagina, podczas gdy serce jego drężyły wszystkie najgorsze myśli i najczarniejsze zamiary.

Siedział tak nie zmieniając pozycji, zdając się nie zwracać zupełnie uwagi na godzinę, aż wreszcie baczne jego ucho złowiło odgłos kroków na ulicy.

— Nareszcie — wymamrotał ocierając wyschnięte, zgorączkowane wargi. — Nareszcie!

Kiedy to mówił, rozległ się cichy dzwonek. Fagin prześliznął się po schodach do drzwi i wkrótce potem wrócił w towarzystwie mężczyzny otulonego po samą brodę i trzymającego pod pachą zawiniątko. Gdy mężczyzna ów usiadł i zrzucił z siebie wierzchnie okrycie, ukazała się ciężka postać Sikesa.

— Masz! — powiedział kładąc zawiniątko na stole. — Zajmij się tym i wyciągnij z tego, ile możesz. Dostyc było kłopotu, żeby to zdobyć. Myślałem, że będę tutaj ze trzy godziny wcześniej.

Fagin położył rękę na zawiniątku i zamknawszy je w szafie, usiadł z powrotem bez słowa. W czasie tych czynności ani na chwilę jednak nie spuścił oka z bandyty. Teraz, kiedy siedzieli naprzeciwko siebie, twarzą w twarz, patrzył na niego uporczywie, a usta jego drżały tak gwałtownie, twarz była tak zmieniona od wzruszeń, które nim miotaly, że włamywacz mimo woli cofnął krzesło do tyłu i przyjrzał mu się z prawdziwym przestraszaniem.

— Co to znowu? — zawołał. — Czego tak patrzysz na mnie? Fagin uniósł prawą rękę i potrząsnął w powietrzu drżącym palcem wskazującym. Wściekłość jego była jednakże tak wielka, że odebrała mu na razie mowę.

— Diabli to nadali! — zawołał Sikes z wyrazem przerażenia macając się po kieszeniach na piersi. — Oszalał. Muszę tu uważać na siebie.

— Nie, nie — odparł Fagin odzyskując głos. — To nie... to nie o ciebie chodzi, Bill. Ja... ja nie mam tobie nic do zarzucenia.

— Ach tak, nie masz, doprawdy? — powiedział Sikes patrząc nań ostro i ostentacyjnie przekładając pistolet do bardziej dostępnej kieszeni. — To całe szczęście... dla jednego z nas. Mniejsza o to, dla którego.

— Mam ci coś takiego do powiedzenia, Bill — rzekł Fagin przysuwając się z krzesłem bliżej — że zaraz będziesz bardziej wściekły ode mnie.

— Tak? — odparł bandyta z niedowierzającą miną. — No, to gadaj. A spiesz się, bo Nancy pomyśli, że już po mnie.

— Że już po tobie! — zawołał Fagin. — Już ona to sobie i tak dobrze w głowie ułożyła.

Sikes z wyrazem zupełnego osłupienia spojrzawszy w twarz Fagina, a nie wyczytawszy tam zadowalającego rozwiązania zagadki, pochwylił go swoją wielką łapą za kołnierz i potrząsnął nim z całej siły.

— Gadajże wreszcie, dobrze? — krzyknął. — Bo jak nie, to tak cię chwyć za gardło, że już słowa nie powiesz! Otwórz gębę i mów wyraźnie, co masz do powiedzenia. Jazda, ty stary, przeklęty kundlu, gadaj!

— Przypuśćmy, że ten chłopak, który tu leży,.. — zaczął Fagin.

Sikes obrócił się w stronę, gdzie spał Noe, jak gdyby dopiero teraz go zauważył. — No? — rzekł wracając do dawnej pozycji.

— Przypuśćmy — mówił Fagin — że ten chłopak by sypnął, że wpakowałby nas wszystkich: najpierw wyszukałby odpowiednich ludzi do tego celu, potem spotkałby się z nimi na ulicy, aby opisać im, jak wyglądamy, opisać każdy szczególnie znak, po którym można by nas poznać, a także melinę, gdzie najłatwiej byłoby nas nakryć. Przypuśćmy, że zrobiłby to wszystko, a do tego wydałby sprawę, w którą wszyscy mniej więcej jesteśmy zamieszani. I wszystko to zrobiłby z własnej woli. Nie schwytany, nie zamknięty, sądzony, nagabywany przez pastora i doprowadzony do tego siedzeniem o chlebie i wodzie — ale z własnej woli, żeby zadowolić swoje własne upodobania, wykradałby się po nocach, aby odnaleźć tych, co nam najgorzej życzą, i sypnąć im wszystko. Słyszysz mnie? — krzyknął: staruch, a czy rozbłysły mu wściekłością. — Przypuśćmy, że zrobiłby to wszystko, co wtedy?

— Co wtedy? — odrzekł Sikes z ciężkim przekleństwem. — Gdyby pozostał żywy do mego przyjścia,

zmiądzzyłbym mu czaszkę okutym obcasem mego buta na tyle cząstek, ile ma włosów na głowie.

— A co by było, gdybym j a to zrobił? — zawołał Fagin wyjąc prawie. — J a, który wiem tak dużo i mógłbym posłać na szubienicę tylu innych prócz siebie?

— Nie wiem — odparł Sikes zaciskając zęby i blednąc na samo przypuszczenie. — Zrobiłbym w więzieniu coś takiego, żeby mnie zakuli w kajdany. A gdybym był sądzony razem z tobą, rzuciłbym się z tymi kajdanami na ciebie w czasie rozprawy i rozbiłbym ci mózg na oczach ludzi. Siłę miałbym taką — wymamrotał bandyta wznosząc muskularne ramię — że rozwaliłbym ci głowę tak, jakby po niej przejechał naładowany wóz.

— Zrobiłbyś to?

— Czybym zrobił! — krzyknął włamywacz. — Spróbuj tylko.

— A gdyby to był Karolek albo Krętacz, albo Bet, albo...

— Wszystko mi jedno, kto — odrzekł Sikes niecierpliwie. — Ktokolwiek by to był, przysłużyłbym mu się tak samo.

Fagin spojrział przenikliwie na bandytę, po czym gestem nakazał mu milczenie, pochylił się nad posłaniem na ziemi i potrząsnął śpiącym, aby go zbudzić. Sikes podał się naprzód na krześle i z rękami opartymi na kolanach przypatrywał się temu, jak gdyby ciekaw, czym wszystkie te pytania i przygotowania się skończą.

— Bolter! Bolter! Biedny chłopiec — mówił Fagin z wyrazem szatańskiego wyczekiwania; przemawiał przy tym powoli i z wyraźnym naciskiem. — Jest zmęczony — śledził ją tak długo — śledził j a, Bill.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał Bill odchylając się w tył.

Fagin nie odpowiedział, lecz pochyliwszy się na nowo nad śpiącym dźwignął go do pozycji siedzącej. Gdy powtórzono jeszcze kilka razy jego przybrane nazwisko, Noe przetarł oczy i ziewnąwszy szeroko, rozejrzał się wkoło zaspany.

— Opowiedz mi to jeszcze raz — jeszcze raz, żeby on posłyszał — rzekł staruch wskazując na Sikesa.

— Co ci powiedzieć? — spytał zaspany Noe otrząsając się z niezadowoleniem.

— To o — NANCY! — krzyknął Fagin chwytając Sikesa kurczowo za rękę, jak gdyby chciał przeszkodzić mu w wyjściu, nim dosyć usłyszy. — Śledziłeś ją?

— Tak.

— Do Mostu Londyńskiego?

— Tak.

— Gdzie spotkała się z dwojgiem ludzi?

— Tak.

— Z panem i z panią, do której przedtem dobrowolnie chodziła i która prosiła ją, żeby wydała jej wszystkich swoich kamratów, a przede wszystkim Monksa, co ona zrobiła — i opisać go, co też zrobiła — i powiedzieć jej, w jakim domu się spotykamy i bywamy, co też zrobiła — i skąd można go najlepiej śledzić, co też zrobiła — i o której godzinie ludzie się tam schodzą, co też zrobiła. Zrobiła to wszystko. Powiedziała to wszystko słowo za słowem, bez jednej pogroźki, bez szemrania — zrobiła to, prawda? — wołał Fagin, na pół oszalały z wściekłości.

— No przecie — odrzekł Noe drapiąc się po głowie. — Tak właśnie było.

— Co oni mówili o zeszłej niedzieli?

— O zeszłej niedzieli... — zastanowił się Noe. — Przecież ci to już opowiadałem.

— Jeszcze raz! Powiedz jeszcze raz! — krzyknął Fagin przytrzymując ramię Sikesa jeszcze silniejszym uściskiem, a drugą ręką machając w powietrzu; na usta wystąpiła mu piana.

— Spytała ją — odparł Noe, który rozbudziwszy się nieco, zaczynał się widać trochę domyślać, kim jest Sikes — spytała ją, dlaczego nie przyszła zeszłej niedzieli, jak obiecała. Powiedziała, że nie mogła.

— A dlaczego, dlaczego? Powiedz mu to.

— Bo zatrzymał ją siłą w domu Bill, człowiek, o którym im przedtem opowiadała — odrzekł Noe.

— A co więcej o nim? — zawołał Fagin. — Co więcej o człowieku, o którym im przedtem opowiadała? Powiedz mu to, powiedz mu!

— No, że nie jest jej łatwo wychodzić z domu, jeżeli on nie wie, dokąd ona idzie — odrzekł Noe. — I wobec tego za pierwszym razem, kiedy szła do tej pani — ha! ha! ha! śmiać mi się chciało, kiedy to mówiła, doprawdy — dała mu na sen.

— Piekło i szatani! — zawołał Sikes wrywając się gwałtownie Faginowi. — Puść mnie!

Odepchnąwszy starego wybiegł pędem z pokoju i dziko, wściekle pomknął na górę po schodach.

— Bill, Bill! — zawołał Fagin spiesząc za nim. — Jeszcze słowo. Tylko jedno słowo.

Nie zamieniliby ani słowa, lecz włamywacz nie umiał otworzyć drzwi. Bezskutecznie szarpał je, miotając wściekle przekleństwa, gdy staruch dogonił go dysząc ciężko.

— Wypuść mnie! — krzyknął Sikes. — Nie mów do mnie, bo się to źle skończy. Wypuść mnie, powiadam!

— Daj mi tylko powiedzieć słowo — odrzekł Fagin kładąc dłoń na zamku. — Ty nie będziesz...

— No? — rzucił tamten.

— Ty nie będziesz... zanadto... gwałtowny, Bill?

Świtało już i było dość światła, by obaj widzieli nawzajem swe twarze. Wymienili jedno szybkie spojrzenie, w oczach obu był błysk, którego nie można było nie zrozumieć.

— To znaczy — rzeki Fagin, który widocznie odczuł, że wszelkie maskowanie się było teraz bezcelowe — to znaczy, nie aż tak gwałtowny, aby się narazić. Bądź zręczny, Bill, i nie zanadto zuchwały.

Sikes nie odpowiedział, lecz pchnąwszy drzwi, które Fagin tymczasem odemknął z klucza, wypadł pędem na pustą ulicę.

Nie zatrzymując się ani na moment, bez chwili namysłu bandyta pędził jak szalony. Nie zwrócił głowy ni razu w prawo ani w lewo, nie podniósł oczu ku niebu ani nie spuścił ich na ziemię, lecz z dziką determinacją trzymał je utkwione prosto przed siebie. Zęby miał tak mocno zaciśnięte, że naprężone szczęki zdawały się przebijać przez skórę. Żadne słowo nie wymknęło się z jego ust, zaden mięsień nie osłabł w napięciu, aż do chwili kiedy znalazł się przed drzwiami swego domu. Otworzył je po cichu z klucza, lekko wbiegł po schodach i wszedłszy do pokoju zamknął drzwi na dwa spusty, zastawił je ciężkim stołem i odsunął firankę łóżka.

Dziewczyna leżała na nim na pół ubrana. Wejście włamywacza musiało ją rozbudzić, gdyż teraz uniosła się spiesźnie i z niespokojnym spojrzeniem.

— Wstawaj! — rzekł mężczyzna.

— To ty, Bill — powiedziała dziewczyna z wyrazem radości z powodu jego powrotu.

— To ja — brzmiała odpowiedź. — Wstawaj!

Przy łóżku paliła się świeca, ale mężczyzna szybko wyrwał ją z lichtarza i cisnął w palenisko kominka. Widząc blade światło poranka na dworze, dziewczyna wstała, by odsłonić firanki.

— Zostaw to — powiedział Sikes zagradzając jej drogę ręką. — Jest dosyć światła na to, co mam do roboty.

— Bill — rzekła cichym, przestraszonym głosem dziewczyna. — Czemu ty tak na mnie patrzysz?

Bandyta siedział przez kilka sekund wpatrzony w nią, z nozdrzami rozdętymi i ciężko dyszącą piersią. Następnie chwycił ją za głowę i szyję, zawłókł na środek pokoju i rzuciwszy jedno spojrzenie na drzwi położył ciężką dłoń na jej ustach.

— Bill, Bill! — dyszała dziewczyna szamocąc się z siłą, którą daje śmiertelny strach. — Ja... ja nie będę krzyczeć ani płakać... naprawdę nie będę... tylko wysłuchaj mnie... przemów do mnie... powiedz mi, co takiego zrobiłam!

— Wiesz dobrze, ty diablico! — odparł bandyta tłumiąc oddech. — Byłaś śledzona tej nocy. Każde słowo, które powiedziałaś, zostało podsłuchane.

— Więc daruj mi życie na miłość Boga, tak jak ja oszczędziłam twoje — odparła dziewczyna czepiając się go kurczowo. — Billu, kochany Billu, ty przecież nie będziesz miał serca mnie zabić! Och! Pomyśl o wszystkim, czego się wyrzekłam dla ciebie nie dalej niż tej nocy. Musisz mieć czas zastanowić się i oszczędzić sobie tej zbrodni. Ja nie zwolnię uścisku, nie będziesz mógł oderwać mnie od siebie. Bill, Bill, na miłość Boga, dla siebie, dla mnie, zatrzymaj się, nim przelejesz moją krew! Byłam ci wierna, na moją grzeszną duszę — byłam!

Mężczyzna walczył z całej siły, aby uwolnić ręce z jej uścisku, ale ramiona dziewczyny tak mocno były oplecione wokół jego ramion, że choć szarpał się, jak mógł, nie zdołał ich wyrwać.

— Billu — wołała dziewczyna, starając się położyć głowę na jego piersi — ten pan i ta kochana panienska mówili mi tej nocy o schronieniu w jakimś zagranicznym kraju, gdzie resztę życia przepędziłabym w samotności i spokoju. Pozwól mi zobaczyć się z nimi raz jeszcze i błagać ich na kolanach o tę samą łaskę i miłosierdzie dla ciebie. Porzućmy oboje to straszne miejsce i z dala od siebie wiódźmy lepsze życie. Nie pamiętajmy o tym, jak żyliśmy dotychczas, chyba w modlitwach, i nigdy już nie oglądajmy jedno drugiego. Nigdy nie jest za późno żałować za winy. Oni mi to mówili — ja sama czuję to teraz — ale na to musimy mieć czas — troszkę, troszeczkę czasu!

Włamywacz oswobodził jedną rękę i chwycił swój pistolet. Mimo całej wściekłości przemknęła mu przez głowę myśl o niechybnym natychmiastowym odkryciu, jeżeli strzeli. Toteż z całą siłą, jaką zdołał zebrać, uderzył pistoletem dwa razy w jej wzniesioną twarz, która niemal dotykała jego twarzy. Zachwiała się i upadła, prawie całkiem oślepią krwią buchającą z głębokiej rany na czole; lecz podniósłszy się z trudem na klęczki wyciągnęła zza wycięcia sukni białą chusteczkę do nosa — chusteczkę Róży Maylie — i unosząc ją w splecionych dłoniach ku niebu tak wysoko, jak na to pozwalały jej wątłe siły, z westchnieniem posłała do swego Stwórcy jedną jedyną modlitwę o łaskę. Straszno było patrzeć na jej postać. Morderca chwiejnym krokiem cofnął się do ściany, ręką zasłonił oczy od tego widoku, chwycił ciężką pałkę i jednym uderzeniem powalił dziewczynę na ziemię.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY UCIECZKA SIKESA

Ze wszystkich złych czynów, które pod osłoną ciemności popełniono w całym rozległym Londynie, odkąd noc ta nad nim zapadła, ten był najgorszy. Ze wszystkich okropności, które zatrutym wyziewem skalały poranne powietrze, ta była najohydniejsza i najbardziej okrutna.

Słońce, jasne słońce, które przywraca człowiekowi nie tylko światło, lecz nowe życie, nadzieję i siły — w przeczystym, olśniewającym blasku rozbłysło nad ludnym miastem. Przez kosztowne barwione szyby i przez okienka zaklejone papierem, przez kopuły katedr i zmurszałe szczeliny jednakowo przeświecały jego promienie. Oświeciło też pokój, w którym leżała zamordowana kobieta. Tak. Morderca starał się go nie dopuścić, ale ono mimo to wpływało do izby. Jeżeli widok był przerażający w bladym świetle świtu, jakimż był teraz, w całej tej powodzi światła!

Sikes nie ruszył się przez cały czas. Bał się nawet drgnąć. Pamiętał jęk i ruch ręki, po którym owładnięty już nie tylko wściekłością, lecz i przerażeniem, uderzał jeszcze i jeszcze. Zarzucił na to koc; ale gorzej było wyobrazić sobie te oczy, wyobrazić sobie, jak podnoszą się ku niemu, niż widzieć je w rzeczywistości, utkwione nieruchomo na górę, jak gdyby obserwowały odbicie kałuży krwi migoczące i płaszące w świetle słonecznym na suficie. Zerwał więc koc z powrotem. I oto znów miał przed sobą trupa — zwykłe ciało i krew, nic więcej — ale takie ciało i tyle, tyle krwi!

Skrzesał ogień, rozpalił na kominku i wrzucił węń pałkę. Na końcu jej były włosy, które buchnęły płomieniem, potem skurczyły się w leciutki żużelek, który porwany prądem powietrza, wirując uleciał w komin. Nawet to go przestraszyło, mimo że był tak zuchwały; trzymał jednak pałkę, póki się nie przełamała, a wtedy wepchnął ją między węgle, aby się wypaliła do cna i obróciła w popiół. Umył się i wyczyścił ubranie. Były na nim plamy, które nie chciały zejść, ale wyciął i spalił te kawałki. Ile tych plam było po całym pokoju! Nawet łapy psa były zakrwawione.

Przez cały ten czas ani razu nie odwrócił się plecami do trupa. Nie, ani na jedną chwilę. Po wszystkich tych przygotowaniach ruszył tyłem ku drzwiom, wlokąc za sobą psa, w obawie by nie zabrudził na nowo łap i nie wyniósł ze sobą na ulicę dowodów zbrodni. Cicho zamknął drzwi, zabrał klucz i wyszedł z domu.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i spojrzął w okno, żeby upewnić się, że z dworu nic nie widać. Firanka była wciąż jeszcze zaciągnięta. Ona chciała ją odsunąć, by wpuścić światło, którego nigdy już nie miała oglądać. T o leżało prawie pod oknem. Dobrze o tym wiedział. Boże, jakże to słońce pada właśnie na to miejsce!

Spojrzenie trwało ułamek sekundy. Jakaż to ulga wyzwolić się z tamtego pokoju! Gwizdnął na psa i szybko odszedł.

Przeszedł przez Islington, w Highgate wszedł na pagórek, na którym stoi kamień ku czci Whittingtona; skręcił na Highgate Hill, niepewny celu i niezdecydowany, dokąd iść. Ledwo zaczął schodzić ze wzgórza, znów skręcił w prawo, poszedł ścieżką przez pola, potem brzegiem lasku Caen, aż wreszcie wyszedł na Hampstead Heath. Przeszedł przez to pustkowie Dolinę Health, wszedł na przeciwległe zbocze, przeciął drogę łączącą osiedle Hampstead i Highgate i udał się dalej poprzez wrzosowiska, aż doszedł do pól w North End, gdzie położył się pod żywopłotem i usnął.

Wkrótce był znów na nogach i w drodze — nie szedł ku wsi, lecz z powrotem gościńcem ku Londynowi. Potem znów zawrócił, potem przeszedł przez inną część tego samego terenu, który już przemierzył, potem błąkał się tam i sam po polach, kładł się na skraju rowów dla odpoczynku i zrywał się, by przenieść się na inne miejsce, i tam znów kłaść się, znowu zrywać i wędrować dalej.

Dokądże mógł pójść, do jakiego miejsca bliskiego i niezbyt ludnego, aby dostać coś do zjedzenia i wypicia? Hendon. Tak, to była dobra miejscowość, niedaleka a ustronna. Tam też skierował swe kroki — czasami biegnąc, a czasami z dziwną przewrotnością wlokąc się w ślimaczym tempie lub też zatrzymując się całkiem i uderzając od niechcienia laską po żywopłotach. Ale kiedy wreszcie tam doszedł, wszyscy napotkani ludzie — nawet dzieci przed drzwiami domów — zdawali się patrzeć nań podejrzliwie. Zawrócił więc znowu, nie zdobywszy się na odwagę kupienia ani kęsa jedzenia, ani kropli napoju, mimo że od wielu godzin nie miał nic w ustach. Raz jeszcze powlókł się na równinę Heath nie wiedząc, dokąd się udać.

Przewędrował wiele, wiele mil i znowu wrócił na dawne miejsce. Ranek i południe minęły i dzień miał się ku schyłkowi, a on wciąż jeszcze wędrował tam i z powrotem, w górę i na dół, w kółko i w kółko, i wciąż kręcił się koło tego samego miejsca. Nareszcie oderwał się od niego i ruszył w stronę Hatfield.

Była dziewiąta wieczór, gdy mężczyzna, zupełnie wyczerpany, oraz pies, okulały i powłóczący łapami po tym niezwykłym dla siebie wysiłku, zeszli ze wzgórza przy kościele w spokojnej mieścinie i przeszedłszy znużonym krokiem małą uliczkę wsunęli się do niewielkiej gospody. Pałace się w niej słabe światło przywiodło ich do tego miejsca. W izbie z szynkasem palił się ogień na kominku, a przy nim siedziało pijąc kilku chłopów. Zrobili miejsce dla nieznajomego, ale on usadowił się w najdalszym kącie i jadł i pił sam lub raczej ze swym psem, któremu od czasu do czasu rzucał jakiś kęs pożywienia.

Rozmowa zebranych tu ludzi skierowała się na okoliczne grunta i okolicznych farmerów, a gdy te

tematy wyczerpano — na wiek jakiegoś staruszka, którego pochowano ubiegłej niedzieli. Młodzi spośród obecnych uważali go za bardzo starego, a starzy twierdzili, że był zupełnie młody — jeden siwy dziadunio utrzymywał, że niestarszy od niego — i mógłby żyć jeszcze co najmniej dziesięć lub piętnaście lat, gdyby dbał o siebie, gdyby tylko dbał o siebie.

Nie było w tym wszystkim nic zwracającego uwagę, nic, co by mogło wzbudzić zaniepokojenie.

Zapłaciwszy rachunek bandyta siedział dalej w swym kącie, nie zwracając na siebie uwagi i milcząc; prawie już usnął, gdy raptem zbudziło go hałaśliwe wejście nowego gościa.

Był to dziwny człek, po trosze wędrowny kramarz, a po trosze szarlatan, który wędrował pieszo po kraju, sprzedając oselki, przyrządy do ostrzenia brzytw, brzytwy, mydelka, smar do uprząży, leki dla psów i koni, tanie pachnidła, kosmetyki

i inne podobne artykuły, nosząc je w skrzynce przytroczonej do pleców. Jego wejście było hasłem do ożywionej wymiany różnych prostackich dowcipów z chłopami; ustały one dopiero wtedy, gdy skończył kolację i otworzył swą skrzynkę ze skar-bami. Wtedy postarał się w pomysłowy sposób połączyć interes z zabawą.

— A co to takiego? Dobre do jedzenia, Harry? — spytał szczerząc zęby jeden z chłopów; wskazał przy tym na jakieś prasowane kostki w jednym z rogów skrzynki.

— To — odparł handlarz dobywając jedną z nich — to jest niezawodny i nieoceniony środek, który usuwa wszelkie rodzaje plam. Usuwa rdzę, brud, pleśń, wszystkie plamy, plamki, plameczki z jedwabiu, atlasu, płótna grubego i cienkiego, sukna, krepy, wełny, muślinu i bawełny. Plamy z wina, plamy z owoców, plamy z piwa, plamy z wody, plamy z farby, plamy ze smoły, w ogóle wszelkie plamy schodzą za jednym potarciem tym niezawodnym i nieocenionym środkiem. Jeżeli dama splami swój honor, wystarczy jej połknąć jedną taką kostkę i już jest wyleczona — bo to trucizna. Jeżeli dżentelmen chce udowodnić, że jest człowiekiem honoru, wystarczy mu łyknąć jedną, a już postawił swój honor poza wszelką wątpliwością — bo to jest równie skuteczne jak kulka z pistoletu, a znacznie paskudniej-sze w smaku, więc tym większą przynosi zasługę. Pensa za kostkę. Przy wszystkich tych zaletach tylko pensa za kostkę!

Dwóch nabywców znalazło się od razu, a widać było, że jeszcze sporo słuchaczy się waha.

Zauważywszy to sprzedawca stał się jeszcze wymowniejszy.

— Ludzie rozkupują to tak szybko, że ledwo można nastarczyć z fabrykacją. Czternaście kół wodnych, sześć maszyn parowych i jedna bateria galwaniczna stale nad tym pracują i nie nadążają, choć robotnicy pracują tak pilnie, że wymierają, a wdowy dostają natychmiast rentę i po dwadzieścia funtów rocznie na każde dziecko, a pięćdziesiąt funtów premii za bliźniaki. Pensa za kostkę! Dwie półpensówki też mogą być, a cztery farthingi przyjmuje się z zadowoleniem. Pensa za kostkę! Plamy z wina, plamy z owoców, plamy z piwa, plamy z wody, plamy z farby, plamy ze smoły, plamy z błota, plamy z krwi! Oto plama na kapeluszu jednego z tu obecnych panów, którą usunę całkowicie, zanim zdąży postawić mi kwaterkę piwa.

— Ha! — zawołał Sikes zrywając się z miejsca. — Oddaj to natychmiast!

— Usunę tę plamę całkowicie, proszę pana — odrzekł człowiek mrugając do zebranych — zanim pan zdąży przejść przez izbę, żeby odebrać kapelusz. Panowie, zauważcie ciemną plamę na kapeluszu tego dżentelmena, nie szerszą od szylinga, ale większą od półkoronówki. Czy to jest plama z wina, plama z owoców, plama z piwa, plama z wody, plama z farby, plama ze smoły, plama z błota czy plama z krwi...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdyż Sikes z ohydnyim przekleństwem przewrócił stół i wyrwawszy handlarzowi kapelusz wypadł z domu.

Szarpany tymi samymi sprzecznymi uczuciami i niezdecydowaniem, które wbrew jego woli miały nim przez cały dzień, morderca przekonawszy się, że nikt go nie ściga i że prawdopodobnie tamci uznali go za pijanego gburę, poszedł z powrotem przez miasteczko. Wydostał się z zasięgu światła latarni dylżansu stojącego na ulicy i już, miał pójść dalej, kiedy poznał karetkę pocztową z Londynu i ujrzał, że stoi ona przy maleńkim urzędzie pocztowym. Był prawie pewien, co nastąpi, ale przeszedł przez ulicę, zbliżył się i nastawił uszu.

Strażnik stał przy drzwiach czekając na worek z listami. W tej chwili zbliżył się jakiś człowiek ubrany jak gajowy i strażnik podał mu koszyk, który stał naszykowany na chodniku.

— To dla waszej rodziny — powiedział. — No, pospieszcie się tam, dobrze? Do diabła z tym workiem, przedwczoraj też nie był gotowy. Słuchajcie no, tak dłużej być nie może!

— Jest co nowego w mieście, Ben? — spytał gajowy cofając się aż do okien, aby lepiej móc podziwiać konie.

— Nie, o niczym nie wiem — odrzekł strażnik naciągając rękawiczki. — Zboże trochę poszło w górę. Słyszałem też coś o jakimś mordzie, gdzieś w okolicy Spitalfields, ale nie bardzo w to wierzę.

— O, to zupełna prawda — rzekł jakiś pan wyglądając przez okno z wnętrza budynku. — To było straszne morderstwo.

— Doprawdy, proszę pana? — powiedział strażnik przykładając dłoń do kapelusza. — Kobieta czy mężczyzna, proszę pana?

— Kobieta — odrzekł pan. — Przypuszcza się, że... — No, Ben — powiedział niecierpliwie woźnica.

— Do diabła z tym workiem! — rzekł strażnik. — Zasnęliście tam czy co?

— Już idę! — zawołał poczmistrz wybiegając z domu.

— Już idzie — mruknął strażnik. — Ach, ta bogata panna, co się we mnie zakochała, też już idzie, tylko nie wiem, kiedy przyjdzie. No, dawaj! Do-obra!

Rozległo się parę wesołych tonów trąbki i karetka znikła. Sikes stał dalej na ulicy, na pozór nie poruszony tym, co usłyszał, i nie niepokojony żadnym silniejszym uczuciem niż niepewność, dokąd się udać. Na koniec zawrócił i poszedł drogą wiodącą z Hatfield do St. Albaus.

Szedł naprzód wytrwale, lecz kiedy pozostawił już za sobą miasteczko i pogrążył się w samotność i ciemność drogi, poczuł, jak ogarnia go lęk i strach, które wstrząsają nim do szpiku kości. Każdy przedmiot na jego drodze, każdy cień, nieruchomy czy ruchomy, stawał się podobny do czegoś okropnego; lecz te wszystkie trwogi były niczym w porównaniu z prześladowającym go wrażeniem, że tuż za nim idzie straszliwa postać widziana rano. Śledził w mroku jej cień, dostrzegał najdrobniejsze szczegóły, widział, jak sztywno i uroczyście zdawała się stąpać. Słyszał, jak w liściach szeleści jej ubiór, a każdy powiew wiatru przybywał nabrzmiały tym ostatnim, cichym jękiem. Kiedy stawał, ona stawała także. Kiedy biegł, ona podążała za nim — nie biegnąc także, bo to byłoby ulgą, lecz tak jak trup wyposażony w mechanizm życia i niesiony jednostajnym, powolnym, melancholijnym powiewem wiatru, który nigdy nie wzmagał się ani nie przycichał.

Czasami odwracał się z desperackim postanowieniem, aby odegnąć tę marę, choćby jej spojrzenie miało go zabić. Ale wtedy włosy jeżyły mu się na głowie i krew zamierała w żyłach, bo mara odwracała się z nim razem i stawała znów z tyłu za nim. Rano starał się mieć ją wciąż przed sobą, ale teraz była za nim — bezustannie za nim. Opierał się plecami o jakieś zбочce i czuł, że ona stoi nad nim, rysując się wyraźnie na tle zimnego nocnego nieba. Rzucił się na wznak na drogę. Stała wtedy za jego głową — milcząca, wyprostowana i nieruchoma, żywy kamień grobowy z napisem skreślonym krwią.

Niech nikt nie mówi, że mordercy mogą ujść sprawiedliwości, i nie napomyka, że Opatrzność widocznie śpi. W jednej długiej minucie tego pełnego męki przerażenia zawarte było tysiące strasznych śmierci.

Na jednym z pól, które mijał, stała szopa, gdzie mógł znaleźć schronienie na noc. Przed drzwiami rosły trzy wysokie topole, skutkiem czego wewnątrz było bardzo ciemno, a wiatr jęczał w nich posępnie i zawodził. Czuł, że nie może, naprawdę nie może iść dalej, dopóki się znów nie rozjaśni, i rozciągnął się tuż koło ściany — po to, by cierpieć nowe męczarnie.

Teraz bowiem zjawiała się przed nim wizja równie uporczywa, a jeszcze straszliwsza niż ta, od której uciekł. Te szeroko rozwarte oczy, tak pozbawione blasku i tak szkliste, że łatwiej mu było znieść ich widok, niż myśleć o nich, pojawiły się teraz wśród ciemności. Same były jasne, lecz nie oświetlały niczego. Ocu tych było tylko dwoje, ale były wszędzie. Jeżeli zamykał powieki przed tym widokiem, zjawiał się pokój z wszystkimi dobrze znanymi sprzętami — o niektórych byłby nawet zapomniął, gdyby mu przyszło z pamięci je wyliczać — a wszystkie były na zwykłych miejscach. Trup także był na swoim miejscu, a jego oczy były takie, jakimi je widział, gdy się wykradał z pokoju. Wstał i wypadł na pole. Postać była za nim. Wszedł z powrotem do szopy i znów kurczowo przywarł do ziemi. Oczy zjawiły się, nim zdążył się położyć.

Trwał tedy w takim przerażeniu, o jakim nikt prócz niego nie mógł mieć pojęcia. Drżał na całym ciele, a zimny pot występował mu na skórze ze wszystkich porów. Nagle wiatr nocny przyniósł ze sobą dalekie krzyki, w których zgroza mieszała się z podziwem. Wszelkie odgłosy ludzkie, choćby nawet niosły z sobą istotne powody do niepokoju, były dlań na tym pustkowiu pożądane. Na myśl o tym, że może mu coś grozić, odzyskał siły i energię i zerwawszy się na nogi wybiegł na dwór.

Rozległe niebo zdawało się palić. W powietrzu wśród powodzi iskier unosiły się jedna za drugą płachty płomieni rozświetlając przestrzeń na całe mile wokół i pędząc w jego stronę kłęby dymu. Krzyki wzbierały na sile, w miarę jak dołączały się nowe głosy, i słyszał z dala wołanie: „Pali się!” — zmieszane z dźwiękiem dzwonu alarmowego, odgłosami padania ciężkich przedmiotów i trzaskiem płomieni ogarniających jakąś nową przeszkodę i strzelających w górę, jakby nowa strawa dodała im siły. Im dłużej patrzył, tym bardziej wzrastał hałas. Byli tam ludzie — mężczyźni, kobiety — było światło, krzątanina. Dla niego było to tak, jakby wstępowało weń nowe życie. Pomknął przed siebie — prosto, na oślep, pędził przez cierniste zarośla i przez głogi, przeskakował furtki i płoty z takim samym rozpędem jak jego pies, który gonił przed nim z głośnieym i dźwięcznym szczekaniem.

Przybył na miejsce. Tu i tam biegali bezładnie na pół odziani ludzie. Niektórzy usiłowali wyprowadzić ze stajni przestraszone konie, inni wypędzali bydło z podwórza i zabudowań, a inni jeszcze przybiegali obladowani od strony płonącego domu, wśród powodzi iskier i huku padających belek, rozpalonych do czerwoności. Przez otwory, w których przed godziną były drzwi i okna, widać było szalejący ogień;

ściany chwiały się i waliły w płonąca czeluść; stopiony ołów i żelazo, rozżarzone do białości, lały się na ziemię. Kobiety i dzieci wrzeszczały, a mężczyźni dodawali sobie otuchy głośnymi krzykami i nawoływaniem. Stuk pomp oraz szum i syk wody padającej na płonąca drzewo wzmagały przeraźliwy hałas. I on krzyczał także aż do ochrypięcia, a uciekając od wspomnień i od samego siebie zanurzył się w najgęstszej ciżbie.

Przez całą noc miotał się na wszystkie strony, to pracując przy pompach, to znów biegając przez dym i płomień, lecz ani na chwilę nie przestając szukać sobie zajęcia tam, gdzie ludzi i hałasu było najwięcej. W górę i na dół po drabinach, na dachy budynków, po podłogach, które trzęsły się i drżały pod jego ciężarem, pod gradem padających cegieł i kamieni — był wszędzie, we wszystkich miejscach, gdzie szalał ten ogromny pożar. Śmierć się go jednak nie miała, bo kiedy wreszcie nastał świt i pozostał już tylko dym i poczerniałe zgłiszczka, nie było na nim ani zadrapania, ani sińca, a w nim ani zmęczenia, ani żadnej myśli.

Gdy minęło owo szalone podniecenie, powróciła z dziesięćkroć większą siłą straszliwa świadomość popełnionej zbrodni. Rozejrzał się dokoła podejrzliwie, gdyż ludzie rozmawiali skupieni w gromadkach, i obawiał się, że to on jest tematem ich rozmów. Kiwnął znacząco na psa, a ten usłuchał rozkazu, i oddalił się chyłkiem. Minął grupę siedzących przy sikawce mężczyzn, którzy zawołali go, chcąc podzielić się z nim posiłkiem. Przyjął trochę chleba i mięsa. W chwili kiedy wypijał łyk piwa, posłyszał, jak strażacy, którzy przybyli z Londynu, rozmawiają o morderstwie. — Mówią, że poszedł do Birmingham — rzekł jeden — ale złapią go pewnie, bo puścili w ruch agentów śledczych i jeszcze przed nocą zaczną się poszukiwania po całym kraju. Oddalił się szybko i szedł tak długo, aż prawie padał ze zmęczenia. Wtedy położył się przy jakiejś bocznej drodze i zapadł w długi, lecz przerywany i niespokojny sen. Potem znów powędrował dalej, niepewny i niezdecydowany, gnębiony strachem przed nową samotną nocą.

Nagle powziął rozpaczliwe postanowienie powrotu do Londynu.

„Tam przynajmniej jest do kogo usta otworzyć — pomyślał. —

I dobra kryjówka. Nigdy nie przyjdzie im do głowy, że mogą tam mnie złapać, skoro są na tropie prowadzącym na prowincję. Dlaczego nie miałbym się przyczołgać przez jakiś tydzień, a potem wymusić gotówkę od Fagina i wyostać się za granicę, do Francji? Bierz mnie diabli, zaryzykuję.”

Bezwzględnie poszedł za tym impulsem i wybierając najmniej uczęszczane drogi rozpoczął powrotną podróż. Postanowił poczekać w ukryciu niedaleko od stolicy i wejść do niej o zmierzchu okrężną drogą, a potem udać się prosto do tej dzielnicy, którą sobie obrał za cel.

Ale — pies. Jeżeli znany był rysopis jego osoby, nie omieszkają zauważyć, że psa nie ma i że zapewne poszedł z nim razem. To mogłoby doprowadzić do ujęcia go na ulicy. Postanowił zatem utopić psa i szedł dalej, rozglądając się za jakimś stawem. Po drodze podniósł ciężki kamień i przywiązał do niego chustkę.

Podczas tych przygotowań zwierzę patrzyło w twarz pana. I czy instynkt podszeptał mu ich cel, czy też kose spojrzenie bandyty było groźniejsze niż zwykle, dość, że zaczął przystawać nieco w tyle i wolniej idąc kulił się jak przed ciosem. Kiedy pan jego przystanął nad brzegiem jakiejś sadzawki i obejrzał się, by go przywołać, zatrzymał się zupełnie.

— Słyszysz, jak cię wołam? Pójdź tu! — krzyknął Sikes. Pies poszedł, wiedziony siłą przyzwyczajenia. Lecz kiedy

Sikes nachylił się, by przywiązać mu chustkę do szyi, warknął z cicha i cofnął się raptownie.

— Do nogi! — krzyknął bandyta.

Pies zamerdał ogonem, ale się nie ruszył. Sikes zrobił ruchomą pętlę i zawołał go raz jeszcze.

Pies posunął się naprzód, potem cofnął, stanął na chwilę, zawrócił i całym pędem uciekł.

Mężczyzna gwizdał i gwizdał, po czym usiadł i czekał w nadziei, że pies powróci. Ale pies wcale się nie pokazał; w końcu więc Sikes sam ruszył w dalszą drogę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY MONKS I PAN BROWNLAW SPOTYKAJĄ SIĘ WRESZCIE. ICH ROZMOWA ORAZ NOWINA, KTÓRA ROZMOWĘ TĘ PRZERYWA

Zacznął zapadać zmrok, kiedy pan Brownlow wysiadł z dorożki przed drzwiami własnego domu i cicho w nie zastukał. Gdy drzwi otwarto, z dorożki wyskoczył krzepki mężczyzna i zajął stanowisko po jednej stronie stopni, podczas gdy drugi, który siedział na koźle, zsiadł także i stanął po drugiej stronie. Na znak pana Brownlow pomogli oni wyjść trzeciemu mężczyźnie i wzięwszy go pomiędzy siebie, śpiesznie wprowadzili do domu. Mężczyzną tym był Monks.

W ten sam sposób, nie mówiąc ani słowa, weszli po schodach, a pan Brownlow, który szedł przed nimi, wskazał im drogę do jednego z pokoi od podwórka. U drzwi do tego pokoju Monks, który z jawną niechęcią szedł na górę, zatrzymał się. Obaj tamci mężczyźni spojrzeli na starego pana, jakby oczekując wskazówek.

— On wie, co go czeka, jeżeli będzie się opierał — rzekł pan Brownlow. — Jeżeli zawaha się albo ruszy palcem Wbrew waszej woli, zawleczenie go na ulicę, zawołajcie na pomoc policję i w moim imieniu kaźcie go aresztować jako przestępcę.

— Jak pan śmie mówić do mnie w ten sposób? — spytał Monks.

— Jak śmiesz dawać mi do tego powód, młodzieńcze? — odrzekł pan Brownlow patrząc mu spokojnie prosto w twarz. — Czyś oszalał na tyle, aby opuścić ten dom? Puśćcie go. Masz, mój panie! Wolno ci uciec, a nam — gonić za tobą. Ale ostrzegam cię i klnę się na wszystko, co mam najświętszego, że w chwili, w której znajdziesz się na ulicy, każę cię aresztować pod zarzutem oszustwa i rabunku. Jestem zdecydowany i niewzruszony. Jeśli ty poweźmiesz podobne postanowienie, niech krew twoja spadnie na twoją własną głowę!

— Z czyjego rozkazu te psy porwały mnie na ulicy i sprowadziły tutaj? — spytał Monks spoglądając kolejno na obu stojących przy nim mężczyzn.

— Z mojego — odrzekł pan Brownlow. — Osoby te są opłacone przeze mnie. Jeśli się skarżysz, że pozbawiono cię wolności — a miałeś możliwość odzyskać ją po drodze, lecz uznałeś za wskazane siedzieć cicho — powiadam raz jeszcze, zwróć się o opiekę do prawa. Ja także odwołam się do prawa. Ale gdy zabrniesz już tak daleko, że nie będziesz mógł się cofnąć, kiedy władza przejdzie już w inne ręce, nie proś mnie o pobłażanie i nie mów, że to ja pchnąłem cię w otchłań, w którą sam się rzuciłeś.

Monks był wyraźnie zmieszany, a prócz tego zaniepokojony. Zawahał się.

— Decyduj się szybko — mówił pan Brownlow z całkowitym spokojem i stanowczością. — Jeżeli chcesz, abym wniósł swoje oskarżenie publicznie i naraził cię na karę, której rozmiary mogę wprawdzie z dreszczem zgrozy przewidywać, ale której wymierzyć nie mam mocy, powiadam raz jeszcze — znasz drogę. Jeżeli nie, jeżeli odwołasz się do mojej wyrozumiałości i do łaski tych, których głęboko skrzywdziłeś, w takim razie siadaj na tym oto krześle i milcz. Miejsce to czeka na ciebie od całych dwóch dni.

Monks wymamrotał kilka niezrozumiałych wyrazów, ale jeszcze się wahał.

— Spiesz się — rzeki pan Brownlow. — Jedno moje słowo, a szansa wyboru przepadnie bezpowrotnie.

Monks wciąż jeszcze się wahał.

- Nie mam ochoty wchodzić w układy — powiedział pan Brownlow — a że bronię najżywościwszych interesów innych ludzi, więc nie mam też do tego prawa.

— Czy nie ma... — spytał Monks łamiącym się głosem — czy nie ma żadnej... żadnej pośredniej drogi?

— Żadnej.

Monks spojrział na starego pana niespokojnym wzrokiem, lecz nie wyczytawszy z jego oblicza nic prócz surowości i mocnego postanowienia, wszedł do pokoju i wzruszywszy ramionami usiadł.

— Zamknijcie drzwi od zewnątrz — powiedział pan Brownlow do swoich pomocników — i przyjdźcie, kiedy zadzwonię.

Tamci usłuchali i dwaj mężczyźni pozostali sami.

— Ładne traktowanie, ani słowa ---- rzeki Monks zrzucając kapelusz i pelerynę — ze strony najstarszego przyjaciela mego ojca.

— Właśnie dlatego, że byłem najdawniejszym przyjacielem twego ojca, młodzieńcze — odrzekł pan Brownlow — właśnie dlatego, że nadzieje i tęsknoty moich młodych i szczęśliwych lat były związane z nim i z ową śliczną istotą tej samej co on krwi i rodu, która w młodości wróciła do swego Stwórcy, pozostawiając mnie tu w samotności i opuszczeniu; właśnie dlatego, że on klęczał wraz ze mną jeszcze jako chłopiec przy łożu śmierci swej jedynej siostry, która tegoż ranka — gdyby niebo nie zrządziło inaczej — byłaby została moją młodą żoną; właśnie dlatego, że moje zbolełe serce Ignęło do niego odtąd poprzez wszystkie dni jego życia pełnego nieszczęść i błędów, aż do samej jego śmierci; dlatego, że serce moje pełne jest dawnych, nasuwających się jedne za drugimi wspomnień i że sam twój widok przywodzi na pamięć, wszystkie dawne myśli o nim; dlatego wszystkiego właśnie skłonny jestem postępować z tobą teraz łagodnie — tak, Edwardzie Leeford, nawet teraz — i rumienić się, że tak dalece niegodzien jesteś nazwiska, które nosisz.

— Co nazwisko tu ma do rzeczy? — spytał tamten po pewnym czasie, w ciągu którego przyglądał się w milczeniu i z ponurym zadziwieniem swemu wzburzonemu towarzyszowi. — Cóż dla mnie znaczy nazwisko?

— Nic — odrzekł pan Brownlow. — Dla ciebie nic. Ale było to jej nazwisko i nawet po tak długim czasie, nawet gdy wymawia je ktoś obcy, budzi ono we mnie na nowo — we mnie, starym człowieku — ów żar i uniesienie, które kiedyś czułem. Cieszę się bardzo, że je zmieniłeś, bardzo, bardzo się cieszę.

— Wszystko to pięknie — rzekł Monks (pozostaniemy przy jego przybranym nazwisku) po długim milczeniu, podczas którego z posępnym i wyzywającym wyrazem twarzy kołysał się na krześle, a pan

Brownlow siedział z twarzą przysłoniętą dłonią. — Ale czego pan chce ode mnie?

— Masz brata — powiedział pan Brownlow ocknąwszy się z zadumy — brata, którego imię szepnięte ci do ucha, gdy szedłem za tobą po ulicy, samo niemal wystarczyło, abyś przyszedł tu ze mną, zdziwiony i zaniepokojony.

— Nie mam żadnego brata — odrzekł Monks. — Pan wie, że byłem jedynakiem. Dlaczego opowiada mi pan o jakichś braciach? Wie pan o tym równie dobrze jak ja.

— Posłuchaj tego, co ja wiem, a czego ty może nie wiesz — rzekł pan Brownlow. — Po trochu obudzę w tobie zainteresowanie. Wiem, że owego nieszczęsnego małżeństwa, do którego zmusiły twego biednego ojca, gdy był zaledwie chłopcem, duma rodowa i najędźniejsze, najniższe ambicje — tyś był jedyną, wynaturzoną latoroślą.

— Nie przejmuję się wyzwiskami — przerwał Monks z szyderczym uśmiechem. — Zna pan fakt, to mi wystarcza.

— Ale znani również — ciągnął stary pan — niedolę, powolną torturę, długotrwałą mękę tego niedobranego związku. Wiem, z jaką niechęcią i znużeniem ta nieszczęsna para dźwigała owe ciężkie okowy przez zatrute dla obojga życie. Wiem, jak po okresie zimnej poprawności nastąpiły otwarte starcia, jak obojętność ustąpiła niechęci, niechęć — nienawiści, a nienawiść wstrętowi, aż wreszcie stargali krepujące ich więzy. Rozjechali się jak najdalej od siebie, a każde z nich wlokło za sobą nienawistne pół łańcucha przykutego tak, że tylko śmierć mogła zerwać jego ogniwa. Każde w nowym środowisku starało się ukryć te okowy, pozorując największą, na jaką mogli się zdobyć, wesołość. Matce twojej udało się. Zapomniała prędko o swych kajdanach. Ale twojemu ojcu przeżerały i drążyły one serce przez długie lata.

— No, więc rozstali się — powiedział Monks. — I co z tego?

— Kiedy już dość długo żyli z dala od siebie — odrzekł pan Brownlow — a matka twoja, całkowicie pochłonięta płochymi zabawami na kontynencie, zapomniała zupełnie o młodszym od niej o dobre dziesięć lat mężu, który w kraju pędził smutne życie bez żadnych nadziei na przyszłość — znalazł on niespodzianie nowych przyjaciół. O tej okoliczności przynajmniej wiesz na pewno.

— Nic podobnego. — Monks odwrócił oczy i uderzał nogą w podłogę jak człowiek, który postanowił zaprzeczać wszystkiemu. — Nic podobnego.

— Twój ton również jak twoje postęпки upewnia mnie, że nigdy o tym nie zapomniałeś ani nie przestałeś z goryczą o tym myśleć — rzekł pan Brownlow. — Mówię o okresie sprzed piętnastu lat, kiedy miałeś nie więcej jak lat jedenaście, a twój ojciec zaledwie trzydzieści jeden — gdyż, jak powiadam, był jeszcze chłopcem, kiedy jego ojciec kazał mu się żenić. Czy muszę wracać do wydarzeń, które rzucają cień na pamięć twego ojca, czy też oszczędzisz mi tego wyznając prawdę?

— Nie mam nic do wyznania — odparł Monks. — Musi pan mówić sam, jeżeli pan koniecznie chce.

— A więc ci nowi przyjaciele — mówił pan Brownlow — była to rodzina pewnego oficera marynarki w etanie spoczynku, którego żona zmarła na jakieś pół roku przedtem, pozostawiając mu dwoje dzieci. Było ich niegdyś więcej, ale na szczęście z całej gromadki pozostało przy życiu tylko dwoje. Dwie córki. Jedna z nich była ślicznym dziesiętnastoletnim dziewczęciem, druga małym jeszcze, dwu czy trzyletnim dzieckiem.

— Co mnie to obchodzi? — spytał Monks.

— Mieszkali oni — ciągnął pan Brownlow, jakby nie słysząc tych wtrąconych słów — w tej samej części kraju, do której w swoich wędrówkach przybył wreszcie twój ojciec i gdzie się osiedlił. Znajomość, zażyłość, przyjaźń szybko nastąpiły po sobie. Twój ojciec był wyjątkowo utalentowany. Miał duszę i powierchowość swej siostry. W miarę jak stary oficer coraz lepiej go poznawał, pokochał go. Oby się na tym skończyło. Ale jego córka uczyniła to samo.

Stary pan zamilkł na chwilę. Monks przygryzał wargi trzymając oczy utkwione w podłodze. Widząc to pan Brownlow podjął natychmiast:

— Koniec roku zastał go związanym, poważnie związanym z ową córką. Był przedmiotem pierwszej, prawdziwej, żarliwej, jedynej miłości niewinnej dziewczyny.

— Pańska opowieść należy do bardzo długich — zauważył Monks, który nieustannie poprawiał się na krześle.

— Jest to prawdziwa opowieść o smutku, ciężkich przejściach i cierpieniach, młodzieńcze — odrzekł pan Brownlow. — Takie opowieści zwykle bywają długie. Gdyby mówiła o niezmaconej radości i szczęściu, byłaby bardzo krótka. Na koniec umarł jeden z tych bogatych krewnych, dla których poświęcono twego ojca, chcąc wzmocnić ich interesy i znaczenie w świecie. Nieraz tak bywa — to nie odosobniony wypadek. Umarł tedy i aby naprawić nieszczęście, do którego się kiedyś przyczynił, pozostawił twemu ojcu to, co jemu zdawało się lekarstwem na wszelkie smutki: pieniądze. Konieczne było, aby twój ojciec pojechał natychmiast do Rzymu, gdzie ów człowiek udał się był dla zdrowia i gdzie umarł pozostawiając swe interesy w wielkim nieporządku. Twój ojciec pojechał więc i tam nabawił się śmiertelnej choroby. Gdy tylko wiadomość o tym dotarła do Paryża, ruszyła za nim twoja matka zabierając z sobą ciebie.

Nazajutrz po jej przyjeździe on umarł nie pozostawivszy żadnego testamentu — żadnego testamentu — tak że cały majątek przypadł jej i tobie.

W tym miejscu opowiadania Monks wstrzymał oddech i słuchał z wyrazem skwapliwego zainteresowania, choć oczy jego nie były skierowane na mówiącego. Kiedy pan Brownlow przerwał, Monks zmienił pozycję jak człowiek, który doznał raptownej ulgi, i otarł pot z rozpalonej twarzy i rąk. — Twój ojciec przed wyjazdem za granicę zatrzymał się po drodze w Londynie. — powiedział powoli pan Brownlow wlepiając oczy w twarz Monksa — i zjawił się u mnie.

— Nigdy o tym nie słyszałem — przerwał Monks tonem, który miał wyrażać niedowierzenie, a w którym brzmiała raczej nuta nieprzyjemnego zaskoczenia.

— Przyszedł i pozostawił u mnie wśród innych rzeczy obraz — portret namalowany przez niego samego — podobiznę owej biednej dziewczyny. Nie chciał go pozostawić na łasce losu, a nie mógł zabrać w tak nagłą podróż. Ojciec twój tak był wyniszczony niepokojem i wyrzutami sumienia, że został z niego niemal cień. Mówił nieprzytomnie, dziko o zgubie i hańbie, którą spowodował. Zwierzył mi się z zamiarem spieniężenia całego majątku, choćby z największą stratą. Zapisawszy na żonę i na ciebie część nowootrzymanego spadku, miał uciec z kraju — domyślałem się, że nie sam — i nigdy go więcej nie oglądać. Nawet przede mną, starym przyjacielem dzieciennych lat, którego głębokie i silne przywiązanie wyrosło z ziemi, która przykryła istotę bardzo drogą nam obu. — nawet przede mną zataił wszelkie dalsze szczegóły. Obiecał tylko, że napisze mi o wszystkim i potem zobaczy się ze mną raz jeszcze, ostatni raz na tej ziemi. Niestety! To już był ostatni raz. Nie dostałem żadnego listu i nie widziałem go nigdy więcej.

— Kiedy było po wszystkim — ciągnął pan Brownlow po krótkiej przerwie — pojechałem na miejsce jego... jego grzesznej miłości. Użyłem wyrażenia, którego świat najchętniej by użył, bo potępienie lub uznanie tego świata są mu teraz równie obojętne. Postanowiłem, że jeśli obawy moje się sprawdzą, ona — owo zbłąkane dziecko — znajdzie przynajmniej jedno współczujące serce i dom, w którym będzie mogła się schronić. Tymczasem na tydzień przedtem cała rodzina opuściła ową okolicę. Pospłacali drobne długi, które pozaciągali, i wyjechali nocą. Dlaczego ani dokąd, tego nikt nie umiał powiedzieć. Monks odetchnął jeszcze swobodniej i rozejrzał się z uśmiechem triumfu.

— Kiedy brat twój — powiedział pan Brownlow przysuwając się bliżej do jego krzesła — kiedy brat twój — słabe, obdarte, zaniedbane dziecko — znalazł się na mojej drodze, rzucony na nią ręką potężniejszą od przypadku, kiedy uratowałem go przed życiem pełnym występku i hańby...

— Co! — krzyknął Monks.

— Tak — rzekł pan Brownlow. — Mówiłem ci, że zainteresuję cię z biegiem czasu. Tak, to ja go uratowałem. Widzę, że twój chytry współnik zataił moje nazwisko, choć mógł przypuszczać, że będzie ci ono zupełnie nie znane. Kiedy więc uratowałem go i kiedy leżał w moim domu przychodząc do zdrowia po chorobie, uderzyło mnie i zdziwiło jego silne podobieństwo do owego obrazu, o którym wspominałem. Już wtedy nawet, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy w całej jego nędzy i brudzie, w twarzy jego ujrzałem znajomy mi wyraz. Było to tak, jakbym w wyrazistym bardzo śnie ujrzała na mgnienie oka dawnego przyjaciela. Nie potrzebuję ci mówić, że chłopiec został podstępnie wprowadzony, nim poznałem jego dzieje...

— Dlaczego nie będzie pan o tym mówić? — spytał Monks szybko.

— Dlatego, że wiesz o tym doskonale.

— Ja!

— Wypieranie się przede mną nie zda się na nie — odrzekł pan Brownlow. — Przekonam cię, że wiem jeszcze więcej.

— Pan... pan... nie może mi nic udowodnić — wyjąkał Monks. — Niech pan tylko spróbuje!

— Zobaczymy — odparł stary pan patrząc nań badawczo. — Straciłem chłopca i mimo największych wysiłków nie udało mi się go odnaleźć. Ponieważ twoja matka nie żyła, wiedziałem, że jeśli kto, to ty jeden możesz wyjaśnić tajemnicę. A że kiedy ostatnio słyszałem o tobie, znajdowałeś się w swej posiadłości w Indiach Zachodnich — dokąd, jak dobrze wiesz, udałeś się po śmierci twojej matki, by uniknąć następstw wykroczeń popełnionych tutaj — sam przedsięwziąłem tę podróż. Wyjechałeś jednak stamtąd parę miesięcy wcześniej i przypuszczano, że jesteś w Londynie, choć nikt nie wiedział, gdzie. Twoi pełnomocnicy nie znali twego miejsca zamieszkania. Zjawiałeś się u nich i znikaleś — mówili — równie tajemniczo jak zawsze; niekiedy bywałeś dzień po dniu przez dłuższy czas, a niekiedy nie pokazywałeś się całymi miesiącami. Najwidoczniej obracałeś się w tych samych podejrzanym miejscach i utrzymywałeś stosunki z tą samą niegodną zgrają, z którą stowarzyszyłeś się jeszcze jako dziki, niesforny chłopak. Zamęczałem ich coraz to nowymi zapytaniem. Dniem i nocą szukałem cię po ulicach, ale wszystkie moje wysiłki były bezowocne i nie spotkałem cię ani razu — póki się to nie stało dwie godziny temu.

— A teraz, kiedy mnie pan spotkał — wstając rzekł Monks zuchwale — co teraz? Oszustwo i rabunek to ostre słowa — uzasadnione, jak się panu wydaje, urojonym podobieństwem jakiegoś małego łobuza do obrazka napacykowanego od niechcenia przez nieżyjącego człowieka. Brat! Nie wie pan nawet, czy

z tej ckliwej pary urodziło się jakieś dziecko. Nawet tego pan nie wie.

— Nie wiedziałem — odparł pan Brownlow wstając także — ale w ciągu ostatnich dwóch tygodni dowiedziałem się wszystkiego. Masz brata. Wiesz o tym i znasz go. Istniał testament, który matka twoja zniszczyła, a tajemnicę i zdobyty majątek umierając pozostawiła tobie. Testament ten wspominał o dziecięciu, spodziewanej latorośli owego smutnego związku. Dziecko to istotnie się urodziło.

Spotkałeś je przypadkowo

i twoje podejrzenia zbudziły się po raz pierwszy dzięki jego podobieństwu do ojca. Udałeś się na miejsce jego urodzenia. Istniały tam dowody — długo tajone dowody jego pochodzenia. Dowody te zniszczyłeś i teraz — według twych własnych słów wypowiedzianych do twego współnika, Fagina: „Jedynе dowody, kim jest chłopiec, leżą na dnie rzeki, a stara jędzа, która dostała je od jego matki, gnije już w trumnie.” Niegodny synu, tchórz, kłamco! Ty, który w ciemnych norach naradzasz się po nocy ze złodziejami i mordercami, ty, którego knowania i konszachty przyniosły gwałtowną śmierć komuś, kto wart był milion razy więcej od ciebie, ty, który od kołyski poileś żółcią i goryczą serce własnego ojca, ty, którego złe namiętności, występki i rozwiązłość drażyły tak długo, aż sprowadziły wreszcie ohydną chorobę sprawiającą, że obecnie twarz twoja jest zwierciadłem twej duszy — Edwardzie Leeford, czy jeszcze śmiesz mi stawiać czoło?

— Nie, nie, nie! — odpowiedział tchórz, oszołomiony sypiącymi się nań zarzutami.

— Każde słowo! — wołał stary pan — każde słowo zamienione przez ciebie z tym obrzydłym

złoczyńcą jest mi znane. Cienie na ścianie złowiły wasze szeptę i przekazały je moim uszom. Widok prześladowanego dziecka przemienił nawet istotę występłą, natchnął ją odwagą i obdarzył niemal cnotą. Popelnione zostało morderstwo, w którym wziąłeś moralny, jeśli nie rzeczywisty udział.

— Nie, nie — przerwał Monks. — O tym ja... ja... nic nie wiem! Chciałem właśnie pójść dowiedzieć się, jak naprawdę wygląda ta sprawa, kiedy pan mnie pochwycił. Przyczyny nie znałem. Myślałem, że była nią zwykła kłótnia.

— Było nią częściowe wyjawienie twoich tajemnic — odrzekł pan Brownlow, — Czy wyjawisz teraz resztę?

— Tak, wyjawię.

— Podpiszesz stwierdzenie prawdy i faktów i powtórzysz je wobec świadków?

— To także obiecuję.

— Zaczekasz tu spokojnie, aż odpowiedni dokument zostanie przygotowany, a potem udasz się ze mną w celu potwierdzenia go w miejsce, które uznani za wskazane?

— Jeżeli pan koniecznie tego chce, zrobię i to również — odparł Monks.

— Musisz zrobić jeszcze coś więcej — rzekł pan Brownlow. — Musisz naprawić krzywdę wyrządzoną niewinnemu dziecku, które nikomu zła nie wyrządziło, gdyż takim ono jest, chociaż to owoc grzesznej i bardzo nieszczęśliwej miłości. Nie zapomniałeś postanowień testamentu. Wykonasz je w tej mierze, w jakiej odnoszą się do twego brata, a wtedy możesz udać się, gdzie zechcesz. Nie ma potrzeby, abyście się jeszcze kiedy spotkali na tym świecie.

Monks chodził wielkimi krokami po pokoju i rzucając chmurne i złe spojrzenia zastanawiał się nad tą propozycją i możliwościami uchylecia się od niej. Szarpały nim z jednej strony obawa, a z drugiej nienawiść. Nagle drzwi otworzono pośpiesznie z klucza i jakiś pan (doktor Losberne) w gwałtownym podnieceniu wszedł do pokoju.

— Schwytają tego człowieka — zawołał. — Schwytają go dziś wieczorem.

— Mordercę? — spytał pan Brownlow.

— Tak, tak — odrzekł tamten. — Widziano jego psa, jak kręcił się koło jakiejś ich dawnej kryjówki, i wydaje się więcej niż prawdopodobne, że jego pan albo tam jest, albo przybędzie pod osłoną ciemności. Agenci czyhają bezustannie dokoła tego miejsca. Mówiłem z ludźmi, którym powierzono ujęcie go. Powiadają, że nie może ujsć. Rząd ogłosił dziś nagrodę w wysokości stu funtów.

— Dodam jeszcze pięćdziesiąt — rzekł pan Brownlow — i ogłoszę to sam na miejscu, jeśli potrafię się tam dostać. Gdzie jest pan Maylie?

— Harry? Skoro tylko zobaczył, że ten oto pański przyjaciel siedzi z panem bezpiecznie w dorożce, pośpieszył tam, gdzie dowiedział się tego wszystkiego, o czym dopiero co mówiłem — odparł doktor.

— Potem wsiadł na konia i pogalopował połączyć się z pierwszą grupą szukających, gdzieś w umówionym punkcie na przedmieściu.

— A Fagin? — spytał pan Brownlow. — Co z nim?

— Według ostatnich wiadomości nie był jeszcze ujęty, ale będzie albo może już jest do tego czasu.

Jego są pewni.

— Czyś się zdecydował? — cicho zapytał pan Brownlow Monksa.

— Tak — odrzekł. — Pan... pan mnie nie wyda?

— Nie. Czekaj tu, aż wrócę. To twoja jedyna nadzieja ocalenia.

Wyszli z pokoju i drzwi ponownie zostały zamknięte na klucz.

— Co pan osiągnął? — spytał doktor szeptem.

— Wszystko, czego mogłem się spodziewać, a nawet więcej. Dodając do wiadomości otrzymanych od tej biednej dziewczyny to, co sam uprzednio wiedziałem, oraz wyniki badań przeprowadzonych na miejscu przez naszego przyjaciela, nie pozostawiłem mu żadnych możliwości wykręcenia się i odsłoniłem całe szalbiertwo, które w tym świetle stało się jasne jak słońce. Proszę napisać list naznaczający spotkanie na pojutrze o siódmej wieczór. Będziemy tam o parę godzin wcześniej, ale potrzebny nam będzie wypoczynek, zwłaszcza panience, która może potrzebować większej siły ducha, niż pan i ja możemy w tej chwili przewidzieć. Ale krew we mnie kipi z chęci pomszczenia tej biednej zamordowanej istoty. Którędy oni pojechali?

— Niech pan jedzie prosto do urzędu policyjnego, a jeszcze pan zdąży — odrzekł pan Losberne. — Ja zostanę tutaj.

Panowie rozstali się obaj w gorączkowym podnieceniu, którego niezdolni byli opanować.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY POGOŃ I UCIECZKA

Blisko tego odcinka Tamizy, gdzie wznosi się tuż nad rzeką kościół w Rotherhithe, tam, gdzie budynki na wybrzeżu są najbrudniejsze, a statki na rzece najczarniejsze od węglowego pyłu i dymów ze stłoczonych niskich domostw, mieści się najnędzniejsza, najdziwniejsza, najbardziej niezwykła z licznych dzielnic, które kryje Londyn, zupełnie nie znanych. — nawet z nazwy — ogromnej większości jego mieszkańców.

Aby dojść do tego miejsca, obcy przybysz musi przejść przez labirynt dusznych, wąskich, zabłoconych, uliczek. Płynie nimi ciżba najbardziej prostackich a zarazem najuboższych ludzi znad rzeki oraz ma swą siedzibę taki handel, jakiego tam można oczekiwać. W sklepach piętrzą się najtańsze i najmniej wyszukane artykuły żywnościowe; ordynarne i pospolite sztuki odzieży wiszą na drzwiach u handlarzy, zwisają z balkonów i okien. Przepychając się wśród bezrobotnych robotników najniższych kategorii, tragarzy okrętowych, ulicznych złodziei węgla, bezwstydných kobiet, obdartych dzieci i wszelkiego rodzaju mętów i szumowin nadrzecznych — przybysz z trudem toruje sobie drogę. Odrażające widoki i wonie uderzają nań z wąskich zaułków odchodzących w prawo i w lewo, ogłusza go turkot naładowanych ciężko wozów wiozących wielkie sterty towarów ze składów, które wznoszą się na każdym rogu. Dotarłszy w końcu do ulic jeszcze odleglejszych i mniej uczęszczanych niż te, którymi szedł do tej pory, idzie pod groźącymi zawaleniem fasadami domów, pochylonymi nad chodnikiem, pod ścianami, które zdają się chybotać od jego kroków, pod częściowo zburzonymi kominami, które wyglądają, jakby już już miały lec w gruzach, pod oknami, których strzegą zardzewiałe żelazne kraty, zżarte przez czas i brud, wśród wszelkich, jakie tylko sobie można wyobrazić, oznak nędzy i zaniedbania.

W takiej to okolicy, za Dockhead w obwodzie Southwark, wznosi się Wyspa Jakuba, otoczona błotnistym rowem, głębokim na sześć czy osiem stóp, a szerokim w czasie przypływu na piętnaście do dwudziestu. Rów ten zwał się kiedyś Fabryczną Sadzawką, lecz w czasach niniejszej opowieści znany był jako Fosa Szaleńców. Jest to odnoga czy też łacha Tamizy; przy wysokiej wodzie można ją zawsze napełnić przez otwarcie śluz przy fabryce ołowiu, od której wzięła swą dawną nazwę. W takich wypadkach obcy przybysz, patrzący z jednego z przerzuconych przez nią przy Mill Lane drewnianych mostów, ujrzałby, jak mieszkańcy domów po obu stronach spuszczają z tylnych okien i drzwi wiadra, cebrzyki i różne naczynia domowe, aby nimi czerpać wodę i wciągać na górę. Gdyby zaś wzrok jego oderwał się od tego widoku i przeniósł na same domy, ujrzałby coś, co napełniłoby go najwyższym zdumieniem. Cudaczne drewniane galeryjki, wspólne dla tylów pół tuzina domów, z otworami, przez które można patrzeć z góry na szlamistą wodę; okna z wybitymi szybami, założonymi tym, co znalazło się pod ręką; wystające z okien drągi do suszenia bielizny, której jednak nigdy tam nie widać; izby tak małe, brudne i ciasne, że powietrze w nich zdaje się zbyt skażone nawet dla brudu i nędzy, które tam znajdują schronienie; wystające drewniane przybudówki pochylone ponad błotem fosy i groźące zawaleniem się, co nieraz się już zdarzało; brudne mury i niszczące fundamenty; wszelkie odrażające cechy nędzy, wszelkie ohydne oznaki brudu, zgnilizny i opuszczenia — wszystko to zdobi brzegi Fosi Szaleńców.

Na Wyspie Jakuba składy nie mają dachów i świecą pustkami, mury się kruszą, okna nie są już oknami, drzwi wypadają na ulice, kominy szcerniały, lecz nie wychodzi już z nich dym. Trzydzieści czy czterdzieści lat temu, zanim zaczęły walić się na nią katastrofy materialne i nieskończone procesy, była to kwitnąca okolica, teraz jest to jednak istna bezludna wyspa. Domy nie mają właścicieli; włamują się do nich ci, którym starcza na to odwagi, i mieszkają tam i tam umierają. Ci, którzy szukają schronienia na Wyspie Jakuba, muszą mieć ważne powody, aby mieszkać w ukryciu, lub też rzeczywiście muszą być na samym dnie nędzy.

Na górnym piętrze jednego z tych domów — odosobnionego budynku dość dużych rozmiarów, częściowo zrujnowanego, lecz o dobrze zabezpieczonych drzwiach i oknach, budynku, którego tyły w

wyżej opisany sposób wychodziły na Fosę Szaleńców — zgromadzonych było trzech ludzi, którzy siedzieli czas jakiś w głębokim i ponurym milczeniu, spoglądając na siebie od czasu do czasu z wyrazem zakłopotania i oczekiwania. Jednym z nich był Toby Crackit, drugim pan Chitling, a trzecim pięćdziesięcioletni bandyta z nosem niemal zupełnie zmiądzonym w jakiejś dawnej bójce i straszliwą blizną na twarzy, pochodzącą być może z tej samej okazji. Człowiek ten powrócił świeżo z deportacji i nazywał się Kags.

— Żałuję — rzekł Toby do pana Chitlinga — żeś nie wybrał jakiejś innej meliny, kiedy w dwóch dawnych zrobiło się za gorąco. Lepiej było tu nie przychodzić, mój chłopaczku.

— Rzeczywiście, po coś tu przylazł, półgłówku? — zapytał Kags.

— No, myślałem, że mnie trochę lepiej przyjmiecie — odparł pan Chitling z melancholijnym wyrazem twarzy.

— Słuchaj no, młodziku — rzekł Toby — kiedy człowiek się stara być tak odosobniony jak ja, to znaczy, ma przytulne mieszkanie, koło którego nikt się nie kręci i nie weszcy, musi się trochę zaniepokoić, kiedy spotka go zaszczyt odwiedzin

młodzieńca będącego w twoim położeniu (chociażby był najszanowniejszą skądinąd osobą i najprzyjemniejszym partnerem do gry w karty w stosownych okolicznościach).

— Zwłaszcza kiedy u odosobnionego młodego człowieka zatrzymał się znajomy, który przyjechał z zagranicy wcześniej, niż go się spodziewano, i jest za skromny na to, aby chcieć być przedstawionym sędziom zaraz po powrocie — dodał pan Kags.

Nastąpiło krótkie milczenie, po którym Toby Crackit, widocznie uznając za beznadziejne wszelkie dalsze wysiłki zachowania swego zwykłego beztroskiego sposobu bycia, zwrócił się do Chitlinga i powiedział:

— Więc kiedy wzięli Fagina?

— Akurat w obiad — dziś o drugiej po południu. Karolek i ja drasnęliśmy przez komin do pralni, a Bolter wlaź do pustej kadzi, głową na dół. Ale nogi miał takie długie, że sterczały, więc i jego też wzięli.

— A Bet?

— Biedna Bet! Poszła zobaczyć ciało, żeby powiedzieć, kto to był — odrzekł Chitling, a mina rzędała mu coraz bardziej. — Wyleciała stamtąd zupełnie oszalała, wrzeszczała i gadała od rzeczy, i tłukła głową o ściany, więc wsadzili jej kaftan bezpieczeństwa i zabrali ją do szpitala. Tam też teraz siedzi.

— A co się stało z małym Batesem? — spytał Kags.

— Kręci się po okolicy, żeby tu nie przychodzić, zanim nie będzie ciemno, ale niedługo tu będzie — odparł Chitling. — Nigdzie indziej nie może teraz iść, bo tamci „Pod Kalekami” są wszyscy pod kluczem, a szynk jest pełen policjantów. Byłem tam i widziałem na własne oczy.

— To ci wyspa — zauważył Toby przygryzając wargi. — Niejeden pójdzie przy tej okazji.

— Sesje sądowe się rozpoczęły — powiedział Kags. — Jeżeli uporają się ze śledztwem, a Bolter przejdzie na świadka oskarżenia, co oczywiście zrobi, sądząc z tego, co już nagadał, w takim razie będą mogli udowodnić, że Fagin był współwinny morderstwa, i zrobią rozprawę w piątek, i. od dziś za sześć dni będzie już dyndał!

— Szkoda, żeście nie słyszeli, jak ludzie wyli — rzekł Chitling. — Policjanci walczyli jak diabły, inaczej tłum byłby go rozszarpał. Raz już był na ziemi, ale zrobili wokół niego kordon i utorowali sobie drogę; Szkoda, żeście nie widzieli, jak się rozglądał dokoła, cały zablocony i zakrwawiony, tak się ich czepiał, jak gdyby byli jego najserdeczniejszymi przyjaciółmi. Zdaje mi się, że teraz jeszcze widzę, jak tłum napiera na nich tak, że ledwo mogą ustać na nogach, i jak go wloką pomiędzy sobą. Widzę, jak ludzie wyskakują jeden z drugiego, zgrzytają, zębami i rzucają się na niego. Widzę, krew na jego włosach i brodzie, słyszę krzyki, z jakimi na rogu ulicy kobiety wdarły się w środek tłumy i klęły się, że mu wydrą serce z piersi! Przejęty grozą, świadek tej sceny przycisnął dłonie do uszu i z zamkniętymi oczyma wstał i gwałtownie zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju jak obłąkany. Kiedy tak chodził, a tamci dwaj siedzieli w milczeniu z oczyma utkwionymi w podłogę, na schodach dał się słyszeć cichy tupot i do pokoju wbiegł pies Sikesa. Pobiegli do okna, potem na dół i na ulicę. Pies wskoczył przez jakieś otwarte okno; teraz nie usiłował iść za nimi, nigdzie też nie było widać jego pana.

— Co to znaczy? — spytał Toby po powrocie. — Przecież on tu chyba nie przyjdzie. Mam... mam nadzieję, że nie.

— Gdyby tu miał przyjść, przyszedłby razem z psem — powiedział Kags i pochylił się, aby przyjrzeć się zwierzęciu, które leżało dysząc na podłodze. — Hej! dajcie mu wody! Taki zgoniony, że ledwo zipie.

— Wszystko wypił, co do kropelki — rzekł Chitling, który jakiś czas przyglądał się psu w milczeniu.

— Zablocony — kulawy — na pół ślepy — musiał przelecieć porządny kawał drogi.

— Skąd on mógł się wziąć? — zawołał Toby. — Oczywiście był w tamtych melinach, a widząc, że są pełne obcych ludzi, przylazł tutaj, gdzie nieraz też bywał. Ale skąd się tu wziął w ogóle i jak się to

stało, że zjawił się tu sam, bez niego?

— On — (nikt z obecnych nie wypowiedział nazwiska mordercy) — on chyba nie mógł skończyć z sobą? Jak myślicie? — spytał Chitling.

Toby potrząsnął głową.

— Gdyby tak zrobił — rzekł Kags — pies chciałby nas zaprowadzić na miejsce, gdzie się to stało. Nie. Ja myślę, że udało mu się uciec z kraju, a psa zostawił. Musiał go opuścić niepostrzeżenie, inaczej pies nie byłby tak spokojny.

Tłumaczenie to, jako najbardziej prawdopodobne, uznane zostało za słuszne. Pies wpełznął pod krzesło i zwinął się w kłębek do snu, nie zwracając więcej niczyjej uwagi.

Ponieważ było już ciemno, zamknięto okiennice, zapalono świece, i postawiono ją na stole. Straszliwe wydarzenia ostatnich dwu dni wywarły na całej trójce wielkie wrażenie, pogłębione jeszcze przez niebezpieczeństwo i niepewność ich własnego położenia. Przynęśli swoje krzesła blisko do siebie i wstrząsali się nerwowo na każdy dźwięk. Mówili małp., i to szeptem: byli tak przerażeni i tak cicho się zachowywali, jak gdyby ciało zamordowanej leżało w sąsiednim pokoju. Siedzieli już tak czas jakiś, kiedy nagle dało się słyszeć szybkie stukanie do drzwi na dole.

— Mały Bates — powiedział Kags i gniewnie powiódł wzrokiem dokoła, by opanować strach, który sam odczuwał.

Stukanie rozległo się ponownie. Nie, to nie był Bates. On nigdy w ten sposób nie stukał.

Crackit podszedł do okna, zadrżał i cofnął głowę. Nie było potrzeby mówić im, kto pukał: blada twarz Crackita dawała wystarczającą odpowiedź. Pies także ocknął się w mgnieniu oka i skomląc podbiegł do drzwi.

— Musimy go wpuścić — powiedział Toby biorąc świecę. — Czy nie ma na to żadnej rady? — spytał drugi mężczyzna schrypłym głosem.

— Żadnej. Musi wejść.

— Nie zostawiaj nas po ciemku — rzekł Kags biorąc drugą świecę z kominka i zapalając ją tak drżącą ręką, że nim skończył, stukanie powtórzyło się jeszcze dwa razy.

Crackit wszedł do drzwi wejściowych. Gdy wrócił, szedł za nim mężczyzna, którego dolna część twarzy owinięta była chustką. Drugą chustkę miał zawiązaną na czole pod kapeluszem. Powoli ściągnął obie. Wybladła twarz, wpadnięte oczy, wychudłe policzki, trzydniowy zarost na brodzie, zupełne wycieńczenie, urywany, rżący oddech: był to istny upiór Sikesa.

Oparł rękę na krześle stojącym na środku pokoju, lecz gdy już miał siadać, wzdrygnął się, spojrzął przez ramię, przyciągnął krzesło do samej ściany — jak mógł najbliżej — przyparł je z całej siły do muru — i usiadł.

Nie padło ani jedno słowo. W milczeniu przenosił wzrok z jednego na drugiego. Jeśli czyjeś oczy podniosły się ukradkiem i napotkały jego wzrok, odwracały się natychmiast. Kiedy jego głuchy głos przerwał wreszcie ciszę, wszyscy trzej drgnęli nerwowo. Zdawało się, jakby nigdy przedtem nie słyszeli jego dźwięku.

— Skąd ten pies się tu wziął? — zapytał.

— Sam przyszedł. Trzy godziny temu.

— Dzisiaj w gazecie było, że Fagin wzięty. To prawda czy kłamstwo?

— Prawda. Znowu umilkli.

— Niech was wszystkich diabli wezmą! — powiedział Sikes przesuwając ręką po czole. — Nie macie mi ani słowa do powiedzenia?

Jakieś zakłopotane poruszenie zrobiło się między nimi, ale nikt się nie odezwał.

— Ty, co tu gospodarujesz — Sikes zwrócił się w stronę Crackita — czy zamierzasz mnie sprzedać, czy też dasz mi tu przeczekać, aż polowanie się kończy?

— Możesz tu zostać, jeżeli uważasz, że to bezpieczne — odrzekł tamten po pewnym wahaniu.

Sikes powali przeniósł oczy na ścianę poza sobą, nie tyle zwracając głowę, ile próbując to uczynić, i powiedział:

— Czy... ono... czy ciało... jest... jest pochowane? Potrząsnęli głowami.

— Dlaczego nie jest?! — krzyknął z tym samym spojrzeniem za siebie. — Po co trzymają na ziemi takie ohydne rzeczy? Kto to stuka?

Crackit wyszedł z pokoju, dając znak ręką, że nie ma się czego obawiać, i zaraz wrócił prowadząc za sobą Karolka Batesa. Sikes siedział na wprost drzwi, tak że chłopiec wchodząc do pokoju od razu zobaczył jego twarz.

— Toby — rzeki chłopak rzucając się do tyłu, gdy tylko Sikes zwrócił na niego oczy. — Dlaczegoś mi o tym nie powiedział na dole?

Było coś tak wstrząsającego w tym, jak tamci trzej odsuwali się od niego, że nieszczęsny człowiek zapragnął zjednać sobie choćby tego wyrostka. Kiwnął więc głową i zrobił ruch, jakby chciał podać mu rękę.

— Dajcie mi pójść do jakiegoś innego pokoju — powiedział chłopiec cofając się jeszcze dalej.

— Karolku! — rzekł Sikes postępując naprzód. — Cóż to, nie znasz mnie?

— Nie zbliżaj się do mnie — odparł chłopiec cofając się dalej jeszcze i ze zgrozą w oczach patrząc w twarz mordercy. — Ty potworze!

Tamten zatrzymał się w pół drogi i spojrzeli sobie w oczy, ale wzrok Sikesa z wolna zsunął się ma podłogę.

— Wy trzej jesteście świadkami! — zawołał chłopak potrząsając zaciśniętą pięścią i podniecając się coraz to bardziej, w miarę jak mówił. — Wy trzej jesteście świadkami — nie boję się go! — jeżeli przyjdą tu za nim, wydam go. Naprawdę wydam. Mówię wam od razu. Może mnie za to zabić, jeżeli chce albo jeżeli śmie, ale jeśli tu będę, wydam go. Wydałbym go, choćby go mieli żywcem ugotować. Na pomoc! To morderca! Jeżeli we trzech macie odwagę jednego mężczyzny, pomożecie mi. Na pomoc! Tu jest morderca! Precz z nim!

Krzycząc tak i gestykułując przy tym gwałtownie, chłopak rzucił się sam jeden na tego silnego mężczyznę, i to z taką energią, tak nagle i nieoczekiwanie, że powalił go na ziemię.

Trzej widzowie byli wyraźnie oszołomieni. Nie wmieszali się wcale, toteż chłopiec i mężczyzna tarzali się razem po podłodze. Pierwszy, nie bacząc na spadające nań ciosy, coraz to mocniej i mocniej wpijał dłonie w odzież okrywającą pierś mordercy i nie przestawał z całej siły płuć wzywać ratunku.

Walka była jednak zbyt nierówna, by mogła trwać długo. Sikes przygniótł chłopca do ziemi i oparł kolano na jego piersi, gdy wtem Crackit, z wyrazem trwogi na twarzy, odciągnął go i wskazał na okno. W dole płonęły światła, jakieś głosy rozmawiały głośno i z przejęciem, spieszne kroki tętniły po najbliższym drewnianym mostku — i wydawało się, że jest ich nieskończenie wiele. Wśród tłumu musiał być jeden człowiek na koniu, bo na nierównym bruku dudniły kopyta. Blask światła wzmógł się, kroki stały się liczniejsze i głośniejsze. Potem dało się słyszeć głośne stukanie do drzwi, a jeszcze potem ozwał się ochryply pomruk tylu gniewnych głosów, że i największy śmiałek by zadrzał.

— Ratunku! — krzyczał chłopiec rozdzierającym głosem. — Jest tutaj! Wyłamcie drzwi!

— W imieniu króla! — wołały głosy na dworze, a ochryply okrzyk ozwał się znowu, tylko głośniej.

- Wyłamcie drzwi — darł się chłopiec, - Mówię wam, oni wam nigdy nie otworzą. Biegnijcie prosto do pokoju, w którym jest światło. Wyłamcie drzwi!

Zadudniły gęste i mocne uderzenia, syjąc się na drzwi i okiennice na parterze. Chłopiec umilkł.

Rozległ się głośny krzyk tłumu dając słuchającym po raz pierwszy wyobrazenie o tym, jak ogromna jest to cizba.

— Otwórzcie drzwi do jakiej komórki, gdzie mógłbym zamknąć tego wrzeszczącego piekielnika! — zawołał gniewnie Sikes, który biegał tam i sam wlokąc teraz za sobą chłopca tak łatwo, jakby to był pusty worek. — Tamte drzwi! Prędko! — Rzucił w nie chłopca, zarygłował je i przekreślił klucz — Czy drzwi na dole są dobrze zamknięte?

— Na dwa zamki i łańcuch ---- odrzekł Crackit, który wraz

z tamtymi dwoma trwał wciąż w zupełnej bezradności i otumanieniu.

— Drzewo — mocne?

— Podbite blachą. — A okna też?

— Tak, okna tak samo.

— Do diabła z wami! — zawołał wyzywająco łotr i otworzywszy okno jął wygrażać tłumowi. — Próbuje, róbce, co chcecie! Jeszcze was oszukam!

Ze wszystkich straszliwych ryków, które kiedykolwiek uderzyły o uszy śmiertelnika żaden nie mógł być groźniejszy od tego, który wydał w tej chwili rozwścieczony tłum. Jedni wzywali stojących najbliżej, aby podpalili dom, inni znów wrzeszczeli do policjantów, aby zastrzelili mordercę. Nikt jednak nie objawiał takiej wściekłości jak człowiek na koniu, który wspiał się na siodle i przepychając się przez tłum, jakby roztrącał fale, krzyczał pod oknem głosem górującym nad wszystkimi innymi: — Dwadzieścia gwinei temu, kto przyniesie drabinę!

Najbliższe głosy podchwyciły ten okrzyk i wkrótce powtarza! go już setki ludzi. Jedni wołali o drabiny, drudzy o łomy, jedni, jakby szukając, biegli z pochodniami tam i sam, i znów wracali, i znów krzyczeli; inni marnowali siły na jałowe przekleństwa i wymysły; inni cisnęli się naprzód w porywie szaleństwa i w ten sposób tamowali drogę tym, którzy stali pod samym domem; jeszcze inni, najśmielsi, usiłovali wdrapać się po rynnie i szczelinach w murze. Cała zaś cizba chwiała się w ciemnościach, jak łan zboża targany gniewnym wiatrem, i od czasu do czasu łączyła swe głosy w jeden potężny, głośny ryk wściekłości.

— Przyplw! — zawołał morderca. Cofnął się od okna zataczając się jak pijany i zamknął je, by odgrodzić się od widoku tamtych twarzy. — Był przyplw, kiedy tu szedłem. Dajcie mi sznur, długi sznur. Wszyscy są od frontu. Może uda mi się skoczyć do Fosi Szaleńców i tamtędy umknąć. Dajcie mi sznur albo jeszcze trzech ludzi zamorduję i sam siebie zabiję!

Przerażeni mężczyźni wskazali miejsce, gdzie podobne przedmioty były przechowywane; morderca wybrał pośpiesznie najdłuższą i najtęższą linę i pobiegł na dach.

Wszystkie okna od tyłu budynku dawno już zamurowano oprócz jednego małego okienka w pokoju,

gdzie zamknięty był chłopiec; to zaś było za małe, by nawet on mógł tamtędy się przecisnąć. Jednak przez owo okienko wołał bez ustanku do ludzi na dworze, by pilnowali tyłu domu. Tak więc kiedy morderca wydostał się wreszcie na dach przez klapę prowadzącą tam ze strychu, głośny krzyk oznajmił o tym wydarzeniu wszystkim znajdującym się od frontu; natychmiast rzucili się oni, by okrążyć dom, biegnąc jeden przez drugiego nieprzerwanym strumieniem.

Sikes tak mocno zastawił klapę w dachu deską, którą umyślnie w tym celu przyniósł ze sobą, że otworzenie jej od wewnątrz byłoby połączone z wielkimi trudnościami; po czym po pełnzał po krytym dachówką dachu i ponad niskim parapetem wyjrzał w dół.

Woda odpłynęła i fosa była korytem pełnym błota.

Tłum przycichł przez tę parę chwil, kiedy obserwował ruchy Sikesa i nie był pewny jego zamiarów, lecz z chwilą gdy dostrzegł je i zrozumiał, że zostały udaremnione, wzniósł okrzyk triumfu i nienawiści, przy którym wszystkie dotychczasowe krzyki mogły się wydawać szeptami. Krzyk ten wybuchał raz po raz. Podjęli go ci nawet, którzy byli zbyt daleko, by zrozumieć, co oznacza, rozbrzmiewał więc echem bez końca. Zdawało się, że całe miasto wysłało swą ludność, by przekląć mordercę.

Ludzie znajdujący się w pierwszych szeregach parli naprzód, dalej i dalej. Był to potężny strumień gniewnych twarzy, oświetlony tu i ówdzie płonącymi pochodniami, które ukazywały je w całym ich gniewie i wściekłości. Tłum wdarł się do domów po przeciwnej stronie fosy. Rozwarto na oścież lub wręcz wyrwano z framug okna; po kilka szeregów twarzy widniało w każdym z nich, a na wszystkich dachach trzymały się kurczowo liczne grupki ludzi. Każdy z mostków (a było ich widać trzy) ugiął się pod ciężarem tłumów. A mimo to fala wciąż parła naprzód, szukając jakiegoś kąta czy dziury, z której można by krzyczeć i choćby na chwilę ujrzyć nieszczęśnika.

— Teraz go mają! — zawołał jakiś człowiek na najbliższym mostku. — Hura!

Tłum aż pojaśniał od obnażonych głów i znów podniósł się okrzyk.

— Dam pięćdziesiąt funtów — wołał pewien starszy pan z tego samego miejsca — temu, kto weźmie go żywcem! Będę tu stał, aż przyjdzie się o nie upomnieć.

Rozległ się nowy ryk. W tej chwili poszła po tłumie wieść, że nareszcie sforsowano drzwi i że ten, który pierwszy wołał o drabinę, pobiegł na górę do pokoju. Kiedy wiadomość ta rozniosła się z ust do ust, strumień ludzki raptownie zawrócił; ludzie u okien widząc, że ci na mostach cofają się, opuścili swoje posterunki, wybiegli na ulicę i dołączyli się do czeredy, która obecnie waliła na łeb na szyję na porzucone przedtem miejsca. Każdy rozpychał się, borykał z sąsiadem, a wszyscy dyszeli niecierpliwością dostania się blisko drzwi i spojrzenia na zbrodniarza, kiedy policjanci będą go wyprowadzać. Słychać było okropne krzyki i wrzaski tych, których przygnieciono niemal aż do uduszenia lub przewrócono i podeptano w zamieszaniu. Ciasne przejścia były całkowicie zablokowane; a że jedni rzucali się, by zdobyć ponownie miejsca po frontowej stronie domu, inni zaś szamotali się czyniąc daremne wysiłki wydostania się z ciżby, więc bezpośrednia uwaga odwróciła się na chwilę od mordercy, choć powszechna żądza ujęcia go wzmogła się jeszcze, o ile to było w ogóle możliwe.

Człowiek na dachu skulił się, zupełnie zmiażdżony okrucieństwem tłumu i niemożnością ucieczki.

Teraz jednak ujrzawszy tę nagłą przemianę, zerwał się na nogi i postanowił podjąć ostatnią próbę ocalenia życia: spuścić się w rów i ryzykując

uduszenie w błocie, spróbować umknąć w ciemności i zamieszaniu.

Z nową więc siłą i energią, dla której dodatkowym bodźcem był hałas w głębi domu, świadczący, że istotnie już tam wtargnięto, oparł stopę o wylot komina, owiązał go ciasno i mocno jednym z końców sznura, a z drugiego przy pomocy rąk i zębów w sekundę niemal zrobił mocną ruchomą pętlę. Na sznurze tym mógł spuścić się na mniejszą od jego wzrostu odległość od ziemi a w rękę trzymał przygotowany nóż, by odciąć się wtedy i skoczyć.

W tej samej chwili, kiedy trzymał pętlę na wysokości głowy, zamierzając założyć ją sobie pod pachy, i kiedy wspomniany już Starszy pan (który tak mocno przywarł do poręczy mostu, że oparł się naporowi tłumu i utrzymał swe stanowisko) z przejęciem ostrzegał sąsiadów, że morderca ma zamiar spuścić się po linie — w tej samej chwili ów, obejrawszy się za siebie na dach, rozpostarł ręce nad głową i wydał straszliwy okrzyk przerażenia.

— Te oczy — znowu! — zawołał niesamowitym, skrzeczącym głosem.

Zachwiał się, jakby rażony gromem, stracił równowagę i runął z parapetu. Pętla była na jego szyi.

Ściągnęła się pod wpływem jego ciężaru, napięła mocno jak cięciwa, a błyskawicznie jak strzała, którą cięciwa ta puszcza w świat. Leciał tak trzydzieści pięć stóp. Potem nastąpiło nagle szarpnięcie, straszliwy skurecz członków — i zawisł z otwartym nożem ściśniętym w sztywniejącej dłoni.

Stary komin zadrżał od wstrząsu, lecz wytrzymał go dzielnie. Morderca zwiślał bez życia na tle muru, a chłopiec, odpychając kołyszące się ciało, które zasłaniało mu widok, wołał na ludzi, by, na miłość boską, przyszli go uwolnić..

Pies, który do tej pory leżał gdzieś w ukryciu, biegał teraz tam i z powrotem po dachu, wyjąc posepnie,

aż wreszcie zebrał się w sobie i skoczył na ramiona nieżywego człowieka. Chybił jednak celu i wywijając kózka w locie, spadł w fosę, gdzie uderzywszy o kamień roztrzaskał sobie łeb.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY WYJAŚNIA NIEJEDNĄ TAJEMNICĘ I ZAWIERA OŚWIADCZYNY, W KTÓRYCH NIE MA ANI SŁOWA O INTERCYZIE I POSAGU

Zaledwie dwa dni upłynęły od wydarzeń opowiedzianych w ostatnim rozdziale, gdy Oliwer w podróжной karecie jechał szybko w stronę rodzinnego miasta. Była trzecia po południu. Z Oliwerem jechała pani Maylie, Róża, pani Bedwin i zacny doktor, pan Brownlow zaś jechał za nimi karetką pocztową w towarzystwie jeszcze jednej osoby, której nazwiska dotychczas nie wymieniono. Po drodze nie rozmawiali dużo, gdyż Oliwer był w stanie podniecenia i niepewności, który odbierał mu możliwość zebrania myśli i niemal pozbawiał mowy. Zdawało się to wywierać nie mniejszy wpływ na jego towarzyszy, którzy co najmniej w równym stopniu stan ten podzielali. Pan Brownlow bardzo oględnie zaznajomił chłopca i obie panie z wyznaniemi wymuszonymi aa Monksie. I chociaż wiedzieli, że celem obecnej podróży było dopełnienie tak pomyślnie rozpoczętego dzieła, przecież cała sprawa była dostatecznie owiana niepewnością i tajemnicą, by oczekiwać jej rozwiązania z jak najsilniejszym napięciem.

Ten sam dobrośliwy przyjaciel z pomocą pana Losberne przekornie zamknął wszystkie drogi, jakimi mogłaby dotrzeć do nich wiadomość o strasznych wypadkach, które tak niedawno się wydarzyły. — Prawda — mówił on — że niedługo muszą się o tym wszystkim dowiedzieć, ale może będzie to chwila lepsza od obecnej, a w każdym razie nie gorsza. — Tak więc jechali w milczeniu, każdy zajęty rozmyślaniami o celu, który ich razem zgromadził, nikt zaś nie miał ochoty wypowiedzieć myśli, które przepelniały umysły ich wszystkich.

Lecz jeśli pod wpływem tych myśli Oliwer trwał w milczeniu, gdy zmierzali do jego rodzinnych miejsc drogą, której nigdy przedtem nie widział — to jakże odżyły wszystkie dawne wspomnienia, jaka mnogość uczuć zbudziła się w jego piersi, kiedy skręcili w tę drogę, którą kiedyś przebywał pieszo jako biedny, bezdomny mały włóczęga, bez przyjaciół i pomocy, bez dachu, pod którym mógłby schronić głowę.

— Patrz, tam! tam! — wołał Oliwer chwytając z przejęciem dłoni Róży i wskazując przez okno karety.

— To płot, przez który przelazłem. Tam żywopłoty, za którymi się kryłem w obawie, że ktoś mnie dogoni i zmusi do powrotu! Tam jest ścieżka przez pola, prowadząca do tego starego domu, w którym mieszkałem jako małe dziecko! Och, Dicku, Dicku, mój kochany stary przyjacielu, gdybym tylko mógł cię teraz zobaczyć!

— Zobaczysz go niedługo — odrzekła Róża, łagodnie ujmując jego splecione dłonie. — Powiesz mu, jak jesteś szczęśliwy, jaki się stałeś bogaty, i że wśród całego tego szczęścia nic nie uszczęśliwia cię tak jak to, że wracasz, aby i jego uczynić szczęśliwym.

— Tak, tak, tak! — powiedział Oliwer. — I my... my zabierzemy go stąd, ubierzemy go i damy mu się uczyć, i pošlemy go gdzieś na wieś w spokojne miejsce, gdzie będzie mógł nabrać zdrowia i siły, prawda?

Róża skinęła potakująco głową, gdyż chłopiec uśmiechał się przez łzy takiej radości, że i jej wzruszenie odebrało mowę.

— Będiesz dla niego dobra i serdeczna, bo jesteś taka dla wszystkich — mówił Oliwer. — Będiesz płakać, wiem, kiedy posłyszysz, co on czasem mówi, ale to nic, to nic, to wszystko przejdzie i będziesz się znów uśmiechać — wiem i to także — na myśl, jak on się zmienił. Tak było i ze mną. Kiedy uciekałem, on powiedział mi: „Niech cię Bóg błogosławi” — zawołał chłopiec z wybuchem serdecznego wzruszenia — a ja mu teraz powiem: „Niech ciebie Bóg błogosławi” i okażę mu, jak go za to kochani!

W miarę jak zbliżali się miasta i na koniec kiedy przejeżdżali przez jego wąskie ulice, utrzymanie chłopca w granicach rozsądku stało się niełatwą sprawą. Oto był warsztat trumniarza Sowerberry'ego, taki sam jak zawsze, tylko jakiś mniejszy i mniej imponujący, niż się Oliwerowi wydawał we wspomnieniach. Oto były wszystkie dobrze znajome sklepy i domy, a niemal każdy z nich kojarzył mu się w pamięci z jakimś drobnym wydarzeniem. Oto wózek Gamfielda, ten sam co dawniej, stał przed drzwiami starej gospody. Oto przytułek, ponure więzienie jego dzieciństwa, swymi smutnymi oknami wyzierający groźnie na ulicę. Oto przy bramie stoi ten sam chudy odźwierny; na jego widok Oliwer instynktownie skulił się i cofnął, potem roześmiał się, że jest taki niemądry, potem zapłakał, potem znów się roześmiał. Oto w drzwiach i oknach były dziesiątki twarzy, które całkiem dobrze rozpoznawał. Oto prawie wszystko było takie, jakby opuścił to miejsce dopiero wczoraj, a cały ostatni okres jego życia był tylko szczęśliwym snem.

Tymczasem była to szczerą, prawdziwą, radosną rzeczywistość. Podjechali wprost przed drzwiami głównego hotelu (na który Oliwer patrzył kiedyś oczyma pełnymi nabożnego lęku, uważając go za

potężny pałac, ale który teraz jakoś stracił na wspaniałości i wielkości), gdzie czekał na nich pan Grimwíg. Kiedy wysiedli z karety, pan Grimwíg ucałował zarówno panienkę jak i starą damę, jakby był dziadkiem całego towarzystwa. Promieniał uśmiechami i dobrocią i ani razu nie zaproponował, że zje swoją głowę — nie, ani razu, nawet wtedy, kiedy pokłócił się z pewnym bardzo starym pocztylionem o najkrótszą drogę do Londynu, utrzymując, że zna ją najlepiej, mimo że przejeżdżał nią tylko raz, i to śpiąc smacznie. Obiad był przygotowany, sypialnie gotowe, wszystko urządzone jak gdyby za pomocą czarów.

Pomimo tego wszystkiego, kiedy minęło podniecenie pierwszych chwil po przyjeździe, zapanowało to gamo milczenie i skępowanie, które zaznaczyło się już w czasie jazdy. Pan Brownlow nie towarzyszył im przy obiedzie, lecz jadł w oddzielnym pokoju. Dwaj pozostali panowie wchodzili i wychodzili z zatroskanymi twarzami, a w krótkich chwilach, kiedy byli obecni, rozmawiali ze sobą na uboczu. Raz wywołano panią Maylie, która po blisko godzinnej nieobecności wróciła z oczyma zapuchniętymi od płaczu. Wszystko to sprawiło, że Róża i Oliwer, których nie wtajemniczono w nic nowego, byli podenerwowani i czuli się nieswojo. Siedzieli zamyśleni, w milczeniu, albo jeżeli już zamienili parę słów, to szeptem, jakby się bali usłyszeć dźwięk własnego głosu.

Na koniec gdy nadeszła godzina dziewiąta i zaczęli już sądzić, że tego wieczoru niczego więcej się nie dowiedzą, weszli do pokoju panowie Losberne i Grimwíg, a za nimi pan Brownlow oraz mężczyzna, na którego widok Oliwer omal nie krzyknął głośno ze zdziwienia. Powiedziano mu bowiem, że jest to jego brat, a był to ten sam człowiek, którego spotkał niegdyś w miasteczku i który potem zaglądał z Faginem do okna jego pokoiku. Monks rzucił zdumionemu chłopcu spojrzenie pełne nienawiści, której nawet teraz nie potrafił ukryć, po czym usiadł niedaleko drzwi. Pan Brownlow, który trzymał w dłoni jakieś papiery, podszedł do stołu, koło którego siedzieli Róża i Oliwer.

— Przykre to zadanie — rzekł — ale treść tych oświadczeń, podpisanych w Londynie w obecności wielu panów, musi tu zostać raz jeszcze powtórzona. Chciałbym oszczędzić ci tego poniżenia, ale musimy usłyszeć to z twych własnych ust, zanim się rozstaniemy, a ty wiesz dobrze, dlaczego.

— Proszę dalej — rzekł Monks odwracając twarz. — Tylko szybko. Zdam się, że chyba dosyć już uczyniłem. Proszę nie trzymać mnie tutaj bez końca.

— To dziecko — rzekł pan Brownlow przygarniając do siebie Oliwera i kładąc mu dłoń na głowie — jest twoim przyrodnim bratem, nieślubnym synem twego ojca, a mego drogiego zmarłego przyjaciela, Edwina Leeforda, zrodzonym z biednej młodej Agnieszki Fleming, która umarła wydając go na świat.

— Tak — rzekł Monks i popatrzył z nienawiścią na drżącego chłopca, którego serce biło tak mocno, że można je było prawie usłyszeć. — To jest ich bękart.

— Określenie, którego używasz — powiedział pan Brownlow surowo — uchybia tym, którzy dawno już stanęli poza zasięgiem nietrwałych wyroków tego świata. Nie rzuca ono hańby na nikogo z żyjących prócz ciebie, który go używasz. Mniejsza z tym. Chłopiec ten urodził się w tym oto mieście.

— W przytułku tego miasta — brzmiała cierpka odpowiedź. — Ma pan tę całą historię tam. —

Wskazał niecierpliwie na papiery.

— Muszę ją mieć i tutaj — rzekł pan Brownlow spoglądając po obecnych.

— Słuchajcie więc! Wy wszyscy! — odparł Monks. — Kiedy jego ojciec zachorował w Rzymie, pojechała tam do niego żona, a moja matka, z którą od dawna już nie żył. Wzięła mnie z sobą i pojechała tam z Paryża, o ile wiem, po to tylko, aby dopilnować jego majątku, bo ani ona nie była do niego zbyt przywiązana, ani on do niej. On nic nie wiedział o naszym przybyciu, bo był nieprzytomny. W północy dożył do następnego dnia i umarł. Wśród dokumentów w jego biurku dwa były datowane z tego wieczoru, kiedy zaczęła się jego choroba. Zaadresowane były do pana — tu zwrócił się do pana Brownlow — i włożone w krótki list do pana, a na kopercie była wskazówka, żeby je wysłać dopiero po jego śmierci. Jednym z nich był list do tej dziewczyny, Agnieszki, drugim — testament.

— Co to był za list? — spytał pan Brownlow.

— List? Pokreślony arkusz papieru zawierający pełne skruchy wyznanie winy i modlitwy do Boga, aby jej przyszedł z pomocą. Naopowiadał był dziewczynie, że jakaś tajemna przeszkoda, którą jej kiedyś miał wyjawic, nie pozwala mu n razie ożenić się z nią. Toteż ona ufała mu dalej cierpliwie, aż wreszcie zaufała nad miarę i straciła to, czego nikt nie byt zdolny jej przywrócić. W chwili śmierci mego ojca była już bliska rozwiązania. Pisał jej o wszystkich co miał zamiar uczynić, gdyby żył, aby zataić jej hańbę, i błagał ją, aby — jeżeli on umrze — nie przeklinała jego pamięci i nie myślała, że następstwa ich grzechu zemszczą się na niej lub na ich dziecięciu, cała bowiem wina była po jego stronie. Przypomniat jej dzień, w którym ofiarował jej medalionik i obrączkę z wrytym na niej jej imieniem i pustym miejscem na nazwisko, którym miał nadzieję kiedyś ją obdarzyć. Błagał, by przechowywała ją nadal i nosiła na sercu jak przedtem — i dalej nieprzytomnie powtarzał w kółko tymi samymi słowami podobne szaleństwa, jak gdyby postradał zmysły. Sądzę zresztą, że tak było.

— A testament? — spytał pan Brownlow, gdy z oczu Oliwera spływały rzęsiste łzy.

Monks milczał.

— Testament — mówił za niego pan Brownlow — napisany był w tym samym duchu co Ust. Ojciec twój mówił o nieszczęściach, które sprowadziła na niego żona, o niesfornym i występny usposobieniu, złośliwości i przedczesnych złych namiętnościach, które objawiałeś ty, ich jedyny syn, od małego nauczony nienawiści do niego. Zostawiał tobie i twojej matce po osiemset funtów rocznej renty, a poza tym cały swój majątek dzielił na dwie równe części — jedną przeznaczył dla Agnieszki Fleming, a drugą dla ich dziecka, jeżeli urodzi się żywe i dojdzie kiedykolwiek do pełnoletności. Gdyby było dziewczynką, miało odziedziczyć te pieniądze bez żadnych zastrzeżeń, lecz jeśli chłopcem, wówczas tylko pod warunkiem, że przed dojściem do pełnoletności nie splami nigdy nazwiska żadną nieuczciwością, podłością, tchórzostwem lub złym czynem. Czynił tak — pisał — po to, by dać wyraz swemu zaufaniu do matki dziecięcia oraz przekonaniu — wzmocnionemu jeszcze w obliczu nadchodzącej śmierci — że odziedziczy ono po niej łagodne serce i szlachetną naturę. Gdyby nadzieje te się nie ziściły, pieniądze miały przypaść tobie, gdyż wtedy i tylko wtedy, jeśli obaj synowie będą sobie równi, godził się uznać, że pierwszeństwo do jego sakiewki masz ty, ty, który nie miałeś go nigdy do jego serca, bo od małego dziecka odpychałeś go od siebie z oziębłością i wstrętem.

— Matka moja — powiedział Monks podnosząc głos — zrobiła to, co jako kobieta zrobić była powinna. Spaliła testament. List nigdy nie doszedł tam, dokąd był skierowany, ale matka zatrzymała go wraz z innymi dowodami na wypadek, gdyby tamci kiedykolwiek próbowali kłamstwami zatuszować swoją hańbę. Ojciec dziewczyny dowiedział się prawdy ze wszystkimi pogńębającymi dodatkami, na które matka moja w swej gwałtownej nienawiści — teraz kocham ją za to — potrafiła się zdobyć. Gnany wstydem i niesławą, uciekł wraz z dziećmi do jakiegoś zapadłego kąta w Walii, zmieniając nazwisko, aby znajomi nie mogli się dowiedzieć, dokąd się schronił. Tutaj niedługo potem znaleziono go w łóżku nieżywego. Na kilka tygodni przedtem dziewczyna opuściła potajemnie dom. Ojciec szukał jej pieszo po wszystkich pobliskich wsiach i miasteczkach. Stare jego serce pękło właśnie tej nocy, kiedy wrócił do domu, przekonany, że się zabiła, aby ukryć hańbę swoją i jego. Tu nastąpiło krótkie milczenie, po którym pan Brownlow podjął nić opowiadania.

— W wiele lat później — mówił — matka tego człowieka — Edwarda Leeforda — zjawiła się u mnie. On opuścił ją mając zaledwie osiemnaście lat. Obrabował ją z biżuterii i pieniędzy, uprawiał hazard, trwonił pieniądze, fałszował weksle i uciekł do Londynu, gdzie przez dwa lata przebywał wśród najgorszych wyrzutek społeczeństwa. Ją trawiła ciężka i nieuleczalna choroba; przed śmiercią chciała odzyskać syna. Wszczęto wyteżone poszukiwania. Przez długi czas były one daremne, ale wreszcie uwieńczone zostały powodzeniem i syn powrócił z nią do Francji.

— Tam po przewlekłej chorobie umarła — mówił dalej Monks — i na łożu śmierci powierzyła mi te tajemnice przekazując mi wraz z nimi niewygasłą śmiertelną nienawiść do wszystkich, których one dotyczyły. Tej zresztą nie potrzebowała mi przekazywać, bo odziedziczyłem ją na długo przedtem. Nie chciała wierzyć, że ta dziewczyna zabiła się wraz z dzieckiem, i była przeświadczona, że urodziło się dziecko płci męskiej i że dziecko to żyje. Przysiągłem jej, że jeżeli kiedykolwiek natrafię na jego ślad, będę je tropił, nie dam mu spokoju ani na chwilę i ścigać je będę z nieubłaganą zaciekłością.

Przysiągłem, że dam swobodne ujście nienawiści, którą byłem na wskroś przeniknięty, i że zadaję kłam pustej przechwałce owego obelżywego testamentu, zawłokę chłopaka, jeśli mi się uda, do samej szubienicy. Miała słusność. Spotkałem go na koniec. Zacząłem dobrze i gdyby nie gadatliwe dziewczki, byłbym skończył, jak zacząłem! Tu złoczyńca splótł ciasno dłonie i jął półgłosem kląć siebie samego w poczuciu bezsilnego gniewu i złości, którym nie pozwolono dopiąć celu. Pan Brownlow zaś zwrócił się do otaczającej go przerażonej gromadki słuchaczy i wyjaśnił, że Fagin, który był dawnym współnikiem i powiernikiem Monksa, otrzymał sowite wynagrodzenie za przytrzymanie Oliwera. Część tych pieniędzy miała być zwrócona, gdyby chłopca wyrwał ktoś z jego rąk. Spór na ten właśnie temat doprowadził do ich odwiedzin na wsi w celu stwierdzenia tożsamości Oliwera.

— A medalion i obrączka? — spytał pan Brownlow zwracając się do Monksa.

— Odkupiłem je od mężczyzny i kobiety, o których panu opowiadałem. Oni skradli je położnej, a ta skradła je z trupa — odpowiedział Monks nie podnosząc oczu. — Pan wie, co z tym się stało.

Na to pan Brownlow skinął na pana Grimwiga, który szybko wyszedł. Po chwili wrócił i wepchnął do pokoju panią Bumble wlokąc równocześnie za sobą jej ociągającego się małżonka.

— Czy mnie oczy mylą — zawołał pan Bumble ze źle udanym entuzjazmem — czy też to jest mały Oliwer? Och, O-liwe-rze, gdybyś wiedział, jak się martwiłem o ciebie...

— Cicho bądź, głupcze — powiedziała półgłosem pani Bumble.

— Czyż natura nie może dojść do głosu, pani Bumble? — zaoponował zarządzający przytułku. — Czy nie można się domyślić, że mogę być wzruszony — ja, który go tu urzędowo wychowałem — kiedy widzę, jak siedzi sobie między takim wykwinym państwem! Zawsze kochałem tego chłopca, jak gdyby był moim... moim... moim własnym dziadkiem — mówił dalej pan Bumble po krótkiej przerwie poświęconej znalezieniu odpowiedniego porównania. — Paniczu Oliwerze, kochany mój, pamiętasz tego świątobliwego pana w białej kamizelce? Ach! W zeszłym tygodniu poszedł do nieba, Oliwerze, w dębowej trumnie z posrebrzanymi uchwytami.

— Dosyć, mój panie — rzekł pan Grimwig cierpko. — Proszę opanować swoje uczucia.
— Postaram się, proszę pana — odrzekł pan Bumble. — Dzień dobry wielmożnemu panu. Mam nadzieję, że zdrowie panu dopisuje. Powitanie to zwrócone było do pana Brownlow, który tymczasem podszedł blisko do szacownej pary małżeńskiej. Zapytał teraz wskazując na Monksa:
— Znacie tego człowieka?
— Nie — odrzekła zdecydowanie pani Bumble.
— Może i pan go nie zna? — zwrócił się pan Brownlow do jej małżonka.
— Nigdy w życiu go nie widziałem — odrzekł pan Bumble. — Ani nic mu nie sprzedaliście przypadkiem?
— Nie — odparła pani Bumble.
— Możecie też nigdy nie mieli pewnego złotego medalionu i obrączka? — pytał dalej pan Brownlow.
— Pewnie, że nie — odpowiedziała szafarka. — Dlaczego nas się tu sprowadza i każe odpowiadać na takie głupie pytania?
Pan Brownlow znów skinął na pana Grimwiga, a ów pan znów z największą gotowością pokuśtykał do drzwi. Tym razem jednak nie wprowadził tęgiej pary małżeńskiej, lecz dwie zgrzybiałe kobiety, które idąc dygotały i chwiały się na nogach.
— Zamknęła pani drzwi tego wieczoru, kiedy umierała stara Sally — powiedziała pierwsza wznosząc wyschlą rękę — ale nie mogła pani zagłuszyć głosów ani zatkać szpar.
— Nic, nie — rzekła druga rozglądając się wkoło i szczerząc w uśmiechu bezzębne szczęki. — O, nie, nie!
— Słyszałyśmy, jak próbowała powiedzieć pani, co zrobiła, i widziałyśmy, jak pani wzięła z jej rąk paperek. Śledziłyśmy też panią następnego dnia, jak pani szła do lombardu — powiedziała znów pierwsza.
— Tak — dodała druga — i to był „medalion i słoła obrączka”. Wypatrzyłyśmy to i widziałyśmy, jak to pani wydano z zastawu. Byłyśmy przy tym. O! Byłyśmy przy tym!
— I jeszcze więcej wiemy — podjęła pierwsza — bo kiedyś, dawno, Sally często nam opowiadała, co jej mówiła młoda matka: że wtedy, kiedy zachorowała, szła czując, że nie przeżyje porodu, umrzeć w pobliżu grobu ojca dziecka.
— Czy chcecie zobaczyć się z samym właścicielem lombardu? — spytał pan Grimwig i uczynił ruch w stronę drzwi.
— Nie — odrzekła pani Bumble. — Jeżeli on — wskazała na Monksa — był na tyle tchórzem, żeby się przyznać (a widzę, że tak jest), a panowie badaliście wszystkie te wiedźmy po kolei, aż trafiliście na te, co trzeba, to ja nie mam nic więcej do powiedzenia. Owszem, sprzedałam te rzeczy i są one teraz tam, gdzie ich nigdy nie znajdziecie. Co dalej?
— Nic — odparł pan Brownlow — pozostaje nam tylko dopilnować, aby żadne z was nigdy więcej nie piastowało stanowiska, które wymaga zaufania. Możecie państwo wyjść z pokoju.
— Mam nadzieję — rzekł pan Bumble rozglądając się wokół niespokojnie, gdy pan Grimwig wyprowadził obie staruchy — mam nadzieję, że ta nieszczęsna drobna okoliczność nie pozbawi mnie mego urzędu w gminie?
— Owszem, pozbawi — odrzekł pan Brownlow. — Z tym musi się pan pogodzić i jeszcze się cieszyć, że na tym tylko się skończyło.
— To wszystko wina pani Bumble. To ona na gwałt się przy tym uparła — nalegał pan Bumble obejrząwszy się przedtem, by się upewnić, że jego towarzyszką życia już wyszła.
— To żadna wymówka — odparł pan Brownlow. — Byłeś pan obecny przy zniszczeniu tych kosztowności i z was dwojga jesteście w oczach prawa bardziej winieni, gdyż prawo zakłada, iż żona pańska działa pod pana kierunkiem.
— Jeżeli prawo to zakłada — rzekł pan Bumble, z emfazą mnąc w obu rękach kapelusz — to prawo jest osłem — jest głupcem. Jeżeli takie są oczy prawa, to prawo jest — jest kawalerem, i najgorsze, czego mogę prawu życzyć, to, żeby mu oczy otworzyło doświadczenie — tak, doświadczenie.
Pan Bumble powtórzył to słowo z wielkim naciskiem, po czym nasadził mocno kapelusz i włożywszy rękę do kieszeni, wyszedł w ślad za towarzyszką żywota.
— Pani — rzekł pan Brownlow zwracając się do Róży — proszę podać mi rękę. Nie drzyj. Nie potrzebujesz się obawiać wysłuchania tych niewielu słów, które nam pozostały do powiedzenia.
— Jeżeli one — nie wiem, jak to może być — ale jeżeli one odnoszą się w jakiś sposób do mnie — powiedziała Róża — proszę, niech mi będzie wolno usłyszeć je kiedy indziej. Teraz nie mani na to ani siły, ani odwagi.
— Nie — odrzekł stary pan biorąc jej rękę w swoją — jestem przekonany, że znajdzie pani tyle odwagi. Czy znasz tę młodą panienkę, mój panie?
— Tak — odparł Monks.
— Nigdy pana nie widziałam — powiedziała Róża słabym głosem.

— A ja panią nieraz — odrzekł Monks.

— Ojciec nieszczęśliwej Agnieszki miał dwie córki — rzekł pan Brownlow. — Jaki był los tej drugiej — tej małej dziewczynki?

— Dziewczynka — odparł Monks — kiedy jej ojciec umarł w obcym miejscu, pod obcym nazwiskiem, bez żadnego listu, książki czy skrawka papieru zawierającego najmniejszy choćby ślad, po którym można by było trafić do jego przyjaciół czy krewnych — dziewczynka dostała się do jakichś tam nędznych chłopów, którzy wychowywali ją jak własną córkę.

— Mów dalej — rzekł pan Brownlow i skinął ku pani Maylie, prosząc, by się zbliżyła. — Mów dalej!

— Pan nie mógł odnaleźć miejscowości, do której schronili się ci ludzie — mówił Monks. — Ale gdzie przyjaźń zawodzi, tam nienawiść nieraz znajdzie drogę. Moja matka znalazła ją po roku poszukiwań prowadzonych z całą przebiegłością, tak, znalazła dziewczynkę.

— I zabrała ją?

— Nie. Ci ludzie byli biedni i ich piękne miłosierdzie zaczynało im się już przykrzyć — przynajmniej mężowi. Zostawiła im więc to dziecko i dała drobną sumę, która nie mogła wystarczyć na długo. Obiecała większą, ale nie miała zamiaru jej wysłać. Nie będąc zupełnie pewna, że ich niezadowolenie i nędza wystarczą do unieszczęśliwienia dziewczynki, opowiedziała im historię hańby jej siostry z takimi zmianami, jakie jej się podobało wprowadzić. Kazała im dobrze pilnować dziecka, ponieważ ma w sobie niedobrą krew, nadto powiedziała, że to dziecko nieślubne, które prędzej czy później na pewno pójdzie na złą drogę. Okoliczności potwierdzały to wszystko. Ci ludzie uwierzyli i dziecko wiodło tam egzystencję dość nędzną, by zadowolić nawet nas, aż wreszcie pewna owdowiała dama, która wtedy mieszkała w Chester, zobaczyła ją przypadkiem, ulitowała się nad nią i wzięła do siebie. Myślę, że jakiś przeklęty los sprzysiągł się na nas, bo pomimo wszystkich naszych wysiłków dziewczynka pozostała w tym domu i była szczęśliwa. Dwa czy trzy lata temu straciłem ją z oczu i zobaczyłem znowu dopiero parę miesięcy temu.

— Czy widzisz ją teraz?

— Tak. Opartą na pańskim ramieniu.

— Ale przez to nie przestaje być moją siostrzenicą — zawołała pani Maylie tuląc omdlewającą dziewczynę w ramionach — nie przestaje być moim najukochańszym dzieckiem. Nie chciałabym stracić jej teraz za żadne skarby świata. Moja słodka towarzyszka, moje drogie, kochane dziewczątko!

— Jedyna przyjaciółko, jaką kiedykolwiek miałam! — zawołała Róża garnąc się do niej kurczowo. — Najlepsza, najserdeczniejsza przyjaciółko! Serce mi pęknie. Nie mogę znieść tego wszystkiego.

— Zniosłaś i więcej i przez cały ten czas byłaś najlepszą, najłagodniejszą istotą, jaka kiedykolwiek obdarzała szczęściem wszystkich, z którymi się zetknęła — mówiła pani Maylie ściskając ją czule. — No, no, kochanie, przypomnij sobie, kto tutaj czeka, by cię utulić w ramionach, biedne dziecko! Spójrz tu — patrz, patrz, kochanie!

— Nie cioteczka! — zawołał Oliwer zarzucając jej ręce na szyję. — Nigdy nie będę jej nazywał cicią — to moja siostra, moja własna kochana siostrzyczka, którą coś od początku kazało mojemu sercu tak mocno pokochać! Różo, najmilsza, najdroższa Różyczko!

Niechaj łzy, które się teraz połały, będą święte, niech święte będą urywane słowa wymienione w długim, mocnym uścisku, który połączył dwie sieroty. W tej jednej chwili odzyskały one i znowu straciły ojca, siostrę i matkę. Radość i smutek zmieszały się z sobą w jednym kielichu, lecz gorczy w łzach tych nie było, gdyż nawet smutek rodził się tak złagodzony, tak przyobleczony w słodkie i czułe wspomnienia, że przeobrażał się w jakąś uroczystą szczęśliwość i tracił wszelkie znamiona bólu. Przez długi, długi czas pozostali sami. Wreszcie ciche stukanie do drzwi oznajmiło, że ktoś czeka na korytarzu. Oliwer otworzył, wysunął się z pokoju i ustąpił miejsca Harry'emu Maylie.

— Wiem o wszystkim — powiedział Harry siadając obok uroczego dziewczęcia. — Różo kochana, wiem o wszystkim.

— Nie jestem tu przypadkiem — dodał po długim milczeniu — ani też nie dowiedziałem się o tym wszystkim dziś dopiero. Wiedziałem już wczoraj — zaledwie wczoraj. Czy zgadujesz, że przyszedłem przypomnieć ci o pewnej obietnicy?

— Poczekaj — rzekła Róża. — Przecież wiesz wszystko.

— Wszystko. Pozwoliłaś mi w dowolnej chwili przed upływem roku poruszyć raz *jeszcze* temat naszej ostatniej rozmowy.

— Tak, pozwoliłam.

— Nie po to, aby nalegać na ciebie, żebyś zmieniła swe postanowienie — ciągnął młody człowiek — lecz aby posłyszeć je powtórzone przez ciebie raz jeszcze, jeśli tak zechcesz. Miałem złożyć u twoich stóp wszelkie stanowisko czy majątek, jakie mogę posiadać, a jeślibyś trwała przy uprzednim postanowieniu, zobowiązałem się ani słowem, ani czynem nie dążyć do jego Zmiany.

— Te same powody, które wpłynęły wówczas na moją decyzję, wpłyną na nią i teraz — rzekła stanowczo Róża. — Jeżeli kiedykolwiek miałam wyraźne i niewątpliwe obowiązki wobec tej, której

dobroć ocaliła mnie od życia w nędzy i cierpieniu, to kiedyż mam się do nich poczuwać bardziej niż dzisiaj? Jest to ciężka walka — ciągnęła Róża — ale taka, którą staczam z dumą. Jest to cios, ale taki, który serce moje wytrzyma.

— Dzisiejsze odkrycia... — zaczął Harry.

— Dzisiejsze odkrycia — odrzekła Róża łagodnie — pozostawiają mnie w tym samym położeniu, jeżeli chodzi o ciebie, w jakim znajdowałam się poprzednio.

— Starasz się zamknąć przede mną twe serce, Różo — powiedział młodzieniec.

— O, Harry, Harry — zawołała panienka wybuchając płaczem — obym mogła nie mieć serca i oszczędzić sobie tego bólu!

— Więc po co go sobie zadawać? — spytał Harry ujmując jej rękę. — Pomyśl, najdroższa' Różo, pomyśl o tym, czego się dzisiaj dowiedziałas.

— I czegoż to się dowiedziałam! Czego się dowiedziałam! — zawołała Róża. — Że poczucie głębokiej hańby tak dalece podziało na mego rodzzonego ojca, iż odsunął się od wszystkich — ach, dosyć już powiedzieliśmy, Harry, dosyć już powiedzieliśmy.

— O nie, jeszcze nie dosyć — odparł młodzieniec zatrzymując ją, bo już wstała chcąc odejść. — Moje nadzieje, pragnienia, widoki na przyszłość, uczucia, każda myśl w moim życiu — wszystko uległo zmianie, poza moją miłością do ciebie. Ofiaruję ci teraz już nie wysokie stanowisko wśród hałaśliwego tłumu, już nie obcowanie ze światem pełnym złości i obmowy, gdzie ludzie uczciwi rumienić się muszą za wszystko, tylko nie za to, co jest naprawdę hańbą i wstydem — ofiaruję ci tylko dom — serce i dom rodzinny. Tak, najmilsza Różo, to wszystko, co mam ci do ofiarowania.

— Co to znaczy? — wyjąkała.

— To znaczy tylko to, że kiedy opuściłem cię ostatnim razem, uczyniłem to z modnym postanowieniem zburzenia wszel-

kich urojonych przegród między tobą a mną. Postanowiłem, że skoro mój świat nie może stać się twoim, uczynię twój moim. Nigdy nikt dumny ze swego rodu nie będzie spoglądać na ciebie z grymasem pogardy, gdyż ja się od tych wszystkich próżności odwrócę. Uczynkiem to już. Ci, którzy odsunęli się za to ode mnie, odsunęli się i od ciebie i pod tym względem potwierdzili słusność twoich słów. Potężni protektorzy, wpływowi i wysoko postawieni krewni, którzy wówczas uśmiechali się do mnie, teraz spoglądają zimno. Ale w najbogatszej okolicy Anglii są uśmiechnięte pola i wiatrem kołysane drzewa, a przy jednym wioskowym kościółku — moim, Różo, moim własnym! — stoi wiejski dom, z którego dzięki tobie będę tysiącokrotnie dumniejszy niż ze wszystkich nadziei, jakich się wyrzekłem. Oto moje obecne stanowisko i położenie — i oto składam je u twoich stóp!

— Ciężka to rzecz czekać z kolacją na zakochanych — rzekł pan Grimwig budząc się z drzemki i ściągając chustkę do nosa, która nakrywała mu głowę.

Prawdę powiedziawszy kolacja czekała już nieprawdopodobnie długo. Ani pani Maylie, ani Harry, ani Róża (którzy weszli wszyscy razem) nie potrafili wyrzec ani słowa na swoje usprawiedliwienie.

— Myślałem dziś wieczór poważnie o zjedzeniu swojej głowy — rzekł pan Grimwig — bo zacząłem już sądzić, że nic innego nie dostanę. Pozwolę sobie, jeśli wolno, pozdrowić przyszlą oblubienicę.

Pan Grimwig nie tracąc czasu wprowadził w czyn swą zapowiedź i pocałował spłonioną dziewczę, a za przykładem tym, jako zaraźliwym, poszli zarówno doktor jak pan Brownlow. Niektórzy twierdzą, że pierwszy uczynił to Harry Maylie w sąsiednim ciemnym pokoju, lecz najlepsze źródła uznają to za czystą plotkę: Harry jest przecież młody i do tego jest pastorem.

— Oliwerze, dziecko moje — rzekła pani Maylie — gdzieżeś ty był i czemu zdajesz się taki zasmucony? W tej chwili łzy spływają ci po twarzy. Co się stało?

Świat ten jest pełen rozczarowań. Nieraz zawodzą nas najdroższe nadzieje, takie nadzieje, które najbardziej chlubnie o nas świadczą.

Biedny Dick nie żył!

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI OSTATNIA NOC FAGINA

Sala sądu od podłogi do sufitu była jak wybrukowana ludzkimi twarzami. Zewsząd patrzyły ciekawe, głodne wrażeń oczy. Od balustrady tuż przed miejscem dla oskarżonych aż do najdalszego i najciaśniejszego zakątka galerii wszystkie spojrzenia utkwione były w jednym człowieku — w Faginie. Przed nim i za nim, w górze, w dole, po lewej i po prawej stronie wszyscy patrzyli na niego: zdawał się otoczony niby firmamentem jasnym od gorejących oczu.

Stał oto w całym blasku tych żywych świateł, z jedną ręką wspartą na drewnianej balustradzie, a drugą zwinętą w trąbkę przy uchu, z głową wysuniętą naprzód, aby móc wyraźniej łowić każde słowo padające z ust przewodniczącego sądu, który właśnie przedstawiał sprawę przysięgłym. Niekiedy Fagin zwracał na nich bystry wzrok, by śledzić skutek każdego najdrobniejszego słówka, które mogło choć tyle co piórko zaważyć na jego korzyść. A kiedy ze straszliwą wyrazistością padały argumenty

przemawiające przeciwko niemu, patrzył na swego adwokata z niemym błaganiem, by mimo to znalazł coś do powiedzenia na jego obronę. Objawiając w ten sposób swój niepokój, poza tym nie drgnął nawet. Od chwili rozpoczęcia rozprawy prawie się nie poruszył i teraz, kiedy sędzia przestał mówić, trwał nadal w tej samej naprężonej postawie bacznej uwagi, wpatrzony weń w dalszym ciągu, jakby wciąż jeszcze słuchał.

Lekki szmer na sali przywołał go do przytomności. Rozejrzawszy się zobaczył, że przysięgli skupili się razem, aby rozważyć wyrok. Gdy oczy Fagina powędrowały w stronę galerii, dostrzegł, że ludzie wspinają się na palce, by dojrzeć jego twarz. Niektórzy pośpiesznie przykładali lornetki do oczu, inni szeptali coś sąsiadom z wyrazem odrazy na twarzach. Było też parę osób, które zdawały się nie zwracać na niego uwagi i patrzyły tylko na przysięgłych, niecierpliwiąc się i dziwiąc, jak oni mogą jeszcze zwlekać. Na żadnej jednak twarzy — nawet wśród kobiet, których tu było bardzo dużo — nie mógł dopatrzeć się najmniejszego współczucia dla siebie ani żadnego uczucia poza wszechwładnym życzeniem, by go skazano.

Kiedy ogarnął to wszystko jednym błędnym spojrzeniem, zapadła znów śmiertelna cisza, a gdy spojrzął za siebie, zobaczył, że przysięgli zwrócili się w stronę sędziego. Cicho!

Ale oni tylko prosili o pozwolenie udania się na naradę.

Kiedy wychodzili, czujnie badał ich twarze, jedną po drugiej, jak gdyby chcąc się zorientować, ku czemu większość się skłania; lecz było to bezowocne. Strażnik dotknął jego ramienia. Poszedł za nim machinalnie do końca balustrady i usiadł. Strażnik musiał mu wskazać krzesło, gdyż sam nie byłby go spostrzegł.

Znów podniósł wzrok na galerię. Niektórzy ludzie jedli, a niektórzy wachlowali się chustkami, gdyż w tłocznej sali było bardzo gorąco. Jakiś młody człowiek szkicował jego twarz w niewielkim notatniku. Fagin był ciekaw, czy rysunek jest podobny, i przyglądał się niczym obojętny widz, gdy artyście złamał się ołówek i gdy go sobie na nowo ostrzył szczyrykiem.

Podobnie kiedy zwrócił oczy na sędziego, zaczął myśleć o jego todze, co mogła kosztować i jak się ją wkłada. Na ławie sędziowskiej był też pewien gruby jegomość, który mniej więcej pół godziny przedtem wyszedł, a teraz wrócił. Fagin zastanawiał się w duchu, czy ten człowiek był na obiedzie, co jadł i gdzie. Myśli jego biegly tak jakimiś beztroskimi drogami, dopóki nowe spostrzeżenie nie skierowało ich na inny tor.

Nie znaczy to, by przez cały ten czas umysł starca był choćby na chwilę wolny od przytłaczającego, oszalamiającego poczucia, że pod jego stopami rozwiera się grób. Poczucie to było w nim wciąż obecne, tylko w jakiś sposób niejasny i ogólny, nie mógł też skupić na nim myśli. Chociaż więc drżał i płonął na myśl o rychłej śmierci, jednocześnie zabierał się do liczenia żelaznych prętów przed sobą i zastanawiał się, w jaki sposób koniec jednego z nich się odłamał i czy go naprawią, czy też zostawią, jak jest. Potem myślał o wszystkich okropnościach szubienicy i rusztowania — potem przestał myśleć, aby popatrzeć, jak jakiś człowiek skrapia podłogę wodą dla ochłodzenia powietrza w sali — a potem rozmyślał dalej.

Wreszcie nakazano ciszę i wszyscy z zapartym tchem spojrzeli ku drzwiom. Przysięgli wrócili mijając Fagina z bliska. Z twarzy ich nic nie mógł wyczytać, równie dobrze mogły być z kamienia. Nastąpiła zupełna cisza — ani szmeru — ani oddechu. — „Winien”.

Budynek rozbrzmiał potężnym okrzykiem, potem drugim, trzecim, a potem odbiło się w nim echo niby głośnego jęku, który wzbierał na sile jak gniewny łoskot piorunu. Był to wybuch radości tłumu zgromadzonego na dworze, który witał wieść, że on, Fagin, umrze w poniedziałek.

Hałas przycichł wreszcie i zapytano Fagina, czy może podać jakikolwiek powód, dla którego wyrok śmierci na niego mógłby być uchylony. On przybrał z powrotem swą czujną postawę i w czasie kiedy mu zadawano pytanie, patrzył z napięciem na pytającego, lecz musiano mu je powtórzyć dwa razy, nim zdało się, że je usłyszał. Wtedy wyjąkał tylko, że jest stary — stary — stary. Zakończył szeptem i zamilkł.

Sędzia przywdział czarny biret, a więzień stał wciąż jeszcze z tym samym wyrazem twarzy i gestem. Jakaś kobieta na galerii krzyknęła pod wrażeniem straszliwej powagi tej sceny. Fagin spojrzął szybko w stronę krzyczącej, jakby rozgniewany przerwaniem ciszy, po czym pochylił się naprzód z jeszcze większą uwagą. Przemówienie było uroczyste i przejmujące; straszno było wysłuchać takiego wyroku. Ale on stał jak wykuty z marmuru, żaden nerw w nim nie drgnął. Jego wynędzniała twarz wciąż podana była naprzód, dolna szczęka zwiśla, a oczy wlepione miał przed siebie, aż wreszcie strażnik położył mu dłoń na ramieniu i skinął nań, by poszedł za nim. Przez chwilę rozglądał się wokół siebie tępym wzrokiem, po czym usłuchał wezwania.

Poprowadzono go przez leżące pod salą sądową pomieszczenie o kamiennej posadzce, gdzie kilku więźniów czekało na swą kolejkę, a inni rozmawiali ze znajomymi, którzy tłoczyli się przy kracie dzielącej izbę od podwórka. Nie było tam nikogo, kto by chciał z nim się zobaczyć, lecz kiedy przechodził, więźniowie rozstępowali się, by uczynić go bardziej widocznym dla ludzi, którzy cisnęli się do krat; ci zaś obrzucali go plugawymi wyzwiskami, wrzeszczeli i gwizdali. On jął wygrażać im

pięścią i byłby ich opluł, lecz wiodący go strażnicy popchnęli go szybko do wnętrza więzienia przez posępny korytarz oświetlony tylko paroma ciemnymi lampami.

W więzieniu obszukano go, w obawie czy nie ma czasem przy sobie czegoś, co by mu pozwoliło uprzedzić wymiar sprawiedliwości, a po tej ceremonii zaprowadzono go do jednej z cel przeznaczonych dla skazańców i tam pozostawiono — samego. Usiadł naprzeciw drzwi na kamiennej ławie, która służyła jako siedzenie i łóżko zarazem. Wbił krwią nabiegłe oczy w posadzkę i usiłował zebrać myśli. Po pewnym czasie zaczął przypominać sobie niektóre luźne urywki z przemówienia sędziego, choć podczas samego przemówienia zdawało mu się, że nie słyszy ani słowa. Urywki powoli układały się we właściwej kolejności i stopniowo pociągały za sobą dalsze wspomnienia, tak że wkrótce miał w głowie całość przemówienia prawie lak, jak zostało wygłoszone. Powieszony za szyję aż do utraty życia — na tym się kończyło. Powieszony za szyję aż do utraty życia.

Gdy ściemniło się na dobre, zaczął myśleć o wszystkich znanych sobie ludziach, którzy zginęli na szubienicy — niektórzy za jego sprawą. Jawili mu się tak prędko jeden po drugim, że ledwo mógł ich policzyć. Śmierć niektórych z nich sam oglądał — i kpił przy tym, ponieważ umierali z modlitwą na ustach. Ach, z jakimże trzaskiem spadał spust szubienicy i jakże nagle zamieniali się z silnych i krzepkich ludzi w dyndające kupy szmat!

Być może, iż niektórzy z nich przebywali w tej właśnie celi — siedzieli na tejsze ławie. Było bardzo ciemno; dlaczego nie przynoszą światła? Cella zbudowana została przed wielu laty. Dziesiątki ludzi musiało tu spędzać swoje ostatnie godziny. Było to tak, jakby siedział w krypcie usłanej ciałami zmarłych: kaptur, pętla, ręce skrepowane na plecach, twarze, które poznawał nawet spoza owej ohydnej zasłony. Światła, światła!

Na koniec, gdy skórę miał już zdartą z dłoni od tłuczenia o grube drzwi i mury, ukazało się dwóch ludzi: jeden niósł świecę, którą włożył w żelazny świecznik przymocowany do muru, drugi włókł za sobą siennik do spania, gdyż od tej chwili więzień nie miał już ani na chwilę być sam.

A potem przyszła noc — ciemna, posępna, milcząca noc. Inni czuwający cieszą się, gdy słyszą bijące zegary kościelne, gdyż mówią im one o życiu i nadchodzącym dniu. Jemu jednak niosły one rozpacz. Każde uderzenie żelaznego dzwonu przybywało brzemienne jednym przepastnym, głuchym dźwiękiem — Śmiercią. Cóż znaczyły hałas i krzątania pogodnego poranka, które docierały aż tu, nawet do niego? Była to jeszcze jedna forma złowieszczy sygnалу, tylko że do ostrzeżenia dołączało się szyderstwo.

Dzień przeszedł. Dzień? Nie było dnia: minął, ledwo się rozpoczął — i znów nastąpiła noc; noc tak długa, a przecież tak krótka: długa w swej straszliwej ciszy, a krótka liczbą szybko mijających godzin. Chwilami szalał i bluźnił, chwilami znów wył i rwał sobie włosy z głowy. Czcigodni mężowie jego wyznania przyszli modlić się przy nim, ale przekleństwami odpędził ich od siebie. Ponowili swe miłosierne wysiłki, ale on odegnał ich razami.

Noc sobotnia. Miał jeszcze tylko jedną noc życia przed sobą. Właśnie kiedy to pomyślał, nastąpił dzień — niedziela.

I dopiero wieczorem tego ostatniego, okropnego dnia poczucie zupełnej bezsilności i rozpaczliwego położenia, w jakim się znajdował, ogarnęło z całą siłą jego skalaną duszę. Nie żeby kiedykolwiek żywił jakąś określoną i istotną nadzieję na ulaskawienie, lecz nigdy dotąd nie odważył się na nic więcej, jak na myślenie o mglistym prawdopodobieństwie tak rychłej śmierci. Mało dotąd mówił z dwoma mężczyznami, którzy zmieniali się kolejno przy nim, a i oni ze swej strony nie starali się zwrócić na siebie jego uwagi. Siedział tak, nie śpiąc, lecz śniąc. Teraz za to zrywał się co chwila i dysząc, cały rozpalony, biegał tam i z powrotem po celi w takim paroksyzmie strachu i wściekłości, że nawet strażnicy — choć przywykli do tego rodzaju widoków — usuwali się przed nim ze zgrozą. Na koniec stał się tak straszny, udręczony mękami swego czarnego sumienia, że jeden człowiek nie miał dość siły, by siedzieć z nim sam na sam i patrzeć na niego; obaj więc strażnicy trzymali wartę razem. Przykucnął, skulony na swym kamiennym łożu, i rozmyślał o przeszłości. Tego dnia, kiedy go ujęto, część pocisków, którymi miotła na niego tłum, raniła go, toteż głowę miał owiniętą kawałkiem płótna. Rude włosy zwisały mu na bezkrwistą twarz, brodę miał zmierzwioną, o pozlepianych kosmykach, oczy błyszczały straszliwym blaskiem, nie myta skóra pękała od trawiącej go gorączki. Ósma — dziewiąta — dziesiąta. Jeśli to wszystko nie było jakąś sztuczką mającą na celu zastraszenie go, jeśli to prawdziwe godziny depczą sobie po piętach — gdzież on będzie, kiedy znów te same godziny wybija! Jedenasta! Następną godziną była już, nim przebrzmiał dźwięk poprzedniej.

O ósmej będzie sam jeden postępował we własnym kondukcje pogrzebowym. O jedenastej...

Straszliwe mury Newgate, które tyle nieszczęścia i niewypowiedzianej męki kryły nie tylko przed oczyma, lecz nazbyt często

i przez nazbyt długi czas i przed myślami ludzkimi, nigdy nie były świadkami tak przerażającego widowiska. Ci nieliczni, którzy przechodząc zatrzymywali się na chwilę i zastanawiali, co też robi ów człowiek, który ma nazajutrz zostać powieszony, źle spaliły tej nocy, gdyby go mogli byli oglądać. Od wczesnego ranka aż prawie do północy małe grupki złożone z dwóch lub trzech osób przychodziły

do bram więzienia i z niepokojem na twarzach zapytywały, czy przypadkiem nie nadeszło jakieś odroczenie wyroku. Otrzymawszy odpowiedź przeczącą przekazywali tę dobrą wiadomość gromadom zebranych na ulicy, gdzie ludzie pokazywali jeden drugiemu drzwi, przez które skazaniec będzie musiał wyjść, i miejsce, gdzie postawiona zostanie szubienica. Po czym odchodzili ociągając się i zawracali raz jeszcze, by przeżyć w wyobraźni całą tę Scenę. Stopniowo jeden po drugim rozchodzili się i przez godzinę, w samym sercu nocy, na ulicy zapanowała pustka i ciemność.

Przestrzeń przed więzieniem opróżniono już z ludzi i przez drogę przerzucono kilka mocnych, czarno pomalowanych barier dla odparcia naporu spodziewanego tłumu, kiedy u furtki zjawili się pan Brownlow i Oliwer i przedstawili rozkaz dopuszczenia ich do więzienia, podpisany przez jednego z szeryfów. Wpuszczono ich natychmiast do wartowni.

— Czy ten młody panicz też ma tam iść, proszę pana? — spytał człowiek, którego obowiązkiem było ich zaprowadzić. — To nie jest widok dla dzieci, proszę pana.

— Istotnie, przyjacielu — odparł pan Brownlow — lecz sprawa, którą mam do owego człowieka, jest najściślej z tym dzieckiem związana; a ponieważ widziało go ono w pełnym rozkwicie jego przestępczej kariery, sądzę, że na dobre mu wyjdzie ujrzeć go teraz — nawet kosztem pewnej dozy strachu i przykrości.

Tych kilka słów wymieniono na stronie, tak aby Oliwer nie mógł ich usłyszeć. Przewodnik dotknął kapelusza i spojrzawszy z pewnym zaciekawieniem na Oliwera otworzył inną bramę, znajdującą się naprzeciwko tej, którą weszli, i poprowadził ich ciemnymi i krętymi przejściami ku celom.

— Tutaj — rzekł przewodnik zatrzymując się w ponurym korytarzu, gdzie dwóch robotników w głębokim milczeniu czyniło jakieś przygotowania — tutaj jest miejsce, któredyś on będzie przechodził. Jeśli panowie tu wstąpią, zobaczą panowie drzwi, którymi wyjdzie.

Wprowadził ich do kamiennej kuchni wyposażonej w miedziane kotły do gotowania więziennej stawy i wskazał palcem na jakieś drzwi. Nad nimi była otwarta krata, przez którą słychać było ludzkie głosy pomieszane ze stukiem młotków i łoskotem rzucanych desek. To ustawiano rusztowanie.

Z tego miejsca poszli dalej przez kilka ciężkich bram, które otwierali im od wewnątrz inni strażnicy, po czym przeszedłszy przez otwarte podwórze, weszli po wąskich schodkach na piętra i znaleźli się w korytarzu z szeregiem żelaznych drzwi po lewej ręce. Skinieniem ręki poleciwszy im zostać na miejscu, strażnik zapukał pękiem kluczy do jednych drzwi. Dwaj wartownicy, poszeptawszy trochę, wyszli na korytarz przeciągając się, jak gdyby radzi z chwilowego odprężenia, i skinęli na gości, by udali się za dozorcą do celi. Ci usłuchali.

Skazany zbrodniarz siedział na swym pościu i kołysał się naprzód i w tył. Oblicze jego przypominało wyrazem swym raczej zwierzę złapane w potrzask niż ludzką twarz. Myśli jego błądziły widocznie dokoła dawnego życia, gdyż nadal mrucał coś do siebie i zdawał się nie uświadamiać sobie obecności przybyłych inaczej niż jako część swojej wizji.

— Zuch Karolek — dobra robota — mamrotał. — I Oliwer także, ha! ha! ha! Oliwer także! Wygląda teraz całkiem jak dżentelmen, całkiem jak... Zabierzcie tego chłopaka do łóżka!

Strażnik ujął wolną dłoń Oliwera i szepnąwszy mu, by się nie bał, przyglądał się dalej bez słowa.

— Zabierzcie go do łóżka! — wołał Fagin. — Słyszycie, wy obydwa? To on — on jest jakoś winien temu wszystkiemu! Oplaci się wydać trochę pieniędzy, żeby go na takiego wychować... W gardło Boltera, Bill! Mniejsza o dziewczynę — w gardło Boltera — rznij tak głęboko, jak potrafisz! Oderznij mu łeb!

— Fagin! — powiedział strażnik.

— Jestem! — zawołał skazaniec wracając błyskawicznie do owej czujnej postawy, jaką miał podczas rozprawy. — Stary jestem, wielmożny panie, bardzo stary!

— Słuchaj no — rzekł strażnik kładąc mu rękę na piersi, by go powstrzymać od zerwania 6ię. — Tutaj ktoś chce się z tobą zobaczyć — przypuszczalnie zadać ci jakieś pytania. Fagin, Fagin! Czyś ty nie człowiek?

— Niedługo nim będę — odpowiedział Fagin i podniósł ku niemu twarz, w której nie było już żadnego ludzkiego wyrazu oprócz wściekłości i przerażenia. — Niech ich wszystkich piorun zabije! Jakie oni mają prawo mnie mordować?

Kiedy to mówił, dostrzegł nagle Oliwera i pana Brownlow. Skulił się w najdalszym kącie i spytał, czego tu chcą.

— Spokojnie — powiedział dozorca, wciąż przytrzymując go ręką. — Teraz, proszę pana, niech mu pan mówi, czego pan od niego chce. Prędko proszę, bo z nim jest coraz gorzej i gorzej.

— Macie pewne papiery — rzekł występując naprzód pan Brownlow — które dla lepszego ich zabezpieczenia złożył w wasze ręce człowiek nazwiskiem Monks.

— To wszystko kłamstwo — odparł Fagin. — Nie mam nic — nic.

— Na miłość Boga — rzekł pan Brownlow z uroczyście powagą — nie mówcież tak teraz, u samego progu śmierci, lecz powiedzcie mi, gdzie one są. Wiecie, że Sikes nie żyje, że Monks się przyznał, że nie ma nadziei na żaden dalszy zysk. Gdzie są te papiery?

— Oliwer! — zawołał Fagin i kiwnął na chłopca, by się zbliżył. — Chodź tu, chodź tu! Coś ci szeptę do ucha.

— Nie boję się — rzekł cicho Oliwer i puścił dłoń pana Brownlow.

— Papiery — mówił Fagin przyciągając ku sobie Oliwera — są w płóciennym woreczku w kominie, w skrytce trochę nad paleniskiem, we frontowym pokoju na piętrze. Chcę z tobą pomówić, mój drogi.

Chcę z tobą pomówić.

— Tak, tak — odrzekł Oliwer. — Pozwólcie mi się pomodlić. Naprawdę! Pozwólcie mi zmówić jedną modlitwę. I sami zmówcie ją ze mną, na kolanach, a będziemy rozmawiali do rana.

— Nie w celi, nie w celi — odpowiedział Fagin popychając chłopca przed sobą ku drzwiom i patrząc błędnym wzrokiem ponad jego głowę. — Powiedz im, że usnąłem — tobie uwierzą. Możesz mnie stąd wyprowadzić, jeżeli w ten sposób weźmiesz mnie z sobą. No, prędeż, prędeż!

— O Boże! Daruj temu nieszczęsnemu człowiekowi! — zawołał chłopiec wybuchając płaczem.

— Dobrze, dobrze — mówił Fagin. — To nam pomoże. Najpierw te drzwi. Jeżeli będę trząśł się i drżał przechodząc koło szubienicy, nie zwracaj uwagi, tylko idź prędko dalej. Już, już, prędeż!

— Nie ma pan żadnych więcej pytań? — zapytał strażnik.

— Pytań żadnych — odparł pan Brownlow. — Gdybym mógł mieć nadzieję, że zdołamy mu uprzytomnić jego położenie...

— Nic tego sprawić nie zdoła — odrzekł tamten potrząsając głową. — Lepiej niech panowie już wyjdą.

Drzwi celi otworzyły się i wartownicy wrócili na miejsce.

— Dalej, dalej — wołał Fagin. — Po cichu, ale nie tak wolno. Prędeż, prędeż!

Wartownicy pochwycili go i uwolniwszy Oliwera z jego rąk, przytrzymali. Fagin przez chwilę walczył z siłą, jaką daje rozpacz, a potem jął wydawać raz po razie krzyki, które przenikały nawet te grube mury i brzmiały w uszach odchodzących, póki nie wyszli na otwarte podwórze.

Minęło nieco czasu, nim opuścili więzienie. Oliwer omal nie zemdleł po tej okropnej scenie i był tak osłabiony, że przez godzinę czy więcej nie miał siły chodzić.

Kiedy wyszli, był brząsk. Zebrała się już wielka rzesza; okna pełne były ludzi, którzy palili tytoń i grali w karty chcąc sobie uprzyjemnić oczekiwanie. Tłum popychał się, klócił, żartował. Wszystko świadczyło o życiu i ruchu oprócz jednej ciemnej grupy przedmiotów, która znajdowała się w środku wszystkiego — czarnego podwyższenia, poprzecznej belki, sznura i całego ohydneho aparatu śmierci.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI I OSTATNI

Losy ludzi, którzy występowali w niniejszym opowiadaniu, dobiegają już końca. Niewielkie uzupełnienie, które ich historykowi pozostaje jeszcze dodać, da się ująć w kilku prostych słowach. Nim upłynęły trzy miesiące, Róża Fleming i Harry Maylie wzięli ślub w wiejskim kościółku, który odtąd miał być terenem pracy młodego pastora; tego samego dnia weszli też w posiadanie swego nowego, szczęśliwego domu.

Pani Maylie zamieszkała z synem i synową, aby przez resztę dni zażywać w spokoju największego szczęścia, jakie ludziom starym a zacnym przypaść może w udziale — przyglądania się szczęściu tych, których przez całe dobrze przeżyte życie nieustannie otaczali najgorętszą miłością i najtroskliwszą opieką.

Po dokładnych i starannych badaniach okazało się, że jeśli nędzne resztki majątku pozostałe w zarządzie Monksa (a majątek ten nie prosperował nigdy ani w jego rękach, ani w rękach jego matki) podzielić równo pomiędzy niego a Oliwera, każdy z nich otrzymałby niewiele więcej niż trzy tysiące funtów. Na mocy ojcowskiego testamentu Oliwer miałby prawo do całości, lecz pan Brownlow, nie chcąc pozbawiać starszego syna sposobności do okupienia swych dawnych występków i obrania sobie uczciwego zawodu, zaproponował ten sposób podziału, na który jego młody wychowanek z radością się zgodził.

Monks, wciąż pod tym przybranym nazwiskiem, wyjechał ze swoją częścią majątku do odległego zakątka Nowego Świata, gdzie strwoniwszy go szybko, powrócił do dawnego trybu życia. Po długim pobycie w więzieniu za jakieś nowe oszustwa i łajdactwa, uległ na koniec atakowi dawnej choroby i zmarł w murach więziennych. Równie daleko od ojczystego kraju poumierali pozostali główni członkowie szajki jego przyjaciela Fagina. Pan Brownlow usynowił Oliwera. Przeniósłszy się wraz z nim i starą gospożą do domu położonego o milę od plebanii, gdzie mieszkali jego drodzy przyjaciele, spełnił jedyne pozostałe życzenie gorącego i oddanego serca Oliwera. Tak więc połączyła się niewielka gromadka ludzi, którzy żyli w stanie tak bliskim doskonałemu szczęściu, jak to tylko jest możliwe na tym świecie, gdzie nic nie ma stałego.

Zacny doktor wkrótce po ślubie młodej pary powrócił do Chertsey. Tam, pozbawiony obecności starych przyjaciół, byłby się czuł niezadowolony z losu, gdyby jego temperament dopuszczał takie

uczucie, i byłby się stał zgoła zgorzkniały, gdyby wiedział, jak się to robi. Przez dwa czy trzy miesiące poprzestawał na napomykaniu, że powietrze tutejsze najwidoczniej zaczyna mu nie służyć. Potem przekonawszy się, że dotychczasowe miejsce pobytu naprawdę nie jest już dla niego tym, czym było, przekazał praktykę swemu pomocnikowi, wynajął stosowny dla kawalera domek na skraju wioski, w której jego młody przyjaciel był pastorem, i natychmiast ozdrowiał. Oddał się tedy ogrodnictwu, rybołówstwu, stolarce i różnym innym podobnym zajęciom, do których się zabierał z charakterystyczną dla siebie zapalczywością. W każdym z nich zasłynął w całej okolicy jako niezwykle wybitny autorytet.

Jeszcze zanim się przeprowadził, zdążył powziąć uczucie serdecznej przyjaźni do pana Grimwiga, a ów ekscentryczny dżentelmen szczerze mu je odwzajemnił. Toteż pan Grimwig odwiedza go po kilka razy na rok. Przy wszystkich tych okazjach pan Grimwig z wielkim zapałem sadi kwiatki, łowi ryby i zajmuje się stolarką. Czyni to wszystko w sposób bardzo osobliwy i niespotykany, lecz twierdzi zawsze, popierając to swym ulubionym powiedzeniem, że jego sposób jest najwłaściwszy. W niedzielę nie omieszka nigdy krytykować młodego pastora za jego kazania, mówiąc to jemu samemu; zawsze potem zwierza się panu Losberne w ścisłym sekrecie, że uważa kazania za doskonale, lecz mniema, że lepiej jest tego nie mówić. Stałym i wielce ulubionym żarcikiem pana Brownlow jest dokuczanie panu Grimwigowi przypominaniem mu jego dawnego proroctwa tyżącego Oliwera oraz wspomnianiem owego wieczoru, kiedy to siedzieli nad zegarkiem i czekali na powrót chłopca. Pan Grimwig utrzymuje jednak, że w zasadzie miał rację, i na dowód tego podkreśla, że przecież Oliwer nie wrócił. Mówiąc to, zawsze się śmieje i wpada w jeszcze lepszy humor.

Pan Noe Claypole otrzymał od Korony przebaczenie, ponieważ w sprawie Fagina był świadkiem oskarżenia. Uznawszy, że fach jego nie jest całkiem tak bezpieczny, jakby sobie tego życzył, przez pewien czas nie bardzo wiedział, jak zarobić na utrzymanie w sposób nie pociągający za sobą zbyt wielkiego wysiłku. Po niedługim jednak namyśle poświęcił się zawodowi donosiciela, w którym to zawodzie zdobywa sobie środki na dostatnie życie. Zadaniem jego jest wychodzić raz na tydzień w czasie nabożeństwa w towarzystwie przywoicie ubranej Karolki. Dama mdleje przed drzwiami miłosiernych właścicieli gospod; dżentelmen otrzymuje za trzy pensy koniaku na ocucenie jej, po czym następnego dnia składa donos i połowę grzywny chowa do kieszeni. Niekiedy pan Claypole sam mdleje, ale skutek jest ten sam.

Państwo Bumble pozbawieni zostali posad i stopniowo popadli w wielką biedę i nędzę, aż wreszcie znaleźli się jako nędzarze w tymże samym przytułku, w którym niegdyś władali nad innymi. Podobno pan Bumble mawia, że wśród tych przeciwności i poniżenia nie ma nawet siły się cieszyć, że rozdzielono go z żoną.

Co do pana Gilesa i Brittlesa, trwają oni nadal na swych dawnych stanowiskach, choć pierwszy jest łysy, drugi zaś — wciąż zwany „chłopakiem” — zupełnie osiwał. Sypiają na plebanii, lecz usługi swoje dzielą tak równo pomiędzy jej mieszkańców, Oliwera, pana Brownlow i pana Losberne, że do dziś dnia ludzie z wioski nie zdołali się połapać, do którego gospodarstwa właściwie przynależą. Młody Karolek Bates, do głębi wstrząśnięty zbrodnią Sikesa, jał się zastanawiać, czy uczciwe życie nie jest mimo wszystko najlepsze. Doszedłszy do wniosku, że niewątpliwie tak jest, zerwał z przeszłością i postanowił ją okupić działając na jakimś nowym polu. Przez pewien czas staczał ciężką walkę i cierpiał wiele, że jednak miał pogodne usposobienie i dobry cel przed sobą, więc w końcu dopiął swego i z farmerskiego popychadła i pomocnika tragarza stał się obecnie jednym z najweselszych młodych hodowców bydła w całym Northamptonshire.

A teraz ręka piszącego te słowa waha się, gdyż zbliża się on do końca swego zadania, a chciałby jeszcze snuć trochę dłużej niż opowiedzianych tu przygód.

Chciałbym pozostać jeszcze trochę z paroma spośród tych, wśród których tak długo się obracałem, i dzielić ich szczęście

usiłując je odmalować. Chciałbym ukazać Różę Maylie w całym rozkwicie i wdzięku młodej kobiecości, siejącą na ustronną ścieżkę swego życia łagodne i delikatne światło, które pada na wszystkich kroczących z nią razem i rozjaśnia ich serca. Chciałbym ją odmalować darzącą radością swych bliskich, będącą duszą gromadki zebranej przy kominku lub weselącej się w letnim słońcu. Chciałbym iść za nią w upalne południe przez pola i słyszeć ciche tony jej słodkiego głosu na wieczornej przechadzce przy świetle księżycy. Chciałbym patrzeć na dobroć i miłosierdzie, jakie okazuje poza domem, oraz na opromienione uśmiechem, niezmordowane pełnienie domowych obowiązków wśród swoich. Chciałbym odmalować szczęście, które ona i dziecko jej zmarłej siostry znaleźli w swej wzajemnej miłości, i pokazać, jak spędzają oni razem długie godziny na wyobrażaniu sobie swych najbliższych, których w tak smutny sposób potracili. Chciałbym przywołać raz jeszcze przed oczy obraz radosnych twarzątek skupionych wokół jej kolan i posłuchać ich wesolego szczebiotu, chciałbym przypomnieć dźwięk tego czystego śmiechu i wywołać wspomnienie współczującej łzy łśniącej w jej łagodnych błękitnych oczach. To wszystko oraz tysiące spojrzeń i uśmiechów, i zwrotów myśli, i mowy — rad bym z całego serca wspominać.

Jak pan Brownlow z dnia na dzień nieustannie napełniał umysł przybranego dziecka zapasem wiedzy i przywiązywał się doń coraz więcej, w miarę jak natura chłopca rozwijała się, jak widomie. kielkowały w niej zdrowe ziarna tego wszystkiego, co opiekun pragnął w nim widzieć; jak ten ostatni dostrzegał w chłopcu coraz to nowe rysy swego przyjaciela młodości, budzące w nim samym dawne wspomnienia pełne melancholii, a jednak słodkie i kojące; jak dwoje sierot wypróbowanych przez przeciwności losu pamiętało daną im przez los ten lekcję, czyniąc dobrze innym, kochając się wzajemnie i śląc żarliwe dziękczynienia Temu, który ich ochronił i ocalił — wszystko to są sprawy, o których nie potrzeba opowiadać. Rzekłem już, że byli prawdziwie szczęśliwi, a bez mocnych przywiązań, bez serca otwartego dla ludzi, bez wdzięczności dla owej Istoty, której prawem jest miłosierdzie, a wielkim atrybutem łaskawość dla wszystkiego, co żyje — szczęścia w żaden sposób osiągnąć nie można. W ołtarzu starego wiejskiego kościółka jest wmurowana biała marmurowa tablica z wypisanym na niej jak dotąd jednym tylko słowem: „Agnieszka”. W grobowcu tym nie ma trumny i oby wiele, wiele lat upłynęło, nim na tablicy znajdzie się mowę imię. Lecz jeśli duchy zmarłych wracają kiedykolwiek na ziemię, aby odwiedzić miejsca uświęcone miłością — miłością sięgającą poza grób — tych, których znali za życia, wierzę, że cień Agnieszki unosi się czasem nad tym pełnym dostojeństwa miejscem. Wierzę w to mocno, chociaż miejsce to znajduje się w kościele, a ona była słaba i pobłądziła.